

Walter Scott  
Rob Roy

## ROZDZIAŁ I

Za jakież grzechy takie utrapienie  
Wali się na mnie? Nie mam więcej synów,  
A ten już nie mój. Przekleństwo na głowę  
Tego, co ciebie tak odmienił... Podróż?  
Ja raczej konia mego w podróż wyślę!  
Monsieur THOMAS /15

Prosiłeś mnie, drogi przyjacielu, abym część tego wolnego czasu, jakim Opatrzność pobłogosławiła schyłek mojego żywota, poświęcił spisaniu przygód i przeciwności zaznanych za młodu. Wspomnienie tych „przygód”, jak ty to nazywasz, istotnie pozostawiło mi w duszy skomplikowaną mieszaninę radości i bólu — zaprawioną, tuszę sobie, wielką wdzięcznością i uwielbieniem dla tej kierującej sprawami ludzkimi Wszechmocnej Dłoni, która wiodła mnie w zaraniu życia poprzez wiele niebezpieczeństw i trudów tak, aby ten spokój, jakim pobłogosławiła późną starość moją, tym słodszy mi się wydał dzięki wspomnianiu przeszłych burz. Ani też wątpić mogę o prawdzie tego, co ty często powtarzałeś, że koleje, przebyte przeze mnie wśród ludności dziwnie pierwotnej w stroju swoim i obyczajach, mogą zainteresować i pociągnąć tych, którzy lubią słuchać opowiadań starca o minionych czasach.

Nie zapominaj wszakże i o tym, że to, co opowiada przyjaciel przyjacielowi, traci połowę uroku, skoro przelane zostanie na papier, i że przygody, których z przejęciem słuchałeś, gdy opowiadał je sam ich bohater, wydadzą ci się dużo mniej godnymi uwagi, gdy je będziesz czytać w ciszy swego gabinetu. Jednak, według wszelkiego ludzkiego prawdopodobieństwa, młodszy twój wiek i silniejsze zdrowie zapowiadają ci dłuższe życie niż przyjacielowi twemu. Rzućże więc te kartki do jakiejś zapomnianej szuflady twego biurka, aż rozłączy nas to, co zająć może każdej chwili i zajdzie niewątpliwie w biegu niewielu, bardzo niewielu lat. Wiem dobrze, że gdy rozstaniemy się na tym świecie, by, jak mam nadzieję, spotkać się w lepszym, pamięć zgasłego przyjaciela cenić będziesz więcej, niż ona na to zasługuje, a w tych szczegółach, które oto zamierzam spisywać,

znajdziesz przedmiot rozważań smętnych, lecz nie przykrych. Inni najbliższym swoim zapisują portrety uwieczniające ich zewnętrzne rysy — ja w ręce twoje składam wierny obraz moich myśli i uczuć, błędów i cnót w tej nadziei i w tym przekonaniu, że szaleństwa i uparta zapalczywość mojej młodości znajdą toż samo dobrotliwe wyrozumienie i pobłażliwość, jaką tak często okazywałeś błędom mojego dojrzewającego wieku.

Jedną z zalet pisania pamiętnika (jeżeli mogę tak szumnie nazwać te kartki) dla drogiego i tak jak ty bliskiego mi przyjaciela jest to, że mogę zaoszczędzić sobie trudu podawania wielu znanych ci szczegółów, którymi miałbym obciążać moje opowiadanie, gdybym je pisał dla całkiem nie znającego mnie człowieka. Bo przecież to, że mam czas, zapas papieru i atramentu, nie jest dostatecznym powodem do nadużywania twojej cierpliwości. Jednakowoż nie uważaj tego za obietnicę, że nie skorzystam z tak kuszącej okazji i że całkiem nie będę pisać ani o sobie, ani o tym, co mnie dotyczy, choćby to były rzeczy znane równie dobrze tobie, jak i mnie. Uwodzące rozmiłowanie w gawędzie, szczególnie gdy my sami jesteśmy jej bohaterami, często doprowadza do tego, że zapominamy o szacunku należnym cierpliwości i czasowi słuchaczy. Najmędrsi i najlepsi padali ofiarą tego zwodniczego uroku. Wystarczy, że ci przypomnę pierwotną formę, jaką dla swych pamiętników obrał Sully/16. Forma ta jest zachowana w tym rzadkim już dziś, pierwszym ich wydaniu, które z całą niezbyt mądrą próżnością kolekcjonera książek przekładasz nad późniejsze, sprowadzone już do praktycznej i zwykłej formy pamiętników. Co do mnie, to ta ich pierwotna forma interesuje mnie tylko jako przykład obrazujący, jak bardzo nawet tak wielki człowiek jak Sully lubował się w zaznaczaniu ważności swojej osoby. Jeżeli mnie pamięć nie myli, czcigodny ten arystokrata i wielki mąż stanu wyznaczył spośród swoich domowników aż czterech dżentelmenów do spisywania dziejów swego życia pod ogólnym tytułem „Księga Pamiętkowa Mędrca traktująca też o wewnętrznych, zagranicznych i wojskowych sprawach Królestwa za panowania Jego Królewskiej Mości Henryka IV” itd. Ci dostojni kronikarze, napisawszy wspólnym wysiłkiem owo dzieło zawierające wszystkie donioślejsze wydarzenia z życia ich pana, ujęli je w formę opowiadania zwróconego do niego samego *in propria persona* /16. W ten sposób zamiast opisywać dzieje swego życia w trzeciej osobie, jak

Juliusz Cezar, lub w pierwszej, jak to na ogół robią ci, którzy w salonie przed gronem słuchaczy lub tylko w ciszy swego gabinetu snują opowieść, której sami są bohaterami, Sully pozwolił sobie na wyrafinowaną, choć może dziwaczną przyjemność słuchania historii swego życia odczytywanej mu przez własnych jego sekretarzy. W ten sposób występował jednocześnie w roli słuchacza, bohatera, a zapewne i autora całego dzieła. Zaiste, wspaniały musiał to być widok! Były minister majestatycznie zasiadał pod baldachimem i wyprostowany, a jeszcze dodatkowo usztywniony nakrochmaloną krezą i książęcym płaszczem zdobnym koronkami, łaskawie skłaniał ucha ku swym kronikarzom, którzy stojąc przed nim w pełnej szacunku postawie, poważnie, nieledwie z nabożeństwem informowali go:

„ ...Tak powiedział Książę Pan... Taki Książę raczył wyciągnąć wniosek... Takie były Waszej Dostojności poglądy na tę doniosłą sprawę... Takie były poufne rady udzielone przez Waszą Dostojność naszemu Miłosciwemu Panu...” — a wszystko to były okoliczności, o których przysłuchujący się im książę wiedział wiele więcej niż jego dziejopisarze, tym bardziej że większość tych informacji mogła pochodzić tylko od niego samego.

Moja sytuacja nie jest aż tak zabawna, ale jednak byłoby to coś dziwnego, gdyby Frank Osbaldistone podawał Willemu Treshamowi formalne szczegóły dotyczące swoich urodzin, wykształcenia i stanowiska w świecie. Dlatego też postaram się oprzeć kuszeniu ducha P. P. urzędnika naszej parafii i nie opowiadać o dobrze ci znanych rzeczach. Niemniej przeto są między nimi takie, o których muszę ci napomknąć, bo choć dawniej je znałeś, to jednak mogłeś już o nich zapomnieć, a przecież właśnie one stały się punktem wyjścia moich przygód.

Ojca mojego musisz dobrze pamiętać, bo skoro twój ojciec był współnikiem naszej handlowej firmy, znałeś mojego od dzieciństwa. Jednakże nie widziałeś go chyba za jego najlepszych czasów, póki jeszcze wiek i choroby nie przygasiły w nim niespokojnego ducha przedsiębiorczości i spekulacji. Byłby może biedniejszym człowiekiem, choć może niemniej szczęśliwym, gdyby był poświęcił pracy naukowej ten zasób energii i bystrych zdolności obserwacyjnych, jakim dał upust w działalności handlowej. A jednak w wahaniach i niepewnościach kupieckiej spekulacji jest coś

urzekającego dla każdego, kogo pociąga życie obfite w bogactwo przygód i hazardów, i to nawet niezależnie od nadziei zysku. Ten, kto się puszcza na to niepewne morze, musi posiadać umiejętność sternika i dzielność żeglarza — a jeszcze i wtedy może ulec rozbiciu i zginąć, jeżeli zawieje niepomyślny wiatr. Połączenie koniecznego skupienia i nieuniknionego hazardu, ta często straszna niepewność, czy przezorność zwycięży los, czy też los pokrzyżuje przezorne rachuby — wszystko to w pełni zatrudnia władze umysłu i serca, tak że zawód kupca ma w sobie cały pociągający urok gry bez jej niemoralności.

W pierwszych latach osiemnastego wieku, gdy ja (o mój Boże!) liczyłem sobie ze dwadzieścia lat, odwołano mnie nagle z Bordeaux, bym pomógł ojcu w jakimś ważnym przedsięwzięciu. Nigdy nie zapomnę naszego pierwszego spotkania. Przypominasz sobie zapewne ten jego krótki, urywany i nieco surowy sposób, jakim wyrażał on swoje zadowolenie. Jeszcze teraz stoi mi przed oczyma jego silna, wyprostowana postać, krok szybki i stanowczy, oko rzucające bystre i przenikliwe spojrzenia — rysy, na których troska wyźłobiła już bruzdy, i nieledwie słyszę, jak mówi, słów nigdy darmo nie tracąc, głosem, w którym niekiedy brzmi nuta ostra, choć bynajmniej nie zamierzona.

Zsiadłszy z konia pocztowego, pośpieszyłem do pokoju ojca. Przemierzał go wzdłuż i wszerz z wyrazem skupionego i spokojnego namysłu, którego nie spłoszyło nawet moje przybycie, jakkolwiek byłem jego jedynym i od lat czterech nie widzianym synem. Rzuciłem mu się w objęcia. Był on dobrym, choć nie tkliwym ojcem i łzy zakręciły się w jego ciemnych oczach, lecz tylko na krótką chwilę.

— Dubourg mi pisze, że kontent z ciebie, Franku.

— Bardzo mnie to cieszy, ojcze...

— Co do mnie, nie mogę tego powiedzieć — rzekł siadając przy biurku.

— Przykro mi, ojcze...

— „Cieszy mnie”, „przykro mi” — to słowa, które w większości wypadków znaczą mało lub zgoła nic. Oto twój ostatni list.

Dobył paczkę czerwonym lakiem zapieczętowaną, ciekawie oznaczoną cyfrą i napisem, i odnalazł w niej mój biedny list. Pisany on był w sprawie wówczas sercu memu najbliższej, a ujęty w słowa, które, jak sądziłem, jeśli nie przekonają, to przynajmniej obudzą współczucie. I oto leżał ten list tam, jak mówię, wciśnięty pomiędzy

inne, traktujące o przeróżnych ojca mego bieżących interesach. Uśmiecham się na wspomnienie dotkniętej próżności i zranionych uczuć, gdym ujrzał tę prośbę moją, której napisanie, wierzaj mi, kosztowało mnie niemało trudu, gdym ujrzał ją dobytą spomiędzy akredytyw/20, zawiadomień i innych pospolitych świstków — bo tak się wówczas zapatrywałem na korespondencję kupiecką. Zaiste, myślałem, list tej wagi (nie śmiałem nawet w myślach dodać: „i tak dobrze napisany”) zasługiwałby przecież, by go osobno przechować, by się nad nim pilniej zastanowić i potraktować inaczej niż handlowe sprawy kantoru.

Mój ojciec wszakże nie zauważył mego niezadowolenia, a gdyby je nawet dostrzegł, nie byłby na nie zważał. Ciągnął dalej, trzymając list w ręku:

— To, Franku, jest twój list z dwudziestego pierwszego zeszłego miesiąca, w którym piszesz (tu zaczął czytać), że w najważniejszej sprawie ułożenia planu dalszej nauki i obrania zawodu ufasz, że moja ojcowska dobroć przyzna ci przynajmniej prawo negatywnego głosu; że masz nieprzewycięzoną, tak jest „nieprzewycięzoną” — rad bym był, nawiasem mówiąc, żebyś pisał wyraźniej, żebyś nie opuszczał kresek przy „t”, laski zaś przy „ł” stawiał wyższe — „nieprzewycięzoną niechęć do propozycji ojca”. Jest tu tego jeszcze wiele więcej w tym samym sensie, a wszystko razem obejmuje cztery dobre stronicie papieru, co przy większej dbałości o jasność i ścisłość wyrażania się zmieściłoby się w czterech wierszach. Bo ostatecznie chodzi tylko o to, że nie chcesz tego, czego ja chcę od ciebie.

— Że nie mogę, ojcze, w danym wypadku, nie, że nie chcę!

— Słowa, młody człowieku, znaczą dla mnie bardzo mało — rzekł mój ojciec, który im bardziej był nieugięty, tym bardziej był spokojny i opanowany. — „Nie mogę” jest to może grzeczniejszy zwrot niż „nie chcę”, ale oba te wyrażenia są jednoznaczne tam, gdzie nie ma moralnej niemożliwości. Jednakże nie lubię załatwiać interesów pośpiesznie; omówimy tę sprawę po obiedzie. Owen!

Ukazał się Owen, jeszcze wtedy bez tych srebrnych pukli, które tak szanowałeś — liczył on wówczas niewiele ponad pięćdziesiątkę — ale miał na sobie to samo lub dokładnie takie samo ubranie, całe z jasnobrązowego sukna, te same perłowopopielate jedwabne pończochy, te same trzewiki ze srebrnymi klamrami, te same z cienkiego płótna zaprasowane mankiety, opadające w bawialni na

ręce, a w kantorze starannie odwiniete i nakryte rękawami, by ich nie splamić stale używanym atramentem; słowem, ta sama poważna, raczej sztywna, a jednak dobroduszna powierzchowność, jaką do śmierci odznaczał się główny urzędnik wielkiego handlowego domu Osbaldistone i Tresham.

— Owen — przemówił mój ojciec, podczas gdy pocziwy stary przyjaźnie ścisnął mi rękę — musisz dziś zostać z nami na obiedzie i wysłuchać nowin, jakie nam Frank przywozi od naszych przyjaciół z Bordeaux.

Owen uklonił się sztywno na znak pełnej szacunku wdzięczności. W owe czasy, kiedy to dystans między zwierzchnikiem a podwładnym był o wiele większy niż dziś, tego rodzaju zaproszenie było dowodem łaskawości nie bez znaczenia.

Długo nie zapomnę tego obiadu. Głęboko poruszony niepokojem i niemile dotknięty, nie mogłem się zdobyć na wzięcie w rozmowie tego czynnego udziału, jakiego się mój ojciec zdawał po mnie spodziewać, i aż nazbyt często dawałem niezadowolające odpowiedzi na pytania, którymi mnie zarzucał. Owen, wahając się pomiędzy szacunkiem dla szefa a miłością dla młodzieńca, którego dzieckiem piastował na kolanach, jak lękliwy, ale zatroskany sprzymierzeniec napadniętego narodu usiłował, ile razy byka strzeliłem, naprostowywać znaczenie mych słów i osłaniać mój odwrót. Manewry te jednak tylko drażniły ojca ściągając niejednym grom na głowę mojego dobrotliwego obrońcy, mnie przy tym bynajmniej nie chroniąc.

Przez cały czas pobytu mojego w firmie Dubourga nie zachowywałem się co prawda dosłownie jak ten

Rachmistrz, co serce ojca swego truje,  
Bo pisze stance /21, a cyfr nie sumuje —

jednakże, prawdę powiedziawszy, uczęszczałem do kantoru tyle tylko, ile uważałem za nieodzownie potrzebne, by zapewnić sobie dobre świadectwo u Francuza, długoletniego korespondenta naszej firmy, któremu ojciec powierzył wprowadzenie mnie w tajniki kupiectwa. W rzeczywistości główne zamiłowanie zwróciłem w kierunku literatury i rozmaitych ćwiczeń na wolnym powietrzu. Mój ojciec nie był całkowicie przeciwny tego rodzaju dodatkowym umiejętnościom, czy to umysłowym, czy fizycznym. Za wiele miał zdrowego rozsądku, by

nie wiedzieć, że wdzięcznie one zdołają każdego mężczyznę, rozumiał też, że urozmaicają i uszlachetniają zawód, który dla mnie obrał. Ale główną ambicją jego było, bym został dziedzicem nie tylko jego majątku, ale też tych perspektyw i planów, za pomocą których obiecywał sobie zwiększyć i utrwalić bogaty spadek, jaki mi przeznaczał.

Nakłaniając mnie, bym wstąpił na tę samą co on drogę, kierował się miłością swego zawodu, miał jednakże i inne powody, które później dopiero poznałem. Rzutki w swoich zamysłach, a obok tego zręczny i odważny, w każdym nowym a udanym przedsięwzięciu znajdował nowy bodziec i zarazem środki do dalszych spekulacji. Zdawało się, że — niczym ambitny zdobywca — musi on kroczyć od zwycięstwa do zwycięstwa, nie zatrzymując się dla zabezpieczenia, a tym mniej dla używania osiągniętych zdobyczy. Przywykły do widoku całej swej fortuny drżącej na szalach losu, był zręczny w stosowaniu środków do przechylenia szali na swoją korzyść. Zdawałoby się, że mu zdrowia, energii i dzielności przybywa w tej pobudzającej grze o stawkę całego majątku. Podobny był do żeglarza przywykłego wyzywać bałwany i wroga, a najbutniejszego w przededniu burzy lub bitwy. Nie przymykał jednak oczu na zmiany, jakie wiek lub choroba mogłyby w nim samym wywołać; dbał więc zawczasu, by we mnie przysposobić sobie pomocnika, który by ster ujął, gdy jego ręka osłabnie, i który by poprowadził okręt wedle rad jego i wskazówek. Zarówno ojcowskie przywiązanie, jak i chęć przeprowadzenia własnych zamiarów wiodły go do tego samego wniosku. Ojciec twój, chociaż majątek jego ulokowany był w naszej firmie, był tylko tak zwanym cichym wspólnikiem; Owen zaś, którego uczciwość i wprawa w szczegółach rachunkowości czyniła nieocenionym na stanowisku głównego buchaltera, nie miał ani wiadomości, ani zdolności wystarczających, by móc kierować tajemnymi sprężynami całości przedsiębiorstwa. Gdyby ojca nagle zabrakło, cóż by się stało z tym światem pomysłów i planów, jakie stworzył, gdyby syn, nie urobiony na handlowego Herkulesa/22, nie zdołał dźwignąć ciężaru po upadającym Atlasie/22? I co się stanie z tym synem, jeżeli, obcy interesom tego typu, znajdzie się nagle zbłąkany w labiryncie spraw handlowych, bez wiadomości potrzebnych do ich rozwikłania? Dla wszystkich tych powodów, z których jedne podawał, a inne zatajał, ojciec postanowił, że mam się poświęcić jego zawodowi, a gdy coś postanowił, decyzja jego była

niewzruszona. Ja jednakże byłem także stroną, która chciała mieć prawo głosu, i z uporem nieco podobnym do jego własnego powziąłem postanowienie wręcz przeciwne.

Myszę, że na częściowe usprawiedliwienie tego sprzeciwu stawianego życzeniom rodzica może mi być policzone to, że nie rozumiałem w całej pełni, na czym się one opierały ani jak bardzo szczęście jego od ich spełnienia zawisło. Wyobrażając sobie, że czeka mnie w przyszłości wielki spadek, a będąc pewnym w danej chwili dostatniego utrzymania, nie pomyślałem nawet, że dla zapewnienia sobie tych błogosławieństw losu może być potrzebna praca i poddanie się ograniczeniom niezgodnym z moimi upodobaniami i temperamentem. W propozycji ojca widziałem tylko chęć, bym wstąpił do interesu, bym pomnażał jeszcze ten stos bogactw, które on już nagromadził, a uważając jedynie siebie za powołanego do sądzenia o tym, co może stanowić o moim szczęściu, nie wyobrażałem sobie, żebym je powiększył zwiększając majątek; sądziłem, że już i tak jest on dostateczny i więcej niż dostateczny, by zaspokajać wszelkie potrzeby, wygody, i może zapewnić wytworne używanie życia.

W związku z tym muszę powtórzyć, że czasu przebytego w Bordeaux nie użyłem tak, jak ojciec sobie tego życzył. To, co on uważał za cel główny mojego tam pobytu, ja podporządkowałem różnym innym celom, a gdybym był śmiały, w ogóle byłbym tego poniechał. Dubourg, z którym nasz dom handlowy utrzymywał bardzo dlań korzystne stosunki, był zanadto sprytnym politykiem, by składając szefowi firmy sprawozdania o postępach w nauce jego jedyne dziecko narażać się obu stronom. Być może, miał on także, jak wkrótce posłyszysz, własne w tym wyrachowanie, by pozwalać mi zanedbywać te cele, dla których oddano mnie pod jego opiekę. Prowadzenie się moje było nienaganne w granicach dobrego wychowania i przyzwoitości, tak że z tej strony nie miał, nawet gdyby chciał, nic złego do doniesienia. Jednak, kto wie, może chytry Francuz byłby równie pobłażliwy, nawet gdybym uległ gorszym skłonnościom niż lenistwu i wstrętowi do spraw handlowych. Ostatecznie patrzył przez palce, że tylko nieznaczną część dnia poświęcam studiom handlowym, a o wiele więcej czasu spędzam na ćwiczeniu się w bardziej klasycznych umiejętnościach; ani też nie brał mi za złe, że wolałem przesiadywać nad Corneille'em/24 i Boileau/24 niż nad



tomami dzieł ekonomicznych. Wyrwał skądś zwrot wygodny, którym kończył każdy list: „Pański syn jest takim, jakiego mógłbym życzyć każdemu ojcu”.

Ojciec mój nie miał nic przeciw tego rodzaju zwrotom, choćby Bóg wie jak często powtarzanym, byle były jasne i wyraźne jak utarta formułka kupieckiego listu.

I sam Addison/24 nie mógłby ułożyć tak miłego dla niego zwrotu jak: „Wasz rachunek otrzymałem i uregulowałem, kwit załączam”. Toteż doskonale wiedząc, jakim mnie pragnął mieć, nie wątpił, opierając się na często powtarzanym ulubionym zwrocie Dubourga, że właśnie jestem takim, jakim widzieć mnie pragnął. Aż oto w złą godzinę otrzymał mój list, a w nim — poprzedzoną wymownym a szczegółowym tłumaczeniem się — odmowę przyjęcia miejsca w firmie, przyjęcia biurka i krzeselka w kącie ciemnego kantoru w Crane Alley/24 — biurka górującego nad Owenem i innymi urzędnikami, a niższego tylko od wywyższenia, na którym zasiadał sam ojciec.

Od tej chwili popsuło się wszystko. Sprawozdania Dubourga stały się naraz podejrzany, tak jak gdyby w rachunkach jego znalazły się nieprawidłowości. Przyzwano mnie nagle i przyjęto tak, jak ci to opisałem.

## ROZDZIAŁ II

Zaczynam silnie podejrzewać tego miodzieńca

o straszny przywary — poezję.

Jeżeli dotknięty jest tą chorobą,

nie zrobisz z niego męża stanu.

Jeżeli skleci choć jeden rym,

nie będzie służyć Imperium.

BEN JONSON/25: Jarmark św. Bartłomieja

Mój ojciec na ogół doskonale panował nad sobą, gniew rzadko okazywał słowami, raczej dawał go odczuć w pewnej twardej oschłości sposobu bycia wobec tego, kto zawinił. Nigdy nie groził, nigdy się głośno nie unosił. Wszystko u niego układało się wedle systemu, a miał za zasadę robić zawsze to, co „potrzebne”, nie tracąc próżnych słów. Toteż z gorzkim uśmiechem wysłuchiwał moich nieudolnych wypowiedzi w sprawie życia gospodarczego Francji i niemiłosiernie pozwalał mi brnąć coraz głębiej i głębiej w zawile tajnie azia \*, taryf, tary, bonifikat /25 i nawet nie przypominam sobie, by wyglądał na zagniewanego, dopóki nie stanąłem wobec niemożliwości wytłumaczenia, jaki był ściśle biorąc skutek inflacji luidorów na transakcje giełdowe.

— Najważniejszy wypadek w dziejach narodu za moich czasów — zawołał mój ojciec (który przecież widział rewolucję/25) — a on wie o tym tyle, co ten policjant na ulicy!

— Pan Francis na pewno pamięta — nieśmiało i pojednawczo wtrącił się Owen — że rozporządzeniem króla Francji z dnia 1 maja 1700 roku było postanowione, że w dziesięć dni po zapadnięciu terminu...

— Pan Francis — przerwał mu ojciec — będzie pamiętał to, co ty mu uprzejmie podsuniesz. Ale, mój Boże, jak Dubourg mógł mu pozwolić! Słuchaj, Owen, jak się sprawuje w naszym biurze jego bratanek, ten czarnowłosy chłopak?

— To jeden z najinteligentniejszych urzędników firmy. Zadziwiający młodzieniec jak na swoje lata — odpowiedział Owen, ujęła go bowiem za serce wesołość i grzeczność młodego Francuza.

— Tak, tak, wyobrażam sobie, że ten wie cośkolwiek o tym, co się dzieje na giełdzie. Dubourg postanowił, że będę miał pod ręką chociaż jednego młodzieńca, który będzie się rozumiał na interesie. Ale widzę, do czego on zmierza, i przekona się o tym, gdy zajrzy do rachunku

strat i zysków. Owen, każ wypłacić Clementowi pensję do pierwszego przyszłego kwartału i niech sobie odpływa do Bordeaux na ojcowskim okręcie, który właśnie czeka w zatoce.

— Odprawić Clementa Dubourg, panie? — drżącym głosem spytał Owen.

— Tak, odprawić go natychmiast. Dostyc w kantorze jednego głupiego Anglika, który będzie byki strzelał, zbyteczny tam sprytny Francuz, który by z nich korzystał.

Dość długo żyłem w państwie Wielkiego Monarchy/26, by powziąć wstręt serdeczny do arbitralnego szafowania władzą, co zresztą wychowaniem wpojono we mnie od dzieciństwa; toteż nie mogłem nie wtrącić się, usiłując zapobiec, by niewinny a wartościowy młodzieniec poniósł karę za to, iż nabył tę sprawność i te wiadomości, jakich ojciec mój pragnął dla mnie.

— Przepraszam, ojcze — rzekłem — ale sądzę, że byłoby sprawiedliwe, gdybym ja sam, jeśli studia moje zaniedbałem, poniósł za to odpowiedzialność. Nie mam powodu zarzucać panu Dubourg, że nie dał mi sposobności do kształcenia się, jakkolwiek mało z tego skorzystałem; a co się tyczy Clementa Dubourg...

— Co się tyczy ciebie, postąpię tak, jak uważam za stosowne — odpowiedział ojciec — ale to słusznie z twojej strony, Franku, że własną winę bierzesz na własne barki, bardzo słusznie. Nie mogę jednak uniewinnić starego Dubourga — dodał patrząc na Owena — że dał Frankowi tylko sposobność do pożytecznego kształcenia, nie wglądając w to, czy on z niej korzysta, ani nie powiadamiając mnie, że się zaniedbał. Widzisz, Owen, mój syn ma jednak wrodzone poczucie sprawiedliwości, jak przystoi brytyjskiemu kupcowi.

— Pan Francis — odezwał się nasz główny buchalter ze zwykłym sobie ceremonialnym pochyleniem głowy, unosząc trochę prawą rękę, jak mu to w zwyczaj weszło, ponieważ przywykł zakładać pióro za ucho, zanim zaczął mówić — pan Francis, zdaje się, rozumie podstawową zasadę całego moralnego rachunku, wielką etyczną regułę trzech. Niech A odnosi się do B tak, jakby chciał, żeby B odnosił się do niego; w tym mieści się cała zasada należytego postępowania.

Mój ojciec uśmiechnął się na to sprowadzenie złotej zasady do arytmetycznej formułki, ale zaraz ciągnął dalej:

— To wszystko nie zda się na nic. Franku; marnowałeś czas jak dzieciak, a odtąd trzeba, abyś się nauczył żyć jak mężczyzna. Oddam cię na kilka miesięcy pod opiekę Owena, ażebyś odzyskał grunt pod nogami.

Miałem na ustach odpowiedź, ale gest przestrogi i błagalne spojrzenia Owena sprawiły, że wbrew swej woli zachowałem milczenie.

— A wtedy — mówił ojciec dalej — powrócimy do mej propozycji zawartej w liście z dnia pierwszego zeszłego miesiąca, na którą dałeś odpowiedź nie przemyślaną i nie zadowalniającą. Teraz nalej sobie kieliszek i podsuń butelkę Owenowi.

Na odwadze czy na zuchwałości, jeśli to tak chcesz nazwać, nigdy mi nie zbywało. Odpowiedziałem stanowczo, że przykro mi, iż list mój był nie zadowalniający, ale nie był on nie przemyślany. Propozycję, którą ojciec był tak dobry mi uczynić, natychmiast bardzo starannie rozważyłem i tylko z wielką przykrością byłem zmuszony ją odrzucić.

Ojciec bystrym wzrokiem mierzył mnie przez chwilę, ale szybko odwrócił oczy. A że nie odpowiadał, sądziłem, choć już bez pewności siebie, że winienem mówić dalej. On półsłówkami tylko mi przerywał.

— Żadnego zawodu nie stawiam tak wysoko jak zawód kupiecki, ojczu, choćby to nawet nie był twój zawód...

— Doprawdy!

— Wiąże on naród z narodem, zaspokaja potrzeby, wszystkim przysparza bogactwa. Dla ogólnej społeczności kulturalnego świata jest tym, czym dla ludzi codzienne obcowanie w zwykłym towarzyskim życiu, albo raczej jest tym, czym powietrze i pokarm dla ciała.

— A więc?

— A jednak, ojczu, czuję, że muszę trwać przy odmowie; nie chcę obierać zawodu, do którego tak źle jestem przysposobiony.

— Postaram się o to, byś zdobył potrzebne kwalifikacje. Nie jesteś już gościem ani uczniem Dubourga.

— Ależ, drogi ojczu, ja nie mówię o brakach nauki, lecz o własnej niezdolności do korzystania z niej.

— Głupstwo! Czy prowadziłeś dziennik taki, jak sobie życzyłem?

— Tak jest, ojczu.

— Bądź łaskaw przynieść go tutaj.

Książka, której zażądał ode mnie, była rodzajem brulionu, w którym z polecenia ojca zapisywałem różne wiadomości nabywane w ciągu

mych studiów. Przewidując, że będzie chciał przejrzeć te moje notatki, starałem się przepisywać takie szczegóły, jakie by mu prawdopodobnie przyjemność sprawić mogły, często jednakże pióro spełniało zadanie bez udziału głowy. A i to się zdarzało, że mając tę książkę zawsze pod ręką, nieraz zanotowałem w niej coś, co z handlem niewiele miało wspólnego. Teraz wręczyłem ją ojcu, gorąco pragnąc, by nie znalazł w niej czegoś, co by niezadowolenie jego ze mnie jeszcze podsycić mogło. Owen, który jakoś spochmurniał, gdy ojciec zażądał książki, rozpogodził się teraz, słysząc, że tak rażno odpowiadam, i uśmiechnął się pełen nadziei, gdy z mego pokoju przyniósł i położył przed ojcem księgę o kupieckim wyglądzie, raczej szeroką niż długą, z metalowymi skuwkami, w oprawie z surowej cielecej skóry. Wyglądała bardzo po kupiecku i dodała otuchy życzliwemu mi poczciwcowi. Aż uśmiechnął się wreszcie radośnie, gdy usłyszał, że ojciec odczytuje niektóre ustępy mruczając krytyczne uwagi podczas czytania.

—Wódka: wiadra i baryłki, także beczki. W Nantes po 29, w Cognac i Rochelle po 27, w Bordeaux 32. Bardzo dobrze. Franku. Frachty i cła patrz tabelki Saxby'ego. To niedobrze, powinienesz być przepisać odpowiedni ustęp; to wbija rzecz w pamięć. Sprawozdania zagraniczne i krajowe. Należytości za zboże. Stemple przewozowe. Towar lniany. Isingham. Gandawa. Sztokfisz. Ile cali mierzy sztokfisz?

Owen widząc, że się waham, odważył się podszeptać, z czego szczęśliwie skorzystałem.

— Osiemnaście cali, ojczy...

— A klipfisz dwadzieścia cztery — słusznie. Trzeba to zapamiętać, bo to ważne ze względu na portugalski rynek. Ale co to? Bordeaux założone w roku... Chateau de la Trompette... Pałac Gallienusa... Dobrze, dobrze, i to prawda. To taki rodzaj brulionu, Owen, w którym się notuje wszystko, co zajdzie w ciągu dnia — kupno, zamówienia, wypłaty, wpłaty, akcepty, projekty, zlecenia i rady...

— Ażeby następnie wpisać je w porządku do dziennika i księgi głównej — odpowiedział Owen. — Cieszę się, że pan Francis jest taki systematyczny.

Zauważyłem, iż tak bardzo rosne w łaskę, że aż lękać się zacząłem, by ojciec w następstwie tego tym bardziej nie upierał się przy swoim postanowieniu, by zrobić ze mnie kupca. A że trwałem w przeciwnym

zamiarze, jałem żałować, żem był, używając zwrotu mego przyjaciela Owena, tak bardzo „systematyczny”. Zbyteczna jednak była to obawa, gdyż poplamiony arkusik papieru wypadł z książki, a ojciec podniósłszy go przerwał uwagę Owena, iż należy luźne zapiski wklejać za pomocą klajstru i zawołał:

— Ku pamięci Edwarda, Czarnego Księcia/30. Co to ma znaczyć? Wiersze?... Na Boga, Franku, większy z ciebie osioł, niż przypuszczałem !

Nie zapomnij, że ojciec mój, jako kupiec, z pogardą zapatrywał się na twórczą pracę poetów; jako zaś człowiek religijny i w dodatku gorliwy dysydent \*, uważał tego rodzaju zajęcia za równie marne, jak niegodziwe. Zanim go potępisz, przypomnij też sobie, jak żyło i jak talentu swego używało wielu poetów z końca siedemnastego wieku. A i sekta, do której mój ojciec należał, odczuwała — a może udawała, że odczuwa — purytański wstręt do lżejszych rodzajów literatury. Tak więc wiele powodów zwiększało niemiłą niespodziankę, jaką sprawiało niewczesne odkrycie tych niefortunnych wierszy. Co do biednego Owena, to gdyby peruka, którą nosił, mogła się rozfryzować, a włosy jej stanąć dębem z przerażenia, całe poranne dzieło fryzjera byłoby poszło na marne, tak niezmiernie zdumiała go ta okropność. Przykrzej zaskoczyć by go nie mogło ani włamanie do kasy, ani wyskrobanie pozycji w księdze głównej, ani błąd w sumowaniu w gotowym rachunku.

Ojciec odczytywał głośno wiersz mój, to udając, że nie rozumie sensu, to znów z drwiącym patosem — a zawsze z zacięciem gorzkiej ironii najokropniej drażniącej nerwy autora.

Niech zabrmi donośny głos dzikiego rogu  
I font arabskim \* echem dźwięczy wokół,  
Niech gasnącego wodza chwali  
I niechaj pieśń ta nam wszystkim opowie,  
Jako Hiszpanii pohańscy synowie  
Potęgę jego złamali...

— „Fontarabskim echem”? — powiedział ojciec przerywając sobie czytanie. — „Fontarabski jarmark” miałyby więcej sensu. I „pohański”. Co znaczy „pohański”? Dlaczego nie możesz powiedzieć „pogański” i przynajmniej pisać po angielsku, jeżeli już musisz pisać głupstwa?

Nad wody i lądy głos leci ponury,  
O Anglii skaliste odbija się mury

I wszędzie wiadomość dociera,  
Że wódz i bohater, pięknej Francji zguba,  
A Brytyjczyków nadzieja i chluba  
W Bordeaux o zachodzie umiera.  
Panowie — tak rzecze — podnieście mą głowę —  
Chcę jeszcze zobaczyć słońce purpurowe —  
Otwórzcie też okna szeroko,  
Bym widział Garonnę, by widok królewski  
Słonecznych poblasków na falach niebieskich  
Raz jeszcze ucieszył me oko.

„Królewski... niebieskich...” nędzny to rym. Oj, Franku, nie masz nawet pojęcia o tym żebraczym zawodzie, jaki sobie wybierasz.

Rycerza i słońca podobne są losy,  
Bo gasną w czerwieni... Wieczorne już rosy  
Splamioną ziemię zwilżyły,  
Podobnie się zwilżą lica naszych kobiet,  
Gdy wieść ich dobiegnie, że rycerz ich poległ,  
Że Czarny Edward nie żyje.

Już po mym słońcu, już prawie po mnie,  
Ale nieprędko Francja zapomni  
O grozie mojego imienia,  
A pod ojczystym, brytyjskim niebem  
Bohater jeszcze wszędzie niejedyn  
Przez chmury krwi i płomienia.

„Chmury krwi i płomienia”! To coś nowego. Ot, baju-baju, będziesz w raju. Miejski dobosz lepiej potrafi klecić wiersze. Wreszcie cisnął arkusik z najwyższą pogardą.

— Słowo daję, Franku — zakończył — większy z ciebie osioł, niż przypuszczałem!

I cóż mogłem powiedzieć, mój drogi? Oto stałem targany oburzeniem i przykrością, a ojciec mierzył mnie spokojnym, lecz surowym wzrokiem, pełnym wzdargy i politowania; biedny Owen zaś, ręce i oczy wzniosłszy do góry, przedstawiał obraz zgrozy i przerażenia. W końcu zdobyłem się na odwagę i przemówiłem starając się tonem głosu jak najmniej zdradzać miotające mną uczucia:

— Doskonale to widzę, ojcze, że nie nadaję się do odegrania w świecie tej zaszczytnej roli, jaką mi przeznaczyłeś; na szczęście też nie pragnę bogactw, które mógłbym zdobyć. Pan Owen byłby o wiele

lepszemu pomocnikowi. — Powiedziałem to nieco złośliwie, gdyż uważałem, że Owen trochę za wcześnie porzucił moją stronę.

— Owen! — odpowiedział ojciec. — Ten chłopak zwariował... Doszczętnie zwariował. Ale proszę, jeśli wolno zapytać, dając pana Owena w swoim zastępstwie, jakież to mądre zamiary masz co do samego siebie?

— Pragnąłbym — odpowiedziałem odważnie — pragnąłbym podróżować przez dwa lub trzy lata, gdyby to ojcu dogadzało; w przeciwnym razie, choć to już trochę za późno, chętnie spędziłbym ten czas na uniwersytecie w Oksfordzie lub w Cambridge/32.

— Ależ to nie ma najmniejszego sensu! Czy słyszał kto kiedy coś podobnego? Chcesz iść do szkoły pomiędzy pedantów i jakobitów \* mogąc już robić karierę? To już może od razu pójdziesz do Westminster lub Eton \*, do niższej szkoły, do gramatyki i czterech działów, i do różgi także, skoro tak to lubisz?

— W takim razie, ojczy, jeżeli uważasz, że już za późno na moje dalsze kształcenie, tedy chętnie powróciłbym do Francji.

— Już tam zbyt długo byłeś i niewiele skorzystałeś, mój panie.

— W takim razie wolałbym służyć w armii niż pracować w jakimś innym zawodzie.

— Idź do diabła! — zerwał się mój ojciec porywczo, ale też zaraz się pohamował. — Doprawdy, przy tobie można rozum stracić. Powiedz, Owen, czy przy nim nie można oszaleć?

Biedny Owen potrząsnął głową i spuścił oczy.

— Słuchaj no — ciągnął ojciec dalej — całą tę sprawę krótko rozstrzygnę. Byłem w twoim wieku, gdy ojciec wypędził mnie z domu, a prawne moje dziedzictwo przepisał na młodszego mojego brata. Opuściłem Osbaldistone Hall na grzbiecie nędznej szkapki, z dziesięcioma gwineami w kieszeni. Nigdy odtąd noga moja nie przestąpiła tamtych progów i nigdy nie przestąpi. Nie wiem i nie dbam o to, czy mój uganiający się za lisami brat żyje, czy też kark skrzył. Ale on ma synów. Franku, i jeden z nich będzie moim synem, jeśli ty nadal w tej sprawie opierać mi się będziesz.

— Zrobisz, ojczy, co zechcesz z tym, co jest twoją własnością — odpowiedziałem, może raczej chmurnie i obojętnie niż z uszanowaniem.

— Tak jest, to, co posiadam, jest moje własne, jeżeli trud zdobywania i dbałość o powiększanie mogą stanowić o prawie własności. I żaden



truteń moim miodem karmić się nie będzie. Namysł się nad tym dobrze. Ja zastanowiłem się nad tym, co powiedziałem, a co postanowiłem, to spełnię.

— Szanowny panie! Drogi panie! — zawołał Owen, a łzy stanęły mu w oczach. — Pan nie ma zwyczaju tak pośpiesznie załatwiać interesów wielkiej wagi. Proszę, niech pan raczy pozwolić panu Francisowi rozważyć wszystkie racje, póki czas. On pana kocha, jestem tego pewny, a gdy swoje synowskie posłuszeństwo zapisze na debet/33, jestem pewien, że znikną jego wątpliwości...

— Czy myślisz — odpowiedział ojciec surowo — że ja dwa razy będę go prosić, by był moim przyjacielem, pomocnikiem i powiernikiem? By był współnikiem moich trosk, zabiegów i mojej fortuny? Myślałem, że mnie znasz lepiej.

Spojrzał na mnie, jak gdyby chciał jeszcze coś dodać, lecz natychmiast się odwrócił i spiesznie wyszedł z pokoju. Przyznaję, że zrobiło na mnie wrażenie takie ujęcie sprawy, którego nie przewidywałem — i ojciec prawdopodobnie nie miałby powodu skarżyć się na mnie, gdyby od początku użył tego argumentu.

Jednakże było już za późno. Miałem, tak jak i on, wiele uporów, gdy raz co postanowiłem. Wyroki nieba chciały, by grzech mój poniósł karę, jakkolwiek nie w tym stopniu, jak tego wymagała wina. Owen, gdyśmy zostali sami, patrzył na mnie czas dłuższy oczyma nabiegającymi łzami, jak gdyby chciał wypatrzeć najśłabszy punkt mojego uporu, zanim rozpocznie dzieło pośrednictwa. Nareszcie zaczął urywanie, żałośliwie:

— O Boże, panie Franku! Wielkie nieba, panie! Litości, panie Osbaldistone! Że też ja dnia tego dożyłem... A pan taki młody, panie! Na miłość boską! Przejrzyj pan dobrze rachunek strat i zysków... Pomyśl pan, co pan straci... piękną fortunę... wspaniały interes, jeden z najznacniejszych w stolicy, świetny już pod starą firmą Tresham i Trent i jeszcze wspanialszy pod obecną, Osbaldistone i Tresham... W złocie mógłbyś się pan tarzać, panie Franku. A jeżeli, mój drogi, mój miły panie Franku, jest jaka specjalna czynność w prowadzeniu interesu, której by pan nie lubił, to ja bym... — tu głos zniżył do szeptu — to ja bym to za pana załatwiał co pewien czas, albo tygodniowo, albo codziennie, jeśli by pan tylko zechciał... Niech pan, mój drogi panie Franku, niech pan pamięta o czci należnej ojcu, ażeby żyć na świecie długo i szczęśliwie...

— Bardzo panu jestem wdzięczny, panie Owen — odpowiedziałem — bardzo wdzięczny, ale ojciec ma prawo rozporządzać własnymi pieniędzmi. Wspomina o jednym z moich krewniaków: niechaj odda swoje bogactwo, komu zechce... Ja nigdy wolności mej nie sprzedam za złoto.

— Złoto, panie? Chciałbym, żeby pan zobaczył bilans zysków za ostatni termin — pięć cyfr do ogólnej sumy każdego wspólnika, panie Franku... I wszystko to ma się dostać pańście/33, przybędzie z północnych stron, i do tego obcemu, niemiłemu nam człowiekowi... Serce mi pęknie, panie Franku, mnie, co raczej jak pies niż jak człowiek harowałem z miłości do firmy. Pomyśl pan, jakby to brzmiało: Osbaldistone, Tresham i Osbaldistone, a może, kto wie — tu znowu głos zniżył — Osbaldistone, Osbaldistone i Tresham, gdyż nasz pan może ich wszystkich wykupić.

— Ależ, panie Owen, skoro kuzyn mój również zwie się Osbaldistone, nazwa firmy równie miło brzmieć będzie w pańskich uszach.

— A, wstydz się, panie Franku, przecież pan wie, jak bardzo pana kocham... A pana kuzyn, doprawdy! Papista bez wątpienia tak jak jego ojciec! Niemiły to dziedzic dla protestanckiej sukcesji. Niechże pan i to weźmie pod uwagę.

— Jest bardzo wiele dobrych ludzi wśród katolików, panie Owen — odpowiedziałem.

Właśnie gdy Owen z niezwykłym ożywieniem miał mi odpowiedzieć, ojciec wrócił do pokoju.

— Miałeś słuszność, Owen — rzekł — a ja byłem w błędzie. Damy sobie więcej czasu na przemyślenie tej sprawy. Chłopcze, bądź gotów dać mi odpowiedź w tej ważnej kwestii od dziś za miesiąc.

Skłoniłem się w milczeniu, dosyć rad z tej zwłoki i wróżąc z tego, że ojciec zmięknął w swym postanowieniu.

Czas próby upływał powoli, nie zaznaczony żadnym wydarzeniem. Przychodziłem, odchodziłem, rozporządzałem czasem, jak mi się podobało, a ojciec ani pytał, ani krytykował. Widywałem go rzadko, tylko przy posiłkach, a i wtedy starannie unikał rozmowy, której, jak się domyślasz, ja też nie pragnąłem wszczynać. Toczyła się więc rozmowa o nowinach dnia albo o takich ogólnych przedmiotach, o jakich zwykli rozprawiać obcy sobie ludzie. Przysłuchując się nam nikt by też nie odgadł, że istnieje między nami nie rozstrzygnięty spór

tak wielkiej wagi. Mnie jednakże myśl o tym jak zmora senna nieraz prześladowała. Czy to możebne, żeby on dotrzymał słowa i wydziedziczył jedyne go syna na korzyść bratanka, którego istnienia może nawet nie był pewny? Postępek mego dziadka w podobnych okolicznościach powinien być być złą wróżbą dla mnie, gdybym się był nad tym lepiej zastanowił. Wytworzyłem sobie jednak błędne pojęcie o charakterze ojca wspominając, czym byłem dla niego przed wyjazdem do Francji. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że są ludzie, którzy pieczą dzieci i pobbają im, bo bawi ich to i interesuje, ale potrafią być surowi, gdy te same dzieci w późniejszych latach zawiodą ich oczekiwania. Przeciwnie, wmawiałem w siebie, że co najwyżej mogę się obawiać przejściowego ochłodzenia uczuć ojca — może zesłania mnie na wieś na kilka tygodni, co raczej byłoby mi na rękę, dając mi możność zajęcia się ukończeniem przekładu Orlando Furioso/35, poematu, który pragnąłem przełożyć na angielski. Tak bardzo utrwaliłem się w tym przekonaniu, że powróciłem do moich pokreślonych papierów i właśnie dumalem nad często powracającym rymem w strofach Spensera \*, gdy usłyszałem ciche a ostrożne pukanie do drzwi mojego pokoju.

— Proszę wejść — rzekłem.

Wszedł Owen.

Tak uporządkowane, niezmiennie były zwyczaje tego czcigodnego człowieka, że zapewne po raz pierwszy znalazł się on na drugim piętrze mieszkania swego pracodawcy, chociaż tak zadowolony był na pierwszym. Dotąd też nie wiem, jakim cudem trafił do mego pokoju.

— Panie Franku — rzekł przerywając moje okrzyki zdziwienia i radości na jego widok. — Nie wiem, czy dobrze robię mówiąc to, co chcę powiedzieć. Nie należy mówić poza drzwiami o tym, co się dzieje w kantorze. Powiadają, że stróżowi w magazynie nie wolno opowiadać, ile jest linii w księdze głównej... Ale młody Twineall był nieobecny przeszło dwa tygodnie, a dwa dni temu powrócił.

— Bardzo ładnie, ale czemu mi pan o tym mówi?

— Chwileczkę!... Ojciec pański dał mu prywatne zlecenie, ja zaś jestem pewien, że nie pojechał do Falmouth w sprawie sardynek. Również ten interes w Exeter z firmą Blackwell et Comp. jest już załatwiony, a właściciele kopalń w Kornwalii, Trevanion i Treguilliam, co mieli zapłacić, to już zapłacili. Każdy inny interes

musiałby przejść przez moje księgi: słowem — jestem przekonany, że Twineall jeździł tam, na północ.

— Rzeczywiście pan tak przypuszcza? — rzekłem zaniepokojony.

— O niczym specjalnie nie mówił, ale jego nowe buty, jego ostrogi z Ripponu, walka kogutów w Yorku, o której wspomniał, to wszystko się zgadza jak dwa a dwa cztery. Niech Bóg będzie z tobą, moje drogie dziecko, uczynź zadość ojcu, bądź mężczyzną i kupcem zarazem...

Poczułem w tej chwili silną ochotę ulec i uszczęśliwić Owena prosząc go, by powiedział ojcu, że oddaję mu się do dyspozycji. Ale duma... duma — to źródło niejednego zła i niejednego dobrego w naszym życiu, duma mię powstrzymała. Słowa zgody utknęły mi w gardle, a gdym zakaszał, by je wykrztusić, głos ojca wezwał Owena. Opuścił pośpiesznie pokój i sposobność minęła.

Ojciec był metodyczny we wszystkim. O tej samej godzinie dnia, w tym samym pokoju, tym samym głosem i z tym samym gestem, dokładnie jak miesiąc temu, powtórzył mi propozycję wzięcia mnie na współnika i wyznaczenia mi działu pracy w kantorze i zażądał ode mnie ostatecznej decyzji. Wydało mi się wtedy, że było w tym coś niezyczliwego i dziś jeszcze mniemam, że ojciec postąpił niewłaściwie. Wyrozumialsze traktowanie byłoby najprawdopodobniej osiągnęło swój cel. Tak jednak zaciałem się i z największym możliwie uszanowaniem odrzuciłem zrobioną mi propozycję. Możliwe — bo któż jest sędzią swoich uczuć — możliwe, że wydało mi się rzeczą niemęską ulegać na pierwsze wezwanie i że oczekiwałem dalszych namów, byle choć pozór mieć do zmiany postanowienia. Jeśli na to liczyłem — zawiodłem się. Ojciec chłodno zwrócił się do Owena i powiedział tylko:

— Widzisz, jest tak, jak ci mówiłem. Więc dobrze, Franku — rzekł do mnie — jesteś prawie pełnoletni i sam najlepiej osądzisz, w czym znaleźć szczęście, dlatego ja już nic więcej nie powiem. Ale ponieważ nie mam obowiązku zgadzać się na twoje plany, tak jak ty nie musisz poddawać się moim, chciałbym wiedzieć, czy liczysz na moją pomoc. Mocno zmieszany odpowiedziałem, że nie otrzymawszy zawodowego wykształcenia i nie mając własnych funduszków nie mógłbym oczywiście wyżyć bez jakiejś pensji od ojca — że jednak moje wymagania są bardzo skromne, mam nadzieję, że moja niechęć do

zawodu, do którego mnie przeznaczał, nie spowoduje zupełnego cofnięcia ojcowskiej pomocy i opieki.

— To znaczy, że idąc własną drogą, chcesz opierać się na moim ramieniu. Tak być nie może, Franku. Jednakże przypuszczam, że gotów jesteś słuchać mych wskazówek, o ile one nie będą sprzeczne z twymi zachciankami.

Chciałem odpowiedzieć.

— Cicho! — nie dopuścił mnie do głosu. — Przyjmując, że tak jest, ruszysz zaraz w drogę do północnej Anglii, by odwiedzić stryja i poznać jego stosunki rodzinne. Wybrałem spośród jego synów (ma ich sześciu, zdaje się) jednego, który, jak sędzę, jest najgodniejszy zająć w kantorze to miejsce, które dla ciebie przeznaczałem. Być może jednak, że jeszcze dalsze zarządzenia będą potrzebne i z tego względu twoja tam obecność może być konieczna. Dalsze instrukcje otrzymasz w Osbaldistone Hall, gdzie pozostań, proszę, dopóki nie napiszę. Już jutro rano wszystko będzie przygotowane do twego wyjazdu.

Z tymi słowy ojciec mój wyszedł z pokoju.

— Co to wszystko znaczy, panie Owen? — zapytałem współczującego mi przyjaciela, którego twarz wyrażała wielkie przygnębienie.

— Doprowadziłeś się do ruiny panie Franku, i tyle... Gdy ojciec pański mówi tak spokojnie i stanowczo, już nie ma co czekać na zmiany, jak w skontrolowanym rachunku!

I rzeczywiście miał rację. Nazajutrz o piątej rano znalazłem się na gościńcu prowadzącym w stronę Yorku, mając pod wierzchem wcale dobrego konia i pięćdziesiąt gwinei w kieszeni. Jechałem, zdawało się, ażeby dopomóc w adoptowaniu następcy po samym sobie w domu i w łaskach mojego ojca, a także zapewne i w jego majątku.

### ROZDZIAŁ III

Trzepoczą się bezwładnie żagle,  
Łódź to zrywa się, to w głąb zapada,  
Przez dno łodzi już się woda wdziera,  
Pękło wiosło.— sterem nikt nie włada.

GAY/38: Bajki

Rymy lub biały wiersz stawiam na czele każdego rozdziału te opowieści, by uwagę twą przykuć skuteczniej, niżbym to zdołał uczynić własnymi tylko środkami. Wiersz powyższy mówi o nieszczęsnym żeglarzu, który zuchwale odwiązał łódź nie umiejąc nią kierować i spuścił ją na wezbrane fale rzeki. Żaden ucniak, który dla żartu lub z głupiej fantazji ważyłby się na podobny czyn, nie czułby się, będąc porwanym silnym prądem, tak bardzo i tak nagle bezradny jak ja oto, pędzony bez kompasu po oceanie życia. Niespodziewana łatwość, z jaką ojciec mój rozwiązał węzeł uważany za najsilniejsze spoidło społecznych stosunków, i łatwość, z jaką pozwolił mi iść w świat, jakby wyrzulkowi rodziny, dziwnie osłabiła wspierające mnie dotąd zaufanie do własnych sił i możliwości. Ten księżę z bajki, co to dziś był księciem, a jutro synem rybaka, nie przeżył dotkliwiej swego upadku. W egotyzmie naszym tak skłonni jesteśmy uważać za część naszej osobowości wszelkie te ozdoby i przydatki, jakimi nas otacza dobrobyt i powodzenie, że odkrycie, iż tak mało znaczymy, gdy jesteśmy pozostawieni samym sobie, staje się niewypowiedzianie bolesne. Gdy gwar Londynu zamierał w moich uszach, daleki dźwięk dzwonów miejskich/38 pobrzmiwał mi przestroga: „Wracaj!"; a gdy z Highgate \* spojrział na zamglone wspaniałości stolicy, wydało mi się, że pozostawiam za sobą wszelką wygodę, dobrobyt, urok życia towarzyskiego i wszystkie przyjemności kulturalnego świata.

Jednakże kości zostały rzucone. W każdym razie nie było prawdopodobne, by spóźniona i niechętna zgoda na życzenie ojca przywróciła mi stanowisko, które utraciłem. Przeciwnie, sam stały i konsekwentny w postanowieniach, z niesmakiem raczej niż z zadowoleniem byłby widział, że niewcześnie i pod przymusem ulegam i godzę się na zawód kupiecki. Wrodzony mi upór przyszedł mi także z pomocą, a duma podszeptała, jak marnie bym wyglądał, gdyby przejażdżka czterech mil za bramy Londynu zdążyła wywiać mi z głowy postanowienie dojrzałe w ciągu całomiesięcznego

poważnego namysłu. Także nadzieja, która nigdy nie opuszcza młodych i dzielnych, dodała blasku moim przyszłym widokom. Przecież to niepodobna, żeby mój ojciec, choć wyrok ten wydał bez wahania, chciał mnie na serio wykluczyć z rodziny; to zapewne tylko próba, która, jeżeli ją zniosę cierpliwie i wytrwale, podniesie mnie w jego oczach i doprowadzi do przyjaznego porozumienia w spornej sprawie. Ustaliłem nawet w duszy, jak dalece mu ustąpię, a przy których warunkach naszej przypuszczalnej umowy obstawać będę stanowczo. Rezultatem tego było, że wedle moich obliczeń miałem wrócić do pełnych praw synowskich, płacąc tylko niewielką daninę zewnętrznych ustępstw jako pokutę za miniony bunt.

Tymczasem zaś byłem panem własnej osoby i kosztowałem tego uczucia niezależności, które w każdej piersi młodzieńczej wywołuje radość pomieszana z lękiem. Sakiewka moja, choć niezbyt sownie wypełniona, mogła jednak zaspokoić potrzeby i życzenia podróżnika. Przyzwyczałem się w czasie pobytu w Bordeaux usługiwać sam sobie; mój koń był wypoczęty, młody i żwawy, tak że pogoda umysłu szybko wzięła górę nad smętnymi rozmyślaniami, z jakimi podróż rozpocząłem.

Byłem rad podróżować drogą więcej podniecającą ciekawość podróżnego albo też bardziej zajmującą okolicą. Jednakże droga wiodąca na północ kraju była wtedy, a zapewne pozostała i dzisiaj, dziwnie ogołocona z tego rodzaju zalet; sądzę też, że nigdzie indziej w Anglii nie można tak daleko jechać nie napotykać nic godnego uwagi. Toteż moje rozmyślenia, mimo wmówionej pewności siebie, nie zawsze były wesołe. I muza nawet — ta kokietka, która mnie w tę pustynię zawiodła — opuściła mnie w potrzebie. Byłem skazany na wcale nie rozkoszną nudę, gdyby nie nadarzająca się raz po raz gawęda z przypadkowymi towarzyszami drogi. Jednakowoż i ludzie, których spotykałem, byli wszyscy podobni do siebie i mało zajmujący. Duchowni wiejscy wracający do domu z objazdu parafii; farmerzy lub handlarze bydlę powracający z dalekiego jarmarku; urzędnicy firm handlowych jadący do miast prowincjonalnych po odbiór należności swych pryncypałów; a tu i ówdzie trafił się oficer jadący w głąb kraju na pobór rekruta. Tacy to ludzie w owym czasie uprawiali w ruch strażników na rogatkach i służbę w zajazdach. Toteż przedmiotem naszych rozmów były dziesięciny i sprawy wyznaniowe, zboże i bydło, wszelakie artykuły żywnościowe, wypłacalność lub

niewypłacalność mniejszych czy większych kupców, a czasem dla odmiany historia jakiegoś oblężenia lub bitwy we Flandrii/40, opowiadana, być może, już z drugiej ręki. Rozbójnicy — temat wdzięczny i budzący przestach wypełniał każdą przerwę; imiona Złotego Farmera, Latającego Zbója, Kuby Needhama i innych bohaterów Opery żebraczej/40\* nie schodziły nam z ust. Przy tych opowiadaniach — podobnie jak dzieci, co się wokół kominka skupiają, gdy bajka o duchach dobiega do szczytu grozy — jeźdźcy przysuwali się do siebie, rozglądali się, badali kurki pistoletów i ślubowali, że się wzajem nie opuszczą w razie niebezpieczeństwa. Zobowiązania te, podobnie jak inne sojusze obronne czy zaczepne, często wietrzały z pamięci, gdy się zjawiał pozór prawdziwego niebezpieczeństwa.

Spomiędzy wszystkich trwogą tego rodzaju trapiionych jeden biedak, z którym przez półtora dnia podróżowałem, ubawił mnie najwięcej. Miał na swojej kulbace małą, ale jak się zdawało, bardzo ciężką torbę, o którą niezmiernie dbał, nigdy nie spuszczał jej z oka i stale hamując uprzejmą gorliwość gospodarzy zajazdów i stajennych, gdy ofiarowywali się wnieść ją do domu. Z tą samą ostrożnością starał się ukryć nie tylko cel swej podróży i miejsce, do którego zmierzał, ale nawet kierunek każdodzienniej drogi. Nic go nie wprowadzało w większą konsternację niż pytanie, czy się wybiera w górę gościńca, czy w dół i w której obojętnej zamierza popasać. Miejsce noclegu badał zawsze z największą starannością, unikając zarówno samotności, jak i złego, w swym mniemaniu, sąsiedztwa. I tak, zdaje się, w Grantham nie kładąc się przesiedział całą noc, byle nie zasnąć w sąsiedztwie pokoju, w którym nocował przysadzisty, zezowaty jegomość w czarnej peruce i spłowiałej, złotem wyszywanej kamizelce. Przy wszystkich swych obawach mój towarzysz podróży, sądząc po jego budowie i muskułach, mógł być kpić z niebezpieczeństwa bardziej niż ktokolwiek inny. Był silny, dobrze zbudowany, a wnosząc z haftowanego złotem kapelusza i kokardy musiał służyć w armii, a w każdym razie mieć coś do czynienia z wojskiem. W rozmowie, chociaż zawsze wulgarny, robił wrażenie człowieka rozumnego, gdy tylko straszaki pokutujące w jego wyobraźni przestawały na chwilę zajmować jego uwagę. Lecz byle pozór budził je na nowo. Zarówno otwarte wrzosowisko, jak i gęsta kępa drzew napędzały mu stracha. Gwizd pastucha brzmiał w jego uchu jak sygnał rozbójnika. Nawet



widok szubienicy, uspokajając go po trosze tym, że surowa sprawiedliwość zgładziła jednego zbrojaka, zawsze mu przypominał, że jeszcze wielu innych czyha na niego.

Znudziłoby mnie towarzystwo tego człowieka, gdyby nie to, że własne moje myśli jeszcze bardziej mnie nużyły. Niektóre jednak z jego cudownych historii były dość zajmujące, przy tym pewna dziwaczna jego właściwość pozwalała mi czasami ubawić się jego kosztem. W opowieściach jego zdarzali się nieszczęśliwi podróżni, którzy w ten sposób dostali się w ręce złodziei, że w drodze przyłączali się do towarzystwa dobrze ubranego i zajmującego osobnika, licząc na to, że przy nim znajdą nic tylko rozrywkę, ale i obronę. Taki pan umiał im podróż opowiadać i piosenkami, bronił ich przed wygórowanymi cenami i fałszowanymi rachunkami, aż w końcu, pod pozorem, że wskaże bliższą ścieżkę przez jakąś opustoszałą okolicę, zwabiał niedomyślne ofiary z publicznego gościńca gdzieś w jakiś ponury wąwóz, a gdy tylko się znaleźli na uboczu, nagle świstem zwoływał czyhających w kryjówkach kamratów i teraz dopiero zdradzał, kim był właściwie — hersztem bandy zbrojaków, którzy jego niebaczny towarzyszy drogi zabierali sakiewki, a niekiedy i życie. Zauważyłem, że ku końcowi takiego opowiadania, wprawiwszy się w stan gorączkowego strachu zwykł był przyglądać mi się badawczo i podejrzliwie, jak gdyby dręczyła go obawa, że jest w towarzystwie podobnie niebezpiecznej osobistości. Za każdym razem, gdy takie przypuszczenia nawiedzały tego pomyslowego samodręczyciela, odsuwał się ode mnie na drugą stronę gościńca, oglądał się dokoła, badał broń i zdawał się gotować do ucieczki lub obrony, zależnie od okoliczności.

Te podejrzania zdawały mi się przelotne i zbyt śmieszne, by mogły obrażać. W moim stroju i wyglądzie nie było przecież nic, co by mogło usprawiedliwiać jego niepokoje. Co prawda w owych czasach człowiek mógł mieć wszelkie zewnętrzne pozory dżentelmena, a okazać się bandytą. Ponieważ we wszystkich dziedzinach podział pracy nie był ścisły jak później, więc też zawód grzecznego i eleganckiego awanturnika, który wyłudzał od podróżujących pieniądze przy hulatyce lub grze w kręgle, jednoczył się często z profesją skończonego zbrojaka, zdolnego na odludnej drodze napaść i ograbić tegoż towarzysza zabaw. Była też w obyczajach owych czasów pewna nieokrzesaność i dzikość, która jednak obecnie

znacznie złagodniała. Wydaje mi się, o ile pamiętam, że wtedy ludzie znajdujący się w opałach mniej wybiedzali przy wyborze środków odzyskania fortuny. Co prawda minęły już wówczas czasy, gdy Anthony-a-Wood/41 opłakiwał egzekucję dwóch ludzi przystojnej postaci, niezaprzeczonej odwagi i honoru, których bez miłosierdzia powieszono w Oksfordzie li tylko dlatego, że bieda skłoniła ich do nakładania haraczu na podróżujących gościńcem. Jeszcze bardziej były odległe czasy Szalonego Księcia/42 i jego zausznika Poinsa \*. A jednak zarówno liczne i rozległe wrzosowiska w sąsiedztwie stolicy, jak i mniej gęsto zaludnione dalsze okolice były nawiedzane przez ten dżentelmeński rodzaj konnych rabusiów, jakich może przyszłe czasy znać nie będą. Podobnie jak Gibbet/42 w Beaux' Stratagem mogli się oni pochwalić, że są najlepiej wychowanymi ludźmi na gościńcach i że pełnią swój zawód z wykwinną uprzejmością. Wobec tego młodzieniec w moim położeniu nie potrzebował się czuć wielce obrażony, gdy przez pomyłkę brano go za jednego z owych rabusiów. Ja też obrażony nie byłem. Przeciwnie, bawiło mnie to budzenie, to na przemian usypianie podejrzeń mojego tchórzliwego towarzysza i rozmyślnie wywoływałem coraz większe zamieszanie w mózgownicy, która i tak z natury była zamglona. Gdym swobodną rozmową uspokoił tego towarzysza podróży dając mu poczucie zupełnego bezpieczeństwa, wystarczyło przelotnego zapytania, dokąd i po co jedzie, by na nowo rozbudzić jego podejrzania. Tak na przykład rozmowa, w której szło o porównanie siły i wytrzymałości naszych koni, taki wzięła obrót.

— O panie — mówił mój towarzysz — co do galopu, to nie wiem, ale pozwoli pan, koń pański (choć to bardzo ładny wałach, trzeba przyznać) za cienką ma kość, by mógł dobrze chodzić w dalekie drogi. Kłus, panie — tu ostrogami zgnął swego Bucefała/42 — kłus to najwłaściwszy krok dla wierzchowca i gdybyśmy byli w pobliżu miasta, chętnie bym zaproponował wyścig po równej drodze z tym pańskim delikacikiem, ale wyścig kłusem, z wykluczeniem galopu. Stawiłbym o zakład kwartę czerwonego w najbliższej oberży.

— Trzymam, panie — odpowiedziałem. — A oto kawał drogi bardzo odpowiedni.

— Hm... hm... — zawahał się mój towarzysz. — Mam zasadę, aby w podróży między postojami nie przemęczać konia. Nigdy nie wiadomo, czy nie zdarzy się okazja, że potrzeba będzie całego jego wysiłku. A

zresztą, panie, mówiąc o wyścigu miałem na myśli równą wagę. Pański wierzchowiec dźwiga ze trzydzieści funtów mniej od mojego.

— Bardzo dobrze, zgadzam się wyrównać wagę. Proszę, ile może ważyć ta pańska torba?

— Moja t... t... torba?— odpowiedział niepewnie. — O, bardzo mało... lekka jak piórko... parę koszul i pończoch, to wszystko.

— Z wyglądu sądząc myślałbym, że jest ciężka. Stawiam tę kwartę czerwonego, że wyrównałaby różnicę obciążenia naszych koni.

— Myli się pan, zapewniam pana, że się pan myli — odpowiedział mój towarzysz usuwając się na bok gościńca, jak to miał w zwyczaju w tak niepokojących okolicznościach.

— No, proszę, jestem gotów zaryzykować to wino albo też stawiam dziesięć sztuk złota przeciw pięciu, że wezmę pańską torbę na moją kulbakę i jeszcze w dodatku prześcignę pana w klusie.

Ta propozycja ostatecznie przeraziła mego towarzysza. Nos jego ze zwykłej miedzianej barwy, świadczącej o miłych wczasach przy winku, przeszedł w ton bladobrazowy, a zęby zadzwoniły strachem wobec cynicznej zuchwałości mej propozycji. Wydało mu się, że oto bez obsłonek rabuś stanął przed nim w całej swej grozie. Gdy zalekniony szukał odpowiedzi, ulżyłem mu do pewnego stopnia, pytając go o jakąś wieżę, która się teraz ukazała, i robiąc uwagę, że znajdujemy się już tak blisko wsi, iż żaden napad nam nie grozi. Rozjaśniła mu się twarz, gdy to usłyszał, zauważyłem jednak, że nierychło zapomniał o tej podejrzaney propozycji...

Nudzę cię szczegółami o usposobieniu tego człowieka i opowiadaniem o tym, jak sobie z niego podżartowywałem, ponieważ te szczegóły, acz pospolite i drobne same przez się, wywarły znaczny wpływ na przyszłe wypadki, o jakich posłyszysz w tej opowieści. W danej chwili zachowanie się tego osobnika budziło we mnie tylko pogardę i utwierdzało w dawnym przekonaniu, że ze wszystkich skłonności, prowadzących do dręczenia siebie samego, nieuzasadniony strach jest najbardziej drażniący, nieznośny, przykry i godny litości.

## ROZDZIAŁ IV

„Biedni są Szkoci!” — dumny Anglik woła.

Zarzut prawdziwy, któż zaprzeczyć zdoła.

Czyż więc nie działa rozumnie i słusznie,

Kto mądrze los ich poprawiać przychodzi?

CHURCHILL /45

W czasach, o których piszę, istniał na angielskich drogach starodawny zwyczaj, o którym — jak przypuszczam — dziś już zapomniano i może tylko pospółstwo jeszcze się czasem do niego stosuje. Ponieważ dalekie drogi odbywano konno i dzielono je na wiele etapów, było w zwyczaju zatrzymywać się na niedzielę w jakimś mieście, gdzie podróżny mógł być na nabożeństwie, a koń jego wypocząć przez dobę. Dopelnieniem tej mądrej i chwalebnej tradycji, a także zabytkiem starej angielskiej gościnności był zwyczaj, że w niedzielę gospodarz porządnej oberży zapraszał gości, jacy się trafili, do swego rodzinnego stołu na pieczeń wołową i pudding. To gościnne zaproszenie przyjmowali zwykle wszyscy, których życiowe stanowisko stawiało ponad przypuszczenie, iż przyjmując je ubliżają sobie, a podziękowaniem mile widzianym było postawienie butelki wina po obiedzie i wypicie zdrowia gospodarza.

Co do mnie, urodziłem się obywatelem całego świata, rad też korzystałem z wszelkich okazji, które mogły rozszerzyć moją znajomość ludzi, a że przy tym nie dążyłem do wywyższenia się, więc prawie zawsze przyjmowałem niedzielne zaproszenia gospodarza, czy to spod szyldu Podwiązki, czy Lwa lub Niedźwiedzia. Zajmujący widok przedstawiał nawet sam zacny oberżysta, podniesiony we własnym mniemaniu do wyższej godności już przez to jedno, że zasiadał do stołu w charakterze pana domu z ludźmi, którym na co dzień musiał usługiwać. Stanowił on centralny punkt, wokół którego krążyły inne, pomniejsze planety. Dowcipnisie, mędrcy lokalni, wybitne, godne osobistości miasta czy wsi, aptekarz, adwokat, nawet sam proboszcz, nie gardzili braniem udziału w tej niedzielnej uroczystości. Goście, z różnych stron kraju, sprawujący różne zawody, tak się różnili między sobą w mowie, obejściu i uczuciach, że stanowili ciekawe towarzystwo dla każdego, kto pragnął poznać ludzi w różnaitości ich odmian.

Tego to dnia i przy takiej sposobności mój lękliwy towarzysz i ja mieliśmy uświetnić naszą obecnością stół rumianego gospodarza spod Czarnego Niedźwiedzia w mieście Darlington, biskupstwie Durham, gdy oto nasz gospodarz objaśnił nas tonem takim, jakby się uniewinniał, że pewien szkocki dżentelmen ma z nami jeść obiad.

— Jakiś dżentelmen... Co za dżentelmen? — wtrącił mój towarzysz porywczo, myśląc już zapewne o dżentelmeńskich rozbójnikach.

— No, taki szkocki dżentelmen — powtórzył gospodarz. — Oni wszyscy są szlachtą, chociaż nie każdy ma koszulę na grzbiecie. Ale ten jest bardzo przyzwoity, a mądry, jak mało kto. Zdaje mi się, że jest handlarzem bydła.

— A więc bardzo prosimy, niech się do nas przyłączy — odpowiedział mój towarzysz, po czym zwróciwszy się do mnie, dał upust swym rozważaniom. — Szanuję Szkotów, panie, kocham i szanuję ten naród za jego zmysł moralny. Ludzie mówią o ich brudzie i o ich biedzie, ale ja uwielbiam szczerozłotą uczciwość, chociaż ubraną w łachmany, jak mówi poeta. Ludzie, na których mogę polegać, mówili mi, że nie ma w Szkocji rozbojów na publicznych drogach.

— Pewnie dlatego, że nie mają nic do stracenia — rzekł mój gospodarz śmiejąc się z własnego dowcipu.

— Nie, nie, panie gospodarzu — odpowiedział silny, głęboki głos za jego plecami — to dlatego, że wasi angielscy rewizorzy i kontrolerzy/l, których nasłaliście nam na północ od rzeki Tweed, odebrali miejscowym ich złodziejskie rzemiosło!

l/ Sprowadzenie do Szkocji rewizorów, kontrolerów i mierniczych wywołało wzburzenie, chociaż było naturalną konsekwencją Unii (przyp. aut.).

— Dobrze pan mówi, panie Campbell! — odpowiedział gospodarz. — Nie wiedziałem, że pan to słyszy. Ale pan wie, że u mnie co w myśli, to na języku. A jak tam idzie handel na południu?

— Jak zawsze — odpowiedział Campbell. — Mądrzy ludzie kupują i sprzedają, a głupcy dają się kupić i sprzedać.

— Ale tak mądrzy, jak i głupi jadają obiad — zawyrokował żartobliwie gospodarz. — A oto idzie na stół taki przedni kęs wołowiny, że warto głodnemu wziąć go na widelec.

To mówiąc, spiesznie naostrzył nóż, zajął naczelne miejsce za stołem i jał nakładać na talerze gości smakowite kąski.

Pierwszy to raz w życiu słyszałem szkocki akcent, a właściwie pierwszy raz zetknąłem się z członkiem tego starego narodu. Od dawna jednak Szkoci interesowali mnie i przemawiali do mej wyobraźni. Ojciec, jak ci wiadomo, pochodził ze starego rodu w Northumberland/47, którego siedziba leżała w niewielkiej odległości od miasteczka, gdzie obiadałem. Pokłócił się jednak ze swoją rodziną tak, że prawie nigdy nie wspominał swego rodu, a za najmarniejszy rodzaj próżności poczytywał słabość zwaną zazwyczaj dumą rodową. Ambicję pokładał jedynie w tym, by być znanym jako William Osbaldistone, pierwszy, a przynajmniej jeden z pierwszych kupców na giełdzie. Mniej by pochlebiło jego próżności, gdyby mu kto dowiódł, że w prostej linii pochodzi od Wilhelma Zdobywcy \*, niż ten szmer i ruch wśród „byków” \* i „niedźwiedzi” \*, jakie budziło jego ukazanie się w korytarzach gmachu giełdy. Pragnął niewątpliwie, ażeby nie znając ani krewnych moich, ani pochodzenia, czuł podobnie jak on. Zamiarom jego jednak, jak się to najmądrzejszym przytrafia, przeciwdziałała w pewnym stopniu istota, o której w dumie swojej nigdy by nie był przypuścił, że z wpływem jej w ogóle liczyć się można. Niania jego, stara wieśniaczka z Northumberland, przywiązana do niego od lat dziecińczych, była jedyną osobą z jego rodzinnych stron, o której pamiętał i którą lubił. Toteż gdy mu się uśmiechnęła fortuna, nie zwlekając dał Mabel Rickets pomieszczenie w swym domu. Po śmierci matki opieka nade mną w chorobie i ta troskliwość, jakiej dziecko potrzebuje od kochającej je kobiety, stały się udziałem starej Mabel. Ponieważ ojciec zabronił jej opowiadać sobie o wrzosowiskach, lasach i dolinach ukochanych jej stron rodzinnych, tym bardziej rozkoszowała się w rozmowie ze mną opisem miejsc, gdzie upłynęła jej młodość, i długimi opowiadaniem o wypadkach, które wedle podań tam się wydarzyły. Opowieści jej słuchałem o wiele chętniej niż poważniejszych, a mniej ożywionych nauk nauczycieli. Jeszcze teraz zdaje mi się, że widzę Mabel z głową lekko trzęsącą się ze starości, ubraną w śnieżnobiały, przylegający czepeczek, z twarzą pomarszczoną, lecz zachowującą zdrową cerę, nabytą w pracy wieśniaczej. Zdaje mi się, że widzę, jak się rozgląda po murach z czerwonej cegły i po wąskiej ulicy, widocznej z naszych okien, i jak kończy z westchnieniem swoją ulubioną starą piosenkę, którą wtedy przedkładałem nad wszystkie inne i — czemuż nie mam

się przyznać? — do dzisiaj wolę od wszelkich arii operowych, poczętych w kapryśnych mózgach włoskich kompozytorów.

Ach, te dęby, te jesiony, ten najmiłszy bluszcz zielony —

Rosną one, niby w raju, w tym północnym naszym kraju.

W legendach Mabel wciąż wspominała Szkotów z całą goryczą, do jakiej była zdolna. Mieszkańcy „spoza granicy” odgrywali w jej opowiadaniach tę rolę, jaką smoki i olbrzymy o siedmiomilowych butach odgrywają w bajkach dzieciennych. I jakże mogło być inaczej? Wszakże to Czarny Douglas własnoręcznie zabił dziedzica rodu Osbaldistone. w dniu, gdy ten obejmował swe posiadłości. Zabójstwa dokonał wśród wasali podczas uczty wyprawionej z okazji objęcia dziedzictwa. Dalej — czy to nie Szkot zwany Diabłem spędził i zabrał z pastwiska w Lanthornside młode świnię w tak niedawnych czasach mojego pradziada? I czy to u nas brakło trofeów, tylko — według interpretacji Mabel — o wiele chwalebniej zdobytych, świadczących o zemście za poniesione krzywdy? Czyż to nie sir Henry Osbaldistone, piąty baron tego imienia, porwał piękną pannę Fairnington, jak niegdyś Achilles swoją Chryzeidę i Bryzeidę/48, i więził ją w zamku broniąc się przeciw wszystkim wojskom jej przyjaciół, popartym pomocą najznakomitszych szkockich wodzów? A czy to nasze miecze nie błyszczały w pierwszym rzędzie na polach tych bitew, gdzie Anglia zwyciężyła swoją rywalkę? Wojny z północnym sąsiadem dały naszemu rodowi całą sławę i ściągnęły nań wszelkie nieszczęścia.

Wychowany na takich opowiadaniach, będąc jeszcze dzieckiem patrzyłem na Szkotów jako na urodzonych wrogów mieszkańców południowych ziem naszego państwa. Tego poglądu nie sprostował sposób wyrażania się ojca, gdy mówił o Szkotach. Ojciec wdał się w jakąś wielką spekulację dębiną z górskich lasów i twierdził, że ich szkoccy właściciele o wiele skorsi byli dobijając targu i wyciągając poręczawicze od ceny kupna niż pilnować punktualności umówionych terminów. Szkoccy kupcy, których z konieczności używać musiał jako pośredników, ściągnęli też na siebie podejrzenie ojca, że zdobyli dla siebie większy udział w zysku, niż im się słusznie należał.

Jednym słowem, jeżeli Mabel uskarżała się na wojowniczość Szkotów w danych czasach, to ojciec niemniej silnie przyganiał chytryści ich i chciwości. Tym sposobem oboje mimo woli napełnili moją młodocianą duszę szczerym obrzydzeniem dla tych północnych

mieszkańców Wielkiej Brytanii. Uważałem ich za naród krwiożerczy w wojnie, zdradziecki w rozejmie, interesowny, samolubny, skąpy i chytry w zwykłych sprawach pokojowego życia, za naród o niewielu zaletach, chyba że za zalety poczytać im mamy podobną do odwagi bitewną dzikość i rodzaj podstępnej chytrości, mającej zastąpić mądrość w zwykłych stosunkach z ludźmi. Na usprawiedliwienie tych, którzy hołdowali takim uprzedzeniom, muszę dodać, że Szkoci owej epoki tę samą nieprawidłowość popełniali względem Anglików, których ogólnie określali jako dumnych z pełnej sakiewki i aroganckich epikurejczyków/49. Takie ziarna narodowej niechęci istniały między dwoma krajami jako naturalny wynik istnienia dwóch odrębnych, rywalizujących państw. Widzieliśmy niedawno, jak pod tchnieniem demagoga iskry te dały się na chwilę rozdmuchać w płomień, lecz ten, szczerze ufam, zagaśił już teraz we własnych popiołach

Z niechęcią przeto przyglądałem się pierwszemu Szkotowi, jakiego spotkałem w towarzystwie. Niejedno w nim zgadzało się z moim z góry ustalonym wyobrażeniem. Miał te twarde rysy i atletyczną budowę, którą przypisują jego rodakom, wraz z ich narodową intonacją i tym powolnym, pedantycznym sposobem wyrażania się, wypływającym z pragnienia uniknięcia właściwości swojej gwary. Zauważyłem też charakterystyczną dla jego pochodzenia ostrożność i spryt w spostrzeżeniach, jakie czynił, i odpowiedziach, jakie dawał. Nie byłem jednak przygotowany na ten ton swobodnej naturalności i wyższości, jakim zdawał się górować nad towarzystwem, w którym przypadkiem się znalazł. Ubrany był z największą prostotą, a jednak przyzwoicie; a że było to w czasach, gdy się kosztownie ubierano, gdy nawet najmniejsi, pragnący uchodzić za dżentelmenów, wydawali wiele na stroje — więc wskazywałoby to na bardzo skromne dochody, jeśli nie wprost na biedę. Z rozmowy jego wynikało, że zajmował się handlem bydła, a więc niezbyt zaszczytnym zawodem. A jednak mimo to zdawał się traktować resztę towarzystwa z tą chłodną, nieco z góry idącą grzecznością, która płynie z prawdziwej lub urojonej wyższości nad tymi, do których się odnosi. Jeżeli o czymkolwiek wyrażał swoje zdanie, czynił to naturalnym tonem pewności siebie, jak ten, co przewyższa otoczenie swoje stanowiskiem albo wiedzą, a przy tym wie, że to, co mówi, nie ulega wątpliwości i nie może napotkać sprzeciwu. Gospodarz mój i jego niedzielni goście,



spróbowałeś parę razy zwrócić na siebie uwagę hałasem i śmiałymi twierdzeniami, przycichli wobec autorytetu Campbella, w którego rękę zupełnie naturalnie spoczął ster rozmowy. Pokusa mnie wzięła po trosze z samej ciekawości, by zmierzyć się z nim, uważałem się bowiem za znawcę świata i życia, jako że i przebywałem za granicą, i pewne zasoby wiadomości dało mi dość staranne wychowanie. W tym ostatnim względzie wcale się ze mną nie próbował mierzyć i łatwo było poznać, że jego wrodzonych zdolności nigdy nie rozwijało żadne kształcenie. Przekonałem się jednak, że o wiele lepiej ode mnie znał ówczesny stan Francji, charakter księcia Orleańskiego, który został regentem tego państwa, i otaczających go mężów stanu, a jego bystre, cięte, nieco satyryczne uwagi świadczyły, że pilnie śledzi życie tego państwa.

W sprawach polityki Campbell zachował milczenie i umiarkowanie, które mogło też płynąć z ostrożności. Walki wigów i torysów/50 wstrząsały wtedy Anglią do rdzenia, a silna partia jakobitów zagrażała dynastii hanowerskiej \*, świeżo osadzonej na tronie. Każdy szynk rozbrzmiewał kłótnią przeciwników politycznych, a ponieważ poglądy mego gospodarza były o tyle liberalne, że z żadnym dobrym klientem się nie spierał, więc też przy jego niedzielnym stole spotykali się goście należący do obu nieprzejeđnanych obozów, jak gdyby podejmował samą Izbę Gmin. Proboszcz i aptekarz oraz człowieczek, który się swoim zawodem nie przechwalał, a którego sądząc po pewnych okrągłych gestach i strzepywaniu palców brałem za golibrodę, silnie stali po stronie Wysokiego Kościoła/50 i dynastii Stuartów \*. Urzędnik podatkowy, rzecz prosta, i adwokat, któremu uśmiechało się otrzymanie od rządu jakiegoś stanowiska, wreszcie i mój towarzysz podróży, który bardzo gorąco mieszał się do sporu, podtrzymywali dzielnie sprawę króla Jerzego i protestanckiej dynastii. Powstał hałas, klątwy, krzyki. Każda partia odwoływała się do Campbella pragnąc widocznie pozyskać jego uznanie.

— Jesteś pan Szkotem, panie. Dżentelmen z pańskiej ojczyzny musi obstawać przy dziedzicznym prawie! — wołali jedni.

— Prezbiterianinem/50 pan jesteś — dowodził drugi obóz — nie możesz pan być zwolennikiem władzy arbitralnej.

— Panowie — przemówiła szkocka wyrocznia, z trudem zdobywszy chwilę ciszy — nie wątpię, że król Jerzy bardzo zasługuje na miłość swoich zwolenników, a jeżeli potrafi utrzymać się przy władzy, to

może mianuje tego pana komornika komisarzem podatkowym, a naszemu przyjacielowi panu Quitam powierzy jeneralny notariat. Może także udzieli jakiej łaski lub nagrody temu oto cnemu obywatelowi, który siedzi na swojej torbie, bo woli ją od krzesła. Lecz niewątpliwie i królowi Jakubowi/51 nieobce jest uczucie wdzięczności i jeżeli wygra, to może (jeśli będzie miał taką fantazję) mianuje czcigodnego proboszcza arcybiskupem Canterbury, doktora Mixit swoim nadwornym lekarzem, swoją zaś królewską brodę powierzy, być może, staraniom mego przyjaciela, pana Latherum. Ponieważ jednak mocno wątpię, by który z tych współzawodniczących monarchów miał dla Roba Campbella szklanę okowity, gdyby mu jej zabrakło, przeto daję mój głos na Jonathana Browna, naszego gospodarza, wnosząc, by został księciem i królem szynkarzy, pod warunkiem, że przyniesie nam jeszcze jedną butelkę, równie dobrą, jak ostatnia.

Ten żart przyjęto wśród ogólnych oklasków, do których ochoczo przyłączył się i sam gospodarz; a gdy wydał polecenie, by spełniono warunek, od którego wyniesienie jego zależeć miało, nie omieszkął powiadomić swoich gości, „że jakkolwiek pan Campbell jest wielce miłującym pokój dżentelmenem, jest jednak przy tym odważny jak lew i siedmiu opryszków poskromił sam jeden, gdy go napadli na drodze w Whitson Tryste”.

— Mylisz się, przyjacielu Jonathanie — przerwał mu Campbell — dwóch ich tylko było, i to tak nędznych tchórzy, jakich daj Boże zawsze spotykać.

— A więc pan rzeczywiście — odezwał się mój towarzysz podróży przysuwając się z krzeselkiem (trzeba raczej powiedzieć z torbą) bliżej do Campbella — pan rzeczywiście i prawdziwie pobił dwóch rabusiów sam jeden?

— Zupełna prawda, panie — odpowiedział mu Campbell — ale myślę, że tę nic takiego wielkiego, by aż o tym opowiadać.

— Słowo daję, panie — odpowiedział mój znajomy — byłbym szczęśliwy, gdybym mógł skorzystać z pańskiego towarzystwa w podróży. Ja sam jadę na północ.

To nieproszone zwierzenie co do zamierzonego kierunku drogi, pierwszy raz w mej obecności komuś uczynione, nie wywołało wzajemnego zwierzenia Szkota.

— To trudno, ale nie możemy podróżować razem — odpowiedział sucho. — Pan zapewne ma dobrego wierzchowca, ja zaś na razie podróżuję pieszo albo, co na jedno wychodzi, dosiadam górskiego kucyka.

To mówiąc poprosił o rachunek za wino, a położywszy na stole zapłatę za dodatkową butelkę, którą zamówił, wstał, jakby się chciał z nami pożegnać. Mój towarzysz podszedł do niego i chwyciwszy go za guzik, pociągnął na bok, pod jedno z okien. Rad nierad dosłyszałem, że na niego nalegał, przypuszczam, że chodziło mu o towarzystwo podróży, Campbell zaś zdawał się odmawiać.

— Ja pokryję pana koszty — mówił podróżny takim tonem, jakby przypuszczał, że tym argumentem usunie wszelki sprzeciw.

— To niemożliwe — odparł Campbell nieco pogardliwie — ja mam interes w Rothbury.

— Ależ mnie niepilno; mogę zjechać z drogi i nawet stracić dzień dla miłego towarzystwa.

— Proszę mi wierzyć, panie — mówił Campbell — że nie mogę wyświadczyć panu przysługi, której pan żąda ode mnie. Ja — tu wyprostował się dumnie — podróżuję w swoich własnych interesach. A jeśli pan chce posłuchać mojej rady, to niech się pan nie przyłącza w drodze do zupełnie obcych ludzi ani niech pan im nie mówi o kierunku swej drogi.

To powiedziawszy, bez dalszych ceremonii uwolnił guzik, który tamten przytrzymał, a podszedłszy do mnie wśród rozchodzącego się towarzystwa, zauważył:

— Pański przyjaciel za otwarcie mówi, zważywszy na rodzaj swojego zlecenia.

Ten pan — odpowiedziałem — nie jest moim przyjacielem, lecz tylko znajomym, napotkanym i poznanym w drodze. Nie wiem, nie znam ani jego nazwiska; ani celu podróży i pan, zdaje się, dalej zaszedł w jego zaufanie niż ja.

— Chciałem tylko powiedzieć — odrzekł na to Campbell — że trochę za prędko zaszczyca swoim towarzystwem tych, którzy tego nie pragną.

— Ten pan — odrzekłem — sam wie najlepiej, co robi, i uważałbym za niewłaściwe sąd o tym wydawać.

Campbell już nic więcej nie powiedział, tylko życzył mi dobrej podróży i towarzystwo rozeszło się na noc.

Nazajutrz rozłączyliśmy się z moim lęklwym towarzyszem, ponieważ opuszczałem wielki północny trakt i miałem jechać bardziej na zachód w kierunku Osbaldistone Manor, siedziby mego stryja. Sam nie wiem, czy mój odjazd zafrasował go, czy ucieszył, zważywszy, że w tak dwoistym świetle mnie widział. Co do mnie, jego strachy przestały mnie bawić i prawdę powiedziawszy, serdecznie byłem rad, że się go pozbyłem.

## ROZDZIAŁ V

Aż serce rośnie w piersi, kiedy widzę  
Przecudne nimfy, wyspy naszej chlubę.  
Uganiające na szlachetnych koniach  
Cwałem po równych i nierównych szlakach,  
Ni zbocze strome rumaka powstrzyma,  
Ni mu się noga powinie w dolinie.  
Polowanie/54

Z całym zapałem, jaki w miłośnikach przyrody budzi dziki a romantyczny krajobraz, zbliżałem się do mojej rodzinnej północnej krainy, bo za taką ją uważałem. Ponieważ już mi nie przeszkadzała paplanina mego towarzysza, mogłem zauważyć, jak różna była to okolica od tej, którą dopiero co jechałem. Potoki rzeczywiście zasługiwały tu na swoją nazwę, gdyż nie były to już na pół stojące wody zarosłe sitowiem i tatarakiem, lecz płynęły raczej w cieniu krzaczastych zarośli, to gnały w dół po bardziej stromych zboczach, to znów toczyły się wolniej, ale zawsze pełne życia, biegły wzdłuż samotnych dolinek, które od czasu do czasu otwierając się na drogę, zdawały się zapraszać podróżnika, by zbadał ich tajnie. Góry Chevoit/54 rosły przede mną w ponurym majestacie; nie z tą najwyższą różnorodnością turni i grani, jaka odznacza najświetniejsze góry, lecz wielkie, kopiaste, przybrane w rudobrazową szatę, rozmiarami i dzikością wyglądu oddziałując na wyobraźnię jak pustynna kraina o swoistym charakterze.

Siedziba moich ojców, do której się teraz zbliżałem, leżała w wąskiej dolinie, wbiegającej między te wzgórza. Rozległe ziemie, należące niegdyś do rodziny Osbaldistone, dawno zostały utracone skutkiem nieszczęść lub win moich przodków. Dostyc jednak jeszcze pozostało przy starym dworze, by stryj mógł uchodzić za pana wielkiego majątku. Tego, co miał, używał (jak mnie objaśniono, gdy zasięgałem języka po drodze) na rozrzutne podejmowanie gości, co było zgodne z ówczesnym obyczajem możnych panów na północy kraju i co uważał za konieczne dla podtrzymania godności rodu.

Z wyżyny pagórka mogłem już dojrzeć Osbaldistone Hall, obszerną, staroświecką budowlę, wyglądającą z gęstwy druidycznego lasu/54 olbrzymich dębów. Zdażałem, też w tym kierunku tak prosto i tak spieszenie, jak tylko na to pozwalała nieszczęśliwa droga, gdy nagle

koń mój, jakkolwiek zmęczony, zastrzygł uszami posłyszawszy granie sfory ogarów i raz wraz odzywającą się różną pobudkę francuskiej trąbki, w owych czasach nieodzowny wtór polowania. Nie wątpiąc, że to poluje mój stryj, zatrzymałem konia, by nie zauważony przepuścić myśliwych, zdając sobie sprawę, że teren polowania nie jest sceną odpowiednią do przedstawiania się dla zażartych sportowców. Postanowiłem raczej, gdy przejadą, kierować się dalej ku domowi i tam oczekiwać powrotu właściciela. Przystanąłem więc z boku na wzniesieniu gruntu i z pewnym zainteresowaniem oczekiwałem pojawienia się myśliwych.

Lis, z bliska doganiany, już prawie wyczerpany, pierwszy się wysunął z zarośli osłaniających prawy brzeg doliny. Opuszczona kita, obłocone futro i nierówny bieg zdradzały, jaki los go czeka, a polatująca nad nim wrona widocznie już go za swój przyszły łup uważała. Przebył strumyk płynący doliną i wdzierał się do wąwozu po drugiej stronie stromego wybrzeża, gdy pierwsze psy, a za nimi reszta sfory z głośnym ujadaniem wypadły z zarośli; za psami gnał dojeżdżacz i trzech czy czterech konnych. Psy szły śladem lisa z nieomylnym instynktem, a myśliwi pędzili nie bacząc na wyboisty, nierówny teren. Byli to wysocy, tędzy młodzieńcy na dobrych koniach, ubrani w zielone i czerwone barwy, myśliwski mundur towarzystwa sportowego, zorganizowanego pod przewodem starego sir Hildebranda Osbaldistone.

„Moi kuzyni” — pomyślałem, gdy przelecieli mimo mnie. A zaraz potem przyszła mi myśl druga: „Jakżeż mnie przyjmą ci godni następcy Nemroda/55? Jakżeż to mało prawdopodobne, bym prawie wcale nie znający się na wiejskich sportach, mógł się czuć dobrze, szczęśliwie w rodzinie stryja”. Lecz nowy widok przerwał te rozmyślenia.

Młoda dama, której urodę, nie mówiąc o doskonałości rysów, potęgowało ożywienie polowaniem i rumieńce wywołane ruchem, galopowała na pięknym, jak kruk czarnym koniu, zbryzganym tu i ówdzie śnieżnobiałą pianą toczącą się od munsztuka. Miała na sobie strój naówczas trochę niezwykły — surdut, kamizelkę i kapelusz na wzór męski, którą to modę później nazwano „amazonką”. Ten sposób ubierania się wprowadzono, gdy byłem we Francji, i dla mnie był on zupełną nowością. Długie jej, czarne włosy powiewały z wiatrem, wysunawszy się w pędzie jazdy spod przytrzymałej je wstążki.

Pełen rozpadlin teren, przez który przeprowadzała swego konia z nadzwyczajną zręcznością i przytomnością umysłu, opóźnił ją w jeździe i przybliżył do mnie więcej niż innych jeźdźców. Tym lepiej mogłem ogarnąć wzrokiem jej niezwykle piękną twarz i całą postać, której nieopisanego uroku dodawała żywa wesołość sceny, romantyczność jej oryginalnego stroju i niespodziewanego ukazania się. W chwili gdy mnie mijała i wydostawszy się na równy grunt popędzała konia, ten jakby się potknął. Dało mi to pretekst do podjechania do niej jak gdyby na pomoc. Nie było jednak powodu do niepokoju. Koń się nie potknął, nawet nie postawił fałszywego kroku; zresztą i gdyby doszło do tego, piękna amazonka miała dość zimnej krwi, by dać sobie radę. Uśmiechem podziękowała mi jednak za dobre chęci, ja zaś, ośmielony tym, zrównałem się z nią i dalej dotrzymywałem jej towarzystwa. Krzyki i wołania: „Hej! Już po nim! Już po nim!” i odpowiednia przygrywka na francuskiej trąbce obwieściły nam wkrótce, że już nie ma po co się śpieszyć, gdyż polowanie skończone. Jeden z młodych ludzi, którego już widziałem, zbliżył się do nas, triumfalnie potrząsając lisią kitą, jak gdyby chciał dokuczyć mojej pięknej towarzyszce.

— Widzę — odpowiedziała — widzę, ale nie przechwalaj się tak.

Gdyby Phoebe — tu poklepała swego pięknego wierzchowca — nie zabrnęła między skały, nie miałbyś powodu do triumfu.

Zjechali się, gdy to mówiła, i zauważyłem, że oboje patrzą na mnie i rozmawiają półgłosem. Młoda panna zdawała się żądać czegoś od kawalera, czego on odmawiał, zażenowany, z jakimś głupim a chmurnym uporem. Nagle ona sama razem z koniem zwróciła się do mnie mówiąc:

— No, dobrze, dobrze, Thornie, skoro ty nie chcesz, ja muszę, i tyle!

— Zwrócona już do mnie, mówiła dalej: — Staralam się przekonać tego dobrze wychowanego młodzieńca, że powinien zapytać pana, czy podróżując w tych stronach nie słyszał o naszym przyjacielu niejakim Franku Osbaldistone, którego od kilku dni oczekujemy w Osbaldistone Hall.

Byłem uszczęśliwiony mogąc się przedstawić jako ten, o kogo pytano, i wyrazić podziękowanie za uprzejme dopytywanie się młodej damy.

— Skoro tak — odpowiedziała — i skoro, jak widać uprzejmość mojego krewnego jeszcze drzemie, pozwoli pan (choć to może nie bardzo wypada), że ja wezmę na siebie rolę mistrza ceremonii i

przedstawię panu młodego pana Thorncliffa Osbaldistone, pańskiego kuzyna, i Dianę Vernon, która także ma zaszczyt być pańskiego kuzyna krewniaczką.

W sposobie, w jaki panna Vernon wymówiła te słowa, była śmiałość, ironia i prostota. Dostatecznie byłem wyrobiony, by uderzyć w ten sam ton i wyrazić jej moją wdzięczność za jej łaskawość i wielką radość ze spotkania. Prawdę powiedziawszy, komplement był tak wyrażony, że piękna panna mogła go przede wszystkim wziąć do siebie, gdyż Thorncliff zdawał się być skończonym wiejskim bałwanem, niezgrabnym, nieśmiałym, a w dodatku trochę skwaszonym. Jednakże uściśnął mi rękę, po czym oświadczył, że musi mnie opuścić, by pomóc strzelcowi i braciom zebrać i powiązać psy. Mówił to raczej jako objaśnienie dla panny Vernon niż jako usprawiedliwienie wobec mnie.

— Oto idzie — rzekła panna patrząc za nim wzrokiem, w którym najdokładniej malowała się pogarda — oto idzie księżę groomów/57 i dżokejów, organizator walk kogutów. Ale jeden od drugiego nie lepszy... Czy czytał pan Markhama?

— Czy czytałem kogo, pani?... Nawet nazwiska tego autora nie przypominam sobie.

— O nieba! Na jaki brzeg wyrzuciło pana morze! — odpowiedziała panna Vernon. — Biedny, zbłąkany, nieświadomy cudzoziemcze, nie obeznany z samym Alkoranem/57 tego dzikiego plemienia, wśród którego masz przebywać... Nigdy nie słyszeć o Markhamie, najślawniejszym autorze weterynarii końskiej! W takim razie obawiam się, że równie obce panu będą świeższej daty imiona Gibsona i Bartletta?

— W istocie, panno Vernon.

— I pan się nie rumieni przyznając się do tego? No, będziemy zmuszeni wyprzeć się pańskiego pokrewieństwa. Zatem, przypuszczam, nie umiałby pan podać koniowi pigułki albo krew mu puścić, albo...

— Przyznaję, że te wszystkie sprawy powierzam stajennemu albo chłopcu od koni.

— Co za nieprawdopodobna niedbałość! Więc pewnie i podkuć konia nie umiałby pan albo obciąć mu grzywy czy ogona? Ani z psa wypędzić robaków, ani przystrzyc mu uszu lub pazurów przyciąć. Ani



przywołać sokoła, gdy odleci, ani zastosować mu diety, gdy chory, ani...

— Sumując wszystkie te braki — odpowiedziałem — jestem zupełnie nieświadomy całej wiejskiej mądrości.

— W takim razie, na Boga, panie Franku Osbaldistone, cóż pan właściwie umie?

— Bardzo niewiele z tej dziedziny, panno Vernon, a jednak trochę. Gdy mi mój chłopak okulbaczy konia, potrafię go dosiąść, a gdy z sokołem jestem w polu, potrafię puścić go na zwierzynę.

— Więc jednak coś, hm... — rzekła panna Vernon i popędziła konia. Drogę przed nami przecinał przerośnięty żywopłot z bramą z surowych, nie obrobionych belek; chciałem właśnie puścić się naprzód i otworzyć bramę, gdy panna Vernon wzięła przeszkodę skokiem. Punkt honoru nakazywał mi pójść za nią, za chwilę też byłem przy jej boku.

— Można jeszcze nie tracić nadziei co do pana — rzekła. — A ja już się obawiałam, że stanowczo wyrodny z pana Osbaldistone. Ale niech mi kto powie, co pana sprowadza do Lisiej Nory, bo tak przewali sąsiedzi ten nasz myśliwski dwór. Mógł pan nie przyjeżdżać, przypuszczam, gdyby pan był chciał?

Czułem się już tak swobodny z moją uroczą towarzyszką, że tonem zwierzenia odpowiedziałem:

— Istotnie, panno Vernon, mógłbym uważać za przykry dopust czasowy pobyt w Osbaldistone Hall, skoro jego mieszkańcy są tacy, jak ich pani opisuje; jednakże jestem przekonany, że jest między nimi jeden wyjątek, który wszystkie braki wynagrodzi.

— Ach, pan ma na myśli Rashleigha?

— Doprawdy, nie o nim myślałem, raczej, proszę mi wybaczyć, pewną osobę, która jest dużo bliżej mnie.

— Zdaje mi się, że wypadałoby mi nie zrozumieć pańskiego komplementu. Ale ja tak nie potrafię. Nie dziękuję panu ukłonem, bo siedzę na koniu. Wprawdzie, żart na stronę, zasługuję na to, by mnie pan uważał za wyjątek, gdyż jestem jedyną rozmowną osobą w domu, z wyjątkiem starego księdza i Rashleigha.

— Ale któż to jest ten Rashleigh, na miłość boską?

— Rashleigh jest to ktoś, kto by chciał, żeby go wszyscy lubili dla niego samego. Jest to najmłodszy syn sir Hildebranda, będzie mniej więcej w pańskim wieku, ale nie tak... krótko mówiąc, nie jest

przystojny. Za to natura dała mu wiele zdrowego rozsądku, a ksiądz dodał zapas uczoności.

Jest bardzo rozumnym człowiekiem, jak to się mówi w naszych stronach, gdzie rozumni ludzie są rzadkością. Pierwszorzędny materiał na księdza, ale jakoś niespieszne mu do kościoła.

— Katolickiego?

— Oczywiście! Ale przecież zapomniałam! Mówiono mi, że pan jest heretykiem. Czy to prawda?

— Nie mogę temu zaprzeczyć.

— A jednak pan podróżował, i to po krajach katolickich.

— Przez cztery lata bez mała!

— I widział pan klasztory?

— Nawet często, ale niewiele widziałem w nich rzeczy, które by zachęcały do katolicyzmu.

— Czy ich mieszkańcy nie są szczęśliwi?

— W pewnym sensie niektórzy, są szczęśliwi, ci mianowicie, którzy głęboko wierzą, ci, którzy doznali w życiu ciężkich krzywd, wreszcie i ci, którym wrodzona apatia kazała wycofać się z życia. Lecz inni, którzy zamknęli się w klasztorach pod wpływem nagłego i nie przemyślanego porywu, w momencie rozczarowania lub jakiejś przegranej, ci są bardzo nieszczęśliwi. Żywość wrażeń powraca i niczym zamknięte w menażerii dzikie zwierzęta rzucają się pełni niepokoju albo wzdychają i tyją w celach niewiele większych od nich samych.

— A co dzieje się z tymi ofiarami — pytała dalej panna Vernon — które zamyka się w klasztorze, bo ktoś sobie tego życzy? Jak oni żyją? Jak tam żyją, jeśli stworzeni są do używania życia i jego błogosławieństw?

— Są jak zamknięte w klatkach ptaki, skazani, by więdnąć w zamknięciu. Starają się urozmaicić swe więzienie uprawianiem sztuk, które by wszystkim wzbogaciły życie, gdyby kwitły na swobodzie.

— Ja będę, a raczej — poprawiła się — byłabym jak dziki sokół, któremu zagrodzono niebo żelaznymi prętami. Rozbija się wtedy o nie w porywach szалу... Ale wracając do Rashleigha — powiedziała raźniejszym tonem — z pewnością uzna go pan za najmilszego człowieka, jakiego pan kiedykolwiek spotkał; przynajmniej przez tydzień. Gdyby mógł znaleźć ślepą kochankę, żaden człowiek nic mógłby być bardziej pewny swej zdobyczy. Niestety, wygląd

Rashleigha rozwiewa cały czar, jaki wzbudza jego głos. Lecz otóż jesteśmy w podwórku starego zamku, który ma wygląd równie dziki i staroświecki, jak jego mieszkańcy. Wielkie stroje w Osbaldistone Hall nie istnieją, ale muszę zdjąć to ubranie, które zbyt grzeje, a do tego kapelusz ugniata mi czoło — mówiła wesoło dziewczyna zdejmując go i strząsając na twarz falę kruczo czarnych loków, które z uśmiechem, zarumieniona, rozdzieliła białymi, wąskimi palcami i odgarnęła znad czoła i bystrych, ciemnych oczu. Jeśli w tym ruchu była zalotność, to dobrze ukryta pod niedbałą obojętnością. Ja zaś nie mogłem powstrzymać się od uwagi, że sądząc o rodzinie po tym, co widzę, uważałbym dodatkowe strojenie się za rzecz zupełnie zbyteczną.

— To brzmi bardzo grzecznie, choć może nie wypada mi tego rozumieć — odpowiedziała panna Vernon — ale znajdzie pan lepsze wytłumaczenie pewnego zaniedbania, gdy pozna pan tych niedźwiedzi, wśród których ma pan przebywać, a których postaci i zachowania nie upiększy żaden strój. Jednakże, jak już wspomniałam, stary dzwonek obiadowy zadzwięczy, a raczej zabrzęczy za parę minut. Pękł on sam przez się w dniu lądowania króla Wilhelma, a wuj mój, w poszanowaniu jego proroczego daru, nie pozwalała go naprawić. Tymczasem potrzymaj mi pan mojego rumaka, jak na uprzejmego rycerza przystoi, dopóki nie przyślę skromnego giermka, który pana zwolni.

Rzuciła mi cugle, jak gdybyśmy się znali od dzieciństwa, zeskoczyła z siodła, przebiegła przez podwórzec i weszła w jakieś boczne drzwi, zostawiając mnie pod wrażeniem swej urody i zdziwionego wielką prostotą i naturalnością jej obejścia. Wydawało się to tym bardziej nadzwyczajne, że przepisy dobrego zachowania się, idące w owym czasie od dworu wielkiego króla Ludwika XIV, nakazywały płci pięknej niezwykłą surowość pozorów.

Tymczasem znalazłem się w położeniu dość niezręcznym. Siedząc na jednym koniu, a drugiego trzymając za uzdę, musiałem czekać na środku podwórza starego zamku. Gdybym nawet był skłonny porządnie się przyjrzeć samej budowli, nie mógłbym w niej dostrzec nic szczególnie ciekawego. Ścianom czworoboku brakło jednolitości stylu, a ze swoimi kamiennymi, zakratowanymi oknami, wystającymi wieżyczkami i potężnym belkowaniem robiły raczej wrażenie dziedzińca klasztoru albo jednego ze starych a mniej wspaniałych

kolegiów w Oksfordzie. Wołałem na służbę, ale przez dłuższy czas nikt na mnie nie zważał, co było tym bardziej oburzające, że widziałem, iż stałem się przedmiotem ciekawości służby tak męskiej, jak i żeńskiej. Z różnych stron budynku co chwila wychylała się z okna jakaś głowa i cofała się natychmiast, zanim zdążyłem z moim żądaniem zwrócić się wyraźnie pod jej adresem. Dopiero powrót myśliwych i psów uwolnił mnie z kłopotliwego położenia, ale nie bez trudu udało mi się skłonić jakiegoś błazna, by zaopiekował się moim koniem, a drugiego gburowatego głupca — by mnie zaprowadził do sir Hildebranda. To zadanie spełnił z taką ochotą i dobrą wolą jak chłop przymuszony służyć za przewodnika nieprzyjacielowi. Tak samo też musiałem go pilnować, by mi nie uciekł w labiryncie niskich, sklepionych korytarzy, prowadzących do Kamiennej Sali, jak ją nazwał, gdzie miałem stanąć przed łaskawym obliczem stryja.

Jakoś jednak dotarliśmy w końcu do długiej, wysoko sklepionej sali, wyłożonej kamienną posadzką, gdzie szereg dębowych stołów wielkości i wagi zbyt dużej, by je w ogóle można było ruszyć z miejsca, był już nakryty do obiadu. Ta czcigodna komnata, która patrzyła także na uczyty wielu pokoleń rodziny Osbaldistone, świadczyła także o ich myśliwskich triumfach. Wielkie rogi jelenie, porozwieszane wokół ścian, nie były gorsze od rogów widywanych w królewskich myśliwskich dworach. Między nimi umieszczono wypchane borsuki, wydry, kuny i inne myśliwskie trofea. Wśród szczątków starych ryszunków, które może służyły jeszcze przeciw Szkotom, wisiała ceniona broń łowiecka, jako to łuki, strzelby rozmaitego rodzaju i konstrukcji, sieci, wędki, dzidy na borsuki, jakieś drągi do polowania i wiele innych dziwnych przyborów i narzędzi do łapania i zabijania zwierzyny. Kilka starych portretów, okopconych dymem i splamionych piwem marcowym, wisiało na ścianach. Przedstawiały one damy i rycerzy niewątpliwie szanowanych i sławnych w swoim czasie. Ci z groźnym marsem patrzyli spod nastroszonych peruk i wąsów, tamte wpatrywały się rozkosznie w trzymane w rękach róże.

Zaledwie zdążyłem powierzchownie to wszystko obejrzeć, gdy ze dwunastu służących w niebieskich liberjach wpadło do sali z wielkim hałasem i gadaniną, każdy raczej komenderujący drugim niż spełniający, co do niego należało. Jedni znosili pnie i drwa na ogień, który huczał, płonął i słupeł na wpeł dymnym, na wpeł płomiennym

szedł w górę do tak ogromnego komina, że zmieściłby się w nim cały fotel. Front kominka ciężkiej był architektury, a gzyms jego stanowiły heraldyczne potwory, sztuką jakiegoś miejscowego rzeźbiarza wcielone w kamień czerwony, teraz szerniały od dymu stuleci. Inni z tej staromodnej służby wnosili wielkie, dymiące półmiski, obficie naładowane potrawami; jeszcze inni nieśli puchary, dzbany, butelki, nawet baryłki gorących napoi. Wszyscy tupali, pchali się, potrącali, starając się jak najmniej się fatygować przy akompaniamencie możliwie największego hałasu i zamieszania. W końcu, gdy po wielu staraniach obiad był podany, wrzawa ludzi i psów, trzaskanie z bata dla uciszenia tychże, głosy donośne i wysokie, głośnie ciężkimi butami stapania niczym chód posągu w Festin de Pierre/64 zwiastowały, że państwo nadchodzą. Zamęt między służbą nie tylko nie zmałał, ale jeszcze się wzmógł. Jedni wołali, że trzeba się śpieszyć, drudzy, że nie ma gwałtu. Ten upominał, żeby ustąpić z drogi i zrobić miejsce dla sir Hildebranda i paniczów, tamten radził, żeby stanąć wokół stołu, ci krzyczeli, żeby zamykać, tamci, żeby otwierać drzwi, które, jak się później dowiedziałem, oddzielały salę od rodzaju galerii czy też salonu wyłożonego boazerią. Na koniec drzwi się otworzyły i weszli ludzie i psy: osiem psów, kapelan domowy, doktor wiejski, moich sześciu kuzynów i stryj.

## ROZDZIAŁ VI

Sala w posadach drży, już idą... idą,  
Potężnych głosów gwar sklepieniem wstrząsa.  
Różne postacie — w różnobarwne szaty  
Bogato strojne, kroczą górną, dumnie  
I potrzęsają kitą pióropusza.

PENROSE /65

Jeżeli sir Hildebrand Osbaldistone nie śpieszył się witać bratanka, o którego przybyciu już przedtem musiał być powiadomiony, miał na swoje wytłumaczenie „ważne” powody.

— Byłbym cię prędzej przywitał, chłopcze — zawołał uściskawszy silnie moją rękę i nazwawszy mnie serdecznie miłym gościem w Osbaldistone — lecz musiałem wpierw dojrzeć, by psy pozamykali! Jestem ci rad w moim domu, chłopcze. Oto twój kuzyn Percie, twój kuzyn Thornie, twój kuzyn John, twoi kuzynowie Dick i Wilfred i... ale czekaj, gdzież to jest Rashleigh? A oto on! Usuń się, Thornie, mój olbrzymie, i pozwól choć trochę dojrzeć twego brata. Twój kuzyn Rashleigh. A więc to tak! Twój ojciec nareszcie przypomniał sobie stare domostwo i starego Hildebranda. Lepiej późno niż wcale. Rad ci jestem, chłopcze, i dosyć na tym. Ale gdzie jest moja Dianka? A, otóż i ona! To moja siostrzenica Dianka, córka brata mojej żony, najładniejsza dziewczyna w naszej okolicy, żadna jej nie dorówna. Tak... a teraz siadajmy do stołu.

Chcąc sobie wyrobić pojęcie o tak przemawiającej osobie, wyobraź sobie, kochany Willu, mężczyznę lat około sześćdziesięciu w myśliwskim ubraniu, niegdyś bogato szamerowanym, którego świetność mocno zbladła w rezultacie niejednej listopadowej i grudniowej burzy i słyty. Sir Hildebrand, mimo pewnej szorstkości swoich dzisiejszych manier, bywał w latach dawniejszych w obozach i na dworach. Miał rangę oficera i krótko przed rewolucją, może po części dzięki swej religii, otrzymał tytuł sira od nieszczęsnego króla Jakuba II. Marzenia o dalszej karierze, jeśli w ogóle miał jakieś, uległy rozbiciu w zawierusze, która zmiotła z tronu jego protektora. Odtąd pędził życie na ustroniu, w rodzinnych dobrach. Mimo że od tak dawna żył na wsi, sir Hildebrand zachował w powierzchowności wiele cech szlachcica i dżentelmena. Wśród swoich synów wyglądał tak, jak wyglądać by mogły pokryte mchem i porostami szczątki korynckiej kolumny w otoczeniu surowych, nie ociosanych brył

druidycznej świątyni. Synowie byli rzeczywiście jak surowe, nieozdobne bryły. Wysocy, tężdy i nawet przystojni, każdy z osobna i wszyscy razem zdradzali wspólny brak prometejskiej/66 iskry inteligencji oraz tego zewnętrznego wdzięku i układu, który w świecie cywilizowanym zastępuje nieraz umysłowe braki. Najcenniejszą ich moralną zaletą wydawał się dobry humor i zadowolenie malujące się na ich twarzach o ciężkich rysach, a jedyną umiejętnością, jaką się pochłubić mogli — zręczność w myśliwskich i konnych sportach, czym też jedynie żyli. Sądząc po ich zewnętrznym wyglądzie, mocarny Percival, mocarny Thorncliff, mocarni John, Richard i Wilfred Osbaldistone'owie nie ustępowali opiewanym przez poetę siłaczom Gijasowi i Kloantowi/66.

Jakby chcąc sobie powetować tę rzadką jednostajność w swoich dziełach, natura uczyniła z Rashleigha Osbaldistone aż rażące przeciwieństwo pozostałych braci — i to zarówno w jego wyglądzie i sposobie zachowania się, jak i (o czym się później przekonałem) w usposobieniu i w zdolnościach. Różnił się on zresztą nie tylko od swoich braci, ale i od większości ludzi, jakich dotychczas poznałem. Podczas gdy Percie, Thornie i pozostali tylko kiwali głową, głupkowato się uśmiechali i niezgrabnie podawali rękę, w miarę jak ojciec ich mnie przedstawiał, Rashleigh wystąpił naprzód i powitał mnie jako miłego gościa w Osbaldistone Hall w układny sposób człowieka obytego w świecie. Wygląd jego nie budził zaufania. Był niski, gdy tymczasem bracia jego wyglądali jak potomkowie olbrzymów; i gdy oni byli ładnie zbudowani, Rashleigh, choć silnej postaci, kark miał gruby jak u wołu, krzywą łopatkę i jakąś wadę w chodzie na skutek wypadku w dzieciństwie. Wydawało się, że jest kulawy i jak niektórzy sądzą, właśnie dlatego nie mógł przyjąć kapłańskich święceń. Jak wiadomo, Kościół katolicki nie dopuszcza, by kaleka mógł zostać księdzem. Byli jednak i tacy, którzy przypuszczali, że ów przypominający kalekę chód wynika raczej ze złego przyzwyczajenia niż z jakiejś istotnej fizycznej ułomności i że nic nie stoi na przeszkodzie, by Rashleigh został księdzem.

Twarz Rashleigha była tego rodzaju, że kto raz na nią spojrzął, daremnie siliłby się wygnać ją z pamięci, musiała bowiem powracać w myśli jak przykra zagadka, budząca wrażenie niemiłe, nieledwie wstręt. Raziła przy tym nie tyle brzydota samej twarzy, ile raczej jej wyraz. Rysy Rashleigha były nieregularne, jakkolwiek bynajmniej nie

pospolite, a jego bystre, ciemne oczy i bujne brwi ratowały twarz od zarzutu zwykłej brzydoty. Był jednak w tych oczach wyraz chytrych i fałszu, a w chwilach podrażnienia — także dzikości, hamowanej ostrożnością. To wszystko natura uczyniła widocznym nawet mało bystrym znawcom fizjonomii może w tym samym celu, w jakim jadowitego węża wyposażyła w grzechotkę. Jak gdyby dla zrównoważenia wad powierzchowności posiadał Rashleigh głos tak łagodny, miękki i bogaty w odcienie, że piękniejszego nigdy nie słyszałem, a nie brakło mu bogactwa wymowy, do takiego organu stosownej. Zaledwie pierwsze swoje zdanie powitalne wygłosił, a już zgodziłem się w duchu z panną Vernon, że nowy mój kuzynek natychmiast podbiłby serce kobiety, gdyby uchem jedynie sprawę jego sądzić miała.

Rashleigh miał zamiar się przy mnie, jednakże panna Vernon, która jako jedyna kobieta w rodzinie dowolnie rządziła tymi sprawami, zdecydowała, że mam zająć miejsce pomiędzy nią a Thorncliffem. Rozumie się samo przez się, że wołałem to miłsze sąsiedztwo.

Chcę z panem porozmawiać — rzekła — a poczciwego Thornie posadziłam pomiędzy Rashleighem a panem umyślnie. Będzie on, jak ta

Pierzyna między zamku murem  
A kul armatnich gradem...

a tymczasem ja, najdawniejsza znajoma z całej tej inteligentnej rodziny, zapytam pana: jak się panu wszyscy podobamy?

— Bardzo trudne pytanie, panno Vernon, zważywszy, że tak krótko przebywam w Osbaldistone Hall!

— Ech, cała mądrość naszej rodziny leży na wierzchu... Są drobne odcienie, różniące jednostki, dostrzegalne dla inteligentnego obserwatora, ale gatunek, jakby się wyraził przyrodnik, od razu da się rozpoznać i scharakteryzować.

— Sądzę, że moi starsi kuzynowie, jak ich jest pięciu, mają bardzo podobne charaktery.

— Tak, tworzą oni udatną kombinację głupca, gajowego, pokrzykiwacza, dżokeja i bałwana. Ale jak się to mówi, że nie można znaleźć dwóch liści dokładnie podobnych na drzewie, tak te sympatyczne składniki, zmieszane w trochę nierówną proporcję w



każdej z poszczególnych jednostek, tworzą miłą różnorodność dla tych, którzy lubią badać charaktery.

— Niech mi je pani naszkicuje.

— Dam panu szkic rodzinnego portretu w całej okazałości, tak mi to łatwo przychodzi, że nie odmawiam. Otóż Percie, najstarszy syn i dziedzic, ma w sobie więcej z głupca niż z gajowego, pokrzykiwacza, dżokeja i bałwana. Mój miły Thornie jest raczej pokrzykiwaczem niż głupcem, gajowym, dżokejem i bałwanem. John, który całymi tygodniami nocuje w górach, jest przede wszystkim gajowym. Dżokej najsilniej przeważa w Dicku, który potrafi jechać dwieście mil dniem i nocą bez przerwy, by przegrać na wyścigach. Co do Wilfreda, to w nim tak dalece góruje bałwan, że można go nazwać bałwanem doskonałym.

— Bardzo zajmująca kolekcja, a indywidualne odmiany należą do bardzo interesującego gatunku. Ale czy na tym płótnie nie ma już miejsca na portret sir Hildebranda?

— Kocham wuja — odpowiedziała — wdzięczna mu jestem za to, co dla mnie zrobił (bo ostatecznie chciał jak najlepiej), i wolę, żeby pan sam, poznawszy go lepiej, namalował jego portret.

„No, proszę — pomyślałem rad, że znajduję w niej choć trochę względności. — Ostatecznie, kto by się spodziewał tyle gorczy w tak młodej i tak cudownie pięknej dziewczynie!”

— Zastanawiasz się pan nade mną — powiedziała przenikając mnie ciemnymi oczyma, jak gdyby chciała wejrzeć w głąb duszy.

— Tak — odpowiedziałem nieco zmieszany tym śmiałym i nagłym pytaniem. Zaraz też dorzuciłem chcąc nadać zwrot pochlebny temu szczeremu przyznaniu: — Czyż podobna, bym myślał o czymkolwiek innym, mając szczęście siedzieć w takim sąsiedztwie?

Uśmiechnęła się z wyrazem takiej wyższości, na jaką tylko stać ją było.

— Muszę panu od razu powiedzieć, drogi kuzynie, że nie dbam o komplementy, toteż, proszę, nie trwoń czasu na gładkie słówka. Niech służą one eleganckim paniczom, podróżującym po prowincji, jak zabawki, szklane paciorki i bransolety, które żeglarze wożą ze sobą, by nimi zjednać dzikich mieszkańców nowo odkrytych krajów. Niech pan swego zapasu nie nadweręża, znajdzie pan w Northumberland turystów, którym zaimponują te błyskotki. Dla mnie byłyby one stracone, gdyż przypadkiem znam ich rzeczywistą wartość.

Zamknęła mi usta, pograżyła mnie.

— Przypomina mi pan w tej chwili — mówiła dalej, już teraz znów swoim żywym i swobodnym tonem — ową bajkę, gdzie to pewien człowiek widzi, że zabrane na jarmark pieniądze zamieniły mu się nagle w kulki gradu. Moją nieszczęsną uwagą rozbiłam na nic pański zasób miłych słówek i gładkich zwrotów! Ale co tam! Niech pan sobie nic z tego nie robi! Chyba się bardzo nie mylę sądząc, że poza tymi płaskimi komplementami, którymi każdy kawaler z tupayem /69 uważa za swój obowiązek szafować przed nieszczęsną kobietą li tylko dlatego, że ona ubiera się w jedwab i gazę, a on w najcieńsze sukno z haftem, posiada pan przecież także dar ładnej, prawdziwej rozmowy. Wolę, jakby powiedział każdy z mych pięciu kuzynów, prosty chód niż te sztuczne piruety. Niech pan się postara zapomnieć, że, niestety, jestem kobietą. Niech mnie pan nazywa Tom Vernon, jeśli pan chce, ale niech pan mówi do mnie jak do towarzysza, do przyjaciela. Nie wyobraża pan sobie, jak pana za to lubić będę.

— W ten sposób uległbym przekupstwu — odpowiedziałem.

— Znowu! — rzekła Diana Vernon grożąc mi palcem. — Powiedziałam, że nie zniosę cienia komplementu. A teraz, gdy pan wychyli kielich w odpowiedzi wujowi, który do pana przepija, powiem, co pan o mnie myślisz.

Jako posłuszny bratanek, na wezwanie stryja wychyliłem puchar i czas jakiś brałem udział w ogólnej rozmowie. Wreszcie — wobec tego, że nieustający a pracowity szcęk widelców i noży i bezwzględne zagłębianie się kuzyna Thomcliffa po mojej prawej, a kuzyna Dicka po lewej ręce panny Vernon w naładowanych na talerze olbrzymich porcjach mięsa oddzielało nas jakby przepierzeniem od reszty towarzystwa — znalazłem się znowu z Dianą Vernon jakby sam na sam.

— A więc teraz — rzekłem — niech mi będzie wolno zapytać otwarcie: co pani sądzi, że ja myślę o pani? Sam mógłbym to powiedzieć, ale pani zastrzegłaś się przeciw komplementom.

— Nie potrzebuję pańskiej pomocy. Kto wie, może umiem czytać cudze myśli. Nie potrzebuje mi pan otwierać zamków swojej duszy, przez nie także widzę. Uważa mnie pan za trochę dziwną, śmiałą dziewczynę, na wpół kokietkę, na wpół swawolnicę, pragnącą zwrócić na siebie uwagę swobodą zachowania i głośną rozmową, ponieważ nie wie, co Spektator/70 nazywa „łagodnym wdziękiem płci pięknej”.

Przypuszcza pan, że, być może, mam w tym jakieś szczególne wyrachowanie, by szturmem zdobyć pana podziw. Przykro byłoby mi zranić pańską miłość własną, ale jeśli tak pan myśli, to bardzo się pan myli. Całym tym zaufaniem, jakie okazałam panu, mogłabym równie chętnie obdarzyć pańskiego ojca, gdybym przypuszczała, że mnie zrozumie. Wśród tej szczęśliwej rodziny tak pozbawiona jestem inteligentnych słuchaczy jak Sancho/70 w górach Sierra Morena i gdy się nadarzy sposobność, muszę mówić lub zginąć. Zapewniam pana, że nie powiedziałabym ani słówka z tych wszystkich ciekawych wiadomości, gdyby mi choć odrobinę na tym zależało, czy kto o tym wie, czy nie.

— To prawdziwe okrucieństwo tak odbierać wszelkie cechy łaski swoim zwierzeniom, ale trudno, muszę je przyjąć na pani warunkach — odpowiedziałem. — Jednakże Rashleigha Osbaldistone pominęła pani w swej galerii rodzinnych portretów.

Wydało mi się, że drgnęła przy tej wzmiance i szybko odpowiedziała już znacznie ciszej:

— Ani słowa o Rashleighu. Słuch ma tak wyostrzony, gdy jego osoba w grę wchodzi, że wszystko by usłyszał nawet mimo osoby Thomcliffa, tej żywej przegrody wypchanej mięsem, pasztetem i puddingiem!

— Rozumiem — odpowiedziałem, ale wyjrzawszy poza żywy parawan, który nas oddzielał, zanim postawiłem pytanie, przekonałem się, że krzesło Rashleigha jest puste. Odszedł od stołu.

— Niech pan nie będzie nazbyt pewny tego — rzekła na to moja sąsiadka. — Radzę, aby chcąc mówić o Rashleighu wychodził pan na wzgórek Otterscope, skąd widać świat na kilka mil wkoło; dopiero tam na samym szczycie może pan mówić, i to szeptem. Co prawda i wtedy nie będzie pewności, czy jaki ptak nie zanieśe Rashleighowi pana słów. Przez cztery lata był on moim nauczycielem. Mamy się wzajemnie dosyć i serdecznie będziemy się cieszyć, gdy nadejdzie chwila bliskiego rozstania.

— A zatem Rashleigh opuszcza Osbaldistone Hall?

— Tak, za kilka dni. Nie wiedział pan o tym?

— Nie. Dlaczego miałbym wiedzieć?

— Widocznie ojciec pański trzyma swoje postanowienia w większej tajemnicy niż sir Hildebrand. Gdy stryj otrzymał wiadomość, że ma pan tu przybyć na pewien czas i że pański ojciec życzy sobie dostać

jednego z jego obiecujących synów na to tak korzystne stanowisko w kantorze, którego pan w uporze swoim nie chciał objąć, dobrotliwy pan domu zwołał plenarną naradę całej rodziny, nie wykluczając kamerdynera, gospodyni i gajowego. To świetne zgromadzenie panów i służby zostało zwołane nie po to, jak może pan sobie wyobraza, by wybrać pana następcę, gdyż jeden tylko Rashleigh o tyle opanował arytmetykę, by móc zliczyć coś więcej niż szansę w walce kogutów, i tylko on mógł wchodzić w grę. Potrzeba było jednak uroczystego postanowienia, aby planowaną dlań dotychczas biedę katolickiego księdza zamienić na bogactwa bankiera. I żeby pan wiedział, że nie bez pewnego ociągania się zgromadzenie udzieliło zgody na ten akt degradacji.

— Mogę zrozumieć skrupuły, ale co dopomogło do ich zwalczenia?

— Myślę, że ogólne pragnienie pozbycia się Rashleigha z domu — odpowiedziała panna Vernon. — Chociaż najmłodszy z rodziny, potrafił jakoś zagarnąć rządy nad wszystkimi. Każdy czuje to poddaństwo i nie umie się z niego wyswobodzić. Jeśli mu kto stawi czoło, może być pewien, że pożałuje, zanim rok minie. Kto by mu zaś oddał bardzo ważną przysługę, ten jeszcze bardziej mógłby tego pożałować.

— Jeśli tak — odpowiedziałem śmiejąc się — to muszę być ostrożny, gdyż jakkolwiek nie rozmyślnie, dałem powód do zmiany w jego życiowych losach.

— Tak jest, a czy on to będzie uważał za korzystne, czy niekorzystne dla siebie, zawsze będzie żywić do pana urazę. Ale oto idą ser, rzodkiewki i toast za Kościół i króla, wskazówka dla kapłanów i dam, że się mają wynosić, toteż ja, jako jedyna przedstawicielka płci pięknej w Osbaldistone Hall, usuwam się, jak wypada.

Mówiąc to wstała i wyszła, a ja pozostałem, zdumiony bystrością, śmiałością i szczerością, jaką wykazała w rozmowie. Nie potrafię ci dać żadnego wyobrażenia o jej sposobie bycia, chociaż, o ile mi pamięć dopisała, powtórzyłem wiernie jej słowa. W jej zachowaniu się była i nieuczona prostota, i wrodzona inteligencja, i wyniosła, śmiała duma, a wszystko złagodzone i uwydatnione grą fizjonomii najpiękniejszej twarzy, jaką widziałem w życiu. Nie należy sądzić, że uznając jej śmiałe i szczere zwierzenia za dziwne i niezwykłe, mogłem też jako dwudziestodwuletni młodzieniec potępić piękną, osiemnastoletnią dziewczynę za niezachowanie właściwej rezerwy.

Przeciwnie, zaufanie Diany Vernon nie tylko sprawiło mi przyjemność, ale także schlebiali mi, i to pomimo jej oświadczenia, że zyskałem je jedynie jako pierwszy, który jej się nadarzył słuchacz, dość inteligentny, by ją zrozumieć. Z zarozumiałością swego wieku, z pewnością siebie nie umniejszoną przez mój pobyt we Francji, wyobrażałem sobie, że twarz przystojna i zgrabna postać, co wszystko sobie przypisywałem, są warunkami odpowiednimi dla powiernika młodej i pięknej panny. Tym sposobem moja miłość własna wzięła w obronę tę dziewczynę i daleki byłem od sądzenia jej surowo za szczerłość, którą uważałem za usprawiedliwioną moją osobistą wartością. W ten sposób uczucia, jakie jej piękność i wyjątkowość jej położenia budziły same przez się, zwiększyły tylko me przekonanie o jej bystrości i zdrowym sądzie w wyborze przyjaciela.

Po wyjściu Diany zaczęły krążyć butelki. Zagraniczne wychowanie wpoilo we mnie niesmak do pijatyk, na owe czasy, a i dziś, niestety, nader zwykłego nałogu moich rodaków. Rozmowa towarzysząca takim orgiom nie była w moim guście, a w tym wypadku była ona tym przykrzejsza, że całe towarzystwo składało się z członków rodziny. Widząc, na co się zanosi, skorzystałem z nadarzającej się sposobności i umknąłem bocznymi drzwiami prowadzącymi nie wiadomo dokąd. Wołałem takie wyjście niż widok ojca i synów uprawiających razem obrzydłe pijaństwo przy akompaniamencie rubasznych i niesmacznych gawęd. Jak przewidywałem, rzucono się w pościg za mną, by mnie siłą jako dezertera sprowadzić na powrót przed ołtarz Bachusa/72. Usłyszawszy nawoływanie i hałas butów tuż za sobą na kręconych schodach, zrozumiałem, że nie umknę, chyba że się wydostanę na dwór. Toteż pośpiesznie otworzyłem okno wychodzące ze schodów na staroświecki ogród, a że wysokość nie przekraczała sześciu stóp, bez wahania wyskoczyłem. Słyszając jeszcze za sobą zawiedzione wołania: „Hej! Gdzie? Tam! Uciekł! Uciekł!” przebiegłem jedną aleję, szybkim krokiem przeszedłem drugą i dopiero wtedy osądziwszy, że mi już nic nie grozi, zwolniłem kroku rozkoszując się chłodnym powietrzem, tym miłszym mi, że byłem rozgrzany zarówno wypitym winem, jak i szybkim biegiem.

Tak spacerując natknąłem się na ogrodnika, zagłębionego w swej wieczornej robocie, i pozdrowiłem go przystępując bliżej, by się przypatrzeć jego pracy.

— Dobry wieczór, przyjacielu!

— Dobry wieczór, dobry wieczór panu! — odpowiedział nie oglądając się, akcentem, który od razu zdradził jego szkockie pochodzenie.

— Piękną macie pogodę przy waszej robocie, przyjacielu.

— Ha, nie ma się czego uskarżać — odpowiedział, skąpy w pochwałę, jak zwykle ogrodnicy i rolnicy wobec najpiękniejszej nawet pogody. Po czym, podniósłszy głowę, by zobaczyć, kto do niego mówi, dotknął z uszanowaniem swej szkockiej czapeczki i zauważył:

— Ej, Boże mocny! To ci rzadki widok taka złotem naszywana kamizelka tu w ogrodzie wieczorem! Bo oni tam co innego mają do roboty... Rozpinają wszystkie guziki, by zrobić miejsce na mięso, pudding i czerwone wino. Tak, tak... taki to porządek i taki pacierz wieczorny po tej stronie granicy.

— Nie ma tam u was tyle dobrego jedzenia, przyjacielu — odpowiedziałem — więc też nie macie pokusy do późna nad nim wysiadywać.

— Ej, panie, mało pan wie o Szkocji. Nie brak tam co najlepszej żywności. Albo to mało mamy najwyborniejszych ryb, mięsa, gadziny wszelakiej, a grochu, fasoli, rzepy i inszej ogrodowizny? Ale my ludzie skromni i niewiele nam potrzeba, a jadać to zwykł każdy umiarkowanie. Zaś tutaj to od kuchni do jadalni jeno noś a nalewaj, noś a nalewaj, od rana do nocy i od nocy do rana. Nawet ich posty... Oni to nazywają postem, kiedy najlepsze morskie ryby z Hartlepool i Sund Sunderland końmi zwożone mają, już nie mówiąc o pstrągach, łososiach, jesiotrach, które tu łowią... Nawet post u nich to obżarstwo i zgorszenie. Biedne ich dusze, biedne dusze! Ale nie powinienem tak mówić, bo szanowny pan też z pewnością jest katolikiem, takim samym jak oni.

— Nie, mój przyjacielu. Należę do Kościoła prezbiteriańskiego, jestem dysydem.

— A, w takim razie zwracam honor — rzekł ogrodnik, i to z takim żywym uśmiechem, na jaki tylko mogły się zdobyć twarde rysy jego twarzy. Mało tego: jakby chcąc pokazać, że jego przyjaźń nie ogranicza się do słów, wyciągnął z kieszeni olbrzymią tabakierę i z iście braterskim gestem poczęstował mnie tabaką.

Skorzystawszy z jego uprzejmości spytałem, czy od dawna jest na służbie w Osbaldistone Hall.

— Walczyłem z tymi dzikimi bestiami z Efezu/74 — rzekł spojrzawszy na dom — prawie dwadzieścia cztery lata, jakem Andrew Fairservice /74...

— Ale, mój poczciwy Andrew, jeżeli wasza religia i wasza wstrzeźliwość wystawiona jest na takie zgorszenie obrzędami katolickimi i południową gościnnością, to zdaje mi się, że niepotrzebnie znosicie tak długo takie umartwianie i że mogliście chyba znaleźć służbę, gdzie mniej jedzą, a po waszemu czczą Pana Boga. Przypuszczam, że to nie brak zawodowych umiejętności przeszkodził wam w znalezieniu odpowiedniejszego miejsca.

— Nie wypada mi się chwalić — odpowiedział Andrew rozglądając się po ogrodzie z wielkim zadowoleniem — bez wątpienia znam się na swojej robocie, jako że byłem wychowany w parafii Dreepdaily, gdzie pod szkłem prowadzą wczesną sałatę i ogórki. I prawdę mówiąc, to przez te dwadzieścia cztery lata co rok wciąż chciałem dziękować za służbę, tylko że jak czas nadchodzi, zawsze jest coś do zasiania, co bym rad zasiał, albo coś do zebrania, co bym rad zebrał, albo coś ma dojrzeć, co bym rad widział dojrzałe — i tak to z roku na rok pozostawało się... Powiedziałbym, że już sobie pójdę na ten święty Michał, tylko że tak samo na pewno miałem odejść dwadzieścia lat temu, a oto wciąż tu stoję i rozrzucam kretowiska. Tak, tak... A oprócz tego, żeby to wielmożnemu panu tak szczerą prawdę powiedzieć, nikt mi nie ofiarował lepszej służby. Ale gdyby wielmożny pan wiedział dla mnie o jakim miejscu, gdzie bym mógł słyszeć czystą, prawdziwą naukę i mieć wolne pasienie dla krowy i domek, i kawał ogrodu, i więcej niż dziesięć funtów rocznie, i gdzie by nie było w domu pani, co by mi jabłka rachowała, byłbym bardzo, bardzo wdzięczny.

— Doskonale, Andrew! Widzę, że nie tracie okazji do pójścia wyżej, bo umiecie szukać protekcji.

— Nie wiem, dlaczego bym nie miał szukać — odpowiedział Andrew — przecie nie można całe życie czekać, aż się tam ludzie poznają na tym, co człowiek wart!

— Jak widzę jednak, to panie nie mają łaski w waszych oczach?

— O, nie! Jako pierwszy ogrodnik, zawsze staję przeciw paniom! Kiepski z nimi interes. Wiecznie to woła o morele, gruszki, śliwki, jabłka, latem i zimą, ani pyta o porę roku. Ale my tu, chwała Bogu, nie mamy tych Adamowych żeber/75. Jedna tylko stara Marta, ale ta

kontenta, kiedy dzieciaki jej siostry naobrywają do woli porzeczek, gdy czasem przyjdą w święto na podwieczorek, i jak tam czasem zaniósę trochę kuchennych jabłek na jej własną wieczerzę.

— Zapominacie o waszej młodej pani.

— O jakiej pani zapominam? Co takiego?

— O waszej młodej pani, pannie Vernon.

— Co? O tej pannicy?... To nie żadna pani dla mnie. Niech ona sobie będzie panią dla siebie, ale dla nikogo więcej. To jest ziółko!

— Doprawdy? — rzekłem więcej zaciekawiony, niż sam przed sobą przyznać chciałem, a tym bardziej okazać. — Ależ wy, Andrew, znacie wszystkie tajemnice tej rodziny.

— Jeżeli je znam, to umiem je zatrzymać przy sobie — odpowiedział Andrew — nie burzą się one we mnie jak drożdże w beczce, żeby pan wiedział. Panna Diana jest... ale to nie moja sprawa.

I zaczął kopać na pozór bardzo zapalczywie.

— Jaka, Andrew? Jestem przyjacielem tej rodziny i rad bym wiedzieć.

— Juści tam z niej nic dobrego — powiedział mrużąc silnie jedno oko z poważnym a tajemniczym wyrazem. — Coś ten tego... pan wielmożny mnie rozumie?

— Niekoniecznie, Andrew — odpowiedziałem — i chciałbym, żebyście się jaśniej wypowiedzieli. — To mówiąc wsunąłem koronę w twardą dłoń ogrodnika. Dotknięcie srebra wywołało jakiś kwaśny uśmiech na jego usta, z wolna kiwnął głową i wsunął monetę do kieszeni. Uczyniwszy to, jak człowiek, który dobrze rozumie, że należy się teraz odpłacić, wyprostował się, oparł ręce na szpadlu i ułożył twarz w wyraz poważny, jak gdyby miał się podzielić wielką tajemnicą.

— Niechże pan wie, młody panie, skoro panu na tym tak zależy, że panna Vernon jest...

Tu urwał, wciągnął oba policzki tak, że uwidocznione szczęki wraz z długą, kościstą brodą nadały mu pozór dziadka do orzechów, mrugnął raz i drugi, zmarszczył się, potrząsnął głową i zdawało mu się, widać, że miną uzupełnił, czego nie dopowiedział językiem.

— Wielki Boże! — zawołałem. — Taka młoda, taka piękna i tak wcześniej stracona!

— Słusznie pan mówi... ona jest stracona, duszą i ciałem zatracona, bo nie tylko jest papistką, ale mam ją za... — i znów szkocka jego ostrożność wzięła górę, więc zamilkł.



— Za co? — zapytałem surowo. — Chcę koniecznie wiedzieć, co wy przez to rozumiecie!

— No, za najzaciętszą jakobitkę w całym hrabstwie.

— Phi! Za jakobitkę? I nic więcej?

Widząc, że tak lekko traktuję udzieloną mi wiadomość, Andrew spojrzał na mnie trochę zdziwiony. Mruknąwszy jeszcze:

— No, dobrze, to przecież najgorsze, co wiem o tej pannie — zabrał się do swego szpadla jak król Wandalów/76 w ostatniej powieści Marmontela/76.

## ROZDZIAŁ VII

B a r d o l f : Panie mój, panie mój,  
szeryf z całą chmarą straży stoi za progiem.  
Henryk IV, część I

Odszukałem z pewnym trudem pokój dla mnie przeznaczony, a zapewniwszy sobie dobrą wolę i uprzejmość służby stryja w sposób dla niej najlepiej zrozumiały, zamknąłem się u siebie na resztę wieczora. Ze stanu, w jakim się znajdowali krewni moi, gdym ich opuszczałem, oraz z dolatujących z Kamiennej Sali hałasów wnosiłem, że nie są oni odpowiednim towarzystwem dla człowieka trzeźwego.

„Co ojciec mógł sobie myśleć posyłając mnie tu i kazać żyć wśród tej dziwnej rodziny?” Nad tym naturalnie przede wszystkim dumałem. Stryj, było to widoczne, przyjmował mnie jak kogoś, kto przybył na dłuższy pobyt, w prostej zaś swojej gościnności obojętny był niczym Król Hal/77 na to, ile osób żywi swoim kosztem. Ale i to było widoczne, że obecność lub też nieobecność moja równie mu będzie obojętna, jak obecność lub nieobecność kogoś z jego błękitno ubranej służby. Moi kuzynowie byli to prostacy, w których towarzystwie mógłbym jedynie zatracić dobre maniere i staranne wychowanie wyniesione z domu, a nauczyć się chyba tylko tresowania psów, ujeżdżania koni i gonienia lisów. Mogłem przypuszczać, że ojciec mój uważał, iż życie, jakie się wiodło w Osbaldistone Hall, było jedynym sposobem spędzania czasu wszystkich obywateli wiejskich. Dając mi sposobność przyjrzenia się temu i wiedząc, że się tym brzydzić będę, pragnął pogodzić mnie z myślą o pracy w jego własnym zawodzie. Tymczasem wzięłby Rashleigha Osbaldistone do kantoru. Przecież miał tysiąc sposobów zapewnienia mu korzystnej przyszłości na wypadek, gdyby chciał się go pozbyć. Toteż choć poczułem pewien wyrzut sumienia, że z mojej przyczyny Rashleigh, taki, jakim mi go opisała Diana Vernon, przypuszczony zostanie do interesu, a może i do zaufania mego ojca, uspokoilem się prędko, mówiąc sobie, że ojciec sam rządzi swoimi sprawami, wpływu niczyjzego nie uznaje i że wszystko niekorzystne, co mi o tym młodym człowieku wiadomo, doszło do mnie jedynie z ust tej dziwnej i nieopatrnej dziewczyny... Przecież same te jej zwierzenia, z tak nieostrożną szczerością czynione, usprawiedliwiałyby przypuszczenie, że jej sądy są może zbyt pośpieszne i niedokładne.

Tu myśl moja naturalnym biegiem rzeczy zwróciła się do samej Diany, jej nadzwyczajnej urody, jej dziwnej sytuacji, w której polegać mogła jedynie na własnym takcie i rozumie. I pomyślałem, że cała jej istota wbrew woli musi zaciekawiać i przykuwać uwagę, tak jest bowiem różnorodna i tyle w niej żywotności. Rozum mi mówił, że bliskość tej interesującej panny, możliwość częstego i bezpośredniego z nią obcowania zwiększy niebezpieczeństwo, chociaż zmniejszy nudy pobytu w Osbaldistone Hall. Jednakże daremnie wysilałbym cały rozsądek, by obudzić w sobie gniew lub niechęć względem tego rodzaju grożącego mi niebezpieczeństwa. Zresztą uporałem się z tym niepokojem, tak jak to zwykle czynią młodzi ludzie. Postanowiłem być ostrożny, nie zapominać się i uważać tę pannę za kolegę i towarzysza. Tak rozmyślając zasnąłem, a ostatnią moją myślą była, rzecz prosta, Diana Vernon.

Czy śniłem o niej, czy nie, tego ci nie umiem powiedzieć, gdyż byłem znużony i spałem twardo. O niej jednakże najpierw pomyślałem, gdy mnie o świcie zbudziły wesołe tony myśliwskiej trąbki. Zerwać się, kazać sobie konia osiodłać — to był mój pierwszy odruch, toteż w parę minut byłem na dziedzińcu, gdzie psy, ludzie i konie wartko się zbierali i gotowali. Stryj, który się może nie spodziewał tak rażnego myśliwego w synowcu wychowanym gdzieś za granicą, był jakby zdziwiony moim widokiem i wydawało mi się, że w tonie jego rannego pozdrowienia mniej było tej gościnnej serdeczności, z jaką mnie przyjął w swym domu.

— Jesteś, chłopcze?... No cóż, młodość jest krewka... Ale ty się pilnuj... pamiętaj starą piosenkę:

Kto galopuje nad przepaści brzegiem,  
Łatwo się stoczyć w nią może...

Przypuszczam, że mało jest młodych ludzi, którzy by nie woleli stanąć raczej pod każdym innym zarzutem niż budzić powątpiewanie w swą umiejętność władania koniem. Ponieważ nie brakło mi ani zręczności, ani odwagi, przykro mnie dotknęła uwaga stryja i zapewniłem go, że dam sobie radę i podążę tuż za psami.

— Nie wątpię, chłopcze — odpowiedział — jesteś tegim jeźdźcem, to ci przyznaję... ale ty się strzeż. Twój ojciec przysłał cię tutaj, bym cię okiełznał, i będę cię musiał na uzdeczce prowadzić, bo jeszcze gotów się znaleźć ktoś inny, kto cię na linkę weźmie, jeśli ja cię spuszczę z oka.

Ponieważ to przemówienie było dla mnie zgoła niezrozumiałe, przy tym nie wprost do mnie zwrócone, ale wygłoszone jakoby „na stronie”, niby to głośny wyraz czegoś, co przez myśl przeszło memu szanownemu stryjowi, więc wytłumaczyłem sobie, że albo odnosi się to do mojej wczorajszej ucieczki przed butelką, albo też, że stryj jest nie w humorze po nocnej hulatyce i rankiem czuje się trochę nieswój. Przemknęła mi tylko myśl, że jeśli stryj okaże się niegościnnym, tym krócej u niego pobawię. Zaraz też pośpieszyłem powitać pannę Vernon, która właśnie zmierzała w moją stronę. Pobieźnie przywitałem się z moimi kuzynami, spostrzegłem jednak, że uwzięli się złośliwie krytykować mój ubiór, począwszy od czapki, a skończywszy na strzemionach, uśmiechając się drwiąco na wszystko, co wyglądało nowo lub z cudzoziemska. Przestałem na nich zważać i z obojętną miną stanąłem u boku Diany, jedynej w tym gronie osoby, którą uważałem za odpowiednie dla mnie towarzystwo. Tak więc, jadąc obok siebie, wyruszyliśmy na oznaczone miejsce, a była nim kępa zarośli nad brzegiem rozległego pastwiska. Dojeżdżając tam, zauważyłem zwracając się do Diany, że nie widzę kuzyna Rashleigha. — O, nie — odpowiedziała — wielki z niego myśliwy, ale dla niego zwierzyną jest człowiek!

Psy odpowiednio zachęczone buszowały w zaroślach, powstał ruch i gwar. Kuzynowie moi zbyt teraz byli przejęci polowaniem, by zwracać na mnie uwagę, raz tylko usłyszałem, jak Dick-dżokej szepnął do Wilfreda-bałwana:

— Uważaj, czy też nasz francuski kuzynek nie wyleci z siodła, jak tylko konie się zerwą!

Na to Wilfred odpowiedział:

— Bardzo być może, bo ma jakąś dziwną, cudzoziemską opaskę na kapeluszu.

Thorncliff jednakże, który na swój sposób zdawał się być wrażliwy na urodę swej krewniaczki, postanowił dotrzymać nam towarzystwa — może, by czuwać nad tym, co się dzieje między mną a Dianą, lub może, by cieszyć się z bliska moim przewidywanym upadkiem. Przeliczył się jednak. Po daremnych poszukiwaniach, które zajęły nam dużą część przedpołudnia, nareszcie znalazł się lis i dał się ścigać dobre dwie godziny. Cały ten czas mimo francuskiej opaski na kapeluszu zaszczyciłem moją opinię jako jeźdźca ku uznaniu stryja i Diany, a cichemu zawodowi tych, którzy spodziewali

się mej kompromitacji. Lis jednak okazał się niezwykle chytry i psy raz wraz gubiły trop. Zauważyłem wtedy, że panna Vernon zniecierpliwiała się nieustannym towarzystwem Thorncliffa, ponieważ zaś ta energiczna osóbka zawsze bez wahania obierała najprostszą drogę do celu, rzekła do niego tonem wymówki:

— Nie wiem, dlaczego ty, Thornie, kręcisz się całe rano przy moim siodle, skoro wiesz, że lisie nory pod młynem w Woolverton nie są pozatykane !

— Wiem coś innego, Dianko, bo mi młynarz na wszystkie świętości przysięgał, że zatkał je o północy.

— Wstydz się, Thornie! Ty wierzysz słowom młynarza? Przecież w tych norach trzy razy w tym sezonie lis nam przepadł, a ty na twojej siwce mógłbyś to sprawdzić w dziesięć minut.

— Dobrze, Dianko, pojedę do Woolverton, a jeżeli nory nie są zatkałe, to młynarzowi dobrze kości natrzęsę.

— Zrób to, mój drogi, daj mu porządną nauczkę... No wio! Jazda! — A gdy Thorncliff puścił się galopem, dodała: — Albo sam daj się wytrzepać, co mi równie miłym będzie!... Muszę ich uczyć dyscypliny i posłuszeństwa słowom komendy — ciągnęła dalej. — Formuję pułk, musi pan wiedzieć. Thornie będzie moim sierżantem, Dick będzie ćwiczył kawalerię, a Wilfred z swoim niskim, rubasznym głosem będzie dobozem.

— A Rashleigh?

— Rashleighowi oddam służbę wywiadowczą.

— A dla mnie znajdzie się tam jaka służba, nadobny pułkownika?

— Będziesz pan miał do wyboru: albo zostać płatniczym pułku, albo zawiadowcą bagaży. Ale psy kręcą się i już darmo węszą. Jedźmy, kuzynie, ślad ostygł i nieprędko go odnajdą. Chcę panu pokazać pewien widok.

Rzeczywiście wjechała truchtem na szczyt łagodnego wzniesienia, skąd roztaczał się rozległy widok. Obejrząwszy się dokoła, by się przekonać, czy nikogo nie ma w pobliżu, skierowała konie w cień kilku brzoź, które odgrodziły nas od widoku reszty myśliwych.

— Czy widzi pan — rzekła — to wzgórze spiczaste, brunatne, wrzosem porośnięte, mające jak gdyby białawą plamę na boku?

— Na końcu tej długiej linii nierównych, torfiastych wyżyn? Widzę je dokładnie.

— Ta biaława plama to skała, która zwie się Hawkesmore-crag, a Hawkesmore-crag leży w Szkocji.

— Naprawdę? Nie przypuszczałem, że znajdujemy się tak blisko granicy.

— Właśnie, pański koń zaniósłby tam pana w dwie godziny.

— Nie będę go jednak trudzić. To musi być przynajmniej osiemnaście mil w prostej linii.

— Może pan wziąć moją klacz, jeśli pan sądzi, że mniej jest zbiegana. Mówię panu, że za dwie godziny może pan być w Szkocji.

— A ja mówię, że nie mam najmniejszej ochoty tam jechać, że gdyby głowa mego konia wysunęła się poza granicę, jeszcze bym ogonowi jego nie dał przejść. Co ja bym tam robił?

— Zapewniłby pan sobie bezpieczeństwo, jeśli mam mówić wyraźnie. Rozumie mnie pan teraz?

— Ani trochę. Mówi pani zagadkami.

— W takim razie, słowo daję, albo mi pan najniesłuszniej nie ufa i lepiej umie udawać od samego Rashleigha, albo nie wie, co panu zarzucają, a w takim razie nic dziwnego, że pan tak się we mnie wpatrzył, że aż śmiech bierze.

— Słowo honoru, kuzynko — rzekłem trochę zniecierpliwiony jej dziecinną skłonnością do śmiechu — nie mam najlżejszego pojęcia, co pani ma na myśli. Bardzo się cieszę, że mogę panią pobudzić do śmiechu, ale absolutnie nie wiem dlaczego.

— Nie, ostatecznie tu nie ma żartów — rzekła Diana poważniejąc — ale uśmiełałam się z tej miny człowieka, który spadł z księżyca. Sprawa jest dość poważna. Znasz pan niejakiego Moraya, Morrisa czy coś podobnego?

— Nie przypominam sobie w tej chwili.

— Może się pan trochę zastanowi. Czy w ostatnich czasach nie podróżował pan z kimś tego nazwiska?

— Jedyne człowiek, z którym podróżowałem nieco dłużej, był to jegomość, który, zdawałoby się, duszę własną zamknął w swojej torbie.

— W takim razie jego dusza leżała między dukatami, a teraz został ograbiony i wniósł skargę przeciw panu jako rzekomemu rabusiowi.

— Pani żartuje!

— Ani trochę.

— I czy pani — zapytałem z oburzeniem, którego nawet nie próbowałem pohamować — czy pani sądzi, że byłbym zdolny zasłużyć na takie oskarżenie ?

— Wyzwałby mnie pan na pojedynek za to, gdybym miała szczęście być mężczyzną? Może mnie pan wyzwąć i tak, jeśli pan zechce, bo umiem strzelać, tak samo jak umiem skakać przez zamkniętą bramę.

— I jest pani ponadto pułkownikiem konnicy — odpowiedziałem uznając, że próżno gniewać się na nią. — Ale niechże mi kuzynka ten cały żart wytłumaczy.

— Nie ma w tym żartu. Jest pan oskarżony o ograbienie człowieka, a wuj mój wierzy w to, równie jak i ja wierzyłam.

— Na honor, wielce jestem wdzięczny przyjaciołom za dobre o mnie mniemanie!

— No, niechże już pan raz przestanie tak parskać, prychać, sapać, wytrzeszczać oczy... jak wystraszony koń!... Nie ma w tym takiej obrazy, jak pan sądzi. Nikt pana nie obwinia o drobną kradzież lub pospolity rabunek... Nie, nie! Ten człowiek wiózł rządowe pieniądze w złocie i banknotach na wypłatę dla wojsk stacjonowanych na północy. Jest też mowa o tym, że zrabowano mu jakieś bardzo ważne papiery.

— A zatem jestem oskarżony o zdradę stanu, a nie o prosty rabunek?

— Otóż to, a zdrada stanu, jak panu wiadomo, po wsze czasy uchodziła za zbrodnię dżentelmenów. Wielu pan znajdzie w tych stronach, a nawet kogoś tuż blisko siebie, kto wszelkiego rodzaju dokuczanie rządowi hanowerskiemu/83 uważa za chwalebne przedsięwzięcie.

— Ani moje polityczne, ani etyczne przekonania, kuzynko, nie są aż tak giętkie.

— Doprawdy zaczynam wierzyć, że jest pan prezbiterianinem i hanowerczykiem... Ale co pan teraz robi?

— Chcę natychmiast zaprzeczyć temu oszczerstwu — odpowiedziałem. — Przed kim mnie tak oskarżono?

— Przed starym panem Inglewood, który dość niechętnie je przyjął. Dał znać wujowi, pewnie dlatego, żeby ułatwić panu ucieczkę do Szkocji, dokąd już rozkaz aresztowania nie sięga. Wuj jednak dobrze wie, że jego religia i dawne polityczne sympatie czynią go źle widzianym u rządu i że gdyby go przychwycono na czymś podobnym,

odebrano by mu broń, a co gorsza i konie, jako jakobiecie, papiście i osobie podejrzaney/1.

1/W początkach XVIII wieku, gdy w kraju zanosilo się na zamieszki, odbierano konie katolikom, wychodząc z założenia, że są oni zawsze w przededniu buntu \przyp. aut.).

— Mogę sobie wyobrazić, że raczej wolałby wydać bratanka niż stracić swoje konie!

— Nie tylko bratanka, ale siostrzenicę, synów, córki, gdyby je miał, i całe pokolenie, toteż nie ufaj mu pan ani na chwilę, tylko uciekaj, zanim przygotują rozkaz aresztowania.

— Tak też zrobię, ale do domu sędziego Inglewood. Gdzież on jest?

— Około pięciu mil, w dolinie za tamtym zagajnikiem, widać stąd wieżę zegarową.

— Będę tam za kilka minut — rzekłem przynaglając konia do biegu.

— A ja pojedę z panem i pokażę drogę — rzekła Diana i popędziła swego wierzchowca.

— Proszę o tym nawet nie mówić — odpowiedziałem — i przepraszam, że powiem szczerze, po przyjacielsku... to nie jest właściwe, to nie wypada, by mi pani towarzyszyła, gdy jadę w takiej sprawie!

— Rozumiem — odpowiedziała Diana i lekki rumieniec zabarwił jej dumne czoło — wyraźnie pan to powiedział. — A po krótkiej przerwie dodała: — I wierzę, że to było poczciwie pomyślane.

— Tak jest, kuzynko. Czy przypuszczasz, że mogę być obojętny na życzliwość, jaką mi pani okazuje, albo że jestem niewdzięczny? — Powiedziałem to mimo woli poważniej, niż chciałem. — Okazuje mi pani prawdziwą życzliwość, bo w chwili rzeczywistej potrzeby. Ale we własnym pani interesie... w obawie, by tego fałszywie nie tłumaczono... nie mogę pozwolić, by pani rządziła się tylko swoją wspaniałomyślnością. To jest sprawa publiczna, nieledwie wystąpienie na sali sądowej!

— A gdyby to było nie tylko „nieledwie”, ale naprawdę wystąpieniem na sali sądowej, czy myśli pan, żebym tam nie stanęła, gdybym to uważała za słuszne i gdybym pragnęła obronić przyjaciela? Nie ma pan nikogo, kto by za panem się ujął. Jest pan u nas obcy, a tutaj, na kresach królestwa, sędziowie ziemscy różnie sobie poczynają. Wuj nie ma ochoty wplątywać się w tę sprawę; Rashleigh jest nieobecny, a nawet gdyby tu był, nie wiadomo, po której by stronie stanął. Reszta



wszyscy jeden od drugiego głępsi albo brutalniejsi. Pojadę z panem i myślę, że potrafię się przydać. Nie jestem malowaną laleczką i nie umieram ze strachu przed księgami prawniczymi, twardym słowem albo sędziowską peruką.

— Ależ, droga kuzynko...

— Ależ, drogi kuzynie, proszę się uspokoić, być cierpliwym i pozwolić mi robić, co chcę. Bo jak na kiel wezmę, żadne wędzidło mnie nie powstrzyma.

Choć schlebiało mi, że ta śliczna istota interesuje się moim losem, drażniła mnie jednak myśl, że śmieszna będę miał minę wiodąc ze sobą jako adwokata osiemnastoletnią panienkę. Lękałem się przy tym na serio, by fałszywie pobudek jej nie tłumaczono, toteż raz jeszcze usiłowałem odwieść ją od tego zamiaru. Samowolna dziewczyna wprost mi jednak odpowiedziała, że wszelkie moje perswazje są daremne, że jest prawdziwą córką rodu Vernonów i jako taka nie da się nakłonić żadnym względem do opuszczenia przyjaciela w niedoli, nawet gdyby tylko trochę mogła mu się przydać; i że wszystko, co bym mógł w tej kwestii powiedzieć, jest bardzo słuszne, gdy idzie o ładne, dobrze wychowane i dobrze ułożone panienki z miejskich pensji, ale nie stosuje się do niej, która przywykła rządzić się jedynie własnym zdaniem.

Gdy to mówiła, zbliżaliśmy się szybko do siedziby Inglewooda. Jak gdyby dla przerwania moich dalszych perswazji, Diana zaczęła mi kreślić humorystyczny obraz sędziego i jego sekretarza. Inglewood był wedle jej opisu eks-jakobitą, to znaczy, że należał długi czas do tej większości tutejszych obywateli ziemskich, którzy nie składali rządowi przysięgi. W ostatnich czasach złożył ją, a tym samym uzyskał kwalifikacje na sędziego ziemskiego.

— Zrobił to — mówiła — pod naciskiem gwałtownych nalegań większości tutejszych ziemian, którzy z żalem widzieli, że myśliwskie prawa, a wraz z nimi i sport cały obracają się wniwecz przez to, że nie ma nikogo, kto by zmuszał ludzi do ich przestrzegania, najbliższym bowiem sędzią był major z Newcastle, który, więcej pochopny do spożywania zwierzyny — naturalnie dobrze przyrządzonej — niż do strzeżenia jej za życia, sprzyjał raczej kłusownikom niż sportsmenom. Toteż postanowiwszy, że warto, by ktoś spomiędzy nich poświęcił skrupuły jakobickiej lojalności dla ogólnego dobra, okoliczna szlachta nałożyła ten obowiązek na Inglewooda. Uważali oni, że ponieważ jest

uczuciowo dość niemrawy, może bez wielkiego wstrętu zmienić swe polityczne credo/85. W ten sposób pozyskawszy ciało sędziowskie — mówiła dalej — postarali się o sekretarza, a więc o duszę, która by nim poruszała i kierowała. W tej myśli zdobyli bystrego adwokata z Newcastle, Jobsona, który lubuje się w wymierzaniu sprawiedliwości imieniem pana Inglewooda. Że zaś jego dochody zależą od ilości spraw, więc wciąga swego pryncypała w tak szeroki zakres prawnego działania, o jakim się poczciwcowi nawet nie śniło.

Doszło do tego, że żadna handlarka jabłek na kilka mil wkoło nie może załatwić swego rachunku z wędrownym przekupniem bez audiencji u niechętnego sędziego Inglewooda i jego energicznego sekretarza Josepha Jobsona. Jednak najzabawniejsze sceny odgrywają się wtedy, gdy wpływają do sędziego takie sprawy, jak na przykład ta nasza dzisiejsza, mająca nieco politycznego zabarwienia. Joseph Jobson (mając w tym swoje własne wystarczające powody) jest żarliwym zwolennikiem religii protestanckiej i obecnego rządu. Zwierzchnik jego jest instynktownie przywiązany do przekonań, które jawnie wyznawał, póki ich nie porzucił w patriotycznym celu walki z kłusownictwem i niszczeniem tak grubej zwierzyny, jak cietrzewie, kuropatwy i zające. Otóż Inglewood jest w najgorszym kłopotcie, gdy gorliwość jego pomocnika wciągnie go w sprawę wiążącą się z jego dawnymi przekonaniami. Wtedy to zamiast gorliwość sekretarza popierać, najczęściej przeciwstawia jej zdwojoną porcję nieudolności i ociężałości. I ta bezczynność bynajmniej nie pochodzi z głupoty. Przeciwnie, jak na kogoś, kto największą rozkosz znajduje w jedzeniu i piciu, jest to żwawy, wesoły i żywy staruszek i to czyni przybraną jego niemrawość tym zabawniejszą. W takich wypadkach widziałbyś pan Jobsona, który jak chuderlawa szkapina, zmuszona ciągnąć zbyt naładowany wóz, szarpie, sapie, parska, by sędziego w ruch puścić, gdy tymczasem, choć koła skrzypią, piszczą i z wolna się obracają, nadmierny ciężar wozu udaremnia wysiłki chętnego czworonoga i hamuje wszelki ruch naprzód. Co więcej, słyszałam, że Jobson, jako niefortunna szkapa, skarżył się, że ten sam wóz sprawiedliwości, który mu niekiedy tak trudno z miejsca ruszyć, w innych wypadkach potrafi sam ze siebie wcale prędko toczyć się pociągając go za sobą, a mianowicie wtedy, gdy można w czymś usłużyć dawnym przyjacielom pana Inglewooda. W takich razach Jobson zaczyna szeroko gadać, że podałby skargę na swego zwierzchnika do

sekretarza stanu w departamencie spraw wewnętrznych, gdyby nie osobisty szacunek i przyjaźń, jaką ma dla pana Inglewoda i jego rodziny...

Diana Vernon właśnie kończyła swój humorystyczny opis, gdy dojeżdżaliśmy do Inglewood Place, przed ładny, choć staroświecki dwór, świadczący swoim wyglądem o zamożności i znaczeniu rodziny.

## ROZDZIAŁ VIII

Panie! — rzekł prawnik — bez pochlebstw rzeke,

Masz w twej piwnicy baterię zacną,

Że serce lepszej zapragnąć nie może —

Taką u możnych znaleźć niełatwo.

BUTLER/87

Służący w liberii sir Hildebranda, którego spotkaliśmy na dziedzińcu, odprowadził nasze konie i weszliśmy do domu. Zdumiałem się, a moja piękna towarzyszka jeszcze bardziej, gdy w wejściowym hallu ujrzeliśmy Rashleigha Osbaldistone, który, widząc nas tu, również nie mógł ukryć swego zdziwienia.

— Rashleighu — przemówiła Diana nie dając mu czasu na żadne pytanie — słyszałeś o sprawie pana Francisa Osbaldistone i mówiłeś o tym z sędzią?

— Naturalnie — odpowiedział Rashleigh spokojnie — w tym interesie tu jestem. Staralem się — dodał z ukłonem w moją stronę — przysłużyć się kuzynowi, ile w mej mocy. Ale żałuję, że go tu widzę.

— Jako życzliwy mi człowiek i ponadto jako krewny, kuzynie, powinien byś raczej żałować, gdybyś mnie spotkał gdziekolwiek indziej w chwili, gdy dbałość o moje dobre imię nakazuje mi stawić się tutaj możliwie jak najprędzej.

— Prawda, ale opierając się na tym, co mówił mi ojciec, przypuszczałbym, że krótki pobyt w Szkocji... dopóki się sprawy jakoś spokojnie nie zatuszuje...

Odpowiedziałem gorąco, że nie potrzebuję się liczyć z ostrożnościami ani też nie chcę niczego tuszować. Przeciwnie, przybyłem tu, żeby zbadać gruntownie, co znaczy ta łotrowska kalumnia.

— Kuzyn Francis jest niewinny, Rashleighu — dodała Diana. — Żąda on śledztwa w sprawie doniesienia, a ja zamierzam go w tym poprzeć.

— Ty, śliczna kuzyneczko? Otóż mnie się zdaje, że byłoby równie skuteczne, a może właściwsze, gdybym to ja mu pomógł.

— Z pewnością, ale sam wiesz, że co dwie głowy, to nie jedna.

— Zwłaszcza taka jak twoja, moja śliczna Dianko — rzekł zbliżając się i ujmując jej rękę z kuzynowską czułością, przez co stał się w moich oczach jeszcze stokroć brzydszy, niż nim był w istocie.

Diana tymczasem odprowadziła go parę kroków na bok. Rozmawiali przyciszonym głosem — ona zdawała się nalegać na coś, on się

wzbraniał, jakby tego nie chciał czy nie mógł spełnić. Nigdy nie widziałem tak silnego przeciwieństwa między wyrazem dwóch twarzy. Twarz Diany z poważnej stała się gniewną; ożywiły się jej oczy i lica, oblała się rumieńcem, zacisnęła drobną rękę — tupiąc zdawała się słuchać z pogardą i oburzeniem wyjaśnień i uniewinień, które, po jego unizonych ruchach, łagodnym, pełnym szacunku uśmiechu, wzbraniającym się, acz kornym układzie postaci sądząc, Rashleigh u stóp jej składał. Wreszcie porywczo odwróciła się od niego, rzucając stanowczo:

— A ja tak chcę!

— To nie jest w mojej mocy... to się nie da zrobić. Niech pan sobie wyobrazi, kuzynie... — zwrócił się do mnie.

— Czyś ty zwariował? — przerwała mu Diana Vernon.

— Wyobraź sobie, kuzynie — mówił dalej, nie zważając na jej znaki — panna Vernon upiera się, że ja nie tylko wiem o pańskiej niewinności (nikt zaiste więcej ode mnie przekonany o tym być nie może), ale także, że wiem i o tym, kto dokonał tego napadu — jeżeli istotnie taki napad się zdarzył. Czy to ma sens, kuzynie?

— Proszę się nie odwoływać do pana Osbaldistone, Rashleighu — wtrąciła Diana. — On nie orientuje się tak jak ja, jak daleko sięgające, jak dokładne wiadomości o wszystkim ty zawsze posiadasz.

— Na honor, czynisz mi zaszczyt ponad zasługę.

— Oddaję ci tylko sprawiedliwość, tylko sprawiedliwość... i sprawiedliwości tylko wymagam od ciebie.

— Jesteś tyranką, Dianio — westchnął — kapryśną tyranką, a żelazną różdżką sprawujesz rządy nad przyjaciółmi swymi. No niechże będzie, jak sobie życzysz. Ale ty nie powinnaś tu być, sama wiesz, że nie powinnaś. Wracaj ze mną.

Po czym, odwracając się od Diany, która zdawała się namyślać, podszedł do mnie najprzyjaźniej w świecie i rzekł:

— Nie powinieneś wątpić, kuzynie, że bardzo się przejąłem twoją sprawą. Jeżeli ciebie opuszczam na chwilę, to tylko dlatego, by działać w twoim interesie. Ale wpływ na kuzynkę, by zechciała wrócić. Jej obecność nic ci nie pomoże, a jej może zaszkodzić.

— Zapewniam — odpowiedziałem — że nie mniej od ciebie jestem o tym przekonany. Błagam kuzynkę usilnie, by zechciała wrócić.

— Zastanowiłam się dobrze — rzekła Diana po chwili — i nie oddalę się stąd, dopóki się nie dowiem, że uszedł pan cało z rąk

Filistynów/89... Kuzyn Rashleigh, ufam, chce jak najlepiej, ale on i ja dobrze wzajemnie się znamy. Rashleighu, ja nie pojedę. Ja wiem — dodała uspokajająco — że świadomość, iż tu jestem, doda ci także bodźca do spieszniejszego działania.

— A więc zostań, ty samowolna, uparta dziewczyno — rzekł Rashleigh. — Wiesz aż za dobrze, komu ufasz!

Wybiegł spiesznie z hallu i w chwilę potem usłyszeliśmy szybki tętent jego konia.

— Chwała Bogu! Pojechał! — odetchnęła Diana. — A teraz poszukajmy sędziego.

— Czy nie byłoby lepiej zawołać służącego?

— O, nie! Ja znam drogę do jego jaskini... Musimy wpaść na niego niespodziewanie... Proszę iść za mną.

Szedłem tedy za nią, ona zaś prowadziła mnie naprzód po kilku ciemnych stopniach, potem przebyła na wpół oświetlony korytarz, aż weszliśmy do rodzaju przedpokoju, którego ściany obwieszane były starymi mapami, architektonicznymi szkicami i drzewami genealogicznymi. Wiodły stąd drzwi do bawialnego pokoju pana Inglewoda, skąd dochodził końcowy ustęp starej piosenki, śpiewanej głosem, który musiał swego czasu dobrze się nadawać do wesołych piosenek przy butelce:

W Skipton in Graven

Nie ma schronienia,

A częste są sloty i burze;

Zaś ten, kto potrafi

Odmówić dziewczynie,

Niech skończy dyndając na sznurze.

— No, proszę! — rzekła Diana. — Jowialny sędzia musi już być po obiedzie. Nie przypuszczałam, że jest tak późno.

Tak też i było. Pan Inglewood, z apetytem zaostrzonym urzędowaniem, przyśpieszył swój południowy posiłek i zjadł obiad o dwunastej zamiast o pierwszej, jak to w owe czasy było w zwyczaju w Anglii. Los sprawił, że przyszliśmy już po obiedzie, a więc po najważniejszym dla sędziego zdarzeniu dnia.

— Niech pan zostanie tutaj — rzekła Diana. — ja znam dom i zawołam służącego. Pana nagłe ukazanie się mogłoby przestraszyć starego pana i mógłby się nawet udławić.

Uciekła zostawiając mnie w niepewności, czy powinienem iść naprzód, czy się cofnąć. Nie mogłem nie słyszeć części tego, co się działo w jadalnym pokoju, zwłaszcza jakichś tłumaczeń się i wymawiań od śpiewania, wypowiedzianych smętnym i kraczącym głosem, który wydawał mi się znajomym.

— Nie chce pan śpiewać? Na Boga! Ale pan musi! Co? Golnął pan mój kokosowy pucharek szampana i mówił mi pan, że nie potrafi śpiewać! Mój panie, po szampanie to kot nawet zaśpiewa, co tam! przemówi nawet. A więc dalej, jazda z wesołą piosenką, a nie — to wynoś się pan za drzwi! Czy pan myśli, że pan mi będzie zabierał cały mój drogocenny czas swoimi przekłętymi deklamacjami, a potem powie mi pan, że nie umie śpiewać?

— Jego dostojność ma zupełną słuszość — przemówił drugi głos, który, sądząc po aroganckim i zarozumiałym akcencie, mógł być głosem sekretarza — a strona powinna się zastosować. On ma na czole napisane „powinien”.

— A więc dalej — mówił sędzia — albo, na świętego Krzysztofa, będzie pan musiał golnąć puchar z kokosu pełen wody z solą, zgodnie z przepisami statutu na taki cel i wydatek.

Po takich upomnieniach i groźbach mój były towarzysz podróży, bo już dłużej nie mogłem wątpić, że to on, głosem podobnym do głosu skazańca śpiewającego ostatni psalm na szafocie zanucił wielce bolesciwą pieśń w te słowa:

O dobrzy ludzie, proszę, słuchajcie,  
Smutnej powieści tej wiarę dajcie,  
O rozbójniku okrutnym srodze,  
Co podróżnego napadł na drodze  
Swoim bum tara rarara bum.

Ten łotr, wart stryczka, był mocno zbrojny,  
Miał miecz, pistolet, choć nie w czas wojny,  
Między Kensington a Brentford tedy  
Sześciu podróżnym narobił biedy  
Swoim bum tara rarara bum.

W Brentford ci ludzie obiadowali,  
Wina po miarce w siebie nalali,  
Zuchwały rabuś klnąc ich obficie  
Krzyknął: „Psy jedne, trzosa lub życie!”  
Swoim bum tara rarara bum.

Wątpię, czy tych pocziwców, których przygodę ta smutna piosenka opiewa, bardziej przeraziło zjawienie się zuchwałego rabusia niż śpiewającego mój widok, ja bowiem nie mogąc się doczekać, by mnie kto przyszedł zaanonsować, a czując niezręczność mojej roli podsluchującego, stanąłem przed zgromadzonym towarzystwem właśnie w chwili, gdy mój znajomy zaczynał piątą strofę swej smutnej ballady. Wysoki ton, który właśnie brał, zamienił się w żałośliwe tremolo, wreszcie zamarł na ustach, szeroko z przerażenia otwartych, jakby na widok głowy Gorgony/91.

Sędzia, który tymczasem się zdrzemnął pod wpływem sennie kołyszącego śpiewu, ocknął się, gdy śpiew ten ustał, i ze zdziwieniem wytrzeszczył oczy na nowego przybysza. Sekretarz, wnosząc z jego miny, był mocno poruszony, siedział bowiem naprzeciw Morrisa, a strach tego pana udzielił mu się, choć nie wiedział, o co chodzi.

Ja pierwszy przerwałem ogólne milczenie:

— Sędzio Inglewood, nazywam się Francis Osbaldistone. Dowiedziałem się, że jakiś łotr zaniósł przed pański sąd skargę na mnie, jakobym był winien straty, którą on rzekomo miał ponieść.

— Proszę pana — odpowiedział sędzia trochę kwaśno — to są sprawy, w które nigdy nie wchodzę po obiedzie. Jest czas na wszystko, a sędzia pokoju musi jeść, tak samo jak każdy inny.

Nawiasem mówiąc, okrągłutka postawa sędziego bynajmniej nie wykazywała, by cierpiał od postów czy to w służbie prawa, czy religii.

— Bardzo przepraszam za przyjście nie w porę, panie sędzio, jednakże ponieważ tu chodzi o moją dobrą sławę, a obiad zdaje się skończony...

— Nie jest skończony, mój panie! — odpowiedział sędzia. — Człowiek potrzebuje nie tylko pożywienia, ale i trawienia, ja zaś twierdzę, że posiłek nie idzie mi na użytek, jeśli nie mam po nim dwóch godzin spokojnego wypoczynku, niewinnej przyjemności i umiarkowanie krążącej butelki.

— Jeżeli wasza cześć zechce mi przebaczyć — wtrącił Jobson, który zdążył tymczasem przygotować papier i pióro — ponieważ ten pan się niecierpliwi, a sprawa jest poważna, oskarżenie contra pucem domini regis/92...

— Diabli nadali domini regis — przerwał zniecierpliwiony sędzia — myślę, że nie ma w tym obrazy majestatu, że się tak wyraziłem, ale doprawdy zwariować można, gdy tak kogo dręczą. Czy ja mam choć



chwilę spokojną w życiu? Nic, tylko rozkazy aresztowania, przesłuchania, akta, kontrakty, najmy, obligi, pozwy... Mówię panu, panie Jobson, że którego pięknego poranku i pana, i cały ten sędziowski kram wyrzucę do licha!

— Niech wasza cześć pomyśli, jak wysoką godność piastuje będąc jednym z quorum \*, custos rotulorum \*... urząd, o którym sir Edward Coke /92 mądrze powiedział, że „cały chrześcijański świat nie ma mu równego, jeśli jest dobrze sprawowany”.

— A więc dobrze — rzekł sędzia, po trosze udobruchany tą pochwałą godności swego urzędu, i utopiwszy resztę niezadowolenia w wielkim pucharze czerwonego wina, powiedział: — Zabierajmy się tedy do tej sprawy i pozbadźmy się jej jak najprędzej. A więc, panie tego... panie Morris... panie rycerzu smętnej postaci... czy ten tu obecny pan Francis Osbaldistone jest właśnie tym, którego pan oskarża o czynne wzięcie udziału w ograbieniu pana?

— Ja, panie sędzio? — odpowiedział Morris, który zaledwie zaczynał wracać do przytomności. — Ja wcale nie oskarżam, ja nic nie mówię przeciw temu panu.

— W takim razie oddaliśmy pańską skargę, mój panie, i kwita... i dobry taki koniec. Posuń pan butelkę dokoła stołu... Panie Osbaldistone, niech pan sobie naleje.

Jobson jednak postanowił nie wypuścić Morrisa tak łatwo i tak tanio.

— Co pan myśli, panie Morris? Tu jest własne pańskie zeznanie... ledwie atrament obsechł... a pan je już tak skandalicznie odwołuje!

— Czyż ja mogę wiedzieć — szepnął tamten drżącym tonem — ilu łotrów on z sobą przyprowadził? Czytałem o takich rzeczach w Johnsona Życiorysach bandytów. Niech się tylko drzwi otworzą...

Otworzyły się drzwi i weszła Diana Vernon.

— Ładny porządek utrzymuje tu pan, panie sędzio! Nikogo ze służby... ani widu, ani słyhu!

— Ach! — zerwał się sędzia z pośpiechem, który świadczył, że nie pochłaniał go tak dalece kult Temidy \* i Comusa \*, by zapomnieć, co się należy piękności. — Ach, Dianka Vernon, dzwonek wrzosowy Cheviotu, kwiecie Granicy, przychodzi skontrolować gospodarstwo starego kawalera? Jesteś miłym gościem, dziewczątko, jak kwiaty w miesiącu maju.

— Piękny, otwarty, gościnny dom prowadzi pan, sędzio, to już trzeba przyznać... Żywej duszy gość się dowołać nie może.

— Łotrzyki! Widać liczyli, że są bezpieczni, bo ja odpoczywam... Ale dlaczegóż nie przybyłaś wcześniej? Twój kuzyn Rashleigh zjadł obiad i uciekł jak tchórz zaraz po pierwszej butelce... Ale ty nie jadłaś obiadu... zaraz każę zrobić coś dobrego i lekkiego — słodkiego i ładnego jak ty sama... będzie gotowe w kwadrans...

— Przegryzłabym przed wyjazdem kromkę chleba — odpowiedziała Diana — gdyż naganiałam się od rana, ale nie mogę się długo zatrzymywać, sędzio. Przyjechałam tu z moim kuzynem Frankiem Osbaldistone i muszę mu pokazać drogę z powrotem, inaczej gotów zabłądzić na pustyni.

— Ach... więc to z tej strony wiatr wieje?! — zawołał sędzia.

Drogę mu pokazywała, drogę mu pokazywała.

Drogę, jak ma iść w zaloty...

Więc cóż? Więc stary kawaler nie będzie miał szczęścia, moja śliczna dzika różyczko?

— Nie będzie miał, nie będzie miał dzisiaj, panie Inglewood, ale jeżeli pan będzie dobrym, uprzejmym sędzią i załatwi sprawę tego młodzieńca tak, byśmy mogli pokłusować do domu, obiecuję na przyszły tydzień przyjechać tu z wujem na obiad, a wtedy, spodziewam się, będzie wesoło.

— Będzie, będzie, moja perełko śliczna! Dalibóg, dziewczyno, nigdy tak nie zazdrozczę młodym młodości jak wtedy, gdy ciebie spotykam. A teraz jeżeli nie chcesz, to nie będę cię dłużej zatrzymywać. Wyjaśnienie dane przez pana Franka Osbaldistone zupełnie mi wystarcza. Zaszła tu jakaś pomyłka, która z czasem na pewno się wyjaśni.

— Niech pan wybaczy — rzekłem — ale ja jeszcze nie słyszałem, jak właściwie brzmi doniesienie na mnie.

— Tak, panie — wmieszał się sekretarz, który od chwili ukazania się Diany stracił już nadzieję, a teraz widząc się popartym ze strony, skąd nigdy by się pomocy nie był spodziewał, nabrał otuchy i energii do dalszego śledztwa. — Tak, panie, i Dalton powiada, że „kto został schwytany pod zarzutem rabunku, nie może być wypuszczony na niczyje zapewnienie, ale musi albo kaucję złożyć, albo być aresztowany płacąc sekretarzowi sądu pokoju zwykle koszty za przesłuchanie”.

Sędzia tak nagabywany dał mi wreszcie kilka słów objaśnienia. Okazuje się, że żarty, jakimi straszylem owego Morrisa, silnie

podziały na jego umysł, wszystkie je bowiem wyliczył w swoich zeznaniach, i to z całą przesadą tchórzliwej a rozgorączkowanej wyobraźni. Okazało się także, że tego samego dnia, gdy się ze mną rozstał, został zatrzymany na jakimś odludziu i pozbawiony swego ukochanego towarzysza podróży — swej torby. Dokonało tego dwóch konnych, dobrze uzbrojonych, zamaskowanych ludzi. Jeden z nich, jak mu się zdawało, bardzo mnie przypominał figurą i ruchami, w rozmowie zaś, którą szeptem ci dwaj prowadzili, dosłyszał, że tamten drugi nazwał go Osbaldistone. Zeznanie głosiło dalej, że rozpytując się o opinię i charakter rodziny tego nazwiska, dowiedział się rzeczy najgorszych, że mianowicie wszyscy jej członkowie byli zawsze papistami i jakobitami, i to od czasów Wilhelma Zdobywcy. Tak go poinformował protestancki duchowny, w którego domu zatrzymał się po swej przygodzie.

Na podstawie wszystkich tych poważnych danych oskarżał mnie o współudział w rabunku dokonany na jego osobie, on zaś, oskarżyciel, znajdował się właśnie w podróży w specjalnej misji rządowej, mając sobie powierzone ważne papiery, a także poważną sumę gotówki, którą wedle otrzymanej instrukcji miał wypłacić pewnym zaufanym i znacznym osobistościom urzędowym w Szkocji. Usłyszawszy to nadzwyczajne oskarżenie oświadczyłem, że okoliczności, na których się ono opierało, nie dawały podstawy ani sędziemu, ani żadnemu urzędnikowi do pozbawienia mnie wolności. Przyznałem, że zabawiłem się trochę w straszenie pana Morrisa w czasie wspólnej z nim podróży, ale w sposób tak niewinny, że nie byłoby to wzbudziło obaw w kimkolwiek, choć trochę mniej tchórzliwym od niego. Dodałem, że nie widziałem go już od chwili naszego rozstania i najmniejszego nie miałem udziału w czynie tak niezgodnym z charakterem moim i moim stanowiskiem życiowym.

To, że któryś z rabusiów miał się rzekomo nazywać Osbaldistone czy też że to nazwisko zostało wspomniane w rozmowie pomiędzy nimi obu, jest okolicznością bez znaczenia. Co się zaś tyczy niekorzystnej opinii przeciw mnie cytowanej, gotów jestem dowieść dla uspokojenia sędziego, sekretarza, a nawet samego oskarżyciela, że jestem tych samych przekonań, co jego znajomy, protestancki duchowny; że byłem wychowany jako lojalny poddany w zasadach rewolucji i jako taki żądam teraz osobistej osłony praw, które ten wielki pakt historyczny ustanowił.

Sędzia kręcił się, zażywał tabakę i wydawał się mocno zakłopotany, gdy tymczasem sekretarz Jobson z zawodową gadatliwością cytował paragrafy statutu Edwarda III, których mocą sędziowie pokoju mogą aresztować każdego na podstawie samych poszlak i podejrzeń. Łotr własne me przyznanie do żartów obrócił przeciw mnie, twierdząc, że skoro przyznałem, że przybierałem pozór i zachowanie się rabusia czy złoczyńcy, przeto sam dobrowolnie ściągnąłem na siebie podejrzania, na które się skarżę, i poddałem się pod rozporządzenie odnośnego aktu, samowolnie postępowaniu swemu nadając cechę i charakter zbrodni.

Zwalczałem argumenty jego i adwokacki żargon z wielkim oburzeniem i pogardą, aż powiedziałem, że „jeżeli potrzeba, mogę się powołać na poręczenie moich krewnych, czego, jak mniemam, sędzia odmówić nie może bez postawienia się w fałszywym świetle”.

— Przepraszam, bardzo przepraszam łaskawego pana — powiedział nieubłagany sekretarz. — Tu zachodzi wypadek, w którym ani poręczenie, ani nawet kaucja nie może być przynętą. Oskarżony o zdradę stanu, który może być skazany na podstawie poważnych poszlak i podejrzeń, nie podpada pod paragraf statutu króla Edwarda. Jest w tym akcie wyjątek odnośnie do oskarżonych o jakikolwiek udział w zbrodni zdrady stanu. Tu — dodał jeszcze — jego dostojność dobrze by uczynił pamiętając, że tego rodzaju winnych lub poszlakowanych pod żadnym pozorem na wolność wypuszczać nie można.

W chwili właśnie, gdy się o tym mówiło, wszedł służący i wręczył list adresowany do pana Jobsona. Ten, za ledwie przebiegł go oczyma, zawołał udając wielkie z tej przeszkody niezadowolenie, a zarazem nadymając się w poczuciu ogromnej ważności swojej osoby:

— Wielki Boże! Jeżeli tak dalej pójdzie, nie będę mógł dopilnować ani spraw publicznych, ani swoich własnych... Ani chwili odpoczynku, ani chwili spokoju!... Z duszy pragnę, by osiedlił się tu jeszcze drugi prawnik.

— A niech Bóg zachowa! — cicho szepnął sędzia. — Są tacy, którzy dość mają jednego z tej bandy!

— To sprawa życia i śmierci, za pozwoleniem waszej dostojności.

— O Boże! Ale mam nadzieję, że to nie jest znowu sprawa do rozpatrzenia przez sędziego — rzekł przestraszony pan Inglewood.

— Nie... nie... — odpowiedział Jobson z godną miną. — Stary Gaffer Rutledge z Grimes-hill dostał wezwanie na tamten świat. Zaniósł prośbę przez doktora o zwłokę za poręczeniem, a po mnie przysłała, bym mu załatwił jego ziemskie sprawy.

— A więc ruszaj pan do niego — naglił sędzia Inglewood — jego sprawa, być może, nie podlega odroczeniu wedle statutu albo też pan Sędzia Zgon może nie przyjąć doktora za poręczyciela.

— A jednak — ociągał się Jobson sunąc ku drzwiom — jeżeli obecność moja jest tutaj konieczna... Mógłbym zaraz przygotować nakaz aresztowania, a policjant jest na dole... I pan słyszał — dodał zniżając głos — co sądzi o tym pan Rashleigh Osbaldistone... — reszta zginęła w szepcie.

Sędzia odpowiedział głośno:

— Mówię ci, człowieku, że nie. Nic nie zrobimy, póki nie wrócisz. Toć to tylko cztery milki drogi... No, posuń pan butelkę, panie Morris... Niech pan się nie frasuje, panie Osbaldistone, a ty, moja różyczko na pustkowiu, wypij szklaneczkę wina, to odświeży rumieńce na twoich liczkach.

Diana drgnęła jak obudzona z zadumy, w której zdawała się być pogrążona podczas tej całej dyskusji.

— Nie, sędzio — odpowiedziała — dziękuję. Boję się, że taki rumieniec nie będzie mnie zdobił, proszę przeto o chłodniejszy napój. To mówiąc naląła sobie szklanekę wody i spiesznie wypila, ale niepokój w jej ruchach przeczył sztucznej wesołości.

Ja jednak nie miałem okazji, by zapytać o powód jej niepokoju, tym bardziej że rozdrażniły mnie te nowe przeszkody, wstrzymujące natychmiastowe zbadanie hańbiącego mnie oskarżenia. Niemożliwe jednak było skłonić sędziego do podjęcia sprawy w czasie nieobecności sekretarza, z której cieszył się jak uczeń z nieobecności nauczyciela. Trwał w usiłowaniach rozweselenia towarzystwa, którego członkowie dalecy byli od wesołości z powodu wzajemnych stosunków i wytworzonej sytuacji.

— No, panie Morris — mówił sędzia — pan nie pierwszy, którego ograbiono, wierzaj mi, a frasunek nie powróci straty, człowieku! A ty, panie Francis Osbaldistone, nie jesteś pierwszym młodym zawadiaką, który dojrzałem mężczyźnie zastąpił drogę. Był za moich młodych lat taki Jack Winterfield... Ten obracał się w najlepszych towarzystwach w okolicy... Na wyścigach, walkach kogutów,

wszędzie był pierwszy. Nierozłączni jak ręka i rękawiczka byliśmy my dwaj, ja i Jack... Posuń pan butelkę, panie Morris, zasycha w gardle tak na sucho gadać... Ile to kielichów wychyliliśmy z biednym Jackiem! Z dobrej rodziny, obrotny w języku, bystre miał oko, porządny chłopak, tylko... z wyjątkiem ostatniego czynu, który go o śmierć przyprawił... Napijmy się na jego pamięć, panowie... Biedny Jack Winterfield... A skoro o nim mówimy i o takich rzeczach i skoro ten mój przekłety sekretarz wyniósł się gdzie indziej ze swoją paplaniną, że zatem jesteśmy ładnie, pięknie w swoim kółku, panie Osbaldistone, gdyby pan chciał posłuchać mojej rady, ja bym wrócił do tej sprawy... Prawo jest twarde i bardzo surowe. Biednego Jacka Winterfield powiesili w Yorku pomimo stosunków rodzinnych, pomimo dużego majątku, jedynie za to, że ulżył tłustemu handlarzowi ciężaru monety za kilka sztuk bydła... Otóż, ten tu zacny Morris został przestraszony, no i tam dalej... Do licha, człowieku, oddałbyś jego torbę i zakończyłbyś tę farsę od razu!

Morrisowi oczy zajaśniały, gdy to usłyszał, zaraz też zaczął wykrztuszać zapewnienie, że nie pragnie niczyjej krwi, lecz ja krótko uciałem to gadanie oświadczając z oburzeniem, że propozycję sędziego uważam za obrazę; że sędzia, czyniąc ją, widocznie pomawia mnie o zbrodnię, gdy tymczasem ja przybyłem do jego domu po to, by oczyścić się z posądzenia.

Byliśmy właśnie w toku tych niemiłych wyjaśnień, gdy służący otworzył drzwi i zaanonsował:

— Nieznajomy pan chce złożyć swe uszanowanie waszej dostojności. Tuż za nim tak określona osoba bez dalszych ceremonii weszła do pokoju.

## ROZDZIAŁ IX

Jeden ze złodziei wrócił — stoję, milczę.  
Nie ośmieli się skrzywdzić mnie tak blisko domu,  
A wołać — rzecz daremna, ...  
Wdowa

Nieznajomy! — powtórzył sędzia. — Nie z interesem, mam nadzieję, bo jeśli tak...

Przerwał mu sam wchodzący odpowiadając:

— Mój interes jest natury tak ważnej i specjalnej, że muszę prosić, by wasza dostojność poświęcił mi natychmiastową i baczną uwagę.

Tak mówił Campbell, gdyż on to był, ten sam Szkot, którego poznałem w Darlington.

— Sądzę, panie Morris — mówił dalej, utkwivszy w tamtym wzrok dziwnie uporczywy, nieledwie groźny — sądzę, że pan możesz zaświadczyć, kim jestem... Sądzę, że pan nie mógł zapomnieć, co zaszło w czasie naszego ostatniego spotkania na drodze?

Szczęka Morrisa opadła, twarz przybrała kolor wosku, zęby zadzwoniły, słowem — przedstawiał obraz zgrozy i rozpacz.

— Odwagi, człowieku! — rzekł Campbell. — Nie siedź oto szczękający zębami jak parą kastanietów! Zdaje mi się, że nie ma w tym nic trudnego, by powiedzieć panu sędziemu, że poznałeś mnie pan niedawno i wiesz, że jestem człowiekiem zamożnym i honorowym. Pan wie, że będzie pan wkrótce przebywał w moim sąsiedztwie, a wtedy będę miał możliwość i niewątpliwie szczerą chęć oddania panu równie dobrej przysługi.

— Panie... panie... ja wierzę, że pan jest człowiek honorowy i jak pan powiada, człowiek zamożny. Tak, sędzio Inglewood — dodał odchrząknawszy — ja doprawdy wierzę, że tak jest.

— A jakież są życzenia tego pana co do mnie? — zapytał sędzia trochę kwaśno. — Jeden tu wprowadza drugiego i gromadzi się towarzystwo, ale ja nie mam ani spokoju, ani pogawędki!

— Jedno i drugie za małą chwilę będzie panu dane — odpowiedział Campbell. — Ja tu przyszedłem zdjąć panu z głowy przykry obowiązek, a nie przyczyniać panu kłopotu.

— A niechaj mnie! W takim razie jesteś mi pan tak miłym gościem, jak tylko Szkot może być dla Anglika. Więc dalej, człowieku, niech jak najprędzej usłyszę, co mi masz do powiedzenia.

— Przypuszczam, że on — mówił Szkot dalej — powiedział panu, że był z nim niejaki Campbell, w czasie gdy miał nieszczęście stracić swoją torbę?

— Nie wspomniał tego nazwiska w całym swym sprawozdaniu od początku do końca — oświadczył sędzia.

— Ach! Rozumiem... rozumiem... — odpowiedział Campbell. — Pan Morris w swej uprzejmości lękał się wciągnąć cudzoziemca w kolizję z formalnościami prawnymi tego kraju. Ponieważ jednak wiem, że moje świadectwo jest potrzebne do oczyszczenia uczciwego człowieka, obecnego tu pana Francis Osbaldistone, najniesłuszniej posądzonego, nie będę się liczył z tą ostrożnością. Bądź więc pan łaskaw wyjaśnić sędziemu Inglewood — ciągnął dalej, zwracając się do Morrisa z tym samym stanowczym wzrokiem i akcentem — że podróżowaliśmy kilka mil razem gościńcem na skutek własnych pańskich gorących próśb i nalegań, powtarzanych kilkakrotnie tego wieczoru, gdyśmy razem byli w Darlington. Początkowo nie chciałem panu towarzyszyć, potem jednak przy spotkaniu na drodze w pobliżu Cloberry Allers ubłagał mnie pan, bym porzucił własny kierunek drogi do Rothbury, i na moje nieszczęście pojechałem razem z panem.

— To smutna prawda — odpowiedział Morris spuściwszy żałośnie głowę i dając w ten sposób twierdzącą odpowiedź na drugie pytanie Campbella.

— A także, przypuszczam, może pan zapewnić jego dostojność, że nikt więcej ode mnie nie może być uprawniony do świadczenia w tej sprawie, zważywszy, że byłem przy panu i w pobliżu pana przez cały czas tego zajścia.

— Nikt więcej uprawniony, to prawda — odpowiedział Morris zakłopotany, z głębokim westchnieniem.

— Ale czemuż, u diabła, nie pomógł mu pan wtedy — wtrącił sędzia — skoro, wedle zeznania pana Morrisa, było tylko dwóch opryszków? Było was zatem dwóch na dwóch, a obaj tęgie chłopy jesteście.

— Do usług waszej dostojności — odpowiedział Campbell — przez całe życie byłem człowiekiem cichym i spokojnie miłującym, nigdy nie wdającym się w burdy i bijatyki. Pan Morris, który, jak miemam, służył lub służył w armii najjaśniejszego pana, mógł sobie pofolgować broniąc się, zwłaszcza że, o ile rozumiem, podróżował z wyższego polecenia, wioząc wielkie pieniądze. Ale ja nie miałem czego bronić...



a przy tym jestem spokojnego zawodu człowiekiem i nie miałem ochoty narażać zdrowia w tej sprawie.

Spojrzałem na Campbella, gdy wymawiał te słowa, i nie pamiętam, bym kiedy widział bardziej zadziwiające przeciwieństwo między silną, śmiałą surowością wyrazu twarzy a układną łagodnością mowy. Nawet lekki, ironiczny uśmiezek igrał w kącikach jego ust, mimo woli niejako zaznaczając pogardę dla tego cichego, pokojowego charakteru, który uznał za właściwe przybrać. We mnie wszystko to wznieciło dziwne podejrzenie, że rola Campbella w napadzie była bardzo różna od roli towarzysza w nieszczęściu lub biernego widza.

Być może, że podobne podejrzenia powziął w tej chwili i sędzia, gdyż zawołał:

— Ależ doprawdy to dziwna historia!

Szkot odgadł widocznie, co sędzia ma na myśli, gdyż ciągnął dalej, teraz już szczerzej i swobodniej, zmieniwszy ton i zrzucając z twarzy sztuczny wyraz pokory:

— Prawdę powiedziawszy, jestem jednym z tych ostrożnych ludzi, którzy lubią się bić tylko wtedy, gdy mają o co, a wypadek ten nie zaszedł, gdyśmy się na tych rabusiów natknęli. Ale iżby wasza dostojność wiedział, że jestem człowiekiem dobrej sławy i charakteru, proszę łaskawie rzucić okiem na ten bilet.

Pan Inglewood odebrał z ręki jego papier i czytał półgłosem:

— Niniejszym poświadczam, że Robert Campbell z... — nie mogę tego wymówić — pochodzi z dobrego rodu i jest spokojnym człowiekiem jadącym do Anglii we własnych interesach etc., etc., etc. Stwierdzam to własnoręcznym podpisem. W naszym zamku Inver... Invera... raray. Aryle/100

— Małe świadectwo, panie sędzio, o które uważałem za właściwe postarać się u tego szlachetnego pana — tu podniósł rękę do czoła, jak gdyby dotknął kapelusza — Mac Callum More.

— Mac Callum jak? — zapytał sędzia.

— Którego na południu nazywają księciem Argyle.

— Wiem bardzo dobrze, że książe Argyle jest szlachcicem bardzo zacnym, mającym wielkie znaczenie i że prawdziwie kocha swoją ojczyznę. Byłem jednym z tych, którzy stali przy nim w roku 1714, kiedy to wysadził z siodła księcia Marlborough pozbawiając go naczelnego dowództwa. Oby więcej takich panów było! Uczciwy torys był z niego w owych czasach, a z Ormondem jedna ręka. Do

obecnego rządu przystał tak jak i ja dla dobra i spokoju ojczyzny, gdyż nie mogę przypuścić, żeby ten wielki człowiek, tak jak go pomawiają niektórzy, uczynił to, by nie stracić urzędów i swego pułku. Jego świadectwo, jak pan to nazywa, panie Campbell, jest najzupełniej wystarczające. No, a teraz, cóż pan ma do powiedzenia w sprawie tego rabunku?

— Krótko mówiąc, za pozwoleniem waszej dostojności, pan Morris mógłby o rabunek oskarżyć równie dobrze dzieciątko, co jeszcze na świat nie przyszło, albo nawet i mnie, jak tego młodego panicza, pana Osbaldistone, albowiem mogę zaświadczyć, że człowiek, za którego go wziął, był nie tylko niższy i tęższy, ale — gdyż udało mi się dojrzeć przez chwilę jego twarz, gdy mu się maska zsunęła — miał inne rysy i inną cerę niż ten młodzieniec. A sądzę — dodał zwracając się z surowszą miną do Morrisa — iż pan przyzna, że ja lepiej od niego mogłem rozeznaczyć, kto jest tym zbójcą, gdyż z nas dwóch chyba ja byłem przytomniejszy i chłodniejszy.

— Zgadzam się, panie... zgadzam się najzupełniej — rzekł Morris cofając swoje krzesło, gdy Campbell się do niego przysunął. — I gotów jestem, panie sędzio, cofnąć moje oskarżenie co do pana Osbaldistone. I proszę, panie sędzio, by mu pan pozwolił pójść wolno w swoich sprawach, a mnie w swoich. Wasza dostojność ma może interes do załatwienia z panem Campbellem, a mnie pilno i rad bym odjechać.

— W takim razie do kaduka z tym doniesieniem! — rzekł sędzia rzucając arkusz w ogień na kominku. — A teraz jesteś pan zupełnie wolny, panie Osbaldistone. A pan, panie Morris, możesz spokojnie pójść, dokąd zechcesz.

— Tak — rzekł Campbell patrząc na Morrisa, który z żalnym uśmiechem przytakiwał sędziemu — tak spokojnie jak ropucha, gdy się dostanie między zęby brony... Ale niech się pan niczego nie boi, panie Morris! Pan i ja razem opuścimy ten dom. Odprowadzę pana bezpiecznie — myślę, że pan mi ufa — aż do najbliższego otwartego gościńca i tam dopiero rozłączymy się. A jeżeli potem nie spotkamy się w Szkocji jak przyjaciele, to już będzie tylko pańska wina.

Morris powstał z miejsca z wyrazem takiego przerażenia w oczach jak skazaniec, gdy mu oznajmią, że już kat po niego zajechał. Gdy już nawet wstał, to jeszcze się zawahał.

— Mówię ci, człowieku, nie bój się — powtarzał Campbell — dotrzymam słowa... Ej ty, zajęcze serce, skąd wiesz, czy nie odzujemy czasem jakich śladów twojej torby, jeśli posłuchasz rozsądnych rad?... Nasze konie gotowe. Pożegnaj się z sędzią, człowieku, i pokaż, jak tam na południu wygląda dobre wychowanie. Wśród takich upomnień i słów zachęty Morris pożegnał się i wyszedł pod strażą Campbella. Widocznie jednak opadły go nowe skrupuły i nowe strachy, zanim opuścili dom, słyszałem bowiem, jak Campbell uspokajał go i zapewniał mu bezpieczeństwo, gdy wychodzili z przedsionka:

— Jak Boga kocham, panie Morris, jesteś tak bezpieczny jak na ojcowskim podwórku... Wstyd, żeby taki chłop z taką czarną brodą drżał jak kuropatwa!... No, dalej przecież, pójdź jak mężczyzna, nie bój się, mówię!

Głosy ucichły, a dobiegający odgłos kopyt końskich oznajmił nam, że opuścili dwór sędziego Inglewoda.

Radość, jaką odczuł zacny sędzia z tak łatwego zakończenia kłopotliwej sprawy, malała nieco na myśl o tym, jak też za powrotem swoim zapatrywać się będzie na takie rozwiązanie jego sekretarz.

— A teraz wsiądzie mi na kark ten Jobson o te przekłete papiery... Może nie powinienem był ich niszczyć. Ale, do diaska! Trzeba mu będzie zapłacić jego koszty i tym się wszystko wygładzi... A teraz, Dianko, chociaż uwolniłem wszystkich innych, zamierzam podpisać rozkaz aresztowania ciebie pod strażą matki Blakes, mojej starej gospodyni, na cały wieczór i pošlemy po moją sąsiadkę, panią Musgrave, i po pannę Dawkins, i po twoich kuzynów, sprowadzimy sobie starego Gobsa, grajka, i zabawimy się wesoło, a Frank i ja popijemy sobie trochę, żeby się nieco ożywić i być tym weselszym towarzystwem dla ciebie.

— Dzięki, najdostojniejszy — odpowiedziała Diana. — Tak jednak, jak się rzeczy mają, musimy natychmiast wracać do Osbaldistone Hall, gdzie nie wiedzą, co się z nami stało, i gdzie musimy uspokoić wuja, który niepokoi się o mego kuzyna z pewnością tak samo, jak gdyby chodziło o któregoś z własnych jego synów.

— Wierzę w to — odpowiedział sędzia — bo gdy jego najstarszemu synowi Archibaldowi przyszło na zły koniec po tej nieszczęsnej sprawie z sir Johnem Fenwickiem /103, stryj Hildebrand zwykł był wołać go po imieniu równie często, jak sześciu pozostałych, a potem

skarżył się, że nie może zapamiętać, którego z synów mu powieszono. A więc skoro już musisz jechać, śpiesz do domu i uspokój jego ojcowską troskliwość. Ale posłuchaj jeszcze, ty polny kwiatku — biorąc ją za rękę dodał tonem dobroduszej reprimendy — na drugi raz pozwól prawu iść swoim torem i nie wkładaj twego ładnego paluszka w ten stęchły pasztet, pełen okruchów prawniczej paplaniny... francuskiej i kuchenno-łacińskiej... I jeszcze... Dianko, moja śliczna, pozwól niech młodzi chłopcy jeden drugiemu pokazują drogę przez torfowiska, bo mogłabyś sama zbłądzić służąc za przewodnika, ty mój chochliku miły!

Z tymi słowy ucałował i odprawił Dianę Vernon, a równie serdecznie pożegnał się ze mną.

— Wydajesz mi się dobrym, dzielnym chłopcem, panie Franku, a ja pamiętam też twego ojca, to był mój towarzysz zabaw w szkole. Słuchaj, chłopcze, nie podróżuj późną nocą i nie zadawaj się z przygodnymi pasażerami na królewskim gościńcu. Co chcesz, człowieku! Nie wszyscy poddani króla jegomości mają obowiązek znać się na żartach, a źle jest żarty stroić na temat zdrady stanu. A oto jeszcze ta biedna Dianka... W pewnej mierze sama. i opuszczona na szerokim świecie, gdzie sobie może jeździć, biegać i skakać, ile tylko zechce. Musisz mieć wzgląd na Diankę, bo inaczej, do kaduka, ja umyślnie przedzierzgnę się w młodego człowieka i sam bić się z tobą będę, choć muszę przyznać, że kłopot byłby to nie lada... A teraz jedźcie już oboje i zostawcie mnie z moją fajeczką i rozmyślaniami, bo jak mówi piosenka:

Jak liść tytoniu, co wnet zetleje,

Tak moc człowieka słabnie i mdleje.

Ogień młodości gaśnie zuchwały

I wiek nadchodzi, jak popiół biały...

Myśl o tym, gdy palisz fajkę...

Ogromnie mnie ucieszyły te przebłyski rozumu i uczucia sędziego, przebijające się przez warstwy wygodnictwa i gnuśności. Zapewniłem go z szacunkiem, że do rad stosować się będę, i przyjaźnie pożegnałem się z zacnym gospodarzem i jego gościnnym domem.

W przedsionku zastaliśmy przygotowany dla nas posiłek, którego pokosztowaliśmy z lekka, po czym odnaleźliśmy tego samego służącego sir Hildebranda, który odprowadził nasze konie. Ten nam oznajmił, że to pan Rashleigh kazał mu czekać i wracać z nami do

domu. Jechaliśmy czas jakiś w milczeniu, bo, prawdę mówiąc, umyślnie miałem zbyt oszołomiony wypadkami tego ranka, by mi było łatwo rozpocząć rozmowę. Nareszcie Diana, jak gdyby dając upust własnym rozmyśleniom, zawołała:

— Doprawdy, Rashleigh to człowiek, którego trzeba się lękać i podziwiać, tylko kochać trudno! Robi, co mu się podoba, a wszyscy są jego pionkami. Do odegrania każdej roli, jaką obmyśli, ma gotowego aktora, a pomysłowość jego i przytomność jest tak wielka, że z każdej trudności potrafi znaleźć wyjście.

— Więc pani myśli — odpowiedziałem — że ten Campbell, który się tak w porę pojawił i oskarżyciela mojego porwał jak jastrząb, co unosi kuropatwę, działał w porozumieniu z Rashleighem?

— Tak sądzę — odparła Diana — a nadto podejrzewam, że ów Campbell nie byłby się zjawił tak w samą porę, gdybym przypadkiem nie była spotkała Rashleigha w hallu u sędziego.

— W takim razie pani głównie winienem wdzięczność, mój piękny wybawco.

— A tak — odpowiedziała — ale podziękuj tylko miłym uśmiechem, a ja się podobnym odwzajemnię, i kwita. Nie mam ochoty wysłuchiwać dostojnych wyrazów wdzięczności i może bym raczej ziewnęła, niż zachowała się, jak przystoi. Krótka mówiąc, kuzynie, pragnęłam oddać panu przysługę i szczęśliwym trafem mogłam to uczynić, a teraz w zamian proszę tylko o jedno: żeby już więcej o tym nie mówić. Ale któż to jedzie naprzeciw nam „krwawiąc konia ostrogami jak upiór czerwony”? Ach, to ten sekretarz sądu! Ni mniej, ni więcej, tylko sam Joseph Jobson!

Okazało się, że był to istotnie Jobson, śpieszący się bardzo i jak się niebawem wydało, w bardzo złym humorze. Podjechał ku nam i zatrzymał konia, chociaż mieliśmy zamiar minąć go z lekkim ukłonem.

— To tak, panie... to tak, panno Vernon... Tak, dobrze rozumiem, co się stało... kaucja dana podczas mojej nieobecności niezawodnie... Chciałbym tylko wiedzieć, kto napisał kwit. Jeżeli jego dostojność zamierza procedury tej używać częściej, to niechaj sobie szuka innego sekretarza, gdyż ja z pewnością podam się do dymisji.

— Albo niech sobie przyszyje obecnego sekretarza do rękawa, panie Jobson — rzekła Diana. — Czy nie byłby to dobry sposób? Ale proszę, jak się miewa farmer Rutledge, panie Jobson? Mam nadzieję,

że zastał go pan jeszcze zdolnym podpisać, pieczęć przyłożyć i zapłacić koszty?

To pytanie wpędziło prawnika w jeszcze gorszą pasję. Spojrzał na pannę Vernon z taką złością i nienawiścią, że miałem ochotę zrzucić go z konia i obić szpicrutą.

— Farmer Rutledge, pani? — odpowiedział ochłonawszy z wielkiego oburzenia, które na razie odjęło mu mowę. — Farmer Rutledge cieszy się tak dobrym zdrowiem jak pani sama. Ta jego choroba to blaga, kłamstwo i oszustwo, a jeśli pani tego przedtem nie wiedziała, to teraz pani wie!

— Co ja słyszę! Czy być może? Pan chyba żartuje? — zawołała Diana udając wielkie zdziwienie.

— Ja wcale nie żartuję, pani — odparł rozzłoszczony pisarczyk — a jeszcze dodam, że stare, skąpe drwalisko nazwało mnie wydrwigroszem, wydrwigroszem, pani!... I powiedział, że przyszedłem obłowić się... a ja sobie tego nie pozwolę mówić, zwłaszcza że jestem sekretarzem Sądu Pokoju i urząd ten piastuję na mocy statutów, i to Trigesimo Septimo Henrici Octavi i Primo Gulieimi /106, króla Wilhelma sławnej i nieśmiertelnej pamięci, tego, który nas uwolnił od papistów, pretendentów do tronu, drewnianych trepek \* i grzałek, panno Vernon!

— Smutne to rzeczy te drewniane treпки i grzałki — odpowiedziała młoda panna, widocznie znajdując przyjemność w drażnieniu jego wściekłości — i całe szczęście, że pan, zdaje się, nie potrzebuje teraz takiej grzałki, panie Jobson. Ale czy to Gaffer Rutledge ograniczył swoją niegrzeczność do nieuprzejmych słów tylko... czy naprawdę nie posunął się czasami... do bicia?

— Do bicia, pani? Nie! — Bardzo stanowczo: — Nie ma takiego, kto by śmiał rękę na mnie podnieść, za to ja pani rękę!

— Zależy to od tego, czy pan na to zasłuży, czy nie, mój panie — wmieszałem się teraz — gdyż pański sposób przemawiania do tej młodej damy jest tak niewłaściwy, że jeżeli pan tonu nie zmieni, gotów jestem przetrzepać panu skórę.

— Przetrzepać, panie? Mnie, panie?... Czy pan wie, do kogo pan mówi?

— Tak jest — odpowiedziałem. — Pan sam mówisz, że jesteś sekretarzem przy Sądzie Pokoju, a Gaffer Rutledge twierdzi, że jesteś wydrwigroszem. Ani w tym, ani w tamtym charakterze nie masz pan

prawa zwracać się w tak impertynencki sposób do młodej kobiety z dobrego towarzystwa.

Diana dotknęła ręką mojego ramienia i zawołała:

— Daj pan pokój, panie Osbaldistone, nie pozwalam panu trzepać sekretarza Jobsona, nie pozwalam nawet na jedno dotknięcie szpicrutą!... A tożby żył potem z tego co najmniej kwartał! Zresztą dosyć już pan jego uczucia podrażnił nazywając go impertynentem.

— Nic sobie nie robię z jego słów, pani — odpowiedział sekretarz trochę pokorniej. — Zresztą „impertynent” to nie jest wyraz, który się da zaskarżyć, ale „wydrwigrosz” to oszczerstwo najwyższego stopnia i o tym dowie się Gaffer Rutledge płacąc mi odszkodowanie za zniewagę. To samo odnosi się do wszystkich, którzy by to oszczerstwo złośliwie powtarzali zakłócając tym samym spokój publiczny i szkalując moje dobre imię.

— Nie rób pan sobie nic z tego, panie Jobson — rzekła Diana. — Pan wie, że nawet wasze statuty przyznają, iż gdzie nic nie ma, tam i sam król traci swoje prawa; a co do zabrania pańskiego dobrego imienia, to żałuję tego biedaka, który je dostanie, panu zaś serdecznie powinszuję, gdy je pan straci.

— Bardzo dobrze, łaskawa pani, bardzo dobrze... Żegnam panią... Tymczasem nie mam nic więcej do powiedzenia... Może tylko wspomnę, że są prawa przeciw papistom, które dla dobra kraju powinny być lepiej wykonywane. Jest rozporządzenie trzecie i czwarte Edwarda VI o mszałach, kadzielnicach, różańcach, feretronach, relikwiarzach, brewiarzach, szkaplerzach i tych, którzy tego rodzaju rzeczy posiadają. Tak, panno Vernon... i jest rozporządzenie o wzywaniu papistów do składania przysięgi na wierność naszemu królowi... tak... i są kary za słuchanie mszy, patrz dwudzieste trzecie rozporządzenie królowej Elżbiety i trzecie Jakuba I, rozdział dwudziesty piąty. I jest tam mowa o dobrach, które mają być spisane, i o zapisach, i testamentach, które należy zarejestrować i podwójną opłatą obłożyć zgodnie z prawami w tym celu ułożonymi i uchwalonymi.

— Patrz nowe wydanie statutów, starannie przejrzone i skomentowane przez Josepha Jobsona, sekretarza Sądu Pokoju — rzekła Diana.

— A także, i to przede wszystkim — ciągnął dalej Jobson — gdyż mówię to dla pani przestrogi, panno Diano Vernon. Jako niezamężna i niezaprzysiężona papistka, masz obowiązek wracać do miejsca swego

stałego zamieszkania, i to najbliższą drogą, pod karą, gdyż w przeciwnym razie staniesz pod zarzutem zdrady stanu. I pilnie winnaś szukać przejścia u zwykłych brodów, i zatrzymać się tam najwyżej jedną dobę. A jeżeli nie można tego dopełnić w tych miejscach, masz codziennie wchodzić do wody po kolana i usiłować przejść.

— To jakaś protestancka pokuta za moje katolickie błędy — roześmiała się Diana. — Dobrze, dziękuję panu za objaśnienie, panie Jobson, i śpieszę do domu, jak się da najprędzej. Dobranoc, kochany panie Jobson, wzorze sekretarskiej uprzejmości!

— Do widzenia pani! I proszę zapamiętać to sobie, że z prawem nie ma żartów.

Z tymi słowy ruszyliśmy każdy w swoją stronę.

— Nareszcie sobie pojechał, złośliwy urzędas! — powiedziała Diana obejrzawszy się za nim. — To hańba, że osoby dobrze urodzone, posiadające majątek i stanowisko, muszą znosić urzędowe impertynencje ze strony takiego nędznego pisarczyka, i to dlatego, że wyznają religię, którą niewiele więcej niż sto lat temu wszyscy wyznawali. A przynajmniej to trzeba przyznać, że Kościół katolicki początkami sięga starożytności.

— Miałem pokusę rozbić łeb temu łotrowi — odparłem.

— Byłby to postępek gwałtownego i nierozważnego młodzieńca — rzekła Diana — a jednak gdyby moja ręka była choć trochę cięższa, myślę, że oberwałby. To nie znaczy, że się skarżę, ale są trzy rzeczy, dla których godna jestem pożałowania, jeżeli ktoś miałby ochotę mi współczuć.

— A cóż to za trzy rzeczy, jeśli wolno zapytać?

— A czy obiecuje mi pan najgłębsze współczucie, jeśli powiem?

— Z pewnością... czyż może pani wątpić o tym? — odpowiedziałem kierując konia bliżej niej i nie tając zaciekawienia.

— Dobrze, choć to właściwie niezbyt jest miło budzić współczucie. Oto moje trzy nieszczęścia: po pierwsze, jestem dziewczyną, a nie chłopcem, i zamknięto by mnie w domu wariatów, gdybym robiła połowę tych rzeczy, na które mam ochotę, chociaż będąc mężczyzną byłabym za to samo uwielbiana i uznana za wzór godny naśladowania.

— Co do tego nie bardzo mogę pani służyć współczuciem, jakiego pani ode mnie oczekujesz — odpowiedziałem. — To nieszczęście jest



tak powszechne, że połowa ludzkości jest nim dotknięta, co się zaś tyczy drugiej połowy...

— Ma los o tyle lepszy, że zawistnie strzeże swoich przywilejów — przerwała Diana..— Zapomniałam, że jesteś pan stroną zainteresowaną. Nie — rzekła widząc, że chcę odpowiedzieć — ten pana słodki uśmiech jest wstępem do ładnego komplementu, wyliczającego korzyści, jakie płyną dla przyjaciół i krewnych Diany stąd, że urodziła się ona jedną z ich niewolnic. Oszczędź mi pan tego, dobry przyjacielu, i spróbujmy, czy nie zgodzimy się lepiej na punkcie drugim moich skarg na los, jakby się wyraził ten gryzipiórek. Należę do prześladowanego Kościoła, wyznaję starodawną religię i zamiast tego, żeby moja pobożność zyskała szacunek, który poza tym należy się wszystkim dobrym dziewczętom, mój zacny przyjaciel, sędzia Inglewood, może mnie posłać do domu poprawy li tylko za to, że chwale Boga na modłę moich przodków. W każdej chwili może mi on powiedzieć, jak stary lord Pembroke powiedział przeoryszy z Wilton, gdy zabierał jej klasztor i cały zakład: „Idź prząść, więdźmo! Idź prząść!” /1

1/ Po rozwiązaniu zakonu w Wilton Henryk VIII, czy też jego syn Edward VI, oddał klasztor i jego dobra hrabiemu Pembroke. Gdy na tron wstąpiła katoliczka — królowa Maria, hrabia uznał za stosowne z powrotem sprowadzić matkę przełożoną z jej dobrymi mniszkami. Uczynił to wymownie, wyrażając skruchę za poprzednie ich wypędzenie, pokornie klękając przed westalkami i oddając im zarówno sam klasztor, jak i jego dobra. Jednakże po koronacji Elżbiety, zawsze umiający się przystosować do okoliczności, hrabia powrócił do protestantyzmu i po raz drugi wygnał zakonnice z ich sanktuarium. Protesty matki przełożonej, która przypominała mu o jego niedawnych, pełnych skruchy zapewnieniach, nie zdołały wydobyć z niego innych słów, Jak tylko te: „Idź prząść, więdźmo! Idź prząść!” (przyp. aut.).

— Znalazłoby się lekarstwo na to nieszczęście — odpowiedziałem poważnie. — Poradź się naszych uczonych duchownych albo własnego bystrego rozumu, kuzynko, a niewątpliwie te nieistotne szczegóły, które stanowią różnicę między moim wyznaniem i twoim...

— Sza! — rzekła Diana kładąc palec na usta. — Ani słowa o tym. Porzucić wiarę moich rycerskich ojców?! To tak, jak gdybym będąc mężczyzną porzuciła ich sztandar, w chwili gdy bitwa wydaje się

przegraną, i przeszła jak zdradziecki najemnik na stronę zwycięskiego wroga.

— Szanuję tę pani szlachetność, a co do przykrości, które ona za sobą pociąga, mogę tylko to powiedzieć, że ciosy, otrzymywane w sprawie sumienia, sączą równocześnie balsam do zadanej rany.

— To prawda, ale mimo to drażnią i boją. Ale widzę, że mając twarde serce, równie mało się pan wzrusza tym, że mogą mi kazać tłuc konopie albo praść ze lnu grube nici, jak tym, że skazana jestem na noszenie kwefu i spódnicy zamiast rycerskiej bobrowej czapki z kokardą. Wolę też oszczędzić sobie bezowocnego trudu i nie wyznawać panu trzeciej przyczyny mojego zmartwienia.

— Nie, droga kuzynko, niech pani nie cofa swego zaufania, a ja przyrzekam, że całe współczucie, należne niezwykłym przyczynom pani zmartwień, skupię na tej trzeciej, jeśli mnie pani zapewnisz, że nie jest ona również udziałem wszystkich kobiet lub wszystkich katolików Anglii, którzy bądź co bądź stanowią sektę liczniejszą, niżby tego pragnęli protestanci w swojej gorliwości o Kościół i państwo.

— Jest to w istocie — rzekła Diana tonem zmienionym i poważniejszym niż kiedykolwiek dotąd — przykreść, która naprawdę zasługuje na współczucie. Jestem z natury, jak mógł pan zauważyć, prostą, szczerą i... rzetelną dziewczyną, która rada by ze wszystkimi postępować otwarcie i uczciwie. A jednak los wplątał mnie w taką sieć węzłów i zawikłań, że boję się powiedzieć słowo, by nie ściągnąć fatalnych następstw nie na siebie, ale na drugich.

— To jest doprawdy nieszczęście i w tym serdecznie pani współczuję. Nigdy bym się tego nie spodziewał.

— O kuzynie! Żebyś pan wiedział... gdyby ktokolwiek wiedział, jak trudno mi nieraz ukryć ból serca pod uśmiechem, naprawdę litowałby się nade mną. Może źle robię, że nawet tak niewiele mówię panu o swoim położeniu, jednakże jest pan człowiekiem rozumnym i przenikliwym... Zechce pan niezawodnie rozpytywać mnie o wypadki dnia dzisiejszego... o udział Rashleigha w uwolnieniu... i o różne inne szczegóły, które musiały zwrócić pana uwagę, a ja nie mogę zdobyć się na odpowiadanie z koniecznym tu fałszem i przebiegłością... Zrobiłabym to niezręcznie i straciłabym pańskie dobre wyobrażenie o mnie i moje własne o sobie. Lepiej powiedzieć od razu: niech mnie pan o nic nie pyta — nie mogę odpowiadać.

Słowa Diany, w których wyczułem ogromny smutek, zrobiły na mnie duże wrażenie. Zapewniłem ją, że nie powinna się lękać, że będę ją dręczył niewłaściwymi pytaniami ani fałszywie sobie tłumaczyć, jeśli odmówi mi odpowiedzi na pytania, które będą mi się wydawać rozsądne, a przynajmniej naturalne.

— Zanadto jestem pani wdzięczny — rzekłem — za zajęcie się moimi kłopotami, bym miał nadużyć tej dobroci i wglądać w pani sprawy. Pragnę tylko i gorąco proszę, by się pani natychmiast i bez wahania zwróciła do mnie, gdy tylko jakakolwiek pomoc będzie pani potrzebna.

— Dziękuję, dziękuję — odpowiedziała. — Pana głos nie dźwięczy zdawkowym kurantem komplementów, ale brzmi jak głos człowieka, który wie, do czego się zobowiązuje. Gdyby... nie, to jest niemożliwe... ale jednak, gdyby okoliczność taka zaszła, zwrócę się do pana. Może będzie pan jeszcze pamiętał o tej obietnicy, a jeśli nawet zapomni pan, to zapewniam, że gniewać się nie będę, wystarczy, że dziś jest pan szczery w intencjach swoich. Zanim cię kiedyś wezwę, niejedno może je odmienić. Jeśli jednak kiedykolwiek przyjdzie chwila, że będę potrzebować takiej pomocy, jakiej żądać można tylko od kogoś bardzo bliskiego, obiecuję, że wtedy zwrócę się do pana.

— Nawet na swoim rodzonym bracie nie mogłaby pani bardziej polegać... A teraz obawiam się, że nie wolno mi pytać: czy Rashleigh chętnie przyczynił się do mego uwolnienia?

— Mnie lepiej nie pytać, ale może pan zapytać jego samego i na pewno odpowie: „Tak”, bo gdyby jaki dobry uczynek bezimiennie wędrował po świecie, on z pewnością przyznałby się do niego.

— Więc też zapewne nie wolno mi pytać, czy sam Campbell jest tym, który obrabował Morrisa... ani o to, czy list, który otrzymał sekretarz, był podstępem obliczonym na usunięcie go ze sceny, gdy mógł popsuć sprawę mego uwolnienia? Ani też nie wolno mi pytać, czy...

— O nic nie wolno mnie pytać — odrzekła Diana — daremnie więc wymienia pan wszystkie te sprawy. Proszę sobie wyobrazić, że na wszystkie te pytania i jeszcze na dwadzieścia innych odpowiedziałam wykrętnie i gładko, tak jakby to zrobił Rashleigh. I umówmy się, że ile razy dotknę palcem brody — o, tak — będzie to znak, że o tym przedmiocie nie mogę mówić. Muszę uzgodnić z panem takie znaki,

gdyż ma pan być moim powiernikiem i doradcą, z tym zastrzeżeniem, że o moich sprawach nic panu wiedzieć nie wolno.

— To bardzo rozsądne — odpowiedziałem śmiejąc się — a celność moich rad będzie równie doskonała, jak pani zaufanie.

Tak gawędząc i doskonale się bawiąc dojechaliśmy do Osbaldistone Hall, gdzie już wieczorna pijatyka rodziny daleko się posunęła.

— Zanieście do biblioteki coś z obiadu dla pana Osbaldistone i dla mnie — rozkazała Diana służącemu. — Muszę mieć trochę litości nad panem — dodała zwracając się do mnie — i dbać, by pan nie umarł głodową śmiercią w tym domu obfitości. Gdyby nie to, wątpię, czybym panu pokazała mój własny kątek. Biblioteka jest moją kryjówką, jedyne miejsce w domu, gdzie jestem bezpieczna przed kuzynami orangutanami. Nigdy się tu nie odważą wejść... może z obawy, by foliały nie pospadały z półek i nie porozbijały im głów. A więc proszę za mną!

Szedłem za nią przez hali i ganek, sklepiony korytarz i kręcone schody, aż dotarliśmy do pokoju, do którego kazała przynieść nasz posiłek.

## ROZDZIAŁ X

W wielkiej tej budowli kąt zaciszny miała,  
Gdzie nikt nie śmiał wchodzić, tam się zamykała,  
Tam czerpała z pólek wokół mrocznych ścian  
Karm dla głodu duszy, lek dla duszy ran.

Anonim

Biblioteka w Osbaldistone Hall była mroczną komnatą, której staroświeckie dębowe półki ugięły się pod ciężarem grubych foliałów, tak drogich ludziom siedemnastego wieku, a z których my, mówiąc nawiasem, czerpaliśmy treść do naszych wydań in quarto i in octavo/112, a synowie nasi jeszcze bardziej powierzchowni — przepuszczą je może przez jeszcze gęstsze sita i wydadzą w formie szesnastek albo broszur. Zbiór składał się z klasyków, z dzieł z zakresu historii obcej i starożytnej, a przede wszystkim z dzieł o treści religijnej. Bałagan był tu okropny. Księża, kolejni kapelanowie w Osbaldistone Hall, byli przez wiele lat jedynymi gośćmi w tym przybytku, dopóki Rashleigh, spragniony wiedzy, nie poruszył zastarzałych pajęczyn, zasnuwających front półek szarą tkaniną.

Ponieważ widziano w Rashleighu przyszłego księdza, jego upodobanie do książek mniej raziło sir Hildebranda, niż gdyby był je zauważył u któregoś z pozostałych synów. Pan domu zgodził się nawet na dokonanie w bibliotece remontu, dzięki któremu stała się ona czymś w rodzaju małego salonu. Mimo to panowała tu atmosfera zaniedbania i opuszczenia, z którą nie umiała dać sobie rady cała mądrość zawarta w zebranych księgach. Obdarte tapety, nadgryzione przez korniki półki, olbrzymie, niezręczne, a przy tym jeszcze kiwające się stoły, biurka i krzesła, zardzewiałe ruszty kominka, rzadko kiedy radujące się drzewem czy węglem, wszystko to świadczyło o pogardzie, jaką mieli dla wiedzy i książki panowie Osbaldistone Hall.

— Trochę smutny wydaje się panu ten pokój? — powiedziała Diana widząc, jak się rozglądam po tej ponurej komnacie. — Dla mnie jednak jest on małym rajem, gdyż nazywam go swoim własnym kątem i nie lękam się w nim intruzów. Rashleigh był tu współgospodarzem, dopóki byliśmy przyjaciółmi.

— A teraz skończyła się przyjaźń? — zapytałem całkiem naturalnie.

Natychmiast palcem dotknęła brody, dając znak, że poruszyłem zabroniony temat.

— Nadal jesteśmy sprzymierzeńcami — dodała — związani jak zwykle sprzymierzone mocarstwa względami wspólnego interesu, lękam się jednak, że nieraz przyjazne uczucia, w jakich traktat przymierza został zawarty, przeżywają się. W każdym razie mniej ze sobą przebywamy. Gdy on wchodzi przez te oto drzwi, ja znikam w tamtych. Tak tedy odkrywszy, że jest o jedno za wiele, gdy jesteśmy oboje w tym wielkim pokoju, Rashleigh, często zresztą wyjeżdżający w różnych sprawach, wspaniałomyślnie ustąpił swoich praw na moją korzyść. Ja zaś sama usiłuję dalej prowadzić te studia, którymi on przedtem kierował.

— A czy wolno mi zapytać, jakie to są studia?

— Owszem, może pan bez obawy, by palec mój powędrował do brody. Najbardziej lubię fizykę i historię, ale studiuję także poezję i klasyków.

— I klasyków? Czy czyta ich pani w oryginale?

— Oczywiście. Rashleigh, który sam dużo umie, nauczył mnie greki i łaciny, a także kilku współczesnych języków europejskich. Zapewniam pana, że dużo starania włożono w moją edukację, chociaż nie umiem ani uszyć kołnierzyka, ani haftować krzyżykami, ani zrobić puddingu, ani... jak się o mnie wyraziła elegancko, dobrotliwie, grzecznie i prawdziwie gruba żona pastora, nie znam się na żadnej pocziwej i pożytecznej robocie.

— A tym wyborem studiów kto kierował? Rashleigh czy pani sama?

— Hm... — rzekła wahając się, czy ma mi odpowiedzieć. — Właściwie nie warto palca podnosić. Otóż częściowo on, a częściowo ja sama. Ponieważ poza domem uczyłam się jeździć konno, konia okiełznać i osiodłać w razie potrzeby, przeskoczyć bramę i uprawiać wszystkie inne męskie sztuki i umiejętności, za jakimi szaleją moi prostacy kuzynowie, zapragnęłam też, aby tak jak mój uczonek kuzyn czytać w domu po grecku i po łacinie i zbliżyć się do tego drzewa wiadomości, które wy, uczeni mężczyźni, chcielibyście zachować wyłącznie dla siebie, może w odwet za grzech pierworodny naszej pierwszej matki.

— A Rashleigh chętnie popierał pani pęd do nauki?

— Czemu nie? Pragnął mnie uczyć, a że mógł mnie uczyć tylko tego, co sam umiał, nie mógł mnie naturalnie zapoznać z tajemnicami prania koronek, obrębiania chustek do nosa itp.

— Rozumiem przyjemność płynącą z posiadania takiej uczennicy i nie wątpię, że to był ważny wzgląd dla nauczyciela.

— O, jeśli pan zacznie badać motywy Rashleigha, będę musiała palcem dotknąć brody. Mogę być szczerą tylko wtedy, gdy chodzi o moje własne. Ale, wracając do rzeczy, Rashleigh ustąpił mi bibliotekę i nigdy tu nie wchodzi bez mojej zgody, toteż pozwoliłam sobie złożyć tu niektóre moje skarby i graciki, jak pan się może przekonać rozejrzawszy się dookoła.

— Przepraszam, kuzynko, ale nie widzę niczego w obrębie tych ścian, co by mi wskazywało, że pani tu gospodarujesz.

— A to pewnie dlatego, że nie dostrzegł pan ani pasterza, ani pasterki wyhaftowanych na kanwie i ładnie oprawnych w hebanową ramkę... ani wypchanej papugi... ani klatki z kanarkami... ani szkatułki inkrustowanej oksydowanym srebrem, ani toalety zastawionej lakierowanymi pudełkami różnego kształtu jak marcypanki na Boże Narodzenie, ani szpinetu/114, ani lutni o trzech strunach, ani robótki paciorkowej, ani robótki muszelkowej, ani w ogóle żadnej robótki... ani pieska pokojowego z gromadką ślepych szczeniąt... Nie, nie posiadam takich skarbów — ciągnęła po chwili potrzebnej dla nabrania tchu. — Ale oto tam stoi miecz mojego przodka sir Richarda Vernon/114, zabitego pod Shrewsbury i tak srodze oczernionego przez niejakiego Willy Szekspira, który będąc rodem z hrabstwa Lancaster folgował swoim prowincjonalnym uprzedzeniom i przewrócił historię do góry nogami. A obok tej groźnej broni wisi stalowa koszulka jeszcze starszego Vernona, ojca Czarnego Księcia, którego dzieje są przeciwieństwem losu potomka, sławę bowiem swoją zawdzięcza tylko talentowi barda, który zadał sobie trud opiewania jego zalet.

Tam w pościgu za wrogiem widzę ja rycerza,

Co w herbie Trąby nosi — Vernon go mianują.

Jak szatan z piekła rodem na wroga uderza,

Śmierć siejąc wokół siebie — gdy inni rabują...

Dalej widzisz wynaleziony przeze mnie model specjalnego wędzidla.

A oto kaptur i dzwonki mojego sokola Cheviota, który nadział się na dziób czapli w Horsely-moss... Biedny Cheviot! Wszystkie te ptaki

myśliwskie, które oni tu hodują, to zbóje i ladaco w porównaniu z nim. A tam dalej leży moja lekka strzelba do polowania, z udoskonalonym zamkiem... i ze dwadzieścia innych skarbów, a jeden cenniejszy od drugiego. A tamto... niech samo mówi za siebie!

Tu wskazała rzeźbioną dębową ramę portretu w całej postaci pędzla Van Dycka \*, na której gotyckimi literami były wypisane słowa: Vernon semper viret/114.

Spojrzałem na nią czekając objaśnienia.

— Jak to? — rzekła, trochę zdziwiona — nie zna pan naszej rodowej dewizy:

**JAK MASKA PYSZNYCH PRZESTĘPSTW INIQUITY /115  
WKŁADAMY DWA ZNACZENIA W JEDNO SŁOWO.**

I nie zna pan Trąb, herbu Vernonów? — Tu wskazała na znaki wyryte na dębowej tarczy herbowej, dokoła której biegł powyższy napis.

— Trąby!... Wyglądają raczej jak groszowe piszczałki... Ale proszę, niech się pani nie gniewa na moją nieświadomość — szybko dodałem widząc, że rumieniec zalewa jej twarz. — Nie chciałem obrazić pani herbu, tym bardziej że nawet nie znam własnego.

— Pan, Osbaldistone, i nie wstydzi się pan przyznać do tego! — zawołała. — Jak to! Toż Percie, Thornie, John, Dick, a nawet Wilfred mogliby być pańskimi nauczycielami! Co za szczególna nieświadomość!

— Ze wstydem przyznaję, że tajemnice zawarte w ponurych hieroglifach heraldyki są dla mnie równie niezrozumiałe, jak hieroglify piramid egipskich!

— Czyż to możliwe! Ależ nawet wuj wieczorem czasem czytuje Gwillima/115. Nie znać godeł i znaków heraldycznych! O czymże myślał ojciec?

— O znakach arytmetycznych, z których najmniejszy ma w jego oczach większe wartości niż wszystkie herbowe klejnoty rycerstwa. Jednakże choć nieświadomy herbów, mam przecież dosyć wiedzy i smaku, by podziwiać ten wspaniały obraz, w którym, zdaje mi się, odkrywam rodzinne podobieństwo do pani. Co za swoboda i godność w układzie! Co za bogactwo kolorów! Jakie pogłębienie światłocienia!

— Czy to istotnie piękny obraz? — zapytała.

— Widziałem wiele obrazów tego sławnego malarza — odpowiedziałem — ale żaden nie dorównywał temu.



— Muszę przyznać, że tyle się znam na malarstwie, co pan na heraldyce — odrzekła — mam jednak pewną wyższość nad panem, gdyż zawsze podziwiałam ten obraz, chociaż nie znałam jego artystycznej wartości.

— Ja zaś, choć nie zajmowałem się ani trąbami, ani bębnami, ani żadnymi dziwacznymi kombinacjami znaków rycerskich, wiem jednak, że powiewały one na polach dawnej chwały. Zgodzi się pani wszakże, że dla niewtajemniczonego ich zewnętrzna forma nie jest zajmująca jak piękny obraz. Kogo przedstawia ten portret?

— Mojego dziadka. Dzielił on nieszczęścia z Karolem I/116 i przykro mi dodać, dzielił także nadużycia jego syna. Nasz dziedziczny majątek dużo ucierpiał przez jego rozrzutność, a stracił go do reszty jego następca, mój nieszczęsny ojciec. Ale pokój im wszystkim... Utracony został wskutek wierności dla prawowitego króla.

— Ojciec pani, jak przypuszczam, musiał ucierpieć na skutek politycznych walk tego okresu?

— Tak jest. Wszystko stracił. I dlatego ja, jego córka, zostałam sierotą — jem cudzy chleb, muszę się stosować do cudzych kaprysów. Większą mnie jednak dumą napawa to, że miałam takiego ojca, niż gdyby odegrał on ostrożniejszą, lecz mniej szlachetną rolę i pozostawił mi w spadku te bogate i piękne baronie, które ród jego niegdyś posiadał.

Wejście służby niosącej obiad przerwało tę rozmowę i dalej mówiliśmy już tylko o sprawach ogólnych.

Zaledwie skończyliśmy posiłek i podano wino, służący oznajmił nam, że pan Rashleigh kazał sobie donieść, kiedy będziemy po obiedzie.

— Powiedz panu — rzekła Diana — że będzie nam bardzo miło, jeżeli zechce tu przyjść. Postaw jeszcze jeden kieliszek, krzesło i możesz odejść. Musi pan wyjść z Rashleighem, gdy się będzie żegnał — zwróciła się do mnie. — Nawet ja w mojej hojności uważam, że bawić młodego człowieka przez trzecią część doby to już najwyższa miara, a zdaje mi się, że przynajmniej tak długo przebywaliśmy razem.

— Stary pan z kosą/116 biegł tak szybko, że nie mogłem porachować jego kroków — odpowiedziałem.

— Pst! — rzekła Diana. — Oto idzie Rashleigh! — odsunęła się z krzesłem, by zwiększyć oddalenie między nami.

Ciche pukanie do drzwi, czekanie na pozwolenie wejścia, powolne ich otwieranie, wypracowany, delikatny i pokorny krok świadczyły o tym, że Rashleigh przyswoił sobie w szkole sposób bycia, który, jak przypuszczałem, jest właściwy jezuitom. Nie muszę dodawać, że będąc protestantem nie miałem pochlebnego wyobrażenia o jezuitach. — Dlaczego tak ceremonialnie pukasz, skoro wiesz, że nie jestem sama?

Diana wymówiła te słowa zniecierpliwionym tonem, jak gdyby odczuła, że pod ostrożnością i rezerwą Rashleigha kryje się złośliwość ubliżającego podejrzenia.

— Nauczyłaś mnie formalności pukania do tych drzwi tak gruntownie, piękna kuzynko — odpowiedział Rashleigh nie zmieniając głosu ani miny — że przyzwyczajenie stało się drugą naturą.

— Cenię szczerotę więcej od dworskości i ty wiesz o tym — odpowiedziała.

— Dworak to grzeczny kawaler — odrzekł Rashleigh — i dlatego buduar damy jest odpowiednim miejscem dla niego.

— Ale szczerota to rycerz prawdziwy — odparła Diana — i dlatego o wiele milej widziany, kuzynie. Skończmy jednak tę walkę na słowa, niezbyt zajmującą dla twego krewnego. Usiądź i przy kieliszku wina dotrzyмай towarzystwa panu Frankowi. Ja już czyniłam honory domu przy obiedzie.

Rashleigh usiadł, napełnił sobie kieliszek i spoglądał to na Dianę, to na mnie z zakłopotaniem, którego mimo największych wysiłków ukryć nie potrafił. Pomyślałem, że może się niepokoi nie wiedząc, jak daleko w swym zaufaniu do mnie posunęła się Diana, toteż tak pokierowałem rozmową, by usunąć podejrzenie, że mogła mi zdradzić jakieś istniejące między nimi tajemnice.

— Kuzynka — rzekłem — poleciła mi podziękować ci za szybkie uwolnienie mnie od śmiesznych zarzutów Morrisa. Niesłusznie obawiając się, że wdzięczność moja mogłaby nie być dość gorąca, chciała ją widać wzmocnić ciekawością, do ciebie bowiem odesłała po sprawozdanie, a raczej po wytłumaczenie wydarzeń dnia dzisiejszego.

— Doprawdy! — odpowiedział Rashleigh, przenikliwie obserwując Dianę. — Sądzę, że panna Vernon sama mogła to wyjaśnić.

Tu wzrok jego szybko przeniósł się na mnie, jakby chciał wyczytać, czy istotnie Diana tak poskapiła mi wyjaśnień, jak na to wskazywały

moje słowa. Na jego badawcze spojrzenie Diana odpowiedziała wzrokiem pełnym pogardy, ja zaś, sam nie wiedząc, czy gardzić jego widoczną podejrzliwością, czy też się o nią obrazić, odpowiedziałem:

— Jeżeli wolisz, podobnie jak panna Diana, zostawić mnie w nieświadomości, rad nierad muszę się na to zgodzić, jednakże proszę, nie odmawiaj mi wyjaśnień wychodząc z założenia, że już coś wiem. Zareczam ci, że nic nie rozumiem z tego, co się dzisiaj działo, i od panny Diany dowiedziałem się tylko, iż byłeś łaskaw działać w mej obronie.

— Panna Vernon przecenia moje skromne usiłowania — odpowiedział Rashleigh — jakkolwiek nie odmawiam sobie zasługi dobrych chęci. Wydawało mi się, że jedynym sposobem wyciągnięcia ciebie z opresji jest złożenie kaucji. Gdy jednak pędziłem do domu, by postarać się o potrzebną sumę, spotkałem tego jakiegoś Cawmilla... Colville'a... Campbella, czy jak tam się zowie. Słyszałem od Morrisa, że był on obecny przy tym rabunku, i na szczęście udało mi się nakłonić go (z pewnym trudem, przyznaję) do złożenia uniewinniającego ciebie świadectwa. Ono też, jak się domyślam, pomogło ci wydostać się z niemiłej sytuacji.

— Doprawdy? Wielce jestem kuzynowi wdzięczny za zdobycie w samą porę takiego świadka. Nie rozumiem jednak, dlaczego (jeżeli był on, jak mówił, towarzyszem niedoli Morrisa), dlaczego trzeba było tak wiele trudu, by go namówić do wystąpienia i dania świadectwa, czy to dla skazania winnego, czy też dla uwolnienia niewinnego człowieka.

— Nie znasz ducha jego kraju, kuzynie — odpowiedział Rashleigh.  
— Dyskrecja, ostrożność i przewidywania są głównymi cechami jego charakteru. Do tego dochodzi ciasno pojęty, ale żarliwy patriotyzm. Tworzy on jakoby ostatni mur, za którym chowa się Szkot broniąc dostępu do siebie szlachetniejszym, altruistycznym pierwiastkom. Przebądź ten mur, a znajdziesz inny, jeszcze silniejszy — miłość prowincji, wsi i najprawdopodobniej swego klanu. Jeśli zwalczysz tę drugą zaporę, natkniesz się na trzecią. Jest nią przywiązanie Szkota do własnej rodziny: do ojca, matki, synów, córek, wujów, ciotek i kuzynów aż do dziesiątej wody po kisielu. W obrębie tych granic zamykają się jego uczucia, nie obejmując nigdy tych, którzy są poza nimi. W obrębie tych granic bije jego serce, coraz słabiej, im bardziej się zbliżamy do zewnętrznych murów, i tam już prawie ustaje. A najgorsze ze wszystkiego jest to, że gdybyś nawet zdołał przebyć

wszystkie te zapory, wewnątrz znajdziesz twierdzą najsilniejszą i najlepiej umocnioną — samolubstwo Szkota.

— Wszystko to jest bardzo wymowne i pełne pięknych przenośni — rzekła Diana, która słuchała z nie ukrywaną niecierpliwością — jednak muszę tu zrobić dwa zastrzeżenia. Pierwsze, że to nie jest prawda, drugie, że gdyby to nawet było prawdą, nie ma nic do rzeczy.

— A jednak to prawda, moja śliczna Dianko — odpowiedział Rashleigh — i prawda ta wszystko wyjaśnia. Przecież nie możesz zaprzeczyć, że dobrze znam ten kraj i jego mieszkańców, i to z głębokiej i dokładnej obserwacji. Wyjaśnia zaś — gdyż odpowiada na pytanie pana Osbaldistone i tłumaczy, dlaczego ten nieufny Szkot, zważywszy, że nasz kuzyn nie jest ani jego rodakiem, ani jego krewnym, ani powinowatym najdalszego stopnia, nie mając żadnych widoków osobistej korzyści, lecz przeciwnie, narażając się na stratę czasu i zwłokę w załatwieniu swoich interesów...

— A mogłyby dojść do tego jeszcze inne, gorsze przykrości — przerwała Diana.

— I takich, naturalnie, mogłoby być wiele — podjął Rashleigh tym samym tonem. — Krótko mówiąc, moja teoria wykazuje, dlaczego ten człowiek, nie spodziewając się żadnych korzyści, a lękając się przykrości, niełatwo wprawdzie, ale dał się nakłonić do złożenia świadectwa na korzyść pana Osbaldistone.

— Dziwi mnie — zauważyłem — że rzuciwszy okiem na doniesienie Morrisa, czy jak się to tam nazywa, nie dostrzegłem wzmianki, jakoby ów Campbell był w jego towarzystwie, w czasie gdy go tamci dwaj napadli.

— Słyszałem od Campbella, że wziął od niego uroczyste przyrzeczenie, iż o tej okoliczności nie wspomni — odpowiedział Rashleigh. — Dlaczego zaś żądał tego zobowiązania, łatwo odgadnąć z tego, co już mówiłem: pragnął wrócić do swego kraju bez opóźnienia i bez znużających sądowych przesłuchiwań, którym byłby się musiał poddać, gdyby się rozeszła wieść, że był obecny przy napadzie. Lecz gdy Campbell będzie już za granicą, Morris z pewnością powie wszystko, co o nim wie, a może i coś więcej. Poza tym Campbell jest kupcem bydła na wielką skalę i często wysyła duże partie bydła do Northumberland. Prowadząc zaś taki handel byłby bardzo głupi, gdyby zadzierał z naszymi krajowymi, niezwykle mściwymi złodziejami.

— O, co to, to prawda — wtrąciła Diana tonem, w którym brzmiało coś więcej niż proste przytwierdzenie.

— Jednakże — rzekłem — przyjmując nawet, że Campbell miał swoje powody, by pragnąć milczenia Morrisa, nie mogę zrozumieć, jak mógł uzyskać taki wpływ na tego człowieka, by tenże przemilczał o jego obecności i nie odwołał się do niego jako świadka, przez co przecież cała jego historia traci na wiarygodności!

Rashleigh przyznał, że to bardzo dziwne, i zdawał się żałować, że dokładniej nie wypytał Szkota co do tej zagadkowej okoliczności.

— Jednakże — dodał zaraz potem — czy jest pan zupełnie pewny, że w protokole nie ma wzmianki o tym, iż Campbell towarzyszył Morrisowi?

— Przejrzałem ten papier bardzo szybko i pobieżnie — odpowiedziałem. — Jestem prawie pewny, że nazwisko Campbella nie było w nim wymienione, a jeśli nawet było, to zaledwie wspomniane.

— Słusznie, słusznie — odpowiedział Rashleigh chwytając się moich słów. — Ja również sędzę, że była o nim wzmianka, ale tak drobna, że mogła ujść uwagi. A dalej, jeśli chodzi o wpływ Campbella na Morrisa, to przypuszczam, że zdobył go grając na jego tchórzostwie. Ten zajęczego serca Morris jest w drodze, o ile rozumiem, do Szkocji, gdzie ma objąć jakiś urząd państwowy, że zaś jego odwaga równa się odwadze wściekłego gołębia lub bohaterkiej myszy, więc możliwe, że lękał się takiego zabijaki jak Campbell, którego sam widok wystarcza, by wytrącić go z równowagi. Łatwo spostrzec, że chwilami Campbell ma w sobie coś gwałtownego, jakiś rys żołnierski w tonie i w postawie.

— Przyznaję — odpowiedziałem — że twarz jego nieraz zdradza zuchwałość i surowość mało zgodną z jego spokojnym zawodem. Czy służył on w wojsku?

— I tak, i nie. Właściwie mówiąc nie służył, jednak sędzę, że jak większość jego rodaków tam w górach, nie rozstaje się z bronią przez całe życie. Toteż jeśli poznałeś trochę swego towarzysza podróży, łatwo zrozumiesz, że udając się do takiego kraju, będzie on unikać zatargów z jego mieszkańcami. Ale cóż to? Widzę, że nie pijecie wina. Ja także pod tym względem jestem wyrodnym Osbaldistone'em. Gdybyś zechciał, kuzynie, przejść do mego pokoju, zaproponowałbym ci partię pikiety.

Wstaliśmy żegnając się z Dianą, która kilkakrotnie z widoczną trudnością opanowała pokusę przerwania wywodów Rashleigha. Gdy już mieliśmy wyjść, przytłumiony ogień wybuchnął.

— Panie Franku — rzekła — własna obserwacja pozwoli panu sprawdzić słuszność czy niesłuszność sądów Rashleigha co do takich ludzi jak Campbell i Morris. Ale obmawiając Szkocję złożył on fałszywe świadectwo przeciw całemu krajowi, więc bardzo proszę nie przywiązywać wagi do jego opisu.

— Być może, że będzie mi trochę trudno — odpowiedziałem — usłuchać pani rozkazu, gdyż muszę przyznać, że nauczono mnie w niezbyt korzystnym świetle widzieć naszych północnych sąsiadów.

— Niech pan, proszę, niezbyt polega na tych opiniach — podjęła. — Jako córka Szkotki, domagam się szacunku dla tego kraju. Niech go pan, proszę, szanuje, chyba że sam się pan przekona, że nie jest on tego wart. Radziłabym panu zachować swoją nienawiść i wzgardę dla podłości, obłudy i fałszu bez względu na to, gdzie z tym złem pan się spotka. A znajdzie pan tego dosyć nie wyjeżdżając z Anglii... Żegnam was, panowie, życzę dobrej nocy!

I wskazała nam drzwi gestem księżniczki oddalającej swój orszak. Przeszliśmy do pokoju Rashleigha, dokąd służący przyniósł nam kawę i karty. Postanowiłem nie pytać go już o wypadki tego dnia. Jakaś tajemnica, i to — jak mi się zdawało — niezbyt dla niego pochlebna, osłaniała jego postępowanie. Jednakże chcąc się przekonać, czy słuszne są moje podejrzenia, należało uspić jego czujność. Stasowaliśmy karty i niebawem zajęła nas pikietą. Zauważyłem podczas gry, że mimo bardzo niskiej stawki Rashleigh zdradza w grze usposobienie gwałtowne i ambitne. Mimo że wydawał się dobrze znać tajniki tej pięknej gry, wolał jakby dla zasady ryzykować niż spokojnie stosować się do przyjętych w pikiecie zwyczajów. Zanedbywał drobniejsze i lepiej dające się obliczyć szanse, by wszystko stawiać na jedną kartę. Gra przerwała rozmowę, ale szybko znudziła Rashleigha. Odłożyliśmy karty i zaczęliśmy pogawędkę, w której mój towarzysz grał pierwsze skrzypce.

Raczej uczony niż naprawdę mądry, mający więcej zrozumienia dla ludzkiej umysłowości niż dla moralnych zasad, które powinny nią rządzić, miał on jednak niezrównany dar rozmowy. Czuło się, że zdaje sobie z tego sprawę, a w każdym razie wydawało mi się, że musiał pilnie pracować nad rozwinięciem wrodzonych zdolności:

melodyjnego głosu, płynnej i łatwej wymowy, giętkości słowa i gorącej wyobraźni. Nigdy nie był za głośny, nigdy jaskrawo zarozumiały, nigdy tak zaciętrzewiony, by przeciągnąć strunę i wyczerpać cierpliwość tego, z kim rozmawiał. Myśli jego biegły jedna za drugą niczym piękny i wezbrany strumień, gdy tymczasem u innych, mających pretensje do wytworności w rozmowie, zdania buchają nieraz jak mętna woda z otwartej pod młynem śluzy, prędko i gwałtownie, by się również szybko wyczerpać. Mimo późnej godziny trudno mi było rozstać się z tak miłym towarzyszem. Dopiero znalazłszy się w swoim pokoju, nie bez pewnego wysiłku odtworzyłem sobie istotny charakter Rashleigha.

Tak to urok przyjemności i zabawy zaćmiewa zdolność rozumienia i oceny człowieka, że przywodzi mu na myśl te owoce zarazem słodkie i ostre, po których spożyciu podniebienie nie potrafi odróżnić smaku jedzonych następnie potraw.

## ROZDZIAŁ XI

Czemuś smutny, chłopcze młody,

Czemu spuszczasz głowę?

Czemu chmurny tak przebiegasz

Komnaty zamkowe?

Stara szkocka ballada

Następnego dnia była niedziela, dzień niezmiernie trudny do spędzenia w Osbaldistone Hall, po rannym nabożeństwie bowiem, w którym cała rodzina brała udział, szatan nudy zaczynał nas nękać szczególnie złośliwie. Wyjątek stanowili tu tylko Rashleigh i Diana. Opowiadanie o moich wczorajszych kłopotach zabawiło sir Hildebranda na chwilę i winszował mi, że uniknąłem ciężkiego więzienia, tak jakby mi gratulował, gdybym skacząc przez wysoką bramę spadł z konia i powstał nie odniósłszy szwanku.

— Udało ci się, chłopcze, szczęśliwie, ale nie ryzykuj znowu za bardzo. Co chcesz! Królewski gościniec jest dobry dla każdego, dla wiga czy dla torysa.

— Ależ słowem ręczę, stryju, że jestem najzupełniej niewinny, a przecież to okropnie gniewa, gdy wszyscy przyjmują za pewne, iż brałem udział w tym napadzie. Gardzę i potępiam takie czyny, za które zupełnie słusznie wedle praw krajowych grozi śmierć.

— No dobrze, chłopcze, niech i tak będzie. Ja się o nic nie pytam... Nikt nie jest zobowiązany sam siebie, oskarżać... tak jest sprawiedliwie, i basta!

Tu Rashleigh przyszedł mi na pomoc, wydało mi się jednak, że raczej podsuwa ojcu myśl, by udał, że wierzy w moją niewinność, niż żeby naprawdę chciał usunąć jego podejrzenia.

— We własnym swoim domu, drogi ojcze... nie będziesz się przecież upierać i nie będziesz denerwować swego własnego bratanka niedowierzaniem, skoro tak bardzo mu zależy, żeby mu wierzone. Niewątpliwie, ojcze, zasługujesz na zaufanie i jestem pewny, że gdybyś mógł uczynić cokolwiek, by pomóc mu w tej dziwnej sprawie, nasz kuzyn zwróciłby się do ciebie. Jednakże został on zwolniony jako niewinny i nikt nie ma prawa uważać go za winnego. Co do mnie, ani na chwilę nie wątpię o jego niewinności, a nasz rodzinny honor wymaga, tak jak to pojmuję, byśmy mową i szablą podtrzymywali to wobec całej okolicy.



— Rashleighu — rzekł jego ojciec przeszywając go wzrokiem — szczerwany z ciebie lis... zbyt przebiegły dla mnie i zbyt przebiegły dla wielu. Bacz, byś nie przechytrzył samego siebie... Dwie twarze pod jednym kapturem to nie przystoi szlachcicowi. Ale skoro mowa o szlachcie, pójdę poczytać trochę Gwillima.

Objawił to postanowienie ziewając, czemu głośno zawtórowali jego olbrzymi synowie rozchodząc się w różne strony dla zabicia czasu, każdy zgodnie ze swoim usposobieniem. Percie poszedł z rządcą do piwnicy, by podyskutować z nim o zaletach marcowego piwa. Thorncliff ciosał maczugi i przymocowywał do nich uchwyty z wierzbowej wikliny. John łapał muchy majowe na ryby. Dick grał sam z sobą w orła i reszkę — lewa ręka przeciw prawej, Wilfred zaś ogryzał paznokcie i nucił pod nosem w oczekiwaniu na drzemkę, która oby potrwała do obiadu! Diana przeszła do biblioteki.

Rashleigh i ja pozostaliśmy sami w wielkiej sali, z której służba ze zwykłą tu niezaradnością i zamieszaniem zdążyła wreszcie usunąć pozostałości naszego obfitego śniadania. Skorzystałem ze sposobności, by zrobić wymówkę Rashleighowi za sposób, w jaki o mojej sprawie mówił ze swym ojcem. Podkreśliłem, że zrobił to co najmniej niegrzecznie, ponieważ zdawał się raczej upominać sir Hildebranda, by ukrył swe podejrzenie, niż rzeczywiście je zwalczał.

— Co ja na to poradzę, drogi przyjacielu? — odpowiedział Rashleigh.  
— Ojciec jest tak uparty w swoich raz powziętych podejrzeniach (choć trzeba mu to przyznać, nie jest człowiekiem podejrzliwym), że przekonałem się, iż wtedy najlepiej ustąpić mu i tylko załagodzić sprawę. Tym sposobem zwalczam chwasty, których nie mogę wyrwać z korzeniem, przycinając je, ilekroć się pojawiają, aż w końcu giną same przez się.

— Bardzo to jednak przykra dla mnie rzecz żyć w domu człowieka, i to bliskiego krewnego, który z uporem wierzy, że jestem winien rabunkowego napadu.

— Niemądra opinia mojego ojca — jeśli się godzi tak mówić o ojcu — nie zmieni twojej istotnej niewinności. Co zaś do hańbiącej strony tej sprawy, to patrząc na nią w świetle różnych względów, politycznych i moralnych, sir Hildebrand uważa ją za czyn chwalebny, za zasługę, jako że osłabił wroga niczym zabieraniem łupu Amalekitom/124. Tym więcej będzie cię za to szanować.

— Nie pragnę niczyjego szacunku, Rashleighu, kosztem obniżenia szacunku dla samego siebie. Te zaś uwłaczające podejrzenia są dla mnie wystarczającym powodem do opuszczenia Osbaldistone Hall, co też uczynię, skoro się tylko listownie porozumiem z ojcem.

Na ciemnej twarzy Rashleigha, choć nieprzywykłej do zdradzania uczuć, pojawił się uśmiezek, co prędzej zamaskowany westchnieniem.

— Szczęśliwy z ciebie człowiek, kuzynie. Jedziesz, wracasz, jak wiatr wieje, gdzie ci się podoba. Ze swoją zręcznością, dobrym smakiem i talentami znajdziesz wkrótce otoczenie, gdzie te zalety lepiej zostaną docenione niż pośród nudnych mieszkańców tego domostwa. Tymczasem ja...

Przerwał.

— A jakież jest twój los, że możesz mi zazdrościć — mnie, wyrzutowi, bo tak nieledwie nazwać się muszę, pozbawionemu domu i miłości ojca?

— Ależ przecież — odpowiedział Rashleigh — zważ, jak miłe jest to uczucie niezależności, i to zdobyte bardzo krótkotrwałą ofiarą, gdyż jestem pewien, że ojciec niedługo cię przywróci do swoich łask. Możesz żyć swobodnie, zgodnie z upodobaniem, kształcić swoje talenty, którymi odznaczysz się niezawodnie. Kilkutygodniowy pobyt tu na północy, jako że Osbaldistone Hall jest miejscem twego wygnania, nie jest wysoką ceną za sławę i wolność. Jesteś wygnany niczym drugi Owidiusz w Tracji, ale nie masz takich jak on powodów do pisania Tristia/125.

— Nie wiem — odrzekłem rumieniąc się, jak przystało młodemu wierszoklecie — skąd się kuzyn dowiedział o moich dyletanckich pracach.

— Był tu jakiś czas temu wysłaniec twego ojca, młody zarozumialec, niejaki Twineall. To on mi opowiedział o twoich tajemnych ofiarach na ołtarzu muz i dodał, że niektóre z twoich wierszy podziwiali najlepsi sędziowie.

Treshamie, ty, zdaje mi się, nie masz na sumieniu prób składania boskich rymów; musiałeś jednak znać swego czasu niejednego ucznia, czeladnika, a może i majstra murarza w świątyni Apollina. Wiesz więc zapewne, że próżność to słabostka wspólna im wszystkim — od największego do najmarniejszego. Ja także jej ulegałem. Nie zastanawiając się więc wcale, jak mało jest prawdopodobne, by

Twineall mógł znać moje wiersze, które od czasu do czasu puszczałem w obieg w kawiarni Buttona, lub by mógł powtórzyć opinię krytyków, którzy odwiedzali ten przybytek dowcipu i literatury — nie zastanawiając się nad tym wszystkim, od razu połknąłem przynętę. Widząc to Rashleigh dolał oliwy do ognia i jakby nieśmiało, a przy tym z udanym gorącym zaciekawieniem poprosił, bym mu pozwolił przeczytać moje rękopisy.

— Czeka mnie więc wspaniały wieczór autorski. Urządzimy go w moim pokoju, i to jak najszybciej, bo przecież niebawem będę musiał zamienić literackie rozkosze na kupieckie nudziarstwo i pospolite codzienne zabiegi. Powtarzam, że uległość moja wobec życzeń ojca jest istotnym poświęceniem dla dobra całej rodziny, tym bardziej gdy się zważy, do jak cichego i spokojnego zawodu przeznaczono mnie i przygotowywano.

Próżny byłem, ale nie głupi i tak grubej obłudy już strawić nie mogłem.

— Nie wierzę, kuzynie — odpowiedziałem — że rzeczywiście sprawia ci przykrość zrezygnowanie z pełnego wyrzeczeń zawodu skromnego katolickiego księdza i objęcie w zamian stanowiska, które da ci wstęp do salonów, pozwoli używać bogactw i wszystkich radości życia.

Rashleigh zrozumiał, że zbyt daleko się posunął w swej obłudnej skromności. Po chwili namysłu, podczas której, jak przypuszczam, obliczał, jak dalece powinien być szczery w rozmowie ze mną (a szczerść nigdy nie przychodziła mu łatwo), odpowiedział z uśmiechem:

— W moim wieku rzeczywiście nie wydaje się klęską otrzymanie dostępu do bogactw i uciech świata. Lecz, za przeproszeniem, omyliłeś się mówiąc o charakterze mojej duchownej kariery. Tak, byłbym księdzem, ale bynajmniej nie skromnym. Kariera Rashleigha Osbaldistone jako choćby nawet najbogatszego człowieka Londynu nie będzie tak świetna, jak mogłaby być, gdyby został on duchownym w Kościele, którego każdy najmarniejszy sługa dumnie stoi ponad najmożniejszym świeckim władcą. Poza tym moja rodzina ma duże znaczenie na pewnym wygnanym dworze, a wpływ, jaki ten dwór ma w Rzymie, mógłby być i jest znaczny. Moje zdolności nie są gorsze od mego wykształcenia. Patrząc całkiem trzeźwo, mógłbym sięgnąć w Kościele po wysokie, a nawet po najwyższe godności.

Dlaczegoż by dobrze urodzony i ustosunkowany kardynał Osbaldistone — dodał Rashleigh śmiejąc się (miał bowiem zwyczaj udawać, że mówi półżartem) — nie miał kierować losami cesarstw, tak samo jak pochodzący z plebsu Mazarin \* albo Alberoni/127, syn włoskiego ogrodnika?

— Nie widzę nic, co by temu stało na przeszkodzie, lecz na twoim miejscu nie żałowałbym zbyt porzucenia takiej niepewnej i zawiść budzącej kariery.

— Toteż nie żałowałbym jej, gdybym mógł być przekonany, że moje obecne stanowisko będzie pewne, to zależy jednak od wielu okoliczności, o których się dowiem dopiero później. Ot, weźmy na przykład charakter twego ojca.

— Po prostu powiedz, kuzynie, że chciałbyś się czegoś dowiedzieć o moim ojcu.

— Ponieważ tak jak i Diana Vernon pięknie się trzymasz zasad szczerości, otwarcie powiem, że zgadłeś.

— Poznasz w moim ojcu człowieka, który wziął się do robienia pieniędzy nie tyle z miłości samego złota, ile po to, by dać możność zabłysnąć swoim talentom. Jego rzutki umysł byłby szczęśliwy w każdym zawodzie, który by mu dał pole do działania, i to nawet wtedy, gdyby to działanie miało być jego jedyną nagrodą. Jednakże bogactwa jego rosły i rosną, ponieważ, umiarkowany i wstrzeźliwy, nigdy wiele nie wydawał. Jest to człowiek, który nienawidzi fałszu u drugich. Sam udawać nie potrafi i ze szczególną bystrością przenika prawdziwe motywy ludzkich poczynań, ukryte nieraz pod płaszczem słów. Sam małomówny z przyzwyczajenia, łatwo się zraża do ludzi gadatliwych, tym bardziej że sprawy, które go najwięcej obchodzą, nie są tematem do długich rozmów. Surowo przestrzega obowiązków swej wiary, nie potrzebujesz się jednak obawiać, by się miał mieszać do twoich religijnych przekonań, gdyż tolerancję uważa on za świętą zasadę ekonomii politycznej. Jeśli natomiast masz pewne sympatie dla wygnanego domu Stuartów, co łatwo mi przypuścić, lepiej zrobisz, jeśli się z tym nie zdradzisz. Podobnie nienawidzi on arystokratycznych zasad torysów. Co do reszty, jego słowo jest jedynym wiążącym prawem zarówno dla niego, jak i dla tych, którzy mu podlegają. Dopełni obowiązku względem każdego i tak samo surowo wymaga, by każdy wywiązywał się ze swoich zobowiązań. Chcąc pozyskać jego względy nie potrzebujesz

podzielać jego przekonań, lecz musisz spełniać jego rozkazy. Największe jego błędy wynikają z uprzedzeń typowych dla jego zawodu, a raczej z tego, że poświęcając mu się bez reszty, nie dostrzega niczego, co w taki czy inny sposób nie wiąże się z handlem.

— Co za wspaniały portret! — zawołał Rashleigh, gdy skończyłem.

— Wobec ciebie, kuzynie, van Dyck był partaczem. Widzę twego ojca w całej jego sile i słabości: kochającego i czczącego króla jako rodzaj burmistrza państwa lub prezesa izby handlowej, wielbiącego Izbę Gmin za ustawy dotyczące eksportu, szanującego Izbę Lordów, gdyż lord kanclerz siedzi na worku z wełną /128.

— Ja rysowałem portret, ty zaś, kuzynie, robisz karykaturę. Jednakże w zamian za przedstawiony ci szkic sytuacyjny zechciej mnie zorientować w geografii nieznanymi krainami...

— W których się znalazłeś jako rozbitek — rzekł Rashleigh. — To nie warto: nie jest to piękna wyspa nimfy Kalipso/128 o cienistych gajach i zawitych leśnych labiryntach, ale puste, nagie torfowisko, ani ciekawe, ani uciechające dla oka. Wystarczy pół godziny, byś je poznał w całej jego nagości, tak jakbym ja wyrysował je linią i cyrklem.

— A jednak jest tu coś nieoptymalnego, czemu warto uważniej się przyjrzeć. Co byś na przykład powiedział o Dianie Vernon? Czy nie stanowi ona interesującego motywu w krajobrazie, choćby cała reszta była dzika i uboga jak brzegi Islandii?

Łatwo było poznać, że Rashleighowi nie jest miły temat przeze mnie poruszony, ale moje szczere informacje dawały mi prawo do stawiania pytań. Rashleigh czuł to: czuł się zniewolony podjąć wskazany przeze mnie temat, choć może trudno mu było dobrze swoją grę poprowadzić.

— Od pewnego czasu mniej wiem o Dianie — zaczął — niż dawniej, gdy była młodsza. Byłem jej nauczycielem. Gdy jednak zaczęła dorastać, moje różne zajęcia, moje kościelne przeznaczenie, szczególna natura jej zobowiązań, obopólna sytuacja — wszystko to sprawiło, że nasza bliska i ciągła zażyłość stała się niebezpieczna i niewłaściwa. Przypuszczam, że Diana mogła mi wziąć za złe tę rezerwę, ale była ona moim obowiązkiem. Czulem zapewne to samo, co ona, gdy musiałem pójść za głosem rozsądku. Bo czyż to bezpiecznie było podtrzymywać zażyłość z piękną i wrażliwą dziewczyną, która, jak ci pewnie wiadomo, musi oddać swe serce albo klasztorowi, albo przeznaczonemu sobie mężowi?

— Klasztorowi albo przeznaczonemu sobie mężowi? — powtórzyłem.

— Czyż dla panny Vernon nie ma innego wyboru?

— Niestety nie — oświadczył Rashleigh westchnąwszy. — Przypuszczam, że nie potrzebuję ostrzegać cię przed niebezpieczeństwem zbyt bliskiego przyjaźnienia się z nią. Jesteś człowiekiem rozumiejącym świat i życie, więc wiesz, jak daleko można posunąć taką przyjaźń bez niebezpieczeństwa dla ciebie albo krzywdy dla niej. Ostrzegam cię jednak, że zważywszy na jej usposobienie musisz zarówno sam mieć się na baczności, jak i na nią uważać. Wczorajsze zachowanie się Diany dało ci dobry przykład jej lekkomyślności i zupełnego lekceważenia zewnętrznych form i pozorów.

Wiedziałem, że w tym, co mówi, jest sporo rozsądku i prawdy. Mówił tonem przyjacielskiej przestrogi i nie miałem prawa źle tego przyjmować, a jednak w czasie tej przemowy czułem, że z przyjemnością bym go posiekał. „Wstrętny, bezwstydnny! — myślałem w duchu. — Czy on chce, bym uwierzył, że Diana Vernon zakochała się w tej jego sępiej twarzy i tak się poniżyła, że aż potrzeba było jego powściągliwości, by wyleczyć ją z tej nierozważnej miłości? Muszę się dowiedzieć, co on przez to rozumie — postanowiłem — i to choćbym miał powrozami z niego prawdę wyciągać”.

W tej myśli opanowałem się i postanawiając zachować spokój powiedziałem, że to rzeczywiście wielka szkoda, bo jak na pannę tak rozumną i wykształconą Diana ma maniery może nieco zbyt wiejskie i swobodne.

— Jest bardzo szczerą i ogłędnie mówiąc, niepowściągliwą — odpowiedział Rashleigh — jednak wierz mi, że ma bardzo dobre serce. Prawdę rzekłszy, to jeżeli ona dalej będzie czuć taki wstręt do klasztoru i przeznaczonemu sobie męża, mnie zaś praca w „kopalniach Plutona/130” zapewni w przyszłości przyzwoity i niezależny byt, pomyślę wtedy o odnowieniu naszej przyjaźni i podzieleniu z nią życia.

„Z całym tym swoim pięknym głosem i gładko toczonymi okresami — pomyślałem — Rashleigh jest najszeptniejszym i najzarozumialszym durniem, jakiego świat widział!”

— Choć — ciągnął dalej, jak gdyby myśląc na głos — nierad bym wchodzić w drogę Thorncliffowi.

— Wchodzić w drogę Thorncliffowi?— zawołałem wielce zdziwiony.

— Czyż to twój brat Thorncliff ma zostać mężem Diany Vernon?

— Ależ tak... Wola jej ojca i pewien układ rodzinny postanowiły, że ma zostać żoną jednego z synów sir Hildebranda Osbaldistone. Właściwie na mocy specjalnego pozwolenia z Rzymu jest ona jakby poślubiona Osbaldistone'owi — pozostaje więc tylko wybrać szczęśliwca i imię jego wstawić w puste miejsce już gotowego dokumentu. Otóż ponieważ Percie rzadko bywa trzeźwy, ojciec wybrał Thorncliffa, który, jako drugi z kolei filar rodzinny, ma ród Osbaldistone'ów podtrzymywać.

— Młoda dama — rzekłem zmuszając się do żartobliwego tonu, z którym nie musiało być mi do twarzy — wołałaby może poszukać trochę niżej na drzewie genealogicznym tej gałęzi, do której przytulić by się chciała.

— Tego nie wiem — odpowiedział. — Nie bardzo jest w czym wybierać. Dick jest graczem, John prostakiem, Wilfred osłem. Zdaje mi się, że ojciec ostatecznie wybrał dla biednej Dianki, co było najlepszego.

— O obecnych, naturalnie, się nie mówi — wtrąciłem.

— Och, ja, przeznaczony na księdza, byłem poza nawiasem. W przeciwnym razie, nie taję się z tym, mogąc na podstawie mego wykształcenia nie tylko uczyć pannę Vernon, ale i kierować nią, uważałbym się za lepszą dla niej partię niż którykolwiek ze starszych braci.

— I tak też zapewne myślała sama Diana?

— Ale skądże! — zaprzeczył Rashleigh z przesadą obliczoną na zrobienie przeciwnego wrażenia. — Przyjaźń... jedynie przyjaźń łączyła nas i czułe przywiązanie rozwijającej się duszy do jedyne go nauczyciela... Miłość była od nas daleka... Mówiłem kuzynowi, że wycofałem się w sam czas.

Nie miałem ochoty ciągnąć dalej tej rozmowy, uwolniłem się tedy od Rashleigha, przeszedłem do mego pokoju i silnie wzburzony chodziłem po nim tam i z powrotem, głośno powtarzając wyrazy, które najbardziej mnie oburzyły: „Wrażliwa”, „gorący temperament”, „czułe przywiązanie”, „miłość"! Diana Vernon, najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem w życiu, zakochana w kulawym łotrze z krzywymi nogami i wolim karkiem! Ryszard III /131 we wszystkim, z wyjątkiem garbu! A jednak ileż on miał sposobności podczas tego

przekłętego nauczania! Jak łatwo i płynnie mówi! Do tego jedyny rozumny człowiek w jej otoczeniu! Tak — i ta widoczna do niego uraza z przymieszką podziwu dla jego talentów rzeczywiście może być pozostałością po nieodwzajemnionym uczuciu... Dobrze, ale co mi do tego? Czemu właściwie się wściekam? Czy Diana byłaby pierwszą ładną dziewczyną, która kocha i zaślubia brzydkiego mężczyznę? A nawet gdyby była zupełnie wolna, co by mnie to mogło obchodzić? Katoliczka, jakobitka, niespokojny duch... Byłbym szaleńcem, gdybym o tym myślał!

Tak rozumując, z trudnością przytłumiłem w sobie płomień rozżalenia i czując jeszcze zadrę w sercu, w jak najgorszym humorze ukazałem się przy obiadowym stole.



## ROZDZIAŁ XII

Spić się! pleść duby! zrywać się! kłaść! junaczyć!

Szermować gębą z własnym cieniem!

Otello/132

Powiedziałem ci już, drogi Treshamie, co zresztą nie jest niczym nowym dla ciebie, że główną moją wadą jest wygórowana duma, która mnie w życiu nieraz na przykrości narażała. Nawet szeptem nie przyznałem się sobie, że kocham Dianę. A jednak gdy tylko usłyszałem, że Rashleigh mówi o niej jak o zdobyczy, którą mógłby wzgardzić lub po którą mógłby sięgnąć — każde słowo biednego dziewczęcia, wypowiedziane z niewinnego i szczerego serca, wydało mi się najwstrętniejszą i obraźliwą kokieterią. „Chciałaby — myślałem — zdobyć mnie i trzymać w odwodzie, na wypadek gdyby Rashleigh nie ulitował się nad nią! Ale ja jej pokażę, że ze mną tak postępować nie wolno. Pokażę jej, że przenikam jej sztuczki i pogardzam nimi”.

Ani przez chwilę nie pomyślałem, że całe to niesłuszne oburzenie dowodziło, iż nie byłem obojętny na jej wdzięki. Zasiadłem do stołu zły na Dianę i zły na wszystkie córki Ewy.

Panna Vernon ze zdziwieniem usłyszała, że nieuprzejmie odpowiadam na jej żartobliwe uwagi, które robiła ze zwykłą sobie swobodą i ironią. Nie przypuszczała, że zły jestem na nią, i na moje burknięcie odpowiedziała podobnie, tyle że pogodnie i dowcipnie. W końcu spostrzegła, że istotnie jestem nie w humorze, i na jedno z moich szorstkich odezwań rzekła:

— Mówią, panie Osbaldistone, że można się nauczyć rozumu od głupców: słyszałam, jak kuzyn Wilfred nie chciał grać dalej w pałki z Thorncliffem, gdyż kuzyn Thorncliff rozgniewał się i uderzył mocniej, niż na to pozwalają reguły przyjacielskiej walki. „Gdybym ci naprawdę miał rozbić głowę — mówił poczciwy Wilfred — nie dbałbym o to, czy się gniewasz, bo wtedy jeszcze łatwiej bym to zrobił. Ale to ciężko brać bolesne cięgi, a oddawać tylko na niby”. Czy rozumiesz morał w tym zawarty?

— Łaskawa pani! Nigdy nie uważałem za potrzebne doszukiwać się w tym, co się tu mówi, tej odrobiny sensu, jaką wasza rodzina krasi swe rozmowy.

— „Nie uważałem za potrzebne!” „Łaskawa pani!” Zdziwiał mnie pan.

— Bardzo mi przykro.

— Czy naprawdę jest pan zły, czy może ten ton jest tylko chmurą, która ma nauczyć mnie bardziej cenić słońce?

— Ma pani prawo do nadskakiwania tyłu panom w tej rodzinie, panno Vernon, że nie warto, byś się pani interesowała przyczyną mojej osowiałości i złego humoru.

— Jak to? — rzekła. — Czy to zatem ma znaczyć, że opuścił pan moje stronnictwo, by przejść do nieprzyjaciela?

Po czym spostrzegłszy, że siedzący po drugiej stronie stołu Rashleigh obserwuje nas ze szczególnym wyrazem zainteresowania na swojej brzydkiej twarzy, dodała:

Myśl straszna! Teraz widzę, że to prawda.

Gdyż groźny Rashleigh wyśmiewa się ze mnie,

A jak na swego na pana wskazuje...

Dzięki Bogu i dzięki temu, że nigdy nie mając serdecznego opiekuna nauczyłam się cierpliwie znosić wiele rzeczy, niełatwo się obrażam. Aby zaś nie być zmuszoną do sprzeczki, z wolą czy przeciw woli, mam zaszczyt wcześniej niż zwykle życzyć panu szczęśliwego strawienia obiadu i złego humoru.

I wyszła z pokoju.

Po wyjściu Diany Vernon byłem z siebie bardzo niezadowolony. Pomyślałem, że wzgardziłem ofiarowaną mi dobrocią, o rzetelności której świadczyły świeżo zaszłe wydarzenia. Co więcej! Prawie że obraziłem serdeczną dla mnie i piękną kobietę; kobietę, która sama przyznała, że nie ma nikogo, kto by się za nią ujął. Moje postępowanie wydało mi się brutalne. Żeby się oderwać od tych przykrych rozważań, częściej niż zwykle korzystałem z krążącej wokół stołu butelki.

Podniecenie i brak przyzwyczajenia do alkoholu spowodowały, że wino uderzyło mi do głowy. Nałogowi pijacy mogą wiele wypić i zachować równowagę umysłu, który zresztą często i tak nie jest bardzo jasny. Ludzie natomiast, którym obcy jest nałóg pijaństwa, daleko silniej reagują na trunki. Tak i ja z podniecenia przeszedłem w rozhukanie, rozprawiałem i sprzeczałem się o rzeczy, na których się nie znałem, opowiadałem historie i zapominałem, o co w nich chodzi, a potem śmiałem się nadmiernie z własnego zapomnienia. Dalej, bez zastanowienia zrobiłem parę zakładów, wyzwałem olbrzyma Johna w

zapasy, choć on był mistrzem okręgu, a ja nigdy się z nikim nie próbowałem.

Stryj mój wmieszał się pocziwie i nie dopuścił do tego pijanego szaleństwa, które mogłem złamaniem karku przypłacić.

Złośliwi opowiadali, że pod wpływem wina śpiewałem nawet jakąś piosenkę, ale ponieważ nic z tego nie pamiętam, a w życiu moim przedtem ani potem nigdy nawet nie nuciłem, rad bym sądzić, że było to bezpodstawne oszczerstwo. I bez tego wygłupiałem się dość. Właściwie nie tracąc świadomości, szybko straciłem panowanie nad sobą i moje roz hulane namiętności dowolnie mną miotały. Zasiadłem do stołu chmurny, niezadowolony i milczący — wino zrobiło mnie gadatliwym, szorstkim i kłótlwym. Sprzeczałem się o każdą rzecz i zapominając o szacunku należnym memu stryjowi atakowałem jego polityczne i religijne przekonania. Sztuczne umiarkowanie Rashleigha, które on umiał przyprowadzić złośliwymi uwagami, jeszcze bardziej mnie rozdrażniło niż szorstkość i hałaśliwość jego braci. Stryj mój, muszę mu oddać sprawiedliwość, starał się przyprowadzić nas do porządku, ale wobec mego podniecenia winem i namiętnością na nic się nie zdał jego autorytet. W końcu, doprowadzony do wściekłości jakąś prawdziwą czy urojoną zniewagą, uderzyłem Rashleigha pięścią. Żaden stoik, wyższy ponad swoje i cudze namiętności, nie mógłby znieść obrazy z większą pogardą. O to, co sam uważał za niegodne swego gniewu, obraził się za niego Thorncliff. Błysnęły szable, złożyliśmy się raz i drugi, lecz pozostali bracia rozdzielili nas siłą. Nigdy też nie zapomnę szatańsko drwiącego uśmiechu, który wykrzywił brzydką twarz Rashleigha, gdy mnie przemocą usuwało z jadalni tych dwóch młodych tytanów. Zamknęli mnie na klucz w moim pokoju i ku mojej niewymownej wściekłości słyszałem, jak schodząc ze schodów, głośno się śmiali. Wściekły, chciałem się wydostać, ale kraty i okute drzwi oparły się moim pięściom. W końcu rzuciłem się na łóżko i zasnąłem obiecując sobie zemścić się srogo nazajutrz.

Ranek jednakże przyniósł żal i skruchę. Ogarnął mnie wstyd, gdy zrozumiałem, jak nedorzeczne i dzikie było moje zachowanie. Musiałem przyznać przed samym sobą, że wino i gniew sprawiły, iż byłem głupszy nawet od tak bardzo przeze mnie pogardzanego Wilfreda. Moich smętnych refleksji nie łagodziła myśl o tym, że trzeba będzie przeproszać za niewłaściwości mojego postępowania i

że Diana Vernon będzie świadkiem tego upokorzenia. Do tego gnębiło mnie i to, że tak niegrzecznie i tak głupio zachowałem się w stosunku do niej samej, przy czym tu nie miałem nawet tej marnej wymówki, że byłem nietrzeźwy.

Zawstydzony i z ciężkim sercem zszedłem na śniadanie. Czułem się jak zbrodniarz, który ma usłyszeć wyrok. Zdarzyło się właśnie, że dnia tego silny mróz nie pozwalał wyprowadzić psów w pole i że całą rodzinę z wyjątkiem Rashleigha i panny Vernon zastałem zgromadzoną dokoła zimnego pasztetu z dziczyzny i wołowej pieczeni. Wszyscy się doskonale bawili, i to — jak się domyśliłem — moim kosztem. Istotnie to, co przeżyłem jako poważną przykrość, stryj mój z większością moich kuzynów poczytywał za wyśmienitą zabawę. Sir Hildebrand, żartując ze mnie z powodu wczorajszego zajścia, jednocześnie przysięgał, że woli, by młody człowiek raczej upił się trzy razy w ciągu jednego dnia, niżby jak purytanin trzeźwy szedł do łóżka, porzucając grono tęgich chłopców i gąsior wina. Nadto, dla poparcia swojej pocieszającej przemowy, nalał duży kielich wódki, upominając mnie, bym połknął „włos tego psa, który mnie ugryzł”.

— Nic sobie nie rób z tego, że chłopcy śmieją się z ciebie — mówił dalej. — Byłyby z nich takie same mlekopoje, gdybym ich nie wyniańczył na czymś mocniejszym.

Złośliwością na ogół kuzynkowie moi nie grzeszyli i gdy spostrzegli, że wspomnienia minionego wieczoru drażnią mnie i boją, starali się z niezgrabną poczciwością zatrzeć przykre wrażenie, jakie na mnie zrobili. Jeden tylko Thorncliff pozostał chmurny i nieprzejednany. Ten młodzieniec nie lubił mnie od samego początku i nigdy nie wziął udziału w dowodach życzliwości, jakie mi, choć niezręcznie, świadczyli raz po raz jego bracia. Jeżeli było prawdą, o czym jednak zaczynałem wątpić, że uważany był przez rodzinę czy też uważał sam siebie za przyszłego małżonka Diany Vernon, to być może, uczucie zazdrości powstało w jego sercu wobec względów łaskawie przez nią okazywanych komuś, kto w mniemaniu Thorncliffa mógł się stać niebezpiecznym rywalem.

Wszedł nareszcie Rashleigh z twarzą posępną jak żałobny kir, rozmyślający niewątpliwie nad nie usprawiedliwioną a uwłaczającą obrazą, jaką mu wyrządziłem. Obmyśliłem już zawczasu, jak się mam przy tej sposobności zachować, i przekonałem sam siebie, że

prawdziwie honorowe postępowanie polega nie na upartym bronienu się, ale raczej na przeproszeniu za obrazę, tak ciężką w porównaniu do jakichkolwiek jego prowokacji.

Pośpieszyłem przeto naprzeciw Rashleigha i powiedziałem mu, że niewymownie żałuję, iż poprzedniego wieczoru dałem się tak dalece unieść gwałtowności.

— Nic nie mogłoby — mówiłem — wydrzeć mi z ust jednego słowa prośby o wybaczenie, gdyby nie własne poczucie niewłaściwości mego postępowania. Mam nadzieję, że kuzyn zechce przyjąć tłumaczenie moje, tak szczerze ofiarowane, i zważyć, że moją wczorajszą gwałtowność można złożyć na karb nadzwyczajnej gościnności panującej w Osbaldistone Hall.

— Pogodzi się z tobą, chłopcze — zawołał zacny gospodarz z pełni wylewnego serca — albo niech mnie diabli, jeżeli go jeszcze kiedy synem nazwę!... No cóż, Rashie, stoisz jak kłoda? „Przepraszam” — to wszystko, co może uczynić człowiek honoru, jeżeli zdarzy mu się popełnić niewłaściwość, i to jeszcze przy winie. Służyłem w huzarach i przypuszczam, że znam się na sprawach honoru. Niech już więcej o tym nie będzie gadania. Wszyscy jedziemy wypłaszać borsuka nad strumieniem w Birkenwood!

Mówiłem już przedtem, że takiej twarzy jak Rashleigha nigdy jeszcze nie widziałem. Jednakże jej odrębność leżała nie tylko w rysach, ale w sposobie zmieniania wyrazu. Inne twarze, przechodząc ze smutku do radości albo z gniewu do zadowolenia, wyrażają przez chwilę coś jakby nastrój przejściowy, nim panujące na nich jedno uczucie ustąpi miejsca drugiemu. Jest jakby rodzaj półmroku, podobny do jaśniejących ciemności przed wschodem słońca, gdy skurcz mięśni się zwalnia, ponurość oka rozjaśnia, czoło wygładza, a twarz cała traci ostre cienie, stając się pogodną i jasną. Twarz Rashleigha nie wykazywała żadnych takich stopniowań i prawie natychmiast przechodziła od jednego wyrazu do wręcz przeciwnego. Nie potrafię tego z niczym porównać, chyba ze zmianą dekoracji w teatrze, gdy na skinienie reżysera znika jaskinia, a powstaje lasek.

W danej chwili szczególnie ta właściwość silnie mnie uderzyła. Wchodząc Rashleigh miał twarz ponurą jak noc. Z tą samą nachmurzoną twarzą wysłuchał moich przeprosin i upomnień ojca. Dopiero gdy sir Hildebrand zakończył swoją przemowę, chmura

ustąpiła nagle i wyraził mi w najmilszych i najgrzeczniejszych słowach zupełne zadowolenie z moich przeprosin.

— Istotnie — mówił — sam mam tak słabą głowę, że gdy przekroczę moją zwykłą miarę trzech kieliszków, wtedy — podobnie jak Cassino/137 — mętnie tylko sobie wspominam zajścia wczorajszego wieczora... Przypominam sobie mnóstwo rzeczy, ale niedokładnie... Jakaś sprzeczka, ale nie wiem, o co... Toteż, mój drogi kuzynie — ciągnął dalej, ściskając mnie serdecznie za rękę — wyobraź sobie, jaką mi to ulgę sprawia, gdy znajduję, że to mnie ktoś ma przeprosić, a nie ja kogoś... Ani słowa więcej o tym. Byłbym bardzo niemądry, gdybym chciał wglądać w rachunki, skoro bilans wykazuje, że mam coś przyjąć, a nie coś dać. Widzisz, kuzynie, używam już terminologii Lombard Street/137, wprawiam się do mego nowego zawodu.

Gdy chcąc odpowiedzieć podniosłem oczy, spotkałem się ze wzrokiem Diany Vernon, która, niepostrzeżenie wszedłszy do pokoju w czasie rozmowy, przysłuchiwała się jej uważnie. Zmieszany i zawstydzony, spuściłem oczy i uciekłem do stołu sadowiąc się wśród moich pałaszujących kuzynów.

Stryj chcąc, by poprzedni wieczór zostawił w naszej pamięci ślad praktycznej „moralnej” nauczki, skorzystał ze sposobności, by Rashleighowi i mnie poważnie doradzić, żebyśmy poprawili nasze „mlekopojne” obyczaje, jak się wyrażał, i z wolna zaprawili głowy do znoszenia „dżentelmeńskiej ilości trunków” bez kłótni i rozbijania łbów. Radził, byśmy zaczęli się wprawiać wysuszając codziennie po kwarcie czerwonego wina, Co z dodatkiem marcowego piwa i wódki stanowi dla początkującego dobry wstęp do sztuki picia. Dla zachęty zapewniał nas, że znał niejednego, który doczekał naszych lat nie wypiwszy nigdy butelki na jednym posiedzeniu, a jednak, dostawszy się w uczciwe towarzystwo i idąc za dobrym przykładem, zaliczał się, później do najlepszych kompanów swego czasu i umiał zmieścić pod pasem sześć butelek spokojnie i wygodnie, bez kłótni i awantur, bez chowania się i przygnębienia nazajutrz.

Jakkolwiek mądrą była ta rada i miłą ukazywana mi perspektywa, nie posłuchałem stryja — po trosze może dlatego, że ilekroć podniosłem oczy od stołu, zawsze spotykałem utkwiony we mnie wzrok Diany Vernon, a w tym wzroku zdawało mi się, że czytam poważne współczucie, zmieszane z żalem i naganą.

Zacząłem się zastanawiać, jakby postarać się o możliwość wytłumaczenia się przed nią, gdy dała mi do zrozumienia, że chce mi oszczędzić trudu proszenia o rozmowę.

— Kuzynie Franku — rzekła tytułując mnie tak jak moich stryjecznych, chociaż właściwie nie miałem prawa uważać się za jej krewnego — natrafiłam dziś rano na trudny ustęp w Boskiej komedii Dantego. Czy byłbyś łaskaw przyjść do biblioteki i użyzyć mi pomocy? A gdy wyjaśnisz mi zawiły sens Florentczyka, dogonimy resztę towarzystwa i zobaczymy, czy będą mieli szczęście w odgrzebywaniu borsuka.

Naturalnie oświadczyłem się z gotowością służenia jej. Rashleigh ofiarował się nam towarzyszyć.

— Jestem trochę zręczniejszy — rzekł — w śledzeniu myśli Dantego poprzez przenośnie i obrazy jego fantastycznego i mglistego poematu niż w wypłaszaniu z nory biednego, nieszczęśliwego i nieszkodliwego samotnika.

— Przepraszam, Rashleighu — rzekła Diana Vernon — ale skoro masz zająć miejsce Franka w kantorze, musisz zdać na niego obowiązek kształcenia twojej uczennicy w Osbaldistone Hall. Zawołamy cię zresztą, jeżeli zajdzie potrzeba, proszę więc nie przejmuj się tym. A przy tym to wstyd, że nie znasz się na myślistwie. Co zrobisz, jeżeli twój stryj z Crane Alley zapyta ciebie o znaki, po jakich można wyśledzić borsuka?

— To prawda, Dianko, to prawda — westchnął sir Hildebrand. — Pewnie, że Rashleigh przepadłby, gdyby go wzięto na egzamin. A mógł być się nauczyć wielu pożytecznych rzeczy, tak jak jego bracia, przecież wychował się razem z nimi. Cóż kiedy francuskie błazeństwa, książkowe mądrości i hanowerczycy — wszystko to zmieniło ten dawny świat, jaki znałem w naszej Starej Anglii... Ale jedź z nami, Rashleighu, i weź moje myśliwskie przybory, chłopcze. Twoja kuzynka nie pragnie w tej chwili twojego towarzystwa, a ja nie chcę, żeby się kto Diane sprzeciwił. Nie będzie nigdy powiedziane, że w Osbaldistone Hall była tylko jedna kobieta i ta umarła z braku własnej woli.

Rashleigh poszedł za ojcem, jak przykazano, wpierw jednak szepnął Dianie:

— Przypuszczam, że mam dyskretnie i ceremonialnie zbliżyć się do drzwi biblioteki i pukać, zanim je otworzę?

— Nie, nie, Rashleighu — odpowiedziała Diana — pozbądź się tylko twojej towarzyszki, pani Obludy, a to da ci wolny wstęp do naszych studiów klasycznych.

To mówiąc poszła w stronę biblioteki, a ja za nią — jak zbrodniarz prowadzony na śmierć. Przypominam sobie jednak, że już użyłem tego porównania raz, a może dwa razy. Zatem, bez żadnych porównań, szedłem za nią z uczuciem zażenowania i zakłopotania, które tak bardzo pragnąłbym otrząsnąć z siebie. Uważałem to za niegodny i poniżający nastrój w takiej chwili, gdyż dość długo oddychałem powietrzem kontynentu, by wyobrazić sobie, że swoboda, dworskość i coś w rodzaju szlachetnej pewności siebie powinny zdobić mężczyznę, z którym na osobności chce pomówić piękna kobieta.

Angielska strona mojej natury okazała się jednak silniejszą niż francuskie wychowanie i musiałem mieć, wyobrażam sobie, bardzo żalowaną minę, gdy Diana zająwszy majestatycznie miejsce w wielkim fotelu z poręczami, jak sędzia zabierający się do przesłuchania w bardzo ważnej sprawie, dała mi znak, bym zasiadł w krześle naprzeciw, co uczyniłem jak biedny podsądny, a ona zaczęła rozmowę w tonie gorzkiej ironii.



## ROZDZIAŁ XIII

Ten niegodziwy, kto pierwszy zamacał  
Oreż bojowy w truciźnie. Lecz gorszy  
I bardziej potępienia godny ten,  
Kto jad trucizny wsączył w puchar bratni,  
By śmierć zapuścić w żyły zamiast życia.  
Anonim

Słowo daję, panie Franku Osbaldistone — przemówiła tonem, jakby się czuła uprawnioną do ironicznej wymówki — kształcisz się między nami... Nie przypuszczałam, że takie zdolności drzemią w twojej duszy. Dzień wczorajszy możemy uważać za próbną robotę, przy czym wykazałeś uprawnienie do uważania się za wyzwolonego czeladnika cechu Osbaldistone Hall... Ale to było wprost arcydzieło!

— Dobrze zdaję sobie sprawę z tego, że zachowałem się jak cham. W swojej obronie tylko mogę powiedzieć, że otrzymałem wiadomości, które mnie niezwykle wzburzyły. Wiem, że byłem impertynencki i niedorzeczny.

— Nie doceniasz siebie — odparł nielitościwie mój sędzia — zdołałeś, sądząc z tego, co widziałam, a następnie słyszałam, wykazać w ciągu jednego wieczora szereg mistrzowskich cnót, w jakich celują twoi kuzynowie; łagodność i szlachetność dobrotliwego Rashleigha, umiarkowanie Percie'ego, chłodną odwagę Thorncliffa, Johna zręczność w tresowaniu psów, skłonność do zakładania się Dicka — wszystkim tym popisał się jeden jedyny pan Francis, i to wybrawszy sobie czas, miejsce i okoliczności z taktem i bystrością Wilfreda.

— Litości, kuzynko! Przyznaję, że tę burę, choć surową, uważam za zasłużoną, zważywszy zwłaszcza, z czyich ust płynie. I wybacz, jeśli jako okoliczność łagodzącą przytoczę obyczaj panujący w tym domu i w tym kraju. Jest on mi obcy, bynajmniej go nie pochwalam, jednakże mamy za sobą powagę Szekspira, który powiedział, że dobre wino to dobre domowe zwierzę i że każdemu kiedyś przytrafić się może, że go ono pokona.

— Prawda, kuzynie, ale Szekspir wkłada to usprawiedliwienie w usta najgorszego łotra, jakiego pióro jego namalowało. Nie chcę korzystać z przewagi, którą mi daje ten cytat, gdyż pograżyłabym ciebie cytując odpowiedź, jaką ofiara Cassio daje kusicielowi Jagonowi... Chcę tylko, żebyś wiedział, że jest przynajmniej jedna osoba, którą smuci,

gdy widzi, że utalentowany i obiecujący młodzieniec grzęźnie w kałuży, w której co wieczór tarzają się mieszkańcy tego domu.

— Ja tylko mój trzewik zamaczałem, zapewniam cię, Diano, i nazbyt mi wstrętna nieczystość tego błota, bym miał brnąć w nie dalej.

— Mądrze czynisz, że tak postanawiasz. Tak się jednak przejęłam tym, co słyszałam, że pana sprawa stała się dla mnie ważniejsza niż moja własna... Wczoraj podczas obiadu zachowałeś się wobec mnie tak, jak gdyby powiedziano ci o mnie coś takiego, co mnie w twoich oczach zgubiło. Czy wolno zapytać, co to było?

Zdumiałem się. To otwarte pytanie było w stylu, jakiego by użył mężczyzna żądając od drugiego wyjaśnienia jego postępowania, to jest pogodnie, lecz stanowczo. Diana zlekceważyła te omówienia i subtelności, jakie zwykły towarzyszyć wyjaśnieniom między osobami różnej płci z wyższych sfer towarzyskich.

Milczałem wielce zakłopotany, przyszło mi bowiem na myśl, że zwierzenia Rashleigha, jeśli się przypuści, że mówił prawdę, powinny były raczej wzbudzić we mnie współczucie dla Diany, a nie małostkową urazę. Być może, że powtórzenie ich byłoby najlepszym usprawiedliwieniem mego postępowania, ale niezmiernie trudno było mi wyszczególnić to, co z konieczności musiało być dla jej uczuć obrażające. Zauważyła moje wahanie i dodała tonem bardziej stanowczym, choć zawsze opanowanym i grzecznym:

— Spodziewam się; panie Osbaldistone, że nie odmówisz mi prawa do usłyszenia wyjaśnień. Nie mam krewnego, który by mnie bronił, dlatego słuszne jest, bym się broniła sama.

Zacinając się, usiłowałem zrzucić winę mojego szorstkiego zachowania się na niedyspozycję i niemiłe listy z Londynu. Pozwoliła mi wyczerpać wszystkie wymówki i zaplatać się w nich. Słuchała cały czas z uśmiechem zupełnego niedowierzania.

— A teraz, kuzynie Franku, po wygłoszeniu tego prologu do rzeczywistych wyjaśnień, który, nawiasem mówiąc, niezbyt ci się udał, zechciej podnieść kurtynę i ukazać mi to, co zobaczyć pragnę. Jednym słowem, opowiedz, co Rashleigh ci o mnie mówił, on bowiem jest monterem i naczelnym inżynierem całej maszynierii w Osbaldistone Hall.

— Ale jeśli by nawet coś było do powiedzenia, co wart jest człowiek, który tajemnice jednego sprzymierzeńca zdradza drugiemu?

Rashleigh, sama mi to mówiłaś, pozostaje twoim sprzymierzeńcem, choć przestał być przyjacielem.

— Nie mam ani cierpliwości do słuchania wykrętów, ani ochoty do żartów w tej sprawie. Rashleigh nie może, nie powinien, nie śmie mówić o mnie nic takiego, co by na moje żądanie nie mogło mi być powtórzone. Prawda, że są tajemnice między mną a Rashleighem, ale do nich nie mogły się odnosić informacje, których ci udzielił.

Tymczasem odzyskałem już przytomność umysłu i jednak postanowiłem nie wyjawiać tego, co mi Rashleigh jakby w zaufaniu powiedział. Było coś niegodnego w takim powtarzaniu prywatnej rozmowy. Nie mogło to, rozumowałem, sprawić nic dobrego, a musiałoby zadać wielką przykrość Dianie. Toteż odpowiedziałem poważnie, że prowadziliśmy tylko żartobliwą rozmowę o członkach rodziny w Osbaldistone Hall. Zapewniłem, że nie powiedziano nic takiego, co by rzucało na nią niekorzystne światło. Jako człowiek honorowy, dodałem, nie mogę obszerniej powtarzać prywatnej rozmowy.

Gwałtownie się zerwała, wzburzona niczym Kamilla/142 ruszająca w bój.

— To na nic się nie zda, mój panie! Muszę mieć inną odpowiedź! Twarz jej gorzała, na czoło uderzył rumieniec, oczy błysnęły ogniem.

— Żądam takiego wyjaśnienia — mówiła — jakiego kobieta nikczemnie oszkalowana ma prawo żądać od każdego mężczyzny, który uważa siebie za szlachetnego człowieka. Żądam wyjaśnienia i mam prawo go żądać, już choćby jako sierota bez matki, istota bez przyjaciół. Sama na świecie, bez doradcy i opiekuna, mam prawo żądać takich wyjaśnień od każdego szczęśliwego człowieka, którego Bóg zesłał na ten świat, by się cieszył i używał, jak mnie zesłał, abym cierpiała. Nie odmówisz mi albo... — tu uroczyście spojrzała w górę — albo pożałujesz tej odmowy, jeśli jest sprawiedliwość i kara za krzywdę na ziemi albo w niebie!

Zdumiała mnie jej gwałtowność, czułem jednak, że tak wezwany muszę odłożyć na bok skrupuły delikatności, toteż zwięźle, ale wyraźnie streściłem jej to, co mówił Rashleigh.

Siadła i uspokoiła się, gdy tylko zacząłem mówić, ale gdy się zatrzymywałem szukając jakiegoś delikatniejszego zwrotu lub wyrażenia, za każdym razem przerywała mi mówiąc:

— Dalej, proszę, mów dalej. Pierwsze słowo, jakie się nasuwa, jest najprostsze i musi być najlepsze. Nie myśl o moich uczuciach, mów jak do obojętnej osoby trzeciej.

Wobec takiego nalegania wyjąkałem całe opowiadanie Rashleigha o zawartej zawczasu umowie co do jej małżeństwa z jednym z Osbaldistone'ów i o trudności wyboru. W tym miejscu najchętniej byłbym umilkł. Przenikliwość jej jednak podpowiedziała, że coś jeszcze poza tym się kryje, a nawet odgadła, do czego się odnosi.

— Brzydko było ze strony Rashleigha, że wszystko to opowiedział. Jestem jak ta biedna dziewczyna z bajki, którą w kolebce zaręczono z Czarnym Niedźwiedziem z Norwegii. Najwięcej cierpiała ona z tego powodu, że koleżanki w szkole nazywały ją narzeczoną Misia. Ale oprócz tego Rashleigh mówił też coś o sobie w odniesieniu do mnie, prawda?

— Tak, wspomniał, że gdyby nie myśl wchodzenia w drogę bratu, pragnąłby teraz, skoro zmienił zawód, by wolne miejsce w kontrakcie ślubnym wypełniło imię Rashleigha zamiast Thorncliffa.

— Tak! Doprawdy? Był tak łaskaw.? — odpowiedziała. — Za wiele zaszczytu dla jego najniższej służebnicy. Mówił może, że ona czułaby się uszczęśliwiona tą zmianą?

— Prawdę mówiąc, dał to do zrozumienia, a nawet napomknął...

— Co? Niech usłyszę! — zawołała żywo.

— Że przerwał waszą wzajemną zażyłość z obawy, by nie wynikło z niej uczucie, z którego, jako przeznaczony do służby Kościoła, nie byłby mógł korzystać.

— Jakaż mu jestem wdzięczna za jego względy! — odpowiedziała, a każdy rys jej pięknej twarzy wyrażał najwyższe lekceważenie i wzgardę. Milczała przez chwilę, a potem zaczęła ze zwykłym spokojem:

— Niewiele usłyszałam od ciebie, czego bym się, niestety, nie spodziewała usłyszeć; albowiem z wyjątkiem jednej okoliczności wszystko to prawda. Jak jednak są pewne trucizny tak silne, że wystarczy kilku kropel do zatrucia całej studni, tak w informacjach Rashleigha jest jeden fałsz, dostateczny, by zepsuć całą studnię prawdy. Jest podłym kłamstwem, bym znając Rashleigha tak, jak mam aż nadto wiele powodów, by go znać, mogła w jakichkolwiek okolicznościach życia chcieć z nim podzielić swój los. Nie — i ciągnęła dalej, wstrząsnawszy się jakby z mimowolnym wstrętem. —

Każdy los byłby lepszy niż ten. Głupiec, gracz, pokrzykiwacz, dżokej, nawet bezrozumny błazen, każdy z nich jest lepszy od Rashleigha. Zgodzę się raczej na klasztor, więzienie i grób niż na któregokolwiek z Osbaldistone'ów.

Smutne i melancholijne brzmienie było w jej głosie, harmonizujące z dziwną i ciekawą romantycznością jej doli. Taka młoda, piękna, a pozostawiona sama sobie bez tego oparcia, jakie daje kobiecie opieka i przyjaźń innych kobiet, pozbawiona nawet tej obrony, jaką kobietom dają formy towarzyskie cywilizowanego świata!... Prawie bez przerośnięci powiem, że serce mi się krwawiło, gdy tego słuchałem. Był jednak wyraz godności w jej lekceważeniu towarzyskich form i szczerą uczciwość w jej pogardzie dla fałszu. Dochodziła do tego odwaga i stanowczość, z jaką stawiała czoło otaczającym ją niebezpieczeństwom, a wszystko razem wzięte zaprawiało gorącym podziwem to współczucie, jakie dla niej miałem. Wydawała się księżniczką opuszczoną przez poddanych, pozbawioną władzy, lecz pogardzającą sztywnymi przepisami stworzonymi dla ludzi z niższych sfer. Jediną jej ostoją wydawała się wiara w bożą sprawiedliwość i hart własnego ducha.

Chciałem jej wyrazić współczucie i podziw, jakie we mnie budziła, lecz natychmiast zmusiła mnie do milczenia.

— Powiedziałam ci żartem — oświadczyła — że nie lubię komplementów... Teraz mówię poważnie, że nie żądam współczucia, a pocieszaniem pogardzam. Co miałam do zniesienia, to zniosłam. Co jeszcze znieść mi przyjdzie, to zniosę, jak będę mogła najlepiej. Żadne wyrazy ubolewania nigdy nie ujmą ciężaru niewolnikowi. Rashleigh był jedynym człowiekiem, który mógł być mi dopomóc, ale on wolał raczej przyczynić mi nowych cierpień. Tak! Był czas, że mogłam go była pokochać. O wielki Boże! Ale ten cel, dla którego usiłował on zdobyć zaufanie kogoś, już i bez tego dosyć pognębionego, żelazna wytrwałość, z jaką lata całe do tego dążył bez wytchnienia i bez litości, cel, dla osiągnięcia którego chciał przemienić w truciznę to pożywienie, którym karmił mój umysł! O nieba! Czym bym ja była ciałem i duszą na tym świecie i na tamtym, gdybym była wpadła w zdradzieckie sidła tego przebiegłego nędznika!

Tak mną wstrząsnęła groza przewrotnej zdrady, jaką te słowa odślaniały, że zerwałem się z krzesła i prawie nie wiedząc, co czynię, chwyciłem za rękojeść szabli i chciałem biec szukać tego, na którym

mógłbym wyładować swoje słuszne oburzenie. Prawie bez tchu, z oczyma, w których pogarda i gorycz ustąpiły miejsca przerażeniu, Diana skoczyła i stanęła między mną a drzwiami pokoju.

— Zostań! — rzekła. — Zostań, jakkolwiek słuszny jest twój gniew! Nic znasz ani połowy tajemnic tego straszliwego, więziennego domu. Tu lękliwie rozejrzała się po pokoju i głos zniżyła prawie do szeptu:

— On wie życie jakby zakłete. Nie można w niego uderzyć nie uderzając w innych. Zniszczenie Rashleigha wywołałoby daleko idące katastrofy. Gdyby było inaczej, w godzinie sprawiedliwości groziłoby mu niebezpieczeństwo może nawet z tej oto słabej ręki. Jak ci powiedziałam — dodała wskazując mi ręką na krzesło — że nie potrzeba mi pocieszyciela, tak teraz powiadam, że nie potrzeba mi mściciela.

Usiadłem machinalnie, dumając nad tym, co powiedziała, i przypominając sobie także, o czym w pierwszym uniesieniu nie pamiętałem, że mianowicie nie mam żadnego prawa poczytywać się za jej rycerza-obrońcę. Milczała chwilę, pozwalając ostygnąć mojemu i swojemu wzruszeniu, po czym zaczęła mówić już spokojniej:

— Powiedziałam już, że z osobą Rashleigha wiąże się niebezpieczna i groźna dla drugich tajemnica. Chociaż to nikczemnik, chociaż wie, że go przejrzałam i co o nim sędzę, nie mogę jednak, nie śmiem otwarcie z nim zerwać i przystąpić do walki. I ty, kuzynie, musisz go znosić cierpliwie, a jego chytre sztuczki udaremniać przezornością, nie gwałtem. Przede wszystkim zaś musisz unikać scen takich jak wczorajsza, gdyż to mu tylko daje niebezpieczną przewagę nad tobą. Chciałam pomówić z tobą właśnie, by ci dać tę przestrożę. W zaufaniu swoim posunęłam się dalej, niż zamierzałam.

Zapewniłem ją, że zaufania swego źle nie umieściła.

— Wierzę — odpowiedziała. — W wyrazie twarzy i w zachowaniu masz coś, co budzi ufność. Bądźmy i nadal przyjaciółmi. Nie obawiaj się — dodała śmiejąc się i rumieniąc trochę, lecz mówiąc tonem swobodnym i naturalnym — że przyjaźń między nami okaże się tylko nazwą kryjącą inne uczucie. W sposobie myślenia i działania należę raczej do waszej płci, z którą się zawsze wychowywałam. Przy tym ten przeznaczony mi welon zakonny otulił mnie już w kołysce, łatwo mi bowiem uwierzysz, że nigdy nie brałam na serio możliwości uniknięcia klasztoru poprzez małżeństwo z jednym z tych moich kuzynów. Czas ostatecznej decyzji jeszcze nie nadszedł, więc na

równi z innymi korzystam ze swobody pól i świeżego powietrza, dopóki mi wolno tym się cieszyć. A teraz, skoro ustęp z Dantego został tak gruntownie wyjaśniony, jedź i zobacz, co porabiają tropiciele borsuka. Mnie tak bardzo głowa boli, że wolę zostać sama.

Opuściłem bibliotekę, ale nie po to, by przyłączyć się do myśliwych. Czułem, że potrzebuję samotnej przechadzki dla uspokojenia umysłu, zanim spotkam się znów z Rashleighem, którego głąb wyrachowanej podłości tak jasno mi ukazano.

Podczas mego pobytu we Francji mieszkałem przy protestanckiej rodzinie Dubourga i tam nasłuchiwałem się wielu opowiadań o tym, jak katolicy księża wbrew składanym ślubom folgują swoim namiętnościom, i to nieraz kosztem, nadużycia gościnności, przyjaźni, gwałcąc najświętsze prawa ludzkiego współżycia. Mimo to jednak pełne szlachetnego oburzenia opowiadanie niedoszłej ofiary Rashleigha i jego wyrachowanie, kiedy to podjął się kształcenia opuszczonej sieroty szlachetnego rodu, i do tego swojej krewnej, po to, by wreszcie ją uwieść, wydało mi się gorsze od najgorszych opowiadań słyszanych w Bordeaux. Czułem, że będzie mi niezmiernie trudno przy spotkaniu Rashleigha nie dać mu odczuć wstrętu, jakim mnie przejmuje. A przecież było to konieczne, jeśli miałem się zastosować do życzeń Diany i nie szukać zwady z człowiekiem, z którym ostatecznie nie miałem żadnego wyraźnego do kłótni powodu. Postanowiłem więc chłodnej obłudzie Rashleigha przeciwstawić odpowiednią ostrożność, przynajmniej dopóty, dopóki będziemy przebywać w tej samej rodzinie. Gdy zaś odjedzie do Londynu, postanowiłem posłać Owenowi szkic charakteru Rashleigha, by odpowiednio mógł czuwać nad interesami ojca. Skąpstwo i chciwość mogłyby zawładnąć duszą Rashleigha jeszcze snadniej od niedozwolonych przyjemności. Jego energia i umiejętność udawania mogłyby mu zjednać zaufanie, a nie można się było spodziewać, by pod wpływem wdzięczności cofnął się przed jego nadużyciem. Zadanie łatwe nie było, zwłaszcza w moim położeniu, gdyż pochodzące ode mnie ostrzeżenie bez trudu można by przypisać zazdrości o człowieka, który miał zająć moje miejsce przy ojcu. Mimo to uważałem napisanie takiego listu za konieczne, pozostawiając już Owenowi, który sam był przezorny, roztropny i ostrożny, odpowiednie zużytkowanie wiadomości o prawdziwym charakterze

Rashleigha. Taki list przeto napisałem i przy pierwszej sposobności wysłałem na pocztę.

Przy spotkaniu z Rashleighem zachowaliśmy dystans, skłonni unikać pozoru do starcia. Domyślił się zapewne, że Diana ostrzegła mnie przed nim, choć nie mógł wiedzieć, że odkryła mi jego względem niej niegodziwość. Toteż nasza rozmowa była obustronnie skąpa i obracała się dokoła nic nie znaczących tematów. Zresztą były to już ostatnie dni jego pobytu w Osbaldistone Hall. W tym czasie zaobserwowałem dwie rzeczy. Najpierw szybki i nieledwie intuicyjny sposób, w jaki żywy i potężny umysł Rashleigha chwycił i porządkował podstawowe zasady potrzebne w jego nowym zawodzie, pilnie się ucząc przedmiotów związanych z handlem, popisując się przy sposobności swymi postępami, jak gdyby chciał mi pokazać, że łatwo mu było dźwignąć ciężar, który ja porzuciłem, niechętny i niezdolny go unieść. Drugą godną zauważenia okolicznością było to, że mimo wszystko, o co Diana Vernon oskarżała Rashleigha, miała z nim jednak kilka, i to długotrwałych rozmów na osobności, przy czym ich zachowanie się przy ludziach nie wydawało się mniej serdeczne niż zwykle.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu Rashleigha, ojciec pożegnał się z nim obojętnie, bracia ze źle ukrytą radością uczniaków, którzy żegnają wyjeżdżającego nauczyciela i cieszą się, choć radości nie śmia okazać. Ja żegnałem go chłodno, lecz uprzejmie. Gdy zbliżył się do Diany i chciał ją pocałować, cofnęła się z wyrazem wzdargliwej wyniosłości, rzekła jednak wyciągając rękę:

— Bywaj zdrów, Rashleighu! Niech ci Bóg wynagrodzi dobro, które uczyniłeś, a przebaczy zło, które zrobić zamierzałeś.

— Amen, piękna kuzynko — odpowiedział z miną świętoszkowatą.

— Szczęśliwy, czyje dobre zamiary przyniosły owoc, a złe myśli zginęły w pączku.

To były jego pożegnalne słowa.

— Co za hipokryta — powiedziała do mnie Diana, gdy drzwi się za nim zamknęły. — Jak bardzo pozory tego, czym najbardziej gardzimy i czego najbardziej nienawidzimy, podobne są nieraz do tego, co najwyżej cenimy.

Oprócz tego poufnego listu, o którym już wspomniałem, a który uważałem za właściwsze i przezorniejsze skierować inną drogą, wysłałem też przez Rashleigha list do ojca i parę słów do Owena.



Byłoby naturalne, gdybym w tych listach wspomniał ojcu i przyjacielowi, że znajduję się w warunkach, w których żadnej korzyści odnieść nie mogę prócz wtajemniczenia się w sztukę myśliwską. Mogłem napisać, że towarzystwo prostych koniarzy grozi mi zapomnieniem niejednej z dawniej nabytych pożytecznych wiadomości i utraceniem towarzyskiej ogłady. Byłoby także naturalne, gdybym był napisał o niesmaku i nudzie, jakie mnie ogarniają wśród istot wkładających całą duszę jedynie w polowania i inne niezbyt budujące rozrywki, gdybym się był skarżył na pijaństwo rodziny, której byłem gościem, i niechęć, nieledwie urazę, z jaką stryj sir Hildebrand przyjmował moje wypraszenie się od butelki. Szczególnie to ostatnie prawdopodobnie zaniepokoiłoby ojca, hołdującego surowej wstrzeźliwości, i nacisnęłoby sprężynę od drzwi mojego więzienia. Tym sposobem albo wygnanie moje uległoby skróceniu, albo pomyślano by o zamianie miejsca na czas zesłania.

Powtarzam, drogi Treshamie, że zważywszy, jak niemiły musiałby być dłuższy pobyt w Osbaldistone Hall dla młodzieńca w moim wieku i z moimi przyzwyczajeniami, powinno by się wydać bardzo naturalne, gdybym był wykazał ojcu wszystkie te złe strony, by uzyskać jego zgodę na opuszczenie domu stryja. Pewną jednakże jest rzeczą, że ani słowem nie napomknąłem o czymś podobnym w listach do ojca i Owena. Gdyby Osbaldistone Hall było Atenami w pierwotnym ich blasku uczoności, zamieszkanymi przez mędrców, bohaterów i poetów, nie mógłbym wyrazić mniej ochoty do ich opuszczenia.

Jeżeli masz w sobie jeszcze choć kropelkę młodej krwi, Treshamie, nietrudno ci przyjdzie zrozumieć to moje milczenie.

Nadzwyczajna piękność Diany Vernon, z której sama tak mało zdawała sobie sprawy, jej romantyczny i tajemniczy los, niebezpieczeństwa jej grożące, odwaga, z jaką stawiała im czoło, jej sposób bycia bardziej szczery i śmiały, niż na ogół przystało kobietom, który jednak tłumaczyłem jej ufną w siebie świadomością własnej niewinności, a przede wszystkim widoczne i pochlebne wyróżnianie mnie spośród całego otoczenia — wszystko to przemawiało do moich najlepszych uczuć, podniecało ciekawość, rozbudzało wyobraźnię i schlebiało mojej próżności.

Nie śmiałem, w istocie, przyznać się przed samym sobą, jak głęboko interesowała mnie Diana Vernon, ani też, jak wszechwładnie zapanowała w moich myślach. Czytaliśmy razem, chodziliśmy razem, razem jeździliśmy konno i przesiadywaliśmy ze sobą. Nauki, które przerwała pogniewawszy się z Rashleighem, podjęła teraz na nowo pod przewodnictwem nauczyciela, którego zamiary były uczciwe, choć umiejętności skromniejsze.

Rzeczywiście nie miałem wykształcenia koniecznego, by pomóc jej w głębokich studiach, jakie rozpoczęła pod kierunkiem Rashleigha i które wydawały mi się bardziej stosowne dla księdza niż dla pięknej kobiety. Nie rozumiem też, po co wprowadził on ją w labirynty kazuistyki/151, którą uczeni nazywają filozofią, ani w zawile, choć pewniejsze, tajniki matematyki i astronomii. Chyba że czynił to po to, by zatrzeć w jej umyśle różnice między mężczyzną a kobietą i przyzwyczaić ją do subtelnych rozumowań, za pomocą których mógłby w odpowiednim czasie przedstawić, jej czyny haniebne jako chwalebne. W tym samym duchu, choć już tym razem z bardziej rzeczywistym podłym celem, Rashleigh zachęcał Dianę do lekceważenia pewnych form i granic, poza które kobieta nie powinna wychodzić. Prawda i to, że Diana była odcięta od towarzystwa innych kobiet i nie miała od kogo nauczyć się zwykłych zasad zachowania się właściwego dla kobiety z towarzystwa. Była jednak przy tym tak skromna i miała tak wyczulony zmysł etyczny, że nigdy by nie przyjęła tego stylu bycia, który mnie tak zadziwił już za pierwszych dni mego tam pobytu, gdyby nie wpojono w nią przekonania, że pogarda dla dobrych manier dowodzi umysłowej wyższości i zaufania do swej cnoty. Zapewne jej podły nauczyciel miał swoje cele na oku, gdy niszczył te zapory, które powściągliwość i przezorność wznosi wokół cnoty. Lecz zarówno za to, jak i za inne zbrodnie Rashleigh odpowiada już przed wyższym trybunałem.

Oprócz postępów, które Diana przy swoich wybitnych zdolnościach poczyniła w dziedzinie nauk ścisłych, przekonałem się, że niezła jest z niej lingwistka, dobrze obeznana tak ze starożytną, jak i z nowszą literaturą. Gdyby nie to, że wielkie zdolności osiągają nieraz najwięcej, gdy najmniej otrzymują pomocy, trudna do uwierzenia byłaby szybkość jej postępów. Było to tym dziwniejsze, że posiadając tak obszerną książkową wiedzę, jednocześnie absolutnie nie znała życia. Zdawało się, że wiedziała o wszystkim i wiedziała wszystko z

wyjątkiem tego, co się działo wokół niej. I sądzę, że właśnie ta nieznajomość życia i nieumiejętność podchodzenia do najprostszych jego spraw, stanowiąca taki kontrast z zasobem jej wiedzy, czyniły rozmowę z nią tak fascynującą. Było niepodobieństwem przewidzieć, czy następne jej słowo lub czyn zdradzi bystrość i wiedzę, czy też najgłębszą, daleko idącą naiwność. Wszyscy, którzy pamiętają własne swe uczucia, gdy byli w moim wieku, niech osądzą, jak niebezpieczną była dla młodego i wrażliwego człowieka zażyłość z piękną i tak niezwykle interesującą kobietą.

## ROZDZIAŁ XIV

Pali się lampa u mej pani  
I jasność mruga miła;  
Lecz czemu lampa tam się pali,  
Choć północ już wybiła?  
Stara ballada

Tryb życia Osbaldistone Hall był zbyt jednostajny, by warto go opisywać. Diana Vernon i ja spędzaliśmy sporo czasu na wspólnej nauce. Reszta rodziny zależnie od pory roku zabijała czas sportami i rozrywkami, a w tym i my braliśmy udział. Stryj mój był człowiekiem, który łatwo się przyzwyczajał, toteż tak przywykł do mojej obecności i mojego trybu życia, że mnie polubił. Biorąc to wszystko pod uwagę, byłbym prawdopodobnie jeszcze dalej zaszedł w jego łaskach, gdybym używał ku temu tych samych zabiegów, co Rashleigh. Ten, wiedząc, jak ojciec nie lubi interesów, stopniowo przejął na siebie zarząd majątku. Ja jednakże, jakkolwiek gotów byłem służyć stryjowi piórem i arytmetyką, ilekroć pragnął napisać list do sąsiada lub zawrzeć układ z dzierżawcą (przez co stałem się użyteczniejszym członkiem rodziny niż którykolwiek z jego synów), to jednakże nie chciałem wygodzić sir Hildebrandowi przez całkowite uwolnienie go od prowadzenia interesów. Więc chociaż zacny stryj przyznawał, że bratanek Frank to porządny, rozgarnięty chłopak, ale rzadko przy tej okazji nie dodawał, że nigdy nie byłby przypuszczał, że mu tak bardzo brak będzie Rashleigha.

Ponieważ przykro jest przebywając w rodzinie sprzeczać się z którymś z jej członków, starałem się przełamać niechęć, jaką kuzynowie moi ku mnie odczuwali. Zamieniłem więc mój francuski kapelusik na dżokejkę, przez co trochę zyskałem w ich oczach. Okiełznałem młodą źrebicę w sposób, który mnie jeszcze podniósł w ich opinii. Parę zakładów w porę przegranych do Dicka i jakiś specjalny toast wypity z Percie'm postawiły mnie na poufalej stopie z wszystkimi młodymi panami z wyjątkiem Thorncliffa. Co do niego, to jak już przedtem zauważyłem, nie lubił mnie, a przy tym mając może więcej rozumu niż pozostali bracia, miał też o wiele przykrzejsze od nich usposobienie. Chmurny, zacięty i kłótlivy, uważał mnie za intruza w Osbaldistone Hall i patrzył zazdrosnym okiem na moją zażyłość z Dianą, którą układ rodzinny, gdyby doszedł do skutku,

jemu przeznaczał na żonę. Trudno powiedzieć, że ją kochał, nie używając tego wyrazu w bardzo swoistym sensie, uważał ją jednak za swoją własność i zżymał się na to, że ktoś mu wchodzi w paradę, a on nie umie temu zapobiec. Przy niejednej sposobności próbowałem przejednać Thorncliffa, on jednakże odrzucał moje uprzejmości niczym brytan, który warczy, gdy obcy chce go pogłaskać. Pozostawiłem go więc w spokoju wraz z jego złym humorem i już się więcej nim nie zajmowałem.

Tak się więc układały stosunki z rodziną w Osbaldistone Hall. Muszę jednak wspomnieć o jeszcze jednym mieszkańca, z którym gawędziłem od czasu do czasu.

Był nim Andrew Fairservice, ogrodnik, który (odkąd odkrył, że jestem protestantem) rzadko kiedy pozwolił mi przejść bez poczęstowania mnie tabaką ze swej szkockiej tabakierki. Ta uprzejmość miała swoje dobre strony. Po pierwsze — nic go ona nie kosztowała, gdyż nigdy nie zażywałem tabaki; po drugie — Andrewowi (który się w twardej robocie zbytnio nie lubował) dostarczała doskonałego pozoru do odłożenia spadła na kilka minut. Przede wszystkim jednak dawały mu te krótkie spotkania sposobność do wytrząśnięcia nowinek, które nabierał, albo satyrycznych uwag, jakie mu nasuwał jego cięty północny humor.

— Mówię panu — rzekł pewnego wieczora z miną tajemniczą — chadzałem dziś do miasteczka.

— No i cóż, Andrew, pewnieście tam w karczmie jakie nowinki zasłyszeli?

— Nie, panie, ja tam do karczmy nie chodzę, chyba że który sąsiad na kufel piwa zaprosi, a chodzić tam wedle własnej kieszeni — to czasu drogiego szkoda i ciężko zarobionych pieniędzy też. Ale byłem w miasteczku dla jednego mojego interesu z Mattie Simpsonem, co chciałby kupić ode mnie miarkę albo i ze dwie gruszek, jako że we dworze i tak nie zbraknie. A gdyśmy się tak o kupno domawiali, kto wchodzi, jak nie Macready, kupiec wędrowny!

— Kupiec wędrowny?

— Tak, to bardzo honorowy fach, zyskowny, a u naszych ludzi z dawna zaprowadzony. Macready to mój krewniak, choć nie bliski, i bardzo byliśmy sobie radzi, żeśmy się tu spotkali.

— No i poszliście wypić dzban piwa, prawda, Andrew? Śpieszcie się na miłość boską, skraccjcie waszą historię.

— Poczekajcie, panie, poczekajcie. Wam, ludziom z południa, to zawsze tak spieszo, a to jest coś, co was tyczy, więc miejcie cierpliwość. Piwo? Ani kropelką Macready mnie nie poczęstował, ale Marta dała nam obu trochę zbieranego mleka i kawał swojego owsianego placka, co stary był i twardy jak podeszwa. O, nasze dobre szkockie obarzanki!... No i tak tedy siedliśmy i wyciągnęli noże.

— Chciałbym, żebyście swój nóż teraz wyciągnęli. Proszę, powiedzcie mi waszą wiadomość, jeśli coś macie do powiedzenia, bo ja tu nie mogę stać przez cały wieczór.

— No to tedy, skoro chcecie, panie, to ludzie w Londynie robią wielki hałas o tę awanturę tutaj.

— Jaką awanturę? O czym wy mówicie?

— Krzyk, rwetes, to samo w kółko, niesłychane rzeczy!

— Ale co? O czym mówisz? I co ja mam z tym wspólnego?

— Hm! — mruknął Andrew z miną wielce znaczącą. — A bo to, z przeproszeniem, właśnie... cała historia jest wedle onego kufierka.

— Czyjzego kufierka? Nic nie rozumiem!

— Ano tego jakiegoś Morrisa, co to powiada, że go tu stracił. Ale jeżeli to nie sprawa waszej miłości, to i nie moja też, a mnie tego pięknego wieczora tracić szkoda.

I jak gdyby nagle opętany gwałtownym atakiem pracowitości, Andrew zaczął kopać zapamiętałe.

Dobrze wiedział chytry łotrzyk, że w ten sposób zaostrzy moją ciekawość. Nie chcąc jednakże wprost stawianymi pytaniami przyznać, że mnie ta sprawa szczególnie obchodzi, stałem czekając, aż wrodzona gadatliwość skłoni go do dalszego opowiadania.

Andrew kopał zawzięcie i choć czasem ustawał, by zamienić ze mną parę słów, to jednak nie wspominał już o nowinkach Macready'ego, ja zaś stałem i przeklinałem go w duchu, a przy tym ciekawy byłem, jak długo jego duch przekory opierać się będzie ochocie mówienia o przedmiocie widocznie gorąco go zajmującym.

— Trzeba przekopać ten trawniczek i posadzić fasolę... Będą to mieli do wieprzowiny, niech im ta będzie na zdrowie. A jaki to mi nawóz dali!... Powinna być pszeniczna słoma albo już choćby owsiana, a to same grochowiny. Ale strzelec rządzi w stajni i oborze, jako mu się widzi, i pewnie sprzedał lepszą ściółkę, no to i tak... Szkoda tracić wieczór, bo to sobota, a pogoda ciągiem się psuje i jak w tygodniu jeden dzień piękny, to i tyła... Ale nie mówię, nie mówię, może się

ustali, jak Bóg da, do poniedziałku... czego więc mam się wysilać... Może bym do domu poszedł, bo to już pewnie i zmierzcha...

To mówiąc, oburącz szpadel zatknął w zagon i popatrzywszy na mnie z miną człowieka czującego swoją wyższość, ponieważ ma coś do powiedzenia, co może powiedzieć albo nie, ściągnął rękawy koszuli i z wolna poszedł przywdziać swoją kurtkę, starannie złożoną na pobliskiej ławce.

„Muszę ponieść karę za to, że przerwałem szelmie nudziarzowi — pomyślałem — i zrobić przyjemność panu Fairservice prosząc, by raczył powiedzieć, co ma do powiedzenia”. Więc też zawołałem za nim:

— No cóż, koniec końcem, Andrew, cóż to tam za londyńskie nowinki macie od waszego krewniaka, owego wędrownego kupca?

— Ej, wasza miłość — odpowiedział — taki wędrowny kupiec to wielka wygoda na wsi, gdzie daleko do miasta, jak tutaj w Northumberland! Nie tak jak u nas w Szkocji, gdzie miasto do miasta prawie przytyka, a w miastach szerokie ulice, sklepy, kramy, a domy z cegły i wapna z kamiennymi schodami...

— Wierzę, że to wszystko wspaniałe i piękne, ale mówiliście przed chwilą o wiadomościach z Londynu!

— Tak — odpowiedział — ale nie myślałem, żeby wasza miłość był tego ciekaw... Było nie było — ciągnął dalej z szatańskim uśmiechem — Macready powiada, jako że się bardzo kłócili w parlamencie o ten napad na pana Morrisa czy jak go tam!

— W parlamencie, Andrew?! Skądże tam o tym mówić mieli?

— O, właśnie to samo i ja powiadałem, co i wasza miłość. „Patrick — mówię do niego — co tam lairdom /157 i lordom w Londynie do podróznego z jego tobołkiem?... Gdy mieliśmy własny szkocki parlament (a niech piorun trzaśnie tych, co go zabrali!), nasi panowie spokojnie obmyślali prawa dla miast i dla wsi, a nigdy nie zawracali sobie głowy rzeczami, które należą do zwyczajnego sędziego. Ale zdaje mi się, że teraz, gdyby jedna baba skradła drugiej garnek, toby je obie przed parlament w Londynie zawiedli. To zupełnie — mówię — tak samo głupio jak z naszym starym panem i paniczami, jego synami i strzelcami, i psami, i z całą tą paradą, i trąbkami, co to gonią cały dzień za małym zwierzakiem, co i sześciu funtów nie waży”.

— Doskonale rozumowałeś, Andrew — zachęciłem go — A cóż na to Patrick?

— O! — odpowiedział. — Czegóż się tam lepszego spodziewać od takiego angielskiego narodu, co to się puddingiem obzera? Ale z tym obrabowaniem to podobno było tak: jak te wigi i torysy wzięli się za czuby i wymyślali sobie jak szubieniczniki, wstaje naraz taki jeden wygadany i mówi, jako że w całej północnej Anglii pełno arcyjakobitów (i po prawdzie, może się ta i nie pomylił tak bardzo), jako że oni prawie otwartą wojnę podnieśli i że wysłaniec królewski został napadnięty i obrabowany na publicznym gościńcu, i że najlepsza szlachta z tego tu hrabstwa była przy tej robocie. I, powiada, choć siła pieniędzy mu zabrali i jakieś ważne papiery, to jednak sprawiedliwości przed prawem nie można było znaleźć, bo u pierwszego sędziego pokoju, do którego obrabowany się zgłosił, znalazł tych dwóch bandytów, którzy z nim jedli i pili. Potem mówił, że sędzia tak jakoś poszachrował, że tamtych wypuścił, a uczciwy człek, co srebro stracił, musiał uciekać z kraju, żeby mu się coś gorszego nie przytrafiło.

— Czyż to możliwe? — rzekłem.

— Macready na wszystko przysięga, że tak było. A kiedy tamten wygadany powiedział swoje, zrobił się wielki raban i wołanie, żeby wymienić nazwiska. Tak tedy tamten wymienił nazwiska: Morrisa, wasze, panie, stryja i sędziego Inglewooda, i jeszcze tam kogoś (tu spojrział na mnie chytrze). A wtedy wstał po drugiej stronie taki inny tęgi gadacz i pyta:

„Jakże to? Oskarżają najlepszych ludzi w kraju na podstawie słów skończonego tchórza?...” — bo to zdaje się, że ten Morris przepędzony był z wojska za to, że uciekł we Flandrii. Tedy tamten powiedział, że wygląda na to, że cała ta historia była ułożona między Morrisem a ministrem jeszcze pierwej, nim ten Morris wyjechał z Londynu, i że gdyby tak poszukać, to pewnie by się to srebro znalazło gdzieś w jakiejś bramie blisko pałacu Saint James/158. A więc dobrze, postanowiono sprowadzić tego Morrisa do parlamentu i zobaczyć, co on na to powie. Ale gdy go sprowadzili, wtedy tamci, co byli przeciw niemu, zrobili taki straszny harmider i tak go zwymyślali za to jego uciekanie i za wszystko, co w życiu nabroił, że jak powiada Patrick, Morris wyglądał, jakby go do trumny kładli. Nie mogli z niego ani słowa do sensu wydusić, taki go strach opadł przed tymi gniewami i krzykami. Ten ci to musi mieć głowę jak zmarznięta rzepa!



Chciałbym ja widzieć takiego, co by Andrew Fairservice'a tak umiał zastraszyć, żeby zapomniał w gębie języka!

— A jakże się to wszystko skończyło, Andrew? Czy o tym twój krewniak też ci opowiedział ?

— O, tak, bo on chodzi po tej okolicy, więc odłożył swoją podróż na tydzień, a może i na więcej, żeby swoim ludziom przywieźć te wiadomości. Ta cała historia tak się rozeszła, jak światło księżyca na wodzie. Ten, który zaczął, wycofał się mówiąc, że na pewno Morris został obrabowany, choć rzeczywiście trudno się rozeznac we wszystkich szczegółach. A potem wstał ten drugi i powiedział, że nic mu do tego, czy Morris był obrabowany, czy nie, byle stąd nie powstała plama na honorze i na reputacji porządnych ludzi z północnej Anglii, bo — mówił — on sam pochodzi z północy i dumny jest z tego. I to się u nich nazywa wyjaśnieniem. Ten ustąpi trochę i tamten trochę i znowu zgoda.

— No i co dalej, Andrew?

— Ano, dobrze... Jak się już o tego Morrisa i o tej jego sprawie w Niższej Izbie nagadali, nakłócili do znudzenia, poszło to przed lordów. W starym szkockim parlamencie wszyscy siedzieli razem, jeden przy drugim, i nie potrzebowali klócić się dwa razy o to samo. Ale tutaj lordowie zabrali się do tego ze świeżymi siłami, jakby to było coś nowego. A przy tym wspominali o jakimś Campbellu, że był ponoć zamieszany w ten rabunek i że podobno otrzymał jakieś poświadczenie od księcia Argyle, że jest porządnym człowiekiem. Na to Mac Callum More, czy jak go inni nazywają, księżę Argyle, podskoczył jak oparzony, okropnie się rozeźlił, kazał im oskarżenie odwołać i mówił, że wszyscy Campbelle tęgie wojaki, mądry i zaufania godni ludzie, jak sam sir John Graeme/159. Ano, jeżeli wasza miłość wie na pewno, że nie ma w żyłach ani kropelki krwi Campbellów, tak jak ja jej nie mam, to ja bym powiedział, co o tym myślę.

— Bądź pewien, że mnie nic nie łączy z żadnym z panów tego nazwiska.

— Kiedy tak, to możemy spokojnie o tym gadać. Można myśleć i źle, i dobrze o tych Campbellach, jak i o innych. Ale ten Mac Callum More czy też księżę Argyle, jak go nazywają, ma duże znaczenie w obu stronnictwach, między tymi wysokimi panami w Londynie; bo to nie wiadomo naprawdę, po której stronie stoi, toteż żaden nie chciałby

się z nim pokłócić. Dlatego przegłosowali, że opowiadanie Morrisa to kłamstwo i oszczerstwo, no i gdyby nie złożył kaucji, nie puszczone by go wolno, byłby się może i pod pręgierz dostał.

To mówiąc zacny Andrew zaczął zbierać grabie, szpadel i motykę i układać je do taczek. Robił to jednak powoli, jakby dając mi czas, by go jeszcze o coś zapytać. Pomyślałem, że lepiej będzie pytać od razu, bo inaczej ten wścibski gaduła gotów przypuścić, że milczę, bo skłaniają mnie do tego jakieś ważne powody.

— Rad bym zobaczyć się z tym twoim rodakiem, Andrew, i posłyszeć te wiadomości od niego samego. Słyszałeś zapewne, że miałem kłopoty z powodu tego głupca Morrisa — Andrew uśmiechnął się znacząco — więc chciałbym pogadać z tym twoim kupcem i wypytać go o szczegóły. Czy to da się zrobić?

— O, nic łatwiejszego! — odpowiedział Andrew. — Niech mu tylko wspomnę, że wasza miłość chce kupić parę pończoch, a przyleci tu za mną duchem!

— Owszem, zapewnij go, że znajdzie we mnie nabywcę, a że wieczór jest piękny i pogodny, ja sobie tymczasem pospaceruję po ogrodzie, tym bardziej że księżyc niedługo wzejdzie zza pagórka. Możesz go przyprowadzić do tej furtki. Ja tymczasem z przyjemnością popatrzę na krzewy i bluszcze w jasnym świetle księżyca.

— Bardzo słusznie, bardzo słusznie... zawsze to mówię: liść kapusty albo i kalafior błyszczą jak szkło przy księżycu, jak wielka pani w diamentach.

Z tymi słowy poszedł Andrew Fairservice wielce uradowany. Miał ze dwie mile drogi przed sobą, trud ten jednak podejmował z największą ochotą, by krewnemu zapewnić sprzedaż kilku sztuk towaru, choć prawdopodobnie nie byłby wydał sześciu pensów, by mu zafundować kwartę piwa. „Życzliwość Anglika byłaby się objawiła wręcz odwrotnie” — pomyślałem chodząc wzdłuż nisko przystrzyżonych aksamitnych trawników, które, ocienione wysokimi żywopłotami z cisu i ostrokrzewu, przecinały w kilku kierunkach starodawny ogród w Osbaldistone Hall.

Wracając, rzecz prosta, spojrzałem w górę ku oknom biblioteki. Małe te, ale liczne okienka ciągnęły się rzędem na drugim piętrze tej ściany budynku, którą właśnie miałem przed sobą. W bibliotece paliła się lampa. Nie zdziwiło mnie to, gdyż wiedziałem, że Diana Vernon często siadywała tam wieczorami. Przez delikatność postanowiłem

nigdy nie odwiedzać jej tam o tej porze, wiedziałem bowiem, że cała rodzina jest wtedy zajęta, a nasze spotkania miałyby charakter zupełnego sam na sam. Rano zazwyczaj czytywaliśmy tam, ale wtedy raz po raz wpadał któryś z kuzynów, bądź to, by zdobyć okładkę jakiegoś starego tomu, gdy mu potrzeba było tektury, lub też by nas zawiadomić o przygotowaniach do polowania, bądź też po prostu z nudy. Jednym słowem, w godzinach przedpołudniowych biblioteka była niejako pokojem wspólnym, gdzie kobieta i mężczyzna mogli się spotykać jakby na neutralnym gruncie. Wieczorem było zupełnie inaczej. Będąc wychowany w kraju, gdzie się bardzo uważa, a przynajmniej wtedy bardzo się uważało na to, co wypada albo nie wypada, starałem się myśleć za Dianę o tych konwencjonalnych stronach form towarzyskich, o których ona przy swym niedoświadczeniu sama pomyśleć nie umiała. Toteż jak najdelikatniej w świecie dałem jej do zrozumienia, że gdy lekcję mamy wieczorem, obecność trzeciej osoby byłaby bardzo na miejscu.

Diana najpierw się roześmiała, potem zarumieniła i zdawało się, że się pogniewa, wreszcie jednak, opanowując się nagle, odpowiedziała:

— Zdaje mi się, że masz słuszność; gdy zechcę być bardzo pilną uczennicą, przekupię starą Martę filiżanką herbaty, niech siedzi przy mnie i służy mi za przyzwoitkę.

Marta, stara gospodyni, podzielała gust rodzinny tego domu. Pucharek lepiej by jej dogodził niż cała herbata chińskiego imperium. Ponieważ jednak napój ten był w owe czasy przywilejem klas wyższych, schlebiali próżności Marty, że ją zapraszano na herbatę. Duża ilość cukru, wiele słów niemniej słodkich, obfitość grzanek i masła — wszystko to skłaniało ją raz po raz do użyczenia nam swej obecności. Poza tym służba unikała biblioteki w godzinach wieczornych, ponieważ wierzyła, że pokój ten leży w części zamku, w której straszy. Lękliwsi rzekomo widywali tam zjawy i słyszeli głosy, gdy już wszędzie panowała cisza. Nawet młodzi paniczki nie lubili bez ostatecznej konieczności wchodzić w obręb tych komnat po zapadnięciu nocy.

To, że biblioteka była niegdyś ulubionym miejscem Rashleigha, że osobne drzwi łączyły ją z przejściem do oddalonego pokoju, który obrał dla siebie, nie tylko nie zmniejszało, ale jeszcze powiększało lęk służby przed straszną biblioteką w Osbaldistone Hall. Rozległe wiadomości Rashleigha o tym, co się działo w świecie, jego głęboka

wiedza, eksperymenty z fizyki, które czasem pokazywał — wszystko to w domu tak pełnym ciemnoty i bigoterii wystarczało, by wzbudzić przekonanie, że ma władzę nad duchami. Znał łacinę, grekę i hebrajski, toteż wedle zabobonu, podzielanego na przykład przez jego brata Wilfreda, nie potrzebował się lękać „ani ducha, ani strzygi, ani diabła, ani wilkołaka”. Służba nawet uparcie twierdziła, że słyszała, jak rozmawiał w bibliotece, gdy już wszyscy w domu spać poszli, i że spędzał noce wyczekując zjawienia się duchów, a potem rano przesypiał w łóżku zamiast, jak prawdziwy Osbaldistone, gonić z ogarami.

Wszystkie te niemądre bajki doszły mnie w formie napomnień i niedokończonych zdań, z których mogłem dowolnie wyprowadzać wnioski. Rzecz prosta nie brałem ich poważnie, ale odosobnienie, na jakie ten pokój złej sławy skazany był codziennie po wieczornym dzwonku, było dla mnie jednym powodem więcej, by nie narzucać się Dianie, gdy tam przebywa wieczorem.

Wracając do tego, co mówiłem, powtórzę, że nie zdziwiłem się ujrawszy migotanie światła w oknach biblioteki. Uderzyło mnie jednak, gdy dostrzegłem w pierwszym oknie cienie dwóch osób. „To musi być stara Marta — pomyślałem. — Widocznie Diana zaprosiła ją sobie tego wieczora albo może omyliłem się i wziąłem cień Diany za drugą osobę. Ale nie! Na nieba! Widzę je teraz w drugim oknie — dwie postacie z całą pewnością. Teraz znowu znikają, widać je w trzecim, w czwartym — ciemny zarys dwóch osób dobrze widocznych w każdym oknie, gdy przechodzą wzdłuż pokoju pomiędzy oknami a światłem. Kto jest u Diany?...” Przesuwanie się cieni w oknach powtórzyło się dwukrotnie, po czym światło zgaszono.

To, co widziałem, zastanowiło mnie i myśl moja stale do tego powracała. Nie uświadamiałem sobie wtedy, że uczucie moje do Diany jest czymś więcej jak zwykłą przyjaźnią i że dąży do czegoś więcej. Jednakże aż trudno wyrazić, jak przykro mi było, że ona dopuszcza kogoś do potajemnych spotkań w miejscu, gdzie dla jej dobra, z pewnym z mojej strony poświęceniem, wykazałem jej, że niewłaściwe jest, by się ze mną wieczorami spotykała.

„Niemądra, lekkomyślna, niepoprawna dziewczyna — mówiłem sobie — z nią wszelka dobra rada i delikatność idzie na marne! Zwiodła mnie prostota jej obejścia, w którą zapewne się stroi jak w modny słomiany kapelus, byle się wyróżnić. Mimo jej bystrego umysłu

towarzystwo kilku błaznów większą by jej sprawiło przyjemność, niż gdyby przed jej oczyma sam Ariosto zmartwychwstał". Te moje myśli były tym bardziej gorzkie i uparte, że właśnie tego dnia zdobyłem się na odwagę, by pokazać Dianie moje tłumaczenie pierwszej księgi Ariosta, i w tym celu prosiłem ją, żeby wieczorem zapewniła obecność Marty w bibliotece. Diana nie zgodziła się na to, podając jakąś nieprzekonującą wymówkę.

Długo jednak o tym wszystkim nie mogłem rozmyślać, gdyż otworzyła się furka ogrodowa, postać Fairservice'a oraz jego rodaka, ugiętego pod ciężarem paki, ukazały się na księżycem oświetlonej ścieżce i uwagę moją skierowały w inną stronę.

Jak się tego spodziewałem, Macready okazał się suchym, bystrym, długogłowym Szkotem, zbieraczem nowinek z zamiłowania i z zawodu. Mógł mi dać dokładne sprawozdanie o tym, co zaszło w Izbie Gmin, jak i w Izbie Lordów. Okazało się, że sprawa Morrisa użyta została dla wybadania nastroju parlamentu. Okazało się także, że rząd był za słaby, by podtrzymać oskarżenie, w którym zaangażowane były imiona znakomitych rodów i ludzi na wysokich stanowiskach. Poza tym sprawa opierała się na zeznaniach człowieka, który nie cieszył się dobrą sławą i w dodatku zmieszany, popadł w sprzeczności w swym opowiadaniu. Macready dostarczył mi nawet egzemplarz drukowanego dziennika, trudnego do kupienia poza stolicą, w którym o debacie tej była wzmianka. Otrzymałem od niego również egzemplarz mowy księcia Argyle, drukowany na arkuszach wielkiego formatu, których kilka kupił, by je rozprzedać w Szkocji. Mowa księcia, choć rozumna i treściwa, zawierała głównie panegiryk na cześć jego ojczyzny, jego rodziny, jego klanu oraz parę komplementów, może mniej gorących, niemniej jednak szczerych, powiedzianych przy tej sposobności samemu sobie. Nie mogłem się dowiedzieć, czy moje imię było wprost w to wciągnięte, ale przekonałem się, że honor rodziny mojego stryja mocno na tym ucierpiał i że ten jakiś Campbell, oskarżony przez Morrisa, miał być jednym z dwóch rabusiów, którzy go napadli. Miał on według zeznań Morrisa działać z ramienia jakiegoś pana Osbaldistone, który przy współudziale sędziego został następnie uwolniony. W szczególe dotyczącym Campbella opowiadanie Morrisa zbiegało się z moimi własnymi myślami, gdyż podejrzewałem Campbella od chwili, gdy ujrzałem go u sędziego Inglewooda.

Rozdrażniony i zafrasowany całą tą nadzwyczajną historią, pożegnałem obu Szkotów, kupiwszy u Macready'ego coś dla siebie i mały upominek dla Andrew. Wreszcie poszedłem do swego pokoju, aby rozważyć, co winienem uczynić w obronie mego imienia, tak publicznie atakowanego.

## ROZDZIAŁ XV

Skąd jesteś i kim jesteś?

MILTON/165

Spędziwszy noc bezsenną na rozmyślaniu o wiadomościach, jakie mię doszły, byłem skłonny sądzić, że powinienem jak najprędzej wracać do Londynu i osobiście zaprzeczyć oszczerstwom przeciw mnie rozpowszechnianym. Zawahałem się jednak przypomniawszy sobie charakter mego ojca, tak despotycznie zawsze decydującego w rodzinnych sprawach. On z pewnością przy swoim doświadczeniu umiałby najlepiej wskazać, co powinienem uczynić, a że znał najwybitniejszych wigów, będących wtedy przy władzy, miałby dość wpływu, by otrzymać posłuch w mej sprawie. Wszystko zważywszy uznałem, że najbezpieczniej będzie całą tę moją przygodę ująć w formę opowiadania i posłać je do ojca, a że rzadko nadarzały się okazje do miasta, gdzie była poczta, postanowiłem pojechać sam i własnoręcznie złożyć list w urzędzie pocztowym.

W istocie, zaczęło mi się dziwnym wydawać, że choć minęło już kilka tygodni od wyjazdu mego z domu, nie otrzymałem żadnego listu ani od ojca, ani od Owena, chociaż Rashleigh pisał do sir Hildebranda, że szczęśliwie zajechał do Londynu i mile był przyjęty przez stryja. Przyjmując nawet, że wart byłem nagany, nie zasłużyłem przecież na tak zupełne zapomnienie. Obiecywałem sobie, że dzięki wycieczce do miasta list z domu dojdzie do mych rąk wcześniej, niż gdybym czekał nań nie ruszając się z miejsca.

W zakończeniu mego listu w sprawie Morrisa wyraziłem gorącą prośbę, by ojciec chciał mnie zaszczyścić kilku słowami, choćby tylko dla dania mi rad i rozkazów w trudnej sprawie, dla której rozwiązania zbyt małe było moje życiowe doświadczenie. Nie potrafiłem zdobyć się na prośbę o przyspieszenie mego powrotu do Londynu na dobre, a brak ochoty do tego ukryłem pod pozorami uległości wobec woli ojca. Ponieważ zaś sam w siebie wmówiłem, iż to był rzeczywisty powód, dla którego nie proszę o ostateczne odwołanie mnie z Osbaldistone Hall, nie wątpiłem, że i ojciec tak to zrozumie. Prosiłem tylko o pozwolenie przybycia do Londynu, choćby na krotki czas, ażebym mógł odeprzeć niecne oszczerstwa, publicznie przeciw mnie głoszone. Po napisaniu listu, w którym szczere pragnienie oczyszczenia mego nazwiska z podejrzeń dziwnie się mieszało z niechęcią do opuszczenia

Osbaldistone Hall, wyruszyłem do miasteczka, by wysłać moje pismo. Na poczcie wręczono mi list od mego przyjaciela Owena, który w ten sposób doszedł moich rąk wcześniej, niż gdybym czekał nań we dworze. Brzmiał on, jak następuje:

Kochany Panie Franku!

List Pański otrzymałem przez pana R. Osbaldistone. Świadczyć będę panu R. O. takie uprzejmości, na jakie mnie stać. Pokazałem mu bank i gmach komory celnej. Robi wrażenie trzeźwego, solidnego młodzieńca i do interesów pojętnego, toteż przyda się firmie. Byłbym pragnął, by inna osoba zwróciła się w tym kierunku, ale niech się dzieje wola Boża. Ponieważ w tamtych stronach może trudno o gotówkę, ufam, iż mi Pan wybaczy, że pozwalam sobie załączyć przekaz na pp. Hoper & Girder w Newcastle na funtów 100. Pozostaję, drogi Panie Franku, z całym poważaniem Pańskim powolnym sługą

J o s e p h Owen

Post scriptum. Proszę donieść, czy ten list szczęśliwie doszedł. Bardzo mi przykro, że Pan tak mało pisze. Ojciec Pański mówi, że ma się jak zawsze, ale wygląda marnie.

Zdziwiło mnie, że w liście tym, pisanym formalistycznym stylem starego Owena, nie było wzmianki o otrzymaniu poufnego listu, w którym określiłem mu rzeczywisty charakter Rashleigha. Wysłany był zwykłą okazją ze dworu i trudno było przypuszczać, że został zgubiony. Ponieważ zawierał on rzeczy nader ważne, tak dla ojca, jak i dla mnie, siadłem na poczcie i jeszcze raz napisałem do Owena powtarzając jego zasadnicze myśli i prosząc, by zawiadomił mnie odwrotną pocztą, czy ten list doszedł szczęśliwie. Potwierdziłem mu również odbiór przekazu i obiecałem skorzystać w razie potrzeby z przesłanych mi pieniędzy.

Dziwne mi się to wydało, że ojciec pozostawił troskę o moje potrzeby swemu urzędnikowi, przypuszczałem jednak, że może tak między sobą ułożyli. Bądź co bądź, Owen był kawalerem zamożnym i ogromnie do mnie przywiązany, toteż nie wahałem się przyjąć od niego pożyczki do czasu, gdy ja będę mógł lub też ojciec zechce mu ją zwrócić. W miasteczku udało mi się zrealizować przekaz brzmiający na firmę w Newcastle, tak że wróciłem do Osbaldistone Hall o wiele bogatszy, niż wyjechałem. Ten przypływ gotówki nie był dla mnie rzeczą obojętną, gdyż z pewnym niepokojem zauważyłem, że sumka,



która mi pozostała po opędzeniu kosztów podróży, dość szybko topniała.

Przyjechawszy do Osbaldistone Hall dowiedziałem się, że sir Hildebrand i wszyscy jego synowie wyjechali do pobliskiego miasteczka przypatrzeć się walce kogutów, czyli — jak się Andrew wyraził — „patrzeć, jak jeden kogut drugiemu mózg wydziobuje”.

— To prawdziwie brutalna zabawa, Andrew. Myślę, że u was w Szkocji nie znają jej?

— Nie, nie! — odpowiedział śmiało, ale zaraz dodał: — Chyba że w wielkanocne popołudnie albo jakoś tak... raz kiedyś. Ale dlaczego to drzwiczki od wieży są otwarte? Dziwna rzecz. Teraz, kiedy nie ma pana Rashleigha... To przecież nie może być on!

Drzwi wieży, o których mówił, otwierały się na ogród. Kręcone schody w wieży prowadziły do mieszkania Rashleigha. Leżało ono, jak już wspomniałem, w odleglejszej części domu, łącząc się z biblioteką przez ukryte drzwi, a krętym i ciemnym korytarzem z resztą domu. Wąska ścieżka, prowadząca między szpalerem z ostrokrzewu, wiodła do małej furtki w murze ogrodu. Tym sposobem Rashleigh był zupełnie niezależny od reszty rodziny, mógł wychodzić i wracać dowolnie, nie zwracając niczyjej uwagi. Natomiast podczas jego nieobecności schody i drzwi od wieży wcale nie były używane i dlatego spostrzeżenie Andrew zwróciło moją uwagę.

— Czy zauważyłeś, że te drzwi często są otwarte? — zapytałem.

— Często nieczęsto, ale coś raz albo dwa. Myślę sobie, że to może ten ksiądz, ojciec Vaughan, jak go nazywają. Służby tam nijakiej nie spotka na tych schodach, bo się to boi duchów, diabłów a nieboszczyków z tamtego świata. Ale ksiądz Vaughan uważa się za osobę uprzywilejowaną. Niech mu tam będzie, choć po tamtej stronie rzeki Tweed, w Szkocji, najmarniejszy człeczyna, któremu się zdarza wystękać kazanie, rozpędziłby wszystkie duchy dwa razy prędzej niż ten cały ksiądz Vaughan ze swoją święconą wodą i świętymi obrazkami. Nie wierzę, żeby dobrze znał łacinę, a w każdym razie nie rozumie mnie, gdy naukowo nazywam rośliny.

O ojcu Vaughan, który czas swój i duchowną opiekę dzielił pomiędzy Osbaldistone Hall a kilka innych katolickich dworów z sąsiedztwa, nic dotąd nie powiedziałem, bo rzadko go widywałem. Liczył około sześćdziesięciu lat, pochodził, jak mi mówiono, z dobrej rodziny z okolic północnej Anglii, był dużym i dobrze zbudowanym mężczyzną,

miał nawet imponującą postać, nadto był poważany i bardzo szanowany przez okolicznych katolików, jako człowiek zacny i godny. Nie brakło jednak ojcu Vaughan tych cech, jakimi odznacza się jego zakon. Otaczała go jakaś atmosfera tajemniczości, zwykle zalatująca od katolickich księży, a niesympatyczna dla protestanta. Tubylcy (że ich tak nazwę) Osbaldistone Hall spoglądali na niego raczej z obawą, a co najmniej z respektem, aniżeli z miłością. Że potępiał ich pijatyki, było widoczne, gdyż przerywano je do pewnego stopnia, gdy ksiądz bawił w zamku. Nawet sir Hildebrand zadawał sobie w tych okresach pewien przymus i dlatego przypuszczam, że obecność księdza musiała mu trochę ciążyć.

Ksiądz Vaughan miał dużą zręczność obcowania z ludźmi i sposób bycia człowieka dobrze wychowanego, bardzo grzecznego, także w jego zachowaniu było coś prawie że pochlebiającego każdemu, kto się z nim zetknął. Ta towarzyska zręczność jest charakterystyczna dla katolickich księży, i to szczególnie w Anglii, gdzie świecki katolik, ograniczany przepisami swej sekty i zaleceniami duszpasterza, często, gdy się znajdzie w towarzystwie protestantów, jest bardzo powściągliwy, a nawet nieśmiały, gdy tymczasem ksiądz, upoważniony z tytułu swej godności do stykania się z ludźmi wszystkich wyznań, jest w obcowaniu z nimi szczery, żywy, swobodny i dąży nieraz bardzo umiejętnie do zdobycia popularności.

Ojciec Vaughan był przede wszystkim bliskim znajomym Rashleigha, w przeciwnym razie, przypuszczam, nie byłby podejmowany i tak szanowany w Osbaldistone Hall. Mnie to nie dodawało ochoty do starania się o jego względy, a i on nie szukał mego towarzystwa, toteż nasz wzajemny stosunek ograniczał się do zwykłej wymiany uprzejmości.

Wydało mi się wielce prawdopodobne, że ksiądz Vaughan mógł zająć apartament Rashleigha, a jego zawód nasuwał przypuszczenie, że mógł korzystać z biblioteki. Toteż pomyślałem, że najpewniej jego to był cień, który mnie tak zastanowił poprzedniego wieczora. Myśląc o tym przypominałem sobie, że we wzajemnym stosunku Diany Vernon i księdza jest coś równie tajemniczego, jak w stosunku księdza i Rashleigha. Nie słyszałem, żeby o nim mówiła, i tylko raz wymieniła jego imię, gdy za pierwszym naszym spotkaniem powiedziała, że stary ksiądz, Rashleigh i ona to jedyne istoty w Osbaldistone Hall, z którymi można rozmawiać. Choć więc nigdy nie mówiła o ojcu

Vaughan, każde jego przybycie przyprawiało ją o niepokój i nerwowe drżenie, które trwało, dopóki nie zamienili ze sobą kilku znaczących spojrzeń.

Bez względu na to, jaka była tajemnica, która zaciążyła nad losami tej pięknej i zajmującej kobiety, wyglądało na to, że ojciec Vaughan był w nią wmieszany. Czasami znów myślałem, że jest on tylko pośrednikiem, który ma jej ułatwić wstąpienie do klasztoru w razie odrzucenia małżeństwa z jednym z kuzynów. W takim razie zrozumiałe byłoby jej wzruszenie na jego widok... Zresztą wydawało mi się, że niewiele ze sobą rozmawiają i że nie szukają wzajem swego towarzystwa. Jeżeli między nimi była jakaś zmowa, była to zmowa cicha, porozumienie bez wielu słów. Zastanowiwszy się przypomniałem sobie jednak, że parę razy zauważyłem, iż dawali sobie jakieś tajemne znaki, które wtedy tłumaczyłem rodzajem napomnień w kierunku religijnych praktyk, wiedziałem bowiem, że księża katolicy w niezwykle zręczny sposób utrzymują swój wpływ na umysłowość wiernych. Teraz jednak gotów byłem przypisać temu głębsze i bardziej tajemnicze znaczenie. Czy schodzili się potajemnie w bibliotece? To pytanie pokutowało w moich myślach. A jeżeli tak, to w jakim celu? I dlaczego Diana dopuszczała do takiej zażyłości człowieka, którego łączyły bardzo bliskie stosunki ze zdradzieckim Rashleighem?

Te pytania i trudności dręczyły mnie i zaciekawiały tym bardziej, że niepodobieństwem było je rozwikłać. Zacząłem już przypuszczać, że przyjaźń moja dla Diany Vernon nie jest tak bezinteresowna, jakby to rozum nakazywał. Budziła się we mnie zazdrość o marnego gburę Thorncliffa. Więcej niż rozsądek i godność moja na to pozwalały, stałem się wrażliwym na jego głupie zaczepki. Teraz znów niespokojnie i dociekliwie badałem zachowanie się Diany, co darmo sam przed sobą starałem się wytłumaczyć zwykłą ciekawością. To wszystko, podobnie jak postępowanie owego Benedykta/170, który zwykł był już od rana czyścić swój kapelusz, świadczyło o tym, że jestem zakochany; a jeżeli mój rozum wciąż jeszcze zaprzeczał temu, że dał się porwać tak nierozsądnemu uczuciu, to postępował jak ten zły przewodnik, który sprowadziwszy podróżnego na bezdroża upiera się, że nie zablądził.

## ROZDZIAŁ XVI

Pewnego dnia około południa, dążąc ku mej łodzi, zdumiałem się niezmiernie, ujrawszy na brzegu ślad bosej ludzkiej stopy, rysujący się nader wyraziście na piasku.

Robinson Kruzoe/171

Ciekawość i zazdrość, które dziwne położenie Diany Vernon obudziło we mnie, sprawiły, że zacząłem uparcie ją śledzić, a że była bystra, nie uszło to jej uwagi. Mimo że starałem się, by tego nie dostrzegła, czuła jednak mój wzrok stale na siebie skierowany i domyślała się, że ją śledzę. Sprawiało jej to przykrość, drażniło i krępowało. Chwilami wydawało się, że gotowa jest obrazić się na mnie, tym bardziej że z taką szczerością wspominała mi o trudnościach, wśród których żyła. Kiedy indziej znów zdawało się, że chce mnie za to zbesztać. Lecz albo jej odwagi brakło, albo jakieś inne uczucie powstrzymywało ją od jasnego i ostrego postawienia sprawy, tak że ostatecznie swojemu rozdrażnieniu dawała ujście tylko w ciętych żartach, a surowsze słowa zamierały jej na ustach. Dziwny wzajemny stosunek wytworzył się między nami. Z obustronną przyjemnością spędzaliśmy razem dużo czasu, ale ukrywaliśmy nasze uczucia czy to zazdrości, czy obrazy. Wytworzyła się między nami zażyłość bez ufności. Z jednej strony — miłość bezcelowa i beznadziejna, zaprawiona bezprawną i bezpodstawną ciekawością, z drugiej — zażenowanie i wątpliwość, raz po raz podsycane urazą. Sądzę jednakże, że to wzburzenie uczuć (taka jest natura ludzkich serc), pobudzane tysiącem drażniących, choć drobnych okoliczności, walenie przyczyniało się do tego, żeśmy bezustannie o sobie myśleli, co pogłębiało wzajemne przywiązanie, do którego serca nasze były skłonne. Chociaż jednakże próżność zawczasu mi odkryła, że obecność moja w Osbaldistone Hall jeszcze bardziej zniechęciła Dianę do klasztoru, nie mogłem w żaden sposób zaufać jej uczuciu, podporządkowanemu tajemnicom szczególniejszego położenia. Diana miała charakter nazbyt wyrobiony i zdecydowany, ażeby pozwolić, by miłość wzięła górę nad poczuciem obowiązku i nad rozsądkiem, a dowód tego dała mi w rozmowie, którą mieliśmy mniej więcej w tym czasie.

Siedzieliśmy w bibliotece. Diana, przerzucając mój tom Orlanda Szalonego, wytrząsnęła spomiędzy stronic książki arkusz zapisanego papieru. Schyliłem się, by go podnieść, ale ona mnie uprzedziła.

— Wiersze — rzekła spojrzawszy na papier i rozwinęła go, jakby czekając na moją odpowiedź. — Czy wolno?... No, no... Jeżeli rumienisz się i jąkasz, muszę zadać gwałt twojej skromności i przyjąć, że pozwolenie uzyskałam.

— To niewarte twego czytania... urywek tłumaczenia... droga kuzynko. Znając oryginał, zbyt surowo osądzisz moją pracę.

— Przyjacielu — odpowiedziała Diana — radzę, nie zakładaj pokory na haczyk wędki, gdyż dziesięć przeciw jednemu, że nie złowisz żadnego komplementu. Wiesz, należę do nie lubianej rodziny Prawdomówskich i nawet samemu Apollinowi schlebiać bym nie umiała.

Po tych słowach zaczęła czytać pierwszą zwrotkę, która brzmiała mniej więcej tak:

Płec białą, bohatory, wojny i miłości  
Śpiewać będę i godne pamięci dzielności,  
Które się działy w on czas, kiedy morskie brody  
Przebyli Murzynowie na francuskie szkody,  
Idąc za króla swego nieutrzymanymi,  
Agramanta młodego, gniewami wściekłymi,  
Który się przysiągł zemście na cesarzu Karle  
Śmierci króla Trojona i siesć mu na garle.  
W tejsze pieśni ode mnie będziecie wiedzieli,  
Czegoscie dotąd w prozie i w rymie nie mieli  
O Orlandzie, co z wielkiej oszalał miłości,  
Bywszy przedtem tak sławny i wzięty z mądrości.../172

Dla młodego poety nie ma nic słodszeo jak dźwięk jego własnych wierszy w ustach kochanej kobiety; lecz Diana szybko przerwała czytanie.

— To bardzo długie — rzekła.

— O wiele za długie, by móc zająć twoją uwagę, kuzynko — odpowiedziałem trochę dotknięty i odebrałem arkusz z jej ręki, nie broniącej mi tego zresztą. — A jednak — dodałem — zamknięty w takiej samotni, znajdowałem miłe zajęcie... w pracy, tylko dla własnej przyjemności, nad dalszym przekładem tego uroczoneo autora, którego

tłumaczyć zacząłem przed kilku miesiącami, gdy jeszcze bawiłem nad brzegami Garonny.

— Pytanie tylko — rzekła poważnie Diana — czy nie mógłbyś spędzać czasu z większym pożytkiem?

— Pisząc oryginalne poezje, chcesz powiedzieć? — podchwyciłem wielce w mej miłości własnej pogłaskany. — Jednak, prawdę powiedziawszy, talent mój polega raczej na wynajdywaniu słów i rymów niż myśli. Dlatego szczęśliwy jestem mogąc zużytkować te, które mi Ariosto poddał gotowe. Wobec twojej zachęty jednak...

— Wybacz, kuzynie, ale ja tej zachęty nie daję, ty sam ją wymyśliłeś. Nie miałam na myśli ani oryginalnych poezji, ani tłumaczeń, gdyż sądzę, że mógłbyś swój czas zużyć na zupełnie inne, ważniejsze sprawy. Jesteś rozżalony — dodała. — Przykro mi, że cię uraziłam.

— Nie jestem rozżalony... wcale nie rozżalony... — zapewniałem starając się z trudem udawać obojętność — przeciwnie, wdzięczny jestem za zainteresowanie, jakie mi okazujesz.

— Ale przecie — mówiła dalej nieubłagana Diana — czuć rozżalenie i nawet odrobinę gniewu w twym wymuszonym tonie. Nie gniewaj się, proszę, że tak zgłębiam twe uczucia, choć może to, co powiem, dotknie cię jeszcze bardziej.

Poczułem, jak dziecinne jest moje zachowanie się, i zapewniłem Dianę, że zniosę spokojnie krytykę, bo wiem, że z życzliwej płynie intencji.

— To uczciwie odczute i uczciwie powiedziane — oświadczyła. — Wiedziałam, że diablik poetyckiej drażliwości już uleciał wraz z tym wstępnym odchrząknięciem, które poprzedziło to oświadczenie. No, ale teraz będę mówić serio. Czy w ostatnich czasach miałeś wiadomości od ojca?

— Ani słowa — odpowiedziałem. — Nie zaszczycił mnie ani słowem przez tych kilka miesięcy mojego tutaj pobytu.

— To dziwne!... Dziwna z was rasa, wy Osbaldistone'owie. Nie wiesz więc, że twój ojciec pojechał do Holandii, aby załatwić pilne interesy, które wymagały jego natychmiastowej obecności?

— Pierwszy raz o tym słyszę.

— A dalej, nie wiesz pewnie, a nie będzie to, sądzę, miłą dla ciebie wiadomością, że zostawił Rashleighowi prawie nieograniczony zarząd interesów aż do swego powrotu?

Drgnąłem nie umiejąc ukryć zdziwienia i lęku.

— Słusznie się lękasz — oświadczyła Diana bardzo poważnie — i na twoim miejscu postarałabym się zapobiec niebezpieczeństwu, które może wynikać wskutek tego niefortunnego zarządzenia.

— Ale jakże to mogę uczynić?

— Wszystko jest możebne dla tego, kto ma odwagę i energię — rzekła, podobna w tej chwili do tych bohaterskich niewiast rycerskiego wieku, których zachęta zdwajała odwagę ich obrońców w godzinie niebezpieczeństwa. — Dla nieśmiałych i wahających się wszystko jest niemożliwe, wszystko niemożliwym się wydaje.

— I co byś mi poradziła, kuzynko? — odrzekłem pragnąc odpowiedzi i lękając się jej.

Milczała przez chwilę, a potem odpowiedziała stanowczo:

— Żebyś natychmiast opuścił Osbaldistone Hall i wracał do Londynu. I tak może byłeś tu za długo — dodała łagodniej — choć nie z własnej winy. Teraz każda chwila tu stracona będzie zbrodnią. Tak, zbrodnią! Bo mówię wyraźnie, że jeśli Rashleigh czas dłuższy będzie zarządzać interesami twego ojca, możesz być pewny, że go zrujnuje.

— Dlaczego?

— Nie pytaj, proszę — rzekła — lecz wierzaj mi, że plany Rashleigha sięgają dalej niż posiadanie czy pomnażanie majątku na drodze handlowej. Mając prawo dyspozycji dochodami i całym majątkiem pana Osbaldistone użyje on go do puszczania w ruch własnych, ambitnych i daleko sięgających planów. Dopóki twój ojciec był na miejscu, nie mógł tego dokonać, ale podczas jego nieobecności będzie miał niejedną sposobność i skorzysta z niej nie omieszka.

— Ale jak zdołam, będąc w niełasce u ojca i pozbawiony wszelkiego prawa mieszenia się do jego interesów, zapobiec temu niebezpieczeństwu samą swoją obecnością w Londynie?

— Sama twoja obecność wiele będzie znaczyć. Twoje prawo do wglądania w sprawy ojca jest prawem przyrodzonym i nikt nie może ci go odebrać. Zresztą niewątpliwie będziesz miał poparcie głównego buchaltera, zaufanych przyjaciół i współników ojca. No i przede wszystkim plany Rashleigha są tej natury... — tu nagle urwała, jakby bała się powiedzieć za wiele — są, jednym słowem, jak wszelkie samolubne i niesumienne plany, takie, że prędko się je porzuca, skoro ten, kto je układa, spostrzeże, że zostały wykryte i że się je śledzi. Dlatego, mówiąc językiem twego ulubionego poety:

Na koń! na koń! Bez wahań i bez lęku!

Nagły poryw uczucia wydarł mi z ust słowa:

— O Diano! Jeżeli ty mi radzisz, bym opuścił Osbaldistone Hall, to rzeczywiście za długo tu bawiłem!

Diana zarumieniała się, mówiła jednak dalej z wielką stanowczością:

— Tak jest, daję ci tę radę... nie tylko, byś opuścił Osbaldistone Hall, ale byś tu nigdy nie wracał. Masz tu tylko jedną przyjazną duszę, której żałować będziesz — mówiła przymuszając się do uśmiechu — a ta już dawno przywykła poświęcać przyjaźń i pragnienia swoje dla dobra drugich. W świecie spotkasz setki takich, których przyjaźń będzie równie bezinteresowna, użyteczniejsza, mniej zależna od niepomyślnych okoliczności, złych języków i złych czasów.

— Nigdy! — zawołałem. — Przenigdy! Świat mi nigdy nie wynagrodzi tego, co tutaj porzucę.

Tu ująłem jej dłoń i przycisnąłem do ust.

— To niedorzeczność! — zawołała. — To szaleństwo! — i w pierwszym odruchu usiłowała wydostać rękę z mego uścisku... niezbyt mocno jednak, skoro trzymałem tak jej dłoń całą może minutę.

— Słuchaj no, mój panie! — mówiła teraz. — Powstrzymaj ten wybuch niemęski! Ja gwoli uroczystym układom jestem niebu przeznaczona, o ile nie będę wołała poślubić podłości w osobie Rashleigha albo brutalności w osobie jego brata. Jestem więc narzeczoną Chrystusa, klasztorowi poświęcona od kolebki. Takich uniesień ku mnie kierować nie należy. Dowodzą one tym mocniej, że powinieś wyjechać, i to bezzwłocznie.

Przy tych słowach zamilkła nagle i dodała głosem ściszonej:

— Odejdź natychmiast. Spotkamy się jeszcze, ale już po raz ostatni. Gdy to mówiła, oczy moje poszły w kierunku jej wzroku i zdawało mi się, że zasłona zakrywająca drzwi od przejścia z pokoju Rashleigha do biblioteki lekko się poruszyła. Zrozumiałem, że nas ktoś śledzi, i zwróciłem pytający wzrok ku Dianie.

— To nic — szepnęła słabo — to szczur za zasłoną.

— „Jest! Stawiam dukata!”/176 — byłbym odpowiedział, gdybym śmiał dać upust oburzeniu, że w takiej chwili ktoś nas podsłuchuje. Przeworność, konieczność opanowania się i usłuchania rozkazu Diany, która powtarzała:



„Odejdź, odejdź” — w porę powstrzymały czyn nieostrożny. Opuściłem pokój z dzikim zamętem i zawrotem w głowie, który na próżno usiłowałem uciszyć znalazłszy się u siebie.

Chaos zapanował w moich myślach, które bezładnie gnały i przesłaniały jedna drugą jak te mgły w górach, co opadają ciemną masą, zacierając i zasłaniając wszelkie znaki, jakimi podróżny kieruje się w pustkowiu. Niejasna i nieokreślona myśl o niebezpieczeństwie, na które machinacje Rashleigha narażały mego ojca, prawie wyznanie miłości złożone u stóp Diany, wiadome trudności jej położenia wynikające z dawnej umowy, która dawała jej wybór tylko między klasztorem a niedobranym małżeństwem — wszystko to jedno przez drugie tłoczyło mi się w mózgu. Nie byłem zdolny jasno i spokojnie rozejrzeć się w sytuacji ani też we właściwym świetle rozważyć miotających mną uczuć.

Głównie jednak i ponad wszystko zadziwił mnie sposób, w jaki Diana Vernon przyjęła moje wyznanie. Uderzyła mnie w jej zachowaniu jakby walka dwóch sprzecznych motywów: twardej stanowczości i czegoś miękkiego, świadczącego o tym, że budzi się w jej sercu coś, co jednak nie jest dość silne, by przełamać przeszkody, nie dopuszczające do wyznania wzajemnych uczuć. Spojrzenie raczej trwożne niż zdziwione, jakim śledziła ruch zasłony nad ukrytymi drzwiami, zdawało się dowodzić, że obawy Diany nie są bezpodstawne, tym bardziej że nie podlegała ona nerwowym wzruszeniom swej płci i nie zauważyłem, by kiedykolwiek bała się bez istotnego powodu. Jakiej natury mogły być te tajemnice, które ją otaczały jakby zaklętą obręczą i zdawały się stale wywierać wpływ na jej myśli i czyny? A ci, którzy kierowali tym wszystkim, pozostając w ukryciu — co to byli za ludzie?

Na tych pytaniach zatrzymałem się ostatecznie, poniekąd rad, że w takich rozważaniach znajduję ucieczkę przed koniecznością zastanowienia się nad moim własnym postępowaniem w stosunku do Diany. „Zanim opuszczę Osbaldistone Hall, muszę wiedzieć — postanowiłem — co mam sądzić o tej czarującej istocie, której życiem rządzi równocześnie otwartość i tajemnica: otwartość i szczerłość w słowach i uczuciach, mgła tajemniczości w dziedzinie czynów”.

Do zaciekawienia i miłosnego niepokoju przyłączył się w uczuciach moich jeszcze trzeci pierwiastek: silna zazdrość, do której jednak nie przyznawałem się nawet przed samym sobą. To uczucie, które

wschodzi wraz z miłością, tak jak kąkol z pszenicą, budziło się w miarę odkrywania tego wpływu, jaki mieli na Dianę ci niewidoczni sprawcy jej postępowania. Im więcej zastanawiałem się nad jej charakterem, tym bardziej dochodziłem do przekonania, że umiałaby ona przeciwstawić się wszelkiej władzy, z wyjątkiem takiej, która płynęła z uczucia. Wniosek ten narzucił mi się, choć broniłem się przed nim, i teraz gnębiło mnie gorzkie podejrzenie, że takie właśnie jest źródło wywieranych na Dianę wpływów.

Te dręczące wątpliwości umocniły we mnie pragnienie przeniknięcia tajemnicy Diany. W następstwie tego powziąłem pewne postanowienie... a co z niego wynikło, dowiesz się z następnego rozdziału, jeśli tylko nie znużyły cię te szczegóły.

## ROZDZIAŁ XVII

I słyszę głos, który mówi,  
Że zostać tutaj nie mogę —  
I rękę widzę, co wzywa  
W daleką, daleką drogę.

TICKELL /178

Powiedziałem ci już, Treshamie, jeżeli pamiętasz, że wieczorem rzadko zachodziłem do biblioteki, chyba po uprzednim umówieniu się tam z Dianą i w obecności starej Marty. To jednakże działo się jakby na mocy milczącego porozumienia, do którego sam doprowadziłem. W ostatnich czasach, gdy nasz wzajemny stosunek stawał się coraz kłopotliwszy, w ogóle wieczorami nie widywałem się z Dianą i dlatego nie mogła ona przypuszczać, że będę chciał wznowić te spotkania, zwłaszcza bez poprzedniego zapowiedzenia się i zaproszenia Marty.

Z drugiej jednak strony te środki ostrożności zaprowadziłem jakoby na drodze milczącej umowy, a nie wyraźnego postanowienia. Skądinąd wstęp do biblioteki był dla mnie, tak jak i dla innych członków rodziny, otwarty o każdej porze dnia i nocy i nie można by mnie było obwinić o niedyskretne wtargnięcie, choćbym nawet nagle i niespodziewanie tam się ukazał.

Byłem przekonany, że w tym pokoju Diana Vernon niekiedy przyjmowała Vaughana lub kogoś innego, kto kierował jej postępowaniem, i że gościła go wówczas, gdy najmniej spodziewać się mogła, że ktoś im przeszkodzi. Światła świecące w bibliotece o niezwykłych godzinach, przesuwane cienie, które sam zauważyłem, ślady stóp na porannej rosie, prowadzące od drzwi wieży do tylnej furtki ogrodu, głosy i zjawy, które zauważyła służba i Andrew Fairservice, po swojemu je tłumacząc — wszystko wskazywało na to, że bibliotekę ktoś obcy odwiedza. Przypuszczając, że ten gość pozostaje w jakimś związku z losami Diany, nie zawahałem się ułożyć planu wykrycia, kto nim jest. Pragnąłem zbadać, czy jego wpływ może mieć dla niej dobre czy złe następstwa, a przede wszystkim, chociaż wmawiałem w siebie, że to jest wzgląd uboczny, chciałem dowiedzieć się, jaki to jest rodzaj wpływu i czy opiera się na przemocy, czy też na miłości. O tym, że zazdrosna ciekawość przeważała nad wszystkimi innymi moimi motywami, świadczy już choćby to, że zawsze wyobrażałem sobie, iż

postępowaniem Diany kieruje jakaś jedna osoba, a przecież takich doradców mógł być cały legion. Zdawałem sobie z tego sprawę, powtarzałem to sobie, myśl jednak wciąż powracała do tego samego i podsuwała mi obraz jakiegoś jednego człowieka, w dodatku mężczyzny, i to najprawdopodobniej młodego i przystojnego. Gorąco pragnąc odkryć, a raczej wysledzić tego rywala, ustawiłem się na czatach w ogrodzie, by uchwycić chwilę, gdy światła zabłysną w oknach biblioteki.

Niecierpliwość moja była tak wielka, że zacząłem wyczekiwać o całą godzinę za wcześnie, nim jeszcze zmrok zapadł i cień od świecy mógł się ukazać. Był to lipcowy, niedzielny wieczór i ogród był całkiem pusty. Chodziłem tam i z powrotem po ścieżkach, pojąc się orzeźwiającym chłodem letniego wieczora, rozmyślając nad prawdopodobnymi następstwami mojego przedsięwzięcia. Świeże i wonne powietrze ogrodu, nasycone zapachami kwiatów, wywarło swój zwykły, kojący wpływ na rozgrzaną, rozgorączkowaną krew. Jednocześnie zamęt panujący w mej duszy stopniowo się uspokajał i wyłoniła się wątpliwość, czy mam prawo wtrącać się do tajemnic Diany albo rodzinnych tajemnic stryja. Co mi do tego, kogo mój stryj ukrywa w swym domu, w którym ja sam jestem tylko przygodnym gościem? I jaki miałem tytuł do wglądania w sprawy kobiety, wiążące się — jak to sama przyznała — z tajemnicą, której odsłonić nie chciała?

Namiętność i upór podsuwały odpowiedź na te pytania. Powtarzałem sobie, że odkrywając tajemnicę najprawdopodobniej oddałbym przysługę sir Hildebrandowi, który przypuszczalnie nic nie wiedział o intrygach prowadzonych w jego rodzinie. Jeszcze ważniejszą usługę wyświadczyłbym samej Dianie, gdyż szczerota jej i prostota powiększały niebezpieczeństwo mogące jej grozić przy utrzymywaniu stosunków z osobą może wątpliwego, może niebezpiecznego charakteru. Jeżeli na pozór nadużywałem jej zaufania, to tylko w szlachetnym i bezinteresownym (tak, odważyłem się nazwać to bezinteresownym!) zamiarze pokierowania nią, bronięcia jej i osłaniania przeciw tajemnemu doradcy, którego sobie za powiernika obrała. Takie to były argumenty, które przedstawiałem sumieniu niczym fałszywą monetę, a sumienie, jak mrukliwy sklepikarz, wolało ją przyjmować niż stracić klienta.

Przechadzając się tak po zielonych alejach i rozważając wszelkie „za” i „przeciw”, natknąłem się nagle na Andrew Fairservice'a. Nieruchomy niczym rzeźba, stał opodal rzędu uli z wyrazem pobożnej kontemplacji, jednym okiem śledził lot małych, gniewnych stworzonek, udających się na wieczorny spoczynek pod słomiane strzechy swoich domostw, a drugim spozierał w książkę do nabożeństwa, która w długiej służbie straciła swe kanty, przybrała owalny kształt, pociemniała, i razem wzięwszy, miała wygląd czcigodny i starożytny.

— Czytałem sobie trochę świątobliwego Quacklebena: Kwiat słodkiej woni na gnojowisku tego świata — odezwał się Andrew zamykając książkę i kładąc rogowe okulary zamiast zakładki pomiędzy stronicę.

— Pszczoły, jak widzę, odrywały waszą uwagę od uczonego autora?

— To buntowniczy narodek — odpowiedział ogrodnik. — Mają sześć dni w tygodniu, by się wyroić, a przecież zwykle wybierają niedzielę i człowiek musi tu czuwać zamiast słowa bożego posłuchać. Ale w kaplicy w Graneagain nie ma wieczornego kazania, to i cała pociecha.

— Mogłeś pójść, tak jak ja, do parafialnego kościoła, usłyszałbyś doskonale kazanie.

— Flaki z olejeni, flaki z olejem — odpowiedział Andrew z najwyższą pogardą. — To z przeproszeniem dobre dla psów... Mogłem także posłuchać proboszcza w jego białej komży. I muzyków grających na piszczałkach. Prawdziwe kocie wesele, a nie kościół. A do tego mogłem jeszcze iść na wieczorne nabożeństwo i posłuchać, jak ojciec Docharty mamrocze przy ołtarzu. Wiele ja bym z tego miał!

— Docharty! — rzekłem (było to, zdaje mi się, nazwisko starego księdza, Irlandczyka, który niekiedy odprawiał nabożeństwo w kaplicy w Osbaldistone Hall). — Myślałem, że jest tu ojciec Vaughan. Był wczoraj.

— Tak — odpowiedział Andrew — ale wyjechał do Greystoch czy gdziesik. Wielki teraz niepokój i ruch jest pośród nich. Kręcą się jak te moje pszczoły nie przymierzając, bo to może grzech porównywać takich księży do boskich stworzonek. Widzicie, panie, to drugi rój. Ten się wyroił po południu, a pierwszy wyszedł wcześniej rano. Ano, myślę, że się już ułoży na noc. Życzę dobrej nocy waszej miłości!

To mówiąc poszedł oglądając się jeszcze raz po raz na swoje ule. Pośrednio uzyskałem od niego ważną wiadomość, że przypuszczalnie ojca Vaughana nie było w zamku. Gdyby więc ukazało się światło w

bibliotece dzisiejszego wieczora, to albo to nie będzie on, albo też będzie to dowód, że ma powody do bardzo tajemniczego i podejrzanego postępowania.

Niecierpliwie oczekiwałem zachodu słońca i zmroku. Gdy tylko zapadł, dojrzałem światło w oknach biblioteki. Było ledwie widoczne w wieczornej poświacie, lecz zauważyłem jego pierwszy błysk tak szybko, jak zaskoczony nocą żeglarz dostrzega pierwsze migotanie wskazującej mu drogę latarni morskiej. Zaledwie błysnęła mi ta okazja do zaspokojenia ciekawości i zazdrości, ustały wszelkie wahania i wątpliwości. Już nie pytałem, czy właściwy będzie mój postępek. Wróciłem do domu, a unikając pokoi, w których mógłbym kogokolwiek spotkać, przekradłem się potajemnie do drzwi biblioteki. Zatrzymałem się przez chwilę z ręką na klamce, postyszałem ciche kroki wewnątrz, otworzyłem drzwi i zastałem Dianę samą.

Wydała mi się zaskoczona — czy moim nagłym wejściem, czy z innej przyczyny, nie mogłem tego odgadnąć, jednak zdradzała tak silne zmieszanie, jakiego nigdy jeszcze u niej nie zauważyłem, a które przypisać mogłem tylko niezwykle silnemu wzruszeniu. Opanowała się wszakże od razu. Taka zaś jest władza niespokojnego sumienia, że ja, który usiłowałem ją zaskoczyć, sam czułem się zaskoczony i z nas dwojga ja byłem zakłopotany.

— Czyżby się coś stało? — zapytała Diana. — Czy może ktoś przyjechał?

— Nie, nikt, o ile wiem — odpowiedziałem zmieszany. — Przyszedłem tylko po Orlanda.

— Tu leży — rzekła Diana wskazując na stół.

Podnosząc parę książek, by dostać się do tej, której rzekomo szukałem, zastanawiałem się nad tym, jakby się zgrabnie wycofać i uniknąć pytań, gdy wtem spostrzegłem leżącą na stole męską rękawiczkę. Oczy moje spotkały się ze wzrokiem Diany, ona zaś zarumieniła się silnie.

— To jedna z moich relikwii — rzekła niepewnie, odpowiadając na moje spojrzenie. — To rękawiczka dziadka, którego portret malowany przez van Dycka podziwiałeś już kiedyś.

Jak gdyby czuła, że do przekonania mnie potrzeba czegoś więcej niż tego prostego zapewnienia, otworzyła szufladę wielkiego dębowego stołu i wyciągnąwszy drugą rękawiczkę rzuciła ją ku mnie.

Gdy szczerą naturą poniża się do dwuznaczności albo udawania, niepokój i przykrość, z jaką spełnia to niezwykle dla siebie zadanie, często naprowadza słuchającego na powątpiewanie o prawdziwości wypowiedzianych słów. Szybkim spojrzeniem ogarnąłem obie rękawiczki, po czym odpowiedziałem poważnie:

— Rękawiczki są podobne, to prawda, ale nie mogą stanowić pary, gdyż obie są na prawą rękę.

Gniewnie zagryzła wargi i znów zarumieniła się mocno.

— Dobrze czynisz, że mnie zawstydzasz — odpowiedziała z goryczą.

— Ktoś inny z tego, co powiedziałam, wyciągnąłby tylko wniosek, że jest coś, w co nie życzę sobie wtajemniczać obcego człowieka. Ty lepiej osądziłeś i dałeś mi odczuć nie tylko całą marność kłamstwa, ale i moją niezdolność do udawania. Teraz oświadczam ci wyraźnie, że ta rękawiczka nie stanowi, jak sam bystro rozpoznałeś, pary z tą, którą ci w tej chwili pokazałam... Należy ona do przyjaciela droższego mi jeszcze niż oryginał portretu van Dycka, do przyjaciela, którego rady kierowały mną i kierować będą, którego szanuję, którego... — umilkła.

W rozdrażnieniu moim dopełniłem po swojemu:

— Którego kocham, chciałaś powiedzieć.

— A jeżeli tak powiem — odpowiedziała wyniośle — przed kim mam zdawać sprawę z moich uczuć?

— Nie przede mną, kuzynko... Błagam, nie posądzaj mnie o taką zarozumiałość. Ale — dodałem z naciskiem, gdyż teraz ja czułem się dotknięty — mam nadzieję, że kuzynka daruje przyjacielowi, któremu, zdaje się, chce odebrać ten tytuł, jeżeli powie...

— Nie mów nic — przerwała gwałtownie — i zapamiętaj, że nie chcę, by mnie podejrzewano ani pytano. Nikomu nie pozwolę się śledzić ani sądzić; a jeżeli wybrałaś tę niezwykle porę po to, by mnie szpiegować, przyjaźń czy zainteresowanie, które rzekomo dla mnie żywisz, za słabą jest wymówką, żeby usprawiedliwić twoją ciekawość.

— Uwalniam cię więc od mego towarzystwa — odrzekłem z dumą nie mniejszą niż jej własna, nigdy bowiem nie umiałem się upokarzać, nawet tam, gdzie uczucia moje najgłębiej wchodziły w grę. — Uwalniam cię od mej obecności. Budzę się z miłego, ale złudnego snu i... ale przecież rozumiemy się wzajemnie.

Byłem już przy drzwiach, gdy Diana dogoniła mnie i chwyciwszy za ramię zatrzymała. Zrobiła to szybkim, nieledwie błyskawicznym ruchem.

— Stój, Franku — rzekła znanym mi już rozkazującym, a przy tym żartobliwym tonem, który przy jej naiwności i prostocie sprawiał dziwnie ujmujące wrażenie. — Słuchaj, nie wolno ci opuszczać mnie w ten sposób, nie mam aż tak wielu przyjaciół, abym sobie mogła pozwolić na stratę nawet takich, którzy okazują się niewdzięcznymi i samolubnymi. Pamiętaj, co ci mówię, Franku Osbaldistone. Niczego się nie dowiesz o tej tajemniczej rękawiczce — mówiąc to podniosła ją w górę — a jednak nie dopuszczę do tego, by stać się ona miała rękawicą wyzwania i walki między mną a tobą. Mój pobyt tu — mówiła łagodniej — z konieczności krótkim już będzie, twój musi być jeszcze krótszy. Niedługo się rozstaniemy by się już nigdy nie spotkać. Nie kłóćmy się, nie szukajmy w marnych tajemnicach powodu, by zatruć sobie tych kilka godzin, które nam jeszcze dano spędzić razem.

Nie wiem, Treshamie, jakimi czarami ta uroczą istotą zdołała mnie uspokoić, mnie, który sam nie zawsze umiał się opanować. Wchodziłem do biblioteki ze stanowczym postanowieniem wyjaśnienia wszystkiego. Odmówiła mi go oburzona i wprost wyznała, że przenosi nade mnie rywala — bo jakże inaczej mogłem sobie tłumaczyć wyznanie, że ma tajemniczego powiernika? A jednak, gdy już byłem gotów wyjść z pokoju i zerwać z nią na zawsze, wystarczyło, by zmieniła wyraz twarzy i ton rzeczywistej, dumnej urazy na ton dobrotliwego i żartobliwego despotyzmu, przechodzący w odcień smętnego i poważnego uczucia, by sprowadzić mnie znowu do jej stóp, pozbawionego własnej woli i przyjmującego od niej wszystko na jej surowych warunkach.

— Na co się to przyda? — powiedziałem siadając. — Na co się to przyda, kuzynko? Dlaczego mam być świadkiem trudności, których usunąć nie mogę, i tajemnic, których sama chęć przeniknięcia już ciebie obraża? Przy całym swym niedoświadczeniu życiowym musisz przecież wiedzieć, że piękna, młoda kobieta może mieć tylko jednego przyjaciela mężczyznę. Byłbym zazdrosny, nawet gdyby chodziło o mego przyjaciela mężczyznę. Niepokoiłoby mnie jego zaufanie do trzeciej nieznaney i do tego tajemniczej osoby, a cóż dopiero, gdy o ciebie idzie, Diano!



— Jesteś zatem zazdrosny z wszystkimi nastrojami i kapryсами tej „pięknej” namiętności? Ale, miły mój przyjacielu, cały ten czas mówiłeś jak prostak, który potąd faszeruje się frazesami czerpanymi z teatru i romansów, aż zaczynają one wywierać rzeczywisty i potężny wpływ na jego duszę. Chłopcy i dziewczęta wmawiają w siebie miłość, a gdy ich miłość zacznie zamierać, wmawiają w siebie zazdrość. Ale ty i ja, Franku, jesteśmy zbyt rozumni, by wmawiać w siebie coś innego niż prostą, uczciwą i bezinteresowną przyjaźń. Wszelki inny stosunek jest dla nas niemożliwy, tak jak gdybym ja była mężczyzną albo ty kobietą. Prawdę mówiąc — dodała po chwilowym namyśle — będę na tyle dobrze wychowana, że uczynię zadość obyczajowi mojej płci i zarumienię się z lekka, mówiąc bez obłonek, że nie możemy być małżeństwem, choćbyśmy chcieli — i nie powinniśmy, choćbyśmy mogli.

I rzeczywiście, Treshamie, zarumieniła się anielsko, głosząc ten okrutny wyrok. Już byłem gotów jej zaprzeczyć zapominając zupełnie o potwierdzonych w ciągu wieczora moich podejrzeniach, lecz ona mówiła dalej chłodno i stanowczo, nieledwie surowo:

— To, co powiedziałam, to trzeźwa i niezaprzeczona prawda i więcej tego nie poruszajmy. Jesteśmy zatem przyjaciółmi, kuzynie — nieprawdaż?

Wyciągnęła rękę i ujmując moją dodała:

— I niczym więcej jak przyjaciółmi ani teraz, ani później.

Puściła moją rękę. Pochyliłem głowę, zupełnie oniemiały wobec dobroci i stanowczości jej tonu. Ona zaś spieszenie przeszła do innego tematu.

— Oto list — rzekła — adresowany do ciebie prawidłowo i wyraźnie, może jednak pomimo ostrożności osoby piszącej nigdy by do ciebie nie doszedł, gdyby się nie był dostał w ręce mojego zaczarowanego karzełka, którego, jak wszystkie nieszczęsne damy z romansów, mam do moich specjalnych usług.

Otworzyłem list i przejrzałem jego treść. Papier wysunął się z moich rąk i mimo woli krzyknąłem:

— Boże miłosierny! Moją głupotą i nieposłuszeństwem zgubiłem ojca!

Panna Vernon zerwała się z wyrazem prawdziwego i serdecznego przestרחu.

— Bledniesz... Niedobrze ci!... Może przynieść ci wody?. Męstwa, kuzynie! Czy ojciec... czy on nie żyje?

— Żyje — odpowiedziałem — żyje, dzięki Bogu! Ale jakiej dożył zgryzoty, jakich ciosów...

— Jeżeli nic gorszego, to nie rozpaczaj. Czy wolno mi ten list przeczytać?

Pozwoliłem nie wiedząc, co mówię. Odczytała bardzo uważnie.

— Kto jest ten Tresham, podpisany pod listem?

— Wspólnik ojca (twój własny zacny ojciec, Willu), ale mało wprowadzony w interesy firmy.

— Wspomina on — rzekła Diana — o różnych listach pisanych do ciebie.

— Żadnego nie otrzymałem.

— I zdaje się — mówiła dalej — że Rashleigh, który objął prowadzenie interesów podczas nieobecności ojca bawiącego w Holandii, jakiś czas temu wyjechał z Londynu do Szkocji zabierając ze sobą pieniądze oraz opiewające na wielkie sumy weksle i skrypty dłużne, którymi miał spłacić w tym kraju zaciągnięty przez ojca kredyt i uregulować jego zobowiązania. Od chwili wyjazdu nic o nim nie słyszano.

— Tak, to aż nazbyt prawdziwe.

— Píše też — dodała rzuciwszy okiem na list — że wysłano jakiegoś głównego urzędnika czy kogoś w tym rodzaju... Owensona... czy Owena... do Glasgow, żeby, jeśliby to było możliwe, odszukał Rashleigha, ciebie zaś proszą, byś udał się tamże i dopomógł mu w poszukiwaniach.

— Tak jest — i muszę jechać natychmiast.

— Zaczekaj chwilę — rzekła Diana. — Zdaje mi się, że najgorsze, co z tego wszystkiego może wyniknąć, to strata pewnej sumy, a czyż to może być przyczyną łez? Kuzynie! Wstyd!

— Krzywdę mi czynisz, kuzynko — odpowiedziałem. — Martwię się nie stratą, lecz wpływem, jaki to wywrze na usposobienie i zdrowie ojca. Dla niego kredyt kupiecki jest sprawą honoru — i nie przeżyje ogłoszenia o niewypłacalności firmy. Umrze zgnębiony zgryzotą, wyrzutami sumienia i rozpaczą jak żołnierz skazany za tchórzostwo lub jak człowiek honoru, który stracił swoje stanowisko i dobre imię. Wszystkiemu temu mogłem zapobiec małą ofiarą z głupiej pychy. To pycha i obojętność dla jego spraw były przyczyną, że nie chciałem

podzielać trudów uczciwego i użytecznego zawodu. Dobry Boże! Jakże ja potrafię okupić następstwa tego błędu!

— Jadąc natychmiast do Glasgow, jak cię błaga przyjaciel w tym liście.

— Ale jeżeli Rashleigh istotnie ułożył ten podły projekt złupienia swego dobroczyńcy, jakież ja mam widoki na pokrzyżowanie jego planów?

— Pewności nie ma — odpowiedziała — ale z drugiej strony, jeśli tu pozostaniesz, to na pewno nic ojcu nie pomożesz. Pamiętaj, że gdybyś zajął posterunek sobie wyznaczony, to nie doszłoby do tego nieszczęścia. Spiesz się, a może uda ci się zło naprawić... Ale zaczekaj, nie wychodź, póki nie wrócę...

Wyszła i w parę minut powróciła z arkuszem papieru w ręku, złożonym w formie listu, zapieczętowanym, jednak nie zaadresowanym.

— Powierzam ci — rzekła — ten dowód mej przyjaźni, ponieważ najzupełniej ufam twemu honorowi. Jeżeli dobrze rozumiem istotę tej sprawy, sumy będące w posiadaniu Rashleigha muszą być odzyskane do pewnego dnia... Zdaje mi się, że termin upływa 12 września. Tak, to termin spłaty wiadomych weksli. Naturalnie, gdyby się znalazły odpowiednie sumy przed tym dniem, kredyt twego ojca byłby ocalony przed grożącą mu katastrofą.

— Tak, ja podobnie rozumiem list Treshama. Bez wątpienia tak jest — rzekłem, raz jeszcze przeglądając list.

— A więc dobrze — w takim razie mój mały karzełek może ci się na coś przydać. Słyszałeś o czarach zamkniętych w listach? Weź ten list; nie otwieraj go, dopóki nie zawiodą cię inne, zwyczajne sposoby. Jeżeli powiesz ci się bez mojej pomocy, ufam twemu honorowi, że zniszczysz to pismo nie otwierając go i nie pozwalając komukolwiek otworzyć. W przeciwnym razie złam pieczęć na dziesięć dni przed fatalnym terminem. Znajdziesz tam wskazówki, które ci się może przydadzą. A teraz żegnam cię. Franku!... Nie zobaczymy się już... Pomyśl czasem o Dianie Vernon jako o swej przyjaciółce.

Wyciągnęła do mnie rękę, a ja przytuliłem ją do serca. Nie opierała się, ale po chwili westchnęła i oswobodziła się z tego uścisku; pobiegła do drzwi prowadzących do swego pokoju — i już jej później nie zobaczyłem,

## ROZDZIAŁ XVIII

Jak szumny wicher pędzą w cwał,  
Pod jeźdźcem koń się pieni,  
Pryskają skry z kamieni.

BURGER/188

Jedyną korzyścią nagromadzenia najróżniejszych zgryzot jest to, że sprzeczne ich działanie wzajemnie się rozprasza i nie pozwala człowiekowi ugiąć się pod przemożnym ciężarem wyłącznie jednego cierpienia. Głęboko byłem strapiony rozstaniem z Dianą, jednakże nie aż tak, jakbym był, gdyby grożące ojcu nieszczęście nie zajmowało moich myśli. Zmartwiłem się też wiadomościami od Treshama, ale mniej, niż gdyby one były moją wyłączną troską. Nie byłem ani niewiernym w miłości, ani nieczułym synem, ale człowiek ma ograniczoną zdolność cierpienia i gdy jednocześnie działają nań dwa bodźce, dzieli między nie swe uczucia, jak bankrut dzieli masę upadłości/188 pomiędzy swoich dłużników. Tak rozmyślałem idąc do swego pokoju i mimo woli wpadając już w kupiecki sposób myślenia. Zacząłem poważnie zastanawiać się nad niedawno otrzymanym listem. Nie był on jasny i co do niektórych szczegółów odsyłał mnie do Owena. Proszono mnie, żebym go jak najprędzej odszukał w szkockim mieście Glasgow. Donoszono mi przy tym, że wiadomości o nim znajdę w firmie pp. Mac Vittie, Mac Fin et Comp. przy ulicy Gallowgate. Wspominano także o kilku listach, które, być może, zaginęły lub też zostały przejęte, i w ogóle uskarżano się na moje uparte milczenie. Byłem zdumiony. Że duch Rashleigha krążył dokoła mnie i wywoływał te trudności, które mnie otaczały, o tym nie mogłem wątpić ani na chwilę, ale zgrozą przejmowała mnie myśl o rozmiarach chytrego łotrostwa i środkach, jakich użył do przeprowadzenia swoich zamiarów.

Niech mi będzie wolno pod jednym względem oddać sobie sprawiedliwość. Ból rozstania z Dianą nabierał podrzędnego znaczenia, gdy myślałem o niebezpieczeństwach zagrażających ojcu. Sam do bogactw nie przywiązywałem wielkiej wagi i wmawiałem w siebie, jak wiele młodych ludzi o bujnej wyobraźni, że lepiej obejść się bez pieniędzy niż czas swój i zdolności poświęcać na ich zdobywanie. Wiedziałem jednak, że ojciec będzie uważać bankructwo za niepowetowaną i ostateczną hańbę, na którą w życiu nie znajdzie pociechy i od której tylko śmierć wybawić go będzie mogła.

Toteż nad odwróceniem tej katastrofy myślałem z takim natężeniem i przejęciem, na jakie nie byłoby mnie stać, gdyby chodziło o własne moje losy. W rezultacie postanowiłem wyjechać z Osbaldistone Hall nazajutrz celem spotkania się z Owenem w Glasgow. Nie uważałem za właściwe powiadamiać stryja o moim odjeździe, wolałem listownie podziękować mu za gościnność i upewnić go, że nagłe i ważne interesy nie pozwoliły mi uczynić tego osobiście. Wiedziałem, że stryj, prosty i szczerzy człowiek, chętnie wybaczy brak ceremonii, tak zaś wierzyłem w śmiałość i rozległość intryg Rashleigha, że obawiałem się po trosze, czy nie przygotował zawczasu sposobów do udaremnienia mojej podróży, mającej przeciwdziałać jego machinacjom. Dlatego sądziłem, że nie należy rozgłaszać mego wyjazdu. Postanowiłem, że wyjadę w podróż nazajutrz o świcie i dotrę do sąsiedniego królestwa Szkocji, zanim kto w domu o wyjeździe moim usłyszy. W związku z tym koniecznym pośpiechem wyłoniła się pewna przeszkoda. Nie znałem najkrótszej drogi ani w ogóle drogi do Glasgow, że zaś w danych okolicznościach trzeba się było śpieszyć, postanowiłem poradzić się Andrew Fairservice'a, ufając, że on ją zna i że mi ją wskaże. Choć było już późno, wybrałem się do niego i po kilku minutach stanąłem przed mieszkaniem ogrodnika.

Mieszkanie Andrew leżało niedaleko zewnętrznego muru ogrodu. Był to czysty, wygodny domek, zbudowany z grubo ciosanego kamienia i pokryty zamiast dachówek szerokimi płytkami szarego piaskowca. Grusza z jednej strony domku, strumyk i klomb kwiatów z drugiej, również kwiatowy ogródek z frontu, a z tyłu warzywny, obórka dla krowy i małe pólko obsiane różnorodnym zbożem, raczej dla użytku mieszkańca domku niż na sprzedaż — wszystko to mówiło o ciepłej i miłej wygodzie, jaką stara Anglia, nawet na swoich najdalej na północ wysuniętych kresach, otacza i najskromniejszych swoich mieszkańców.

Zbliżając się do mieszkania mądrali Andrew usłyszałem dźwięki, które były uroczyste, nosowe i ciągle, więc nasunęły mi przypuszczenie, że gospodarz w myśl chwalebego obyczaju swoich rodaków zgromadził kilku sąsiadów, by z nimi odprawiać ćwiczenia rodzinne, tak bowiem nazywał wieczorne modlitwy.

Co prawda Andrew nie miał ani żony, ani dzieci i w jego domu nic było żadnej osoby rodzaju żeńskiego. „Już dosyć Adam wycierpiał się

przez nie" — zwykł był mawiać o kobietach. Czasem jednak udawało mu się zebrać grono słuchaczy spośród okolicznych katolików lub członków Kościoła anglikańskiego i wtedy, jak się wyrażał, starał się wyrwać ich piekłu. Jasne, że dla księdza Vaughana, księdza Docharty i Rashleigha zebrania te były otwartym wyzwaniem, toteż uważali jego działalność za heretyckie mieszanie się w nie swoje interesy.

Przypuszczałem, że i teraz przyjaciele Andrew zeszli się w podobnym celu. Dźwięki jednakże, gdy się im dokładniej przysłuchiwałem, zdawały się pochodzić tylko od jednej osoby. Gdy zaś przerwałem je wchodząc do domu, zastałem Andrew samego nad tomem teologicznych dysput, walczącego z trudnościami przy odczytywaniu na głos długich wyrazów i trudnych nazwisk, wymawianych głośno gwoli własnemu zbudowaniu.

— Czytałem trochę — rzekł, gdy mnie ujrzał, i odłożył na bok potężną księgę — dzieło świątobliwego doktora Lightfooda/190.

— „Ligthfood” — odpowiedziałem zaskoczony ogromem tomiska — nazwisko tego autora jest niezbyt szczęśliwe dobrane.

— Ale tak się nazywał i duchowny to był nie taki jak ci dzisiejsi. Ale przepraszam waszą miłość, że dałem czekać przed drzwiami, że to mnie jednak (chroń nas. Boże!) przeraził zły duch tego wieczora, bałem się otworzyć, aż nie skończę wieczornego nabożeństwa, a właśnie skończyłem piąty rozdział Nahemiasza... Jeżeli to ich nie odpędzi, to już nie wiem co.

— Raził cię duch? Co przez to rozumiesz?

— Mówię, że przeraził, co znaczy, że mi napędził, chroń nas. Boże, powtarzam!

— Napędził ci duch?! Jak mam to rozumieć?

— Napędził stracha, powiadam, mało brakowało, a wyskoczyłbym z własnej skóry, choć nikt na mnie nie nastawał, nikt nie chciał mnie obedrzeć jak drzewo z kory.

— Tymczasem przynoszę ci spokój od duchów — rzekłem — a przychodzę, bo chcę się dowiedzieć, czy możesz mi wskazać najbliższą drogę do Glasgow. To miasto leży przecież w twojej ojczyźnie, w Szkocji.

— Glasgow? — powtórzył Andrew. — Glasgow to wielkie miasto, panie. Pytacie, czy ja znam drogę do Glasgow? A dlaczego bym nie miał jej znać!... To przecie niedaleko mojej własnej parafii w

Dreepdaill, która leży kawałek ku zachodowi słońca. Ale po co to wasza miłość wybiera się do Glasgow?

— Mam tam ważny interes — odpowiedziałem.

— To znaczy: nie pytaj, a ja ci łągał nie będę... Do Glasgow? — zastanowił się. — Ja myślę, że najlepiej, panie, by wam kto pokazał drogę.

— Z pewnością, gdybym spotkał kogoś jadącego tam również.

— Ale wasza miłość rozumie, że to kosztuje i dużo czasu, i zmęczenia...

— Oczywiście, ale mnie pilno i jeżeli znajdziesz przewodnika, przyprowadź go, a o nagrodę się nie martw.

— W niedzielę nie będziemy mówić o interesach — odparł Andrew wznosząc oczy z nabożną miną — ale gdyby to nie był świąteczny wieczór, pogadałbym z takim, co by waszej miłości był miłym towarzyszem w drodze i umiał nazwać wszystkie pańskie domy i zamki, a nawet ich szlacheckie koligacje.

— Mówię ci, ja tylko muszę znać drogę, którą mam jechać. Zapłacę temu człowiekowi tak, że będzie kontent. Dam wszystko, co mu się należy.

— Wszystko — to znaczy nic — odpowiedział Andrew — a ten chłopak, co go mam na myśli, zna krótkie drogi i wszystkie percie przez góry i...

— Nie mam czasu długo o tym gadać, Andrew. Już ty po swojemu za mnie się z nim ułóż.

— Ano, to jasne gadanie — odpowiedział Andrew. — Ja myślę sobie, było nie było, że to ja będę tym chłopcem, co was poprowadzi, ja sam.

— Ty, Andrew?... Jakże możesz opuścić swoje zajęcie?

— Ja jużem waszej miłości powiadał... Dawno o tym rozmyślałem, że precz pójdę stąd, może tak dawno, jak od pierwszego roku, kiedym tu nastał. A teraz to już nie na żarty chcę sobie iść. Lepiej wcześniej niż za późno, lepiej palec stracić niż wisieć.

— Więc tedy rzucasz służbę... ale czy tym sposobem nie stracisz swojej pensji?

— Ano, pewnie, że tam jakaś strata będzie, ale znowu mam w rękach pieniądze pańskie, com je wziął za te jabłka w starym sadzie. Kiepskie kupno ci ludzie zrobili, co je kupili... Kwaśne, zielone gałgaństwo. A przecie sir Hildebrand taki łasy na ten pieniądz (a właściwie to zarządca taki naglący), jakby to były złote renety. A potem są jeszcze

te drobne na nasiona. Ja myślę, że to się jakoś uzbiera na tę moją pensję. Ale z pewnością jak już będziemy w Glasgow, to wasza miłość zważy, że mogłem być pokrzywdzony. A prędko mamy wyjeżdżać?

— Jutro skoro świt — odpowiedziałem.

— To ci trochę nagle. Gdzież ja znajdę szkapę?... Czekaście... już wiem o takiej, co mi będzie w sam raz.

— Więc o piątej rano, Andrew, spotkasz się ze mną u wejścia do alei.

— Bez obawy! Stawię się na pewno — odpowiedział Andrew żwawo.

— A jeżeli wolno mi radzić, wyjechalibyśmy o dwie godziny wcześniej. Ja znam drogę, czy ciemno, czy jasno, nie zbłądzimy.

Uznałem słuszność tej rady i uzgodniliśmy, że się spotkamy na umówionym miejscu o trzeciej nad ranem. Nagle jednak przypomniało się coś mojemu przyszłemu towarzyszowi podróży.

— Zły duch! Zły duch! A co, gdyby on na nas wyszedł? Nie chciałbym dwa razy jednej nocy z nim się spotkać.

— Ech, co tam! — zawołałem odchodząc. — Nie bój się duchów z drugiego świata; i na tym są diabły żyjące, które działają bez pomocy tamtych!

Z tymi słowy, które podsunął mi własny mój los, wyszedłem z domu Andrew i powróciłem do siebie.

Szybko ukończyłem przygotowania podróżne, obejrzałem i naładowałem pistolety, po czym rzuciłem się na łóżko starając się zdobyć kilka chwil snu przed trudami długiej i niespokojnej drogi. Po wyczerpujących wzruszeniach dnia natura okazała się dla mnie łaskawsza, niż się spodziewałem. Wpadłem w głęboki sen, z którego zerwałem się jednak, gdy zegar na przyległej do mej sypialni wieżyczce wydzwonił drugą. Wstałem natychmiast, zaświeciłem światło, napisałem list do stryja i pozostawiając część ubrań, które nadmiernie by mnie obciążyły, resztę spakowałem, zszedłem po cichu na dół i bez przeszkód dostałem się do stajni. Nie tak wprawny jak moi kuzynowie, nauczyłem się jednak w Osbaldistone Hall czyścić i siodłać mojego konia i w parę minut siedziałem już na nim, gotów do drogi.

Powoli jadąc aleją starych drzew, oblanych gasnącą, bladą poświatą księżyca, obejrzałem się z głębokim, bolesnym westchnieniem na te mury, w których żyła Diana, a oglądałem się pod smutnym wrażeniem, że pożegnaliśmy się, by prawdopodobnie nigdy się już nie



zobaczyć. W długim, nieregularnym szeregu gotyckich okien, jak białe widma błyszczących teraz przy księżycu, niepodobieństwem było odnaleźć okno pokoju, który zamieszkiwała. „Ona już dla mnie stracona — myślałem błędząc wzrokiem po niejasnych zawiłościach architektury. — Stracona, zanim jeszcze opuściłem miejsce, które zamieszkuje! Czyż mogę mieć nadzieję, że utrzyma się jakiś związek między nami, gdy przestrzeń nas rozdzieli?”

Gdy się zatrzymałem snując te niewesołe myśli, „żelazny język czasu wybił trzecią na sennym uchu nocy” i przypomniał mi o spotkaniu z osobą ze wszech miar mniej interesującą i nadobną — z Andrew Fairsevice'em.

U bramy alei dostrzegłem jeźdźca stojącego w cieniu muru, ale dopiero gdy dwa razy zakaszlałem, a w końcu zawołałem: „Andrew!”, odezwał się ogrodnik:

— A przecie, że to Andrew.

— Prowadź zatem — rzekłem — i nic nie mów, jeśli potrafisz, aż wyjedziemy za osadę w dolinie.

Andrew tedy jechał przodem, i to o wiele bardziej wyciągniętym kłusem, niż tego pragnąłem, a tak dobrze pojął mój rozkaz milczenia, że nie odpowiedział na moje pytania, czemu aż tak się śpieszy. Jadąc na przełaj skrótami, które Andrew doskonale znał, minęliśmy liczne kamieniste polany i wąskie drogi przecinające się w sąsiedztwie zamku, wydostaliśmy się na otwarte wrzosowisko po to, by już po chwili mieć je za sobą, i wjechaliśmy między łyse pagórki, odgraniczające Anglię od Szkocji. Droga, a raczej rwąca się co chwila ścieżka wiodła dla „miłej” odmiany to przez bagnisty moczar, to przez kamieniste złogi, ale Andrew nie zwalniał i mężnie kłusował naprzód w tempie ośmiu lub dziesięciu mil na godzinę. Zadziwił mnie i drażnił upór tego błazna, gdyż jedno osunięcie się nogi konia groziło jeźdźcowi pewną śmiercią. Księżyc w najlepszym razie dawał niepewne i niewystarczające światło, a miejscami zdarzało się nam jechać w cieniu góry, w zupełnej ciemności, tak że dążąc śladem Andrew, mogłem kierować się jedynie odgłosem kroków jego konia i iskrami krzesanymi z kamieni.

Na razie szybki ruch i uwaga, z jaką gwoli osobistego bezpieczeństwa musiałem prowadzić konia, wyszły mi na dobre o tyle, że odwracały myśl od tych bolesnych rozważań, które by w przeciwnym razie truły moją duszę. W końcu jednak po kilkakrotnym daremnym wołaniu na

Andrew, by jechał wolniej, rozgniewałem się naprawdę na tego upartego zuchwalca, który ani mnie nie słuchał, ani nie odpowiadał. Gniew mój był jednak bezsilny. Próbowałem dogonić samowolnego przewodnika i zrównać się z nim, by tego batem dobrać się do niego, ale Andrew siedział na lepszym koniu — i czy to instynkt jego wierzchowca, czy też jego własne przeczucia powodowały, że ilekroć się zbliżałem, koń Andrew przyśpieszał kroku. Z drugiej strony ja sam swemu koniowi musiałem dawać ostrogę, by nie stracić z oczu mego przewodnika, bo dobrze czułem, że bez niego zgubiłbym się na tym beznadziejnym pustkowiu, przez które teraz gnaliśmy. W końcu jednak taka mnie złość wzięła, że zagroziłem Andrew kulą z pistoletu, jeżeli nie powstrzyma tej wściekłej jazdy.

Widocznie ta groźba trafiła do jego ucha, choć było ono głuche na łagodniejsze wezwania — zwolnił kroku, pozwolił mi się zrównać z sobą i zauważył:

— Niewiele miało sensu takie gonienie.

— A cóżeś ty sobie właściwie myślał jadąc tak, ty samowolny łotrze?

— zawołałem wręcz gniewem. (Nawiasem mówiąc, nic tak gniewu nie podsyca jak świeżo przebyty strach o własną skórę; tak parę kropli wody rzuconych na płonący ogień zwiększa tylko żar nie mogąc go zagasić).

— A jaka wola waszej miłości? — odpowiedział Andrew z niezachwianą powagą.

— Moja wola, ty łotrze? Od godziny krzyczę, że masz jechać wolniej, a tyś mi nawet nie odpowiedział! Czyś ty pijany? Czy oszalałeś?

— Z przeproszeniem waszej miłości, ja mam trochę tępy słuch i temu nie zaprzeczę, iżem wypił strzemiennego na zdrowie temu staremu domowi, gdzie tak długo mieszkałem. A że nie było komu wypić ze mną, musiałem sobie sam radzić, bo inaczej ta reszta wódki zostałaby dla papistów... A to przecież byłoby szkoda, wasza miłość rozumie.

Wszystko to mogło być prawdą, a że okoliczności zmuszały mnie żyć w zgodzie z przewodnikiem, poprzestałem na żądaniu, by odtąd stosował się do moich rozkazów.

Andrew, ośmielony łagodnością mego tonu, podniósł zarozumiale swój własny o całą oktawę, co mu się zresztą często zdarzało.

— Wasza miłość mnie nie przekona ani nikt mnie nie przekona, że to zdrowo i bezpiecznie oddychać nocnym powietrzem na torfowiskach, jeśli człek się nie zagrzeje przedtem dobrym kielichem gorzałki.

Pewnie ze sto razy przejeżdżałem przez Otterserape-rigg nocą i dniem i nigdy bym nie trafił, gdybym nie wlał w siebie czegoś jasnego, i to tym bardziej, że miałem gorzałkę po obu stronach kulbaki.

— Innymi słowy, Andrew — wtrąciłem — byłeś po prostu przemytnikiem... Jak może człowiek o tak surowych zasadach puszczać się na okradanie skarbu?

— Jest to, panie, łupienie Filistynów — odpowiedział Andrew. — Biedna stara Szkocja dosyć się nacierpi od tych łotrów zatraczonych, tych poborców i celników, co to spadli na nią jak szarańcza od czasu tej nieszczęśliwej Unii/195. Godzi się dobremu synowi przynieść jej coś, niech się ta skrzepi! A one by to rade oclić, te złodzieje!

Po dokładniejszym rozpytywaniu się odkryłem, że Andrew często przejeżdżał tymi górskimi ścieżkami jako przemytnik, i to zarówno przed, jak i po zamieszkaniu w Osbaldistone Hall. Wiadomość ta była o tyle istotna, że mogłem być teraz zupełnie spokojny co do kwalifikacji mego przewodnika, i to mimo jego „popisu” w ciągu pierwszych godzin podróży. Nawet teraz, choć jechał daleko wolniej, ten kielich strzemiennego widocznie wciąż jeszcze działał. Andrew często niespokojnie się za siebie oglądał, jakby się czegoś lękał, a gdzie tylko droga była lepsza, zdradzał chęć przyspieszenia kroku, jakby w obawie, że go ktoś ściga. Te oznaki niepokoju ustępowały stopniowo, w miarę jak zbliżaliśmy się do szczytu wysokiej, czarnej przełęczy, ciągnącej się może milę od wschodu do zachodu z bardzo stromym spadem na obie strony. Białe promienie poranku oświecały już widnokrąg. Andrew obejrzał się za siebie, a nie widząc żywej duszy na torfowych łąkach, które przejechaliśmy, rozpogodził oblicze i najpierw zagwizdał, a potem zaśpiewał bardzo radośnie, choć mniej melodyjnie, koniec jakiejś ludowej śpiewki:

Dziewczyno moja, mam ciebie już,

Za nami bagna, a wrzosa tuż!

A choćby wsiedli i na sto koni,

Już ciebie klan twój tu nie dogoni!

Poklepał przy tym szyję swego wierzchowca, który tak dzielnie go niósł. To zwróciło moją uwagę na konia i od razu poznałem w nim ulubioną klacz Thorncliffa Osbaldistone.

— Co to ma znaczyć? — zapytałem surowo. — To przecież klacz pana Thorncliffa.

— Nie powiem, żeby tam kiedy nie należała do niego, ale teraz jest moja.

— Ukradłeś ją, ty gałganie!

— Nie, nie, panie... nikt mi nie może powiedzieć, że ukradłem. Rzecz tak wygląda, niech wasza miłość posłucha. Pan Thorncliff pożyczył ode mnie dziesięć funtów, kiedy jechał na wyścigi do Yorku, i miał mi je zaraz zwrócić. Kiedy potem prosiłem o swoje, on nie oddawał, a jeszcze „kości ci przetrączę” — powiadał. Niech sobie teraz głowę łamie, jak przemyścić klacz z powrotem przez granicę. Ale jeżeli nie odda mi mojego co do grosza, to nigdy nie zobaczy ani włosa z jej ogona. Znam jednego pisarza w Loughmaben, ten mi pomoże ułożyć się z nim. Że to niby ukradłem kobyłę? O, nie! Tego grzechu Andrew Fairservice nie ma na sumieniu. Ja jeno areszt położyłem na niej *jurisdictionis fundandae causa*/196. To są dobre, mądre słowa, prawie takie jak mowa uczonych ogrodników i innych uczonych mężów, szkoda tylko, że tyle kosztują. Długim sądowym procesem i czterema butelkami wybornej wódki zapłacił za nie Andrew i to wszystko, co dostał. Hej, panie, prawo to droga rzecz!

— Może się przekonasz, że jest jeszcze droższe, niż myślisz, Andrew, jeżeli zaczniesz w ten sposób wymierzać sobie sprawiedliwość.

— Co tam! Jesteśmy teraz w Szkocji, dzięki Bogu! Znajdę ja tu i przyjaciół, i prawników, i sędziów także, nie gorszych niż tam panowie Osbaldistone. Mojej babki stryjeczno-stryjeczny był krewnym burmistrza w Dumfries, a ten nie pozwoli, żeby kropli jej krwi stała się krzywda. Bo tu prawo stosuje się sprawiedliwie i do wszystkich równo. Nie tak jak po tamtej stronie, gdzie porządna osoba może być wsadzona do kozy z rozkazu sekretarza Jobsona, zanim się obejrzy, co się dzieje. Ale tam niezadługo już żadnego prawa nie będzie, toteż i wołałem powiedzieć im: „Bądźcie zdrowi!”

Bardzo byłem zły na Andrew za tę jego samowolę i miałem pretensje do losu, że po raz drugi zetknął mnie z człowiekiem o dość giętkiej etyce. Postanowiłem w duchu odkupić klacz od niego, skoro dotrzemy do celu podróży, by odesłać ją kuzynowi, a o tej zamierzonej restytucji chciałem powiadomić stryja z najbliższej stacji pocztowej. Tymczasem uważałem za niepotrzebne wdawać się w spór z Andrew, gdyż ten, ostatecznie jak na człowieka swej sfery i pojęć, postąpił dość naturalnie. Opanowałem więc niechęć i zapytałem, co rozumie

przez to, co powiedział, że wkrótce w Northumberland żadnego prawa nie będzie.

— Prawo! — odpowiedział. — No tak... będzie prawo, ale prawo pięści. Księża, irlandzcy oficerowie i wszelkie papistowskie bydło, które dotąd włóczyło się i wojowało za granicą, bo nie śmiało żyć w kraju, teraz masami napływa do Northumberland. Ot, trupy gromadzą się na żer dla kruków. A jak dwa a dwa cztery, tak wielmożny pan Hildebrand będzie w tym maczać palce. Już teraz stale się u nich słyszy, jak pobrzękują szabelką i sztyletem. Założyłbym się, że te, za przeproszeniem wariaty, panicze Osbaldistone, na pewno nadstawią karku.

Ta jego mowa przypomniała mi pewne własne podejrzenia, że jakobici są w przededniu jakowegoś rozpaczliwego przedsięwzięcia. W poczuciu jednak, że nie wypada mi szpiegować słów i czynów stryja, raczej unikałem, niż korzystałem z okazji śledzenia tego, co się dzieje. Natomiast Andrew Fairservice'a nic nie kępowało i niewątpliwie mówił prawdę twierdząc, że knują się jakieś spiski i że to jest ostateczny powód, który go skłonił do opuszczenia Osbaldistone Hall.

— Służba — mówił — dzierżawcy i inni zostali wszyscy regularnie wciągnięci na listy i ćwiczy się ich we władaniu bronią. Chcieli, abym ja się do tego przyłączył. Ale mnie się tam w takim wojsku nie zobaczy! Mało znali Andrew ci, co mu to proponowali. Będę się bił, gdy sam będę chciał, ale nie za jakieś babilońskie czy też angielskie wszeteczeństwa/197.

## ROZDZIAŁ XIX

Tam gdzie się wieża zmurszała chwieje,  
Gdy wiatr w nią bije z jękiem i wyciem,  
Tam myśl poetów, rycerzy duma,  
Kochanków jasne niegdyś nadzieje  
Śpią pod cmentarnym dani nakryciem.  
LANGHORNE/198

W pierwszym szkockim mieście, do którego dotarliśmy, przewodnik mój odszukał swego przyjaciela, by się naradzić, jak objąć w prawowite posiadanie „pocziwe zwierzę”, którego dosiadał na razie tylko drogą samowolnej konfiskaty, co się niekiedy jeszcze trafiało w tych okolicach, gdzie do niedawna swobodnie hulało bezprawie. Zabawiła mnie jego kwaśna mina, gdy wrócił. Zdaje się, że ze zbytnim zaufaniem wygadał się przed swym przyjacielem prawnikiem i w zamian za swoją szczerość dowiedział się z niemiłym zdziwieniem, że podczas jego nieobecności adwokat Touthope został mianowany sekretarzem przy sądzie pokoju tego hrabstwa i miał obowiązek meldować sędziemu o wszelkich tego rodzaju „transakcjach”. Ruchliwy ten stróż porządku publicznego oświadczył, że musi nałożyć areszt na konia i umieścić go w stajni u radnego Trumbulla za dzienną opłatą dwunastu szylingów (szkockich), dopóki kwestia własności nie będzie należycie przedyskutowana i osądzona. Coś tam nawet wspomniał, że chcąc akuratnie spełnić swój obowiązek powinien był właściwie wziąć pod klucz i samego zacnego Andrew. Gdy ten jednak żałośnie prosił o względnosć, pan Touthope nie tylko powstrzymał swoje zapędy, ale jeszcze, by umożliwić przyjacielowi dalszą podróż, obdarował Andrew dychawicznym kucem ze szpatem w nogach. Inna sprawa, że za ten akt wspaniałomyślności zażądał od Andrew absolutnego zrzeczenia się na swoją korzyść wszelkich praw do dzielnego rumaka Thorncliffa — układ, który wedle pana Touthope'a bardzo niewiele znaczy, gdyż jak zauważył żartobliwie, biedny jego przyjaciel i tak konia by nie dostał, co najwyżej jego uzdeczkę.

Andrew był markotny i rozżalony, gdym z niego te szczegóły wydobył, okrutnie bowiem cierpiała jego szkocka duma, gdy musiał przyznać, że adwokaci to zawsze adwokaci — czy po tej, czy po

tamtej stronie granicznej rzeki Tweed, i że pan sekretarz Touthope nie jest lepszy od pana sekretarza Jobsona.

— Ani w połowie tak by mnie to nie zgryzło, gdybym co stracił między Anglikami, ale to całkiem inna sprawa, kiedy kruk wykluje oko krukowi, a brat Szkot oszuka drugiego Szkota. Tak, tak! Rzeczy się bardzo w moim kraju zmieniły od czasu tej nieszczęsnej Unii!... — Do tego historycznego aktu odnosił Andrew wszelkie objawy zepsucia i zwyrodnienia, jakie spostrzegł u swoich rodaków, a przede wszystkim wzrost cen, zmniejszenie się rozmiarów kufla z piwem i tym podobne niegodziwości.

Co do mnie, to wobec tego, co się stało, uważałem się odtąd za zwolnionego z wszelkiej opieki nad koniem i tylko napisałem do stryja podając, w jaki sposób klacz dostała się do Szkocji, i zawiadamiając go, że obecnie jest ona w ręku sprawiedliwości i godnych jej przedstawicieli, radnego Trumbulla i sekretarza Touthope'a, do których go odesłałem po dalsze szczegóły. Czy ostatecznie koń powrócił do swego pierwotnego właściciela, czy też dalej dźwiga osobę szkockiego adwokata, o tym na razie mówić nie potrzebuję.

Jechaliśmy teraz na północo-zachód i o wiele wolniej niż w czasie naszej nocnej ucieczki z Anglii. Jeden za drugim ciągnęły się nieciekawe, łyse łańcuchy wzgórz, aż otworzyła się przed nami żyzna dolina rzeki Clyde. Teraz już spieszniej podążyliśmy do miasta albo — jak mój przewodnik uparcie się wyrażał — do „wielkiego centrum” Glasgow. Glasgow rzeczywiście w ostatnich latach zasłużyło na to miano. Na szeroką skalę prowadzony handel z Indiami Zachodnimi i amerykańskimi koloniami stał się, o ile wiem, podwaliną jego zamożności i wpływów, które, dobrze wykorzystane, stworzą warunki do jeszcze wspanialszego rozkwitu tej gigantycznej maszyny do produkcji i bogactwa. Prawda, że już w czasie, o którym piszę, Unia otworzyła dla Szkocji handel z angielskimi koloniami, ale z jednej strony brak kapitału, z drugiej — narodowa zazdrość Anglików uniemożliwiała jak dotąd kupcom szkockim korzystanie w większej mierze z przyznanych im przez ten pamiętny traktat przywilejów. Ponadto Glasgow leży po zachodniej stronie wyspy i to utrudniało miastu kontakty handlowe z Europą i wschodem kraju, a więc z tymi rynkami, na których szkoccy kupcy najlepiej się czuli. Jednakże, jakkolwiek Glasgow było jeszcze dalekie od tego rozkwitu, do jakiego

dojść miało później, już jako centrum zachodnich okręgów Szkocji było miastem o dość dużym znaczeniu. Bliskość szerokiej i szumnej rzeki Clyde dawała możliwość znacznej śródlądowej żeglugi. Nie tylko żyzne równiny bezpośredniego sąsiedztwa, ale i okręgi Ayr i Dumfries uważały Glasgow za swoją stolicę i dostarczały swych produktów otrzymując w zamian artykuły codziennej potrzeby i zbytku.

Z gór, rysujących się na zachodzie ciemną linią, często schodziły na jarmarki do miasta na pół pierwotne plemiona. Stada dzikich, kudłatych, drobnych bydła i koników, prowadzonych przez górali równie dzikich i kudłatych, a niekiedy równie drobnych jak te zwierzęta, przechodziły nieraz ulicami Glasgow. Obcy patrzyli ze zdziwieniem na starożytne i fantastyczne stroje, ciekawie przysłuchiwali się nieznanym a twardym dźwiękom mowy; górale ze swej strony — uzbrojeni nawet podczas wykonywania spokojnych prac w muszkiety, pistolety, szable i sztylety — zdumieni gapili się na artykuły zbytku, których użytku nie rozumieli, a z niepokojącą chciwością wpatrywali się w przedmioty, które znali i cenili. Góral zawsze niechętnie porzuca swe pustkowia, a w owych dawniejszych czasach przesiedlić go gdzie indziej było tym prawie, co wyrwać świerk z jego skalistego gruntu. Ale już wtedy doliny górskie były przeludnione, choć raz po raz przerzedzał je głód albo miecz, i wielu ich mieszkańców ścigało do Glasgow, osiedlało się i znajdowało nowe zajęcie. Ten przyływ dzielnej i pracowitej ludności wychodził miastu na korzyść, pozwalał prowadzić kilka fabryk, którymi się ono szczyliło, i kładł podstawy pod przyszłą jego zamożność.

Zewnętrzny wygląd miasta odpowiadał tym obiecującym warunkom. Główna ulica było szeroka, ozdobiona publicznymi gmachami o architekturze raczej zadziwiającej swymi kombinacjami niż prawidłowej z punktu widzenia dobrego smaku. Stojące przy niej domy mieszkalne budowane były z kamienia i często miały fasady bogato zdobione murarską robotą. To wszystko nadawało miastu charakter godności i powagi, którego brak większości miast angielskich, a to z powodu mizernej, kruchej, pozbawionej monumentalnego charakteru cegły, z której są budowane.

Do tej stolicy zachodniej Szkocji przybyłem z przewodnikiem moim pewnej soboty, zbyt późno wieczorem, by można było myśleć o załatwieniu jakichkolwiek interesów. Zatrzymaliśmy się u drzwi iście



chaucerowskiej gospody/200. Żwawa żona gospodarza, znajoma Andrew, grzecznie nas przyjęła.

Następnego ranka rozdzwoniły się dzwony ze wszystkich dzwonnicy, zwiastując dzień świąteczny. Pomimo że wiedziałem, jak surowo w Szkocji obchodzi się niedzielę, pierwszym moim pragnieniem było, naturalnie, odszukać Owena. Dowiedziałem się jednak, że nie ma na to nadziei przed końcem nabożeństwa. Zarówno gospodyni, jak i mój przewodnik zapewnili mnie, że nie znajdę żywej duszy ani w kantorze, ani w mieszkaniu panów Mac Vittie, Mac Fin et Comp., gdzie miałem zastać wiadomość o Owenie. „To są poważni ludzie —, usłyszałem — i będą tam, gdzie każdy dobry chrześcijanin powinien być o tym czasie, to jest w kościele”.

Andrew Fairservice, którego rozczarowanie co do prawników nie rozciągało się szczęśliwie na inne uczone zawody ojczystego kraju, zaczął teraz wyśpiewywać hymny pochwalne na cześć dzisiejszego kaznodziei, w czym mu głośno wtórowała nasza gospodyni. W następstwie tego postanowiłem i ja pójść do tej tak uczęszczanej świątyni, zarówno z zamiarem przekonania się, czy Owen przybył już do Glasgow, jak też i po to, by posłuchać dobrego kazania. Nadzieję moją podniecało zapewnienie, że jeżeli Efraim Mac Vittie żyje, niewątpliwie zaszczyci nabożeństwo swoją obecnością; jeżeli zaś gości u siebie obcego, to i jego z pewnością zabierze ze sobą. To prawdopodobieństwo było dla mnie rozstrzygające, toteż w towarzystwie wiernego Andrew wybrałem się do kościoła.

W tym wypadku jednak byłbym się obył bez jego przewodnictwa — pociągnąłby mnie za sobą tłum, dążący stromą, źle brukowaną ulicą, by usłyszeć najpopularniejszego w tych stronach kaznodzieję. Wydostawszy się na szczyt pagórka zwróciliśmy się na lewo i szerokie podwoje wpuściły nas razem z innymi na otwarty, obszerny cmentarz, okalający Minster, czyli katedralny kościół Glasgow. Jest to gmach utrzymany w stylu ponurego i raczej potężnego niż wytwornego gotyku. Odrębny jego charakter jest tak dobrze zachowany i tak dobrze dostosowany do otoczenia, że na pierwszy rzut oka wywiera wrażenie imponujące i wielce uroczyste. Byłem pod tak silnym wrażeniem, że zajęty oglądaniem katedry, przez kilka minut opierałem się usiłowaniom Andrew, który chciał wciągnąć mnie do środka.

Położona w ludnym mieście, ta starożytna i potężna świątynia robi wrażenie zupełnie odludnej samotni. Z jednej strony wysokie mury odgradzają ją od zabudowań miejskich, z drugiej granicę jej stanowi wąwóz, na dnie którego, niewidoczny dla oka, szemrze rączy strumyk przyczyniając się łagodnym swym szmerem do podniosłego nastroju. Stromy przeciwległy brzeg wąwozu jest gęsto obsadzony świerkami, których ponury cień pada na cmentarz sprawiając odpowiednio posępne wrażenie. Sam cmentarz ma szczególny charakter. Jakkolwiek obszerny, jest za mały w stosunku do liczby tu pochowanych. Ponieważ do tego prawie wszystkie groby są pokryte kamiennymi płytami, nie ma tu tej bujnej trawy, która zwykła narastać i częściowo zakrywać te miejsca, gdzie ludzie źli znajdują spokój, a zmęczeni — wieczny odpoczynek. Szerokie, płaskie płyty są ułożone tak gęsto, że przypominają pewien stary angielski kościół, którego cała podłoga pokryta jest grobowymi napisami. Ta smutna kronika zgonów, której treść stanowią daremne żale, ta surowa nauka o znikomości rodzaju ludzkiego, jej wszechobecność, jej melancholijny i jednostajny charakter przypomina mi pergaminowy zwój proroka, zapisany żalnością, smutkiem i bólem.

Majestat katedry harmonizuje z tym otoczeniem. Czuje się, że jest ciężka, ale czuje się też, że nie sprawiałaby takiego ogromnego wrażenia, gdyby była lżejsza albo ozdobniejsza. Jest to jedyny kościół metropolitalny w Szkocji (z wyjątkiem katedry w Kirkwall na wyspach Orkadach), który pozostał nie uszkodzony w czasie reformacji. Andrew, którego podziw mój dla tej budowli wprawił w dumę, opowiedział mi, jakim sposobem katedra ta uszła zniszczeniu. — O, bo to dzielna sobie świątynia. Nie dorówna jej żaden z tych waszych wycackanych od środka i z wierzchu, napakowanych ozdóbkami kościołów. Rzetelna, solidna murarska robota, która do końca świata przetrwa, jeśli tylko ludzkie ręce i armaty będziecie trzymać z dala od niej. Raz już za reformacji, gdy to wymiatano z tej części kraju papizm i bałwochwalstwo, komże i podobne szmaty, i tę całą wszeteczną władzę, co siedzi na siedmiu wzgórzach/202, jakby dla jednego tyłka jednego było za mało, już wtedy niewiele brakowało, a ta świątynia w gruzy by poszła, tak jak kościół w St. Andrews i w Perth. Tak więc wtedy pospolitacy z Renfrew i z Barony, z Gorbals i z okolic tych miast zdecydowali pewnego pięknego dnia ruszyć do Glasgow i przyłożyć ręki do wymiecienia kościoła z

papistowskich ozdóbek. Ale mieszkańcy Glasgow bali się, że niewiele zostanie z ich starej świątyni po takiej czystce, i uderzyli na alarm. Szczęśliwie, szlachetny James Rabat był wtedy dziekanem zgromadzenia, a że on sam był tęgim murarzem, więc tym bardziej dbał o stary gmach. Tedy zebrali się rzemieślnicy miasta i pokazali, że raczej bić się będą z pospolitakami, niż ścierpią ruinę kościoła, jak to gdzie indziej się stało. A postawili się tak wcale nie z miłości do papizmu, o, nie! nikt tego nie zarzucił rzemieślnikom z Glasgow. Więc się dogadali z tymi drugimi, że powyciągają ze wszystkich kątów kościoła bałwochwalcze posągi świętych (nikt ich nie żałuje!) Wzięli tedy i rozbili na drobne te kamienne figury, a co z nich zostało, wrzucili do rzeki Molendinar.

I każdy był zadowolony, a stary kościół pozostał nietknięty i tylko się cieszył, właśnie jak ten kot, z którego wyczesano pchły. Słyszałem też, jak mądrzy ludzie powiadali, że gdyby to samo zrobiono w każdym kościele Szkocji, reformacja nie miałaby na sumieniu żadnego zniszczenia i mielibyśmy więcej prawdziwie chrześcijańskich świątyń. Od kiedy żyję w Anglii, nikt mnie nie przekona, że psia buda w Osbaldistone Hall jest w czymś lepsza od niektórych szkockich kościołów.

To rzekłszy Andrew poprowadził mnie w stronę świątyni.

## ROZDZIAŁ XX

...Grozą i czią

Widok ten przejmuje: ciemne groby,

Mroczone sklepienia cmentarnych podziemi

Chłodem serce owioną, które drży strwożone...

Żałobna narzeczona/204

Pomimo niecierpliwości mojego przewodnika nie mogłem oprzeć się chęci podziwiania elewacji gmachu choćby przez kilka minut. Samotność jeszcze silniej podkreślała dostojność całości. Powiadam „samotność”, pozamykano bowiem bramy, gdy tłumy gęsto zalegające cmentarz wtoczyły się do środka, i teraz tylko dolatujący z wewnątrz śpiew wskazywał na to, że ludność oddaje się modlitwie. Ten chór głosów zlewających się w jedną harmonię, wolną od ostrych rozdźwięków, drażniących ucho z bliska, do tego szmer strumyka i szum wiatru zawodzącego wśród starych świerków — wszystko to przyczyniało się do wytworzenia podniosłego nastroju. Cała przyroda, jakby na wezwanie psalmisty, którego wiersze śpiewano, zdawała się łączyć oddając hołd Stwórcy, a w hołdzie tym lęk mieszał się z radością.

Bywałem na uroczystych mszach we Francji, odprawianych z całym przepychem najbardziej wyszukanej muzyki, najbogatszych strojów i najefektowniejszych obrzędów, a przecież wrażenie, jakie wywarła na mnie prostota tego prezbiteriańskiego nabożeństwa, było bez porównania silniejsze. Modlitwa, w której każdy brał udział, zdawała się tak przewyższać wypracowane popisy muzyków, jak rzeczywistość przewyższa grę aktorów.

Gdy stałem tak zaszuchany, Andrew, nie mogąc już opanować niecierpliwości, pociągnął mnie za rękaw.

— Pójdźmy, panie, pójdźmy! Nie możemy się spóźnić i przeszkadzać w modlitwach, a jak tu zostaniemy, strażnicy nas zobaczą i zaprowadzą na odwach, że się włączymy w czasie nabożeństwa.

Tak napomniany poszedłem za moim przewodnikiem, który jednak nie wprowadził mnie, jak przypuszczałem, do właściwego wnętrza katedry.

— Tą bramką, tą, panie! — wołał ciągnąc mnie, gdy kierowałem się ku głównemu wejściu. — Tu jest prawdziwa woń czystej nauki!

To mówiąc wszedł, a ja za nim w nisko sklepione przejście z niewielkimi drzwiami, które jakiś poważnie wyglądający jegomość właśnie miał zamykać. Zeszliśmy kilka stopni w dół, jak gdyby do grobów pod kościołem. Rzeczywiście w tej podziemnej krypcie — dlaczego właśnie tam tego nie wiem — urządzona była szczególna świątynia.

Wyobraź sobie, Treshamie, szereg niskich, mrocznych sklepień, w jakich gdzie indziej umieszcza się sarkofagi, a które i tu częściowo do tegoż celu służyły. Wyobraź sobie, że część tych podziemi zaopatrzona jest w ławki i służy za miejsce modlitw. Jest to stosunkowo niewielka część całości, choć mogłaby pomieścić kilkaset osób, dokoła niej reszta miejsca, jeszcze ciemniejsza i obszerniejsza jest, że się tak wyrażę, zamieszкана. W tych wielkich dziedzińcach zapomnienia zakurzone chorągwie i sypiące się ze starości tarcze herbowe znaczą groby ludzi, którzy ongi z pewnością byli „książętami Izraela”. Napisy, które tylko uczony lingwista mógł odczytać w starodawnym języku, zgodnie z dawnym obyczajem prosiły przechodniów o modlitwy za dusze tych, którzy tu spoczęli.

W otoczeniu tych śmiertelnych szczątków dawnych pokoleń zastałem liczną rozmodloną kongregację. Modląc się w kościele Szkoci stoją, nie klęczą, a to może raczej dla większego odróżnienia się od rzymskich katolików niż dla innej przyczyny, gdyż zauważyłem, że w domu, gdzie są sami, przybierają do modlitwy tę samą pokorną i pełną uszanowania pozycję, co i inni chrześcijanie. Stojąco przeto — mężczyźni z odsłoniętą głową — tłum kilkuset ludzi obojga płci i różnego wieku słuchał z wielką uwagą i uszanowaniem modlitwy odmawianej z pamięci przez duchownego<sup>1</sup>, bardzo w mieście popularnego staruszka. Wychowany w tym samym religijnym obrządku, starałem się szczerze brać udział w nabożeństwie i dopiero gdy wszyscy usiedli, zwróciłem uwagę na to, co mnie otaczało.

1/ Daremnie starałem się dowiedzieć o nazwisko tego duchownego i lata, kiedy sprawował swój urząd. Nie tracę jednak nadziei, że zarówno te szczegóły, jak i inne, których nie zdołałem podać dość wyczerpująco z braku dostatecznej wiedzy, zostaną bez reszty wyjaśnione przez jakieś z tych czasopism, które poświęciły już sporo miejsca na komentarze do moich poprzednich prac. Należy się im moja szczególna wdzięczność za te dociekliwe badania, pozwalające

im odkryć wiele osób i związanych z moimi opowiadaniem okoliczności; o których mi się nawet nie śniło (przyp. aut.).

Gdy kapłan ukończył modlitwę, większość mężczyzn powkładała na głowy kapelusze albo czapki, a kto miał szczęście, ten usiadł. Andrew i ja przyszliśmy za późno, musieliśmy więc stać w tłumie, który tworzył jakby pierścień dokoła siedzących członków zgromadzenia. Poza nami i wokół nas ciągnęły się owe sklezione krypty, o których wspominałem. Przed nami stały setki wiernych, słabo oświetlonych światłem sączącym się z dwóch niskich gotyckich okien. Na wszystkich twarzach, wpatrzonych w pastora, malował się wyraz skupionej uwagi, tu i ówdzie tylko ojciec lub matka upominali zbyt żywe dziecko lub budzili usypiające. Twarze tego ludu, ostre, o wystających kościach policzkowych, inteligentne i bystre, korzystniej wyglądają przy modlitwie albo w szeregu wojskowym niż na zebraniach o charakterze lżejszym i weselszym. Mowa kaznodziei nadawała się do wywołania na nich najróżniejszych uczuć.

Wiek i niedomagania osłabiły głos duchownego, niegdyś silny i dźwięczny. Czytał tekst trochę niewyraźnie, ale gdy zamknął Biblię i zaczął kazanie, głos jego stopniowo potężniał, aż zabrzmiał niekłamanym uniesieniem. Mówił przeważnie o zawiłych problemach chrześcijańskiej wiary — przedmiocie poważnym, głębokim i ludzkim rozumem nie przenikniętym. Klucza do niego szukał w umiejętnie dobieranych natchnionych cytatach z Pisma świętego. Nie byłem przygotowany do wnikania we wszystkie jego dowodzenia i nie wiem, czy zawsze dobrze go rozumiałem, ale entuzjazm i pomysłowość argumentacji dobrego starca zrobiły na mnie duże wrażenie. Szkoci, jak wiadomo, odznaczają się raczej upodobaniem do rozumowań niż wrażliwością uczuciową, dlatego też więcej na nich działa logika niż retoryka i więcej ich pociąga cięte dowodzenie oparte na punktach doktryny niż gorący apel do serc i do uczuć, którym ulubieni kaznodzieje innych krajów zdobywają wpływ na swoich słuchaczy.

Zaobserwowałem na twarzach wiernych różne uczucia, jak na sławnym malowidle przedstawiającym św. Pawła przemawiającego do Ateńczyków. Tu siedział zagorzały, inteligentny kalwin z czołem zmarszczonym, zdradzającym wielkie skupienie. Usta lekko zaciśnięte, oczy utkwione w duchownego z pewną dumą, jak gdyby podzielał z nim triumf jego dowodzenia. Palcem wskazującym prawej ręki dotykał kolejno palców lewej, w miarę jak kaznodzieja od

argumentu do argumentu zbliżał się do ostatecznego wniosku. Tam znów — surowszy i bardziej ponury mężczyzna wyrazem twarzy zdradzał zarówno pogardę dla tych, którzy powątpiewają o sprawach wiary, jak i radość z zapowiadanej im kary. Jeszcze inny, może należący do innego zgromadzenia, a tylko przypadkowo albo przez ciekawość tutaj obecny, zdawał się w duszy kwestionować jakieś ogniwo rozumowania i łatwo było wywnioskować z lekkiego wstrząsania głową, że w czymś się z kaznodzieją nie zgadza. Większość jednak słuchała z twarzą spokojną i zadowoloną. Ludzie ci zdawali się być dumni, że mogą słuchać tak mądrego kazania, choć ten i ów może nie bardzo je rozumiał. Kobiety zwłaszcza nie zawsze wszystko pojmowały. Stare, co prawda, surowo wsłuchiwały się w wykład abstrakcyjnych doktryn, ale młode pozwalały sobie raz po raz rozejrzeć się po zgromadzeniu, a niektóre z nich, Treshamie (jeżeli mnie próżność nie zwiodła), zwracały uwagę na twego przyjaciela, przystojnego, młodego cudzoziemca, Anglika.

Co do reszty zebranych, to głupi gapili się, ziewali albo spali, dopóki ich nie obudziło kopnięcie gorliwszych sąsiadów, a znudzeni rozglądali się, nie śmiejąc inaczej okazać znużenia.

Pośród zwykłych miejskich ubrań zauważyłem tu i ówdzie pled górala z wyżyn. Góral taki, wsparty na rękojeści szabli, z niehamowaną ciekawością i zdziwieniem rozglądał się po obecnych, a jeśli nie słuchał uważnie kazania, to prawdopodobnie z prostej i łatwej do wybaczenia przyczyny, że nie rozumiał języka. Marsowy, nieco dziki wygląd tych ludzi dodawał pewnego charakteru zgromadzeniu. Andrew wyjaśnił mi później, że dnia tego było ich więcej niż zwykle z powodu jakiegoś jarmarku w sąsiedztwie.

Takie to rozmaite twarze odślaniały mi promienie słoneczne, przeciskające się przez wąskie gotyckie okna, zanim dalej nie powędrowały w podziemia, oświecając bliższą tylko część tego labiryntu jakimś niewyraźnym półmrokiem, właściwą zaś głąb pozostawiając zupełnie ciemną. Sprawiało to złudzenie, że ciągnie się ona w nieskończoną dal.

Wspomniałem już, że stałem pośród innych w zewnętrznym kręgu, twarzą zwrócony ku kazalnicy, plecami do już tyle razy wspomnianych sklepień. Z tego miejsca mogłem słyszeć każdy szmer, płynący pomiędzy tych coraz dalszych łuków, gdyż tam najlżejszy dźwięk pomnażały tysiączne echa. Przypadkowy odgłos kropli

deszczu, które przeciekając jakąś szczeliną w dachu padały na kamienną posadzkę, zniewolił mnie do obejrzenia się. Raz już zwróciwszy oczy w tym kierunku nie mogłem ich oderwać. Zafascynowała mnie ciemność tych głębokich krypt. Usiłowałem przeniknąć ją wzrokiem. To, co mogły one mieścić, podniecało moją wyobraźnię, tak jak wszystko, co nieokreślone, niepewne i nieznanne. Wzrok przywykł do tej ciemności i bardziej wiązało moją uwagę to, co tam mogłem odkryć, niż metafizyczne subtelności kaznodziei.

Ojciec nieraz mi przyganiał to błąkanie się myśli, płynące, być może, z wrażliwości wyobraźni, której on sam nie miał. Złapawszy się teraz na gorącym uczynku takiego roztargnienia, wspomniałem czasy, gdy za rękę prowadził mnie on do kościoła udzielając ojcowskich napomnień — i mój rodzic jak żywy stanął mi przed oczyma. Zaraz też odżyła troska o jego sprawy i grożące mu niebezpieczeństwo. Jak najcichszym szeptem starałem się poprosić Andrew, by się dowiedział, czy jest na nabożeństwie ktoś z firmy Mac Vittie et Comp., ale Andrew, zasłuchany w kazanie, za całą odpowiedź silnie trącił mnie łokciem na znak, że mam być cicho. Wyteżyłem tedy wzrok, również bez powodzenia, by się przekonać, czy w morzu podniesionych ku kazalnicy twarzy nie dojrzę spokojnej, trzeźwej fizjonomii Owena. Jednakże wśród szerokich pilśniowych kapeluszy obywateli Glasgow i jeszcze szerszych czapek chłopów z Lanarkshire nie dojrzałem nic, co by przypominało przyzwoitą peruczkę, wykrochmalone krezy i jasnobrazowy garnitur naczelnego buchaltera firmy Osbaldistone i Tresham.

Niepokój powrócił teraz z taką mocą, że nie tylko otaczająca mnie scena straciła urok nowości, ale po prostu zatraciłem poczucie tego, co wypada. Silnie pociągnąłem Andrew za rękaw i powiedziałem mu, że pragnę wyjść z kościoła i robić dalsze poszukiwania na własną rękę. Andrew, równie uparty w katedrze glasgowskiej, jak w górach Cheviot, przez pewien czas nie raczył mi nawet odpowiedzieć. Dopiero gdy się przekonał, że inaczej mnie nie uspokoi, zawiadomił mnie łaskawie, że będąc w kościele nie możemy wyjść przed końcem nabożeństwa, ponieważ drzwi zamykają z chwilą rozpoczęcia modłów. Powiedziawszy to urywanym i niecierpliwym szeptem Andrew znów przybrał przemądrzały i zarozumiały wyraz twarzy, z którym przysłuchiwał się dowodzeniom kaznodziei.



Z konieczności cnotliwy, starałem się teraz skupić jedynie na kazaniu, gdy wtem coś szczególnego oderwało moją uwagę.

Głos jakiś za mną szepnął mi wyraźnie do ucha:

— Grozi wam niebezpieczeństwo w mieście.

Odruchowo obejrzałem się. Paru wykrochmalonych o pospolitym wyglądzie rzemieślników stało obok mnie i za mną — widocznie, podobnie jak my, przygodni i spóźnieni goście świątyni. Rzut oka upewnił mnie, że żaden z nich nie mógł być tym, który do mnie mówił. Ich skupione twarze świadczyły o tym, że z uwagą słuchają kazania. Żaden też nie odpowiedział mi porozumiewawczym znakiem na moje zdziwione i pytające spojrzenie. Potężny, okrągły filar, znajdujący się tuż za nami, mógł być ukryć mówiącego, z chwilą gdy wypowiedział swoją tajemniczą przestrożę, ale dlaczego dano mi ją w tym miejscu, do jakiego rodzaju niebezpieczeństwa mogła się ona odnosić i kto mi ją dawał? Gubiłem się w przypuszczeniach. W nadziei, że mój tajemniczy przyjaciel obawiając się może, że go nie dosłyszałem, powtórzy swoją przestrożę, zwróciłem się w stronę ołtarza, aby ułatwić mu powtórne podobne zbliżenie się do mnie. Plan mój się udał. Nie upłynęło pięć minut, gdy ten sam głos szepnął:

— Słuchajcie, ale nie oglądajcie się. Patrzyłem dalej wprost przed siebie.

— Znajdujecie się tu w niebezpieczeństwie — usłyszałem. — Ja również... Spotkacie się ze mną na moście w nocy, punktualnie o dwunastej... Nie wychodźcie z domu aż do zmroku i starajcie się, by was nie zauważono.

Tu głos umilkł, a ja w tejże chwili odwróciłem głowę. Jednakże mówiący widocznie jeszcze prędzej skrył się za filarem. Koniecznie chciałem go dojrzeć, więc wysunąłem się z zewnętrznego pierścienia słuchaczy i obszedłem filar. Pusto tam było, dostrzegłem tylko postać otuloną w płaszcz czy też w pled góralski — tego już nie mogłem odróżnić — sunącą jak widmo przez posepną pustkę krypt.

Usiłowałem pójść za tą tajemniczą postacią, ta jednak znikła w sklepionym cmentarzysku jak duch któregoś z tych zmarłych, którzy tam spoczywali. Mało miałem nadziei, że dogonię kogoś, kto widocznie nie chciał się ze mną spotkać, ale i tę nadzieję straciłem, gdy potknąwszy się upadłem o trzy kroki za filarem. Ciemność, powód tego zdarzenia, oszczędziła mi wstydu — i to nader szczęśliwie, gdyż kaznodzieja z surowością, właściwą szkockim

duchownym, gdy chodzi o utrzymanie porządku w ich zgromadzeniu, przerwał naukę nakazując „powołanemu do tego człowiekowi” zainteresować się hałasem przeszkadzającym w nabożeństwie. Ponieważ jednak hałas ten się nie powtórzył, kościelny nie uważał za potrzebne nazbyt pilnie szukać winowajcy, tak że mogłem, nie zwracając na siebie uwagi, z powrotem stanąć obok Andrew. Nabożeństwo ciągnęło się dalej i dobiegło końca bez dalszych zajęć wartych wspomnienia.

Gdy zgromadzenie zaczęło się rozchodzić, mój przyjaciel Andrew zawołał :

— Patrzcie, panie, tam oto stoi czcigodny Mac Vittie z żoną i córką i Thomas Mac Fin, co to, jak mówią, ma się żenić z panną Mac Vittie! Będzie ona miała beczkę srebra, choć nie jest zbyt urodziwa.

Spojrzałem w stronę, gdzie wskazywał. Mac Vittie był to starszy człowiek, wysoki, chudy, o ostrych rysach, gęstych, siwych brwiach, jasnych oczach i jak mi się wydawało, ponurym, odstręczającym wyrazie twarzy. Przypomniałem sobie dane mi w kościele ostrzeżenie i odeszła mnie ochota zwrócenia się do tego człowieka, chociaż nie miałem powodu do niechęci lub podejrzliwości.

Namyślałem się jeszcze, gdy Andrew, biorąc wahanie moje za nieśmiałość, zaczął mnie upominać:

— Podejdźcie do niego, panie, podejdźcie. On jeszcze nie jest burmistrzem, choć mówią, że będzie na przyszły rok. Przemówcie do niego... bo chociaż taki bogaty, grzecznie wam odpowie, jeżeli tylko nie będziecie od niego pieniędzy żądali, bo jeżeli tak, to inna sprawa. Mówią, że bardzo mu ciężko przychodzi wyciągnąć sakiewkę.

W tej chwili przyszło mi na myśl, że jeśli ten kupiec jest istotnie tak skąpy i nieużyty, muszę być oględnym z przedstawianiem się, póki się nie dowiem, jak stoją sprawy pomiędzy nim a moim ojcem. Ta okoliczność poparta była jeszcze tajemniczą przestrogą, otrzymaną w kościele, i antypatią, jaką wzbudziła we mnie twarz tego człowieka. Zamiast więc zwrócić się do niego wprost, jak pierwotnie zamierzałem, poleciłem Andrew dowiedzieć się w domu Mac Vittie o adres Owena, „tego, który przyjechał z Londynu”. Zastrzegłem też sobie, by nie mówił, kto mu dał to zlecenie, i kazałem przynieść odpowiedź do małej oberży, w której mieszkaliśmy. Andrew mi to przyobiecał. Wspomniał coś, że wypadaloby mi pójść na wieczorne nabożeństwo, ale z właściwym sobie sarkazmem dodał, że „jeżeli ktoś

nie potrafi nóg utrzymać w spokoju i musi koniecznie rozbijać kolana o kamienie z takim hałasem, że umarłych mógłby zbudzić, to dla takiego kościół rzeczywiście nie jest odpowiednim miejscem".

## ROZDZIAŁ XXI

Co noc na Rialto \* o północnej porze  
Chodzę dumając. Tam my się spotkamy.  
Wenecja ocalona/212

Pełen ponurych, choć może nieuzasadnionych przewidywań zamknąłem się w swoim pokoju w oberży, odprowadziwszy Andrew mimo jego natrętnych nalegań, bym mu towarzyszył do kościoła św. Enocha/1.

1/ Sądzę, że to jest anachronizm, gdyż kościół św. Enocha nie stał jeszcze w tym czasie, kiedy toczy się akcja tej opowieści (przyp. aut.). Zacząłem się poważnie zastanawiać, co właściwie należy uczynić. Nie byłem nigdy zabobonny, przypuszczam jednak, że każdy w okolicznościach szczególnie trudnych, gdy na nic się nie zdają wysiłki rozumu, jest skłonny po prostu z rozpaczy puścić wodze wyobraźni i dać się prowadzić albo przypadkom, albo tym fantastycznym wyobrażeniom, które opanowują duszę i którym się mimo woli poddajemy. Było coś tak dziwnie odstręczającego w twardej wyrazie twarzy szkockiego kupca, że nie mogłem się zdecydować, aby zwierzyć mu się ze swych kłopotów, zaniechawszy wszelkiej ostrożności, dyktowanej znajomością fizjonomii ludzkiej. Z drugiej strony, ostrzegający mnie szept i postać znikająca jak duch w podziemiach, które można by nazwać „doliną cieni”, urzekały wyobraźnię młodzieńca, który — zechciej o tym pamiętać — był po trosze poetą.

Jeżeli, jak twierdziło tajemnicze ostrzeżenie, groziło mi niebezpieczeństwo, to jak mogłem zbadać jego istotę albo odkryć sposób odwrócenia go bez spotkania się z nieznanym doradcą, któremu nie miałem powodu przypisywać innych zamiarów, jak tylko życzliwe? Rashleigh i jego intrygi niejedną raz na myśl mi przychodziły, ale podróż moja odbyła się tak szybko, że nie przypuszczam, by mógł on wiedzieć o moim przybyciu do Glasgow, a tym mniej przygotować jakiś podstęp przeciw mnie. Z natury byłem śmiały, energiczny, mocny, ufałem swoim siłom i w pewnej mierze przywykłem do władania wszelką bronią, w czym ówczesną młodzież francuską ćwiczyli. Nie bałem się pojedynczego przeciwnika; mord w owych czasach był rzadkością w tym kraju. Ponadto miejsce wyznaczone na spotkanie było zbyt ruchliwe, abym mógł podejrzewać

zamierzoną zbrodnię. Słowem, postanowiłem spotkać się na moście z moim tajemniczym doradcą, tak jak tego zażądał, a potem postępować wedle okoliczności.

Nie będę ukrywał przed tobą, Treshamie, co wtedy sam przed sobą starałem się ukryć, że istniała we mnie cicha, w duszy pieszczona nadzieja, iż Diana Vernon ma jakiś ukryty i niezrozumiały związek z owym dziwnym i zagadkowym ostrzeżeniem udzielonym mi w miejscu tak niezwykłym. Podstępnie nasuwała mi się myśl, że ona jedna wiedziała o mojej podróży, sama mi mówiła, że ma przyjaciół i stosunki w Szkocji, dała mi talizman, do którego mocy uciec się miałem, gdyby zawiodły wszelkie inne środki. Któż więc, jeśli nie Diana, miał możliwość, wiedzę i wolę odwrócenia niebezpieczeństw, które, jak widać, mnie otaczały?

To schlebiające mojej próżności wyjaśnienie wciąż mnie nurtowało. Nieśmiało zakradło się w moje myśli jeszcze przed obiadem. Nabrało śmiałości i siły podczas skromnego posiłku i stało się tak zuchwale natrętne podczas następnej pół godziny (za podniętą, być może, paru kieliszków doskonałego wina), że w rozpaczliwym wysiłku, by uciec przed kuszącą złudą, której — czułem to — niebezpiecznie się było poddawać, odsunąłem od siebie kieliszki i niedokończony obiad, chwyciłem kapelusz i wypadłem na ulicę, jakby uciekając przed własnymi myślami. Być jednak może, że uległem właśnie tym uczuciom, przed którymi niby to uciekałem, gdyż kroki moje nieznacznie skierowały się w stronę mostu na rzece Clyde, które to miejsce wyznaczył mi na spotkanie mój tajemniczy przyjaciel.

Jakkolwiek obiad jadłem dopiero po godzinie wieczornego nabożeństwa — w czym zastosowałem się do religijnych skrupułów mojej gospodyni, a także do nieznanego przyjaciela, który radził, bym nie wychodził przed zmrokiem — jednak od naznaczonego spotkania dzieliło mnie jeszcze kilka godzin. Czekanie było nużące, jak to łatwo pojdziesz, i trudno mi opowiedzieć, jak mi czas ten zszedł. Gromadki osób, spomiędzy których wszyscy — tak młodzi, jak i starzy — zdradzali pełne uszanowanie przejęcie się świętością dnia, szły przez wielką, otwartą łąkę na północnym brzegu rzeki Clyde, która służyła zarazem za pole do bielienia płótna i za miejsce spacerowe, albo też powolnym, miarowym krokiem przechodziły przez długi most, stanowiący połączenie z południową częścią hrabstwa.

Przypominam sobie, że na ogół zrobili na mnie wrażenie ludzi szczerze pobożnych i może tylko niektórzy obłudnie udawali religijną gorliwość. Ten świąteczny nastrój z lekka tłumiał gwarną wesołość młodych. Dzielili się oni swymi wrażeniami głosem przyciszonym, lecz ich rozmowy były z pewnością nie mniej interesujące niż gwałtowne, choć też ściszone, długie dysputy starszych. Chociaż mijają mnie tyle ludzi, nie słyszało się zgiełku ludzkich głosów. Niektórzy zawracali, by przejść się jeszcze trochę, nęceni swobodą świątecznego wieczora i pięknnością otaczającego ich widoku, większość śpieszyła do domów na spoczynek. Dla kogoś przyzwyczajonego do sposobu spędzania niedzieli za granicą, nawet pośród kalwinistów we Francji, było coś uderzającego w spokoju i uroczystym nastroju tej szkockiej niedzieli. Po pewnym czasie wydało mi się, że mój niedbały spacer nad brzegiem rzeki, gdzie wciąż mijam ludzi wracających prosto do domu, zwraca uwagę, a może nawet razi. Toteż zszedłem z najbardziej uczęszczanej drogi i swoim zachowaniem usiłowałem upodobnić się do innych. Aleje, które ciągnęły się poprzez obszerną łąkę, a były obsadzone drzewami jak w parku St. James w Londynie, dawały mi pole do nabycia wprawy w tych dziecinnych manewrach.

Idąc jedną z tych alei usłyszałem ze zdziwieniem ostry i zarozumiały głos Andrew Fairservice'a, który w poczuciu własnej ważności mówił tonem o skalę wyższym, niż to inni uważali za właściwe wobec uroczystości dnia. Ukryłem się za rzędem drzew, zdając sobie sprawę, że nie jest to może pełen godności, ale za to łatwiejszy sposób uniknięcia jego uwagi, nieproszonej natarczywości, a przede wszystkim wścibskiej ciekawości. Gdy przechodził, postyszałem, jak przed mężczyzną poważnym, w czarnym płaszczu i kapeluszu o spuszczonej kresach, kreślił mój obraz, w którym moja miłość własna, buntując się przeciw karykaturze, nie mogła nie uznać pewnego podobieństwa:

— Tak, tak, panie Hammorgaw. Jest tak, jak mówię. Nie jest on całkiem pozbawiony rozumu. Ma swoje rozeznanie, ale to u niego błysnie, zgaśnie, i tyle. A już jak chodzi o tę głupią poezję, to zupełnie źle ma w głowie. Będzie się gapił na stary dąb z popekaną korą, jakby to była szlachetna bera okryta dojrziałym owocem, a goła skała, po której spada strumień, to dla niego ogród strojny w kwiaty i najdelikatniejsze warzywa. A potem będzie paplał i paplał z głupią

pannicą, którą nazywają Dianą Vernon (powinno by się nazywać ją Dianą z Efezu, bo nie jest lepsza od poganki). Otóż woli paplać z nią albo z inną próżniacką hołotą zamiast, co by mu na pożytek duszy wyszło, posłuchać słów pana albo moich, albo innych ludzi mądrych a odpowiedzialnych. Prawdy słuchać — tego on nie znosi, panie. Wszystko u niego marność, próżność i wielomówność języka. Toż on mi raz powiedział (biedne, zaślepione stworzenie), że psalmy Dawida to doskonała poezja, jak gdyby święty psalmista myślał o rymach do wiersza albo o innych pustych głupstwach w rodzaju jego własnych wymysłów, które nazywa wierszami. Zmiłuj się nad nim, Panie Boże! Dwie strofki Davida Lindsaya/215 więcej są warte od wszystkiego, co on powypisywał.

Nie zdziwisz, się, że słuchając takiego opisu swojej osoby obmyślałem dla Andrew tęą łaźnię przy pierwszej lepszej sposobności. Przyjaciel jego przytakiwał mu od czasu do czasu na znak, że uważnie słucha, aż wreszcie na jakiś jego dłuższy wywód, którego sensu domyśliłem się z odpowiedzi mego przewodnika, zacny Andrew odrzekł:

— Mam mu powiedzieć, co o tym myślę?... O! nie jestem taki głupi! On ma diabła w sobie, człowieku!... Jest jak ten stary niedźwiedź Gilesa Heathertapa: dość płachtą na niego powiać, a obróci się i ciska... Mieć z nim cierpliwość, mówicie?... Toć ja sam nie wiem, dlaczego jestem cierpliwy, a jestem... Ostatecznie, to nie jest zły chłopak i potrzebuje kogoś starannego, kto by o niego dbał. Ma zbyt szeroki gest, złoto przecieka mu przez palce jak woda. To znów nie jest tak bardzo źle być blisko niego, gdy sakiewkę trzyma w garści, a rzadko kiedy wypuszcza ją z rąk. A potem, on przecież pochodzi z dobrej rodziny... żal mi biednego, lekkomyślnego chłopaka, panie Hammorgaw... a potem...

Pod koniec swoich pouczających zwierzeń Andrew zniżył głos i wkrótce oddalił się razem z towarzyszem. Oburzenie moje prędko przygasło, zwłaszcza gdy pomyślałem, że każdy, kto podsłuchuje, co mówi o nim jego służba, musi usłyszeć podobną krytykę i czegoś złego o sobie się dowiedzieć. Zresztą przydało się to zajęcie o tyle, że zabrało mi trochę czasu, z którym nie wiedziałem, co począć.

Był już późny wieczór. Wraz z jego nastaniem wezbrane wody rzeki stały się zrazu ciemne i jednostajne, następnie, gdy je częściowo oświetlił blady, gasnący księżyc, mętne i ponure. Ledwie można było

dostrzec potężny stary most na rzece Clyde, przypominający teraz ów most w dolinie Bagdadu, który tak urzekająco opisał Mirza/215 w swojej niezrównanej wizji. Nisko sklepione łuki, widziane równie niedokładnie jak wody, nad którymi się wznosiły, robiły wrażenie raczej jaskiń pochłaniających czarną rzekę niż otworów, przez które ona przepływa. Z nadchodzącą nocą cisza dokoła wzrastała. Jeszcze tu i ówdzie zamigotała czasem przesuwająca się wzdłuż rzeki latarnia, świadcząc, że wraca do domu ktoś, kto po spełnieniu religijnych obowiązków brał udział w kolacji - jedynej przyjemności, na którą surowy prezbiterianin pozwalał sobie w niedzielę. Czasem też dawał się słyszeć stukot kopyt konia, którego jeździec, spędziwszy niedzielę w mieście, wracał teraz na wieś do domu. Te odgłosy i światełka stawały się coraz rzadsze, w końcu ustały zupełnie i pozostałem sam, spacerując brzegiem rzeki w tej uroczystej ciszy, przerywanej jedynie biciem zegarów na kościelnych wieżach.

W miarę jak zapadała noc, niecierpliwość moja rosła i coraz trudniej było mi się opanować. Zacząłem zadawać sobie pytanie, czy nie dałem się uwieść figlowi głupca, bredzeniu wariata lub przemyślanej intrydze złoczyńcy. Niewypowiedzianie rozdrażniony i niespokojny, krążyłem po małym placyku przed mostem. W końcu zegar katedralny wydzwonił nad miastem dwunastą, a wszystkie inne zawtórowały mu jak wierni parafianie. Zaledwie przebrzmiało echo ostatniego uderzenia, gdy na moście od strony południowego brzegu rzeki ukazała się jakaś postać. Wyszedłem jej naprzeciw z uczuciem, jakby mój los zależał od rezultatu tego spotkania — tak bardzo przedłużone oczekiwanie napięło moje nerwy. Gdyśmy się zbliżyli do siebie, mogłem zauważyć tylko to, że wzrost idącego naprzeciw był raczej niższy niż średni, że był silnie zbudowany, krępy, muskularny i okryty szerokim płaszczem jeźdźca. Zwolniłem kroku i nieledwie przystanąłem oczekując, że on zwróci się do mnie. Ku niewymownemu memu zawodowi przeszedł nie mówiąc słowa, ja zaś nie mogłem przemówić pierwszy do kogoś, kto, chociaż pojawił się o naznaczonej godzinie, mógł być przecież kimś innym. Zatrzymałem się tedy, gdy mnie minął, i obejrzałem się nie wiedząc, czy mam pójść za nim. Nieznajomy doszedł prawie do końca mostu, po czym przystanął, obejrzał się i zawróciwszy, znowu szedł ku mnie. Postanowiłem, że już tym razem nie będzie mógł milczeć jak owe



duchy, które wedle mniemania pospólstwa nie mogą przemówić, dopóki ktoś pierwszy do nich nie zagada.

— Przechadzacie się, panie, o późnej godzinie — powiedziałem, gdyśmy się po raz drugi spotkali.

— Stawiłem się wedle umowy — brzmiała odpowiedź. — Tak samo, widzę, i wy, panie Osbaldistone.

— Więc wy, panie, jesteście tą osobą, która chciała widzieć się tu ze mną o tej niezwykłej godzinie?

— Tak jest — odpowiedział. — Pójdźcie za mną, a dowiecie się dlaczego.

— Zanim to uczynię, muszę poznać imię wasze i wasze zamiary — odrzekłem.

— Jestem człowiekiem — brzmiała odpowiedź — a mój zamiar względem was jest przyjazny.

— Człowiekiem! — powtórzyłem. — To bardzo niejasne określenie.

— Wystarczy dla tego, kto innego dać nie może — odrzekł nieznajomy. — Ten, kto jest bez nazwiska, bez przyjaciół, bez pieniędzy, bez ojczyzny, jeszcze zawsze jest człowiekiem. Kto zaś wszystko to posiada, także nie jest niczym więcej.

— A jednak jest to zbyt ogólne określenie, by wzbudzić zaufanie do was w człowieku, który was nie zna.

— Jak chcecie, innego dać nie zamierzam. Możecie wybierać: albo pójść za mną, albo pozostać bez wiadomości, jakich pragnę wam udzielić.

— Nie możecie mi tutaj wszystkiego powiedzieć?

— Nie, musicie przekonać się na własne oczy, a nie ufać mojemu językowi. Musicie pójść za mną lub nie dowiecie się ode mnie niczego.

Było w jego tonie coś szorstkiego, zdecydowanego, a nawet surowego. Nie tak mówi człowiek, który przemyślnie chce zdobyć czyjeś bezwarunkowe zaufanie.

— Czegóż się obawiacie? — dodał niecierpliwie. — Dla kogóż, sądzicie, życie wasze ma taką cenę, żeby pragnął wam je odbierać?

— Nie obawiam się niczego — odpowiedziałem stanowczo, choć nieco porywczo. — Prowadźcie. Idę z wami.

Zaczęliśmy, wbrew moim przewidywaniom, wracać do miasta i jak nieme widma sunęliśmy obok siebie przez puste, milczące ulice. Wysokie, ponure kamienne fasady z różnolitością ozdób i obramień

okiennych wydawały się jeszcze wyższe i ciemniejsze w niepewnym świetle księżyca. Przez pewien czas szliśmy w zupełnym milczeniu. W końcu przewodnik mój przemówił:

— Boicie się?

— Odpowiem własnymi waszymi słowami: dlaczego miałbym się bać?

— Ponieważ jesteście z obcym, może z wrogiem, w miejscu gdzie nie macie przyjaciół, ale wielu nieprzyjaciół.

— Nie boję się ani was, ani ich. Jestem młody, silny i uzbrojony.

— Ja nie mam broni — odpowiedział mój przewodnik — ale mniejsza o to, chętnej dłoni nigdy nie zbrakło oręża. Mówicie, że nie boicie się niczego. Gdybyście jednak wiedzieli, kto jest przy was, może byście zadrżeli.

— Dlaczego? — odpowiedziałem. — Jeszcze raz powtarzam, nie boję się niczego, co byście uczynić mogli.

— Niczego, co bym mógł uczynić?... Niech i tak będzie. Ale nie boicie się następstw, gdyby was znaleziono z kimś, czyje samo imię, wyszeptane na tej pustej ulicy, marne kamienie poruszyłoby przeciw niemu, na czyjej głowie połowa mieszkańców tego miasta zbudowałaby fortunę jak na znalezionym skarbie, czyje uwięzienie, gdyby wieść o nim doszła do Edynburga, sprawiłoby rządowi nie mniejszą uciechę niż wieść o bitwie wygranej we Flandrii?

— Więc kim jesteście, jeżeli wasze imię sieje takie przerażenie?

— Nie wróg wasz, skoro was prowadzę w takie miejsce, gdzie, gdyby mnie poznano, żelazo na nogi, a sznur konopny na szyję byłby moim udziałem.

Przystanąłem na bruku, cofając się tak, bym mógł jak najlepiej objąć wzrokiem mego towarzysza w tym niepewnym świetle, a zarazem być na straży przeciw nagłemu napadowi.

— Powiedzieliście — rzekłem — albo za wiele, albo za mało. Za wiele, bym mógł zaufać wam jako nieznanemu, skoro przyznajecie, że ściga was prawo tego kraju, a za mało, jeżeli nie możecie wykazać, że niesłusznie to prawo was gnębi.

Gdy skończyłem, ruszył ku mnie. Cofnąłem się mimo woli, kładąc rękę na rękojeści szabli.

— Jak to? — rzekł. — Na bezbronnego człowieka i waszego przyjaciela?

— Jak dotąd nie wiem, czy jesteście jednym i drugim — odpowiedziałem — a prawdę powiedziawszy, wasza mowa i wasz sposób bycia dają mi powód do powątpiewania o tym.

— To było po męsku powiedziane — odparł mój przewodnik — a ja szanuję tego, czyja ręka potrafi bronić głowy. Będę z wami szczerzy i otwarty... prowadzę was do więzienia.

— Do więzienia! — zawołałem. — Z czyjego rozkazu, za jakie przestępstwo? Prędzej mi życie odbierzecie niż wolność. Wyzywam was i ani kroku dalej za wami nie pójde.

— Nie prowadzę was tam jako więźnia — rzekł. — Nie jestem — dodał prostując się wyniośle — ani wysłańcem, ani urzędnikiem sądu. Prowadzę was w odwiedziny do więźnia, z którego ust dowiedziecie się o niebezpieczeństwie, jakie wam zagraża. Waszej wolności niewiele grozi przy tych odwiedzinach, dla mojej niebezpieczeństwo jest większe. Chętnie jednak narażam się na nie dla was, bo nie lękam się niebezpieczeństwa, ale kocham odważną młodość, co nie zna innego obrońcy prócz klingi własnej szabli.

Gdy to mówił, doszliśmy do głównej ulicy i stanęliśmy przed obszernym budynkiem z ciosanego kamienia, z żelaznymi kratami w oknach.

— Wiele by oni za to dali, burmistrz i ci panowie z sądu — mówił nieznajomy, którego szeroka szkocka wymowa uwydatniała się wyraźniej, w miarę jak przybierał ton swobodnej, poufnej gawędy — gdyby z żelaznymi podwiązkami/219 u nóg mogli posadzić w tej oto kozie tego, który teraz wolny jak jeleń stoi tu na zewnątrz. I nie na wiele by im się to zdało, bo gdyby nawet cetnary żelaza przytwierdzili mi do kostek, ujrzeliby jutro pustą izbę po straconym lokatorze... Ale chodźcie, czemu stoicie?

To mówiąc zapukał do niskich drzwiczek, na co mu odpowiedział głos ostry, jak gdyby ze snu zbudzonego:

— Co tam?... Co takiego, pytam... Czego wam potrzeba o tej porze, w nocy? To przeciwne przepisom... to przeciwne przepisom...

Przeciągły ton, jakim tych słów domawiał, świadczył, że mówiący układał się do dalszej drzemki. Przewodnik mój jednak przemówił głośnym szeptem:

— Dougal! Człowieku! Czy zapomniałeś? Ha nun Gregarach /219!

— Poczekajcie trochę, poczekajcie — brzmiała ochocza odpowiedź. Jakoż usłyszałem, że stróż więziennej bramy pośpiesznie się krząta.

Zamienili z moim przewodnikiem parę słów w języku dla mnie zupełnie obcym. Zgrzytnęły zawiasy, ale bardzo ostrożnie, z widoczną obawą, by nie usłyszano hałasu. Znaleźliśmy się w przedsionku więzienia, małej, ale umocnionej izbie strażniczej, skąd wąskie schody prowadziły w górę, a jedno czy dwa niskie wejścia — do pomieszczenia na tym samym poziomie. Wszystko to zaopatrzone w zasuwę, sztaby żelazne i kraty. Na ścianach wisiały kajdany i inne złowrogie narzędzia, przeznaczone może do jeszcze bardziej nieludzkich celów, a wśród tego wisiały strzelby, pistolety i inna broń. Znalazłszy się tak niespodziewanie, ukradkiem wprowadzony w obręb jednej ze szkockich fortec prawa, mimo woli wspomniałem moją przygodę w Northumberland i westchnąłem nad tym, że znowu dziwaczny zbieg okoliczności bez własnej mojej winy stawia mnie w niebezpiecznej i niemiłej kolizji z prawami kraju, w którym bawiłem jako cudzoziemiec.

## ROZDZIAŁ XXII

Spojrzyj, Astolfie: tu miejsce, gdzie ludzi  
Śle się na śmierć głodową za to, że są biedni —  
Straszne lekarstwo na cienką chorobę!  
W tych murach wilgoć i stęchlizna gasi  
Nadziei jasną pochodnie, lecz nim zgaśnie,  
Od kopącego płomyka, zuchwale,  
Dziko, z rozpaczą zapalają swoje  
Piekielną smołą oblane łuczywa,  
By im świeciły do zbrodniczych czynów,  
Biedni więźniowie — których ludzkie dusze  
Zatrzał tej kaźni jad, sromotny, zgubny.  
W i ę z i e n i e, akt I, (cena III

Zaledwie wszedłem, obrzuciłem ciekawym spojrzeniem mego przewodnika, ale nie zdołałem przyjrzeć się rysom jego twarzy, gdyż lampa w przedsionku paliła się zbyt ciemno. Strażnik trzymał w ręku lampę, której światło padało na jego niemniej zajmującą postać. Było to dzikie, kudłate chłopisko, któremu obfitość rudych włosów zasłaniała i zaciemniała twarz. Uderzający był wyraz ogromnej radości, jaki rozpromienił oblicze dozorca na widok mojego przewodnika. W życiu nie spotkałem niczego, co by tak odpowiadało mojemu wyobrażeniu o surowym, prostym dzikusie, uwielbiającym bóstwo swego plemienia. Szcherzył zęby, rżał, śmiał się, nieledwie płakał, a może nawet i naprawdę płakał. Wydawało się, że powtarza: „Dokąd mi iść każesz?“, „Co mogę uczynić dla ciebie?“ Trudno inaczej określić to całkowite oddanie, to nie do opisanie ofiarne i poddańcze przywiązanie malujące się na jego twarzy. Głos jego zamierał z zachwyty i wrywał się tylko wykrzyknikami: „Oj! oj!... Aj! aj!... tak dawno nie widziany!...“ i innymi, równie krótkimi w tym nieznanym języku, w jakim porozumiewał się z moim przewodnikiem, gdy staliśmy jeszcze za bramą. Mój przewodnik przyjmował ów nadmiar powitalnej radości po trosze jak księżę, za wcześniej przywykły do hołdów, by się nimi bardzo wzruszać, jednak chętnie odwdzięczający je zwykłą formą królewskiej uprzejmości. Wyciągnął łaskawie rękę ku strażnikowi pytając grzecznie:  
— Co słyhać z tobą, Dougalu?

— Oj! oj! — zawołał Dougal tłumiając głośnie okrzyki zdziwienia i oglądając się czujnie i lękliwie. — Oj! że ja was tu widzę! Że was tu widzę! Oj, co by się stało z wami, gdyby urzędnicy zwąchali... te przeklęte łotry!

Przewodnik mój położył palec na ustach.

— Nic się nie lękaj, Dougalu — rzekł. — Twoje ręce nigdy rygla za mną nie zasuną.

— O, nie! — zawołał Dougal. — Prędzej bym... wolałbym... niech mi je wpierw utną przy łokciu... Ale kiedy znów tam pójdziecie? A nie zapomnijcie dać znać! Biedny ja wasz krewniak. Bóg widzi, w siódmym stopniu pokrewieństwa...

— Zawiadomię was, Dougalu, jak tylko mój plan ułożę.

— Na moją duszę, jak dacie znać, żeby to była niedziela i dwunasta w nocy, rzucam klucze dozorczy i jestem gotów, zanim ranek poniedziałkowy nadejdzie.

Tajemniczy mój nieznajomy przerwał zachwyty swego krewniaka, przemawiając do niego w języku, jak się później dowiedziałem, irlandzkim czy gaelickim i tłumacząc mu prawdopodobnie, czego od niego żądał. Odpowiedź: „Z całego serca, z całej duszy” i jakieś mamrotanie w podobnym tonie świadczyło, że strażnik się zgadza. Poprawił gasnącą lampę i dał mi znak, abym szedł za nim.

— Nie pójdziecie z nami? — zapytałem spojrzawszy na mego przewodnika.

— Nie potrzeba — odpowiedział. — Moje towarzystwo mogłoby wam być niedogodne i lepiej, ażebym został dla zabezpieczenia odwrotu.

— Nie przypuszczam, żebyście chcieli narażać mnie na niebezpieczeństwo — rzekłem.

— Na żadne prócz tego, które mnie samemu podwójnie zagraża — odpowiedział głosem tak pewnym, że niepodobna było nie zaufać mu. Poszedłem za strażnikiem przez kręcone schody i długi, wąski korytarz. Tu otworzył on jedne z kilkorga drzwi, wpuścił mnie do małej izby i spoglądając na łóżko stojące w kącie, oznajmił półgłosem, stawiając lampkę na prostym stoliku:

— Śpi.

„Ona? — pomyślałem. — Diana w tym przybytku cierpień?! Nie, to niemożliwe!” Przeżyłem chwilę radosnej ulgi i odrobinę rozczarowania, gdy uważniej się przyjrzawszy leżącej postaci

ujrzałem głowę niemłodą i niepiękną, zdobną w dwudniowy niegolony zarost i czerwoną szlafmycę.

Gdy śpiący zbudził się z ciężkiego snu, ziewnął i przetarł oczy, rozpoznałem twarz biednego przyjaciela, Owena. Usunąłem się na chwilę sprzed jego wzroku, ażeby miał czas oprzytomnieć, przypomniawszy sobie na szczęście, że jestem intruzem w tej celi i że wszelkie głośniejsze słowo lub ruch mógłby mieć groźne następstwa.

Tymczasem nieszczęśliwy pedant, uniósłszy się na łokciu i poprawiając szlafmycę, zawołał kwaśno i sennie:

— Mówię wam, panie Dougal, czy jak wam tam, że jeżeli macie tak zakłócać mój spoczynek, to będę musiał poskarżyć się przed dyrektorem!

— Gość przyszedł odwiedzić — odpowiedział Dougal mrukliwie, tonem prawdziwego strażnika, tak różnym od dźwięcznych góralskich powitań, jakimi obsypał mego tajemniczego przewodnika. I obróciwszy się na pięcie, opuścił celę.

Czas jakiś potrwało, zanim nieszczęsny, rozespany buchalter uświadomił sobie, że to ja przed nim stoję, jednak gdy już mnie poznał, nie mógł, pocziwiec, utulić się w żalu, przypuszczając, rzecz prosta, że przysłano mnie tutaj jako towarzysza również uwięzionego.

— Ach, panie Franku, do czegoś pan doprowadził siebie i naszą firmę! O sobie nie mówię, gdyż jestem, że tak powiem, prostą cyfrą, ale pan, który byłeś ojca sumą ostateczną, jego omnium/222, który mogłeś być pierwszym w pierwszej firmie w najpierwszym mieście, żeby pan był zamknięty w tym obrzydliwym szkockim więzieniu, gdzie nawet ubrania z błota nie można dać oczyścić!

Tarł z rozdrażnieniem i kwaśną miną to niegdyś niepokalane, brązowe ubranie, zanieczyszczone od więziennych brudów — tym nieszczęśliwszy, że cierpiały jego przyzwyczajenia pedantycznego porządnika.

— Niech się niebo zmiłuje nad nami! — ciągnął dalej. — Jakie to wrażenie robi na giełdzie! Czegoś podobnego nie było tam od czasu bitwy pod Almandą/222, gdzie suma strat angielskich wynosiła pięć tysięcy zabitych i rannych oprócz bilansu strat floty. Ale czymże to jest wobec tego, że Osbaldistone i Tresham mogą zawiesić wypłaty!

Przerwałem te jego lamenty zapewnieniem, że nie jestem więźniem, chociaż trudno mi wytłumaczyć, jak się tu znalazłem o tej godzinie. Wreszcie udało mi się zatrzymać potok jego słów i zadać parę pytań.

Otrzymałem takie wyjaśnienie sytuacji, na jakie mógł się zdobyć. Nie wszystko było tu jasne, gdyż Owen, jak wiesz dobrze, choć świetny jako rutynowany urzędnik handlowy, nie bardzo był bystry, gdy szło o sprawy wykraczające poza jego specjalność.

Dowiedziałem się więc, że z dwóch firm w Glasgow, z którymi ojciec utrzymywał stosunki prowadząc w Szkocji wiele interesów, firma Mac Vittie, Mac Fin et Comp. wydawała się nie mieć sobie równej w uprzejmości i uległości. Ustępowali oni wielkiej angielskiej firmie przy każdej sposobności; w kupnach i transakcjach odgrywali, nie skarżąc się, rolę szakala, który bierze to tylko, co mu lew zostawić raczy. Choćby nie wiem jak mały wyznaczono im udział w zyskach, było to zawsze, jak się wyrażali, „dostyc dla takich jak oni”; jakkolwiek wielki był ich udział w kłopotach, rozumieli, że „nie mogą uczynić za wiele, by zasłużyć na stałą protekcję i dobrą opinię czcigodnych przyjaciół z Crane Alley”.

Rozkazy mego ojca były dla Mac Vittie i Mac Fin prawami Medów i Persów, których nie śmieli ani zmieniać, ani poddawać krytyce. Z podobnym szacunkiem odnosili się do drobiazgowej formalistyki, której w interesach przestrzegał Owen, lubujący się w niej zwłaszcza tam, gdzie mógł ją narzucać *ex cathedra*/223. Tym tonem zupełnej i pełnej szacunku uległości zjednali sobie Owena, mój ojciec jednak głębiej wnikał w ludzkie dusze i czy ten nadmiar uległości wydał mu się podejrzanym, czy też znudziły go starannie stylizowane i długie zapewnienia szacunku, tym bardziej że był zwolennikiem prostoty i zwięzłości, dość że stale odrzucał ich propozycję objęcia wyłącznej reprezentacji jego interesów na Szkocję. Przeciwnie, wiele spraw załatwiał przy pomocy korespondenta o wręcz przeciwnym charakterze, człowieka, którego dobre mniemanie o sobie dochodziło do zarozumiałości i który na ogół nie lubiąc Anglików, tak jak mój ojciec nie lubił Szkotów, żądał, by go traktowano jak równego. W dodatku zazdrosny i niekiedy obraźliwy, potrafił przy swojej formalistyce obstawać równie uparcie, jak Owen przy swojej, nie liczył się przy tym z niczym zdaniem, choćby cała Lombard Street przeciwstawiała się jego poglądom.

Ponieważ to usposobienie pana Nicola Jarvie utrudniało prowadzenie z nim interesów, raz po raz dochodziło do oziębienia stosunków i wybuchały spory, nad którymi przechodzono do porządku tylko w poczuciu wspólnego interesu. Osobista próżność Owena niekiedy



trochę ucierpiała w tych dyskusjach, nie możesz się przeto dziwić, Treshamie, że stary nasz przyjaciel rzucał zawsze wpływ swój na szalę względów dla grzecznych, dyskretnych, uległych Mac Vittie i Mac Fin, a o Jarvie mówił jako o kłótliwym, zarozumiałym szkockim kupczyku, z którym nie warto się zadawać.

Nic też dziwnego, że gdy podczas nieobecności ojca firma wpadła w tarapaty z powodu ucieczki Rashleigha, Owen, przybywszy do Szkocji dwa dni przede mną, zwrócił się o przyjacielską pomoc do tych korespondentów, którzy zawsze powtarzali, że są zobowiązani, wdzięczni i oddani do usług pryncypała. Przyjęto go w kantorze panów Mac Vittie i Mac Fin nieledwie z takim nabożeństwem, z jakim katolik czci swego świętego patrona. Ale niestety, ten promień słoneczny wnet zakryły chmury, gdy ośmielony i pełen nadziei Owen przedstawił trudności firmy i prosił przyjacielskich korespondentów o radę i pomoc. Mac Vittie był jak ogłuszony jego oświadczeniem. Mac Fin zaś, zanim jeszcze Owen skończył, już siedział nad główną księgą, głęboko zagrzebany w różnorodnych rozrachunkach pomiędzy ich firmą a naszą, obliczając, po której stronie nadwyżka. Niestety, szala opadała dość znacznie na niekorzyść firmy angielskiej i twarze panów Mac Vittie i Mac Fin, dotychczas tylko chłodne i zakłopotane, stały się naraz groźne i źle wróżące. Na prośbę Owena o pomoc i poparcie odpowiedzieli żądaniem natychmiastowego zabezpieczenia ich interesów przed grożącym niebezpieczeństwem ewentualnej straty. W końcu, mówiąc jasno, zażądali, by depozyt aktywów, przeznaczony na inne cele, został złożony w ich ręce. Owen odmówił z wielkim oburzeniem, jako że byłoby to obrażające dla jego zwierzchników, niesprawiedliwe wobec innych dłużników firmy Osbaldistone i Tresham i nielojalne ze strony tych, którzy tego zażądali.

Szkoccy wspólnicy w czasie tego sporu znaleźli sposobność dogodną zawsze dla tych, co nie mają słuszności — sposobność i pretekst do uniesienia się wielkim gniewem i chwycenia się ostatecznych środków, od czego powinno było ich powstrzymać jeśli nie sumienie, to już choćby samo uczucie przyzwoitości.

Owen, mając mały udział w firmie, taki jaki się zwykle daje naczelnym buchalterom w tego rodzaju przedsiębiorstwach, był osobiście odpowiedzialny za wszystkie jej zobowiązania. O tym wiedzieli panowie Mac Vittie i Mac Fin. Chcąc mu więc dać poczuć swoją władzę albo raczej chcąc go zmusić, by ustąpił wobec ich

żądań, spowodowali po prostu jego aresztowanie i uwięzienie, na co, jak się zdaje, prawo w Szkocji (w tym względzie niewątpliwie dające pole do nadużyć) wierzycielowi pozwala, jeżeli może on z czystym sumieniem zaprzysiąc, że dłużnik zamyśla uciec z granic państwa. W ten sposób biedny Owen został uwięziony na dzień przed moją dziwną wizytą w więzieniu.

Tak w ogólnym zarysie wyglądały fakty. Powstawało pytanie: co robić? Niełatwo to było rozstrzygnąć.

Jasno zdawałem sobie sprawę z otaczających nas niebezpieczeństw, ale jak dotąd nie widziałem żadnego sposobu ich uniknięcia. Ostrzeżenie, które otrzymałem, zdawało się wskazywać na to, że moja osobista wolność byłaby zagrożona, gdybym otwarcie wystąpił w obronie Owena. Owen podzielał tę obawę i w swym przesadnym strachu zapewniał mnie, że Szkot, zanimby zaryzykował utratę halerza na rzecz Anglika, wolałby uciec się do prawa i zaaresztować jego żonę, jego dzieci, służącego, służącą i gościa w jego domu. Prawa dotyczące dłużników są w wielu krajach tak niemiłosiernie surowe, że nie mogłem zlekceważyć jego ostrzeżeń, tym bardziej że moje aresztowanie w danych warunkach byłoby ostatecznym ciosem dla spraw ojca. W tej rozterce zapytałem Owena, czy nie pomyślał o zwróceniu się do drugiego korespondenta w Glasgow, pana Nicola Jarvie.

— Posłałem mu list dziś rano — odpowiedział — ale jeżeli grzeczna firma z głównej ulicy miasta tak względem mnie postąpiła, czegoż się można spodziewać po gruboskórnym handlarzu z Solnego Rynku? Równie dobrze można by zażądać od maklera, żeby się wyrzekł swoich procentów, jak spodziewać się od niego pomocy bez wzajemnych świadczeń. Nawet mi nie odpowiedział na list, choć mu go wręczono dziś rano, gdy szedł do kościoła. — I zrozpaczony rzucił się na swój siennik, wołając: — O, mój drogi pan! Mój biedny, drogi pan! Och, panie Franku, to wszystko przez pański upór!... Ale niech mi Bóg przebaczy, że mówię to panu w jego strapieniu... To przecież wszystko zrządzenie boskie, któremu człowiek musi się poddać.

Na nic cała moja filozofia, Treshamie! Podzielając rozżalenie tego poczciwca płakałem z nim razem, i to gorzko, gdyż jasno teraz zrozumiałem, że to mój przewrotny upór wobec ojcowskiej woli, o którym zacny Owen nie chciał już więcej mówić, był przyczyną całego tego nieszczęścia.

Głośne pukanie do zewnętrznych drzwi więzienia zaskoczyło nas i przerwało te wspólne żale. Wybiegiem na schody, by usłyszeć, co się dzieje, ale uszu moich dobiegł tylko głos strażnika, to podniesiony, odpowiadający komuś za drzwiami, to szepczący, skierowany do osoby, która mnie przyprowadziła: „Idę!... Idę!...” głośno, potem cicho: „Gwałtu, rety! gwałtu, rety! Co oni teraz zrobią? Niech wejdą na schody i niech się skryją pod łóżko tego obcego pana!” Głośno: „Idę już zaraz!”, cicho: „Ach, ach... to pan dyrektor i pan radny, i straż... pan kapitan zaraz zejdzie... Niech ich Bóg ma w swej opiece... niech idą na górę, bo jeszcze ich spotka!”, głośno: „Idę! Idę! Zamek bardzo zardzewiały!”

Podczas gdy Dougal niechętnie i ile możliwości zwlekając otwierał różne zamki i rygle, by wpuścić niecierpliwie czekających i wołających, przewodnik mój przebiegł po kręconych schodach i wskoczył do celi Owena, a ja za nim. Szybko wzrokiem obrzucił izbę, jak gdyby upatrywał, gdzie się schować, a potem zwrócił się do mnie: — Pożyczcie mi waszych pistoletów... Choć nie, lepiej obejdę się bez nich... Cokolwiek zobaczycie, nie zważajcie na to i nie wtrącajcie się do niczego... To moja sprawa i muszę ją przeprowadzić, jak potrafię... Bywałem już w gorszych opałach.

Mówiąc te słowa nieznajomy zrzucił z siebie obszerny płaszcz, który go otulał, stanął na wprost drzwi, utkwivszy w nie wzrok bystry i zdecydowany, odsadził się nieco w tył i wyprężył jak koń szlachetny, nim skokiem weźmie przeszkodę. Jasne było, że zamierza wyrwać się z kłopotliwej sytuacji i rzucając się na tych, którzy staną w otwartych drzwiach, utorować sobie drogę na ulicę. Tyle zaś siły i zręczności było w jego postawie, takie zdecydowanie w spojrzeniu i ruchach, że nie wątpiłem ani chwili, iż zdoła się przedrzeć przez opierających mu się, jeżeli ci nie sięgną do broni.

Była chwila przejmującego niepokoju między otwieraniem zewnętrznej bramy i drzwi do celi. Aż oto ukazała się — nie straż z nastawionymi bagnetami, nie dozorca z pałkami, szablami i halabardami, ale z latarnią w ręku przystojna, młoda kobieta w spódniczce zakasanej z powodu nocnej wędrówki ulicami. Za nią kroczyła godniejsza osoba, mężczyzna przysadzisty, krępy, nieco otyły — w krótkiej peruce, ruchliwy, zadyszany, niecierpliwy, zirytowany — był to, jak się wkrótce okazało, radny miasta.

Na jego widok przewodnik mój cofnął się, jak gdyby chciał ująć uwagi — nie mógł jednak uniknąć bystrego rzutu oka, jakim dygnitarz obrzucił całą izbę.

— Ładne rzeczy widzę! Żeby mnie trzymać pół godziny przed bramą, kapitanie Stanchells! — zwrócił się do głównego dozorca, który teraz ukazał się we drzwiach gotów do usług. — Ja tu pukam i dobijam się, żeby się dostać do więzienia, jak inny dobijałby się, by się z niego wydostać!... A to co?! Jak to?!... Goście w więzieniu po godzinie zamknięcia? I to w świąteczny wieczór?... Już ja w to wejrzę, Stanchells, możesz na to liczyć... Zamknij drzwi, a ja pogadam z tymi panami. Najprzód zaś utnę gawędkę z dobrym znajomym... Panie Owen, panie Owen, no i cóż z panem słyhać?

— Dziękuję, panie Jarvie — odpowiedział żałośnie Owen — zdrów jestem na ciele, ale bardzo strapiony na duszy.

— Zapewne... zapewne, no tak... tak... to bardzo niemiła awantura... i to jeszcze dla kogoś, kto tak wysoko się nosił... Ludzka natura... ludzka natura... Tak, tak, każdemu może się zdarzyć być raz na wozie, raz pod wozem. Pan Osbaldistone to dobry i uczciwy kupiec, ale ja zawsze mówiłem, że to jeden z tych, co się mogą zarwać na cienkim lodzie. Mój ojciec, cechmistrz, to tak mawiał: „Niku, młody Niku” (jemu było na imię Nicol, tak jak i mnie, toteż ludzie zwyczajnie o nas mówili; „młody Nik” i „stary Nik”). „Niku — mówił — nigdy nie wyciągaj ręki tak daleko, żebyś jej nie mógł cofnąć”. Ja to mówiłem panu Osbaldistone, lecz on rady nie przyjął, tak jak tego pragnąłem... ale ja to w dobrej myśli mówiłem, w dobrej myśli tylko.

Ta przemowa, wygłoszona płynnie i z widocznym zadowoleniem ze siebie, gdy wspominał rady swe i przepowiednie, niewiele nam zapowiadała pomocy ze strony pana Jarvie. Wkrótce się jednak okazało, że płynęło to raczej z zupełnego braku delikatności niż z braku prawdziwej dobroci. Gdy bowiem Owen dał do zrozumienia, że przykro mu, iż się te rzeczy wspomina w jego obecnym położeniu, zacny radny wziął go za rękę i prosił:

— Nie trąpcie się znów tak bardzo! Czyż myślicie, że przyszedłbym tu o północy, o mało nie zgwałciwszy dnia Pańskiego, po to tylko, by człowiekowi, który leży, mówić o jego upadku? Nie, nie... tak nie postępuje radny Jarvie ani przed nim czcigodny jego ojciec, cechmistrz, też tak nie czynił. Człowieku! Mam zasadę nigdy nie myśleć o światowych sprawach w niedzielę, a tu choć robiłem, co

mogłem, aby wybić sobie z głowy wasz list, który dostałem rano, to jednak cały dzień więcej o nim myślałem niż o kazaniu... A także mam zasadę iść do łóżka z żółtymi firankami punkt o dziesiątej, chyba że tam czasem zjem kolacyjkę u sąsiada albo on u mnie. Zapytajcie tego dziewczęcia, czy to nie taka reguła w moim gospodarstwie... A oto dzisiaj siedzę i siedzę, i czytam nabożne książki, i czekam, póki na wieży nie wybije dwunasta, bo wtedy już wolno mi zajrzeć do księgi głównej i przekonać się, jak stoją rzeczy między nami. No i tedy, że to, jak mówię, „czas i rzeka nie czeka”, kazałem dziewczynie przygotować latarnię i przygramoliłem się tu, by się przekonać, co się w tej sprawie da zrobić. Radny Jarvie może sobie kazać otworzyć więzienie o każdej godzinie dnia i nocy — to samo prawo miał swego czasu mój ojciec, człowiek zacny, cześć niech będzie jego pamięci!

Jakkolwiek Owen jęknął przy wzmiance o księdze głównej, co wzbudziło i we mnie lęk, czy i tam czasem szala nie stoi na naszą niekorzyść, i jakkolwiek mowa zacnego radnego tchnęła zadowoleniem z siebie i triumfalnym poczuciem własnej słuszności, jednakże przebijała z niej także pewna szczerą i prostą dobroć, która mimo wszystko budziła we mnie trochę nadziei. Radny Jarvie poprosił teraz o pokazanie sobie pewnych papierów, prawie że wyrwał je z ręki Owena i zasiadłszy na łóżku przy świetle latarki, którą mu służąca przyświecała, mamrocząc i sarkając — to na zbyt ciemne światło, to na zawartość pakietu — przeglądał wydobyte zeń pisma.

Widząc go zajęтым, przewodnik, który mnie tu przywiódł, zamierzał widać wynieść się bez ceremonii. Dawszy mi znak, bym nic nie mówił, przyczał się tak, by nieznacznie prześliznąć się ku drzwiom. Ale żwawy pan radny (zupełnie przeciwnie niż mój stary znajomy sędzia Inglewood) od razu odkrył i udaremnił jego zamiary.

— Mówię, pilnuj drzwi, Stanchells, zamknij je, przekręć klucz i stój na straży.

Nieznajomemu twarz sposepniała i znów przez chwilę jakby zamyślał wyrwać się gwałtem, lecz nim się zdecydował, zamknięto drzwi i zasunięto ciężki rygiel. Mruknął jakiś wykrzyknik po gaelicku, przeszedł przez izbę i z wyrazem zaciętego postanowienia, jak gdyby chciał się scenie przypatrzeć do końca, siadł na dębowym stole i zagwizdał jakąś góralską piosenkę.

Pan Jarvie, który wydał mi się bardzo bystry i szybki w załatwianiu interesów, wkrótce zrozumiał to, nad czym się zastanawiał, i zwrócił się do Owena, jak następuje:

— Więc dobrze, panie Owen... dobrze. Wasza firma winna jest Mac Vittie i Mac Fin pewne sumy (nie mogę im darować tych dębowych lasów w dolinie Glen Cailziechat, co to mi je z zębów wydarli z łaski waszego dobrego słowa, nie wymawiając, panie Owen, chociaż to teraz nie robi różnicy). No, więc dobrze, wasza firma winna im jest tę sumę; a ponadto oni za was uprzednio poręczyli i to was obciąża. Teraz wzięli was za to pod klucz. Dobrze, panie, jesteście im to winni, a może winni jesteście i komu więcej jeszcze, może i mnie, radnemu Nicolowi Jarvie.

— Nie mogę zaprzeczyć, panie, że może bilans w dzisiejszej dacie wykazałby minus po naszej stronie, a plus po pańskiej, panie Jarvie — rzekł Owen. — Jednakże zechciej pan rozważyć...

— Nie ma w tej chwili czasu na rozważania, panie Owen... Tak zaraz po święcie, na nogach zamiast w ciepłym łóżku o tej porze nocy, a do tego w powietrzu jakaś wilgoć... to nie pora na rozważanie... Ale, panie, jak mówiłem, winniście mi pieniądze, nie mogę zaprzeczyć, jesteście mi winni, mniej czy więcej, ale przy tym stoję. Jednakże, panie Owen, nie mogę zrozumieć, jak wy, człowiek energiczny i rozumiejący się na rzeczy, będziecie mogli wszystko naprawić i pospłacać nas, a po to tu przyjechaliście, mam nadzieję — jeżeli będziecie siedzieć w więzieniu. Otóż teraz, panie, jeżeli znajdziecie kaucję *judicio sisti/229*, to znaczy, że nie uciekniecie z kraju, ale stawicie się i uwolnicie waszego poręczyciela od zobowiązania, gdy was wezwą przed nasz sąd, wtedy możecie być wypuszczeni na wolność jeszcze dzisiejszego ranka.

— Panie Jarvie — odpowiedział Owen — gdyby jaki znajomy chciał za mnie w tym celu poręczyć, wolność moją wykorzystałbym z pożytkiem tak dla firmy, jak i dla wszystkich, którzy są z nią związani.

— Bardzo pięknie, ale niewątpliwie taki znajomy oczekiwałby, że stawicie się, gdy was wezwą, i zwolnicie go z zobowiązania.

— I tak bym zrobił, jak dwa razy dwa cztery, chyba że przeszkodziłaby mi choroba albo śmierć!

— A więc dobrze, panie Owen — kończył pan radny — ja wam wierzę i dowiodę tego, panie... dowiodę. Jestem człowiekiem

ostrożnym, jak wam dobrze wiadomo, i pracowitym, jak całe miasto zaświadczyć może. Umiem korony moje zarobić, umiem je policzyć i umiem utrzymać. I nie lubię ryzykować, tak samo jak mój ojciec przede mną nie lubił, ale żeby uczciwy, przyzwoity człowiek, który rozumie interes i gotów jest sprawiedliwie z wszystkimi postąpić, miał gnić tu w więzieniu, nie mogąc nic zrobić ani dla siebie, ani dla innych — to zgroza! Trzeba mieć sumienie! Ja sam będę waszym poręczycielem!... Ale pamiętajcie, to jest poręczenie *judicio sisti*, jak się wyraża nasz adwokat, nie *judicatum solvi/230*, zapamiętajcie to sobie, bo to wielka różnica.

Owen zapewnił go, że tak jak w danej chwili sprawy stoją, nie mógłby od nikogo przyjąć poręki zapłaty długu, że jednakże nie należy się ani trochę obawiać straty z powodu jego niestawiennictwa na wezwanie sądu.

— Wierzę wam, wierzę wam! I dosyć już o tym. Puszczę was wolno jeszcze przed śniadaniem. A teraz posłuchajmy, co ci towarzysze waszej celi mają mi do powiedzenia — i jakim nie prawem, ale b e z p r a w i e m dostali się tu o tej porze?

## ROZDZIAŁ XXIII

Wrócił do domu w nocy,  
Do domu wrócił swego:  
Zastał w swym domu chłopa,  
Tam gdzie nie miejsce jego.  
— Co to ma znaczyć? — pyta. —  
Ty drabie bez sumienia!  
Skąd ty się tutaj wzięłeś  
Bez mego pozwolenia?  
Stara piosenka

Pan radny odebrał światło od służącej i z latarnią w ręku ruszył do badania jak Diogenes/231 na ulicach Aten i prawdopodobnie z nie większą od tego cynika nadzieją, że ważne odkrycie uwieńczy jego poszukiwania. Najpierw przybliżył się do swojego tajemniczego przewodnika. Ten, siedząc na stole z oczyma utkwionymi w ścianę, z twarzą niewzruszoną, z rękami założonymi na piersiach niedbale i wyzywająco, piętą o stołową nogę wybijając takt do melodii, której nie przestawał gwizdać, poddał się oględzinom pana Jarvie z miną zupełnie spokojną i pewną siebie, co na chwilę wprowadziło w błąd pamięć i bystrość przenikliwego i gorliwego badacza.

— Ach!... E!... Och!... — wykrzyknął radny. — Na moją duszę! To nie może być!... a jednak... nie... Na miły Bóg!... to niepodobna!... a przecież jednak... Bierz mnie lichy, że tak powiem!... Ty rozbójniku... ty drabie... ty czarci synu, ty... ty kandydacie na szubienicę!... Czy to możebne, żebyś to ty był?

— Jak widzicie, panie radny — brzmiała krótka odpowiedź.

— W imię Ojca i Syna! Chyba mi się w oczach troi... Ty, ty wydrwigroszu, okpiszu, szelmo, ty tutaj z wizytą w więzieniu glasgowskim? A czy ty wiesz, ile warta twoja głowa?

— Hm!... No, sprawiedliwie ważąc wedle holenderskiej wagi, może być, że przeważałaby głowę jednego burmistrza, czterech radnych, jednego miejskiego syndyka, sześciu...

— Ach, ty bezecny kpiarzu! — przerwał pan Jarvie. — Ale spowiadaj się z grzechów i gotuj się, bo jak powiem jedno słowo...

— Prawda, panie radny — odpowiedział tamten, najswobodniej w świecie zakładając ręce za plecy — ale ty nigdy tego słowa nie wymówisz!



— A dlaczego nie mógłbym go wymówić, mój panie? — zawołał urzędnik. — Dlaczego bym nie miał? Odpowiedz mi na to!

— Dla trzech zupełnie wystarczających powodów, panie radny Jarvie. Najpierw, z powodu starej historii; po wtóre, ze względu na staruszkę, tam, przy ogniu w Stuckavrallachan, która, ze wstydem to wyznam, ma krewniaka z rachunkami, przedziwem, krosnami, czólenkami, coś niby prostego rzemieślnika, i która jakoś pomieszała moją krew z twoją; i wreszcie, panie radny, z tego powodu, że gdybym ujrział znak, że chcesz mnie zdradzić, osmarowałbym ten mur twoim mózgowiem, zanimby ręka ludzka zdołała cię obronić!

— Zuchwały, awanturniczy z ciebie łotr — odpowiedział nieustraszony radny — i ty sam wiesz, że jesteś łotrem.

— Wiem — mówił tamten — że masz szlachetną krew w twoich żyłach, i przykro byłoby mi skrzywdzić krewnego. Ale wyjdę stąd wolny, tak jak wszedłem, inaczej mury tego więzienia i za dziesięć lat będą miały co opowiadać!

— Dobrze, dobrze — odparł Jarvie. — Krew gęstsza niż woda, a przyjaciele i krewni nie muszą widzieć źdźbła w oku jeden u drugiego, jeżeli tego inni nie widzą. Byłaby to smutna nowina dla staruszki w Stuckavrallachan, gdyby się dowiedziała, że ty rozbiłeś mi mózgownicę lub że przeze mnie zadyndałeś na sznurze. Przyznaj jednak, ty diable wcielony, że gdyby nie to, byłbym chwycił najprzedniejszego z górali.

— Chciałbyś chwycić, kuzynie — odpowiedział mój przewodnik — na to się zgadzam, ale byłbyś spudłował, bo my, junackie górskie plemię, nie damy sobie gadać o niewoli. Nie znosimy nawet ucisku dobrego sukna na kolanach, a tym mniej kamienia i żelaznych podwiązek u nóg.

— Jeszcze się spotkasz i z kamieniem, i z żelaznymi podwiązkami, i z krawatem z konopnego sznura, sąsiedzie — odpowiedział radny. — Nikt też w porządnym kraju tylu awantur nie wyprawiał, co ty... Ale rób, co ci się podoba, ja cię ostrzegłem.

— No cóż, kuzynie, ubierzesz się czarno na mój pogrzeb? — żartował tamten.

— Nie będzie tam nic czarnego, Robinie, chyba te kruki i wrony, za to ci ręczę. Ale gdzież się podziewa ten tysiąc szkockich funtów, które ci pożyczyłem, człeku, i kiedy ja je zobaczę?

— Gdzie one są? — odpowiedział mój przewodnik udając przez chwilę, że się namyśla. — Nie mógłbym powiedzieć dokładnie... prawdopodobnie tam, gdzie zeszłoroczny śnieg.

— Zeszłoroczny śnieg leży na szczycie Schehallion, ty góralski spryciarzu — odparł Jarvie — a ja spodziewam się, że zapłacisz mi zaraz, tu gdzie jesteś.

— Tak — odpowiedział góral — ale ja ani śniegu, ani dolarów w kabzie nie noszę. A co do tego, kiedy ty je ujrzysz, to, jak mówi stara piosenka, „gdy król znów odzyska swoje”.

— To najgorsze ze wszystkiego, Robinie... chciałem powiedzieć, niegodziwy zdrajco... To najgorsze ze wszystkiego!... Chciałbyś znowu ściągnąć na nas papizm i tyranię, oszustwa i grzałki, mnichów i przeorów, ornaty, kadzidła i całe to pogaństwo. Już lepiej byś został przy swym starym zawodzie, lepiej byś dalej kradł, szantażował, porywał bydło, uprawiał kłusownictwo. To wszystko jest lepsze od rujnowania narodu.

— Cicho, cicho, bracie, daj pokój — odpowiedział Celt /233. — Znamy się kawał czasu i ja wiem, żeś ty wig. Już ja się o to postaram, by ci kantoru nie opróżnili do czysta, gdy przyjdą Gillon-a-naillie/1 wymiatać towar ze sklepów. A jeżeli to nie należy do twoich obowiązków, nie potrzebujesz mnie często widywać, Nicol, bo ja nie pragnę być często widywanym.

1/ Chłopcy w tartanach i pledach (przyp. aut.).

— Niegodziwy z ciebie łotr, Robie — odparł radny — a że będziesz kiedyś wisiał, to pewne. Ja jednak nie chcę być tym złym ptakiem, co własne gniazdo kala, chyba że zmusiłaby mnie do tego konieczność albo obowiązek, czemu się żaden człowiek opierać nie powinien... A to kto, u licha? — zwrócił się do mnie. — Czy znów jakiś rabuś, którego zaciągnąłeś do służby? Wygląda, jak gdyby miał dość odwagi do napadania na drogach, a szyję dość długą do szubienicy!

— To, dobry panie Jarvie — odezwał się Owen, który podobnie jak i ja zastygł w milczeniu wobec dziwnego spotkania i jeszcze dziwniejszej rozmowy tych dwóch szczególniejszych krewniaków — to młody pan Francis Osbaldistone, jedyny syn mojego pryncypała, który powinien był wstąpić do firmy, w czasie gdy kuzyn jego Rashleigh Osbaldistone miał szczęście być do niej przyjęty... (tu Owen nie mógł się opanować i jęknął) ... Ale jednak...

— O! słyszałem o tym młodzieńcu — przerwał mu szkocki kupiec — to ten, którego wasz pryncypał jak uparty, stary kozioł chciał zrobić kupcem, a chłopak został wędrownym aktorem nie cierpiąc pracy, z której uczciwy człowiek żyć powinien. No i cóż, mój młody panie, jak wam się widzi wasze rzemiosło? Czy Hamlet, królewicz duński, albo duch Hamleta dobrym jest poręczycielem za pana Owena?

— Nie zasługuję na pańskie żarciki — odpowiedziałem — chociaż szanuję ich pobudki i nazbyt wielką mam wdzięczność za pomoc udzieloną Owenowi, aby czuć się dotkniętym. Jedynym celem, który mnie tu sprowadził, jest zrobić, co w mojej mocy (choć to może niewiele), by dopomóc panu Owenowi w interesach ojca. Moja niechęć do kupieckiego zawodu jest uczuciem, którego sam jestem najlepszym i jedynym sędzią.

— Protestuję — wtrącił góral. — Ceniłem tego młodzieńca, zanim jeszcze wiedziałem, co w nim tkwi, ale teraz szanuję go podwójnie za jego pogardę dla tkaczy, przędzalników i temu podobnych ludzi i ich zajęć.

— Zwariowałeś, Rob! Po prostu wariat z ciebie, wariat z mokrą głową. Choć właściwie dlaczego wariat miałby mieć głowę bardziej mokrą od mojej, tego nie wiem. A z przędzalnikami i tkaczami uważaj! Kraj więcej ma z nich niż z ciebie i tobie podobnych. A ten młodzik, którego popychasz na najkrótszą drogę do szubienicy i do piekła... czy pomogą mu te jego teatralne sztuki i poezja albo twoje ciężkie przekleństwa i wyciągnięte szpady, stary, zatwardziały grzeszniku? A może Tityre tu patulae/234, czy jak tam to się nazywa, powie mu, gdzie jest Rashleigh Osbaldistone? A może Makbet/235\* z całą swoją świtą lub może twoi rozbijacy dostarczą mu pięć tysięcy funtów na pokrycie weksli płatnych za dziesięć dni? Nawet gdybyś wszystkich tych cudaków sprzedał z licytacji na rynku razem z ich mieczami, strzelbami, tarczami, buciorami, sporranami/235 i obronnymi wieżami, nie dostałbyś za to dosyć, by spłacić tych wierzycieli.

— Za dziesięć dni? — powtórzyłem i odruchowo wyciągnąłem list Diany Vernon, a że upłynął termin, do którego nie wolno mi było naruszyć pieczęci, więc teraz szybko ją rozerwałem. Z czystej koperty wypadł zaadresowany list. Ponieważ drżały mi ręce, upadł na ziemię, a lekki przewiew zaniósł go pod nogi pana Jarvie. Ten podniósł go z

bezceremonialną ciekawością, przeczytał adres i ku mojemu zdziwieniu wręczył go swemu krewnemu mówiąc:

— Oto wiatr przywiał list pod właściwy adres, chociaż była jedna szansa na dziesięć tysięcy, że trafi tam, gdzie powinien.

Góral, zbadawszy adres, rozerwał pieczęć bez najmniejszej ceremonii. Chciałem mu w tym przeszkodzić.

— Musi mnie pan przekonać — rzekłem — że ten list jest przeznaczony dla pana, zanim będę mógł na odczytanie go pozwolić.

— Niech pan się nie niepokoi, panie Osbaldistone — odpowiedział bardzo poważnie. — Proszę sobie przypomnieć sędziego Inglewooda, Jobsona, Morrisa, a przede wszystkim uniżonego sługę Roberta Campbella i piękną Dianę Vernon. Proszę sobie przypomnieć to wszystko i dłużej nie wątpić, że list jest do mnie.

Zamilkłem zdumiony własną niedomyślnością. Przez cały czas głos, a nawet twarz tego człowieka, chociaż niedokładnie widziana, nasuwały mi jakieś wspomnienia, których nie mogłem sprecyzować ani umiejscowić. Teraz dopiero błysnęło mi jasne światło — ten człowiek to był przecież Campbell! Teraz rozpoznałem wszystkie jego cechy: głęboki, silny głos, twarz zaciętą, surową, a jednak złagodzoną wyrazem rozwagi i inteligencji, jego szkocką gwarę z charakterystycznym akcentem i kwiecistym stylem, którego wprawdzie potrafił chwilami zaniechać, ale powracał on przy każdym wzruszeniu, dodając siły jego sarkazmowi i gwałtowności jego wymowie. Raczej niskiego niż średniego wzrostu, odznaczał się budową znamionującą wielką siłę i zwinność, a uderzająca lekkość i swoboda ruchów świadczyły, że rzeczywiście musiał być niezwykle zręczny. Dwa szczegóły w jego osobie kłóciły się z regułami symetrii: ramiona miał tak szerokie, że pomimo szczupłości i gibkości postawy odnosiło się wrażenie, że jest nazbyt barczysty w stosunku do wzrostu, ręce zaś jego, choć kształtne, żyłaste i muskularne, były tak długie, że wydawały się nienormalne. Słyszałem później, że tą długością rąk się chlubił, iż gdy nosił swój rodzinny strój góralski, mógł bez schylania się zawiązać podwiązki u pończoch, i że dawało mu to wielką przewagę w walce na szable, w której podobno celował. Ten brak symetrii nie pozwalał nazwać go bardzo przystojnym mężczyzną. Nadawał on jego powierzchowności jakąś nieregularność, jakby niesamowitość, i mimo woli przywodził mi na pamięć opowieści starej Mabel o dawnych Piktach, którzy za niepamiętnych

czasów pustoszyli Anglię północną, a byli, wedle tradycji, pół-elfami, pół-ludźmi, odznaczającymi się, jak ten człowiek, odwagą, chytryością, dzikością, długością rąk i szerokością ramion.

Gdy sobie przypominałem okoliczności towarzyszące naszemu pierwszemu spotkaniu, nie mogłem już wątpić, że ten list najprawdopodobniej przeznaczony był dla niego. Był on wybitną postacią wśród tych tajemniczych ludzi, którzy ulegali wpływowi Diany i nawzajem na nią oddziaływali. Przykro było pomyśleć, że los tak uroczej istoty splątany był z losem awanturników tego pokroju, co ten człowiek, jednakże niepodobna było o tym wątpić. Na co jednak mógł się przydać taki osobnik w sprawie mego ojca? Mogłem tylko przypuszczać, że jeśli Rashleigh na żądanie Diany znalazł sposób ściągnięcia Campbella, gdy jego obecność była potrzebna, by mnie uwolnić od oskarżenia Morrisa, to w podobny sposób Campbell może sprowadzić Rashleigha. Opierając się na tym przypuszczeniu zapytałem, gdzie znajduje się mój niebezpieczny kuzyn i kiedy go Campbell ostatnio widział. Otrzymałem odpowiedź pośrednią:

— Niełatwe zadanie dała mi do rozwiązania panna Vernon, jednak to słuszna sprawa i zajmę się nią. Panie Osbaldistone, ja mieszkam niezbyt daleko stąd. Mój krewny może wam wskazać drogę. Zostawcie pana Owena, niech robi, co potrafi w Glasgow... a wy odwiedźcie mnie w moich stronach. Bardzo być może, że wam usłużę i ojcu w trudnościach pomogę. Jestem biedny, ale spryt lepszy czasem od bogactwa. A ty, kuzynie — rzekł zwracając się do pana Jarvie — jeżeli odważysz się zjeść ze mną półmisek szkockich bitek i pieczeń jelenią, przybądź z tym panem do Drymen albo do Buckivie, albo jeszcze lepiej do Clachan of Aberfoil. Tam będzie czekał ktoś z moich ludzi, by zaprowadzić was do miejsca, gdzie na razie znajdować się będę... Cóż ty na to, człowieku? Masz moją rękę, dam ją uciąć, jeżeli cię nabiorę.

— Nie, nie, Robinie — odrzekł ostrożny mieszczanin — nie lubię wyjeżdżać z miasta. Nie mam ochoty zapuszczać się w twoje dzikie góry, Rob, pomiędzy twoich spódniczkowych górali o gołych kolanach. To nie wypada przy moim urzędzie.

— Niech diabli biorą twój urząd i was obu! — odpowiedział Campbell. — Jedyną kroplą szlachetnej krwi w twoich żyłach jest ta, którą masz po naszym stryjecznym pradziadzie, ściętym w Dumbarton, i ty śmiesz mówić, że ubliżyłbyś swemu urzędowi,

gdybyś mnie odwiedził! Słuchaj, człowieku! Ja ci zapłacę twoje tysiąc funtów szkockich co do grosza, co do halerza, jeżeli choć raz będziesz rzetelnym chłopem i przyjedziesz do mnie z tym Anglikiem.

— Daj ty mi pokój z twoim szlacheństwem — odparł radny. — Zanieś swoją szlachecką krew na targ i zobacz, co za nią kupisz. Ale gdybym się doprawdy wybrał do ciebie, czy rzetelnie i sumiennie zapłaciłbyś mi tę sumę?

— Przysięgam ci na grób tego, który spoczywa pod szarym kamieniem w Inch Galileach/1!

1/ Inch Galileach jest wyspą na jeziorze Loch Lomond, na której klan Mac Gregorów grzebał swoich umarłych i gdzie dotąd można obejrzeć ich groby. Wyspa ta była poprzednio siedzibą żeńskiego zakonu i stąd jej nazwa: Inch Galileach, co znaczy Wyspa Starych Kobiet {przy p. aut.).

— Już nic więcej nie mów, już nic więcej nie mów, Robinie... Zobaczą, co się da zrobić. Ale nie spodziewaj się, żebym miał wyjść poza granicę górskiego okręgu... W żadnym razie poza tę linię nie wyjdę. Możesz się ze mną spotkać gdzieś w okolicy Bucklivie albo Clachan of Aberfoil. I nie zapomnij o tym, co potrzebne.

— Nie bój się... nie bój się — odpowiedział Campbell. — Nie zawiodę cię jak ta klinga stalowa, która nigdy nie zawiodła swego pana. Muszę już jednak ruszać, kuzynie, bo powietrze glasgowskiego więzienia niezbyt jest zdrowe dla góralskich płuc!

— Prawda — odpowiedział kupiec — ale gdybym ja należycie spełnił swój obowiązek, nie zmieniłbyś już tego powietrza na inne. Och!... że też muszę być wplątany w ukrywanie i pomaganie do ucieczki przed sprawiedliwością!... To wstyd i hańba na zawsze dla mnie i dla moich, i nawet dla pamięci ojca mego.

— Ej, ej, człowieku! Zostaw ty tę plamę na ścianie! Kiedy brud obeschnie, to się i wykruszy!... — odparł jego krewniak. — Twój ojciec, człowiek zacny, umiał przymknąć oko na błąd przyjaciela, tak jak każdy inny człowiek.

— Może masz słuszość, Robinie — odparł radny po chwili namysłu.

— Mój ojciec był człowiekiem wyrozumiałym, wiedział, że wszyscy mamy swoje słabości, a przyjaciół kochał. Pamiętasz ty go, Robinie?

To pytanie zadał głosem przyciszonym i miękkim, co sprawiało wrażenie śmieszne i wzruszające zarazem.

— Czy ja go pamiętam? Jakże bym mógł go zapomnieć! Dzielny to był tkacz... Toż on mi sam utkał moją pierwszą parę pończoch. Ale pójdź już, kuzynie.

Daj mi moją czapkę, napełnij mój trzos,  
Siodłaj mego konia, giermka wołaj w głos,  
Otwieraj mi bramę, wolnym iść mi daj!  
Ja tu nie zostanę, choć to cudny kraj!

— Cicho sza, mój panie! — zawołał radny rozkazującym tonem. — Nie wolno śpiewać i drzeć się, i to jeszcze w niedzielną noc. Jeszcze może w tych murach inną piosenkę zaśpiewasz... Ano tak, wszyscy mamy winy, za które odpowiadać będziemy... Stanchells, otwierajcie drzwi.

Dozorca usłuchał i wyszliśmy wszyscy. Kapitan Stanchells ze zdziwieniem spojrział na dwóch obcych, dziwiąc się zapewne, skąd oni się tu wzięli bez jego wiedzy. Jednakże radnego zapewnienie: „To moi znajomi, Stanchells... to moi znajomi” odebrało mu ochotę do badania. Zeszliśmy teraz do dolnego przedsionka i kilkakrotnie wołaliśmy Dougala. Nawoływania nasze były jednak bezskuteczne. Wtedy Campbell zauważył z uśmiechem, że jeżeli Dougal jest takim chłopakiem, za jakiego go ma, to z pewnością nie czekał na podziękowanie za to, co zrobił tej nocy, i pełnym kłusem pędzi ku wąwozowi Ballamaha...

— I zostawił nas, a przede wszystkim mnie zamkniętego na całą noc w więzieniu! — gniewnie zawołał zakłopotany radny. — Posyłaj tu teraz po młotki, obcęgi, szczypce i wytrychy, sprowadzaj kowala, niechaj się dowie, że radny Jarvie został zamknięty w więzieniu przez łotra góralczyka, którego powieszają tak wysoko jak Hamana /238...

— Jeżeli go złapiesz — przerwał poważnie Campbell. — Ale czekajcie, drzwi z pewnością nie będą zamknięte.

Jakoż okazało się, że drzwi nie tylko nie były zamknięte, ale że Dougal uchodząc zabrał ze sobą klucze, prawdopodobnie dbając o to, by go na razie nikt w roli portiera nie mógł zastąpić.

— Ten Dougal ma przecież przebłycki zdrowego rozumu — zauważył Campbell. — Wiedział, że w razie czego otwarte drzwi mogłyby mi się przydać.

Znaleźliśmy się na ulicy.

— Ja ci mówię, Robin — odezwał się radny — szczerze ci mówię. Jeśli dalej tak żyć będziesz, jak żyjesz, powinieneś mieć od złego

wypadku po jednym z twoich ludzi za strażnika w każdym szkockim więzieniu.

— Albo po kuzynie radnym w każdym mieście, to na jedno wyjdzie, kuzynie Niku. Teraz dobranoc ci czy dzień dobry, a nie zapomnij o spotkaniu w Aberfoil.

Nie czekając na odpowiedź skoczył na drugą stronę ulicy i zniknął w ciemnościach. Zaledwie zniknął, usłyszeliśmy, że daje znak cichym gwizdnięciem o specjalnej modulacji, na które natychmiast odpowiadano.

— Słyszycie tych diabłów góralskich? — mruknął pan Jarvie. — Im się zdaje, że są nad brzegami Ben Lomond, gdzie sobie mogą biegać gwizdząc i wyśpiewując, nie dbając o to, czy niedziela, czy sobota.

Tu przerwało mu coś, co z ciężkim brzękiem padło na bruk przed nasze nogi.

— Boże wielki! A to co znowu?! Mattie, poświeć latarnią!... Dalibóg! Toż to klucze! Dobrze, owszem, dobrze... Miasto narażone byłoby na koszt, a w dodatku mogłoby być gadanie o tym, że zginęły. Ach, gdyby radny Grahame dowiedział się o tej dzisiejszej awanturze nocnej, miałbym ja się z pyszna!

Ponieważ niedaleko odeszliśmy od więzienia, wróciliśmy, oddaliśmy klucze głównemu dozorczy, który tymczasem, nie mogąc zamknąć drzwi jak należy, sprawował straż w przedsionku i czekał na strażnika, który miał zastąpić zbiegłego Celta Dougala.

Droga moja wiodła w tym samym kierunku, co poczciwego radnego, więc skorzystałem ze światła jego latarni, on zaś z mojego ramienia i tak powędrowaliśmy ulicami, które — może dziś jest inaczej — ale wtedy były ciemne, nierówne i źle brukowane. Wiek starszy daje się łatwo zjednać uprzejmością młodych. Pan Jarvie oświadczył mi, że mu się spodobałem i że skoro nie należę do tych wędrownych aktorów, których on z całej duszy nie cierpi, ucieszyłby się, gdybym przyszedł zjeść z nim smażonego sztokfisz albo świeżego śledzia na śniadanie, przy czym też spotkałbym się z moim przyjacielem, panem Owenem, którego do tego czasu już każe wypuścić.

— Łaskawy panie — zapytałem przyjąwszy z podziękowaniem zaproszenie — jak pan mógł przypuścić, że mam coś wspólnego ze sceną?

— To nie moja wina — odpowiedział Jarvie — to jakiś wyszczekany, deklamujący jegomość, nazwiskiem Fairservice, przyszedł do mnie



wieczorem prosić, bym kazał skoro świt wysłać herolda, aby obwołał po mieście, żeście zginęli. Powiedział mi, kim jesteście i że ojciec wysłał was z domu, ponieważ nie chcieliście być kupcem i moglibyście wstyd przynieść rodzinie idąc na scenę. Niejaki Hammorgaw, nasz śpiewak kościelny, przyprowadził go mówiąc, że to stary jego znajomy, ale ja im obu zmyłem głowę za to, że w niedzielny wieczór przychodzą z interesem. Teraz jednak widzę, że to całkiem głupi człowiek i co do was, to zupełnie się myli. Podobacie mi się — mówił dalej. — Lubię chłopca, co staje za przyjacielem w biedzie. Ja sam tak robiłem i tak też robił mój ojciec, przełożony cechu. Panie świeć nad jego duszą! Ale nie powinniście zadawać się zbyt z góralami, to dzikie bydło. Czyż człowiek może dotknąć się smoły i nie usmolić się?... Pamiętajcie o tym! Bez wątpienia najlepsi i najmędrsi mogą błądzić... Raz... dwa... trzy razy potknąłem się tego wieczora i zrobiłem trzy rzeczy, które gdyby... mój ojciec widział, oczom by własnym nie wierzył!

Tymczasem doszliśmy do domu radnego. On jednak zatrzymał się na progu i mówił dalej uroczystym tonem głębokiej skruchy:

— Po pierwsze, myślałem o swoich świeckich sprawach w dzień święty; po drugie, dałem poręczenie za Anglika; wreszcie po trzecie, i to najgorsze: pozwoliłem złoczyńcy ujść przed więzieniem... Ale Bóg jest miłosierny, panie Osbaldistone... Mattie, ja sam sobie otworzę. Odprowadź pana Osbaldistone do oberży babki Flyter na rogu przy zakręcie... Panie Osbaldistone — dodał szeptem — niech pan nie będzie natarczywy względem Mattie... to córka uczciwego człowieka i bliska krewna lairda z Limmerfield.

## ROZDZIAŁ XXIV

Czy zechce wasza dostojność przyjąć moje usługi?

Upraszam, abym mógł jeść wasz chleb,  
choćby był najczarniejszy, i pić z waszego dzbana,  
choćby był najmniejszy; a oddam waszej  
dostojności tyle usług za czterdzieści szylingów,  
ile kto inny za trzy funty.

GREENE: Tu quoque/242

Przy pożegnaniu z Mattie pamiętałem o przestrodze poczciwego radnego, nie uważałem jednak, by było niegrzecznie dodać całusa do srebrnej monety, jaką wynagrodziłem dziewczynę za odprowadzenie mnie do domu. W jej okrzyku: „Ej, panie, to wstyd!” nie dosłyszałem też śmiertelnej obrazy.

Kilkakrotne pukanie do bramy pani Flyter obudziło najpierw kilka psów, które zaczęły szczekać z całej siły; następnie wychyliło się z sąsiednich okien kilka głów w szlafmycach, wymyślając mi, że przerywam spokój świątecznej nocy tym niewczesnym hałasem. Już się zacząłem obawiać, że grzmoty ich gniewu skroplą się w ulewę i że oberwę od jakiejś Ksantypy/243, gdy usłyszałem, że sama pani Flyter, obudziwszy się, łaje jakichś maruderów dotąd siedzących w kuchni za to, że nie śpieszą otworzyć drzwi i uciszyć mojego dobijania się.

Godnymi osobami, których lenistwo wywołało tę całą awanturę, byli; mój wierny Fairservice, Hammorgaw i jeszcze trzeci, jak się później dowiedziałem, herold miejski. Siedzieli oni nad dzbanem piwa (na mój koszt, jak się później okazało z rachunku), zastanawiając się nad brzmieniem i stylem obwieszczenia, które miało być nazajutrz obwołane po ulicach, ażeby „nieszczęsny młodzieniec” (tak mnie te szelmy określiły) bez dalszej zwłoki mógł być powrócony na łono przyjaciół. Rzecz jasna, że nie hamowałem oburzenia na to niepowołane wścibstwo w moje sprawy, ale Andrew tak radośnie zaczął krzyżeć na mój widok, że wprost zagłuszył wybuch mego gniewu. Zachwyty Andrew były może manewrem dyplomatycznym, a łązy radości pochodziły na pewno ze szlachetnego źródła — kufla. Jednakowoż ta hałaśliwa radość z powodu mego powrotu, jaką odczuł czy tylko udawał, ocaliła go, bo już dwa razy przyrzekałem sobie, że mu łeb rozbiję: raz — gdy przypadkowo podsłuchałem jego rozmowę z organistą o moich sprawach, drugi raz — za tę głupią historię, jaką

opowiedział o mnie panu Jarvie. Tymczasem poprzestałem na tym, że trzasnąłem mu drzwiami przed nosem, gdy szedł za mną dziękując niebiosom za mój szczęśliwy powrót i mieszając napomnienia z głośnymi wylewami radości. Idąc spać postanowiłem, że gdy tylko wstanę, odprawię tego nieznośnego, natrętnego i świętoszkowatego zarozumialca, który widocznie miał ochotę być raczej moim nauczycielem niż służącym.

Zgodnie z tym nazajutrz wezwałem Andrew do mego pokoju i zapytałem, ile mu się należy za wskazanie mi drogi i towarzyszenie do Glasgow. Spojrzał na mnie zdumiony i niemile widocznie zaskoczony, słusznie widząc w tym pytaniu wstęp do wymówienia pracy.

— Wasza miłość — rzekł po chwili namysłu — nie będzie uważał... nie będzie uważał...

— Gadaj, łotrze, bo ci łeb rozbiję — rzekłem widząc, że Andrew w obawie, żeby nie powiedzieć za dużo, ale i nie za mało, stał męcząc się i łamiąc sobie głowę nad tym rachunkiem.

Po mojej pogróżce odpowiedź wyskoczyła jak z procy:

— Osiemnaście pensów per diem... to znaczy dziennie. Wasza miłość nie będzie tego uważał za zbyt wiele.

— To jest dwa razy więcej, niż się zwykło płacić, a trzy razy tyle, na ile zasługujesz, Andrew, ale masz tu gwineę i idź sobie z Panem Bogiem.

— Boże daruj! Czy to wasza miłość rozum stracił? — zawołał Andrew.

— Nie, ale przez ciebie można go stracić! Daję ci więcej, niż żądasz, a ty stoisz gapiąc się i kłócąc, jak gdybym cię oszukiwał. Weź swoje pieniądze i wynoś się.

— Panie Boże! Czym ja mogłem waszą miłość obrazić? — mówił dalej Andrew. — Jak zagon rumianku przydatny jest w medycynie, tak waszej miłości przydatny jest Andrew Fairservice. Rozłączać się ze mną to życie swe narażać!

— Słowo daję — rzekłem — trudno powiedzieć, czyś ty większy łotr, czy większy głupiec. Zamierzasz więc zostać przy mnie, czy ja tego chcę, czy nie chcę?

— Właśnie tak pomyślałem — odpowiedział Andrew stanowczo — bo jeżeli wasza miłość nie wie, że ma dobrego sługę, to ja wiem, że mam dobrego pana, i diabła bym miał w nogach, gdybym od was

chciał odejść. To wszystko. A zresztą, nie otrzymałem właściwego wymówienia.

— Wymówienia! Dobrze sobie! — rzekłem. — Odkądże to jesteś moim stałym służącym? Wziąłem cię tylko na przewodnika, który dzięki znajomości kraju przydał mi się w podróży.

— Nie jestem taki zwyczajny służący, to prawda — dowodził Fairservice — ale wasza miłość wie, że porzuciłem dobre miejsce na usilne prośby waszej miłości... Człowiek mógłby z czystym sumieniem zarobić dwadzieścia funtów szterlingów rocznie przy pracy w ogrodzie w Osbaldistone Hall, przecież nie porzuciłbym tego dla jednej gwinei. Rozumiałem, że pozostanę u waszej miłości przynajmniej do końca roku, i na to też liczę — wraz ze stołem, pensją i dodatkami, przynajmniej do końca roku.

— No, no, mój kochany — odpowiedziałem — te bezwstydne pretensje na nic ci się nie zdadzą. Jeżeli mi jeszcze raz z tym wyjedziesz, to przekonasz się, że nie tylko sir Thorncliff potrafi użyć kija.

Mówiąc to, choć byłem zły, z trudnością opanowywałem śmiech, tak zabawną wydała mi się powaga, z jaką Andrew wygłaszał tę niesłychaną pretensję. Zachęciło to szelmę do wytrwania, uważał jednak, że będzie bezpieczniej obniżyć trochę wymagania, by nie przeciągnąć struny mojej cierpliwości.

— Nie, nie wierzę, by to się zgadzało z sercem waszej miłości! Rozstać się tak w obcym mieście i tak z dnia na dzień z wiernym sługą, który od dwudziestu lat służy w jego rodzinie! Nie wierzę, żeby wasza miłość chciał wyrzucić tak na bruk i poniewierkę biednego człowieka, który zrezygnował z posiadanej pracy i przeszedł tyli kawał drogi tylko dla towarzyszenia waszej miłości i który nie ma żadnych środków do życia prócz tej dziennej płacy.

Zdaje się, Willu, że to ty sam powiedziałaś mi kiedyś, iż jakkolwiek uparty, w niektórych sprawach jestem zgodny i ustepliwy jak nikt inny. Faktem jest, że tylko sprzeciw czyni mnie stanowczym i gdy nie uważam, że muszę z czymś walczyć, wolę zawsze przychylić się do prośby niż zadawać sobie wiele trudu. Wiedziałem, że Andrew jest człowiekiem chciwym, nudnym i wścibskim, potrzebowałem jednak sługi i przewodnika, a tak się już przyzwyczaiłem do jego humorów, że chwilami nawet bawiły mnie one. Rozmyślając nad tym i nie mogąc się zdecydować, zapytałem, czy zna drogi, miasta itd. w

północnej Szkocji, dokąd może będę musiał się udać w interesach, które mój ojciec tam prowadził z właścicielami lasów w górskim okręgu. Przypuszczam, że gdybym wówczas zapytał Andrew o drogę do ziemskiego raję, to obiecałby mi ją wskazać.

I właściwie powinienem się cieszyć z tego, że jak się później okazało, jego zapewnienia nie całkiem były gołosłowne. Oznaczyłem mu przeto wysokość pensji i zastrzegłem sobie prawo odprawienia go w każdej chwili, płacąc mu tylko jednotygodniowe wymówienie. Dałem mu w końcu surową naganę za jego zachowanie się wczorajszego dnia i odprawiłem uradowanego w cichości serca, choć strojącego kwaśną minę. Poszedł, by swemu przyjacielowi organiście, który popijał w kuchni ranny kufel piwa, pochwalić się, jak utarł nosa smarkatemu angielskiemu pankowi.

Tak jak było umówione, udałem się następnie do pana Jarvie. Obfite poranne śniadanie było przygotowane w bawialnym pokoju, który zacnemu radnemu służył też za miejsce pracy. Ruchliwy i dobrotliwy dostojnik miejski dotrzymał słowa. Zastałem mego przyjaciela Owena, który wolny, po oczyszczeniu się, odświeżeniu wodą i szczotką, był zupełnie niepodobny do Owena-więźnia, zasmolonego i beznadziejnie zgnębionego. Jednakże poczucie czyhających nań ze wszystkich stron finansowych trudności przygniatało go ciężką troską, a ojcowskiemu prawie uściskowi, jakim mnie powitał, towarzyszyło głębokie westchnienie. Gdy zasiadł do stołu, dostrzegłem znużenie w jego oczach i ruchach. Ten jego nastrój, tak różny od właściwego mu pogodnego zadowolenia, dowodził, że liczy dni i minuty dzielące nas od terminu płatności weksli, ich protestu i upadłości wielkiej firmy Osbaldistone i Tresham. Mnie zatem tylko przypadło w udziale świadczyć honory gościnnemu gospodarzowi, chwalić jego prosto z Chin przywiezioną herbatę, którą dostał w prezencie od jakiegoś wybitnego armatora, zachwycać się kawą z własnej plantacji na Jamajce, angielskimi grzankami, piwem, szkockim suszonym łososiem, śledziami, a nawet adamaszkowym obrusem „tkanym, zgadniecie pewnie, czyją ręką” — tak, ręką nieboszczyka ojca, czcigodnego cechmistrza Jarvie.

Zjednawszy sobie naszego dobrotliwego gospodarza tymi małymi dowodami uznania, tak przez większość ludzi wysoko cenionymi, starałem się z kolei wydostać od niego trochę wiadomości, które by mi się w przyszłości przydać mogły, a już teraz zaspokoilyby moja

ciekawość. Ponieważ dotychczas nie było wcale wzmianki o zajściach minionej nocy, więc może trochę niespodziewanie, bez przejścia, w przerwie między skończoną historią obrusa a mającą się zacząć historią serwet, zagadnałem:

— Nawiasem mówiąc, panie Jarvie, kto to jest ten Robert Campbell, z którym rozmawialiśmy ostatniej nocy?

To pytanie widocznie zaskoczyło zacnego gospodarza, gdyż zamiast odpowiedzi powtórzył:

— Kto to jest Robert Campbell?... hm... ach... Kto to jest Campbell, pytacie?

— Tak — odpowiedziałem — rad bym wiedzieć, kim i czym on jest.

— No, on jest, hm... on jest ha... Gdzie wyście poznali Roberta Campbella, jak go nazywacie?

— Spotkałem się z nim przypadkowo — odpowiedziałem — parę miesięcy temu w północnej Anglii.

— Kiedy tak, panie Osbaldistone — oświadczył radny krótko — to wiecie o nim tyle, co i ja.

— Nie sądziłbym, panie Jarvie — odpowiedziałem. — Pan jest jego krewnym i jak się zdaje, przyjacielem.

— Jest między nami pewne pokrewieństwo, to prawda — odpowiedział niezbyt chętnie radny — ale mało się widywaliśmy od czasu, jak Rob porzucił swój handel bydłem, biedak! Źle nim pokierowali ci, którzy mogli go byli lepiej użyć, a i sami też na tym dobrze nie wyszli. Niejeden dziś żałuje, że biednego Robina wygnano z targu w Glasgow. Niejeden wolałby go znów widzieć gnającego stado trzystu wołów niż na czele trzydziestu sztuk skradzionego bydła.

— To wszystko mi jeszcze nie tłumaczy, panie Jarvie, jakie jest stanowisko życiowe Campbella, jakie są jego zwyczaje i źródła dochodu.

— Stanowisko? — powtórzył pan Jarvie. — Jest szlachcicem dobrego rodu... Lepszego stanowiska chyba nie potrzeba. Co do zwyczajów, to zapewne w górach nosi strój górali szkockich, chociaż ile razy jest w Glasgow, ma na sobie spodnie do konnej jazdy... Co do źródeł dochodu, to co nas one obchodzą, skoro nic od nas nie żąda? Ale ja nie mam czasu gadać tu o nim właśnie teraz; musimy prędko zabrać się do wejrzenia w stan interesów waszego ojca.

To mówiąc włożył okulary i zasiadł do rozpatrzenia informacji i dokumentów przedłożonych przez Owena, gdyż ten uważał za

najrozsądniejsze niczego przed nim nie taić. Rozumiałem się tyle na interesach, by ocenić, że poglądy pana Jarvie na oddane mu do zbadania sprawy były wielce bystre i trafne. Trzeba też przyznać, że odznaczały się sprawiedliwością, a nawet wielką wyrozumiałością. Co prawda poskrobał się kilkakrotnie w ucho przejrzawszy bilans, który wykazał debet firmy Osbaldistone i Tresham w stosunku do niego.

— Może to będzie strata — zauważył — i Bóg widzi! ciężki to byłby dla mnie deficyt. Ale cóż robić? Jakoś mam nadzieję, że mimo wszystko firma wypłat nie zawiesi. A jeżeli nawet do tego dojdzie, to ja nie postąpię tak podle jak te kruki z Gallowgate... Jeżeli poniosę stratę, to jednak nie zaprzeczę, że dzięki wam zarobiłem niejeden ładny grosz... Toteż gdyby nawet miało przyjść do najgorszego, jeszcze jakoś będziemy radzić.

To wszystko nie bardzo mnie pocieszało, widziałem jednak, że radny brał życzliwy i przyjazny udział w porządkowaniu interesów mego ojca, że poddawał różne sposoby, pochwalał niektóre plany wysuwane przez Owena i otuchą swoją i radą w znacznej mierze rozpedził chmury na obliczu tego strapionego poczciwca.

Ponieważ byłem bezczynnym świadkiem tej narady, a może i dlatego, że parokrotnie zdradzałem ochotę powrócenia do zakazanego i, zdaje się, drażliwego tematu, mianowicie do osoby Campbella, pan Jarvie wyprawił mnie bez ceremonii, radząc, bym się przeszedł w stronę kolegium, gdzie znajdę takich, co dobrze mówią po grecku i po łacinie, „a przynajmniej dostają ciężki grosz, by się do tych studiów przykładali”, gdzie warto jest zajrzeć do tłumaczenia Pisma świętego przez Zachariasza Boyd.

— Trudno o lepszą poezję — dodał — tak przynajmniej zapewniają ci, co się na tym znają lub znać się powinni.

Odprawę swoją osłodził jednak uprzejmym i gościnnym zaproszeniem, bym wrócił zjeść razem familijny obiad punkt o pierwszej... bo zawsze jada o tej godzinie, podobnie jak ongi ojciec jego, cechmistrz, który nie spóźniał się na obiad nigdy, dla niczego i dla nikogo.

## ROZDZIAŁ XXV

Tak łowca tracki, ostrą zbrojny dzida,  
Stoi w zasadzce, na niedźwiedzia czyha —  
Już słyszy łomot deptanych gałęzi,  
Już widzi z dala chwiejące się krzaki  
I myśli: oto wróg śmiertelny dąży —  
W tej walce jego lub mnie śmierć pograży.  
Palamon i Arcie/249

Poszedłem w kierunku kolegium, jak mi pan Jarvie radził, nie tyle z ciekawości i nie dla szukania rozrywki, ile raczej, by uporządkować własne myśli i zastanowić się nad dalszym postępowaniem. Mijałem tedy jeden za drugim czworoboki starożytnych budowli, aż doszedłem do podwórca kolegium czy spacerowego placu. Dogadzała mi samotność tego miejsca. Większość studentów zajęta była w salach, przechadzałem się więc tam i z powrotem, dumając nad dziwacznością kolei mego losu.

Wnosząc z okoliczności, wśród których nastąpiło moje pierwsze spotkanie z Campbellem, nie mogłem wątpić, że wdaje się on w jakieś bardzo awanturnicze przedsięwzięcia. Powściągliwość, z jaką pan Jarvie mówił o nim i jego sprawach, nie mniej jak owe zajścia ostatniej nocy jeszcze mnie w tych podejrzeniach utwierdziły. Jednakże tego samego człowieka Diana nie wahała się prosić o poparcie dla mnie. Stosunek samego radnego do jego osoby wykazywał dziwną mieszaninę życzliwości, a nawet szacunku z litością i naganą. Musiało więc być coś niezwykłego w jego doli i charakterze. Co dziwniejsze, zdawało się, że jakieś przeznaczenie wiąże los jego z moim i uzależnia mnie od niego. Postanowiłem wybadać radnego Jarvie przy najbliższej sposobności i wywiedzieć się wszystkiego o tej zagadkowej osobistości, ażebym mógł osądzić, czy jest dla mnie możliwe, abym bez ujmy dla dobrego imienia mógł utrzymywać z nim nadal stosunki, do których zdawał się mnie zachęcać.

Gdy tak dumałem o tych sprawach, ujrzałem nagle trzy osoby ukazujące się wyżej na ścieżce, po której spacerowałem, zajęte, jak się zdawało, poważną rozmową. Ta intuicja, która dużo wcześniej ostrzega o bliskości osoby bardzo kochanej lub nienawidzonej, zanim obojętne oko jest w stanie ją poznać, wzbudziła we mnie pewność, że



między zbliżającymi się jest Rashleigh. Pierwszym moim odruchem było zaczepić go, drugim — przeczekać, aż zostanie sam, a przynajmniej poznać, kim są jego towarzysze, zanim stanę przed nim. Byli jeszcze tak daleko i tak zagłębieni w rozmowie, że miałem czas niespostrzeżenie przemknąć na drugą stronę niskiego żywopłotu, osłaniającego częściowo ścieżkę, po której szedłem.

W owym czasie młodzi i weseli kawalerowie nosili modne szkarłatne płaszcze, nieraz koronką i haftem ozdobione, przy czym eleganci układali je niekiedy w ten sposób, że fałdami częściowo zakrywali twarz. Naśladując tę modę, ukryty za płotkiem, uszedłem uwagi kuzyna i jego towarzyszy. W tych zaś, ku przykremu zdziwieniu, poznałem tego samego Morrisa, z powodu którego wezwany byłem przed sędziego Inglewooda, i pana Mac Vittie, kupca, którego surowy i sztywny wygląd zraził mnie dnia poprzedniego.

Bardziej złowróżbną kombinację dla własnych moich i mego ojca spraw trudno było sobie wyobrazić. Pamiętałem wniesione przeciw mnie fałszywe oskarżenie Morrisa i zdawałem sobie sprawę, że namówiony do tego mógłby je ponowić równie łatwo, jak je pod wpływem strachu odwołał. Przypomniałem sobie dalej zgubne działanie pana Mac Vittie, który złośliwie, jakby chcąc zaszkodzić sprawom mego ojca, spowodował uwięzienie Owena. I oto teraz ujrzałem tych dwóch w porozumieniu z człowiekiem, którego iście szatańska niegodziwość budziła we mnie już nie tylko wstręt, ale nieledwie strach.

Gdy ci trzej minęli mnie i wyprzedzili o kilka kroków, zawróciłem i nieznacznie poszedłem za nimi. U końca ścieżki pożegnali się — Morris i Mac Vittie opuścili ogród, a Rashleigh wracał tą samą drogą. Postanowiłem stanąć przed nim i żądać naprawienia krzywdy wyrządzonej memu ojcu, choć jakim sposobem stać się to miało, sam jeszcze nie wiedziałem, losowi to zostawiając. Odrzucając płaszcz, przeszedłem przez dziurę w płocie i stanąłem przed Rashleighem, który głęboko zadumany szedł prosto przed siebie.

Rashleigh nie był człowiekiem, którego łatwo było zaskoczyć lub wytrącić z równowagi. Jednakże ujrzawszy mnie tak nagle i tak blisko, z tym wyrazem oburzenia, jaki musiał się malować na mej twarzy, skoro tyle go było w mej duszy — drgnął jak przed niespodziewanym a nagłym zjawiskiem.

— Dobrze, że was widzę — zacząłem — miałem właśnie udać się w długą a niepewną drogę, by was odszukać.

— W takim razie nie znacie tego, kogo szukacie — odparł z właściwym sobie niewzruszonym spokojem. — Mnie łatwo mogą znaleźć przyjaciele, a jeszcze łatwiej wrogowie. Wasze zachowanie się zmusza mnie do pytania, za kogo mam was uważać, panie Francis Osbaldistone.

— Za wroga — odpowiedziałem — za śmiertelnego wroga, jeżeli natychmiast nie naprawicie szkody wyrządzonej dobroczyńcy waszemu, a mojemu ojcu, zdając rachunek z tego, co jest jego własnością.

— A przed kimże ja, panie Osbaldistone — odpowiedział Rashleigh — ja, członek handlowej firmy waszego ojca, mam zdawać rachunek z postępowania mojego w sprawach, które prowadzę, jakby były moje własne? Przecież chyba nie przed młodym paniczem, którego wykwinny smak literacki osądziłby te sprawy jako nudne i niezrozumiałe?

— Te drwiny nie są żadną odpowiedzią. Nie opuszczę was, póki nie osiągnę zupełnego zadośćuczynienia. Pójdziecie ze mną do sądu.

— Niech i tak będzie — rzekł Rashleigh i postąpił parę kroków, jak gdyby chcąc mi towarzyszyć, przystanąwszy jednak, mówił dalej: — Gdybym chciał was posłuchać, przekonalibyście się prędko, kto z nas powinien więcej obawiać się sądu. Ale ja nie pragnę przyśpieszać tego, co was czeka. Idźcie, młodzieńcze! Zabawiajcie się w waszym świecie poetyckich fantazji, a sprawy życia pozostawcie tym, którzy je rozumieją i prowadzić potrafią.

Intencją jego było najwidoczniej sprowokowanie mnie i to mu się udało.

— Panie Osbaldistone — odpowiedziałem — ja nie pozwolę na ten ton urągliwy. Pamiętajcie, że obaj nosimy nazwisko, które nigdy nie znosiło zniewagi, więc i w mojej osobie jej nie zniesie.

— Przypominacie mi sami — odparł Rashleigh ze spojrzeniem pełnym nienawiści — że w mojej osobie zostało ono znieważone! Przypominacie mi także, przez kogo! Czy myślicie, że zapomniałem o owym wieczorze w Osbaldistone Hall, gdy wy bezkarnie zabawialiście się w brutala moim kosztem? Za tę zniewagę, którą tylko krew zmazać może, za to, że tylokrotnie wchodziliście mi w drogę, za głupi upór, z jakim dążycie do niweczenia planów, których

doniosłości ani nie znacie, ani nie jesteście zdolni zrozumieć. Za wszystko to winniście mi zdać sprawę, a dzień porachunku niedaleki.

— Czekam i jestem gotów każdej chwili — odpowiedziałem. — Jednakże zapomnieliście, zdaje się, o najcięższym zarzucie, że miałem szczęście dopomóc rozsądkowi i cnocie panny Vernon do wyswobodzenia się z sieci waszych niecznych intryg.

Przy tej osobistej wzmiance ciemne oczy Rashleigha wprost błyskawice cisnęły, głos jednak mimo to brzmiał równie spokojnie i wyraziście, jak poprzednio.

— Miałem względem was inne zamiary, młodzieńcze — odpowiedział — nie tak niebezpieczne dla was, a odpowiedniejsze do charakteru mojego i poprzedniego wychowania. Widzę jednak, że muszę was skarcić tak, jak na to wasza dziecinna zuchwałość zasługuje. Pójdźcie na ustronniejsze miejsce, gdzie nam tak łatwo nikt nie przeszkodzi.

Poszedłem tedy za nim, pilnie bacząc na każdy jego ruch, gdyż sądziłem, że jest zdolny do wszystkiego najgorszego. Doszliśmy do otwartego pałacyku na uboczu, urządzonego w holenderskim guście, otoczonego ciętym żywopłotem i zdobnego kilku posągami. Byłem wciąż czujnie na straży i dobrze się stało, gdyż Rashleigh wyciągnął szablę i już sięgał mej piersi, zanim jeszcze zdążyłem płaszcz zrzucić i broń z pochwy wyciągnąć. Zaledwie uchroniłem życie uskakując wstecz parę kroków. Rashleigh miał pewną wyższość nade mną, a to dzięki swej broni: jego szabla była dłuższa od mojej i miała klingę bagnetową, czyli o trzech powierzchniach, moja zaś miała tak zwaną saską klingę — wąską, płaską, o dwóch powierzchniach i była mniej sprawna w użyciu. Pod innym względami byliśmy sobie mniej więcej równi, bo jeżeli ja górowałem zręcznością, Rashleigh przewyższał mnie siłą i opanowaniem. Walczył, istotnie, nie jak człowiek, a raczej jak diabeł wcielony — z nienawiścią i krwiożerczością, hamowaną jedynie chłodnym rozmysłem. Choć najwyraźniej dążył do zabójstwa, to jednak ani na chwilę nie opuszczała go czujność. Stosował wszelkie finty i sztuki obronne, obmyślając równocześnie, jak zadać cios śmiertelny.

Ja ze swej strony początkowo walczyłem z większym umiarkowaniem. Choć w namiętnościach porywczy, nie miałem złej woli, a przez te parę minut, gdy szliśmy razem, zdążyłem rozważyć, że Rashleigh był bratankiem mego ojca, że był synem stryja, który po

swojemu był dobry dla mnie, i że gdyby padł z mojej ręki, byłoby to wielkim zmartwieniem w rodzinie. Toteż zrazu postanowiłem tylko dążyć do rozbrojenia przeciwnika, a ufając w swoją wprawę i większą zręczność, nie przewidywałem poważniejszych trudności. Przekonałem się jednak, że znalazłem godnego przeciwnika, a parę ciosów, którym ledwie ująć zdołałem, zniewoliło mnie do większej ostrożności. Stopniowo zawziętość, z jaką Rashleigh godził na moje życie, napełniła mi serce goryczą i zacząłem zadawać ciosy z podobną zaciętością, tak że wydawało się, iż pojedynek nasz musi skończyć się tragicznie. Mało też brakowało, a ja byłbym padł ofiarą. W chwili wypadu ku przeciwnikowi pośliznęła mi się noga i nie mogłem dość prędko odzyskać równowagi, by odeprzeć jego kontratak. Na szczęście skutek tego był zaledwie taki, że szabla Rashleigha ośliznąwszy się po żebrach przebiła mi tylko kamizelkę. Rękojeść jednak skutkiem gwałtowności ciosu tak mocno i boleśnie uderzyła mnie w piersi, że w pierwszej chwili myślałem, iż jestem śmiertelnie ranny. Zapłonąłem zemstą. Zacząłem walczyć z bliska i chwyciwszy lewą ręką rękojeść jego szabli, już miałem przeszyć go na wylot. Śmiertelną naszą walkę przerwał nagle mężczyzna, który siłą wdarł się między nas i rozdzielając nas, głośno i rozkazująco zawołał:

— Jak to! Synowie ojców, którzy tę samą pierś ssali, krew swoją rozlewają, jakby to była krew obca! Przysięgam na prochy ojca, że przebiję na wylot tego, który pierwszy rękę podniesie do ciosu!

Spojrzałem zdziwiony. Przed nami stał Campbell! Trzymał w ręku obnażony rapier i na poparcie swych słów kręcił nim ze świstem młyńca nad głową.

Rashleigh i ja w milczeniu patrzyliśmy na tego niepowołanego pośrednika, który gromił nas obu na przemian.

— Czy wy sobie, panie Franku, wyobrażacie, że ocalicie kredyt waszego ojca podcinając gardło waszemu krewnemu albo swoje narażając na pętlę?... Albo wy, panie Rashleigh, czy sądzicie, że ludzie zechcą powierzyć życie swe i losy komuś, kto, biorąc na swą odpowiedzialność polityczną sprawę wielkiej wagi, awanturuje się jak pijany pacholek?... Nie, nie, człowieku, nie patrzcie na mnie takim złym okiem, bo ja tam was się nie przestraszę.

— Wynosicie się nade mnie korzystając z mej chwilowej sytuacji — odpowiedział Rashleigh — inaczej nie ośmielilibyście się wtrącać tam, gdzie idzie o mój honor.

— Ejże, ejże!... wynoszę się? A gdyby nawet, to co?... Możecie być bogatszym człowiekiem, panie Osbaldistone, i tak też zapewne jest. Możecie być uczeńszym, czemu nie przeczę, ale zdaje mi się, że nie jesteście ani dzielniejszym człowiekiem, ani lepszym szlachcicem ode mnie, a będzie to dla mnie czymś nowym, gdy się dowiem, że jesteście mnie równi... I „ośmieliłem się”, mówicie? Ech, wiele śmiałości na to nie potrzeba! Jak tu stoję, mógłbym wam obu dać rady, i to bez trudu.

Rashleigh tymczasem odzyskał zimną krew.

— Mój krewny — rzekł — musi przyznać, że spór wynikł z jego winy. Ja go nie szukałem. Rad jestem, że nam przerwano, zanim surowo nie skarciłem jego zuchwałości.

— Czyś ranny, młodzieńcze? — zapytał mnie Campbell z pewnym współczuciem.

— Bardzo lekkie zadrażnienie — odpowiedziałem — którym miły mój kuzyn nie byłby się długo przechwalał, gdybyście wy, panie, między nas nie wkroczyli.

— To prawda, panie Rashleigh — rzekł Campbell — gdyż zimna stał zapoznałaby się z gorącą krwią waszą, gdybym w sam czas nie powstrzymał ręki pana Francisa. Ale, na miłość Boską, nie odymajcie się tak, człowieku! Pójdźcie ze mną, przejdziemy się. Mam dla was nowiny... ochłoniecie i przyjdziecie do siebie.

— Przepraszam was, panie — rzekłem. — W waszych zamiarach względem mnie dojrzałem życzliwość już niejeden raz, ale nie mogę i nie chcę stracić z oczu tego człowieka, dopóki nie wyda mi środków koniecznych do zadośćuczynienia zobowiązaniom mojego ojca, które zdradziecko zagarnął.

— Dajcie pokój — odpowiedział Campbell — na nic wam się nie przyda iść teraz za nami. Dość macie jednego człowieka, chcecie sobie dwóch ściągać na głowę?

— Choćby dwudziestu — odpowiedziałem — jeśli tego trzeba. Chwyciłem Rashleigha za kołnierz. Nie stawiał oporu, tylko rzekł ze wzgardliwym uśmiechem:

— Słyszycie go, Mac Gregor, przecież on sam leci na własną zgubę! Czy moja będzie wina, jeżeli zginie? Rozkaz aresztowania jest już z pewnością wydany i wszystko jest przygotowane.

Szkot widocznie był zakłopotany. Rozejrzył się, a potem rzekł:

— Nigdy się na to nie zgodzę, by miał wpaść w nieszczęście za to, że stawał w obronie rodzzonego ojca. Niech piorun trzaśnie wszystkich urzędników, sędziów, radnych, prokuratorów, policjantów, konstabli i całe to czarne bydło, które od stu lat jest plagą biednej starej Szkocji. Dobry to był świat, gdy każdy żył sobie, jak chciał, a kraju nie dręczyły nakazy, zakazy, areszty i cała ta piekielna siła... I jeszcze raz powtarzam, moje sumienie na to nie pozwoli, by biednego, nieopatrzonego chłopaka wpędzono w nieszczęście, zwłaszcza w ten sposób. Już bym nawet wołał, żebyście dalej się bili i szablą rozstrzygnęli spór, jak na porządnym, uczciwym ludzi przystało.

— Wasze sumienie, Mac Gregor! — rzekł Rashleigh. — Zapominacie, jak dawno się znamy.

— Tak, moje sumienie — odparł Campbell czy Mac Gregor, czy jak go tam zwali. — Czuję je w sobie, panie Osbaldistone. Być może, że pod tym względem mam nad wami przewagę. A co do tego, że się od dawna znamy — to jeżeli wy wiecie, jaki jestem, wiecie także, jakie doznane krzywdy zrobiły mnie tym, czym jestem. I cokolwiek byście o tym myśleli, nie zamieniłbym się z żadnym z tych moich dumnych ciemieńców, którzy doprowadzili mnie do tego, że wrzosowisko jest mi łóżem i pościelą. A czym wy jesteście, panie Rashleigh, i co wy macie na usprawiedliwienie, że jesteście tym, czym jesteście? To już jest tajemnicą waszego serca. A teraz, panie Francis, puście jego kołnierz, gdyż prawdę on mówi, że spotkanie z urzędnikiem niebezpieczniejsze jest dla was niż dla niego, a gdyby nawet wasza sprawa była biała jak śnieg, on zawsze znajdzie sposób, aby dowieść, że jest czarna. Więc puszczajcie go, mówię wam.

Słowa swoje poparł czynem tak nagle i niespodziewanie, że uwolnił Rashleigha od mojego chwytu, i trzymając mnie mocno, choć się opierałem, w swoich herkulesowych ramionach zawołał:

— Uciekajcie, panie Rashleighu! Przecież wy to umiecie! To nie pierwszy raz!

— Możecie temu panu podziękować, kuzynie — przemówił Rashleigh — jeżeli teraz wam nie płacę choć części tego, co wam się ode mnie należy. Jeżeli zaś was opuszczam, to w nadziei, że spotkamy się niebawem, a wtedy nikt nam nie przeszkodzi.

Podjął swoją szablę, otarł ją, włożył w pochwę i znikł wśród krzaków. Szkot częściowo siłą, częściowo perswazjami powstrzymał mnie od ścigania go, ja zaś też zaczynałem rozumieć, że niewiele bym wskórał.

— Niechaj już nigdy chleba nie zobaczę! — zawołał Campbell, gdy wykazawszy swą fizyczną przewagę w tarמושeniu się ze mną, przekonał się, że już się uspokoiłem. — Jak żyję, nie widziałem tak upartego kozła! Mógłbym dać nauczkę najtęższemu rębaczowi kraju, gdyby mi się sprzeciwiał tak jak wy. I czegoście chcieli?... Iść za wilkiem do jego nory? Mówię wam, już on nastawił starą łapkę na was... Nasłał na was tego błazna Morrisa, żeby znów tę starą historię wyciągnął, a teraz nie moglibyście liczyć na moją pomoc, tak jak to było u sędziego Inglewoda. Nie wyszłoby mi na zdrowie włączyć w ręce sędziów wigamorów/527. No, wracajcie spokojnie do domu, schodźcie z oczu Rashleighowi, Morrisowi i temu bydlakowi Mac Vittie... Pamiętajcie o Aberfoil. Już wam mówiłem — słowo szlacheckie daję, że nie pozwolę was skrzywdzić. Ale zachowujcie się spokojnie, dopóki się nie zobaczymy. Pójdę i może mi się uda wyciągnąć Rashleigha z miasta, zanim coś złego z tego wyniknie, bo on zawsze coś złego knuje... Pamiętajcie o Aberfoil.

Obrócił się na pięcie i pozostawił mnie rozmyślaniom nad dziwnymi wypadkami, jakie mnie spotykały.

Przede wszystkim uporządkowałem swe ubranie i zarzuciłem płaszcz, nakrywając fałdami krew spływającą z prawego boku. Ledwie zdążyłem to zrobić, gdy skończyły się zajęcia w kolegium i ogrody wypełniły się wychodzącymi studentami. Usunąłem się stamtąd co prędzej i śpiesząc do pana Jarvie, bo już nadchodziła jego obiadowa godzina, zatrzymałem się przed drzwiami, na których napis głosił, że wiodą do Christophera Nielsona, chirurga i aptekarza. Małemu kręcącemu coś w mózdzierzu chłopcu oznajmiłem, że chciałbym się widzieć z panem aptekarzem. Otworzył mi drzwi do tylnego pokoju, gdzie zastałem żwawego staruszka, który z niedowierzaniem potrząsając głową wysłuchał jakiejś bajeczki, że niby to gałka ochronna odpadła od szpady mego przeciwnika, gdy zabawiliśmy się walką na rapiery. Gdy już przyłożył plaster na moją niewielką ranę, pokiwał głową i zauważył:

— Nigdy tam nie było gałki na szpadzie, która tę ranę zadała. Ech, miłość! Gorąca krew!... Ale my, chirurdzy, umiemy tajemnicy dochować... Gdyby nie gorąca krew, gdyby nie gniewy i waśnie, z czego by żyły uczone fakultety?

Wygłosiwszy tę uwagę pożegnał mnie, a zdraśnięcie to już mi potem większego bólu nie sprawiało i żadnych złych następstw nie pociągnęło.



## ROZDZIAŁ XXVI

Ten skalny kraj żelazny chowa ród,  
Co wrogiem jest spokojnych ludzi z nizin.

« « «

Ród, który ufny w szańce swoich skał  
Chroniących jego głód i wolność jego,  
Zuchwałość swoją stawiał w miejsce praw  
Równinny grabiąc kraj...

GRAY/259

Czemu pan się tak spóźnił?—powiedział radny, gdy wchodziłem do jadalni tego zacnego obywatela. — Jest już dobre pięć minut po oznaczonej godzinie. Mattie już dwa razy była pod drzwiami z obiadem i twoje szczęście, że mamy cielecą główkę, która bez szkody może czekać. Bo barania główka przegotowana to czysta trucizna, jak mój świętej pamięci ojciec mawiał, a on lubił baranie uszka, kochany człowiek!

Przeprosiłem grzecznie za swoją niepunktualność i w chwilę potem już siedziałem za stołem, przy którym Jarvie prezydował z wielkim humorem i gościnnością, przy czym jednak zmuszał Owena i mnie do zjadania większej ilości szkockich smakołyków, niżbyśmy pragnęli, jako pochodzący z południa. Ja tam sobie jeszcze jakoś dawałem radę, mając wyrobienie towarzyskie i umiając wywinać się od tej szczerzej, choć kłopotliwej gościnności. Zabawnie jednak było patrzeć na Owena, który mając o grzeczności pojęcie surowsze i bardziej formalistyczne gotów był swój szacunek dla przyjaciela firmy stwierdzać uległością i markotnym posłuszeństwem. Łykał on kęs za kęsem przypalonej wełny, chwalać ją przy tym głosem, w którym ledwie opanowane obrzydzenie walczyło z wielką uprzejmością.

Gdy zdjęto obrus, gospodarz własnoręcznie przyrządził małą wazę ponczu, takiego, jaki miałem szczęście pierwszy raz popijać.

Cytryny, jak nas zapewniał, pochodzą z jego własnej małej fermy tam daleko (ruchem ramienia zaznaczył, że ma Indie Zachodnie na myśli), a nauczył się przyrządzania tego napoju od starego kapitana Conffinkey, który zdobył ten sekret (dodał szeptem), jak ludzie mniemali, u korsarzy.

— Ale to wyborny napój — rzekł częstując nas — a dobry towar często przychodzi z gałgańskiego rynku. Co do kapitana Conffinkey,

był to bardzo porządny człowiek, gdy go poznałem, tylko że kłął obrzydliwie... Ale on już nie żyje, poszedł przed sąd Pański i mam nadzieję, że dostąpi łaski... tak, mam nadzieję, że dostąpi łaski.

Nadzwyczajnie smakował nam ten napój, który przy tym dawał sposobność do długiej gawędy Owena z radnym o widokach, jakie Unia otwierała dla handlu między Glasgow a angielskimi koloniami w Ameryce i Indiach Zachodnich, a także o łatwości, z jaką to miasto mogłoby zaopatrywać ten rynek w odpowiednie towary. Na pewne zarzuty Owena, że trudno jest dobrać ładunek dla Ameryki bez dokupywania w Anglii, pan Jarvie odpowiadał gradem gwałtownych argumentów.

— Nie, nie, panie... My stoimy na własnych nogach... Nie potrzebujemy sięgać do cudzych zasobów. Mamy własne wełny ze Stirling, własne sukna z Musselburgh, pończochy z Aberdeen, lżejsze wełny z Edynburga i tym podobne, a co się tyczy wełnianych i tkackich towarów, mamy płótna wszelkiego rodzaju, lepsze i tańsze niż nawet w Londynie. Towary, które sprowadzacie z północnej Anglii, możemy kupować w Manchester, Sheffield i Newcastle równie tanio, jak wy w Liverpoolu. Zaczynamy też ślicznie wyrabiać towary bawełniane i muśliny... Nie, nie! Niechaj tam każdy śledź wisi za własną głowę, a baran każdy za własną nogę, a zobaczycie, mój panie, że nie jesteśmy tak znów bardzo za wami w tyle i że dotrzemy wam kroku... To wszystko pana nie bardzo zajmuje, panie Osbaldistone — zwrócił się do mnie (zauważywszy, że milczę od pewnego czasu) — ale pan wie, że szewc lubi gadać o butach.

Przeprosiłem podając za powód roztargnienia przykre okoliczności, w jakich się znalazłem, i dziwną przygodę tego ranka. W ten sposób zyskałem to, czego pragnąłem — sposobność opowiedzenia, co mnie spotkało, szczegółowo i bez przerywania. Nie wspomniałem tylko o ranie odniesionej, uważając, że o tym nie warto mówić.

Pan Jarvie słuchał uważnie i z zainteresowaniem, mrugał siwymi oczkami zażywając tabaki i przerywał mi tylko krótkimi wykrzyknikami. Gdy doszedłem w opowiadaniu do chwili naszej bitki, Owen złożył ręce i oczy podniósł ku niebu, żywy obraz żalostnego zdumienia, a pan Jarvie przerwał mi mówiąc:

— Źle, bardzo źle! Dobyć miecza na swego krewnego! Tego zakazują prawa boskie i ludzkie. Za dobyte miecza na ulicach królewskiego grodu jest kara grzywny i więzienia. Ogrody kolegalne nie mają

lepszyc przywilejów, one powinny być miejscem pokoju i ciszy! Kolegium nie na to dostaje sześćset funtów rocznie z dochodów biskupich i zwolnienie z opłaty czynszów od arcybiskupstwa Glasgow, żeby dopuszczać do burd w swoich ogrodach albo pozwalać dzikim chłopakom bić się śnieżkami, co widzę, gdy przechodzę tamtędy z Mattie. Musimy okupywać się dygiem i ukłonem, inaczej śnieżkami głowy by nam rozbili/1... Trzeba będzie w to wejrzeć. Ale proszę opowiadać dalej. Co się potem stało?

1/ Dawniej w Szkocji chłopcy urządzali sobie zabawy obrzucając przechodniów gradem śnieżnych kul. Zaatakowani mogli się tanio wykupić — wystarczał ukłon mężczyzny lub dygnięcie kobiety. Burza rozpętywała się jednak, gdy ktoś uparcie odmawiał tego „okupu” (.przyp. aut.).

Gdy wspomniałem o zjawieniu się Campbella, Jarvie zerwał się i zdumiony zaczął biegać po pokoju wołając:

— Znowu Robin!... On oszalał!... Naprawdę rozum stracił! Pójdzie na szubienicę! Zhańbił cały swój ród i głośno o tym będzie! Mój ojciec, cechmistrz, utkał mu pierwsze pończochy... Ej, myślę sobie, czy czasem cechmistrz Threepie, powroźnik, nie ukreći mu ostatniego krawata! Tak, tak, biedny Robin, on zmierza prosto na szubienicę... No, ale mówcie, co było dalej.

Opisałem jak najdokładniej całą historię, ale radny czuł, że jest w tym jakieś niedopowiedzenie, tak że w końcu, choć niechętnie, cofnąłem się aż do przeprawy z Morrisem i mojego spotkania z Campbellem w domu sędziego Inglewooda. Jarvie wysłuchał wszystkiego z powagą, a gdy skończyłem, milczał czas jakiś.

— Chciałbym w tej sprawie zasięgnąć teraz pańskiej rady, panie Jarvie, gdyż ona, nie wątpię, wskaże mi najlepszą drogę działania w interesie ojca i własnego mojego honoru.

— Masz słuszość, młodzieńcze, masz słuszość — rzekł radny. — Tak jest, radź się tych, którzy są starsi i mędrsi od ciebie, i nie bądź podobnym do bezbożnego Raboama/262, który radził się gołowąsych smyków zamiast słuchać starych doradców, co siadywali u stóp ojca jego, Salomona, i jak to ładnie powiedział Meiklejohn w swym kazaniu na temat tego rozdziału, niewątpliwie byli uczestnikami jego mądrości. Ale o honorze nic nie chcę słyszeć. My tutaj znamy tylko kredyt. Honor to mężobójca i krwawy awanturnik, co ulicami się

włóczy i burdy wyprawia, a kredyt to porządny, uczciwy obywatel, co siedzi w domu i warsztatu pilnuje.

— Tak, panie Jarvie — wtrącił Owen — kredyt to suma ogólna. Obyśmy ją uratowali, choćby przyszło płacić grube dyskonto...

— Macie słuszość, panie Owen, macie słuszość, dobrze i mądrze mówicie, i mam też nadzieję, że partia kregli pójdzie dobrze, choć się chwilowo kule gdzieś rozbiegły. Ale co się tyczy Robina, to jestem zdania, że on temu młodzieńcowi da przyjacielską pomoc, jeżeli to tylko będzie w jego mocy. On ma dobre serce, ten biedny Robin, a chociaż straciłem dawniej jakieś dwieście funtów przez niego i nie bardzo się spodziewam kiedykolwiek zobaczyć ten tysiąc funtów szkockich, które mi teraz obiecuje oddać, to jednak nie mogę powiedzieć... Robin poczciwie traktuje ludzi.

— Zatem mogę go uważać za uczciwego człowieka? — spytałem.

— Hm! — odkaszlnął radny, zanim odpowiedział. — Tak, on jest uczciwy tak po góralsku, jak to mówią, na swój sposób. Mój ojciec, cechmistrz, śmiał się opowiadając mi, skąd się wzięło to powiedzenie. Pewien kapitan Costlett szeroko się przechwalał lojalnością swoją względem króla Karola, pisarz Pettigrew zaś (pewnieście słyszeli niejedną o nim gadkę) zapytał go, jakim sposobem służył królowi, skoro walczył przeciw niemu pod Worcester w armii Cromwella. Na to kapitan Costlett, że to nigdy nie zapomniał języka w gębie, odpowiedział, iż służył mu na swój sposób. Mój świętej pamięci ojciec zaśmiewał się, gdy mówił, skąd się wzięło to wyrażenie.

— Ale czy pan sądzi — rzekłem — że ten człowiek będzie mi mógł dopomóc „na swój sposób”? Czy mam zaryzykować i udać się na spotkanie, które mi wyznaczył?

— Szczerze i sprawiedliwie: warto spróbować. Widzicie sami, że pozostając tutaj, narażacie się na pewne niebezpieczeństwo. Ten szelma Morris dostał miejsce przy komorze celnej w Greenock, to port na rzece Firth, tuż blisko, a chociaż wszyscy znają go i wiedzą, że to dwunożne stworzenie o ośle głowie i zajęczym sercu, które chodzi po bulwarze i zadręcza ludzi pytaniami o pozwolenia, faktury, dowody i wszelkie te nudziarstwa, jednakże gdyby zrobił doniesienie, to człowiek w urzędowym charakterze nie mógłby tego pominąć i moglibyście się dostać pomiędzy cztery ściany, co dla interesów waszego ojca nie byłoby dogodne.

— To prawda — zauważyłem — ale co zdrałam w jego interesach opuszczając Glasgow, które prawdopodobnie stanie się głównym terenem intryg Rashleigha? Poza tym czy mogę powierzyć się wątpliwej uczciwości człowieka, którego prawie nie znam, a wiem, że lęka się ręki sprawiedliwości, do czego musi mieć słuszne powody? Wreszcie i o tym pamiętam, że dla jakichś tajemnych i prawdopodobnie niebezpiecznych celów utrzymuje on bliskie stosunki z tym właśnie osobnikiem, który stać się może sprawcą naszej zguby.

— Surowo sędzisz Roba! — odpowiedział radny. — Surowo go sędzisz, biedne dziecko... ale w tym rzecz, że nic nie wiesz o naszej górskiej krainie, o naszych highlanderach, jak my ich nazywamy. To zupełnie osobny gatunek ludzi; nie ma tam u nich sądów, nie ma urzędników, co by od parady szablę nosili, jak świętej pamięci cechmistrz mój ojciec albo nie przymierzając ja, albo inni urzędnicy tego miasta. Tam rozkaz lairda jest prawem, a poza nim jest już tylko prawo sztyletu. Miecz jest tam napastnikiem czy oskarżycielem, jak wy to Anglicy zowiecie, tarcza obrońcą, a wygrywa najtwardsza głowa. Tak to, jeśli chcesz wiedzieć, wygląda krótki góralski proces.

Owen jęknął z głębi serca, ale i ja, muszę przyznać, po tym opisie nie nabrałem większej ochoty do zapuszczania się w okolice gór szkockich, gdzie panuje takie bezprawie.

— Otóż, moi panowie — mówił dalej Jarvie — my tam mało o tych rzeczach mówimy, ponieważ nam wszystkim są one znane. I na cóż zresztą zda się oczerniać własną ojczyznę, ujawniać wady swych rodaków i przyczyniać się w ten sposób, by południowcy i obcy źle o nich sędzili? Zły to ptak, co własne gniazdo kała.

— Rozumiem, ale ponieważ nie skłania mnie do tych pytań niewczesna ciekawość, tylko rzeczywista potrzeba, więc mam nadzieję, że nie obrażę was prosząc o trochę więcej objaśnień. W interesach ojca będę miał do czynienia z paru mieszkańcami tej dzikiej krainy, muszę więc polegać na pańskim rozumie i doświadczeniu, by móc rozeznąć się w tych sprawach.

Ta odrobina pochlebstwa zrobiła swoje.

— Doświadczenie! — podjął radny. — Nabrałem ja doświadczenia, niewątpliwie, a poza tym porobiłem pewne obliczenia... Tak jest i mówiąc między nami, przeprowadziłem pewne wywiady przez Andrew Wyllie, dawnego mojego subiekta. Pracuje on teraz u Mac Vittie et Comp., ale często w sobotni wieczór wypija kieliszek z

dawnym swoim szefem. A ponieważ powiadacie, że chcecie iść za wskazówkami glasgowskiego przedsiębiorcy, toć ja nie taki, żeby odmówić rady synowi starego korespondenta. Ojciec mój, cechmistrz, tak samo by postąpił. Jakiś czas temu myślałem o tym, by zapalić świeczkę przed księciem Argyle albo bratem jego lordem Ilay (bo czemuż światła chować pod korcem?), ale ci wielcy ludzie nie liczą się z takimi jak ja. Więcej baczą na to, kto mówi, niż co się mówi. To wielka szkoda, wielka szkoda. Nie, żebym chciał przez to coś złego powiedzieć o tym Mac Callum More... „Nie przeklinaj bogacza nawet w twojej sypialni — powiada syn Siracha — gdyż ptak z powietrza zanieś gadanie...”

Przerwałem tę przedmowę, w której Jarvie skłonny był błąkać się za długo, prosząc, by uważał Owena i mnie za ludzi zupełnie pewnych i umiejących dochować tajemnicy.

— To nie dlatego — odpowiedział — bo ja się nikogo nie boję. Dlaczego miałbym się bać? Przecież to, co mówię, nie zdrada... Tylko że ręka tych górali daleko sięga, a ja sobie chodzę czasem między wąwozy odwiedzać starych krewniaków i nie chciałbym z własnej winy narazić się któremuś z ich klanów. Ale tedy, wracając do naszego tematu, rozumiecie, że opieram uwagi moje na cyfrach, które, jak pan Owen potwierdzi, są jedyną pewną i sprawdzalną podstawą ludzkiej wiedzy.

Owen z gotowością przytaknął twierdzeniu tak bardzo po jego myśli, a radca ciągnął dalej:

— Te nasze góry, drodzy panowie, to dziki, zamknięty w sobie zakątek świata, pełen wyżyn, wąwozów, lasów, jaskiń, jezior, rzek i skał. Samemu diabłu omdlałyby skrzydła, gdyby chciał do ich szczytów dolecieć. W tym kraju i na wyspach, które są może nieco lepsze, a może, prawdę powiedziawszy, jeszcze gorsze od reszty kraju, jest około dwustu trzydziestu parafii, licząc w to wyspy Orkady, gdzie — czy oni tam mówią po gaelicku, czy nie, tego już nie wiem — lud jest dziki i niecywilizowany. Otóż, moi panowie, obliczę każdą parafię skromnie na osiemset dorosłej ludności, nie licząc dzieci do lat dziewięciu i poniżej. Teraz, dodawszy jedną czwartą na poczet tej dzieciarni, cała ludność wyniesie — jeżeli osiemset plus jedna czwarta będzie mnożną, a dwieście trzydzieści mnożnikiem...

— Wypadnie dwieście trzydzieści tysięcy — wtrącił Owen, z rozkoszą biorąc udział w statystycznych obliczeniach radnego.

— Słusznie, panie, bardzo słusznie. A zdolnych do noszenia broni, licząc od osiemnastego do pięćdziesiątego szóstego roku życia, będzie w tym kraju prawie pięćdziesiąt siedem tysięcy pięćset ludzi. Otóż, mój panie, smutna to i straszna prawda, że tam nie ma pracy ani śladu, ani cienia roboty dla połowy tych biednych stworzeń. Rozumiem przez to, że rolnictwo, pasterstwo, rybołówstwo i wszelkie rodzaje uczciwej pracy nie mogą tam zatrudnić nawet jednej połowy ludności, gdyby nawet nie wiem jak leniwie pracowali, a oni pracują, jak gdyby im się pług czy szpadel po prostu w rękach palił. A więc tedy, mój panie, ta połowa nie zatrudnionych ludzi, dochodząca do...

Stu piętnastu tysięcy dusz — wpadł Owen — jako że to połowa poprzedniego rezultatu.

— Tak, panie Owen, tak... w tym może być ze dwadzieścia osiem tysięcy dorodnych chłopów, zdolnych do noszenia broni i noszących broń. Nie wezmą się oni do prawdziwej pracy ani się obejrzą za uczciwym zarobkiem, nawet gdyby mogli go znaleźć — a niestety, nie mogą.

— Ale czyż to podobna, panie Jarvie — wtrąciłem — żeby to był trafny obraz tak znacznego obszaru wyspy brytyjskiej?

— Młodzińcze, ja wam to zaraz wytłumaczę. Przypuśćmy, że każda parafia przeciętnie zatrudnia pięćdziesiąt pługów — a liczę dokładnie, zważywszy, jak nędzną glebę mają ci biedacy do obrabiania, i przypuśćmy, że mają dość pastwisk dla koni i wołów od pługa i czterdziestu lub pięćdziesięciu krów. Przypuśćmy, że chodzi około tych pługów i tego bydła siedemdziesiąt pięć rodzin po sześć głów. Dodawszy jeszcze pięćdziesiąt, ot, dla okrągłego rachunku, będziemy mieli pięćset dusz, połowę ludności, zatrudnioną i bardzo marnie żywioną — trochę zsiadłego mleka i owsianki. Ale rad bym wiedzieć, co ma robić pozostałe pięćset?

— Na Boga, panie Jarvie! — zawołałem. — I cóż oni robią? Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl o ich położeniu!

— Panie — odpowiedział radny — drżałbyś jeszcze bardziej, gdybyś mieszkał w ich pobliżu. Jeśli nawet przypuścisz, że jakaś część może sobie coś uczciwie zarobić w okolicach równinnych pomagając przy żniwach, powożąc, pracując przy sianokosach i tak dalej, zawsze jednak pozostają setki i tysiące długonogich drabów, którzy nie chcą ani pracować, ani głodować, lecz prośbą i groźbą/1 zdobywają środki

do życia albo też żyją na koszt i pod rozkazami swego lairda, czy one tam złe, czy dobre.

1/Prośbą i groźbą — coś jakby żebractwo w lepszym stylu albo raczej coś między żebractwem a rabunkiem; sposób wymuszania bydła i innych środków do życia używany przez znajdujących się w potrzebie Szkotów w stosunku do ich bogatszych sąsiadów (przy p. aut.).

Oprócz tego wiele setek tych drabów schodzi do granic dolin, gdzie jest coś do zdobycia, i tu kradną, rabują, porywają krowy. Opłakana to rzecz w chrześcijańskim kraju, tym bardziej że ci górale szczycą się tym i uważają uprowadzenie stada bydła za piękny i męski czyn, godniejszy dziarskiego chłopca niż zarabianie codzienną uczciwą pracą. Lairdowie nie są lepsi od tych nicponiów, bo choć może nie każą im kraść, to jednak im tego nie bronią, a gdy powracają ze swych wypraw, lairdowie dają im schronienie lub przynajmniej pozwalają się im chronić w swoich lasach, górach i warowniach. Każdy laird trzyma koło siebie tylu ich swojego imienia albo, jak my to nazywamy, swojego klanu, ilu ich może wyżywić lub, co na jedno wychodzi, tylu, ilu się tak czy owak utrzymać potrafi. Przy broni, ze strzelbą i pistoletem, sztyletem i szablą, gotowi są oni stale zakłócać spokój w kraju, gdy tylko laird tego zechce. I to jest bolączką tej górskiej krainy. Jest i była od tysiąca lat kolebką najbardziej do wszelkich bezprawii gotowych. Bogu niemiłych łotrzyków, nękających nas, cichych, spokojnych, bogobojnych sąsiadów na zachodzie kraju.

— A czy ten pański krewny, a mój znajomy jest jednym z owych lairdów, wielkich właścicieli, utrzymujących te domowe wojska, o których pan mówi?

— Nie, nie — odpowiedział radny Jarvie — nie jest to żaden wielki naczelnik ani wódz klanu, chociaż urodził się w prostej linii jako potomek starego Glenstrae. Znam jego ród i pochodzenie. Rzeczywiście to mój bliski krewny i jak mówiłem, z dobrej krwi szlacheckiej, chociaż wiercie mi, mało dbam o te głupstwa, bo to wszystko blask księżycy na wodzie, potargane zbędne nitki, jak my mówimy... Ale mógłbym wam pokazać listy od jego ojca, który był trzecim na Glenstrae, do mojego ojca, cechmistrza Jarvie (wieczny odpoczynek racz mu dać. Panie!) zaczynające się „Kochany cechmistrzu”, a podpisane „wasz przywiązany kuzyn i sługa”. Zresztą prawie wszystkie tyczą się pożyczonych pieniędzy i zacny cechmistrz



chował je jako dowody i dokumenty. To był człowiek ostrożny i dbały.

— Jeżeli jednak nie jest on — podjąłem znowu — jednym z ich naczelników i patriarchalnych wodzów, o których ojciec mi opowiadał, to przecież, przypuszczam, ten pański krewny musi mieć w górach duży wpływ i znaczenie?

— Oczywiście. Żadne inne imię nie jest tak znane od Lennox po Breadalbane. Robin był niegdyś zamożnym i pracowitym handlarzem bydła. Radość była patrzeć, jak przepasany swoim pledem, z tarczą na plecach, szabłą i sztyletem u pasa, szedł pędząc stado stu górskich krów poganianych przez tuzin parobków, równie nieokrzesanych i surowych, jak te gnane przez nich bydłeta. Jako kupiec był uprzejmy i sprawiedliwy, a jeśli uważał, że kupujący zrobił zły interes, oddawał mu chętnie coś z grosiwa na szczęście. Wiem, że niegdyś tak zwrócił po pięć szylingów na funcie.

— Dwadzieścia pięć procent! — wtrącił Owen. — To wysoka bonifikata.

— A jednak on ją płacił, panie, tak ja wam mówię, zwłaszcza gdy wiedział, że kupujący to człowiek biedny i na stratę go nie stać. Ale przyszły ciężkie czasy, a Rob lubił ryzykować. Przestrzegałem go. Nikt nie powie, że nie. Ale Rob stracił i wtedy jego dłużnicy, zwłaszcza niektórzy możni sąsiedzi, zagarnęli jego chudobę i jego ziemię. Powiadają, że żonę jego wypędzili z domu gdzieś w góry, a w dodatku szpetnie znieważyli. To wstyd! To hańba!... Ja jestem spokojny człowiek i urzędnik, ale gdyby się kto obszedł z moją służącą Mattie tak, jak się podobno obeszli z jego żoną, myślę, że ta szabla, która służyła ojcu mojemu, cechmistrzowi, przy Bothwell Brig/268, poszłaby znowu w ruch... No i Rob wrócił do domu i zastał, Boże zmiłuj się! pustkę i zniszczenie tam, gdzie pozostawił dostatek. Obejrzał się na wschód, na zachód, na północ i na południe — nigdzie nie dojrzał ratunku ani nadziei, ani dachu, ani schronienia. Toteż nacisnął czapkę na uszy, przypasał miecz do boku, poszedł na lewo, to jest zaczął żyć poza prawem.

Głos pocziwego mieszczanina drżał od wezbranych uczuć. Oczywiście, choć twierdził, że nic sobie nie robi ze szlacheckiej genealogii swojego kuzyna górala, jednak w duszy przywiązywał znaczenie do tego pokrewieństwa i mówił o swoim przyjacielu z

gorącym przywiązaniem, pogłębiającym jeszcze współczucie dla jego niedoli i żal nad jej następstwami.

— Przymuszam — rzekłem widząc, że radny urywa opowiadanie — że na pokusę wystawiony i doprowadzony do rozpaczy krewny pański stał się jednym z tych zbójników, o których pan wspomniał.

— Nie, nie jest aż tak źle — odpowiedział radny — nie aż tak źle. Wziął się tylko do wymuszania okupu na większą i szerszą skalę, niż to ktokolwiek w naszych czasach czynił na przestrzeni całego Lennox i Menteith aż pod same bramy zamku Stirling.

— Branie okupu?... Nie rozumiem.

— Widzicie, Rob wkrótce zgromadził liczną bandę niebieskich czapek dokoła siebie, bo on pochodzi z rodu znanego u swoich, rodu, który przez długie lata stawiał się i opierał królowi, parlamentowi i Kościołowi także. Stary to, zacny ród i nazwisko, choć było tak prześladowane, deptane i uciskane. Moja matka była Mac Gregor z domu, nie kryję się z tym... Otóż Rob miał wkrótce dziarską gromadę koło siebie, a widząc takie spustoszenie, zniszczenie i rabunki na południu od gór, zdecydował, że każdy właściciel lub dzierżawca będzie mu płacił cztery funty szkockie z każdej setki ocenionego dochodu, co przecież jest względnie umiarkowane, za co Rob zobowiązywał się, że takiemu się żadna krzywda nie stanie. W wypadku jakiegokolwiek kradzieży, choćby tylko jednej owcy, przyrzekał zwrócić ją lub cenę zapłacić... i dotrzymywał słowa... Nie mogę powiedzieć, słowa dotrzymywał... wszyscy przyznają, że Rob dotrzymywał słowa.

— To bardzo osobliwy kontrakt asekuracyjny — zauważył Owen.

— Ale trzeba przyznać, że tak postępując gwałci on nasze prawa — mówił pan Jarvie. — Branie i płacenie okupu podlega karze. Z drugiej strony, jeżeli prawo nie może obronić mojej własności, dlaczego nie mam się umówić z takim osobnikiem, który to może uczynić?... Odpowiedzcie mi na to!

— Ależ, panie Jarvie — zapytałem — czy ten kontrakt okupu, jak pan go nazywa, jest zupełnie dobrowolny ze strony właściciela lub dzierżawcy, który tę asekurację opłaca? A co się dzieje, jeżeli ktoś odmówi płacenia tego haraczu?

— Aha, chłopcze! Myślisz, że tu mnie masz? — roześmiał się radny grożąc mi palcem. — Co prawda, to każdemu z moich przyjaciół radziłbym zawrzeć z Robem tę umowę, bo niech pilnują, jak chcą, i

zabezpieczają się, jak potrafią, ale gdy przyjdą długie noce, z biedą ustrzegą się przed rabunkiem. Niektórzy ze szlachty, Grahame'owie i Cohoonowie, opierali się. I co z tego? Pierwszej zaraz zimy stracili całe swoje bydło, toteż dziś większość ludzi woli się godzić na warunki Roba. Łatwo z nim dojść do porozumienia, ale jeśli masz z nim zadrzeć, to już lepiej z samym diabłem zadzieraj.

— Przypuszczam jednak, że uprawiając ten zawód podpada on pod krajowe prawo karne?

— Czy podpada?... To się wie! Szubienica by się ugięła pod ciężarem jego grzechów, gdyby go tylko złapali. Lecz ma dobrych przyjaciół i opiekunów między wielkimi panami. Jest jeden wielki ród, co go osłania, jak może, po to tylko, by był cierniem w boku drugiego. A przy tym Rob to majster kuty na cztery nogi i nie lada gracz! Ileż on już zręcznych sztuk wyprawił! W książce by się to nie zmieściło! A ciekawa byłaby to książka, jakby jej bohaterem był Robin Hood \* albo William Wallach/270! Pełna historii o czynach awanturniczych i ucieczkach, takich, o jakich ludzie lubią słuchać przy kominku w zimowe wieczory. Ach, moi panowie, coś dziwnego się ze mną dzieje! Jestem człowiekiem pokój miłującym, synem spokojnego człowieka, bo ojciec mój, cechmistrz, nie kłócił się z nikim poza radą miejską, czuję jednak, zdaje się, że zaczyna grać moja góralska krew, gdy słucham tych opowiadań... I bywa, że wolę ich słuchać niż mądrej nauki, Boże mi przebacz... A jednak wszystko to próżność, grzeszna próżność, do tego przeciwna prawom, no i zasadom świętej Ewangelii...

Postanawiając iść dalej w dochodzeniach, zapytałem, jakiego rodzaju wpływ może mieć ów Robert Campbell na sprawy moje i mego ojca.

— Otóż musicie wiedzieć — zaczął pan Jarvie bardzo niższym głosem—i niech to pozostanie między nami... otóż musicie wiedzieć, że naszą górską krainę utrzymywano w spokoju od roku 1689, to jest od czasu bitwy pod Killiecrankie/270... Ale jak to robiono? Jak myślicie? Pieniędźmi, panie Owen, pieniądze, panie Osbaldistone! Król Wilhelm kazał lordowi Breadalbane rozdzielić dwadzieścia tysięcy funtów szterlingów pomiędzy górali, a powiadają, że stary lord dobrą garść z tego zatrzymał we własnej szkatule. Potem nieboszczka królowa Anna dawała pensyjki wodzom, tak żeby mieli za co utrzymywać tych swoich wojowników, co to, jak mówiłem, nie mają się żadnej roboty. Więc też i siedzieli dość cicho, tyle tylko, że

wedle swego zwyczaju czasami tam w dolinach pokęcili się za jakim rabunkiem albo też między sobą bitki wyprawiali, o co zresztą żaden cywilizowany człowiek ani dba, ani pyta. No dobrze, ale z tym królem Jerzym (niech go Bóg ma w swej opiece) nowy się zaczął porządek. Pieniądze i pensje przestały dla nich płynąć. Fundusze te poszły do krajów nizinnych. Zabrakło środków na utrzymanie klanów i kredyt ich upadł w dolinach. Dość, że człowiek, który może ściągnąć tysiąc czy tysiąc pięćset dziarskich chłopców pod swe rozkazy, ledwie pięćdziesiąt funtów dostanie w Glasgow na swój podpis... Tak długo być nie może. Wybuchnie powstanie na rzecz Stuartów, na pewno wybuchnie. Ludzie spadną z gór na doliny jak potop, tak jak to było w smutnej pamięci wojnach z Montrose'em/271. Nim ten rok upłynie, świat zobaczy to i usłyszy.

— A jednak jeszcze nie rozumiem — odrzekłem — w czym to dotyczy Campbella, a tym bardziej interesów mego ojca.

— Rob może zgromadzić pięćuset ludzi. Taki człowiek w czasie zamieszek znaczy wiele więcej niż w czas pokoju i dlatego wojna dotyczy go nie mniej niż kogo innego — odpowiedział radny. — Dalej, prawdę powiedziawszy, mocno go podejrzewam, że był głównym łącznikiem pomiędzy niektórymi z naszych górskich naczelników a panami z północnej Anglii. Wszyscyśmy słyszeli o tych jakichś pieniądzach skarbowych, zabranych owemu Morrisowi gdzieś u stóp gór Cheviot przez Roba i któregoś z młodych Osbaldistone'ów. Co prawda, mówiło się, że to pan w tym był, panie Franku, i przykro mi było, że syn pańskiego ojca do takich się bierze sprawek... Nie, nie potrzebuje pan ani słowem zaprzeczać. Ja dobrze rozumiem, że się myliłem, ale przecież mogłem się spodziewać wszystkiego po wędrownym aktorze, za jakiego pana brałem. Teraz jednak nie wątpię, że to był sam Rashleigh albo któryś inny z pańskich kuzynów. Wszyscy oni są jednego autoramentu, zacięci papiści. Dla nich rządowe pieniądze i rządowe papiery to prawna zdobycz. A ten nędzny Morris to taka tchórzliwa bestia, że do tej pory nie śmie powiedzieć, iż to Rob zabrał mu torbę. W gruncie rzeczy ma jednak słuszość, gdyż cała ta wasza komora celna i to bydło celnicy nie mają tu miru u ludzi i łatwo byłoby Robowi dobrać się do niego. Kto by go tam ratował!

— Ja to dawno podejrzewałem, panie Jarvie — rzekłem — i całkiem się z panem zgadzam. Ale co do spraw ojca...

— Podejrzewał pan?... To pewność!... Zupełna pewność!... Znam takich, którzy widzieli niektóre papiery zabrane Morrisowi... Zbyteczne mówić gdzie. Ale przejdźmy teraz do interesów waszego ojca. Wyobraźcie sobie, że w tych ostatnich dwunastu latach niektórzy z tych górskich lairdów i naczelników po trosze zrozumieli własny interes... Ojciec wasz i niektórzy inni zakupili lasy w Glen Disseries, Glen Kissoch, Tober-na-Kippoch i w wielu jeszcze miejscowościach. Firma waszego ojca płaciła po części weksłami na wielkie sumy. Że zaś kredyt firmy Osbaldistone i Tresham był dobry, gdyż powiem to panu Owenowi w oczy, co bym powiedział za jego plecami, że nie mówiąc o jakimś nieszczęściu przez Boga zesłanym nikt w interesach nie mógł być bardziej honorowy niż oni, więc ci panowie, mając w ręku weksle, uzyskali za nie prawie równej wartości kredyt w Glasgow i Edynburgu (a właściwie mógłbym nie wymieniać Edynburga, bo tamtejsi kupcy niewiele znaczą). Tak że... rozumiecie mnie teraz ?

Przyznałem, że jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne.

— No, przecież — mówił — jeśli te weksle nie będą w terminie wykupione, kupiec, który pożyczył lairdom pieniądze pod ich zastaw, zwróci się do nich z żądaniem zwrotu pieniędzy. Im trudno będzie oddać pieniądź już prawie wydany... To doprowadzi ich do desperacji... Ruszy się ich z pięciuset, którzy inaczej siedzieliby cicho, i bankructwo firmy waszego ojca przyśpieszy wybuch, który nam grozi od tak dawna.

— Zatem pan sądzi — zapytałem zdziwiony tym szczególnym poglądem na sprawę — że Rashleigh Osbaldistone wyrządził krzywdę memu ojcu jedynie po to, aby przyśpieszyć wybuch powstania górali szkockich, doprowadzając do rozpaczony panów, którym te weksle pierwotnie były dane?

— Właśnie, właśnie. To był jego główny cel. Drugim, nie wątpię, była gotówka, którą wziął ze sobą. Ta jednak mogła być tylko małą częścią straty pańskiego ojca, choć stanowiła główny bezpośredni zysk Rashleigha. Aktywa, które uwiózł, na nic mu się nie przydadzą, mógłby sobie nimi fajkę zapalić. Próbował, czyby Mac Vittie i spółka nie dali mu za nie gotówki, wiem o tym przez Andrew Wyllie, ale stare z nich wróble, nie dali się na to wziąć. Nie chcieli tego tykać, wykręcili się pięknymi słówkami. Rashleigha Osbaldistone dobrze znają w Glasgow i nie bardzo mu ufają, gdyż był tutaj w jakichś

papistowskich sprawach w roku 1707 i długi zostawił po sobie. Nie, nie, on się tych papierów tu nie pozbędzie. Ludzie będą podejrzewali, będą dociekali, skąd je wziął. Nie, nie... On gdzieś je ukrył, gdzieś w jakimś tam ich górskim schowku, i gotów jestem twierdzić, że mój kuzyn Rob mógłby się do nich dostać, gdyby tylko zechciał.

— Lecz czy byłby on skłonny ratować nas z tej opresji, panie Jarvie?

— zapytałem. — Przedstawił nam go pan jako ajenta stronnictwa jakobitów, mocno wmieszanego w ich intrygi. Czy będzie on skłonny dla mnie lub jeśli pan woli, w imię sprawiedliwości, dopełnić tego aktu restytucji, który by pokrzyżował ich plany?

— Na to ja z całą pewnością odpowiedzieć nie potrafię. Są między nimi wielcy panowie, którzy nie dowierzają Robowi, a i on im nie dowierza. Podobno bardzo zaprzyjaźniony jest z rodziną Argyle, która stoi po stronie obecnego rządu. Gdyby nie jego skrupuły i długi, stanąłby raczej po stronie Argyle'a niż lorda Breadalbane, gdyż od dawna istnieje niechęć pomiędzy rodziną Breadalbane a jego rodem i nazwiskiem. Prawdą jest też, że Rob działa na własną rękę jak Henry Wynd/1 i stanie po tej stronie, która mu będzie najwięcej dogadzać.

1/ Około r. 1392, w obecności króla, dwa wielkie klany miały stoczyć bitwę na wyspie Perth. Ustalono, że po każdej stronie będzie walczyć trzydziestu ludzi. Ponieważ jednej ze stron zabrakło człowieka, miejsce jego zajął pewien mały, krzywonogi obywatel z Perth. Ten zastępca, nazwiskiem Henry Wynd, albo, jak go górale przezwali, Gow Chrom — Krzywonogi Kowal, świetnie się spisał i miał duży wpływ na losy bitwy, choć nie wiedział, po której stronie walczy. Tak więc „walczyć na własną rękę jak Henry Wynd” stało się powiedzeniem przysłowiowym (przyp. aut.).

Zważywszy wszystko, nie można mu tego brać za złe, ale jest jedna rzecz, która zmniejsza wasze szansę: Rob ma siwą kobyłę w stajni...

— Siwą kobyłę w stajni?! — zapytałem. — Co to ma do rzeczy?

— Żonę, człowieku, żonę, straszną żonę. Nie może ona ścierpieć widoku pocziwego Szkota, jeśli pochodzi z równin, a tym bardziej Anglika. Postara się ona poprzeć króla Jakuba, bo bardzo jej zależy na zrzuceniu z tronu króla Jerzego.

— Jakie to dziwne — odpowiedziałem — że kupieckie interesy obywateli londyńskich tak się wiążą z rewolucjami i powstaniami!

— Wcale nie dziwne! — odpowiedział radny. — Tylko wam się tak zdaje. Niekiedy w długie zimowe wieczory czytam kroniki Bakera i z

nich dowiedziałem się, że kupcy londyńscy zmusili Bank Genueski do niedotrzymania umowy z królem hiszpańskim, na mocy której bank miał mu dostarczyć moc pieniędzy. Wyplięcie Wielkiej Armady/273 opóźniło się wskutek tego o cały rok... I cóż wy na to, mój panie?

— Że kupcy oddali krajowi nieocenioną usługę, co zaszczytnie zapisać powinna historia.

— I ja tak sądzę. A dobrze też zrobiłby, zasłużyłby się państwu i ludzkości ten, kto by ocalił trzech czy czterech zacnych panów z naszych gór od rzucenia się na łeb, na szyję w nieszczęście wraz z tymi niewinnymi biedakami, co by z nimi poszli — i to jedynie dlatego, że nie mogą zwrócić pieniędzy, na które mieli prawo liczyć jak na swoje. A przy tym ocalałby kredyt waszego ojca, no i ponadto moje uczciwe pieniądze, które mi winna firma Osbaldistone i Tresham... Powiadam, gdyby tego kto dokonał, choćby to był najlichszy człowieczyna, wart byłby, by go król i ojczyzna zaszczytami obsypali.

— Nie śmiem oceniać, jak daleko mogłaby sięgać wdzięczność społeczeństwa — odpowiedziałem — ale wdzięczność naszej firmy mierzyłaby się doniosłością wyświadczonej nam przysługi.

— Postaralibyśmy się odwdziaczyć — dorzucił Owen — i to zaraz za powrotem z Holandii naszego pana Osbaldistone.

— Nie wątpię, nie wątpię, to bardzo godny człowiek i odpowiedzialny, a korzystając trochę z moich wskazówek, mógłby wielkie interesy prowadzić w Szkocji... No dobrze, mój panie! Tak, gdyby te aktywa udało się wydostać z rąk wrogów... to są dobre papiery, to jest to, czego potrzeba, byle się dostały w dobre ręce, i to właśnie w pańskie ręce, panie Owen.. Znajdę ja wtedy trzech ludzi w Glasgow, choć pan nas może nie docenia, panie Owen. Jednym byłby Sandie Steenson z Trade's Land, drugim. John Pirie z Candleriggs, trzeci niech tymczasem pozostanie bezimienny... (Ci pożyczyliby na razie sumy potrzebne do salwowania kredytu waszej firmy, i to nie szukając specjalnej gwarancji.

Owenowi oczy zabłyśły wobec nadziei takiego wyjścia, wnet jednak zrzędała mu mina, gdy sobie uprzytomnił, jak trudno będzie te papiery odzyskać.

— Nie traćcie nadziei, mój panie, nie traćcie nadziei — pocieszał go pan Jarvie. — Ja się tak przejąłem waszymi sprawami, że już się od

nich nie wymigam. Jestem w tym podobny do ojca mojego, świętej pamięci cechmistrza! Gdy się raz wmięszam w sprawę przyjaciela, kończę na tym, że uważam ją za swoją... Toteż gotów jestem nawet wciągnąć jutro rano wysokie buty i puścić się w drogę z tu obecnym panem Frankiem. A jeżeli ja nie przemówię do rozumu Robowi i jego żonie, to już nie wiem, kto tego dokona... Od dawna byłem mu życzliwym przyjacielem, pomijając już to, że wczorajszej nocy niby to go nie dostrzegłem, a przecież gdybym go był nazwał po imieniu, życiem by to przyplacił. Może ja jeszcze usłyszę o tym na radzie od radnego Grahame'a i Mac Vittie, albo od któregoś z nich... Wytykali mi oni już nieraz moje pokrewieństwo z Robem... Powiedziałem im, że nie myślę go usprawiedliwiać, ale że poza tym, co Rob uczynił wbrew prawom krajowym i wbrew władzom w Lennox, i poza tym nieszczęściem, że kilkoro ludzi straciło życie przez niego — jest on uczciwszym człowiekiem niż niejeden, co się swą uczciwością przechwala... I co mi tam ich gadania! Jeżeli Rob jest wyjęty spod prawa, niech mu to w oczy powiedzą, teraz zresztą inne są prawa niż za złych czasów Stuartów. Mam ja szkocki język w gębie, będą gadać — odpowiem.

Z wielką przyjemnością patrzyłem, jak z wolna pan radny przekraczał szranki ostrożności pod wpływem uczuć obywatelskich, poczciwego zainteresowania się naszymi sprawami i naturalnej chęci uniknięcia straty, a osiągnięcia zysku. Była w tym zresztą i przymieszka niewinnej próżności. Pod wpływem działania wszystkich tych pobudek doszedł on w końcu do śmiałego postanowienia, że wyruszy w pole we własnej osobie, by dopomóc do odzyskania własności mojego ojca. To, czego się od niego dowiedziałem, wzbudziło we mnie wiarę, że jeżeli owe papiery są w posiadaniu tego górskiego awanturnika, to może uda się skłonić go do oddania ich, tym bardziej że dla niego nie przedstawiały one wartości. Rozumiałem też, że obecność krewnego może wiele w jego oczach zaważyć. Z radością więc przyjąłem propozycję pana Jarvie, by z nim razem wyruszyć nazajutrz wczesnym rankiem.

Ten zacny jegomość wziął się do wprowadzania w czyn postanowienia swego równie żwawo i dziarsko, jak z wolna i ostrożnie na nie się decydował. Grzmiał na swoją Mattie, by mu wywietrzyła spodnie do konnej jazdy, by wysmarowała tłuszczem wysokie buty i na całą noc postawiła w kuchni przy piecu, żeby



sprawdziła, czy koń dobrze podkuty, czy siodło i inne przybory są w porządku. Umówiwszy się, że się spotkamy nazajutrz o piątej rano, i postanowiwszy, że Owen, którego obecność w tej wyprawie była niepotrzebna, oczekiwać nas będzie w Glasgow, pożegnaliśmy grzecznie tego nieoczekiwanie gorliwego przyjaciela. Umieściłem Owena w pokoju przylegającym do mojego, a wydawszy Andrew Fairservice'owi rozkaz, by był gotów o oznaczonej godzinie, poszedłem spać z uczuciem większej nadziei, niż mi się to w ostatnich czasach zdarzało.

## ROZDZIAŁ XXVII

Jak okiem sięgnąć, nigdzie drzew, zieleni —  
Ziemia spalona rdzawo się rumieni.

Nie ujrzysz ptaka, chyba gdzieś w przelocie,

Nie brzęczy pszczoła w słonecznej pozłocie

Ani strumienia przezroczyście wody

Nie płyną ciche, nie szemrzą w zawody!...

Zapowiedź głodu/276

W rześki jesienny poranek przed drzwiami domu pana Jarvie, niezbyt odległego od hotelu pani Flyter, zastałem wedle umowy Andrew Fairservice'a z końmi. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, był koń Andrew. Jakikolwiek były braki kuca, którego prawny doradca Andrew, adwokat Touthope, „wspaniałomyślnie” mu ofiarował w zamian za klacz Thorncliffa, Andrew już się z nim zdążył rozstać. Na jego miejsce wystarał się o jakieś stworzenie z tak ciekawą i zupełną kulawizną, że zdawało się używać tylko trzech nóg, czwartą powiewając w powietrzu jakby dla zabawy.

— Co ty sobie myślisz? Takie bydlę tu sprowadzać? A gdzież jest ten kuc, na którym przyjechałeś do Glasgow? — pytałem niecierpliwie.

— Sprzedałem go, wasza miłość. To była żarta bestia, zjadłby sam siebie stojąc w stajni u Flytera. A tego tu kupiłem na pański rachunek. To dobry interes, kosztuje tylko po funcie od nogi, razem cztery funty wszystkiego. Ten kurcz ustąpi, gdy przejdzie milkę. Doskonale chodzi...

— Słowo daję! — zawołałem. — Ty, jak widzę, nie zaprzestaniesz swych krętaństw, dopóki się twój kark z moim batem nie pozna. Ruszaj zaraz i sprowadź mi tamtego konia, inaczej popamiętasz!

Andrew mimo moich gróźb upierał się przy swoim, twierdząc, że człowiekowi, który kupił jego kuca, będzie musiał zapłacić gwineę, jeżeli będzie chciał dostać go z powrotem. Mało brakowało, a jak prawdziwy Anglik byłbym dał się nabrać temu szelmie i zapłaciłbym gwineę, lecz nagle ukazał się pan Jarvie, opięty w płaszcz, w wysokich butach, w kapturze na głowie, ubrany jak na syberyjską zimę. Pod kierunkiem Mattie dwóch chłopaków z kantoru wyprowadziło spokojnie kroczącego pokaźnego rumaka, który miewał zaszczyt w podobnych okolicznościach piastować godną osobę glasgowskiego dostojnika. Zanim radny wgramolił się na koński

grzbiet, zapytał o powód sporu między mną a służącym. Gdy dowiedział się o manipulacjach Andrew, natychmiast przeciął wszelkie dysputy orzekając, że jeżeli Fairservice w tej chwili nie zwróci rumaka o trzech nogach, a na jego miejsce nie sprowadzi użyteczniejszego, przehandlowanego czworonoga, pośle go do więzienia i nałoży nań grzywnę w wysokości połowy jego pensji.

— Pan Osbaldistone — dodał — przyjął do służby ciebie razem z koniem, dwa bydłeta naraz, ty skończony łotrze!... Nie spuszczę ja z ciebie oka w czasie tej podróży.

— To nie ma sensu skazywać mnie na grzywnę — mruzczał przekornie Andrew — mnie, co nie mam złamanego szeląga, ażebym mógł zapłacić... To tak, jakby kto chciał z górala zdjąć spodnie.

— Kto nie ma złota ni miedzi, płaci tym, na czym siedzi — odpowiedział radny — a ja już dopilnuję, żebyś tak czy inaczej dostał to, co ci się należy.

Panu Jarvie Andrew nie potrafił się oprzeć i mruknął tylko pod nosem:

— Za wielu panów... za wielu panów... mówiła żaba do brony, gdy każdy ząb brony ją trącał...

Widocznie nie miał trudności w pozbyciu się swego wierzchowca i w odnalezieniu poprzedniego kuca, skoro powrócił z nim już po kilku minutach. Później nie słyszałem, by miał płacić jakieś odstępne za zerwanie umowy.

Wyruszyliśmy wreszcie, ale zanim dojechaliśmy do końca ulicy, zatrzymało nas głośnie nawoływanie: „Stój! Stój!” Przystanęliśmy tedy i wnet dognało nas dwóch chłopców pana Jarvie, niosących dwa pożegnalne dowody dbałości Mattie o swojego pana. Pierwszy wręczony został w postaci jedwabnej chustki, ogromnej niby żagiel któregoś z jego własnych okrętów, z objaśnieniem, że „panna Mattie bardzo prosi, żeby pan to włożył na szyję”.

Stało się naturalnie zadość jej życzeniu. Drugi młodzian niósł tylko ustne polecenie — zdawało mi się, że szelma tłumiał śmiech mówiąc, że „pani gospodyni prosi, żeby pan wystrzegał się wody”.

— Ba! ba! Niemądra dziewczyna! — rzekł pan Jarvie, dodał jednak zwracając się do mnie: — Zaraz widać, że dba o mnie... Znać, że dobre ma serce. Mattie to poczciwe młode dziewczę.

To mówiąc dał ostrogę wierzchowcowi i opuściliśmy miasto bez dalszych przeszkód.

Jadąc spokojnie przed siebie drogą prowadzącą na północny wschód od miasta, miałem sposobność ocenić i podziwiać zalety nowego przyjaciela. Chociaż podobnie jak mój ojciec uważał, że interesy kupieckie są najważniejszymi sprawami ludzkiego żywota, nie zaprzedawał się im tak, żeby aż nie doceniać ogólniejszej wiedzy. Przeciwnie, przy pewnym dziwactwie i pospolitości w obejściu, przy próżności, która stawała się tym śmieszniejsza, że zakrywał ją często cienką zasłonką pokory, w rozmowie pan Jarvie wykazywał bystry, spostrzegawczy, nieciasny i w granicach danych warunków wcale oszlifowany umysł. Choć nie miał wykształcenia, znał dobrze miejscowe dzieje i zabawiał mnie w drodze opowiadaniem o ważniejszych wydarzeniach, związanych z miejscowościami, przez które nas droga wiodła. Dobrze obznajmiony z dawną historią swego okręgu, daleko sięgającym wzrokiem oświeconego patrioty umiał dostrzec zaczątki wielu przyszłych korzyści, jakie zakwitły i dojrzały dopiero w ostatnich latach. Zauważyłem też z wielką przyjemnością, że chociaż gorący Szkot i gorliwy obrońca honoru ojczyzny, skłonny był jednak myśleć liberalnie o pobratymczym królestwie. Gdy Andrew Fairservice (którego, mówiąc nawiasem, radny nie mógł znieść) zaczął tłumaczyć zgubienie podkowy u jednego z koni szkodliwym wpływem Unii, usłyszał od pana Jarvie surową reprimendę:

— Słuchaj no! Właśnie takie jak twój przewrotne języki mącą stosunki między sąsiadami i narodami. Nie ma na ziemi nic tak doskonałego, co nie mogłoby być lepsze. Tak i z Unią. Nikt ostrzej przeciw niej nie występował niż obywatele Glasgow z tymi ich rozruchami, powstaniem i wzburzeniami tłumów, jak to się dzisiaj nazywa. Ale to zły wiatr, który niczego dobrego nie niesie. Każdy niech sobie przechodzi takim brodem, jakim przejść może. Naszą dewizą, jak mądrze i pięknie głosi herb miasta, jest: „Niech Glasgow kwitnie!” Otóż od tych czasów, kiedy to patron tego miasta św. Mungo łapał śledzie w rzece Clyde, cóż przyczyniło się więcej do naszego rozkwitu niż handel cukrem i tytoniem? Niech mi kto na to odpowie, zanim zacznie sarkać na układ, który otworzył nam drogę do zachodnich kolonii.

Andrew daleki był od uznania słuszności tego argumentu i nawet gderliwie zaryzykował sprzeciw.

— To niesłychane — zaczął — żeby szkockie prawa uchwalano nam w Anglii. Co do mnie, to szkockiego parlamentu, szkockiej korony, szkockiego berła i naszej Mons Meg/1 nie oddałbym angielskim mopsom do ich londyńskiej Tower za wszystkie beczki śledzi z Glasgow i za wszystkie skrzynie tytoniu. Co by sir William Wallace i nasz stary Davie Lindsay powiedzieli o Unii i o tych, którzy ją zrobili!

1/ Mons Meg — była to ogromna, staroświecka armata, droga sercu ludu szkockiego. Odlana w Mons (Flandria), gdy w Szkocji panował Jakub IV czy V, zaczyna się pojawiać w rachunkach państwowych owych czasów. Znajdujemy w nich wydatki na tłuszcz do smarowania jej gardzieli (by, jak to każdy uczeń dobrze wie — spotęgować huk wystrzału), wydatki na jej transport i na opłatę kobziarzy przygrywających podczas uroczystego wytaczania jej z zamku, gdy ze szkockim wojskiem ruszała na daleką wyprawę. Po zawarciu Unii żywiono powszechnie obawy, że regalia Szkocji, a także jej Palladium — Mons Meg będą przewiezione do Anglii, by pogłębić hańbę utraty narodowej niepodległości (Mons Meg porównuję do Palladium, to jest do posągu Pallas Ateny, z którym było związane wierzenie, że póki on stoi, póty Troja będzie istnieć). Ponieważ regalia schowano, przeto Szkoci sądzą, iż zostały one wywiezione. Co się tyczy Mons Meg, pozostała ona jeszcze na zamku w Edynburgu, dopóki nakazem Rady Intendentury nie przewieziono jej do Woolwich około 1757 roku. Regalia na specjalny rozkaz Jego Królewskiej Mości wydobyto z ukrycia w 1818 roku i wystawiono na widok publiczny, zaś w roku 1823 zwrócono krajowi Mons Meg, która w każdym innym miejscu i w innej sytuacji była tylko masą zardzewiałego żelastwa, w tym jednak kraju ponownie się stała ciekawym pomnikiem przeszłości [przyp. aut.).

Droga, którą jechaliśmy, skracając sobie czas tymi rozmowami, pusta i otwarta koło Glasgow, stawała się coraz posępniejsza. Wielkie obszary wrzosowisk ciągnęły się przed nami, za nami, dokoła nas, beznadziejnie puste. To płaskie i przerywane bagnami, mieniające się zdradziecką zielenią lub czerniejące torfowiskiem, to znów wznoszące się do sporych wysokości, właściwie nie były to jeszcze góry, ale podróż przez nie była mozolna i przykra. Nie było tam drzew ani krzewów, na których spocząć by mogło oko znużone jednostajną rdzawą szatą bezwzględnej jałowizny. Sam wrzos był z tego lichego gatunku, co mało lub wcale nie kwitnie i najędzniejsze przykrycie

daje matce ziemi. Nie widzieliśmy żadnych żywych stworzeń z wyjątkiem od czasu do czasu błakających się kilku owiec o różnych i dziwnych barwach: czarne, niebieskie i pomarańczowe. Brunatny ton przeważał jednak na ich głowach i na nogach. Ptaki nawet jakby stroniły od tych pustkowi i nie dziw, skoro tak łatwo mogły polecieć gdzie indziej; ja przynajmniej słyszałem tylko jednostajny, płaczliwy głos czajek.

Przy obiedzie jednak, który zjedliśmy około południa w bardzo nędznej karczmie, mieliśmy sposobność przekonać się, że te jękliwe ptaki nie są jedynymi mieszkańcami torfowisk. Gospodyni oświadczyła nam, że gospodarz chodził na polowanie w stronę gór, i dzięki temu raczyliśmy się potrawką z dzikich ptaków, wyśmienicie uzupełniającą podstawowe zapasy domu, składające się z sera owczego, suszonego łososa i owsianego chleba. Uwieńczyło ucztę słabe, lekkie piwo i szklaneczka doskonałej wódki, a że i konie nasze tymczasem rozprawiły się ze swą porcją owsa, podjęliśmy dalszą podróż pokrzepieni na siłach.

Potrzebowałem całego zapasu dobrego humoru, jaki daje spożycie smacznego obiadu, by obronić się przed smutkiem, wgrzyzającym się w duszę na myśl o niepewnych rezultatach podróży i wobec beznadziejnie smętnego widoku okolic, przez które jechałem. Strony te przedstawiały chyba jeszcze dziksze pustkowie niż te, które mijaliśmy rano. Skąpo rozsiane, nędzne chatki stawały się coraz rzadsze. W końcu, gdy zaczęliśmy podjeżdżać pod rozległą torfiastą wyżynę, zniknęły zupełnie. Jedynym bodźcem dla wyobraźni był wielki kompleks ciemnogradowych gór, odsłaniający się oczom przy zakrętach naszej drogi. Ciągnęły się one ku północy i północozachodowi i wróżyły, że w głębi swej ukrywają widoki nie mniej dzikie, a z pewnością ciekawsze od tych, które mijaliśmy. O ile wzgórze, które widzieliśmy na prawo, były płaskie i gołe, o tyle szczyty w tej górskiej panoramie rysowały się malowniczo. Patrząc na tę alpejską krainę zapragnąłem gorąco zbadać jej tajniki, choćby kosztem niebezpieczeństw i trudów, jak ów żeglarz, który wzdycha do bitwy albo do burzy, gdy znuży go jednostajność długotrwałej ciszy morskiej. Stawiałem różne pytania mojemu przyjacielowi, panu Jarvie. Dopytywałem się na przykład o nazwy i położenie najwyższych szczytów, był to jednak przedmiot, o którym radny nic nie wiedział albo o którym nie chciał wiele mówić.

— To są nasze Wysokie Góry... nasze Wysokie Góry... zobaczycie i usłyszycie o nich dosyć, zanim ujrzymy rynek Glasgow z powrotem... Ja tam nie mogę patrzeć na nie... Ile razy je widzę, dreszcz mną wstrząsa. I to nie ze strachu, ale po prostu z żalu, z żalu nad tymi zaślepionymi, na pół głodem zamorzonymi biedakami, którzy je zamieszkują. Lecz nie mówmy już o tym. Nie jest dobrze mówić o góralach tak blisko granicy. Znałem ja niejednego poczciwego człowieka, który nie odważyłby się zapuścić w te strony nie spisawszy wpierw swej ostatniej woli... Mattie wcale nie miała ochoty puścić mnie na tę wyprawę i popłakiwała, głuptasińska, ale becząca kobieta i gęś chodząca boso to równie częsty widok.

Próbowałem zwrócić rozmowę na temat charakteru i historii osoby, którą mieliśmy odwiedzić, ale tu radny Jarvie okazał się całkiem nieprzystępny, co po części tłumaczyłem obecnością Andrew Fairservice'a. Ten trzymał się tak blisko za nami, że jego ucho musiało chwytać każde słowo, a język pozwalał sobie na wtrącanie się do naszej rozmowy przy lada sposobności. Za to często obrywał od pana Jarvie.

— Ruszaj w tył, jak ci przystoi — sarknął wreszcie, gdy Andrew pchał się naprzód, chcąc usłyszeć odpowiedź na jakieś moje pytanie o Campbellu. — Ty byś rad pierwszy jechał, co?... Pilnuj swego miejsca!... Otóż co do waszego pytania, panie Osbaldistone, to teraz, kiedy ten drab nie słyszy, powiem, że wolno wam pytać, a mnie wolno odpowiadać albo i nie odpowiadać... Wiele dobrego o biednym Robie powiedzieć nie mogę, a źle mówić o nim nie chcę, gdyż nie tylko że to mój krewniak, ale zbliżamy się do jego stron rodzinnych, a tu za każdym krzakiem któryś z jego ludzi może siedzieć... A jeśli chcecie posłuchać mojej rady, to im mniej będziecie mówić o nim i o celu naszej podróży, tym pewniej i tym prędzej załatwimy interes. Możliwe, że spotkamy się z kimś z jego nieprzyjaciół, aż za wielu jest takich, a jednak jeszcze mu czapka z głowy nie zleciała... Boję się wszakże, że źle skończy... Prędzej czy później przyjdzie kryśka na Matyska.

— Rozumiem — odpowiedziałem — i zdam się zupełnie na pańskie doświadczenie.

— Słusznie, panie Osbaldistone, słusznie. Ale muszę pomówić i z tym trajkotliwym sługą, gdyż dziecko i wariat gada przed ratuszem o tym,

co usłyszysz w komorze... Słuchaj no, Andrew, jak ci tam?... Fairservice ?

Andrew, który po ostatniej połajance trzymał się dobry kawał za nami, nie raczył usłyszeć wołania.

— Andrew, łotrze! — powtórzył pan Jarvie. — Pójdź tu! Pójdź tu zaraz!

— „Pójdź tu” mówi się do psa — odpowiedział Andrew podjeżdżając nadąsany.

— Zapłacę ci tak, jak psom się płaci, gałganie jeden, jeśli nie będziesz słuchał, co do ciebie mówię... Wybraliśmy się trochę w góry...

— Widzę to przecież — mruknął Andrew.

— Cicho bądź, szelmo, i słuchaj, co ci mam do powiedzenia. Wybraliśmy się trochę w góry...

— Już mi to pan raz powiedział — powtórzył niepoprawny Andrew.

— Łeb ci rozbiję, jeśli nie zamkniesz gęby! — zawrzał gniewem radny.

— Kto nie gardłuje, ten nic nie ma.

Trzeba już było, abym ja się wmieszał, surowym tonem nakazując mu milczenie.

— Ja też milczę — odpowiedział Andrew — i ślepo słucham rozkazów. Moja nieboszczka matka mawiała:

Źle czy dobrze, zawsze proszę,

Słuchaj tego, co ma grosze...

Toteż proszę mówić, ile panowie zechcą — i jeden pan, i drugi. Ja się nie odzywam.

Radny skorzystał z tego, że Andrew umilkł po zacytowaniu przysłowia, i dał mu potrzebną naukę.

— Otóż, jeżeli ci życie miłe... ono tam niewiele warte... ale jeżeli ci życie miłe, słuchaj, co ci powiem. W tej oberży, gdzie się zatrzymamy i gdzie może będziemy nocowali, schodzą się ludzie wszystkich rodów i klanów, z gór i z dolin. A zdarza się, gdy się głowy piciem zagrzeją, że więcej tam bywa dobytých sztyletów niż otwartých Biblii. Uważaj, żebyś się nie mieszał, nie wtrącał i nie obrażał ludzi tym trajkotliwym językiem swoim, tylko cicho siedź i niech tam sobie koguty choć łby urywają bez ciebie.

— Właśnie też trzeba mi o tym mówić — pogardliwie odpowiedział Andrew — jak gdybym ja nigdy przedtem nie widział górala i nie



wiedział, jak się z nim trzeba obchodzić. Już nikt tego lepiej nie umie ode mnie. Handlowałem z nimi, jadałem z nimi, pijałem z nimi...

— A biłeś się z nimi? — zapytał pan Jarvie.

— Nie, nie — odpowiedział Andrew — tego się wystrzegałem. Nie wypadałoby mnie, który jestem artystą i prawie uczonym w moim zawodzie, wdawać się w bijatyki z takimi nędznymi spódniczkowymi drabami, co to jednej rośliny ani kwiatu nie umieją nazwać porządnie po szkocku, a co dopiero po łacinie!

— A więc — ciągnął dalej pan Jarvie — pamiętaj trzymać język za zębami, żeby ci go nie przycięto, i nie gadaj byle czego i z byle kim, gdy się znajdziesz pod dachem oberży. A przede wszystkim pamiętaj, że nie wolno ci rozpowiadać i trąbić o nazwisku twego pana i moim, mówić na przykład, że to jest radny Nicol Jarvie z Glasgow, syn nieboszczyka cechmistrza Nicola Jarvie, o którym wszyscy słyszeli; a ten znowu to Francis Osbaldistone, syn wspólnika i dyrektora wielkiej firmy Osbaldistone i Tresham z Londynu.

— Już dosyć — odpowiedział kwaśno Andrew — już dosyć. A po cóż to ja bym miał o pańskich imionach rozprawiać? Mam wiele ważniejszych rzeczy do powiedzenia.

— A właśnie tych ważnych rzeczy ja się boję, ty ośle skończony! Najlepiej nic nie gadaj, ani źle, ani dobrze. Milcz, jeśli tylko potrafisz!

— Jeżeli nie potrafię mówić tak jak inni ludzie — odparł Andrew obrażony — to najlepiej proszę mi zapłacić moją pensję i należność za utrzymanie, a wrócę sobie do Glasgow... Niewielki żal przy pożegnaniu, jak mówiła stara kobyła do złamanego wózka...

Widząc, że przewrotność Andrew znowu staje się nie do zniesienia, wytłumaczyłem mu, że może sobie wracać, jeżeli chce, ale w takim razie nie zapłacę mu ani złamanego szeląga za poprzednie jego usługi. Ten argument trafił mu do przekonania. W jednej chwili schował rogi, jak się wyraził radny, zapewniając, że nie miał zamiaru nikomu ubliżyć i że posłuszny będzie wszelkim moim rozkazom.

Harmonia zapanowała znowu w naszym małym gronie i podróż bez przeszkód ciągnęła się dalej. Droga, która przez sześć czy siedem mil angielskich pięła się w górę, teraz biegła w dół okolicą ani żyzną, ani piękną, ani urozmaiconą. Od drogi, którą mieliśmy już za sobą, różniła się ona chyba tylko tym, że groźne szczyty wysokiego pasma gór ukazywały się niekiedy na horyzoncie. Jechaliśmy bez przerwy. Nawet gdy noc zapadła i osłoniła tę beznadziejną pustkę,

znajdowaliśmy się jeszcze, według objaśnień pana Jarvie, o dobre trzy mile angielskie od noclegu.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Baronie Bucklivie, niecnoto,  
Bierz ciebie diabli, żeś oto  
Takie nam miasto wystawił,  
Żeś wszystkich biedy nabawił:  
Tu koń ni człowiek nie dostanie strawy,  
Siaść nie ma na czym — ni krzesła, ni ławy...  
Szkocka ludowa piosenka o złej oberży

Chłód nocny był miły, a księżyc dobrze oświecał nam drogę. Przy świetle tym okolica, przez którą jechaliśmy, wyglądała bardziej zajmująco niż za białego dnia, kiedy widoczna była cała jej pustka. Zmienny światłocień użyczał jej sztucznego uroku i jak zasłona na twarzy brzydkiej kobiety drażnił naszą ciekawość, choć nie krył nic ponętnego.

Zjeżdżaliśmy tymczasem wciąż niżej i niżej. Droga nasza skręcała, wiała się, opuszczała bardziej odkryte wyżyny, wnikała w strome wąwozy, zapowiadające, że niebawem doprowadzi nas do jakiegoś potoku lub rzeki, aż w końcu ziściła tę zapowiedź. Stanęliśmy nad brzegiem rzeki podobniejszej do rzek angielskich niż do tych, które dotychczas widywałem w Szkocji. Była ona wąska, głęboka, cicha i milcząca, chociaż cienie padające na jej spokojne wody wskazywały, że znajdujemy się wśród wysokich gór, będących jej kolebką.

— To rzeka Forth — oznajmił radny, a w jego głosie usłyszałem ton pewnego szacunku, z jakim Szkoci zwykle mówią o swych głównych rzekach. Szczególnie ci z nich, którzy mieszkają nad ich brzegami, wymawiają nazwy Clyde, Tweed, Forth, Spey z dumą i poważaniem, tak że widywałem pojedynki wywołane lekceważącym odezwaniem się o nich. Nie mając nic przeciw tak niewinnemu uwielbieniu, przyjąłem objaśnienie przyjaciela z pełnym powagi uznaniem, tak jak on tego widocznie oczekiwał. Rzeczywiście bardzo się ucieszyłem, że po tak długiej i nudnej podróży zbliżamy się do okolic więcej do wyobraźni przemawiających. Mój wierny giermek Andrew nie był widać tego zdania, gdyż usłyszawszy uroczyste oznajmienie: „To jest rzeka Forth” — mruknął wzgardliwie pod nosem:

— Hm... gdyby powiedział: „To jest oberża”, miałoby to więcej sensu...

Rzeka Forth jednakże, o ile skąpe światło sądzić mi pozwalało, zasługiwała na podziw tych, których tak żywo obchodziła. Wypływała ona z pięknych, regularnie zaokrąglonych wzniesień, pokrytych kępami leszczyny, górskich jesionów i karłowatych dębów. Tu i ówdzie ponad niższe drzewiny wznosiło się wspaniałe stare drzewo, wyciągało barczyste konary w srebrnym księżycowym świetle i zdawało się, że chroni źródła, z których rzeka wypływała. Jeżeli miałbym dać wiarę opowiadaniu mego towarzysza — który choć twierdził, że w to nie wierzy, mówił jednak szeptem i jakby nieco bojaźliwie — wzgórze to, tak piękne w linii, tak bogatą pokryte zielenią, uwieńczone tak piękną różnorodnością starych drzew i bujnego leśnego podszycia, wedle miejscowego podania mieściło w niewidocznych podziemiach pałace gnomów. Te istoty, będące czymś pośrednim między ludźmi a demonami, nie są względem ludzi złośliwe, ale należy unikać i lękać się ich, ponieważ bywają kapryśne, mściwe i łatwo wpadają w gniew/1.

1/ Jeziora i przepaście, z których wypływa Avon Dhu, zwana inaczej rzeką Forth, są wciąż jeszcze, według ludowych podań, nawiedzane przez ludek gnomów, ten najdziwniejszy, ale i najprzyjemniejszy twór celtyckiej wyobraźni. Przedstawia się te istoty bardzo podobnie do tych, o których pisał w Irlandii Crofton Croker. Prześliczny pagórek w kształcie symetrycznego stożka, położony blisko wschodniego krańca doliny Aberfoil, uchodzi za ich ulubione miejsce i tu właśnie ogarnął Andrew Fairservice'a strach przed ich potęgą. Godny uwagi jest fakt, że dwaj kolejni duchowni, sprawujący pieczę nad parafią Aberfoil, poświęcili swój czas na opisanie tego przesądu. Pierwszym z nich był Robert Kirke, człowiek nie pozbawiony talentu, który przetłumaczył psalmy na gaelicki wiersz. Początkowo był on duszpasterzem sąsiedniej parafii Balquhiddel, po czym przeniósł się do Aberfoil, gdzie zmarł w roku 1688 przeżywszy zaledwie 42 lata.

Był on autorem Tajemniczego państwa, które ukazało się w druku po jego śmierci w roku 1691, ale pierwszego wydania tej książki nie widziałem. Drugie wydanie pochodzi z roku 1815 z Edynburga. Praca ta poświęcona jest ludowi gnomów, w których istnienie, jak się zdaje, pastor Kirke święcie wierzył. Zgodnie z góralską tradycją przypisuje on im niezwykle właściwości i moce.

Ale co najdziwniejsze, wielebny Robert Kirke, autor wspomnianego dzieła, sam był porwany przez gnomy, które, być może, zemściły się

na nim w ten sposób za ujawnienie tajemnic ich państwa. Wiadomość o tej katastrofie przekazał nam jego następca, śp. dr Patrick Grahame, również duchowny Aberfoil, który w swoich notatkach z Perthshire nie zapomniał o Daoine Schie — Miłośnikach Pokoju.

Podobno wielebny Robert Kirke, idąc niewielkim wzniesieniem leżącym na wschód od obecnej plebanii, które dotąd się zwie Dun Schie, co znaczy Pagórek Gnomów, nagle padł na ziemię tak, że zwykłym śmiertelnikom wydawało się, iż skonał. Inny był jednak jego los.

„Pastor Kirke był bliskim krewnym Grahama of Duchray, przodka obecnego generała Grahama Stirlinga. Wkrótce po swoim pogrzebie, ubrany jak w dniu, kiedy po raz ostatni widziano go żywym, ukazał się on lekarzowi, który był kuzynem jego i Duchraya. »Idź — rozkazał mu — do mego krewnego Duchraya i powiedz mu, że żyję. Straciłem tylko przytomność i przeniesiono mnie do krainy gnomów, gdzie dotąd przebywam. Powiedz mu, że gdy z przyjaciółmi będzie obchodzić chrzciny mego dziecka (gdyż zostawił żonę w ciąży), pokażę się w pokoju i jeśli wtedy nożem, który będzie trzymać w ręku, ciśnie ponad moją głowę, będę wolny i wrócę do ludzi«".

Zdaje się jednak, że lekarz ów zwlekał z przekazaniem tych słów. Robert Kirke ukazał mu się po raz drugi, grożąc, że będzie go nawiedzać i prześladować dniem i nocą, póki nie wykona zlecenia. Tym razem życzeniu jego stało się zadość. Nadszedł czas chrzcin. Gdy goście zasiedli do stołu, weszła postać pastora Kirke, ale laird of Duchray, niezrozumiałym zrzędzeniem losu, nie rzucił nożem. Pastor opuścił pokój drugimi drzwiami i odtąd go już nie widziano. Lud silnie wierzy, że do dziś dnia przebywa on w krainie gnomów (Notatki z Perthshire, str. 254), (przyp. aut.).

— Zowią je — mówił szeptem pan Jarvie — Daoine Schie, to znaczy, jeżeli rozumiem, miłośnicy pokoju. Tą nazwą chcą je udobruchać. I my, panie Osbaldistone, możemy je tak nazywać, gdyż niedobrze jest źle mówić o panu na jego własnym podwórku. — Zaraz jednak, ujrawszy światełko migocące przed nami, dodał: — Ale ostatecznie to złuda szatańska i nie boję się tego powiedzieć, gdy już jesteśmy blisko domu. O, widać światło oberży w Aberfoil.

Przyznaję, że ucieszyłem się tą wiadomością, i to nie dlatego, że pan Jarvie nie bał się już powiedzieć, co naprawdę myśli o owych D a o i

n e S c h i e czy tam gnomach, ale dlatego, że można było liczyć na kilka godzin wypoczynku dla nas i dla naszych koni, co nam się po z górą pięćdziesięciu milach jazdy słusznie należało.

W miejscu gdzie źródła zaczynały formować się we właściwą rzekę, przeszliśmy przez staroświecki most kamienny, bardzo wysoki i bardzo wąski. Przewodnik mój wyjaśnił jednak, że aby idąc z gór na południe przebyć tę głęboką i ważną rzekę wraz ze wszystkimi jej dopływami, trzeba pójść brodem zwanym Fords of Frew, który jest zawsze głęboki i niebezpieczny, a okresami wcale nie do przebycia. Poniżej tego brodu nie ma innego przejścia, aż dopiero znacznie dalej na wschód przez most w Stirling. Tak więc rzeka Forth od swych źródeł aż do oceanu stanowi obronną linię pomiędzy górską krainą a równinami Szkocji. Późniejsze zdarzenia, których byliśmy świadkami, przywiodły mi na pamięć trafne określenie, jakiego użył radny Jarvie mówiąc, że „rzeka Forth kielzna dzikiego górala”.

Po kilku minutach jazdy przebyliśmy most i stanęliśmy przed drzwiami oberży, gdzie mieliśmy spędzić wieczór. Była to buda jeszcze gorsza od tej, w której popasaliśmy w obiad, jednakże świeciło się w jej małych okienkach, słychać było wewnątrz głosy i wszystko zapowiadało, że znajdziemy jadło i schronienie, co nie było dla nas obojętne. Andrew pierwszy zauważył, że w poprzek wpół uchylonych drzwi oberży założono drążek oskrobanej wierzbiny. Cofnął się i radził nam nie wchodzić dalej.

— Jacyś ich naczelnicy i wielcy lairdowie siedzą tam, piją — tłumaczył — i nie chcą, by im kto przeszkadzał. Gdybyśmy ni z tego, ni z owego na nich wpadli, groziłoby nam co najmniej rozbicie głowy dla nauczki i nie zdziwiłbym się, gdyby nam sztyletem dobrali się do brzucha.

Pytając spojrziałem na radnego, który przyznał szeptem, że „kukułka miała rację, gdy raz w rok zakukała”.

Tymczasem na odgłos kopyt parę dziewczek wyszło z oberży i z sąsiednich chat. Nikt nas nie witał, nikt się nie gotował do odebrania koni, z których zsiadliśmy. Na różne nasze pytania słyszeliśmy jedną beznadziejną odpowiedź:

— Ha niel Sassenbach \nie rozumiem po angielsku/

Doświadczony radny znalazł jednak sposób, by nakłonić je do mówienia po angielsku.

— A jeżeli dam ci na piwo — przemówił do dziesięcioletniego może chłopaka, owiniętego w kawał podartego pledu — czy będziesz rozumiał po angielsku?

— Tak, tak, będę! — odparł malec bardzo przyzwoitą angielszczyzną.

— No, to idź i powiedz twojej mamie, mój kochany, że jest tu dwóch panów z nizin, którzy chcą z nią pomówić.

Po chwili pokazała się gospodyni z zapalonym smolnym łuczywem w ręku. Terpentyna zawarta w tego rodzaju pochodni (wykopuje się te korzenie świerkowe przeważnie z dołów torfowych) sprawia, że zapalają się one i iskrzą bardzo łatwo, tak że w górach używają ich często zamiast świec. W tej chwili pochodnia ta oświetlała surowe i niespokojne rysy kobiety bladej, chudej, niezwykle wysokiego wzrostu, której brudne łachmany, uzupełnione pledem czy jakąś kraciatą chustą, ledwie służyły celom przyzwoitości, a już na pewno nie wygody. Czarne jej włosy, wysuwające się nieczesanymi pasmami spod czepka, zarówno jak dziwny, zakłopotany wyraz, z jakim na nas patrzyła, przywodziły mi na myśl czarownicę, której przeszkodzono w spełnianiu jakichś niesamowitych praktyk. Odmówiła wprost wpuszczenia nas do domu. Perswadowaliśmy uporczywie, powoływaliśmy się na długość odbytej drogi, na stan koni i na tę okoliczność, że nigdzie bliżej nie znajdziemy schronienia, aż dopiero w Callander, które jak radny twierdził, leży stąd o siedem mil szkockich. Ile to wynosi na angielską miarę, tegom ja nigdy nie mógł wymiarkować, zdaje się jednak, że co najmniej drugie tyle. Uparta gospodyni pogardliwie zbywała nasze nalegania.

— Lepiej jechać dalej niż źle trafić — mówiła szkockim równinnym dialektem, będąc zresztą sama rodem z okręgu Lennox. — Mój dom zajęty przez takich, co nie chcą, by im obcy przeszkadzali. Nie wiem, kto tam jeszcze więcej przybyć może... może czerwone kurtki/290 z garnizonu. — Te ostatnie słowa wymówiła szeptem z wielkim naciskiem. — Noc — dodała — jest piękna... Nocleg na wrzosowisku ostudzi wam krew... Możecie spać w ubraniu, jak niejedna dobra stal w pochwie... Między krzakami nie ma wiatru, jeśli tylko dobre miejsce wyszukacie, a konie możecie popaść pod górami, nikt wam tego nie zabroni.

— Ależ, dobra kobieto — przemówiłem, kiedy radny wzdychał niezdecydowany — przed sześciu godzinami jedliśmy obiad i od tego czasu nic w ustach nie mieliśmy. Ja wprost umieram z głodu i wcale

nie mam ochoty zakwaterować się w waszych górach bez wieczerzy. Muszę wejść. Przepróście jak najgrzeczniej gości, że jeszcze dwóch obcych do towarzystwa im dodacie. Andrew, dojrzyj, by konie umieścić pod dachem.

Hekate/290 spojrzała na mnie zdziwiona, po czym zawołała:

— Uparty człowiek chce postawić na swoim!... Kto chce do piekła, niech idzie do piekła! Ale patrzajcie! Te angielskie pasibrzuchy najadły się do syta już raz tego dnia, a wołają raczej życie i wolność narazić niż wyrzec się gorącej wieczerzy! Połóż rostbef i pudding na dnie studni, a taki Anglik gotów w nią wskoczyć... Ale ja tam umywam ręce od tego... Proszę pójść za mną — zwróciła się do Andrew — ja pokażę, gdzie zostawić konie.

Przyznaję, że trochę mnie zaniepokoiły słowa gospodyni, złowróźnie napomykające o grożącym niebezpieczeństwie. Jednak po tym, co powiedziałem, niezręcznie było się cofać, więc śmiało wszedłem do wnętrza domu, omal nie połamawszy nóg o skrzynię z torfem i beczkę z solonym mięsem, stojące po obu stronach wąskiego zewnętrznego korytarzyka. Otworzyłem kiepskie, wpółrozwalone drzwi, zrobione nie z desek, ale z wikliny, i wiodąc za sobą radnego, wkroczyłem do głównej komnaty tego szkockiego karawanseraju/291.

Wnętrze przedstawiało widok dla oka człowieka z południa dość szczególny. Ogień, podsycany torfem i suchymi gałęziami, buchał wesoło w środku izby, ale dym, nie mający innego ujścia prócz dziury w dachu, snuł się dokoła ścian i zwieszał się czarną oponą na wysokości około pięciu stóp nad podłogą. Przestrzeń na dole była dość jasna dzięki niezliczonym przeciągom idącym w stronę ognia z wielkiej szpary w drzwiach plecionych z wikliny, z dwóch kwadratowych otworów, służących za okna, z których jeden zawieszony był pledem, a drugi zniszczonym płaszczem, a ponadto z różnych mniej widocznych dziur w ścianach budynku, który, zbudowany ze spojonych błotem okrągłych kamieni i torfu, wpuszczał powietrze mnóstwem szczelin.

Przy starym dębowym stole, przysuniętym do ognia, siedziało trzech mężczyzn, gości widocznie, których powierzchowność musiała zwracać uwagę. Dwaj z nich byli w stroju góralskim. Pierwszy, mały, o ciemnej cerze człowieczek, z żywym, bystrym i gniewnym wyrazem twarzy, miał na sobie trews, czyli obcisłe spodnie, sporządzone z jakiegoś kraciastego pończoszniczego materiału. Radny szepnął mi do



ucha, że musi to być jakaś wielka figura, bo „tylko ich duinhewassels/291 noszą takie pantalony, a trudno je tak utkać, by dogodzić ichmościom”.'

Drugi góral był mężczyzną bardzo wysokim, silnym, piegowatym, z obfitą rudawą czupryną, o wystających kościach policzkowych i długiej brodzie — rodzaj karykatury typowego Szkota. W tartanie, który miał na sobie, przebijały szkarłatne nitki i tym się on różnił od tartanu jego towarzysza, w którym przeważał kolor czarny i ciemnozielony. Przy tym samym stole siedzący trzeci mężczyzna był ubrany jak mieszkaniec nizin. Miał na sobie suto szamerowany strój do konnej jazdy i wielki kapelusz o szerokim rondzie. Był tęgi, w ruchach i spojrzeniach śmiały, powiedziałbym nawet — żołnierski. Każdy z górali miał przed sobą nagi sztylet wbity prostopadle w stół. Był to, jak się później dowiedziałem, umowny znak, że takiej narady żadna bitka nie przerwie.

Potężny dzban, zawierający może angielską kwartę usquebaugh (jest to napój prawie tak mocny jak wódka, który górale destylują ze słodu i nierozcieńczony piją w nadmiernej ilości), stał przed tymi dostojnikami.

Nadtłuczony kielich na drewnianej nóżce służył całemu towarzystwu i krążył z szybkością, zważywszy na moc napoju, wprost niewiarygodną. Ludzie ci rozmawiali głośno i z wielkim przejęciem to po gaelicku, to znów po angielsku. Jeszcze jeden góral, otulony w pled, leżał na podłodze z głową opartą o kamień, nakryty garstką słomy i spał czy też zdawało się, że spał, nie zważając na to, co go otacza. Był to prawdopodobnie obcy, gdyż leżał ubrany mając przy boku szablę i tarczę, jak zwykle góral w podróży. Posłania rozmaitej wielkości były ułożone wzdłuż ścian, sklecone to z połamanych desek, to z plecionej wikliny lub powiązanych gałęzi. Spali w nich domownicy, mężczyźni, kobiety i dzieci, zasłonięci jedynie obłokami dymu, otaczającymi ich ze wszystkich stron.

Weszliśmy tak cicho, a pijący tak zawzięcie rozprawiali, że nie dostrzegali nas przez parę minut. Zauważyłem jednak, że góral leżący przy ogniu uniósł się na łokciu, gdyśmy wchodzili, i nakrywając pledem dolną część twarzy utkwiał w nas wzrok na chwilę, po czym znowu legł, jakby z powrotem zapadając w sen, który wejście nasze przerwało.

Przybliżyliśmy się do ognia, nęcącego nas mile po jeździe w chłodzie jesienno-górskiego wieczora, i dopiero teraz, gdy zawołaliśmy na gospodynię, zauważyli nas dawniejsi goście. Ta zbliżyła się z wahaniem i nieśmiało, zerkając to na nas, to na tamtych, a gdyśmy zażądali czegoś do zjedzenia, odpowiedziała niepewnie i niewyraźnie: — Nie wiem, nie jestem pewna, czy jest co w domu... odpowiedniego dla takich jak panowie — dorzuciła.

Zapewniłem ją, że jest nam obojętne, co dostaniemy na wieczerzę, a obejrzawszy się za czymś, na czym by można usiąść i co wcale łatwe do znalezienia nie było, przysunąłem stary kojec dla kur jako siedzenie dla pana Jarvie, a dla siebie wywróciłem dnem do góry stary, pęknięty szaflik. Andrew Fairservice wszedł także za chwilę i w milczeniu umieścił się za naszymi plecami.

Autochtoni, że ich tak nazwę, nie przestawali wytrzeszczać na nas oczu, jak gdyby zaskoczeni naszą pewnością siebie. My zaś, ja przynajmniej, ukrywaliśmy ile możliwości pod maską obojętności tajemny niepokój, jak też nas przyjmą ci, do których przyszliśmy tak nie w porę.

W końcu niższy góral tonem wielce wyniosłym i bardzo dobrą angielszczyzną przemówił zwracając się do mnie:

— Widzę, że rządzicie się jak u siebie w domu, mój panie!

— Tak zwykle czynię — odpowiedziałem — gdy znajdę się w domu przeznaczonym na użytek publiczny.

— A czy to nie można było widzieć po białej lasce w drzwiach — rzekł ten drugi, wyższy — że inni panowie zajęli oberżę na swój własny użytek?

— Nie twierdzą, że znam obyczaje tego kraju — odpowiedziałem — ale muszę się dopiero nauczyć, że trzy osoby mogą mieć prawo wykluczyć wszystkich innych podróżnych spod jedynego dachu na całe mile wkoło.

— Nie ma do tego powodu, panowie — odezwał się radny. — Nie chcemy was obrażać... ale ani prawa, ani powodu do tego tu nie ma. Jednakże jeśli by butelka dobrej wódki mogła spór zażegnać, my, jako ludzie spokojni, jesteśmy gotowi.

— Bierz licho waszą wódkę, mój panie! — przemówił ów trzeci, mieszkaniec równin. — Nie pragniemy ani waszej wódki, ani towarzystwa.

To mówiąc podniósł się. Jego towarzysze również powstali bąkając coś jeden do drugiego, podciągając plecy, sapiąc i prychnając, jak to zwykli czynić górale, gdy chcą się doprowadzić do wściekłości.

— Ja panom mówiłam, do czego to doprowadzi — odezwała się gospodyni — ale nie chcieliście mnie słuchać... Idźcie sobie i nie róbcie zamieszania. Jeszcze też u Jenny Mac Alpine nikt porządnym panom nie wlaźł nigdy w drogę. Takie angielskie włóczęgi! Kręci się to po okolicy pod osłoną nocy i będzie przeszkadzało spokojnym, porządnym panom, co sobie przy ognisku w towarzystwie popijają!

W innych okolicznościach byłbym odpowiedział przysłowiem łacińskim:

*Dat veniam coruis, vexat censura columbas* /293...

Nie było jednakże czasu na ładne łacińskie cytaty, gdyż szykowało się na wyraźną awanturę. Mnie to już było obojętne, tak oburzyła mnie niegościnnność i arogancja, z jaką nas traktowano, ale zależało mi na radnym, którego osoba i stan mniej odpowiadały tej sytuacji. Powstałem jednak widząc, że inni wstają, i opuściłem płaszcz z ramion, ażeby móc stanąć w obronnej pozycji.

— Jest nas trzech na trzech — rzekł niższy z górali. — Jeśli z was takie zuchy, to do szabli!

I dobywając szabli wystąpił przeciw mnie. Stałem w pozycji obronnej i czując wyższość swej broni — miałem bowiem rapier — nie lękałem się rezultatu spotkania. Radny popisał się niespodziewaną walecznością. Widząc przed sobą olbrzymiego górala z dobytą bronią, szarpnął raz, drugi i trzeci za rękojeść swojej szabli; nie mogąc jej jednak wydobyć z pochwy z powodu rdzy zdradzającej, jak dawno szabli nie używano, chwycił w to miejsce rozpalony do czerwoności żelazny pogrzebacz i zaczął nim wymachiwać z takim skutkiem, że od pierwszego zetknięcia zapalił pled górala i zmusił go do trzymania się w przyzwoitej odległości. Andrew przeciwnie, smutno mi to przyznać, znikł na początku zatargu. Jednakże przeciwnik jego wołając: „Po sprawiedliwości! Po sprawiedliwości!” był uprzejmie skłonny nie brać udziału w starciu. W stosunku jeden na jednego pojedynek ten rozpoczęliśmy na sprawiedliwych warunkach.

Zmierzałem do tego, by o ile możliwości odebrać broń przeciwnikowi, nie mogłem jednak dotrzeć doń z bliska z obawy przed sztyletem, który trzymał w lewej ręce, parując nim ciosy mojego rapiera. Radny tymczasem pomimo chwilowego powodzenia w ciężkich znajdował

się opałach. Ciężar jego broni, zażywność osoby i sam żar roznamiętnienia — wszystko to szybko wyczerpało jego siły i tamowało oddech tak, że był już prawie na łasce swego przeciwnika, gdy wtem zerwał się śpiący góral z podłogi, na której leżał, by z obnażonym mieczem i tarczą w rękę rzucić się pomiędzy radnego a nacierającego nań olbrzyma wołając:

— Jadłem ja chleb miejski w ratuszu w Glasgow i na moją duszę! stanę za radnego Jarvie w oberży w Aberfoil!

Popierając słowa czynem, ten niespodziewany sojusznik świsnął szablą koło uszu swego rodaka, ten zaś, nie stropiony tym, uważnie przystąpił do walki. Że jednak obaj uzbrojeni byli w powleczone skórą i nabijane mosiężnymi gwoździemi drewniane tarcze, którymi z łatwością parowali wzajemnie ciosy, więcej było w ich walce hałasu i szczerku niż istotnego niebezpieczeństwa. Okazało się zresztą, że nasi przeciwnicy raczej chcieli popisać się brawurą niż rzeczywiście nas pobić i ów gość z równin, który został na boku z braku przeciwnika, wziął teraz na siebie rolę rozjemcy.

— Podajcie sobie ręce! Podajcie sobie ręce!... Dosyć! Dosyć!... Obraza nie jest śmiertelna. Obcy panowie to ludzie honorowi i dali nam dostateczną satysfakcję. Ja tam na punkcie honoru drażliwy jestem jak nikt, ale nie znoszę niepotrzebnego krwi przelewu.

Naturalnie nie życzyłem sobie przedłużania walki, a mój przeciwnik był także skłonny schować szablę do pochwy. Radny, któremu oddech zatykało, mógł być uważany za hors de combat /294\*, a nasi dwaj rycerze z tarczą i pałaszem zaprzestali walki równie obojętnie, jak ją rozpoczęli.

— A teraz — przemówił ów zacny jegomość, który wziął na siebie rolę rozjemcy — pijmy i weselmy się, jak ludziom uczciwym przystało... Ten dom pomieści nas wszystkich. Proponuję, niech ten dobry mały pan, który, że się tak wyrażę, wydaje się nieco zmordowany, postawi nam jako archilowe/1 miarkę wódki, ja zapłacę drugą, a potem będziemy płacili kolejką jak bracia.

1/ Słowo nieznanego pochodzenia, oznaczające ofiarę na rzecz zgody (przy p. aut.).

— A kto zapłaci za mój nowy, dobry pled? — wtrącił wysoki góral.

— Przez tę wypaloną dziurę cała ręka by przeszła! Widział to kto, żeby porządny człowiek bił się rozpalonym pogrzebaczem?!

— To nic, nie stanie to nam na przeszkodzie — odparł radny, który tymczasem zdążył już dech odzyskać i od razu był gotów triumfować, że znalazł szczęśliwe wyjście unikając konieczności ponownego uciekania się do tak ciężkich a niebezpiecznych sposobów załatwiania sporów. — Jeżeli ja rozbiłem głowę, znajdę na nią plaster. Nowy pled będziecie mieli, i to z tych najlepszych, w kolorach waszego klanu. Powiedzcie mi tylko, dokąd go wam odesłać z Glasgow.

— Nie potrzebuję wam wymieniać mego klanu... królewski/296 on jest, każdy o tym wie — odparł góral — ale możecie wziąć na próbkę kawałek pledu... Pfe! Śmierdzi jak przypalony owczy łeb!... Mój kuzyn, który nosi tam jaja z Glencroc, wstąpi po niego na świętego Marcina, tylko musicie powiedzieć, gdzie mieszkacie. Ale, zacny panie, na przyszły raz, jeśli staniecie do walki, a będziecie respektowali waszego przeciwnika, to przecież bijcie się szablą, człowiecze, skoro szablę nosicie, a nie rozpalonym pogrzebaczem albo żagwią jak jaki dziki Indianin!

— Zaprawdę — odpowiedział radny — każdy to robi, co musi. Moja szabla nie widziała światła od czasu bitwy pod Bothwell Brig, gdzie ją mój nieboszczyk ojciec nosił. A na pewno nie wiem, czy wystąpiła wtedy na światło dzienne, bo bitwa trwała krótko. Jakby tam nie było, tak mi ona przyrzadziła do pochwy, że nie w mojej mocy było ją wyciągnąć, toteż chwyciłem, co wpadło w rękę i czym się mogłem bronić. Myślę, że dla mnie już czas szermierki minął, a mimo to nie lubię chować obrazy do kieszeni... Ale gdzież jest ten dzielny chłopak, co tak odważnie stanął w mojej obronie? Chciałbym go poczęstować kielichem okowity!

Szermierza jednakże, za którym rozglądał się dokoła, nigdzie jakoś nie było widać. Umknął nie zauważony przez radnego, zaledwie skończyła się walka. Przedtem jednak zdołałem po rysach i rozwichrzonej rudej czuprynie poznać w nim naszego znajomego, Dougala, zbiega, odźwiernego z glasgowskiego więzienia. Powiedziałem to szeptem radnemu, ten zaś mi również szeptem odpowiedział:

— Dobrze, dobrze... widzę, że ten... wiecie kto... miał słuszość. Są przecież przebłyski rozumu w tym stworze Dougalu! Muszę pomyśleć, w czym mógłbym mu pomóc.

To mówiąc siadł, parę razy odetchnął i zawołał na gospodynię:

— Teraz, matko, gdy widzę, że nie mam dziury w brzuchu, a łatwo mógłbym się jej nabawić przy takich w waszym domu zwyczajach, myślę, że dobrze by było wpakować tam coś do środka!

Kobieta, wielce ugrzeczniona od chwili, gdy burza minęła, natychmiast zaczęła przyrządzać coś smakowitego dla nas na wieczerzę. Istotnie, w całej tej sprawie nic mnie bardziej nie zdziwiło niż spokój jej i domowników podczas całego wojennego zajścia. Raz tylko usłyszałem, jak poczciwa kobieta zawołała do kogoś ze służby:

— Zamknij drzwi! Zamknij drzwi! Czy zabije, czy będzie zabity, niechaj mi nikt nie wyjdzie, póki nie zapłaci!

Co zaś się tyczy tych, którzy spali pod ścianami na swoich legowiskach, to tylko na chwilę unieśli swoje nagie ciała, by zobaczyć, co się dzieje, jęknęli: „Oj! oj!” na różne głosy, stosownie do płci i wieku, i bodajże wcześniej zapadli w głęboki sen, niż nasze szable wróciły do pochew.

Tymczasem gospodyni krzątała się zwawo, przygotowując jakiś posiłek, i ku mojemu zdziwieniu wnet przyrządziła wonną potrawę — zrazy z dziczyzny — którą przyprawiła tak smacznie, że mogłaby zadowolić wytrawnych smakoszków nie mówiąc już o ludziach zgłodniałych. Równocześnie postawiono na stole wódkę, do której górale, jakkolwiek miłujący własne trunki, nie okazali wstrętu, raczej przeciwnie. Jegomość z równin, zaledwie pierwszy kielich obszedł kolejkę, zaczął rozpytywać, jaki jest nasz zawód i cel podróży.

— Jesteśmy skromnymi mieszczanami z Glasgow do usług waszej miłości — rzekł radny z udaną pokorą — a jedziemy do Stirling, by odebrać trochę pieniędzy, które nam się należą.

Byłem o tyle niemądry, że zrobiło mi się przykro, iż tak skromną rolę nam przypisał. Przypomniałem sobie jednak, że przyrzekłem milczeć i pozwolić radnemu prowadzić sprawy po swojemu. I rzeczywiście, Willu, czyż mogłem mu tego odmówić pamiętając, że nie tylko zacnego człowieka wyciągnąłem z domu na długą podróż z pewnymi niedogodnościami (wnioskując z bolesnej ostrożności, z jaką siadał albo wstawał), ale nawet naraziłem go na niebezpieczeństwo utraty życia.

Góral, który z drugiej strony rej wodził, sapiąc trochę, dorzucił drwiąco:

— Wy, kupcy glasgowscy, nic nie macie do roboty, jak wędrować po Szkocji i dręczyć poczciwych ludzi, którzy, tak jak ja, coś gdzieś komuś...

— Gdyby wszyscy nasi dłużnicy byli tak uczciwi jak wy, Garschattachin — powiedział radny — zaprawdę, moglibyśmy sobie trudu oszczędzić, gdyż sami by do nas przychodzili.

— Ach! Co ja widzę! — wykrzyknął tamten. — Jak chlebem żyję (nie odrzekając się pieczeni wołowej i wódki), toż to mój stary przyjaciel Nicol Jarvie, najlepszy człowiek, jaki kiedykolwiek pożyczał pieniądze na skrypt biednemu szlachcicowi w opałach! Czy to do mnie jedziecie?

— Co prawda, to nie, panie Galbraith, mam inne sprawy na głowie — odpowiedział radny — ale pytacie zapewne, czy nie wybrałem się do was w sprawie tej rocznej renty, która mi się należy z kawałka wspólnie przez nas odziedziczonego gruntu.

— Co tam renta! — odparł laird na pozór bardzo serdecznie. — Ani słowa o interesach teraz, kiedy tak blisko jesteście mojej ojcowizny. Pomyśleć, jak też to ubranie podróżne i czapka mogą zmienić człowieka! Żebym to ja nie poznał od razu starego przyjaciela, cechmistrza!

— Radnego, jeśli łaska — poprawił mój towarzysz. — Ale ja wiem, co was w błąd wprowadza. Skrypt był wystawiony mojemu ojcu nieboszczykowi, który był cechmistrem, na imię było mu tak jak i mnie — Nicol. Nie upominałem się o zapłatę kapitału ani procentów i stąd zapewne pomyłka.

— No, już bierz lichy pomyłkę i to wszystko, co ją spowodowało! — odpowiedział pan Galbraith. — Ale cieszę się, że jesteście radnym. Panowie, napełnić kielich... zdrowie mego kochanego przyjaciela, radnego Nicola Jarvie! Znałem jego ojca i jego samego od dwudziestu lat. Wypiliście? Nalać drugi. Pijmy, aby prędko został burmistrzem... Burmistrzem mówię... Pan burmistrz Nicol Jarvie! A jeśli jest ktoś, kto by twierdził, że jest choć jeden człowiek godniejszy tego urzędu w całym Glasgow, życzę mu, żebym ja, Duncan Galbraith z Garschattachin, nie słyszał tego. To tyle.

Z tymi słowy Duncan Galbraith przywdział kapelusz, zadzierzyście przekrzywiając go na bok.

Prawdopodobnie dla górali cały wielki urok tych pochlebnych toastów leżał w wódce, gdyż pili, niewiele dbając, na jaką intencję. Wkrótce

też zaczęli mówić z panem Galbraith po gaelicku, którym to narzeczem dobrze władał, będąc, jak się później dowiedziałem, bliskim sąsiadem tej górskiej krainy.

— Poznałem ja tego pędziwiatra od samego początku — szepnął mi radny do ucha — lecz gdy krew zawrzała i błysnęły szable, nie dałem mu się poznać, bo kto wie, czyby mu nie przyszło do głowy, że i szablą można dług „uregulować”. Długo poczekamy, nim on normalnie go spłaci. Ale to uczciwy chłop i do tego ma złote serce. Na rynku w Glasgow rzadko się pokazuje, ale często to sarnę, to cietrzewia przysyła nam z gór. A swoją drogą, mnie by się te moje pieniądze przydały. Mój ojciec, cechmistrz, bardzo szanował rodzinę Garschattachin.

Ponieważ wieczerza prawie była już gotowa, obejrzałem się za Andrew, nikt jednak nie widział „wiernego” sługi od chwili rozpoczęcia bitki. Gospodyni wyraziła przypuszczenie, iż nasz służący poszedł do stajni, i ofiarowała się poświecić mi tam, mówiąc, że nie dał odpowiedzi na żadne wołania jej dzieci, a ona sama nie ma ochoty iść do stajni o tej godzinie, bo lęka się złego ducha, który tam podobno zamieszkał.

Gdy jednak świecąc prowadziła mnie do nędznej budy, do której wpakowano nasze nieszczęsne wierzchowce, by się uraczyły sianem o źdźbłach tak grubych jak gęsie pióra, okazało się, że miała inny powód, dla którego odciągnęła mnie od towarzystwa.

— Przeczytajcie to, panie — rzekła, gdy stanęliśmy w drzwiach stajenki, i wsunęła mi w rękę świstek papieru. — Chwała Bogu, żem się tego pozbyła! Cały czas między żołnierzami, Anglikami, złodziejami, rabusiami, wśród awantur i krwawych bitek... już by też uczciwa kobieta spokojniej w piekle żyła niż tu, na granicy gór!

To mówiąc dała mi sosnową pochodnię i powróciła do domu.



## ROZDZIAŁ XXIX

Nie lirą, ale kobzą sławimy piękno gór,  
Grzmi tutaj głos Mac Leona i Mac Gregora róg.  
Odpowiedź Johna Coopera\* Allanowi Ramsay/300

Stałem w drzwiach stajni, jeżeli istotnie zasługiwało na tę nazwę miejsce, gdzie pakowano konie razem z krowami, kozami, drobiem i świniami. A wszystko to znajdowało się pod jednym dachem z pomieszczeniem przeznaczonym dla ludzi. Osobne jednak drzwi prowadziły do owej stajni, a osobne do części domu używanej przez jego dwunożnych mieszkańców. Taka subtelność naszej gospodyni, przewyższająca potrzeby pozostałych mieszkańców wioski, zjednała jej opinię wynoszącą się nad innych.

Przy świetle pochodni odczytałem następujące słowa, pisane na świstku papieru wilgotnym, brudnym i zmiętym, a zaadresowanym: Do zacnych rąk pana F. O. Młodego Anglika — w miejscu wiadomym. Treść brzmiała:

Panie!

Jastrzębie snują się po nocy, tak że nie mogę, jak miałem zamiar, stawić się na spotkanie z Wami i z moim szanownym kuzynem N. J. w oberży w Aberfoil. Proszę Was, unikajcie niepotrzebnych stosunków z tymi, których tam możecie zastać, gdyż może to w przyszłości stać się źródłem kłopotów. Osoba, która Wam to wręczy, jest wierna, można jej zaufać. Ona Was doprowadzi do miejsca, gdzie, da Bóg, będę mógł bezpiecznie zobaczyć się z Wami i przyjąć mego krewnego i Was w moim ubogim domu, gdzie mimo nieprzyjaciół mogę Was ugościć tym, czym góral ugaszcza swoich przyjaciół, gdzie wypijemy uroczyste zdrowie niejakej D. V. i rozpatrzemy pewne sprawy, w których mam nadzieję być Wam pomocny. Pozostaję, jak należy. Waszym do usług

R. M. C.

Przykro mnie dotknęła treść tego listu, odkładająca na inny czas i miejsce udzielenie mi pomocy, na którą tak liczyłem. Jednakże i pociecha była w tym nie lada, gdyż wiadomość ta upewniła mnie, że Gampbell nadal chce coś dla mnie zrobić, a przecież bez niego nie mógłbym mieć żadnej nadziei na odzyskanie ojcowskich papierów. Postanowiłem przeto słuchać jego rad i zachowując wszelką ostrożność wobec gości, przy pierwszej sposobności zdobyć od

gospodyni wskazówki, jak mógłbym uzyskać spotkanie z tym tajemniczym osobnikiem.

Następnie zająłem się wyszukaniem Andrew. Na próżno wolałem go kilkakrotnie po imieniu. Nie bez ryzyka wzniesienia pożaru, z sypiącą iskry pochodnią w ręku obchodziłem całą stajnię. W końcu moje powtarzane wołania: „Andrew! Andrew! Głupcze! Ośle! gdzie jesteś?” wywołały żalną i płaczącą odpowiedź: „Tutaj!”

Idąc za tym głosem dotarłem do jakiejś komórki, gdzie odnalazłem mężnego Andrew wciśniętego w kąt za beczkę pełną pierza z wszelakiego drobiu, zarżniętego dla gości w ciągu ostatniego miesiąca. Częściowo siłą, częściowo rozkazem i łajaniem zmusiłem Andrew do wyjścia na powietrze.

— Ze mnie uczciwy chłopak, panie — to były pierwsze słowa, które wymówił.

— Któż u licha powątpiewa o twojej uczciwości? — odpowiedziałem.

— Zresztą co to ma do rzeczy w tej chwili? Chcę, żebyś przyszedł i usłużył nam przy wieczerzy.

— Tak — powtórzył Andrew, jak gdyby nie rozumiejąc, co do niego mówię — jestem uczciwy chłopak, cokolwiek tam radny przeciw mnie mówił. Przyznaję, że świat i jego sprawy czasem mi ciężko poruszają zółć i choć tam, na torfowisku, mówiłem, że chcę rzucić służbę, ale Bóg widzi, że tego nie myślałem, tylko ot tak mówiłem, jak to się różne niepotrzebne rzeczy gada, kiedy się targu dobija i chce się z tego jak najwięcej dla siebie wyciągnąć. I waszą miłość, jako takiego młodego człowieka, ja bardzo poważam i nie rozstawałbym się z nim lekkomyślnie.

— Do czego znowu zmierzasz? Przecież już tyle razy wszystko ułożyliśmy tak, jak sobie życzyłeś. Cóż ty będziesz mi tak co godzina dziękował za pracę bez ładu i składu?

— Tak, ale wtenczas to były ceregiele — odpowiedział Andrew — a teraz przyszło to na mnie naprawdę i na serio. Niechaj stracę... ale nie pójdę dalej z waszą miłością. I jeśli byście, panie, chcieli posłuchać mojej głupiej rady... to palicho wasze przyrzeczenie — dalej się nie puszczajcie. Ja szczerze pana szanuję i jestem pewien, że przyniesiecie zaszczyt przyjaciołom waszym, gdy się z czasem młode piwo wyszumi i nabędzie więcej statku i rozumu. Ale ja z panem dalej nie pójdę, nawet gdybyście z braku dobrej rady i opieki mieli wpaść w biedę i zginąć. Toż to kuszenie Pana Boga iść do ojczyzny Rob Roya!

— Rob Roy? — powtórzyłem zdziwiony trochę. — Nie znam go, kto to jest? Cóż to za nowa sztuczka, Andrew?

— Jest ciężko — odparł — bardzo ciężko, gdy człowiek mówi najszczerzą prawdę, a nie wierzą mu po prostu dlatego, że czasem się zapędzi i trochę się z prawdą minie. A przecież nieraz życie tego wymaga. Chyba nas nikt nie słyszy, więc powiem, że nie potrzebujecie pytać, kto to jest Rob Roy, ten przekłety grabieżnik. Panie Boże wybac, gdy w kieszeni macie list od niego. Słyszałem, jak jeden z jego podkomendnych polecił tej starej wiedźmie gospodyni oddać go wam do rąk. Myśleli, że nie rozumiem ich szwargotu, ale ja, choć nie bardzo mówię ich językiem, wiem przecie, co gadali... Nigdy nie myślałem, że wam to powiem, ale w strachu niejedno się wymknie... Oj, panie Franku! Wszystkie stryja pańskiego szaleństwa, wszystkie głupie sprawy pańskich krewniaków niczym są w porównaniu z tym! Pij pan lepiej do upadłego, jak sir Hildebrand, zaczynaj dzień od samego rana kieliszkami wódki jak esquire/302 Percival, nadymaj się jak esquire Thorncliff, lataj za dziewczkami jak John, graj jak Richard, zdobywaj dusze dla papieża i diabła jak Rashleigh. Pij, hulaj, szalej, łam świętą niedzielę jak oni wszyscy razem... Tylko, Boże miłosierny, strzeż swego młodego życia i nie zbliżaj się do Rob Roya!

Strach Andrew był zbyt szczery, bym mógł go posądzić o udawanie. Powiedziałem mu więc tylko, że na tę noc mam zamiar pozostać w tutejszej oberży i że proszę, żeby starannie opatrzył nasze konie. Co do reszty poleciłem mu zachować najściślejsze milczenie i zapewniłem go, że nie myślę narażać się na żadne poważne niebezpieczeństwo. Poszedł za mną z nosem spuszczonej na kwintę, mrużąc półgłosem:

— Człowiekowi należy dać jeść wpierrw niż zwierzęciu... Przez cały dzień nic nie miałem w ustach, tylko te twarde nogi starego koguta...

Harmonia towarzystwa przez czas mojej nieobecności musiała widocznie ulec zakłóceniu, gdyż zastałem pana Galbraith i mego przyjaciela radnego gorąco się spierających.

— Nie mogę tego słuchać! — mówił radny, gdy wchodziłem. — Książę Argyle to godny pan, dobry obywatel, ozdoba kraju, przyjaciel i dobroczyńca glasgowskiego kupiectwa. To samo mogę powiedzieć o całej rodzinie Campbellów.

— Ja tam nic nie powiem na Mac Callum More — rzekł śmiejąc się niższy góral. — Mieszkam za daleko od tego pana na Inverara, by się z nim kłócić.

— Nasze jezioro nigdy nie widziało lymfad/1 Cawmilów — odezwał się wyższy góral. — Powiem, co myślę, i nie boję się nikogo... Nie cenię wyżej Cawmila nad Cowana i możecie powiedzieć dostojnemu Mac Callum More, że Allan Inverach tak powiedział. Daleko stąd do Lochow /2.

1/ Lymfada — galeria, znak herbowy rodziny Argyle i innych członków rodu Campbell {przyp. aut.}.

2/ Lochow i pobliskie okęgi były rodową siedzibą Campbellów. Powiedzenie: „daleko stąd do Lochow” stało się przysłowiowe (przyp. aut.).

Galbraith, na którym liczne wychylone toasty nie pozostały bez śladu, walnął pięścią w stół i ponurym głosem rzekł:

— Krwawy dług zaciągnął ten ród i zapłaci go kiedyś... Kości zacnego i rycerskiego Grahame'a od dawna z trumny swej wołają o pomstę na książętach z Guile i lordach Lora. Nie byłoby zdrady w Szkocji, żeby za nią nie stał któryś z Cawmilów, a teraz gdy sprawiedliwość wzięła górę, któż jeśli nie Cawmile są za zdławieniem słuszności? Ale ten dzisiejszy świat nie potrwa długo i czas już ostrzyć dziewicę/3, by mogła ciąć karki i grdyki... Mam nadzieję, że zobaczą starą zardzewiałą dziewczkę znów pracującą przy krwawym żniwie.

3/ Dziewica — prymitywna gilotyna, używana dawniej w Szkocji (przyp. aut.).

— Wstyďte się, Garschattachin! — zawołał radny. — Fe, wstyďte się, mój panie! Jak możecie mówić takie rzeczy przy urzędniku i pakować się w kłopoty? Jakim sposobem utrzymacie rodzinę i zaspokoicie wierzcycieli (mnie i innych), jeżeli będziecie się rozbijać? W ten sposób doigracie się kary i szkody dla wszystkich waszych.

— Bierz diabli moich wierzcycieli — odparł rycerski Galbraith — i was, jeśli jesteście jednym z nich! Mówię: przyjdą nowe czasy... I nie będziemy mieli Cawmilów zadzierających nosa i szczujących psy swoje tam, gdzie się sami nie odważą przyjść, nie będziemy mieli złodziejskich opiekunów ani morderców i wyzyskiwaczy, co dręczą i łupią dzielniejszych ludzi i lojalniejsze klany niż oni sami!

Radny miał wielką ochotę dalej ciągnąć dysputę, ale smaczna woń potrawy ze zwierzyny, którą gospodyni postawiła przed nami, okazała się skuteczniejszym rozjemcą. Gorliwie zabrał się do mięsa, a pozostali dalej rozprawiali między sobą.

— I to prawda — mówił wyższy góral, który zwał się, jak odkryłem, Stewart — nie zwoływano by nas i nie musielibyśmy tak się trudzić dla wytropienia Rob Roya, gdyby mu Cawmilowie nie dawali przytułku. Byłem jednym z trzydziestu mojego nazwiska, a prócz nas byli ludzie z rodu Glenfilas. Ścigaliśmy Mac Gregorów tak, jak się poluje na jelenia, aż dostaliśmy się do okolicy Glenfalloch. Tam już grasują Cawmile i nie pozwalają gonić ich dalej. Cały nasz trud poszedł na marne. Ale dużo bym dał, by się znaleźć jeszcze raz tak blisko Roba.

Nieszczęście chciało, że w każdym temacie, jaki ci wojowniczy mężowie poruszali, radny znajdował kamień obrazy.

— Proszę mi darować, że powiem, co o tym sędzę, mój panie, ale wydaje mi się, że raczej dalibyście wiele, by zawsze być daleko od Roba, tak jak właśnie teraz... Mój rozpalony pogrzebacz niczym byłby przy jego szabli!

— Lepiej byście przestali mówić o waszym pogrzebaczku, bo dalibóg z powrotem wam te słowa do gardła wpakuję i jeszcze je popchnę kawałkiem stali! — Tu groźnym i złowróżbnym spojrzeniem góral położył rękę na rękojeści sztyletu.

— Nie będziemy się kłócili, Allanie — przemówił jego niższy towarzysz — a jeśli ten glosowski pan interesuje się Rob Royem, to jeszcze tej nocy zobaczy go w kajdankach, a już rano obejrzy go dyndającego na linie. Za długo ten kraj cierpiał przez niego, a w obecnej obławie prawie go mamy... Czas już, Allanie, byśmy poszli do naszych chłopaków.

— Co tam, Invershalloch! — odparł Galbraith. — Pamiętaj, jak to idzie: „Księżyc świeci” — powiada Bunnygask. „To jeszcze po kielichu” — odpowiada Lesley. Nie ruszymy się stąd bez jeszcze jednej kolejki.

— Już mam dość tych kolejek — oświadczył Invershalloch. — Wypiję kwartę usquebaugh albo wódki, gdy się trafia godne towarzystwo, ale teraz ani kropelki więcej, bo rano czeka mnie robota. I wedle mego skromnego rozumienia, Garschattachin, dobrze by było,

gdybyście tu waszych konnych sprowadzili przed świtem, byśmy wcześniej mogli wyruszyć.

— Co ci tak pilno, u licha? — rzekł Garschattachin. — Jedzenie i picie jeszcze nigdy nie przeszkodziły w robocie. Gdyby ode mnie zależało, nie byłbym ściągał was z gór do pomocy. Garnizon i nasza własna konnica wystarczą, by schwytać Rob Roya. Oto ręka — tu ją podniósł w górę — która powinna rzucić go o ziemię nie szukając pomocy u nikogo z was, górali.

— To po coście nas sprowadzali? — odparł Inverashalloch. — Nie przeszedłbym darmo sześćdziesięciu mil drogi, gdyby mnie nie wzywano. Ale jeśli chcecie posłyszeć, co o tym myślę, radziłbym wam trzymać język za zębami. Kto ma pomoc, ten żyje długo, i tak może być z tym, o kim wiecie. Chcąc złapać ptaszka, nie rzuca się czapką na niego. Ci panowie także niejedno słyszeli, czego nie powinni byli słyszeć, gdyby wódka nie była za mocna dla waszej głowy, majorze Galbraith. Nie nastawiajcie groźnie kapelusza i nie stróście tego marsa, bo ja tego nie zniosę!

— Już powiedziałem — odparł Galbraith z uroczystą miną pijanego — że klócić się ani z surdudem, ani z pledem /305 tej nocy nie będę. Gdy nie jestem na służbie, staję z każdym do bitki, czy to z nizin, czy z gór... Ale na służbie... nie... nie. Chciałbym, żeby raz te czerwone kurtki dały słyszeć o sobie. Gdyby tu chodziło o akcję przeciw królowi Jakubowi, już byśmy ich tu dawno mieli, ale gdy chodzi o utrzymanie spokoju w kraju, potrafią zasypiać sprawę, tak jak i ich sąsiedzi.

Gdy to mówił, usłyszeliśmy miarowe kroki oddziału maszerującej piechoty. Wnet też oficer, a za nim kilku żołnierzy weszło do izby. Oficer mówił czysto po angielsku, co miło zabrzmiało w moich uszach, wysłuchujących od tak dawna różnych szkockich dialektów nizin i gór.

— To pan jest pewnie majorem Galbraith, dowódcą szwadronu milicji z Lennox, a to zapewne ci dwaj panowie z gór, z którymi tu miałem naznaczone spotkanie?

Potwierdzili i zaprosili oficera, by się czymś pokrzepił, ale on odmówił:

— Spóźniłem się, panowie, i pragnę nadrobić czas stracony. Mam rozkaz poszukiwania i aresztowania dwóch osób oskarżonych o zdradzieckie działanie.

— Od tego umywamy ręce — rzekł Inverashalloch. — Przybyłem tu z moimi ludźmi, aby bić się z czerwonym Mac Gregorem, który zabił Duncana Mac Laren w Invernenty/1, kuzyna mojego w siódmym stopniu pokrewieństwa, ale nie chcę mieć nic wspólnego ze sprawą skierowaną przeciw porządnym ludziom, co może za własnymi interesami chodzić po kraju.

— Ani ja — dorzucił Inverach.

1/ To jest anachronizm: Mac Gregorowie zabili Mac Larena, jednego z przybocznych panów naczelnika klanu Appine, w roku 1736, tj. po śmierci Rob Roya (przyp. aut.).

Major Galbraith ujął rzecz uroczyściej i zacząwszy orację od czkawki, przemówił mniej więcej w te słowa:

— Nie powiem nic na króla Jerzego, kapitanie, ponieważ na mojej nominacji widnieje jego imię... Ale jeżeli jedna nominacja jest dobra, panie, to przez to druga nie staje się złą, a są i tacy, co sądzą, że Jakub to imię równie dobre jak Jerzy. To jest król, który jest, a tamten król, który z prawa powinien być... Ja powiadam, panie kapitanie, że uczciwy człowiek powinien być lojalnym względem jednego i drugiego. Zresztą, co do mnie, jestem tymczasem zdania lorda namiestnika, jak przystoi oczywiście oficerowi milicji, a co do zdrady i tego tam wszystkiego... to szkoda czasu mówić o tym. Im mniej gadania, tym lepiej.

— Przykro mi przekonać się, że pan trochę niewłaściwie czas spędzał — odpowiedział oficer Anglik. W istocie rozumowanie zacnego rycerza silnie trąciło wypitym alkoholem. — Wolałbym, żeby w tak poważnych okolicznościach zachować więcej umiaru. Radziłbym panu przespać się z godzinkę... Czy ci panowie należą do waszego towarzystwa?

To pytanie rzucił patrząc na radnego i na mnie, choć my, zajęci jedzeniem wieczerzy, nie zwróciliśmy uwagi na wejście oficera.

— Podróżni, panie — odpowiedział Galbraith — spokojni podróżni przez lądy i morza...

— Mam polecenie — rzekł kapitan biorąc do rąk świecę, by lepiej przyjrzeć się nam — zaarrestować dwie osoby, starszą i młodszą. Wydaje mi się, że ci panowie odpowiadają temu opisowi.

— Niech pan uważa, co pan mówi — odparł radny Jarvie. — Nie obroni pana czerwona kurtka ani szamerowany kapelusz, jeżeli mnie pan obrazi. Wytoczę panu proces o zniewagę i bezprawne uwięzienie.

Jestem wolnym obywatelem i urzędnikiem Glasgow, nazywam się Nicol Jarvie, tak jak przede mną mój ojciec. Jestem radnym, Bogu dzięki za ten zaszczyt, a mój ojciec był cechmistrzem.

— Był skończonym durniem — wtrącił major Galbraith — i bił się z królem pod Bothwell Brig.

— Płacił za to, co był winien, i za to, co kupił, panie Galbraith — obruszył się radny — i był uczciwszym człowiekiem niż ten, co teraz stoi przede mną.

— Nie mam czasu tego wysłuchiwać — rzekł oficer. — Jestem stanowczo zmuszony aresztować obu panów, jeżeli nie dostarczycie mi poważnego poręczenia, że jesteście lojalnymi poddanymi.

— Żądam, aby mnie stawiono przed jakimś cywilnym urzędnikiem — wołał radny — na przykład sędzią tutejszego okręgu! Nie mam obowiązku odpowiadać każdej czerwonej kurtce na niepotrzebne pytania.

— Dobrze, mój panie, będę wiedział, jak z panem postąpić, jeżeli będziesz milczał... A pan — zwrócił się do mnie — jakież jest pańskie imię?

— Francis Osbaldistone, panie.

— Co? Syn sir Hildebranda Osbaldistone z Northumberland?

— Nie, panie — przerwał radny. — Syn wielkiego Williama Osbaldistone, szefa firmy Osbaldistone i Tresham w Londynie.

— Przykro mi bardzo — rzekł na to oficer — ale pańskie nazwisko zwiększa jeszcze moje podejrzenia i zmusza mnie do żądania, by pan oddał powierzone sobie papiery.

— Nie mam żadnych papierów do oddania — odpowiedziałem. Oficer kazał mnie rozbroić i przeszukać. Stawianie oporu byłoby szaleństwem. Oddałem broń i poddałem się rewizji, której dokonano z całą możliwą grzecznością. Nie znaleźli niczego prócz świstka otrzymanego tego wieczora z ręki gospodyni.

— To coś innego, niż się spodziewałem — rzekł oficer — jednakże daje nam dobrą podstawę do zaaresztowania pana. Jest to przecież dowód, że jesteś pan w pisemnym porozumieniu z wyjętym spod prawa rabusiem Robertem Mac Gregor Campbellem, który od tak dawna jest plagą tych stron... Jak pan to wytłumaczy?

— Szpiegowie Roba! — odezwał się Inverashalloch. — Należałoby powiesić ich na najbliższym drzewie.



— Wybraliśmy się odszukać go i odebrać pewną naszą własność, która przypadkiem wpadła w jego ręce — wyjaśnił radny. — Żadne prawo przecież, mam nadzieję, nie broni człowiekowi poszukiwać swej własności!

— Jakim sposobem dostałeś pan ten list? — zwrócił się do mnie oficer.

Nie mogłem nawet pomyśleć o zdradzeniu biednej kobiety, która mi go dała, toteż milczałem.

— A ty co wiesz o tym? — zwrócił się oficer do Andrew, któremu szczęki latały jak kastaniety.

— O, tak, ja wszystko wiem... To młody góral oddał ten list tej wygadanej babie, tutejszej gospodyni. Mogę przysiąc, że mój pan nic o tym nie wiedział. Ale sam się uparł iść w góry i widzieć się z Robem... Och, panie! To byłby miłosierny uczynek wysłać go pod strażą z powrotem do Glasgow, czyby tego chciał, czy nie... A pana Jarvie zatrzymajcie państwo choćby jak najdłużej... Odpowiedzialny on jest i może zapłacić każdą grzywnę, jaką mu się nałoży, a co do tego, to i mój pan też. Co zaś do mnie, to jestem sobie ubogi ogrodnik i mną się nie warto zajmować.

— Zdaje się, że najlepiej będzie wysłać tych podejrzanych pod strażą do garnizonu — oświadczył oficer. — Jak widać, są oni w porozumieniu z nieprzyjacielem i w żadnym razie nie chcą być odpowiedzialny za pozostawienie ich na wolności. Panowie, uważajcie się za moich więźniów. Skoro świt wyślę was w bezpieczne miejsce. Jeżeli jesteście tymi, za których się podajecie, wkrótce się to wyjaśni. Nie sprawi wam wielkiej przykrości, że dzień lub dwa będziecie zatrzymani. Nie mogę słuchać żadnych wyjaśnień — ciągnął dalej, odwracając się od radnego, który już usta otwierał. — Moja służba nie pozostawia mi czasu na puste gadaniny.

— Dobrze, dobrze — rzekł radny — teraz zatańczymy, jak nam pan zagra... ale poczekajmy, jeszcze może i pan zatańczy, tak jak mu zagrają.

Żywa jakaś narada wszczęła się teraz między oficerami a góralami, mówili jednak tak cicho, że nic z tego nie mogłem usłyszeć. Skończywszy naradę wyszli z domu. Po ich wyjściu radny oświadczył:

— Ci górale pochodzą z zachodnich klanów i jeśli jest prawdą, co mówią, mają oni równie długie palce, jak ich sąsiedzi. Sprowadzono

ich tu, by wojowali z biednym Robem, na co oni przystali z powodu jakiejś tam dawnej niechęci do niego i jego imienników. I oto są Grahame'owie, Buchananowie i szlachta z hrabstwa Lennox, wszyscy zbrojni i w ordynku... Dobrze znana jest ich waśń i ja ich nie ganię. Nikt nie lubi tracić swego bydła. Ale oprócz tego są żołnierze sprowadzeni z garnizonu... Biedny Robin będzie miał gorącą łaźnię, nim słońce wzejdzie zza gór. No, bardzo pięknie... Nie wypada urzędnikowi pragnąć czegoś wbrew biegowi prawa, ale niech mnie licho porwie, jeżelibym się zmartwił, gdybym usłyszał, że wszystkim im Rob dał radę!

## ROZDZIAŁ XXX

...Wodzu,

Słuchaj uważnie, spójrz mi oko w oko —

Spójrz na twarz moją, patrz na twarz kobiety —

Osądź, czy blednę z lęku i z obawy,

Czy nie oblicze gniew szlachetny zmienia,

Żem oto zdana jest na łaskę twoją.

Bonduca/310

Pozwolono nam przebyć resztę nocy w oberży i przespać się, o ile to było możliwe przy nędznym jej urządzeniu. Radny, znużony podróżą i późniejszymi zajściami, mniej niepokojący się o ostateczny wynik uwięzienia, które dla niego było tylko kwestią chwilowej przykrości, a może też i mniej wybredny ode mnie co do wygody i czystości posłania, padł na jedno z tych legowisk, które poprzednio opisałem, i niebawem dał znać o sobie głośnym chrapaniem. Dla mnie zaś, gdym całą noc przesiedział z głową opartą o stół, kradzione chwile przerywanego snu były całym pokrzepieniem. W ciągu nocy miałem sposobność zauważyć, że w ruchach żołnierzy była jakaś niepewność i niezdecydowanie. Ludzie, wysyłani jak gdyby na zwiady, powracali widocznie bez zadowalających wiadomości do komenderującego oficera. Ten był jakiś niespokojny, podniecony i znowu wysyłał małe oddziały po dwóch, po trzech, a z tych niektórzy — jak zrozumiałem z tego, o czym między sobą szeptali — nie powracali z wywiadu.

Ranek już świtał, gdy kapral z dwoma ludźmi wpadł do chaty ciągnąc za sobą w triumfie jakiegoś górala. Poznałem w nim od razu znajomego mi byłego odźwiernego. Radny, który zerwał się zbudzony wrzawą, z jaką weszli, natychmiast uczynił to samo odkrycie.

— Litościwe nieba! — zawołał. — A toż złapali tego biedaka Dougala!... Kapitanie! Ja dam kaucję... Wystarczającą kaucję za tego durnia Dougala.

Na tę próbę obrony górala i na tę propozycję płynącą z wdzięcznego serca kapitan tylko zalecił panu Jarvie, by „pilnował własnych spraw i nie zapominał, że na razie sam jest więźniem”.

— Biorę pana za świadka, panie Osbaldistone — rzekł radny, widocznie lepiej obznajmiony z procedurą spraw cywilnych niżeli wojskowych — że on odmówił przyjęcia wystarczającej kaucji. Jestem zdania, że ten stwór Dougál będzie miał dobrą podstawę do

skargi na niego o niesłuszne uwięzienie i wynikłe stąd szkody, a to na podstawie aktu tysiąc siedemset i jeden. Już ja dopatrzę, by stwór wygrał tę sprawę.

Oficer o nazwisku, o ile dosłyszałem, Thornton, nie zważając na prośby i groźby radnego, przeprowadził z Dougalem bardzo ściśle śledztwo. Rozpytywał go o jego życie i stosunki, zmusił do przyznania się, choć widocznie niechętnego, że znał Rob Roya Mac Gregor, że widział się z nim w ciągu tego roku, w ciągu ostatniego półrocza, w ciągu tego miesiąca, tego ostatniego tygodnia, na koniec, że rozstał się z nim przed godziną. Wszystkie te szczegóły zeznań jak krople krwi wyciskał z więźnia, grożąc mu powieszeniem na najbliższym drzewie, jeżeli nie będzie gadał jasno i wyraźnie.

— A teraz, mój przyjacielu — przemówił oficer — bądź tak dobry powiedz mi, ile ludzi w tej chwili twój pan ma przy sobie.

Dougal rzucił okiem na wszystkie strony i nie patrząc na pytającego zaczął opowiadać, że tego na pewno nie wie...

— Patrz na mnie, ty psie góralski! — krzyknął oficer. — Pamiętaj, że życie twoje zależy od twej odpowiedzi. Ilu łotrów miał ten łajdak, wyrzutek społeczeństwa, gdyś się z nim rozstał?

— Nie więcej niż sześciu łotrów, jak odchodziłem.

— A gdzie jest reszta jego bandytów?

— Poszli z dowódcą na zachód.

— Na klany zachodnie! Hm... to bardzo możliwe. I z jakimże to łotrowskim rozkazem ciebie wysłano?

— Tylko zobaczyć, co wasza miłość i te panowie czerwone kurtki robią tu przy oberży.

— Ten stwór okaże się w końcu zdrajcą — szepnął radny umieściwszy się tuż za mymi plecami. — Całe szczęście, że nie naraziłem się na wydatki dla niego.

— A teraz, mój przyjacielu — mówił kapitan — musimy się porozumieć. Sam przyznałeś, że jesteś szpiegiem, i jako taki powinienesz zawisnąć na najbliższym drzewie... Ale poczekaj, jeżeli oddasz mi przysługę, to i ja tobie nawzajem. Ty, Dougalu, tak przez grzeczność zaprowadzisz mnie i mały mój oddział na to miejsce, gdzie zostawiłeś swego pana, gdyż pragnę pomówić z nim o ważnych sprawach. Ja zaś puszczyć ciebie wolno i dam ci pięć gwinei w dodatku.

— Oj, oj — zawołał Dougal w rozpaczy i zgnębieniu — tego nie mogę... nie mogę... zrobić... to już chyba wolę wisieć!

— Więc będziesz wisieć, przyjacielu — odparł oficer — a krew twoja niech spadnie na twą własną głowę. Kapralu Cramp, weź się do roli kata, bierz go!

Kapral stał przez dobrą chwilę przed biednym Dougalem, ostentacyjnie wiążąc węzeł z kawała sznura, który znalazł w domu. Następnie zarzucił go na szyję winowajcy i przy pomocy dwóch żołnierzy ciągnął go aż do drzwi, gdy zwyciężony strachem przed czekającą go śmiercią, nieszczęśliwiec zawołał:

— Panowie, stać! Stać! Zrobię, co jego miłość rozkaże... Stać!...

— Bierzcie tego durnia! — zawołał radny. — Zasługuje na stryczek więcej teraz niż kiedykolwiek. Bierzcie go, kapralu. Dlaczego go nie zabieracie ?

— Sądzę, szlachetny panie — odpowiedział kapral — że gdybyście sami mieli iść na gałąź, nie byłoby wam tak wściekle spieszo.

Ten dialog na stronie nie pozwolił mi dosłyszeć, co się działo pomiędzy więźniem a kapitanem. Usłyszałem tylko, jak Dougal pisnął bardzo cicho:

— I nie każecie iść dalej, mam tylko pokazać, gdzie jest Mac Gregor?... Och!... Och!...

— Przestań wyc, łotrze!... Nie, daję ci słowo, że nie będę żądał, żebyś szedł dalej. Kapralu, zbierz ludzi przed domem. Wyprowadźcie konie tych panów, musimy ich zabrać ze sobą. Nie mogę zostawić ludzi do pilnowania ich tutaj. Pójdźcie, chłopcy, przypasać broń!

Żołnierze zaczęli się krzątać i wnet byli gotowi. Wyprowadzono nas razem z Dougalem w roli więźniów. Przy wyjściu z chaty usłyszałem, jak nasz towarzysz-więzień przypomniał po cichu kapitanowi „o tych pięciu gwineach”.

— Masz je tutaj — rzekł oficer wsuwając mu złoto do ręki — ale uważaj, gdybyś chciał wywieść mnie w pole, sam własnoręcznie w łeb ci strzelę.

— Ten stwór — zauważył radny — gorszy jest, niż sądziłem... to poziomy i przewrotny stwór. O, ten marny zysk, ten podły pieniądz, o który się człowiek kusi! Mój ojciec, cechmistrz, mawiał, że srebrny grosz więcej zabił dusz niż nagi miecz ciał!

Zbliżyła się teraz gospodyni i zażądała wyrównania rachunku za wszystko to, co włali w siebie major Galbraith i jego przyjaciele

górale. Oficer Anglik protestował, ale pani Mac Alpine oświadczyła, że „gdyby nie to, że waszej miłości imię wspomniane było w tym towarzystwie, nigdy bym nie postawiła im miarki napitku, bo co do pana Galbraith, to albo go zobaczę, albo nie, ale to jedno dobrze wiem, że mała jest nadzieja zobaczenia pieniędzy, a jestem przecie biedna wdowa i żyję tylko z tego zarobku”.

Kapitan Thornton przerwał to utyskiwanie płacąc rachunek, który choć brzmiał nader groźnie w szkockiej walucie, wynosił zaledwie kilka szylingów angielskich. Wspaniałomyślny oficer byłby zapłacił i za pana Jarvie, i za mnie przy tym ogólnym obliczeniu, radny jednak nie zważając na radę gospodyni, że „powinniśmy wyciągnąć z Anglików, ile się tylko da, bo i tak z pewnością biedy narobią nam dość”, rozliczył się drobiazgowo co do naszego udziału w rachunkach i odpowiednio zapłacił.

Kapitan skorzystał ze sposobności i przeproszał nas trochę za uwięzienie.

— Jeżeli panowie jesteście lojalnymi i spokojnymi obywatelami — rzekł — nie będziecie żałowali, że was przetrzymałem przez jeden dzień, gdyż dzieje się to w służbie króla. Jeżeli zaś jest przeciwnie, to przecież spełniam tylko mój obowiązek.

Musieliśmy przyjąć tłumaczenie, na które nie było odpowiedzi, i wyruszyliśmy towarzysząc mu w wymarszu.

Nie zapomnę nigdy rozkosznego uczucia, z jakim zamieniłem ciemną, dymną i pełną zaduchu atmosferę góralskiej chaty, w której tak niewygodnie noc spędziliśmy, na krzepiącą wonność rannego powietrza i radosną promienistość wschodzącego słońca.. Z tronu purpurowozłotych chmur słało ono swe promienie na widok tak romantyczny i piękny, że coś podobnego nigdy jeszcze nie radowało mych oczu. Na lewo leżała dolina, którą płynęła rzeka Forth ku wschodowi, okalając piękne, odosobnione wzgórze w wieńcu lesistej krasy. Na prawo, wśród obfitości leśnego gąszczu, kęp drzewnych i skał, leżało zwierciadło wielkiego górskiego jeziora, lekko porannym wietrzykiem w drobne fale pomarszczone, złocąc się w słonecznych promieniach. Wysokie wzgórza, skały i urwiste wybrzeża, porośłe lasami dębów i brzeziny, okalały cudowną tafłę wody, a szumiące z wiatrem i połyskujące w słońcu liście drzew użyczały tej samotni pozorów ruchu i życia. Zdawało się, że jedynie człowiek jest

upośledzony na tym tle tak szlachetnego i doskonałego piękna przyrody.

Nędzne, małe chałupy, których może tuzin składał się na wioskę zwaną Clachan of Aberfoil, zbudowane były z luźnych kamieni, spojonych błotem, a kryte torfem, nałożonym niezgrabnie na nie ociosane, brzozowe i dębowe belki, pochodzące z okolicznych lasów. Dachy tak nisko wznosiły się nad ziemią, że Andrew zauważył, iż poprzedniego wieczora mogliśmy byli przejechać przez wieś nie wiedząc o tym wcale, dopóki by nogi końskie nie utknęły w belkowaniu.

Sądząc z tego, co można było widzieć, domostwo pani Mac Alpine, choć tak nędzne, było jeszcze najlepsze w całej osadzie. Przypuszczam zresztą (jeżeli mój opis wzbudził w tobie chęć jej zobaczenia), że i dziś nie znalazłbyś w niej wielkiej różnicy, gdyż Szkoci niełatwo przyjmują nowości, choćby im one przynosiły poprawę bytu/1.

1/ Nie wiem, jak to było w czasach pana Osbaldistone, ale mogę zapewnić czytelnika, którego ciekawość skłoniłaby do zwiedzenia miejsc tych romantycznych przygód, że obecnie wieś Aberfoil posiada bardzo wygodną, małą oberżę. Jeżeli nadto czytelnik będzie zbieraczem starych szkockich ciekawostek, dodatkową atrakcją będzie dla niego wiadomość, że duszpasterzem Aberfoil jest dr Patrick Grahame. Uprzejmość, z jaką ten duchowny udziela informacji o narodowych szkockich zabytkach, pamiątkach i podaniach, dorównuje zasobowi zebranych przez niego ludowych legend (przyp. aut.).

Mieszkańców tych nędznych chat zaniepokoił ruch i gwar naszego wymarszu, gdy zaś nasz oddział (może dwudziestu żołnierzy) stanął do szeregu, liczne staruszki przypatrywały się nam przez półuchylone drzwi domostw. Gdy te sybille/314 wysuwały swe siwe głowy, częściowo czepek z flaneli nakryte, gdy pokazywały tak swe pomarszczone oblicza, wzruszając i gestykulując długimi, kościstymi ramionami, mrużąc coś po gaelicku między sobą — mimo woli nasuwały się mojej wyobraźni wiedźmy makbetowskie i zdawało mi się, że czytam na twarzach tych staruch złośliwość ich sióstr-czarownic. Małe dzieci nawet, które zaczynały wysuwać się z kątów, jedno nagie zupełnie, inne ledwie trochę łachmanami kraciastej materii nakryte, uderzały w drobne dłonie i na widok angielskich żołnierzy śmiały się jadownic z wyrazem narodowej nienawiści i

złośliwości nie licującej z ich wiekiem. Zauważyłem też, że choć wieś wydawała się ludną w stosunku do swej wielkości, nie było widać ani jednego mężczyzny, a nawet ani jednego chłopca powyżej dziesięciu lat. Przyszło mi na myśl, że w ciągu naszej wyprawy doznamy od nieobecnych mężczyzn dotkliwszych dowodów złej woli niż te, które się czytało na twarzach kobiet i dzieci. Objawy tajonej niechęci i nienawiści, jakie wzbudzaliśmy, wybuchły głośno, gdy ostatni szereg żołnierzy opuścił wieś i szedł niższym brzegiem jeziora, idąc małą, nierówną, prowadzącą przez las ścieżyną, wyłobioną saniami, którymi miejscowi przewożą torf i drzewo. Wtedy to rozległ się ostry jazgot kobiecych krzyków, zmieszanych z piskiem dzieci, wrzaskiem chłopaków i klaskaniem w ręce, czym góralki podkreślają swoją wściekłość i lament.

Zapytałem Andrew, śmiertelnie bladego, co to wszystko ma znaczyć. — Boję się, że przekonamy się o tym aż nadto rychło — odpowiedział tenże. — Co to ma znaczyć? To znaczy, że baby góralskie przeklinają i złorzeczą czerwonym kurtkom, życzą wszystkiego złego im i każdemu, kto gada po angielsku. Słyszałem, jak klną baby w Anglii i w Szkocji... to nie dziwota słyszeć klnącą babę... ale takich nieoskrobanych ozorów, jakie mają te wiedźmy góralskie... i takich strasznych życzeń, żeby ludzi wyrżnięto jak owce... żeby ręce do łokci umazano w ich krwi serdecznej, żeby pomarli śmiercią Waltera Cuming z Guiyock/1, z którego tyle szczątków nie zostało, żeby się pies tym pożywił... Nie, takiej okropnej mowy, wychodzącej z człowieczego gardła, jeszcze nigdy nie słyszałem... Myślę, że już tylko sam diabeł mógłby ich czegoś gorszego nauczyć. Ale najgorsze ze wszystkiego jest to, że zapraszają nas, byśmy skierowali się ku jezioru, a przekonamy się, co nas tam spotka.

1/ Wielki i okrutny feudał, który jadąc przez las Guiyock z jakimś niecnym zamiarem, spadł z konia, pozostawiając nogę w strzemieniu; spłoszony rumak włóczył swego pana po ziemi, aż poszarpał jego ciało na kawałki. Wyrażenie „jazda Waltera z Guiyock” stało się przysłowiowe (przyp. aut.).

Dodając do objaśnień Andrew to, co sam zauważyłem, byłem prawie pewny, że jakaś napaść gotuje się na nasz oddział. Droga, w miarę jak posuwaliśmy się, ułatwiała tego rodzaju niemłą zasadzkę. Zrazu wiała się opodal jeziora przez torfiaste łąki, przerastane kępami drzew, to przecinając ciemne a zbite gąszcze, mogące ukryć przeciwnika o parę



kroków od linii naszego marszu, to znów prowadząc przez dzikie górskie strumyki, które nieraz sięgały żołnierzom do kolan, a płynęły nurtem tak rwącym, że sile ich można się było oprzeć tylko wtedy, gdy po dwóch lub trzech ludzi objęło się ramionami. Wydawało mi się prawdopodobne, mimo zupełnej nieznajomości spraw wojskowych, że w tego rodzaju przejściach garść półdzikich wojowników, właśnie takich jak górale, mogłaby skutecznie uderzyć na oddział regularnego wojska. Rozsądek i bystra obserwacja radnego doprowadzały go do tego samego wniosku. Przekonałem się o tym, gdy poprosiwszy o rozmowę z kapitanem, przemówił do niego mniej więcej w te słowa:

— Kapitanie, zwracam się do was nie po to, by wyprosić sobie jakąś łaskę, gdyż ja tym pogardzam... Co do protestów, to rezerwuję sobie na przyszłość prawo skargi i procesu o niesłuszne i krzywdzące aresztowanie. Jednakże jako zwolennik króla Jerzego i jego armii, pozwalam sobie zauważyć... kapitanie, że można wybrać lepszą porę na przejście tego wąwozu. Co pan o tym sądzi? Jeżeli pan szuka Rob Roya, wiadomo, że on w najgorszym razie ma więcej niż pięćdziesięciu ludzi koło siebie, a jeżeli sprowadzi ludzi z Glengyle i chłopaków z Glenfinlas i Balquhiddy, może nam sprawić tęgie lanie. Toteż jako zwolennik króla, szczerze radzę, byście zawrócili do Aberfoil. Te baby z Aberfoil są jak te mewy... Po ich wrzaskach zawsze następuje niepogoda.

— Bądź pan spokojny — odpowiedział kapitan Thornton. — Spełniam dane mi rozkazy. A skoro pan jest, według własnych swoich słów, stronnikiem króla Jerzego, to będzie pan rad się dowiedzieć, że jest niepodobieństwem, by ta banda łotrów, których swoboda tak długo kraj niepokoiła, mogła ująć wobec środków przedsięwziętych tym razem w celu ich zgniecenia. Do szwadronu konnej milicji pod dowództwem majora Galbraith dołączyły się już dwa, a może więcej oddziałów kawalerii i te obsadzą wszystkie niższe przesmyki tej dzikiej krainy. Trzystu górali pod wodzą tych dwóch panów, których widziałeś w oberży, opanowało górną część, a różne zbrojne oddziały z garnizonu strzegą gór i dolin w różnych punktach. Nasze ostatnie wiadomości o Rob Royu zgadzają się z tym, co ten drab zeznał, że mianowicie, widząc się otoczonym ze wszech stron, rozpuścił większość swoich ludzi z zamiarem albo przycupnięcia w ukryciu, albo też umknienia, ponieważ znakomicie zna wszelkie przejścia i przesmyki.

— Nie wiem — odpowiedział radny — ale w głowie Garschattachina było rano dziś więcej wódki niż rozumu. Na pańskim miejscu, kapitanie, nie polegałbym znów tak bardzo na góralach... Kruk krukowi oka nie wykole. Mogą się oni kłócić między sobą, mogą sobie brzydko wymyślać, a nawet, czemu nie, zdzielić się czasem szablicą; ale z pewnością złączą się w końcu i pójdą razem na cywilizowany naród, co nosi spodnie na dolnych kończynach i sakiewki w kieszeniach.

Przestróg tych kapitan Thornton nie puścił zupełnie mimo uszu. Inaczej sformował linię marszu, kazał żołnierzom opatrzyć zamki u broni i założyć bagnety, uformował przednią i tylną straż, każdą złożoną z oficera i dwóch żołnierzy, którym nakazał czujność i bacność. Dougala poddano jeszcze jednemu, i to bardzo ścisłemu badaniu, podczas którego stale powtarzał, że prawdą jest, co poprzednio twierdził. Gdy go strofowano, że prowadzi drogą podejrzaną i niebezpieczną, odpowiedział oschle, co się wydało zupełnie naturalne:

— Ja tam tej drogi nie robił, a jak panom trza szerokich gościńców, to było zostać w Glasgow.

Wszystko to odbyło się dość pomyślnie i puściliśmy się w dalszy pochód.

Droga nasza, choć wiodła w kierunku jeziora, tak dotąd osłonięta była lasami, że ledwie od czasu do czasu błysnął nam widok tej pięknej tafli wód. Lecz teraz nagle droga wystrzeliła z lesistych osłon i wijąc się tuż brzegiem jeziora, dała nam pełny widok tego wielkiego zwierciadła, które teraz, ponieważ wietrzyk ustał zupełnie, odbijało w całej wspaniałości wysokie, ciemne, wrzosem porośnięte góry, olbrzymie, szare skały i bujne zarośla brzegów. Wzgórza tak blisko dotykały wody, były tak urwiste i przepaściste, że nie dawały żadnego przejścia z wyjątkiem właśnie tej jedynej drogi, po której kroczyliśmy. Ponad nią zwieszały się skały, z których bez żadnej możliwości obrony z naszej strony mogliśmy być zgnieceni prostym staczaniem kamieni. Dodaj do tego, że ponieważ droga wciąż zakręcała omijając przylądki i zatoki wrzynające się w brzeg jeziora, rzadko kiedy można było wyrzeć na sto kroków przed siebie. Dowódca nasz wydawał się trochę zaniepokojony. Raz po raz zalecał żołnierzom czujność i bacność, raz po raz groził Dougalowi natychmiastową śmiercią, gdyby się okazało, że wprowadził nas w

zasadzkę. Dougal słuchał tych pogroźek z miną głupawo-nieprzeniknioną, co mogło wypływać równie dobrze z pewnej siebie nienawiści, jak z zaciętej stanowczości.

— Jeżeli panowie szukają Czerwonego Gregora — rzekł — to przecież nie mogli się spodziewać, że go odnajdą bez nadstawienia własnego karku.

Właśnie gdy góral domawiał tych słów, dowodzący przednią strażą zatrzymał pochód przysyłając kapitanowi żołnierza z wiadomością, że drogę przed nami zajmują górale ustawieni na wyniosłości, w miejscu szczególnie trudnym do przebycia. Niemal równocześnie żołnierz z tylnej straży przyszedł zameldować, że usłyszeli głos kobzy w lasach, przez które właśnie przeszliśmy. Kapitan Thornton, człowiek przytomny i odważny, postanowił natychmiast sforsować przejście z frontu, nie czekając, aż nas zaatakują z tyłu. Zapewnił żołnierzy, że słyszane przez nich kobzy należą do przyjaznych nam górali, którzy nadciągają z pomocą, przedstawił im, jak ważną rzeczą jest iść naprzód i schwycić o ile możności Rob Roya, zanim nadejdą posiłki, by podzielić z nimi honor wygranej, a zarazem nagrodę wyznaczoną za głowę tego sławnego banity. Rozkazał tylnej straży połączyć się ze środkiem, wszystkich wysunął naprzód i jak najszerzej rozstawił szeregi, by kolumna jego formując front zajęła całą drogę, na jaką jej szerokość pozwalała. Dougala, któremu szeptem rzucił: „Ty psie! Jeśliś mnie oszukał, śmiercią zapłacisz!”, umieszczono w środku pomiędzy dwoma grenadierami ze stanowczym nakazem zastrzelenia go, gdyby próbował ucieczki. Nam wskazano podobne miejsce jako najbezpieczniejsze, a kapitan Thornton, odebrawszy broń swą od żołnierza, który ją niósł, sam stanął na czele małego swego oddziału i zakomenderował: „Naprzód!”.

Oddział ruszył z determinacją angielskiego żołnierza. Nie mogę tego powiedzieć o Andrew Fairservice, który był nieprzytomny ze strachu, ani też, prawdę powiedziawszy, o radnym i o sobie, gdyż choć nie trzęśliśmy się jak Andrew, nie mogliśmy jednak ze stoicką obojętnością myśleć o tym, że narażamy życie w walce, która nas nie dotyczy. Jednakże na perswazje nie było czasu.

Przybliżyliśmy się na jakieś dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie wysunięta przednia straż dostrzegła nieprzyjaciela. Był to jeden z tych przyłądków wrzynających się w jezioro. Droga dotychczas prowadziła dokoła ich podstawy, tak jak to już opisałem. W danym wypadku

jednak ścieżka zamiast iść brzegiem wody wspinała się w górę paru stromymi zakosami i przechodziła w kamienistą perć wzdłuż przepaścistej ściany szarej łupkowej skały, skądinąd zupełnie niedostępnej. Na szczycie tej skały, na którą można się było dostać jedynie po tej kamienistej, wąskiej i niebezpiecznej ścieżynie, kapral oświadczył, że widział czapki i długie lufy broni kilku górali, widocznie leżących w wysokich wrzosach i zaroślach, wieńczących szczyt wyniosłości. Kapitan Thornton kazał mu iść naprzód na czele trzech szeregów, by usunąć tę prawdopodobną zasadzkę, sam zaś wolniejszym, ale równym krokiem ruszył mu na pomoc z resztą oddziału.

Zamierzony atak wstrzymało niespodziewane pojawienie się kobiecej postaci na wierzchołku skały.

— Stójcie! — przemówiła rozkazującym tonem. — I powiedzcie, czego szukacie w ojczyźnie Mac Gregora?

Rzadko widziałem okazalszą i bardziej władczą postać. Mogła mieć lat czterdzieści lub pięćdziesiąt. Twarz jej piękna kiedyś, choć męska, teraz zorana głębokimi bruzdami — skutek ostrości powietrza lub może niszczącego wpływu cierpień i namiętności — była jedynie silna, surowa i wyrazista. Pled swój nosiła nie zwinięty dokoła ramion i głowy, jak to jest w zwyczaju szkockich kobiet, ale ułożony w spódniczkę, tak jak go noszą góralscy żołnierze. Na głowie miała czapkę męską z piórem, obnażoną szablę w dłoni i parę pistoletów za pasem.

— To Helena Campbell, żona Roba — szepnął radny, mocno zatrwożony — za chwilę nie zabraknie między nami strzaskanych głów.

— Czego tu szukacie? — zapytała powtórnie kapitana Thorntona, który sam wystąpił jako parlamentariusz.

— Szukamy wyrzutka społeczeństwa Roba Roya Mac Gregora Campbella — odpowiedział oficer — ale nie prowadzimy wojny z kobietami, toteż nie stawiaj pani daremnego oporu wojskom królewskiemu, a zyskasz sobie prawo do dobrego obejścia.

— Ejże! — zawołała Amazonka /322. — Nie obce mi wasze łaskawe względy. Nie zostawiliście mi ni sławy, ni mienia... kości mej matki poruszają się w grobie, gdy moje obok niej złożę... Nie zostawiliście mi ani domu, ani dachu, ani łóżka, ani pościeli, ani bydła, by nas karmiło, ani owiec, by nas odziewały... Wszystko nam zabraliście, wszystko...

Nawet imię przodków naszych odebraliście nam, a teraz przychodzicie zabrać nam życie!...

— Nie godzę na niczyje życie — odpowiedział kapitan — spełniam tylko dane mi rozkazy. Jeżeli jesteś sama, dobra kobieto, nie potrzebujesz lękać się niczego. Jeżeli z tobą są niebacznicy, którzy chcą daremny opór stawić, niechże ich krew spadnie na ich głowy. Ruszaj naprzód, sierżancie!

— Naprzód marsz! — zakomenderował sierżant. — Hura, moi chłopcy, po głowę Rob Roya i sakiewkę złota!

Puścił się biegiem, a za nim jego sześciu żołnierzy; zaledwie jednak dotarli do pierwszego zakrętu pod górę, tuzin celnych strzałów huknął jednocześnie z różnych stron. Sierżant, przestrzelony na wylot, starał się jeszcze iść pod górę, chwycił się rękoma skalistej ściany, lecz po rozpaczliwym wysiłku opuścił ręce i padając stoczył się ze stromej skały w głębokie jezioro, gdzie też śmierć znalazł. Z żołnierzy trzech padło, zabitych lub ciężko rannych. Pozostali cofnęli się do głównego oddziału, wszyscy ciężiej lub lżej ranieni.

— Grenadierzy na front! — zakomenderował kapitan Thornton.

Musisz pamiętać, że w owym czasie ten rodzaj żołnierzy nosił rzeczywiście ową zabójczą broń, granaty, i stąd pochodzi ich nazwa. Czterech grenadierów wysunęło się tedy na front. Oficer nakazał reszcie oddziału gotowość do przyjścia im z pomocą, a powiedziawszy nam tylko: „Pilnujcie waszego bezpieczeństwa, panowie”, rzucił spieszenie grenadierom słowa komendy:

— Do rąk granaty! Zapalić lonty! Naprzód marsz!

Wszyscy z okrzykiem rzucili się naprzód w stronę krzaków. Kapitan Thornton na czele, grenadierzy z przygotowanymi granatami i muszkieteryzy szykujący się do poparcia ich natychmiastowym atakiem. Dougal, zapomniany w tym zamęcie, roztropnie wśliznął się w gęstwiny ponad tą częścią drogi, gdzieśmy się najpierw zatrzymali, i jak dziki kot wspinał się po górze. Poszedłem za jego przykładem, instynktownie przypominając sobie, że strzały górali godzić będą w otwartą drogę. Wspinałem się w górę aż do utraty tchu, gdyż bezustanna strzelanina, przy czym każdy strzał odbijał się tysięcznym echem, syk zapalonych granatów i ich kolejne wybuchy, zmieszane z okrzykami żołnierzy i wrzaskiem wrogów — wszystko to razem, nie wstydzę się przyznać, dodawało skrzydeł memu pragnieniu znalezienia się w miejscu bezpiecznym. Trudności wspinaczki

zwiększyły się niebawem tak bardzo, że straciłem nadzieję dogonienia Dougala, który, zdawało się, skakał ze skały na skałę, z pnia na pniak ze zwinnością wiewiórki. Wtedy spojrzałem w dół, by zobaczyć, co się stało z resztą moich towarzyszy. Obu ujrzałem w położeniu zaiste nie do pozazdroszczenia.

Radny, którego prawdopodobnie strach pobudził do chwilowej energicznej ruchliwości, poszedł w górę na jakieś dwadzieścia kroków od ścieżki. Tam jednak, przy przechodzeniu z jednego głazu na drugi, pośliznęła mu się noga i byłby się przedwcześnie spotkał z ojcem swoim, cechmistrzem, którego czyny i słowa tak lubił cytować, gdyby nie wystająca gałąź cierniowego krzaka. Zaczepiony o nią połą rajtroka, zawisł w powietrzu podobny do szyldu Złotego Runa nad sklepem kolonialnym przy ulicy Trongate w swym rodzinnym mieście.

Andrew wspinał się z lepszym powodzeniem, aż wdrapał się na szczyt nagiej skały, która wznosiła się ponad lasem i wystawiała go, tak przynajmniej mniemał, na wszystkie niebezpieczeństwa pobliskiej bitwy. Była ona przy tym tak stroma i niedostępna, że nie śmiał ani iść dalej, ani wracać. Drepcząc tedy tam i z powrotem na wąskiej przestrzeni skalistego szczytu, podobny do tańczącego na linie akrobaty na wiejskim jarmarku, ryczał o litość na przemian po gaelicku i po angielsku, zależnie od tego, która strona wydawała mu się zwycięską. Krzykom jego odpowiadały jednakże jedynie jęki radnego, cierpiącego mocno nie tylko ze strachu, ale i ze względu na dokuczliwą wiszącą pozycję.

Widząc radnego w tak przykrew sytuacji, pragnąłem przede wszystkim przyjść mu z pomocą, lecz było to niemożliwe bez współudziału Andrew, którego ani znaki, ani prośby, ani rozkaz, ani perswazje nie mogły o tyle natchnąć odwagą, by zdobył się na zejście z niefortunnej wyżyny. Z niej — jak niezręczny i niepożądany minister, nie umiejący się pożegnać z wywyższeniem, na które się wzniósł dzięki swej zarozumiałości — dalej zanosił łzawe modły o litość, których nikt nie słyszał, i dreptał tam i z powrotem, dziwacznie wykręcając ciało, by uniknąć kuł, które w jego mniemaniu świstały mu koło uszu.

Po kilku minutach tak silnie przedtem podtrzymywany ogień nagle umilkł — znak nieomylny, że starcie dobiegło końca. Szukałem teraz miejsca, skąd bym mógł dojrzeć, jak się to skończyło. Chciałem odwołać się do litości zwycięzców, miałem bowiem nadzieję, że nie

zniosą oni, by zacytować, jak trumna Mahometa/324, wisiał między niebem a ziemią, lecz owszem, sądziłem, że pomogą go wybawić. Nareszcie wspiąłem się na miejsce, skąd można było dojrzeć pole walki. Było już rzeczywiście po wszystkim i jak przypuszczałem, zważywszy na miejsce i okoliczności starcia, kapitan Thornton poniósł klęskę. Widziałem, jak oddziałek górali rozbijał tego oficera i nielicznych pozostałych szeregowców. Było tych ludzi może ze dwunastu, w większości rannych. Otoczeni przeważającą ilością wroga, nie mogąc ani iść naprzód, ani się cofać, wystawieni na morderczy a celny ogień, na który skutecznie nie mogli odpowiadać — złożyli wreszcie broń na rozkaz swego dowódcy, gdy ten dojrzał, że droga na tyłach jest zamknięta i że dalszy opór byłby tylko próżną stratą życia jego dzielnych ludzi. Górale, walczący za osłoną, tanio kupili zwycięstwo, kosztem tylko jednego zabitego i dwóch rannych od granatów. O wszystkim tym dowiedziałem się później. Na razie tylko domyśliłem się wyniku walki, gdy ujrzałem angielskiego oficera z zakrwawioną twarzą, pozbawionego czapki i broni, a jego ludzi strapionych i ponurych, otoczonych przez dzikie, marsowe postacie. Wiedziałem, że czeka ich ciężki los, taki jaki prawo wojny gotuje zwyciężonym w interesie bezpieczeństwa zwycięzców.

## ROZDZIAŁ XXXI

— Zwyciężonym biada! — srogi Brennus /326 rzecze,  
Gdy Rzym dumny pada pod barbarów mieczem.  
Gdy okup wazono — miecz na szale składa,  
Miecz masywny, ciężki — zwyciężonym biada!  
Ciężka zwyciężonych i ponura dola,  
Jedynie ich prawo — to zwycięzcy wola.  
Gaulliada

Niespokojnie wypatrywałem Dougala pomiędzy zwycięzcami. Nie wątpiłem, że odegrał on swoją rolę z całym rozmysłem po to, by angielskiego oficera wprowadzić w zasadzkę. Mimo woli podziwiałem zręczność, z jaką ten ciemny, na pozór wpół dziki człowiek umiał ukryć swój zamiar i przeprowadzić swój plan. Z pewnym podziwem przypominałem sobie na przykład ten świetnie odegrany opór, kiedy to niby się bronił przed udzieleniem żądanych informacji. Jednocześnie myślałem i o tym, że może nam grozić niebezpieczeństwo, gdybyśmy pokazali się zwycięzcom w pierwszym ich upojeniu, nie pozbawionym pewnego okrucieństwa. Widziałem, że kilku żołnierzy, nie mogących się podnieść z powodu odniesionych ran, zasztyletowano na miejscu. Toteż doszedłem do wniosku, że nie byłoby dla nas rzeczą bezpieczną przedstawiać się samym bez pomocy pośrednika. Ponieważ Campbella, którego teraz już utożsamiałem ze sławnym Rob Royem, nigdzie jakoś nie było widać, postanowiłem uciec się pod skrzydła jego wysłańca Dougala.

Gdy jednak nigdzie go dostrzec nie mogłem, zawróciłem w końcu, zamierzając własnymi siłami pomóc przyjacielowi, i wtedy ku swej wielkiej radości ujrzałem pana Jarvie, jak posiniały na twarzy i w stroju mocno nadwreżonym, bezpiecznie siedział pod skałą, z której do niedawna zwisał. Podbiegłem tedy szybko i gratulowałem mu, że cało wyszedł z opresji, lecz on chłodno przyjął moje słowa. Ciężki atak kaszlu zaledwie mu pozwolił urywkami wykrztusić parę uwag powątpiewających o szczerości mych uczuć.

— Hu! hu! hu! hu!... mówią, przyjaciel... hu!... hu... przyjaciel bliższy niż brat... hu! hu! hu!... Gdym tutaj przybył... panie Osbaldistone, do tej krainy, przeklętej przez Boga i ludzi... hu! hu!... niech mi Bóg wybaczy, że klnę... w pańskim przecież interesie... czy to było pięknie, pytam... hu! hu!... opuszczać mnie, najpierw, abym zginął od



wody lub kuli pomiędzy tymi wściekłymi góralami i czerwonymi kurtkami, a potem zostawić mnie wiszącego między niebem a ziemią, jak ten stary kocioł z kartoflami... nie próbując nawet... hu! hu!... przyjść mi z pomocą?

Przepraszalem go tysiąckrotnie i wiele zadałem sobie trudu, by mu wykazać, że nie mógłbym mu pomóc własnymi siłami. Jakoś mi się wreszcie udało i poczciwy radny, równie zgodliwy, jak porywczy, przywrócił mi do łask. Zapytałem go teraz, jak sobie poradził, że znalazł się na ziemi.

— Poradzić sobie! Byłbym tak wisiał do dnia sądnego, bo jakże mogłem zejść samemu, gdy byłem zawieszony głową w jedną stronę, a piętami w drugą, jak te szale u wagi... To ten stwór Dougal wybawił mnie, tak jak i wczoraj. Odciał połę mego surduta puginałem i z pomocą drugiego chłopca postawił mnie na nogi, jakby nigdy nic! Ale pomyśleć tylko, co znaczy dobre sukno! Gdybym miał na sobie jakąś taką szmatkę, jak ten wasz francuski kamlot albo cienkie damskie sukienko, byłaby pękła jak stary gałgan pod moim poważnym ciężarem. Daj Boże zdrowie tkaczowi, który to sukno utkał! Wisiałem sobie i szarpałem się tak bezpiecznie jak gabbart/1 uwiązany potrójną liną na przystani w Broomielaw.

1/ Gabbart — rodzaj wielkiej łodzi używanej na rzece Clyde; nazwa ta pochodzi prawdopodobnie od francuskiego gabare (przyp. aut.).

Zapytałem teraz, co się stało z jego wybawcą.

— Ten stwór (w dalszym ciągu tak przezywał Dougala) zdołał mi wytłumaczyć, że byłoby niebezpiecznie zbliżać się do jego pani, póki on nie powróci, i prosił, żebym tu zaczekał. Wydaje mi się — mówił — że on was poszukuje... bo to poczciwy stwór ostatecznie. Naprawdę, przysięgam, że ma słusność co do tej „pani”, jak on ją nazywa... Helena Campbell nie jest z tych najśodszych dziewic ani też z najuleglejszych żon, a ludzie mówią, że sam Rob czuje przed nią respekt. Przypuszczam, że może by mnie nie poznała, bo widzieliśmy się ostatni raz wiele lat temu... Toteż wolę poczekać na stwora Dougala.

Przyznałem mu rację, lecz tego dnia nie było sądzone, by roztropność radnego przydała się na co jemu albo komukolwiek.

Andrew, jakkolwiek przestał „tańcować” na skale, gdy strzelanina ustala, był jednak bardzo widoczny na swoim wzniesieniu, i to szczególnie teraz, gdy bystre oczy górali miały czas rozejrzeć się

dokoła. O tym, że został odkryty, powiadomiły nas dzikie i głośne okrzyki zebranych zwycięzców. Zaraz też kilku z nich wpadło w zarośla i z różnych stron zaczęło się piąć po skalistej ścianie wzgórza ku miejscu, gdzie zauważyli to pocieszne zjawisko.

Ci, którzy pierwsi na odległość strzału przybliżyli się do biednego Andrew, nie zadawali sobie fatygi, by mu pomóc w jego drażliwym położeniu, ale wycelowawszy w niego swe długie strzelby, niedwuznacznie dali mu do zrozumienia, że musi zejść i zdać się na ich łaskę i niełaskę, inaczej strzelać doń będą jak w czasie ćwiczeń do tarczy. Wobec tak groźnej zachęty Andrew nie miał czasu do namysłu. Bezpośrednie niebezpieczeństwo przewyciężyło lęk, więc też zaczął się spuszczać ze skały, chwytając się z gorączkowym pośpiechem bluszczów, pniaków dębowych i wystających skalnych głazów. Nie zaniedbywał też, gdy tylko rękę miał wolną, wyciągnąć jej gestem błagalnym w dół ku szlachcie w pledach, jak gdyby modlił się, by wycelowane strzelby czasami nie wypaliły. Słowem, pod wpływem strachu nieborak dokonał zejścia z niebezpiecznej wyżyny zdrów i cały, na co inaczej niż pod groźbą śmierci nigdy by nie był się zdobył. Niezgrabne jego ruchy ubawiły wielce stojących na dole górali, którzy nawet wystrzelili parę razy, zdaje mi się, że bez złego zresztą zamiaru, jedynie by ubawić się jego przerażeniem i pobudzić do tym większego pośpiechu.

Ostatecznie nieborak stanął na pewnym i stosunkowo gładkim gruncie, a raczej, ściślej mówiąc, pośliznąwszy się na ostatnim występie skały runął jak długi na ziemię. Podnieśli go zaraz czekający nań górale i zanim jeszcze stanął na nogi, obrali go nie tylko z zawartości jego kieszeni, ale z peruki, kapelusza, surduta, kamizelki, pończoch i trzewików. Czynili to z tak podziwu godną szybkością, że chociaż upadł na plecy jako dobrze ubrany, przyzwoicie się prezentujący, z mieszczańską się noszący służący, wstał jak chuda, łysa, bosa, o żebrzącym wyglądzie pokraka. Nie zważając na ból jego bosych stóp w zetknięciu ze skałami, po jakich go gnali, popędzili go w dół, ku drodze, nie bacząc na przeszkody.

Gdy tak schodzili z wyżyny, sokoli ich wzrok dojrzał pana Jarvie i mnie. Natychmiast z pół tuzina zbrojnych górali stłoczyło się wokół nas z wyciągniętymi sztyletami i szablami, i z odwiedzionymi, wycelowanymi w nas pistoletami. Szaleństwem byłoby stawiać opór, zwłaszcza że nie mieliśmy broni. Toteż poddaliśmy się losowi. Z

odpowiednią brutalnością zabrano się do naszej toalety, by doprowadzić nas do tegoż stanu, co biednego, oskubanego dwunoga Andrew Fairservice'a, drżącego na przemian z zimna i strachu. Los wszelako oszczędził nam tej ostateczności, w chwili bowiem gdy oddawałem mój krawat (nawiasem mówiąc, wielce elegancki i bogato haftowany), a z radnego zwlekano pozostałości jego rajtroka, ukazał się Dougal i od razu scena się zmieniła. Głośno besztając, klnąc i grożąc, jak z gwałtownych jego gestów sądzić mogłem, zniewolił rabusiów do niechętnego zaprzestania dalszych rekwizycji naszej własności i do oddania zagarniętego już łupu. Porwawszy mój krawat z rąk tego, który go zabrał, Dougal w gorliwości swojej związał mi go na szyi z taką energią, że zacząłem podejrzewać, iż za swego pobytu w Glasgow nie tylko był pomocnikiem odźwiernego, ale musiał również brać lekcje u kata. Podarte szczątki surduta radnego zarzucił mu na ramiona, a gdy większa grupa górali zaczęła napływać z drogi, poprowadził nas na dół, nakazując drugim, by nam, a przede wszystkim radnemu, pomogli zejść bezpiecznie i wygodnie. Daremnie jednak Andrew nateżał płuca, chcąc wyjednać dla siebie trochę protekcji Dougala, a przynajmniej jego wstawiennictwo w sprawie zwrotu zabranych trzewików.

— Nie, nie — odparł Dougal — nie jesteście znów tak delikatni. Z pewnością lepsi od was na bosaka chadzali! — I pozostawiając drepczącego za nami Andrew jego własnemu, dość przykremu losowi sprowadził nas spiesznie do ścieżki, która przed chwilą była miejscem bitwy, i podążył przedstawić nas jako dodatkowych jeńców kobiecie dowodzącej bandą. Zaciągnięto nas tedy przed nią, a Dougal pchał, walczył, krzyczał, jakby to o niego samego chodziło, i odpychał groźbami i siłą tych wszystkich, którzy objawiali bliższe zainteresowanie naszym ujęciem. W końcu stawiono nas przed bohaterką tego dnia. Wygląd jej, jak też i otaczających ją dzikich, nieokrzesanych, ale marsowych postaci przejął mnie, muszę to wyznać, niemałą obawą. Nie wiem, czy Helena Mac Gregor osobiście mieszała się do walki, a nawet później mówiono mi, że nie, jednakże plamy krwi na czole, na rękach i obnażonych ramionach, jak też na klindze szabli, której nie wypuszczała z dłoni, twarz jej rozplamiona i zwichrzone czarne pukle, wymykające się spod czerwonej czapki z piórem — wszystko to kazało przypuszczać, że brała udział w walce. Bystre jej, czarne oczy i cały wyraz twarzy

gorzały dumą zaspokojonej zemsty i triumfem zwycięstwa. Nie było jednakże w całej jej postaci nic wyraźnie krwiożerczego ani okrutnego, a gdy ochłonałem z pierwszego lęku spotkania, widok jej nasunął mi na pamięć niektóre obrazy natchnionych bohaterek, jakie widywałem w katolickich kościołach Francji. Nie była, co prawda, dość , piękna, by móc pozować na Judytę\*; nie miała też natchnionego wyrazu Debory \* albo żony Hebera Kenity /330, u której stóp ciemiezca Izraela ugiął się, padł i legł trupem. Jednakże podniecający ją zapał nadawał jej twarzy i pełnej godności postaci wyraz upodobiający ją do wizji tych wspaniałych artystów, którzy dla oka ludzkiego stworzyli bohaterki historii biblijnej.

Nie bardzo wiedziałem, jakimi słowy przemówić do tak niezwyklej osobistości, ale pan Jarvie, przełamując lody przedwstępnym kaszlem (pośpieszny bowiem marsz znowu pozbawił go tchu), ozwał się do niej następująco:

— Hu! hu! hu... Jestem nad wyraz szczęśliwy, że mam tę radosną sposobność (drzenie głosu silnie zaprzeczyło naciskowi, jaki umyślnie położył na wyraz „radosną”) — tę radosną sposobność — powtórzył starając się nadać temu przymiotnikowi odpowiedniejszy akcent — powitania żony mego krewniaka, Robina... Hu! hu!... Jakże się miewacie — zdążył tymczasem odzyskać swój zwykły terkoczący ton, mieszaninę poufałości i pewności siebie — jakże się wam działo przez te długie czasy? Nie przypominacie mnie sobie? Jestem przecież waszym kuzynem... Hu! hu!... Ale przypominacie sobie zapewne mego ojca, cechmistrza, Nicola Jarvie z Solnego Rynku w Glasgow? Uczciwy to był człowiek i odpowiedzialny, szanował was i wasz ród. Toteż, jak już wyżej powiedziałem, bardzo się cieszę, że was widzę jako żonę mego krewniaka. Poprosiłbym o kuzynowskie prawo pocałowania was, gdyby nie to, że te chłopaki tak boleśnie ściskają mi ręce, a także, Bóg świadkiem i słowem urzędnika ręczę, że dobrze by wam zrobił kubek wody, zanim witać się będziecie z przyjaciółmi.

Było w poufałości tej przemowy coś, co nie zgadzało się z egzaltowanym nastrojem kobiety, do której się zwracał, rozgorączkowanej walką w niebezpiecznym spotkaniu i właśnie zajętej wymierzaniem wyroków śmierci.

— Coś ty za jeden — odparła — że śmiesz powoływać się na pokrewieństwo z Mac Gregorem, a ani stroju jego nie nosisz, ani

mową jego nie mówisz?... Coś ty za jeden, co język masz i obyczaj psa, a chciałbyś lec przy jeleniu?

— Nie wiem — odpowiedział nieposkromiony radny — czy wam kiedy dokładnie wyłożono pokrewieństwo, kuzynko... ale to wiadomo i można go dowieść. Moja matka, Elżbieta Mac Farlane, była żoną mego ojca, cechmistrza, Nicola Jarvie, niechaj spoczywają w Bogu oboje!... a Elżbieta była córką Parlane Mac Farlane z Scheeling koło Loch Sloy. Otóż ten Parlane Mac Farlane, jak to zaświadczyć może jego żyjąca jeszcze córka Maggy Mac Farlane czy Mac Nab, która poślubiła Duncana Mac Naba z Stuckavrallachan, który pozostawał do waszego męża, Robina Mac Gregor, w czwartym stopniu pokrewieństwa, gdyż...

Niewiasta przekreśliła wywód genealogiczny wyniosłym pytaniem:

— Czyż strumień żywej wody przyznaje się do związku z tą swoją cząstką, którą zaczerpnięto i zastosowano do nędznego domowego użytku tych, co mieszkają na jego wybrzeżach?

— Bardzo słusznie, kuzynko — odpowiedział radny — ale przecież strumień byłby rad mieć na wprost groblę młyńską latem, gdy plamy śnieżne bieleją w słońcu. Wiem bardzo dobrze, że wy, ludzie z gór, nas, ludzi z Glasgow, lekko sobie ważycie, a to dla naszej mowy i dla naszych sukien. Każdy jednak mówi swym rodzinnym językiem, tym, którego się nauczył w dzieciństwie. A czyż nie głupio by to wyglądało zobaczyć mnie, z moim tłustym brzuchem, w krótkiej góralskiej spódniczce, a moje biedne kuse nogi z podwiązkami pod kolanem, tak jak u waszych długonogich chłopców? Zresztą na ten przykład, krewniaczko — mówił dalej, mimo różnych znaków, jakim Dougal zalecał mu milczenie, i mimo oznak zniecierpliwienia Amazonki — chciałbym, abyście o tym pamiętali, że królewskie wezwanie może zapukać do bramy i że choć tak wysoko trzymacie we czci waszego męża, jak Pismo święte to zaleca, ja już niejedną przysługę oddałem Robowi, nie mówiąc o perłach, które wam przesłałem, gdy mieliście za mąż wychodzić, kiedy to Rob był jeszcze uczciwym, zamożnym kupcem bydła i nie było tej całej bezprawnej roboty, tych awantur, tego strzelania, tych zaburzeń pokoju króla jegomości i rozbijania jego żołnierzy.

Dotknął widocznie najczulszej struny swojej krewniaczki. Wyprostowała się całą postacią i wzburzeniu uczuć swoich dała wyraz śmiechem wzgardliwym i pełnym goryczy.

— Tak — rzekła — wy i wam podobni mogliście przyznawać się do pokrewieństwa z nami, dopóki byliśmy tymi nędznymi nieszczęśliwcami, zdolnymi istnieć pod waszym panowaniem jako wasi drwale i woziwody, dostarczyciele bydła dla waszych uczt, poddani waszym prawom, skazani na wyzysk i ucisk. Ale teraz jesteśmy wolni — wolni przez ten sam czyn, który nas pozbawił domu i ogniska, pokarmu i odzieży, który mnie pozbawił wszystkiego, wszystkiego i jęczeć mi każe, gdy pomyślę, że istnieć muszę na tej ziemi nie tylko dla zemsty, ale i dla innych celów! Lecz ja posunę dalej to dzieło, które dzień dzisiejszy tak pomyślnie zaczął. Dopełnię go czynem, który zerwie wszelkie węzły między Mac Gregorem a mieszczuchami z nizin... Hej! Allan! Dougal! Związać mi tych Anglików barkami i nogami społem i zrzucić ich w to górskie jezioro! Tam niechaj szukają swoich góralskich krewniaków.

Radny, przerażony tym rozkazem, już usta otwierał, by przemówić, czym prawdopodobnie byłby jeszcze bardziej rozjątrzył gwałtowne namiętności niewiasty, gdy Dougal rzucił się pomiędzy nich i żywo wziął nas w obronę mówiąc swoim ojczystym językiem, którym władał szybko i płynnie, w zupełnym przeciwieństwie do swego powolnego, nieudolnego i niemal idiotycznego sposobu wyrażania się po angielsku.

Pani jego przerwała mu krótko, wołając po angielsku, jak gdyby chciała dać nam poczuć zawczasu całą gorycz śmierci:

— Podły psie i synu psa, będziesz mi tu mędrkować nad moimi rozkazami?! A gdybym ci kazała wyciąć im języki i wpakować język jednego w gardło drugiego czy odwrotnie, abyśmy mogli się przekonać, który będzie lepiej mówił wytworną angielszczyzną, albo gdybym ci poleciła wydrzeć i zamienić im serca, żebyśmy zobaczyli, które będzie lepiej knuć zdradę przeciw Mac Gregorowi, a przecież robili tak nasi ojcowie, gdy mścili się za krzywdy... gdybym ci taki wydała rozkaz, czy twoją byłoby rzeczą sprzeciwiać mu się?!

— Tak, tak — odpowiedział najspokojniej Dougal — jej woli ma się stać zadość... to słusznie. Ale gdyby tak... to znaczy, gdyby jej to było obojętne zrzucić w jezioro tego łotra kapitana od czerwonych kurtek i jego kaprała Crampa, i jeszcze ze dwóch albo ze trzech z tych, co w czerwonych kurtkach chodzą — jej samej więcej by to sprawiło przyjemności niż zrobić szkodę uczciwym cywilnym panom, co byli

przyjaciółmi Mac Gregora i przyszli tu na zapewnienie naczelnika, a nie żeby zdradę czynić, jako ja sam mogę o tym świadczyć.

Niewiasta już miała odpowiedzieć, gdy usłyszano kilka urywanych tonów kobzy, płynących od strony drogi z Aberfoil. Były to zapewne te same, jakie doszły uszu tylnej straży kapitana Thorntona, który uznał wtedy, że ma odwrót odcięty, i zdecydował przebojem torować sobie drogę naprzód. Ponieważ potyczka trwała bardzo krótko, zbrojni ludzie, idący z tą wojenną przygrywką, choć przyśpieszyli kroku słysząc strzały, nie zdążyli przybyć na czas, by wziąć udział w spotkaniu. Zwycięstwo osiągnięto bez nich. Teraz przychodzili tylko podzielić triumf swoich rodaków.

Wielka była różnica pomiędzy wyglądem nowo przybyłych a oddziałem, który pobił naszą eskortę, i to wyraźnie na korzyść pierwszych. Pomiedzy góralami otaczającymi żonę naczelnika byli starcy, chłopcy zaledwie zdolni unieść szablę, a nawet kobiety, wszyscy ci, jednym słowem, co chwytają za broń w ostateczności, toteż wyraz gorzkiego wstydu i przygnębienia pojawił się na męskiej twarzy Thorntona, gdy ujrzał, jak marne siły nieprzyjaciół pobiły jego dzielnych weteranów. Natomiast górale, którzy teraz nadeszli, a mogło ich być trzydziestu lub czterdziestu, byli to przeważnie mężczyźni młodzi, w kwiecie wieku, dzielni, dobrze zbudowani chłopcy, których krótkie pończochy i przepasane pledy doskonale uwydatniały ich muskularne kształty. Podobnie uzbrojenie nowo przybyłych przewyższało uzbrojenie pierwszego oddziału. Orszak niewieściego wodza miał do pomocy strzelbom siekiery, piki i inną staroświecką broń, niektórzy mieli tylko pałki, rapiery i długie noże. W drugim oddziale natomiast większość miała pistolety u pasa, a prawie wszyscy sztylety wiszące przy skórzanych torebkach, noszonych z przodu. Każdy miał dobrą strzelbę w rękę i szablę u boku oprócz silnej, okrągłej tarczy, zrobionej z lekkiego drzewa, skórą powleczonej, kunsztownie nabijanej mosiądzem i ze stalowym szpikulcem na środku. Te tarcze wisiały im na lewym ramieniu w czasie marszu lub przy wymianie strzałów z przeciwnikiem, w czasie szarży zaś z szablą w rękę podnosili je lewym przedramieniem.

Łatwo jednak można było poznać, że ta wyborowa banda nie powracała po takim zwycięstwie, jakie odnieśli ich gorzej wyekwipowani towarzysze. Kobza wydawała raz po raz żalostne tony, wyrażające nastrój bynajmniej nie triumfalny, gdy stanęli przed

małżonką swego wodza, milczeli, smętnie spuszczać oczy. Stali, a piszczałki znów grały też same smutne i jękliwe tony.

Helena rzuciła się im naprzeciw z twarzą, na której malowała się trwoga i gniew.

— Co to ma znaczyć, Allaster? — zwróciła się do minstrela. — Dlaczego żałobne pienie w chwili zwycięstwa?... Robert... Hamish... gdzie jest Mac Gregor?... Gdzie wasz ojciec?

Synowie jej, dowodzący bandą, przybliżyli się ku niej krokiem powolnym i niepewnym i szepnęli jej kilka słów po gaelicku. Usłyszawszy je wydała okrzyk, od którego echem zabrzmiały okoliczne skały, a zawtórowały mu wszystkie niewiasty razem z chłopcami, uderzając w dłonie i wrzeszcząc, jakby duszę chcieli oddać.

Echa górskie, milczące od chwili, gdy wrzawa potyczki ustała, rozniosły teraz te dzikie, szalone okrzyki żalu, które mogły wypłoszyć nawet nocne ptaki z ich gniazd.

— Wzięty! — powtórzyła Helena, gdy wrzawa ustała. — Wzięty!... W niewoli!... A wy żyjecie, wy, co to mówicie?... Tchórzliwe psy! Czy ja was po to wykarmiłam, byście żalowali swej krwi wobec wrogów ojca waszego lub byście widząc go więźniem wracali, aby mi mówić o tym?

Synowie Mac Gregora, których matka gromiła w ten sposób, byli to jeszcze młodzieńcy. Starszy zaledwie doszedł dwudziestego roku. Hamish, czyli James, starszy, wyższy był o głowę od brata i o wiele przystojniejszy. Jasnoniebieskie jego oczy i obfitość jasnych włosów, spływających spod zgrabnej niebieskiej czapki, czyniły go wzorem młodzieńczej góralskiej urody. Młodszy miał na imię Robert, a żeby go jednak od ojca odróżnić, dodawano mu przydatek Oig, czyli młody. Miał ciemne włosy, ciemną cerę z rumieńcem zdrowia i ożywienia, był zbudowany silnie i nad wiek rozwinięty.

Obaj stali teraz przed matką smutni, zawstydzeni, z szacunkiem i uległością słuchając wyrzutów, którymi ich obsypywała. W końcu, gdy gniew jej powoli mijał, starszy po angielsku, prawdopodobnie, żeby go reszta nie rozumiała, zaczął delikatnie bronić siebie i brata przed zarzutami matki. Stałem tak blisko, że mogłem wiele z tego zrozumieć, a że zależało mi bardzo na dobrych informacjach, więc też słuchałem z wielką uwagą.



— Mac Gregora — opowiadał syn jego — zaproszono na naradę przez posła, człowieka z nizin, który przybył ze znakiem uwierzytelniającym od... — tu wyszeptał bardzo cicho nazwisko, ale mnie się wydało, że brzmiało jak moje własne. — Mac Gregor przyjął zaproszenie, lecz kazał Anglika, który przyniósł pismo, zatrzymać jako zakładnika. Potem udał się na miejsce umówione (miało ono jakąś dziwną górską nazwę, której nie zapamiętałem) w towarzystwie tylko Angusa Breck i małego Rory, nikomu nie nakazując iść ze sobą. W pół godziny potem Angus Breck wrócił z żalosną nowiną, że Mac Gregor został zaskoczony i pojmany przez oddział milicji z Lennox pod wodzą majora Galbraith z Garschattachin. Dodał, że gdy schwytany Mac Gregor groził odwetem na osobie zakładnika, major Galbraith z wielką pogardą odpowiedział: „Niech każda strona powiesi swojego człowieka. W ten sposób za jednym zamachem kraj uwolni się od dwóch przeklętych osobników: dzikiego górala i celnika”. Angus Breck, też pojmany, miał okazję wysłuchać tej rozmowy, a potem, jako mniej starannie strzeżony od swego pana, zdołał uratować się ucieczką i przyniósł tę wiadomość.

— Tyś się o tym dowiedział, ty fałszywy zdrajco — rzekła żona Mac Gregora — i nie rzuciłeś się natychmiast odbijać ojca i uwolnić go lub ciało własne zostawić na placu?

Młody Mac Gregor odpowiedział skromnie, podkreślając, jakie przeważające siły mieli wrogowie, i oświadczył, że ponieważ nie czynili oni przygotowań do opuszczenia okolicy, wrócił więc do wąwozu, by zebrać bandę dostatecznie silną i spróbować odsieczy, która by miała więcej szans powodzenia. W końcu dodał:

— Żołnierze milicji kwaterować będą, jak zrozumiałem, albo w Gartartan, albo w starym zamku w porcie Monteith, albo w jakimś innym warownym zameczku, gdzie bądź co bądź można by ich zaskoczyć, byleby tylko dosyć ludzi zgromadzić.

Zrozumiałem później, że reszta popleczników Mac Gregora dzieliła się na dwie silne bandy. Jedna z nich miała baczyć na pozostałą w Inversnaid załogę, której część pod kapitanem Thorntonem została zniesiona, druga zaś miała utrzymać front przeciw tym góralskim klanom, które połączyły się z regularnym wojskiem nizinnym we wrogim najeździe na to górskie, dzikie terytorium, leżące między jeziorami Loch Lomond, Loch Katne i Loch Ard, a w owym czasie zwane krótko krainą Rob Roya albo krainą Mac Gregorów.

Rzesłano tedy posłańców w wielkim pośpiechu, żeby jak przypuszczałem, szybko skoncentrować siły do zamierzonego ataku na wojska nizinne. Wnet przygnębienie i rozpacz, zrazu widoczne na każdej twarzy, ustąpiły miejsca nadziei odbicia wodza i pragnieniu zemsty. Tą namiętnością rozpalona żona Mac Gregora zażądała, aby stawiono przed nią zakładnika, który miał ręczyć za całość i bezpieczeństwo jej męża. Zdaje mi się, że synowie jej, lękając się następstw, umyślnie ukrywali przed jej wzrokiem tego nieszczęśliwca. Jeśli tak było, litość ich opóźniła tylko jego los. Na jej żądanie przyprawiono przed nią biedaka, już i tak ledwie żywego ze strachu, ja zaś ze zgrozą i zdziwieniem poznałem w nim starego znajomego — Morrisa...

Plackiem padł nieborak przed niewieścim wodzem, usiłując objąć ją za kolana, ona jednak cofnęła się jak przed nieczystym dotknięciem, tak że na znak uniżoności skraj tylko jej pledu mógł ucałować. Nigdy nie słyszałem modłów o życie w takiej męce ducha słanych... Jego przerażenie było tak wielkie, że pod jego wpływem zamiast oniemieć, jak to się w takich razach zwykle dzieje, on stawał się wymowny. Z twarzą bladą jak kreda, zaciskając z rozpaczony ręce, oczyma wodząc dookoła, jak gdyby ostatnim spojrzeniem żegnał świat cały, zaklinał się, że najzupełniej nie wiedział o złych zamysłach na osobę Rob Roya, którego, przysięgał, kocha i szanuje jak własną duszę. Płacząc się w zeznaniach oświadczył, że był jedynie agentem innych, i wybąknął imię Rashleigha. Błagał tylko o życie — za życie oddałby wszystko, co miał na świecie! O życie tylko prosił... życie, choćby miało trwać wśród mąk i braków! Pragnął tylko żyć i oddychać, choćby w chłodzie i wilgoci najniższych ich lochów górskich...

Niepodobna opisać lekceważenia, wstrętu i wzgardy małżonki Mac Gregora, gdy patrzyła na tego nieszczęśliwca zebrzącego o marny dar żywota.

— Mogłabym darować ci życie — odpowiedziała — gdyby życie dla ciebie było tym samym mozolnym i męczącym ciężarem, jakim jest ono dla mnie... jakim jest dla każdej szlachetnej i wspaniałomyślnej duszy. Ale ty, nędzniku, potrafiłbyś przepelznąć przez świat nieczuły na jego różne niedole, na okrutną nędzę, na wciąż rosnące ogromy zbrodni i cierpienia. Potrafiłbyś żyć i radować się w tym samym czasie, gdy bohaterów zdradzają... gdy hołota i bezimienni nędznicy depczą, po karkach potomków dzielnych i starych rodów. Mógłbyś

radować się i używać, jak rzeźnicki pies w jatkach, żrąc ochłapy, gdy rzeź kładłaby trupem dokoła ciebie tych, co najstarsi, i tych, co najlepsi. Ale tej uciechy ty nie dożyjesz! Umrzesz, podły psie, i to zanim jeszcze ta oto chmura przejdzie przez tarczę słoneczną.

Wydała krótki rozkaz po gaelicku i wnet dwóch z jej otoczenia chwyciło nieszczęśliwca i zawlokło go na brzeg urwiska zwieszającego się nad wodą. Biedak ze strachu wydawał tak przeraźliwe i okropne krzyki, że majaczały mi się we śnie długie lata potem. Gdy mordercy czy oprawcy — mniejsza, jak ich nazwać — ciągnęli go na miejsce stracenia, poznał mnie w tej okropnej ostatecznej chwili i zawołał, a były to ostatnie jego słowa:

— O panie Osbaldistone! Ratuj mnie, ratuj!

Tak byłem wzruszony tym strasznym widokiem, że choć lada chwila mogłem się sam spodziewać podobnego losu, próbowałem przemówić w jego obronie. Jednakże, jak można się było spodziewać, na wstawiennictwo moje wcale nie zważano. Ofiarę silnie przytrzymało kilku górali, drudzy tymczasem, obwinawszy ciężki kamień pledem, przywiązali mu go do szyi, a jeszcze inni starannie zdejmowali z niego odzież. Pólnagiego i tak obciążonego zepchnęli w jezioro, w tym miejscu dwanaście stóp głębokie, z głośnym, mściwym, triumfalnym okrzykiem. Nad ten wrzask wzbił się jednak ostatni śmiertelny krzyk trwogi. Z głośnym pluskiem przyjęły szafirowe wody wrzucony w nie ciężar i górale, zbrojni w siekiery i szable, pilnowali czas jakiś, by się ofiara nie wyplątała przypadkiem i odrzuciwszy przywiązany kamień nie przyplłynęła do brzegu. Jednakże kamień silnie był uwiązany. Nieszczęsny człowiek od razu zapadł w głębię. Poruszone przez chwilę wody wygładziły się nad nim i zgasło to życie, o które się tak usilnie dopraszał.

## ROZDZIAŁ XXXII

Niech zdrów i cały powraca przed nocą,  
Bo jak o zemstę woła skaleczone serce,  
Na moc zbrojnego ramienia — przysięgam,  
Że kraj twój za to odcierpi.  
Stary dramat

Nie wiem, jak się to dzieje, że pojedynczy czyn gwałtu i okrucieństwa porusza nas silniej niż widok tragedii zbiorowej. Byłem tego dnia świadkiem śmierci moich dzielnych rodaków na polu bitwy i wydawało mi się, że spotkał ich los zwykły, los ludzki. Choć przejmowałem się, bitwa nie była dla mnie takim wstrząsem jak ta scena zamordowania nieszczęsnego Morrisa bez walki, na zimno. Spojrzałem na mego towarzysza, pana Jarvie. Jego twarz odzwierciedlała podobne wzburzenie. Do tego nawet stopnia nie umiał opanować miotających nim uczuć, że pozwolił, by mu się wymknął cichy, urywany szept:

— Protestuję przeciw temu czynowi, gdyż uważam go za krwawe i okrutne morderstwo. To czyn przeklęty i nadejdzie czas, że Bóg właściwie ukarze jego sprawców.

— Więc nie boisz się pójść w jego ślady? — zapytała straszna kobieta przeszywając go wzrokiem złowróżbnym, jakim jastrząb patrzy na swoją ofiarę, zanim się na nią rzuci.

— Kuzynko — odpowiedział radny — czyż jest człowiek, który by rad widział, że mu przecinają pasmo jego żywota, zanim się sprawiedliwie jego świeczka sama dopali? Jeśli żyw będę, wiele mam na tym świecie do zrobienia... czeka na mnie dużo publicznych i prywatnych interesów, tak w sprawach miasta, jak i moich własnych. Poza tym mam takich, którzy są na mojej opiece, jak na przykład... biedna Mattie, sierota, daleka krewna lairda z Limmerfield. A tak dobrze to zważywszy człowiek wszystko, co posiada, oddałby za życie.

— A gdybym cię wolno puściła — mówiła dalej sroga niewiasta — jakim mianem nazwałbyś utopienie tego psa, Anglika?

— Hu! Hu! Hu!... hm... hm... — odchrząknął radny — starałbym się w ogóle, o ile możliwości, jak najmniej o tym gadać... Im mniej słów powiedziano, tym łatwiej naprawić skutki.

— A gdyby tak wezwano cię przed sąd, jak wy to nazywacie — nalegała — jakaż wtedy byłaby twoja odpowiedź?

Radny obejrzał się w prawo, obejrzał w lewo, jak ktoś, kto by rad czmychnął, wreszcie tonem człowieka, który nie mogąc uciec rzuca się odważnie w wir bitwy, odpowiedział:

— Ano, trudno, przypieracie mnie do muru... Ale powiem wam szczerze, krewniaczk... mówiłem przed chwilą tak, jak mi kazało sumienie. A chociaż wasz własny mąż, jak również ten biedny stwór Dougal może wam powiedzieć, że Nicol Jarvie potrafi przymknąć oczy na słabości przyjaciela, to powiem otwarcie, że nigdy mój język nie skłamał moim myślom. I zanimbym powiedział, że ten biedak został prawnie uśmiercony, raczej bym się zgodził, żeby mnie wraz z nim stracono, choć myślę przecież, że bylibyście pierwszą kobietą w tej górskiej krainie, która by taki los zgotowała kuzynowi męża w czwartym stopniu pokrewieństwa.

Możliwe, że stanowczość, z jaką przemówił teraz radny, lepsze uczyniła wrażenie na twardym sercu jego krewniaczki niż żebrzący ton, którego używał przedtem. Tak drogie kamienie dają się krajać stalą, a opierają się miększym metalom. Kazała nam obu stanąć przed sobą.

— Nazwisko wasze jest Osbaldistone? — zwróciła się do mnie. — Ten zdechły pies, którego śmierć oglądaliście, tak was nazwał.

— Tak, nazwisko moje jest Osbaldistone — odpowiedziałem.

— Zatem pewnie macie na imię Rashleigh? — ciągnęła dalej.

— Nie, jestem Francis.

— Ale znacie Rashleigha Osbaldistone? — mówiła. — To wasz brat, jeśli się nie mylę... a przynajmniej krewny i bliski przyjaciel.

— Jest moim krewnym — odpowiedziałem — ale nie przyjacielem. Niedawno doszło między nami do pojedynku, w czasie którego rozdzielił nas ktoś, kim, o ile rozumiem, był wasz mąż. Krew moja jeszcze nie zaschła na jego szabli, a rana na moim boku jeszcze jest świeża. Nie mam powodu uznawać go za przyjaciela.

— Jeśli tak — mówiła dalej — nie bierzecie udziału w jego intrygach i bezpiecznie możecie się udać do Garschattachina i jego oddziału, by zanieść poselstwo od żony Mac Gregora?

Odpowiedziałem, że o ile wiem, nie ma powodu, dla którego panowie milicjanci mieliby mnie uwięzić, nie obawiam się więc dostania się w ich ręce; i jeżeli podejmując się roli posła mogę tym samym zapewnić

bezpieczeństwo jej więźniom, a szczególnie mojemu przyjacielowi i mojemu słudze, gotów jestem wyruszyć natychmiast. Skorzystałem ze sposobności i nadmieniałem, iż do tej krainy przybyłem na zaproszenie jej męża i na jego obietnicę, że dopomoże mi w pewnej ważnej dla mnie sprawie, a mój przyjaciel pan Jarvie towarzyszył mi w tym samym celu.

— A ja żałuję, że buty pana Jarvie nie były pełne ukropu, gdy je wdziewał na tę wyprawę — wtrącił radny.

— Możecie poznać waszego ojca po tym, co ten młody Anglik powiada — zwróciła się Helena Mac Gregor do swoich synów. — Mądry jedynie wtedy, gdy ma czapkę góralską na głowie i szablę w dłoni, ale ile razy zamieni nasz pled na sukno, zaraz się daje uwikłać w nędzne intrygi ludzi nizinnych i znowu, mimo wszystkiego, co od nich ucierpiał, staje się ich ajentem... ich narzędziem... ich niewolnikiem.

— I ich dobroczyńcą, dodaj pani — wtrąciłem.

— Niech i tak będzie — odparła — gdyż jest to najbardziej pusta pochwała ze wszystkich. On przecież stale siał dobrodziejstwa, by zbierać żniwo najpodlejszej niewdzięczności. Ale dosyć tego. Każę was doprowadzić do forpoczt nieprzyjacielskich. Zażądajcie, aby stawiono was przed dowódcę, i zanieście mu to poselstwo ode mnie: że jeżeli spadnie włos jeden z głowy Mac Gregora i jeżeli nie uwolnią go w przeciągu dwunastu godzin, to do świąt Bożego Narodzenia nie będzie w całym Lennox jednej kobiety, która by nie opłakiwała męża lub syna, jednego dzierzawcy, który by nie lamentował na zgliszczach stodoły i pustej obory, nie będzie jednego lairda ani dziedzica, który by nocą składał głowę na poduszce, pewien, że się żyw rano obudzi. A gdy termin upłynie i mój mąż nie wróci, przyślę im tego glasgowskiego radnego, tego angielskiego kapitana i resztę moich więźniów, każdego związanego w pled i posiekanego na tyle kawałków, ile jest kraterów w tkaninie.

Gdy umilkła, kapitan Thornton, który słyszał jej słowa, dorzucił bardzo spokojnie:

— W imieniu kapitana Thorntona od strzelców królewskich pokłońcie się dowódcy i powiedzcie, by spełnił swój obowiązek i zatrzymał więźnia, a o mnie niechaj się nie troszczy. Jeśli byłem tak głupi, by dać się wciągnąć w zasadzkę tych chytrych dzikusów, potrafię umrzeć

nie przynosząc wstydu broni. Żał mi tylko moich biednych ludzi — dodał — że dostali się w tak rzeźniczkę rękę.

— Cicho! cicho! — zawołał radny. — Czy już wam życie niemiłe? Pokłońcie się i ode mnie dowódcy, panie Osbaldistone, od radnego Nicola Jarvie, urzędnika magistrackiego z Glasgow, jakim i ojciec jego, cechmistrz, był przed nim, i powiedzcie mu, że tu garść porządnych ludzi znajduje się w ciężkich opałach i może się czegoś gorszego doczekać. A najlepsze, co może zrobić dla ogólnego dobra, to puścić Roba i na tym koniec. Już się tutaj pewne zło stało, ale że się to głównie skrupiło na celniku, nie warto o to wiele hałasować.

Z tymi sprzecznymi poleceniami od zainteresowanych i po powtórnym wysłuchaniu rozkazów żony Mac Gregora, bym zapamiętał i powtórzył każde jej słowo, nareszcie wolno mi było wyruszyć. Andrew Fairservice'owi pozwolono również towarzyszyć mi, głównie zapewne dlatego, by się uwolnić od jego hałaśliwych molestowań. W obawie jednak, bym korzystając z konia nie uciekł przewodnikom albo też po prostu, by cenne zwierzę zatrzymać, objaśniono mi, że mam tę drogę odbyć pieszo pod strażą Hamisha, starszego syna Mac Gregora. Miał mi on towarzyszyć z dwoma góralami, wskazywać drogę, a przy tym zbadać siłę i pozycję nieprzyjaciela. Zrazu przeznaczono na tę wyprawę Dougala, udało mu się jednak wykręcić od tego, gdyż pragnął, jakiegoś się później dowiedzieli, czuwać nad panem Jarvie. Wedle swych zasad pierwotnej wierności uważał się za zobowiązanego do opieki nad nim, jako że w pewnej mierze radny był niegdyś jego patronem i panem.

Po jakiejś godzinie bardzo pośpiesznego marszu wyszliśmy na wyżynę pokrytą krzakami, skąd otwierał się rozległy widok na doliny i na posterunki zajęte przez milicję. Ponieważ była to przede wszystkim kawaleria, więc zupełnie słusznie unikała zapuszczania się w przejście, które tak niefortunnie atakował kapitan Thornton. Wedle zasad sztuki wojennej obrali oni dobrą pozycję na wzniesieniu, pośrodku małej dolinki Aberfoil, leżącej między dwoma grzbietami - wzgórz, za którymi wznosiły się szczyty wysokich gór. Dolina ta wraz z płynącym nią górnym biegiem rzeki Forth była dostatecznie szeroka, by kawaleria nie potrzebowała obawiać się nagłego zaskoczenia przez górali. Ponadto milicja poustawiała placówki i stráže w należytej odległości od głównego oddziału, zapewniając sobie dość czasu, by przy najlżejszym alarmie dosiąść koni i stanąć pod bronią. Nie

spodziewano się zresztą, by górale ośmielili się zaatakować kawalerię w otwartym polu, choć późniejsze wypadki okazały, że mogą to uczynić, i to z powodzeniem/1.

1/ Mowa prawdopodobnie o bitwach pod Prestonpans i Falkirk, z czego można wywnioskować, że pamiętnik ten pisany był po roku 1745 (przy p. aut.).

W czasie gdy poznałem górali, mieli oni prawie zabobonny lęk przed konnym żołnierzem. Koń wydawał im się o wiele dzikszym i bardziej imponującym stworzeniem od ich małych kucyków, a przy tym w swej naiwności wierzyli, że konie biorą udział w bitwie walcząc kopytami i zębami.

Pasące się w dolinie konie, postacie żołnierzy siedzących, stojących lub poruszających się gromadkami w pobliżu pięknej rzeki i nagich a romantycznych rzędów skał, stanowiących jakby ramę tego krajobrazu — wszystko to tworzyło wdzięczny przedni plan. Daleko ku wschodowi oko chwytało blask jeziora Menteith, zamek zaś Stirling, mgliście widoczny na tle błękitnej dalekiej linii gór Ochill, zamykał widok.

Przyjrząwszy się dokładnie temu wszystkiemu młody Mac Gregor oświadczył mi, że mam zejść do obozu milicji i spełnić moją misję u dowódcy, broń Boże jednak nie wspominać, kto mnie do tego miejsca przyprowadził ani gdzie rozstałem się z eskortą. Zszedłem tedy do wojskowego posterunku, a za mną Andrew, któremu z jego angielskiego kostiumu pozostawiono tylko spodnie i pończochy. Bez kapelusza, w trepkach litościwie mu przez Dougala ofiarowanych, w potarganym pledzie stanowiącym całe jego górne odzienie robił wrażenie górala-wariata. Nie zaszliśmy daleko, gdy już pikietka nas dojrzała i kazała stanąć. Usłuchałem, a gdy żołnierz się przybliżył, prosiłem, by stawiono mnie przed komendantem. Zaraz też zaprowadzono mnie do grona wyższych wojskowych siedzących na trawie, z najstarszym oficerem pośrodku. Miał on pancerz z polerowanej stali, ozdobiony starożytnym orderem ostu/344. Mój znajomy Garschattachin i wielu innych panów — niektórzy w mundurach, inni w zwykłym ubraniu, ale wszyscy uzbrojeni i dobrze wyekwipowani — odbierali, jak się zdawało, rozkazy od tej wybitnej osobistości. Usługiwało mu też wiele służby w bogatej liberii, dzięki czemu wydawała się ona częścią jego domowników. Złożywszy temu szlachetnemu panu odpowiedni jego stanowisku pokłon, oznajmiłem,



iż byłem mimowolnym świadkiem rozgromienia królewskich żołnierzy przez górali na przesmyku Loch Ard (tak, jak się dowiedziałem, nazywało się miejsce, gdzie Thornton został wzięty do niewoli) i że zwycięzcy grożą wszelkimi ostatecznościami tym, którzy wpadli w ich ręce, jako też całej krainie nizinnej, jeżeli wódz ich, wzięty tegoż rana do niewoli, cały i zdrow nie zostanie im zwrócony. Księżę (bo była to aż tak wysoka osobistość) wysłuchał mnie z wielkim spokojem, po czym odpowiedział, że byłoby mu niezmiernie przykro narazić tych nieszczęsnych wziętych do niewoli ludzi na okrucieństwa barbarzyńców. Szaleństwem jednak byłoby przypuszczać, iż on uwolni samego sprawcę tych nieporządków i bezprawi i tym sposobem zachęci jego stronników do dalszych nadużyć.

— Możecie powrócić do tych, którzy was wysłali — mówił dalej — i oświadczyć im, iż owszem, o świcie każę stracić Rob Roya Campbella, którego zważ Mac Gregorem, jako złoczyńcę schwytanego z bronią w ręku i zasługującego na karę śmierci za tysiączne akty gwałtu i rabunku. Byłbym niegodny swojego stanowiska i oficerskiej szarży, gdybym tego nie uczynił. Będę umiał obronić kraj przed ich zuchwale zapowiedzianymi gwałtami. Jeżeli zaś choć jeden włos spadnie z głów tych nieszczęsnych panów, których niefortunny los dał w ich ręce, ja taką zemstą góralom odpłacę, że kamienie ich dolin jęczeć będą: „Biada!” jeszcze i za sto lat.

Pokornie prosiłem, żeby mi wolno było zrobić zastrzeżenia co do zaszczytnej zleconej mi misji, i zwróciłem uwagę, że wykonanie jej groziłoby mi wyraźnym niebezpieczeństwem. Na to szlachetny dowódca odparł, że „jeżeli tak, to mogę posłać waszego sługę”.

— Niech mi diabeł nogi połamie — odezwał się Andrew bez uszanowania dla obecności dygnitarza i nie czekając, aż ja odpowiem.

— Niech mi diabeł nogi połamie, zanim krok jeden uczynię. Czy to ludzie myślą, że mam zapasową grdykę w kieszeni, żeby ją wetknąć na miejsce tej, którą mi sztylecikiem swoim przetnie jaki drab góralski? Albo że potrafię utonąć na jednym brzegu jeziora, a na drugim wypłynąć? Nie, nie... każdy za siebie, a Pan Bóg za wszystkich... W mojej parafii Rob Roy nie grzeszył.

Uciszyłem go z pewnym trudem, po czym starałem się przedstawić księciu wielkie niebezpieczeństwo grożące kapitanowi Thornton i panu Jarvie i błagałem, by zmienił swoje warunki o tyle, żeby

przekazanie ich mogło ocalić życie więźniom górali. Zapewniłem, że nie uchylałbym się od żadnego niebezpieczeństwa osobistego, gdybym mógł oddać przez to usługę, jednakże wnosząc z tego, co usłyszałem i widziałem, nie wątpię, że zostaną oni natychmiast pomordowani, gdyby ich wódz został stracony. Moje słowa zrobiły na księciu dość duże wrażenie.

— Ciężka to sprawa — mówił — ja to dobrze czuję. Ale moim pierwszym obowiązkiem wobec kraju jest wykonanie wyroku na Rob Royu.

Przyznaję, że wzruszyła mnie ta zapowiedź rychłej śmierci Campbella, który tylokrotnie okazał mi przychylność. Nie byłem zresztą wyjątkiem w tym względzie, gdyż paru oficerów z otoczenia księcia odważyło się przemawiać za nim.

— Byłoby lepiej — mówili — posłać go do zamku w Stirling i tam trzymać w więzieniu jako zakładnika, póki się górale nie poddadzą i bandy nie rozpuszczą. Szkoda narażać kraj na plądrowanie, któremu trudno byłoby zapobiec teraz, gdy się zbliżają długie noce i niepodobna strzec wszystkich przejść, a górale na pewno wybiorą niebronione.

Dodawali, że tylko bezwzględny i bezlitosny człowiek mógłby zostawić nieszczęsnych jeńców na pastwę prawie pewnej rzezi, a przecież grożono nią i w pierwszym mściwym wybuchu niechybnie by jej dokonano.

Garschattachin poszedł jeszcze dalej, ufny w honor wielkiego pana, do którego mówił, choć wiedział, że ten ma szczególne powody do niechęci względem jeńca.

— Rob Roy — mówił — choć niewygodny sąsiad nizinnego kraju i szczególnie dał się we znaki waszej miłości, chociaż w szantażu posunął się bardzo daleko, jest to w gruncie rzeczy człowiek nie najgorszy i można by ostatecznie znaleźć sposób trafienia mu do rozumu, z drugiej strony — jego żona i synowie to diabły wcielone, nie znający ani strachu, ani litości. Ci byłiby dla kraju gorszą plagą na czele jego rozpuszczonej bandy niż kiedykolwiek on sam.

— Hm... hm... — odpowiedział dostojnik — właśnie rozum i chytryść tego człowieka tak długo podtrzymywały jego władzę... Prostemu rabusiowi górskiemu dałoby się radę w tyle tygodni, ile on lat już grasuje. Jego bandy bez niego nie ma się co obawiać, przestanie być

stałym źródłem niepokoju, przestanie istnieć jak pszczoła bez żądła, która raz ukąsiwszy ginie.

Garschattachin nie dał sobie tak łatwo ust zamknąć.

— Nie mam żadnych sympatii dla Roba, wasza książęca mość, ani tym mniej on dla mnie, zważywszy, że już dwa razy wypróżnił mi oborę, nie mówiąc o moich dzierzawcach, ale jednak...

— Ale, mój Garschattachin — odparł książę ze znaczącym uśmiechem — wyobrażasz sobie, zdaje mi się, że jednak można darować swobodę przyjacielowi przyjaciół, a Rob, jak słyszę, nie jest nieprzyjacielem przyjaciół majora Galbraith.

— Nawet jeżeli tak było, wasza miłość — odparł Garschattachin tym samym żartobliwym tonem — to nie jest jeszcze najgorsza rzecz, jaką słyszałem o Rob Royu. Ale rad bym też usłyszeć jakąś nowinę o tych klanach, na które od tak dawna czekamy. Dałby Bóg, żeby nam one dotrzymały słowa!

— To niemożliwe, żeby miały nas zawieść — odparł książę. — Ci panowie znani są jako ludzie honorowi i wierzę, że dotrzymają umowy. Wyślijcie jeszcze dwóch konnych, niech się obejrzą za naszymi przyjaciółmi. Nie możemy, dopóki oni nie nadejdą, ryzykować sforsowania tego przejścia, gdzie kapitan Thornton został zaskoczony, a które, o ile wiem, dziesięciu ludzi może obronić przeciw całemu pułkowi najlepszej konnicy... Tymczasem rozdzielcie posiłek ludziom.

I mnie wyszedł na korzyść ten ostatni rozkaz, tym bardziej że nic w ustach nie miałem od czasu pośpiesznego posiłku w Aberfoil poprzedniego wieczora. Wysłani zwiadowcy powrócili bez wieści o oczekiwanych posiłkach. Już też i zachód słońca nadchodził, gdy pojawił się góral należący do klanów, na których współudział liczone, i z głębokim pokłonem wręczył księciu list.

— A teraz stawiam o zakład dzban czerwonego wina — rzekł Garschattachin — że ten list oznajmia, iż ci przekleci górale, których tu ściągaliśmy z takim trudem i biedą, pójdą sobie do domu, a nas pozostawią własnym naszym siłom.

— Tak też i jest, panowie — oświadczył książę czerwieniejąc z oburzenia po przeczytaniu listu, który napisany na bardzo brudnym świstku papieru, był jednak starannie zaadresowany: Do czcigodnych rąk Wysokiego i Potężnego Księcia etc., etc., etc. — Nasi

sprzymierzeńcy — ciągnął dalej — opuścili nas, panowie, i zawarli odrębny pokój z nieprzyjacielem.

— To los wszelkich sojuszków — wtrącił Garschattachin. — Holendrzy byliby nam wypłacali tego samego figła, gdybyśmy ich nie byli uprzedzili w Utrechcie /347.

— Jesteście w dobrym humorze — odparł marszcząc się książę. Widać było, że ten żart nie poszedł mu w smak. — Ale sprawa nasza poważnie się teraz przedstawia... Myślę, że nikt z panów nie radziłby zapuszczać się dalej w głąb kraju bez pomocy życzliwych górali albo piechoty z Inversnaid.

Ogólna odpowiedź brzmiała, że taka próba byłaby po prostu szaleństwem.

— Ani też nie byłoby zbyt rozsądnie — dodał książę — narażać się na nocny atak w tym miejscu. Dlatego postanowiłem, że cofniemy się do zamków w Duchray lub Gartartan i tam bezpiecznie spędzimy noc. Zanim się jednak rozejdziemy, chcę wybadać Rob Roya w waszej obecności, byście się sami przekonali, jak bardzo niesłuszne byłoby pozwolić mu żyć, jak dotychczas żył.

Wydał odpowiednie rozkazy i przyprowadzono jeńca. Miał on ręce skrepowane pasem powyżej łokci i ciasno do ciała poprzęciem końskim z tyłu zapiętym przytwierdzone. Dwóch podoficerów trzymało go, każdy z jednego boku, a dwa rzędy ludzi z karabinami o nasadzonych bagnietach towarzyszyły dla większego bezpieczeństwa.

Nigdy jeszcze nie widziałem tego człowieka w jego narodowym stroju, który w tak uderzający sposób podkreślał właściwości jego budowy. Bujna czupryna rudych włosów, którą, gdy go ostatnio widziałem, zakrywał kapelusz i peruka nizinnego stroju, była teraz widoczna pod góralską czapką i uzasadniała przydomek Roy, czyli Czerwony, tak go bowiem przezywano na nizinach, tak go znano i tak się go dotąd wspomina. Trafność tego przezwiska potwierdzał kolor jego nóg. Narodowy strój góralski pozostawiał je nagie od dołu spódniczki do skraju krótkich pończoch, uwidaczniając w ten sposób gęsty, krótki porost rudych włosów, szczególnie dokoła kolan. Barwa tego owłosienia, jak również świetne umięśnienie nóg Rob Roya sprawiały wrażenie niezwyklej siły i przypominały kończyny czerwonego górskiego byka.

Wszystko to razem — zmiana stroju oraz fakt, że poznałem jego właściwą, groźną rolę — spowodowało, że Rob Roy wydał mi się

kimś dzikszym niż poprzednio i ledwie mogłem w nim poznać znanego mi przedtem człowieka.

Jego zachowanie było śmiałe, skrepowane tylko nałożonymi mu więzami, wyniosłe i pełne godności. Złożył ukłon księciu, kiwnął głową Garschattachinowi i innym i okazał pewne zdziwienie ujrawszy mnie w tym towarzystwie.

— Dawno nie widzieliśmy się, panie Campbell — przemówił książę.

— Tak, wasza książęca mość, i wolałbym widzieć was w innych warunkach (tu spojrzął na krępujące go więzy), które by mi pozwoliły lepiej złożyć uszanowanie, jakie jestem winien waszej miłości. Ale nadejdą lepsze czasy.

— Nie ma jak chwila obecna, panie Campbell — odpowiedział książę — gdyż szybko mijają godziny dane wam do rozrachunku ze sprawami tego świata. Nie mówię tego, by wam uragać w nieszczęściu, ale sami wiecie, że dociągacie do końca żywota. Nie zaprzeczam, że może czasem mniej zrobiliście złego, niżby to zrobił ktoś inny w waszym niefortunnym zawodzie, że może niekiedy dawaliście dowody uzdolnienia, a nawet skłonności zapowiadających coś lepszego. Ale sami wiecie, jak długo byliście postrachem i ciemnizykiem spokojnego sąsiedztwa i jakimi czynami utrzymywaliście i rozszerzaliście uzurpowaną władzę. Słowem, wiecie, że zasłużyliście na karę śmierci i że się musicie na śmierć sposobić.

— Panie — odparł Rob Roy — chociaż mogę śmiało rzec, że wasza miłość jest winny nieszczęść, które mnie spotkały, jednakże nigdy tego nie powiem, że wy sami byliście świadomym i rozmyślnym ich sprawcą. Dostojny panie, gdybym sądził, że tak jest, nie siedziałby tu dziś wasza miłość jako sprawujący sąd nade mną, gdyż goniąc czerwonego jelenia, po trzykroć byliście ode mnie na odległość strzału, a ludzie wiedzą, że ja rzadko chybiam. Ale co do tych, którzy nadużywali wiary waszej miłości i poszczuli go przeciw najspokojniejszemu w kraju człowiekowi, jakim ja niegdyś byłem, i kryjąc się za waszym imieniem doprowadzili mnie do ostateczności, z tymi miałem pewne porachunki i mimo wszystko, co wasza miłość teraz mówi, mam nadzieję, że żyć będę, by dalej się z nimi rachować.

— Wiem — odparł książę ze wzrastającym gniewem — że z was desperat i bezczelny łotr, który dochowa przysięgi, jeśli zaprzysięże

źle czynić, ale już ja się o to postaram, by wam przeszkodzić. Nie macie nieprzyjaciół innych, jak tylko swe własne złe czyny.

— Gdybym nosił nazwisko Grahame, a nie Campbell, nie słyszałbym tyle o tym — odparł Rob Roy z upartą zawziętością.

— Dobrze byście zrobili — rzekł książę — gdybyście pouczyli żonę i rodzinę, jak winni się obchodzić z tymi panami, których teraz mają w rękę, gdyż pomszczę dziesięciokrotnie na nich, na ich krewnych i stronnikach najlżejszą krzywdę uczynioną wiernym poddanym króla jegomości.

— Panie — odpowiedział na to Rob Roy — żaden z moich nieprzyjaciół nie powie, że jestem chciwy krwi, i gdybym teraz był z moim ludem, rządziłbym czterema lub pięciu setkami dzikich górali z taką łatwością, jak wasza miłość tymi ośmiu czy dziesięciu lokajami i pachołkami... Jednakże, jeśli wasza miłość chce koniecznie odjąć głowę domowi, musi się z tym liczyć, że powstaną wzburzenia i zamęt. Jakby tam jednak nie było, jestem uczciwym człowiekiem i nie chcę, by krzywda się stała mojemu krewnemu. Czy jest tu ktoś, kto by chciał oddać przysługę Mac Gregorowi? On to może odpłaci, choć teraz ma ręce związane.

Góral, który przyniósł list do księcia, odpowiedział:

— Zrobię po waszej woli, Mac Gregor, i umyślnie wrócę w górę wąwozu.

Wystąpił i wysłuchał zlecenia jeńca do jego żony, a że mówili po gaelicku, więc nic nie rozumiałem, nie wątpiłem jednakże, że chodziło o zapewnienie bezpieczeństwa panu Jarvie.

— Widzieliście podobną bezczelność! — zawołał książę. — Ten chłop polega na swoim charakterze posła. Zachowuje się zupełnie jak jego panowie, którzy zaprosili nas na wspólną wyprawę przeciw tym łupieżcom, a opuścili nas z chwilą, gdy Mac Gregorowie zgodzili się oddać okolice Balquhider, po której plądrowali!

Nie miej wiary w pledy ni w kraciaste wzory,

Gdyż jak kameleon zmieniają kolory!

— Wasz dostojny dziad nigdy tak nie mówił, wasza miłość — odpowiedział major Galbraith — i pokornie śmiem zauważyć, że wasza miłość także by tak nie potrzebował mówić, gdyby zechciał sprawiedliwy sąd zacząć od naczelnej głowy... Zwróćcie wolność uczciwemu człowiekowi, pozwólcie każdej głowie nosić własną

czapkę, a sami mieszkańcy dadzą sobie radę z tymi nieporządkami w Lennox.

— Cicho, Garschattachin! — odparł na to książę. — Niebezpiecznie jest przed kimkolwiek zdania takie wygłaszać, a już przede wszystkim przede mną. Widzę jednak, że uważacie się za osobę uprzywilejowaną. Proszę, poprowadźcie swój oddział w stronę Gartartan, a ja sam dopilnuję, by jeńca odstawiono do Duchray, i jutro prześlę wam dalsze rozkazy. Nie dawajcie, proszę, urlopu żadnemu z żołnierzy.

— Znowu po staremu, to rozkaz dany, to odwołany — mruknął Garschattachin pod wąsem. — Ale cierpliwości, cierpliwości! Zabawimy się jeszcze kiedyś w zmianę miejsc. Król się zbliża!

Uformowano teraz obydwie oddziały kawalerii i przygotowano je do wymarszu, by korzystając z reszty dziennego światła zdążyły na nocleg przed nocą. Ja dostałem raczej rozkaz niż zaproszenie, by im towarzyszyć. Zauważyłem też, że chociaż nie uważano mnie już za jeńca, traktowano mnie jednak trochę jak osobę podejrzaną. Czasy istotnie były niebezpieczne. Wielka waśń partii jakobitów i stronników dynastii hanowerskiej dzieliła kraj. Ciągłe zatargi i zawiści ludzi z gór i ludzi z nizin, obok mnóstwa niewytłumaczonych przyczyn różniących wielkie rody, Szkocji między sobą, wywoływały taką ogólną podejrzliwość, że samotny, przez nikogo nie protegowany, obcy podróżny musiał być narażony na nieprzyjemności podczas swych wędrówek.

Zgodziłem się jednak na swój los z jak najlepszą miną, pocieszając się nadzieją, że od uwięzionego zbójcy zdobędę może jakie informacje dotyczące Rashleigha i jego kręactw. Byłbym niesprawiedliwy względem samego siebie, gdybym nie dodał, że moje widoki nie były wyłącznie egoistyczne. Za bardzo mnie obchodził mój oryginalny znajomy, abym nie pragnął oddać mu takich usług, jakich niefortunny los jego mógł wymagać.

## ROZDZIAŁ XXXIII

Do zerwanego gdy dotarł mostu,  
Nagle zakręcił, popłynął,  
Do zielonego gdy przybił brzegu,  
Wyskoczył, pobiegł — i zginął.  
Gil Morsice/352

Echa skał i wawozów po obu stronach zabrzmiały teraz trąbkami kawalerii, która uformowawszy się w dwa oddziały, wolnym kłusem ruszyła w dół doliny. Oddział majora Galbraith niebawem skrzył na prawo i przebył rzekę Forth, by — o ile zrozumiałem — zakwaterować się na noc w starym sąsiednim zamku. Przeprowadzając się przez rzekę oddział ten przedstawiał żywy i malowniczy widok, lecz niebawem znikł nam z oczu, gdyż brzeg przeciwległy pokryty był lasem.

My zaś w porządku maszerowaliśmy dalej. Żeby zabezpieczyć straż nad jeńcem, księżę kazał go umieścić na koniu za pewnym swoim dzierżawcą, nazwiskiem Ewan of Briggians, jednym z najroślejszych i najsilniejszych ludzi oddziału. Krępujący Rob Roya popręg koński zapięty był z przodu na piersiach żołnierza. Mnie dano konia szeregowca i nakazano trzymać się tuż koło nich. Zewsząd otaczali nas żołnierze i nawet gdy droga była bardzo wąska, przynajmniej jeden jechał tuż obok nas z pistoletem w rękę. Andrew Fairservice'owi, dawszy mu góralskiego kuca, gdzieś tam zrabowanego, pozwolono jechać pomiędzy służącymi, których wielu towarzyszyło nam w marszu ciągnąc za wojskiem.

W ten sposób posuwaliśmy się czas jakiś, dopóki nie dotarliśmy do miejsca, gdzie i my musieliśmy przeprowadzić się przez rzekę. Rzeka Forth, jako wypływająca z jeziora, odznaczała się wielką głębokością tam nawet, gdzie nie była szeroka, a zejście do brodu prowadziło przez kamienisty, przepaścisty wawóz, który pozwala jeźdźcom spuszczać się tylko kolejno, pojedynczo. Tył i środek naszego małego oddziału zatrzymał się na brzegu, gdy tymczasem przednie szeregi kolejno przechodziły, powstała więc znaczna luka, a nawet trochę zwykłego w takich razach zamieszania, niektórzy bowiem jeźdźcy, nie należąc do właściwego szwadronu, pchali się ku brodowi bez porządku i wprowadzili nieład do kawalerii milicji, zresztą wcale dobrze wyćwiczonej.



Wtem, gdyśmy tak stłoczeni stali nad brzegiem, usłyszałem, jak Rob Roy szeptał do człowieka, za którego plecami siedział na koniu:

— Twój ojciec, Ewanie, nie chciałby tak wieźć starego przyjaciela jak cielę do jatek, pomimo wszystkich ksiąząt chrześcijaństwa.

Ewan nic nie odpowiedział, ramionami tylko wzruszył, jak ktoś, kto chce powiedzieć, że nie robi tego z własnej woli.

— A gdy Mac Gregorowie spadną na dolinę, gdy zobaczysz pustą oborę, zakrwawioną izbę i płomienie nad swoją strzechą, może pomyślisz wtedy, Ewanie, że gdyby to twój przyjaciel Rob stał na czele klanu, nie poniósłbyś tych strat, które tak rozdierają ci serce.

Ewan of Briggians znowu wzruszył ramionami i jęknął, ale milczał.

— Smutna to rzecz — mówił dalej Rob, tak cicho szepcząc do ucha Ewana, że nikt go prócz mnie nie mógł dosłyszeć, ja zaś w żadnym razie nie byłbym psuł mu widoków ucieczki. — Smutna to rzecz, że Ewan of Briggians, któremu Roy Mac Gregor pomagał ręką, szablą i sakiewką, więcej dba o chmurę na czole wielkiego pana niż o życie przyjaciela.

Ewan wydawał się bardzo wzruszony, ale milczał, aż usłyszeliśmy z przeciwnego brzegu głos księcia:

— Przewieźć jeńca!

Ewan ruszył... Gdy mnie mijali, usłyszałem jeszcze szept Rob Roya:

— Nie mierz krwi Mac Gregora miarą przerżniętego pasa skóry, gdyż inny za to i za tamto zdasz rachunek na tym i na tamtym świecie. Szybko zjeżdżali do rzeki i dojrzałem, że weszli do wody.

— Jeszcze nie, panie... jeszcze nie! — zawołał któryś z żołnierzy, gdy zbierałem się iść za nimi widząc, że inni pchali się naprzód.

W gasnącym świetle dnia widziałem księcia po drugiej stronie, nawołującego ludzi do porządku, ponieważ lądowali bezładnie, jedni wyżej, drudzy niżej. Wielu przeszło, inni byli jeszcze w wodzie, reszta gotowała się do zejścia, gdy wtem nagły plusk wody oznajmił mi, że słowa Mac Gregora wywarły pożądaný skutek i że Ewan dał mu wolność i możliwość ratowania życia. Księżę także usłyszał ten plusk i natychmiast odgadł jego znaczenie.

— Psie! — krzyknął na Ewana, gdy ten lądował. — Gdzie jest jeńiec? — i nie czekając na tłumaczenie, które wasal próbował wyjąkać, strzelił mu z pistoletu prosto w twarz; czy ze śmiertelnym wynikiem, tego nie wiem.

— Panowie! Rozproszyc się i ścigać tego łotra!... — wołał teraz książę. — Sto gwinei temu, kto schwyci Rob Roya!

W jednej chwili powstało dzikie zamieszanie. Rob Roy uwolniony z więzów niewątpliwie dzięki temu, że Ewan rozciął popręg, zsunął się po zadzie końskim i natychmiast dał nurka, przepływając pod brzuchem konia szeregowca z lewej strony. Ponieważ jednak musiał na chwilę wypłynąć na powierzchnię dla zaczerpnięcia powietrza, widok jego kratkowanego pledu zwrócił uwagę żołnierzy. Niektórzy z nich rzucili się w pościg, zupełnie lekceważąc własne bezpieczeństwo. Jedni płynęli siedząc na koniach, inni, których prąd wody zmył z koni, walczyli już tylko o swoje życie. Wielu mniej gorliwych czy też ostrożniejszych rzuciło się w różnych kierunkach, galopując wzdłuż brzegów i upatrując miejsca, gdzie by uciekający mógł wylądować. Krzyki, nawoływania, wzywania o pomoc, gdy ktoś widział lub sądził, że widzi ślad Rob Roya. Gęsty huk wystrzałów z pistoletów i karabinów, gdyż dawano ognia do wszystkiego, co budziło najlżejsze podejrzenie. Żołnierze galopujący na wszystkie strony, to ku rzece, to od rzeki i rąbiący wielkimi szablami wszystko, co zwróciło ich uwagę. Przy tym próżne wysiłki oficerów, by przywrócić ład i porządek. Wszystko to na tle dzikiej przyrody i w niepewnym mroku jesiennego wieczora stanowiło najdziwniejszy obraz zamętu i chaosu, jaki kiedykolwiek widziałem. Mnie zostawiono samego i mogłem się wszystkiemu spokojnie przypatrywać, gdyż cała nasza kawalkada rozpierzchła się w pościgu lub przynajmniej w celu przyjrzenia się przebiegowi poszukiwań. Przy tym, jak po trosze podejrzewałem już wtedy, a później dowiedziałem się z całą pewnością, wielu, którzy wydawali się najczynniejszymi w tropieniu i gonieniu zbiega, w rzeczywistości najmniej pragnęli jego ujęcia i tylko hałas robili, by zwiększyć zamieszanie i dać Rob Royowi lepszą sposobność do ucieczki.

Ucieczka istotnie nie była trudna dla pływaka tak doświadczonego, gdy tylko umknął przed pierwszym pościgiem. W pewnej chwili był w srożej opresji i kilka ciosów szabli uderzyło w wodę tuż obok niego. Scena ta przypomniała mi scenę z polowania na wydry w Osbaldistone Hall. Tam zwierzę bywa odkryte przez psy, gdy zmuszone jest wytknąć nos ponad wodę, by chwycić wiatr lub odetchnąć, umyka zaś przed nimi, gdy zaczerpnąwszy powietrza, znów kryje się pod wodą. Mac Gregor jednak miał w tym wypadku

pewną wyższość nad wydrą, zdołał bowiem, z bliska ścigany, nieznacznie uwolnić się od swego pledu i puścić go z biegiem wody, gdzie niebawem zwrócił ogólną uwagę. Tym sposobem wielu jeźdźców poszło za fałszywym tropem i niejeden strzał, niejeden cios szabli ominął cel zamierzony.

Gdy już na dobre uciekinier zniknął z oczu, schwytanie go okazało się zupełną niemożliwością, rzeka bowiem w bardzo wielu miejscach stawała się niedostępna dzięki stromości swoich brzegów oraz gęstwinie olch, topoli i brzoź, hamującej dostęp koniom. Zdarzały się również wśród ścigających różne pomyłki i wypadki, a nadchodząca noc czyniła ich zadanie coraz bardziej beznadziejnym. Jedni dostali się w wiry i towarzysze musieli ich ratować. Inni, ranni w tym zamieszaniu strzałami albo ciosami, wołali ratunku lub grozili zemstą, a w paru wypadkach tego rodzaju pomyłki doprowadziły do prawdziwej bitki. Toteż trąbki zawezwały do odwrotu, dając znać, że dowódca, choć niechętnie, wyrzeka się na razie nadziei wysokiej nagrody. Żołnierze poczęli z wolna, ociągając się i rozprawiając w powrotnej drodze, wracać do szeregów. Widziałem ciemne ich sylwetki, jak się grupowały na południowym brzegu rzeki, a szmery jej, długo głuszone krzykami mściwej pogoni, dawały się znów słyszeć, zmieszane z głuchym, niezadowolonym i pełnym wzajemnych wyrzutów pogwarem zawiedzionych jeźdźców.

Dotychczas byłem niejako jedynym widzem, choć mocno zainteresowanym przebiegiem tej szczególnej sceny. Teraz jednak usłyszałem nagle głos wołający:

— Gdzie jest ten Anglik? Ten obcy?... To on dał Rob Royowi nóż do przecięcia pasa!

— Rozpłataj szablą ten pudding angielski! — wołał jeden.

— Puść kilka kul przez jego pokrywę! — wołał drugi.

— Wpakuj mu trzy cale zimnej stali w piersi! — krzyczał trzeci. I usłyszałem tętent kilku koni galopujących tam i z powrotem, zapewne z miłym zamiarem wykonania tych pogrózek. Zdawałem sobie sprawę ze swego położenia i byłem pewien, że ludzie zbrojni, bez hamulca dla swych rozdrażnionych namiętności, zaczną od tego, że zastrzelą mnie albo zasięka, a później dopiero będą dochodzić, czy słusznie postąpili. Pod tym wrażeniem zeskoczyłem z konia i puściwszy go luzem, zaszyłem się w krzaki olszyny, gdzie zważywszy na wzrastającą ciemność nocy, spodziewałem się znaleźć dobre

schronienie. Gdybym był dość blisko księcia, by móc wezwać jego osobistej opieki, byłbym to uczynił, jednakże on rozpoczął już odwrót, a na lewym brzegu rzeki nie widziałem żadnego dość poważnego oficera, który by mógł mnie bronić, gdybym się oddał w jego ręce. Pomyślałem też, że w tym wypadku mój honor nie wymaga, bym narażał życie.

Pierwszą moją myślą, gdy zgiełk zaczął się uciszać i tupot podków końskich coraz rzadziej odzywał się w pobliżu mojej kryjówki, było odszukanie kwatery księcia i oddanie się mu w opiekę. Jako wierny poddany, który ze strony prawa niczego się lękać nie potrzebuje, a zarazem jako obcy w tych stronach, mogłem liczyć na jego pomoc i gościnność. Z tym zamiarem wysunąłem się z kryjówki i rozejrzałem dookoła.

Zmrok tymczasem przeszedł w prawie zupełną ciemność. Za ledwie kilku żołnierzy zostało jeszcze na brzegu rzeki Forth. Słyszałem dalekie kroki tych, którzy już ją przeszli, i jękliwy, zawodzący głos trąbek, niosący się po lesie dla zwoływania spóźnionych. Znalazłem się w położeniu dosyć trudnym. Nie miałem konia, a głęboki i pełen wirów nurt rzeki, zmacony przeprawą i harcami, wyglądał jeszcze groźniej w słabym oświetleniu niepełnego księżyca i nie nęcił pieszego, nieprzywykłego do przechodzenia rzek w bród czy wplaw, do przepławiania się w miejscu, gdzie widać było przed chwilą, jak kawalerzystom woda zalewała całe siodła. Z drugiej strony zanosilo się na to, że jeżeli zostanę na tym brzegu rzeki, będę musiał — po wszelkich trudach poprzedniej nocy i dnia — nadchodzącą noc spędzić al fresco/356 w górach.

Po chwili zastanowienia przyszło mi na myśl, że przecież Fairservice, który niewątpliwie przeszedł rzekę razem z resztą służby, jako że zawsze bezczelnie pchał się naprzód, z pewnością musiał objaśnić księcia lub odpowiednią starszyznę, kim jestem i jakie jest moje stanowisko w świecie. Nie jestem więc zmuszony dla żadnego usprawiedliwienia pokazywać się natychmiast i w tym celu ryzykować życie przepławiając się przez rzekę, błakając się nocą po nieznaney okolicy i nadstawiając kark pod szablę jakiegoś rębacza, któremu tego rodzaju wyczyn mógłby dostarczyć usprawiedliwienia, że dotąd nie dołączył do oddziału.

To wszystko zważywszy postanowiłem zawrócić i dostać się z powrotem do tej małej oberży, gdzie spędziłem noc poprzednią. Ze

strony Rob Roya nie miałem się czego obawiać. Był teraz na wolności. Byłem pewien, że jeżeli napotkam kogoś z jego ludzi i udzielę wiadomości, że wódz zbiegł, będę mógł liczyć na ich opiekę. Tym sposobem także dowiodę, że nie mam zamiaru opuszczać pana Jarvie w drażliwej sytuacji, w jakiej się znalazł głównie z mojego powodu. Na koniec, w tej jedynie okolicy mogłem się spodziewać, że dowiem się czegoś o Rashleighu i o papierach ojca, a to przecież było właściwym celem całej tej niebezpiecznej wyprawy. Toteż porzuciłem wszelką myśl przedostania się na drugi brzeg rzeki Forth i zawróciłem ku wiosce Aberfoil.

Ostry, mroźny wiatr, zawiewający od czasu do czasu, usunął tumany mgły, które bez jego interwencji drzemałyby w dolinie do rana. A choć nie mógł całkiem rozpedzić tych mglistych oparów, zwiewał je w strzępy i ruchome masy, to otulając nimi górskie szczyty, to wypełniając jakby zbitym, gęstym obłokiem dymu różne głębokie rozpadliny, skąd zwietrzałe głazy, odpadając od skał, postaczały się w dolinę, zostawiając po sobie kamieniste, wyżłobione żleby, podobne do łożysk wyschłych wodospadów. Wysoko teraz stojący księżyc jasno świecił w mroźnej atmosferze, srebrzył zakręty rzeki i od mgły uwolnione szczyty i przepaście, topił swe promienie w gęstej białej mgle, by za to innym lżejszym mgiełkom nadawać przejrzystość i zwiewność woalu srebrnej gazy. Mimo niepewności położenia romantyczny widok i pobudzający wpływ mroźnego powietrza podniósł mnie na duchu i ukoił nerwy. Czułem się lekki, beztroski, gotowy stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu. Mimo woli też zacząłem gwizdać do taktu własnym coraz raźniejszym krokom. Było zimno, czułem tętno życia bijące coraz dumniej i górniej, a wraz z tym wracała mi ufność we własną siłę, odwagę i sprawność. Tak byłem zatopiony w tych myślach i przeżyciach, że nie słyszałem, jak dwóch jeźdźców zajechało mnie z tyłu, i spostrzegłem ich dopiero wtedy, gdy znaleźli się tuż obok mnie, jeden z lewej, drugi z prawej strony. Jeździec po mojej lewej wstrzymał konia i zapytał po angielsku:

— Hej! Stój, przyjacielu! Dokądże to tak późno?

— Na wieczerzę i nocleg do Aberfoil — odpowiedziałem.

— Czy przejścia wolne? — zapytał tym samym rozkazującym tonem.

— Nie wiem — odpowiedziałem. — Dowiem się, gdy tam dojdę. Jednakże — dodałem przypomniawszy sobie los Morrisa — jeśli jesteście, panie, obcym, i do tego Anglikiem, radzę zawrócić i

zaczekać do rana. Były tu niepokoje w sąsiedztwie i bałbym się twierdzić, że dla obcych jest tutaj bezpiecznie.

— Żołnierze przegrali... nieprawda? — zapytał.

— Tak, w istocie. Oddział pod dowództwem oficera został zniesiony i wzięty do niewoli.

— Jesteś, młodzieńcze, pewny tego? — pytał dalej jeździec.

— Tak jak tego, że słyszę wasz głos — odpowiedziałem. — Byłem mimowolnym świadkiem potyczki.

— Mimowolnym? — pytał dalej. — Zatem nie braliście w niej udziału?

— O, nie — odpowiedziałem — byłem aresztowany przez oficera wojsk królewskich.

— Na zasadzie jakiego podejrzenia? I kim jesteście? Jakie imię wasze?

— Doprawdy nie wiem — rzekłem — dlaczego miałbym odpowiadać na tyle pytań zupełnie nieznanemu i obcemu mi człowiekowi. Powiedziałem dosyć, by was przekonać, że udajecie się w niebezpieczną i burzliwą okolicę. Jeżeli chcecie jechać dalej, to wasza własna sprawa, ale skoro ja się nie pytam o wasze nazwisko i wasz interes, wy również zobowiązacie mnie, gdy się o to nie będziecie pytać.

— Pan Francis Osbaldistone — przemówił drugi jeździec głosem, który targnął wszystkimi moimi nerwami — nie powinien gwizdać swych ulubionych arii, jeżeli pragnie, by go nie poznano.

I Diana Vernon, gdyż ona to była, otulona w płaszcz konnego jeźdźca, wygwizdała żartobliwie drugą część arii, którą miałem na ustach, gdy nadjeżdżali.

— Dobry Boże! — zawołałem jak piorunem rażony. — Czy to być może, że to ty, Diano, w tym miejscu... o takiej godzinie... w tak dzikim kraju... w takim...

— W takim męskim przebraniu, chcieliście powiedzieć... Ale cóż chcecie? Filozofia poczciwego kaprała Nym \* jest ostatecznie najlepsza. Musi być tak, jak może być... pauca verba/358.

Gdy to mówiła, skorzystałem z jaśniejszego promienia księżycy, by przyjrzeć się jej towarzyszowi. Jasne było, że widzieć pannę Vernon w miejscu tak samotnym, w tak niebezpiecznej podróży, pod opieką jednego tylko mężczyzny — były to okoliczności, które mogły nie tylko dziwić, ale wszelkie uczucia zazdrości obudzić. Jeździec nie

przemawiał głębokim, melodyjnym głosem Rashleigha — głos ten brzmiał silniej i bardziej rozkazująco. Przy tym jeździec ten był wyższy niż tamten, przedmiot mych podejrzeń i nienawiści. Sposób przemawiania obcego nie przypominał mi też kuzynów. Był w nim ten nieokreślony charakterystyczny ton, który już przy pierwszym słowie daje poznać człowieka rozumnego i dobrze wychowanego.

Przedmiot mojego niepokoju pragnął jakby usunąć się spod moich badawczych spojrzeń.

— Diano — rzekł dobrotliwie, ale zarazem z powagą — oddaj kuzynowi jego własność i nie traćmy tutaj czasu.

Diana zdążyła tymczasem dobyć małej skrzyneczki i z konia nachylając się ku mnie, powiedziała tonem, w którym wysiłek, by wyrażać się ze zwykłą sobie oryginalną lekkością, walczył z głębszym i poważniejszym uczuciem.

— Otóż widzisz, kochany kuzynku, przyszłam na świat po to, by być twym dobrym aniołem. Rashleigh został zmuszony do wydania łupu, a gdybyśmy, tak jak zamierzaliśmy, byli dotarli wczoraj wieczorem do tejże wioski Aberfoil, byłabym znalazła jakiegoś góralskiego sylfa/359, który by ci odniósł te papiery, stanowiące kupieckie bogactwo. Jednakże olbrzymy i smoki były na naszej drodze, błędni zaś rycerze i panny dzisiejszej doby, choć im nie brak odwagi, nie powinni, jak tamci ongiś, narażać się na niebezpieczeństwa bez koniecznej potrzeby... I ty tego nie czyn, drogi kuzynku.

— Diano — przerwał jej towarzysz — po raz wtóry cię ostrzegam, że noc się robi późna, a my jeszcze daleko jesteśmy od domu.

— Zaraz... zaraz... Zważcie — odpowiedziała z westchnieniem — jak bardzo w ostatnich czasach byłam pod kuratelą... Zresztą jeszcze nie oddałam kuzynowi paczki i nie pożegnałam go... na zawsze. Tak, Franku, na zawsze !... Pomiedzy nami jest otchłań, otchłań zatracenia. Gdzie my pójdziemy, tam ty iść nie możesz... co my czynimy, w tym ty nie możesz brać udziału... Bywaj zdrów!... Bądź szczęśliwy!

Nachylona z górskiego kucyka twarz jej, może nie całkiem nieumyślnie, dotknęła mojej. Diana ścisnęła moją dłoń, a łza, która drżała w jej oku, padła mi na policzek. Była to chwila niezapomniana, niewymownie bolesna, ale równocześnie zaprawiona uczuciem szczęścia tak głęboko kojącego i przejmującego, że otworzyła wszelkie tamy mego serca. Była to jednak tylko jedna chwila, gdyż Diana, opanowując natychmiast wzruszenie, któremu mimo woli

uległa, oświadczyła swemu towarzyszowi, że jest gotowa. Popędzili konie i po chwili byli już daleko.

Bóg widzi, że nie chłód i nie apatia tak obezwładniły moje ciało i język, że nie mogłem ani oddać Dianie półścisku, ani nawet odpowiedzieć na jej pożegnanie. Zdziwienie i ból po prostu mnie ogłuszyły. Stałem bez ruchu, z paczką w ręku, spoglądając za nimi, jak gdybym chciał liczyć iskry lecące spod kopyt ich koni. Stałem długo i patrzyłem, nawet gdy nic już dojrzeć nie było można, i nasłuchiwałem jeszcze, choć dawno już daleki tętent zamarł w moich uszach. Nareszcie łzy napłynęły mi do oczu, stężałych wypatrywaniem tego, czego już uchwycić nie mogły. Machinalnie otarłem łzy, nie uświadamiając nawet sobie, że dalej płyną, ale łez wzbierało coraz więcej. Uczułem skurcz w gardle, a w piersiach tę *histerica passio* \* biednego Leara /359 i siadłszy nad drogą, wylałem potok gorzkich łez, pierwszych od czasów dzieciństwa.



## ROZDZIAŁ XXXIV

D a n g l e : Ejże, zdaje mi się, że z tych dwóch tłumacza trudniej zrozumieć.

Critic/360

Zaledwie dałem upust uczuciom w tym paroksyzmie rozżalenia, a już wstydziłem się własnej słabości. Wspomniałem, że od pewnego czasu starałem się uważać Dianę Vernon za przyjaciela, o którego dobro zawsze dbać będę, ale którego prawie że nie będę widywać. Jednakże ten ledwie opanowany wybuch jej czułości i ta romantyczna niezwykłość naszego spotkania, w miejscu tak zgoła nieprzewidzianym, wytrąciły mnie z równowagi. Przyszedłem jednak do siebie prędzej, niżbym się sam był spodziewał, i nie dając sobie czasu na dokładniejsze badanie własnych pobudek, wróciłem na ścieżkę, wzdłuż której szedłem i gdzie mnie zaskoczyło to dziwne i niespodziewane spotkanie.

„Stosuję się do jej wskazówek, tak z głębi serca danych — dumalem — skoro dalej idę jedyną otwartą drogą. Chociaż udało mi się otrzymać z powrotem własność ojca, to jednak obowiązkiem moim pozostaje dopilnować, by mój przyjaciel radny wy dostał się z położenia, w jakie się uwikłał z mojej przyczyny. Zresztą gdzież mogę znaleźć schronienie na noc, jeżeli nie w małej karczemce w Aberfoil? Oni też tam się muszą zatrzymać, gdyż konno nie sposób dalej jechać... A więc znów się spotkamy... spotkamy może po raz ostatni... Ale zobaczę ją... usłyszę ją... dowiem się, kim jest ten szczęśliwy człowiek, który ma nad nią władzę męża, dowiem się, czy wśród trudności tej jakiejś sprawy, w którą jest uwikłana, istnieje może coś, w czym mógłbym jej pomóc. Ale w ogóle dowiem się, czy nie ma czegoś, co mógłbym dla niej zrobić, by odwdzińczyć się za jej szlachetność... za jej bezinteresowną przyjaźń”.

Gdy tak rozmyślałem, wyszukany mi pozorami maskując gorące pragnienie zobaczenia mej kuzynki i pomówienia z nią raz jeszcze, uczułem nagle, że ktoś dotyka mojego ramienia, i usłyszałem niski głos górala, idącego prędzej ode mnie, choć i ja posuwałem się szparkim krokiem.

— Piękna noc, panie Osbaldistone... Widzieliśmy się o zmroku, niedawno.

Nie mogłem nie poznać głosu Mac Gregora. Uciekł przed pościgiem nieprzyjaciół, a teraz swobodnie wracał w swoje pustkowie, do swoich ludzi. Udało mu się też uzbroić, prawdopodobnie w domu jakiegoś ukrytego sprzymierzeńca, gdyż niósł muszkiet na ramieniu i zwykłą góralską broń u boku. Znaleźć się sam na sam z takim człowiekiem w takich warunkach i o tak późnej godzinie nie było bardzo miłe, gdyż mimo że przywykłem myśleć o Rob Royu raczej przyjaźnie, szczerze wyznam, że zawsze, gdy mówił, przechodził mnie lekki dreszcz. Górale mają głos niski, mówią jakoś głucho i przy tym zazwyczaj z patosem. Do tych plemiennych właściwości Rob Roya dochodziła pewna twardość akcentu i surowość obejścia, świadczące o duchu nieugiętym, nie dającym się zadziwić ani wzruszyć tym, co zachodziło wkoło niego, choćby to było straszne, nagłe, poruszające. Przywykły do niebezpieczeństw, przy nieograniczonej ufności we własne siły i własną bystrość, nie wiedział, co to trwoga. Wyjęty spod prawa, nie będąc pewnym dnia ani godziny, stwardniał i może zubożył na cudze cierpienia, ale bynajmniej nie wygasły w nim wszystkie szlachetniejsze uczucia. Z drugiej strony, trzeba pamiętać, że niedawno byłem świadkiem, jak ludzie jego w okrutny sposób zamordowali bezbronny i błagającego o życie człowieka.

Stan mojej duszy był jednak tego rodzaju, że radośnie powitałem towarzystwo zbójckiego wodza, widząc w nim ucieczkę od dręczących mnie myśli. Świtała mi przy tym nadzieja, że może z jego pomocą znajdę jakąś nić przewodnią do wyjścia z matni, w którą mnie los uwikłał. Toteż na jego powitanie odpowiedziałem serdecznie, winszując mu udanej ucieczki w okolicznościach, wśród których zdawała się ona wprost niemożliwą.

— To prawda — odpowiedział — od gardła do wikliny/1 jest nie dalej niż od ust do kieliszka... 1/Wikliny, z której wyplata się kosze, często używano w Irlandii i Szkocji na pętle do szubienic, co było niewątpliwie mądrą oszczędnością konopi (przyp. aut.).

Ale niebezpieczeństwo mniejsze, niż sobie wyobrażacie nie znając kraju. Spośród tych, którym kazano mnie ścigać, pilnować, a potem znowu ścigać, połowa wcale nie pragnęła, żeby mnie schwytano, trzymano w więzach i znowu złapano. Z drugiej strony, połowa z tej pozostałej połowy bała się zbliżyć do mnie. Tak że właściwie miałem

tylko czwartą część, jakich może pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu ludzi przeciwko sobie.

— I tego dosyć — odpowiedziałem.

— Nie wiem — odparł — dajcie mi każdego z nich na zieloną łączkę koło oberży w Aberfoil, a puszcę ich w taniec z szablą i tarczą i gładko się załatwię ze wszystkimi po kolei.

Zaczął mnie teraz rozpytywać o moje przygody w podróży i uśmieł się serdecznie, gdy mu opowiedziałem o naszej bitwie w karczmie i o bohaterskich czynach radnego, walczącego rozpalonym pogrzebaczem.

— Niech żyje Glasgow! — zawołał. — Niech mnie przeklnie duch Cromwella, jeślibym kiedy zapragnął widzieć ucieszniesze widowisko niż kuzyna Nicola Jarvie, wypalającego pled Iveracha. Ale bo też mój kuzyn Jarvie — dodał poważniej — ma trochę szlacheckiej krwi w swoich żyłach, chociaż na nieszczęście wychowano go do pokojowego i marnego zawodu. To przecież musi zaćmić umysł dzielnego człowieka... Teraz rozumiecie, dlaczego nie mogłem was przyjąć w oberży w Aberfoil, jak to zamierzałem. Ładną sieć na mnie zastawili pod moją nieobecność, gdy w sprawie króla dwa czy trzy dni bawiłem w Glasgow... Myślę jednak, że zerwałem ligę, którą zmontowali, i już nie będą mogli szczuć jednego klanu na drugi. Spodziewałem się, że ujrzę wkrótce dzień, gdy wszyscy górale staną ramię w ramię. No, ale co dalej się działo?

Zdałem mu sprawę z przybycia kapitana Thorntona i jego oddziału, z uwięzienia radnego i mnie pod pozorem, że jesteśmy osobami podejrzanymi. Gdy zaś dokładniej rozpytywał, przypomniałem sobie, co oficer wspomniał, iż oprócz tego, że nazwisko moje brzmi w jego uszach podejrzenie, miał też rozkaz aresztowania dwóch mężczyzn, starszego i młodszego, podobnych do nas z rysopisu. To znowu pobudziło banitę do śmiechu.

— Jak prawdą jest, że chlebem człowiek żyje — zawołał — te osły wzięły mego przyjaciela Jarvie za jego ekscelencję, a was za Dianę Vernon!... O, te ucieszne nocne puszczyki!

— Za Dianę Vernon? — zapytałem, z powątpiewaniem i z drżeniem czekając na odpowiedź. — Czy ona jeszcze nie zmieniła nazwiska? Przed chwilą przejeżdżała tędy z jakimś panem, który zwracał się do niej, jakby miał prawo jej rozkazywać.

— Tak, tak — odpowiedział Rób — ma ona teraz prawną władzę nad sobą i czas już, bo to samowolna osóbką. Ale dzielna z niej dziewczyna. Szkoda, że jego ekscelencja jest trochę starawy. Ktoś taki jak wy albo mój syn Hamish byłby odpowiedniejszy wiekiem.

Tak tedy padały te pałace z kart, które wyobraźnia moja wbrew rozumowi tak często lubiła stawiać. Po prawdzie, niczego innego spodziewać się nie mogłem. Było wykluczone, by Diana podróżowała przez ten kraj o tej godzinie pod inną, jak prawnie uświęconą opieką. Niemniej jednak boleśnie odczułem ten cios i gdy Mac Gregor dopominał się o dalszy ciąg opowiadania, w pierwszej chwili nie zrozumiałem go.

— Chorzy jesteście — rzekł w końcu, nie doczekawszy się odpowiedzi. — Mozoly tego dnia to za wiele dla kogoś nie przyzwyczajonego do podobnych rzeczy.

Dobrotliwy ton, jakim przemówił, przywołał mnie do przytomności, więc, jak potrafiłem, zdałem mu sprawę z dalszych wypadków. Rob Roy wyraził wielką radość słysząc o szczęśliwej potyczce w przesmyku nad jeziorem.

— Powiadają — zauważył — że poślad królewski jest lepszy od żyta innych ludzi, a ja myślę, że nie można tego powiedzieć o królewskich żołnierzach, jeżeli dali się pobić starcom, dzieciakom, babom w spódnicach i ot takim wiejskim śmieciom. Albo ten Dougal! Gregor!... Kto by pomyślał, że tyle rozumu mieści się w tym łbie rozczochranym, który nigdy nie miał lepszego nakrycia niż rudą grzywę własnych włosów! Ale mówcie dalej... choć boję się tego, co mogę usłyszeć... Moja Helena to diabeł wcielony, gdy w niej krew zakipi. Biedaczka, ma ona do tego aż nadto powodów.

Najdelikatniej, jak umiałem, opowiadałem, jak nas potraktowano, lecz wyraźnie widziałem, że te szczegóły sprawiają mu przykrość.

— Tysiąc funtów dałbym — rzekł — żeby być przy tym. Tak się obejść z obcymi, a nade wszystko z własnym powinowatym, który mi tyle dobroci okazał... Już bym wolał, żeby w swym szaleństwie spalili połowę Lennox. Tak bywa, gdy się zaufa kobietom i dzieciakom, co to nie mają miary ani rozumu w działaniu. Ale właściwie to wszystkiemu winien ten pies celnik, który mnie zdradził, udając, że ma poselstwo od waszego kuzyna Rashleigha i że mamy się spotkać w sprawie króla. Uwierzyłem mu, bo myślałem, że jest prawdopodobne, iż Garschattachin i część prowincji Lennox chce się oświadczyć za

królem Jakubem. Dalibóg! Ale gdy usłyszałem, że księżę tam jest, poznałem od razu, że mnie oszukano. Gdy mnie spętali popręgiem, wiedziałem, co mnie czeka. Wasz kuzyn, z przeproszeniem, śliski łotrzyk, gotów byłby użyć podobnych chwytów... bardzo byłbym jednak rad, gdyby się okazało, że on sam nie był w tym spisku... Zauważyłem że Morris diabło długą miał minę, gdy zażądałem, by pozostał jako zakładnik, aż powrócę zdrów i cały. Ale oto wracam nie dzięki jemu ani tym, co go użyli, i teraz pytanie, jak ten się ten szelma poborca wykupi... bo to pewne, że nie puszczę go bez okupu.

— Morris — rzekłem — już zapłacił ostatni okup, jaki człowiek śmiertelny może dać.

— O! — zawołał mój towarzysz. — Co mówicie? Chyba nie padł podczas bitwy?

— Nie, stracono go na zimno, już po skończonej walce, panie Campbell.

— Na zimno?... O, do diabła! — rzekł zaciskając zęby. — Jak to się stało? Mówcie... A nie tytułujcie mnie „panie” i nie nazywajcie mnie Campbell... Stoję na mojej rodzinnej ziemi, a imię moje jest Mac Gregor!

Widać było, że zawrzał w nim gniew. Nie bacząc wszakże na szorstkość jego tonu, dałem mu krótkie i ściśle sprawozdanie o śmierci Morrisa. Kolbą swej broni uderzył gwałtownie o ziemię.

— Bóg widzi! — wybuchnął. — Po takim czynie można by się wyrzec rodziny, klanu, ojczyzny, żony i dzieci!... A swoją drogą ten nędznik długo na to pracował! I jakaż wreszcie jest różnica, czy kto się udusi pod wodą z kamieniem u szyi, czy buja na wietrze ze stryczkiem na gardle?... W końcu i jedno, i drugie jest uduszeniem, a jego spotkał tylko ten los, który gotował dla mnie. Jednak wolałbym, żeby byli wpakowali w niego kulkę albo sztyletem go przebili, gdyż ten rodzaj stracenia go da powód do wielu pustych gadań... Ale co komu sądzone, to go nie minie. Wszyscy musimy umierać, gdy przyjdzie nasza godzina... Nikt też nie może zaprzeczyć, że Helena Mac Gregor ma ciężkie krzywdy do pomszczenia.

To powiedziawszy zaczął się dopytywać, jak się wydostałem z rąk oddziału, przy którym mnie widział.

Opowiedziałem mu w krótkich słowach, a zarazem napomknąłem o przypadkowym spotkaniu, dzięki któremu odzyskałem papiery mego

ojca. Nie śmiałem jednak ufać własnemu głosowi i nie wymieniałem imienia Diany.

— Byłem pewien, że je odzyskacie — oświadczył Mac Gregor. — List, któryście mi przywieźli, zawierał życzenie ekscelencji co do tej sprawy, a ja też chciałem w tym pomóc. I dlatego właśnie zaprosiłem was tu, do tego wąwozu. Ale widocznie jego ekscelencja załatwił to z Rashleighem prędzej, niż się spodziewałem.

— Więc list, który wam przywiozłem, był od osoby, którą nazywacie ekscelencją? — zapytałem niepomiernie zdziwiony. — Któż on jest? Jakież jest jego stanowisko i właściwe imię?

— Myślę — odparł Mac Gregor — że skoro nie wiecie tego dotąd, nie może to mieć dla was wielkiego znaczenia i dlatego mówić o tym nie będę. Ale ręczę za to, że list był jego ręką pisany, inaczej, mając tyle własnych spraw na głowie, którym, jak sami widzicie, ledwie podołać mogę, nie byłbym się tak bardzo tym zajmował.

Przypomniałem sobie teraz światła widziane w bibliotece, różne okoliczności, które zazdrość we mnie budziły, rękawiczkę, poruszaną zasłonę, zakrywającą tajne przejście do apartamentu Rashleigha, a przede wszystkim uprzytomniłem sobie, że Diana wyszła, by napisać, jak wtedy myślałem, ten list, do którego miałem się uciec w ostatniej konieczności. Jej czas zatem nie upływał w samotności, lecz na przyjmowaniu hołdów jakiegoś awanturczego ajenta spisku jakobitów, tajnego rezydenta w domu jej wuja. Inne młode panny sprzedawały się za złoto lub też powodowane próżnością pozwalały się odwieść od swojej pierwszej miłości, Diana natomiast poświęcała moje i swoje uczucia, by dzielić losy politycznego awanturnika, by odszukiwać nocą, wśród pustkowi, kryjówek banitów i rabusiów bez innych widoków na stanowisko i fortunę, jak tylko te ich pozory, które mógłby ofiarować marny dwór Stuartów w St. Germain /365.

„Chcę ją zobaczyć — powtarzałem sobie w duszy — jeżeli to tylko możliwe, chcę ją zobaczyć raz jeszcze. Wytlumaczę jej jak przyjaciela, jak krewny, przedstawię, na co się naraża, ułatwię jej powrót do Francji. Tam może ona bezpieczniej i właściwiej doczeka wyniku zamieszek, jakie widocznie gotuje ten polityczny intrygant, z którym połączyła swe losy”.

— Wnoszę z tego — odezwałem się do Mac Gregora po kilku minutach obustronnego milczenia — że ten pan, zwany ekscelencją,

skoro inaczej nazwać go nie chcecie, przebywał w Osbaldistone Hall równocześnie ze mną.

— Ależ tak, tak... i w apartamentach młodej damy, jak się słusznie należało. — To dodatkowe objaśnienie zółcią mnie napoiło. — Mało kto jednak wiedział, że on tam był, oprócz Rashleigha i sir Hildebranda, bo was się tu w rachubę nie brało, a młodzi panowie rozumem ani bystrością nie grzeszą. Ale dom jest piękny, staroświecki. Najbardziej podziwiałem w nim mnogość dziur, zakątków i kryjówek. Moglibyście tam ze dwudziestu, trzydziestu ludzi rozlokować po kątach, a cała rodzina, mieszkając tam, przez tydzień by ich nie odkryła. Naturalnie w pewnych okolicznościach przedstawia to szczególną dogodność. Chciałbym, żebyśmy coś takiego jak Osbaldistone Hall mieli na szczycie Craig Royston... Ale my mamy lasy i jaskinie i te muszą nam zastąpić takie zamki.

— Przypuszczam — rzekłem — że jego ekscelencja wiedział o pierwszej przygodzie, która spotkała...

Mimo woli zawahałem się przez chwilę.

— Chcieliście powiedzieć Morrisa — podjął Rob Roy spokojnie, gdyż zanadto był oswojony z aktami gwałtu, by długo trwać w oburzeniu, jakie okazał w pierwszej chwili. — Śmiałem ja się zawsze serdecznie z tej awantury, ale teraz już mi nie do śmiechu po tej nieszczęsnej historii nad jeziorem... Nie, nie, jego ekscelencja nic o tym nie wiedział. To wszystko ułożyliśmy ja z Rashleighem. Ale ta zabawa, która potem przyszła, i ten pomysł Rashleigha, żeby podejrzenie zrzucić z siebie na was, z czym mu się zresztą niezbyt powiodło, a potem panna Diana, która się uwzięła, żebyśmy naszą siatkę znów rozplątali i wyrwali was z kleszczy sędziego, i ten tchórz Morris, który od zmysłów odchodził na widok prawdziwego sprawcy, w chwili kiedy oskarżał niewinnego cudzoziemca, i ten szelma sekretarz, i ten pijany sędzia... Cha! Cha! Uśmiełem ja się z tego figla... A teraz wszystko, co mogę zrobić dla tego biedaka, to kilka mszy zakupić za jego duszę.

— Czy wolno mi zapytać — rzekłem — jakim sposobem panna Vernon mogła mieć tyle wpływu na Rashleigha i jego wspólników, ażeby aż zburzyć wasz plan?

— Mój? To nie był mój plan. Nikt tego o mnie nie powie, że bym kiedy swoje brzemie składał na cudze plecy... ale tym razem to była sprawka Rashleigha. Niewątpliwie panna Vernon miała wielki wpływ

na nas obu z powodu uczuć, jakie ma dla niej jego ekscelencja, a także dlatego, że znała aż za wiele tajemnic, które przy tym mogły wypłynąć.

Bierz diabli tego — wykrzyknął na zakończenie — kto powierza kobiecie albo sekret, który ona może wydać, albo władzę, której może nadużyć! Nie daje się miecza w rękę szalonemu.

Znajdowaliśmy się teraz o ćwierć mili od wioski, gdy nagle trzech górali wyskoczyło ku nam z bronią w ręku. Kazali nam stanąć i powiedzieć, po co idziemy. Jedyne słowo Gregaragh, wypowiedziane niskim, rozkazującym głosem mojego towarzysza, wywołało w odpowiedzi okrzyk, a raczej wycie radosnego poznania. Jeden, rzuciwszy strzelbę na ziemię, tak silnie objął wodza swego za kolana, że ten nie mógł się uwolnić, a przy tym dobywał z piersi potok powinszowań, przechodzących raz po raz w jakiś krzyk radosny. Dwaj drudzy, wyjąc jak szaleni, puścili się dosłownie pędem jelenia, ścigając się, kto prędzej doniesie do wioski, obsadzonej obecnie silnym oddziałem Mac Gregorów, wieść, że Rob Roy uciekł i wraca.

Wiadomość ta wzbudziła takie krzyki radości, że znowu góry zabrzmiały echem. Młodzi i starzy, mężczyźni, kobiety i dzieci rzucili się w dolinę naprzeciw nam gwarno i szumnie jak potok górski. Usłyszawszy hałas i wycie tego radosnego tłumu, pomyślałem, że będzie może przezornie przypomnieć Mac Gregorowi, iż jestem człowiekiem obcym i znajduję się pod jego opieką. Toteż trzymał on mnie silnie za rękę, kiedy zgromadzeni tłoczyli się dokoła niego z takimi okrzykami wiernego przywiązania i uciechy z jego powrotu, że doprawdy było to wzruszające. On zaś nie wyciągnął ręki, by ucisnąć swoich ludzi, na co wszyscy gorączkowo czekali, póki nie dał im do poznania, że mają się do mnie odnosić gościnnie i po przyjacielsku.

Wola sułtana z Delhi nie mogłaby znaleźć szybszego posłuchu. W istocie, doświadczałem teraz omal że tylu niewygód z powodu ich gorliwej uprzejmości, ile poprzednio skutkiem ich szorstkości. Zaledwie pozwolili przyjacielowi swego wodza iść na własnych nogach, tak starannie dbali o to, by mnie podtrzymywać i pomagać w drodze. W końcu korzystając z tego, że potknąłem się lekko o kamień, którego w tym ścisku nie mogłem ominąć, wprost porwali mnie i zanieśli triumfalnie na rękach do domu gospodyni Mac Alpine.

Zmierzając do jej gościnnego szałasów przekonałem się, że władza i popularność mają swoje niewygody — zarówno tu, w tym górskim



kraju, jak i gdzie indziej, zanim bowiem Mac Gregorowi pozwolono wejść do domu, pokrzepić się i odpocząć, musiał powtarzać historię swojej ucieczki przynajmniej ze dwanaście razy, o czym się dowiedziałem od pewnego uprzejmego starca, który ku memu zbudowaniu tyleż razy tłumaczył mi ją na angielski, a ja mu z grzeczności płacić musiałem względnie skupioną uwagą. Gdy się nareszcie słuchacze zadowolili, zaczęli powoli grupami odpływać, by przenocować bądź to na wrzosowisku, bądź w chatach — przy czym jedni przeklinali księcia i Garschattachina, inni ubolewali nad prawdopodobnym losem Ewana of Briggians, ale wszyscy w tym byli zgodni, że ucieczka Rob Roya dorównywała bohaterskim czynom innych ich wodzów, począwszy od Dougala-Ciar, założyciela tej linii rodu.

Mac Gregor, przyjacielsko ująwszy mnie pod ramię, zaprowadził mnie teraz do wnętrza chaty. Przenikałem wzrokiem dymne jej zakątki wypatrując Diany i jej towarzysza, ale nigdzie ich nie dostrzegłem, a pytać nie chciałem, by nie zdradzić uczuć, które raczej ukryć należało. Jedyna twarz znajoma, na której oczy moje spoczęły, była twarzą radnego Jarvie. Ten, siedząc na krześle przy kominie, z pewną rezerwą i godnością przyjął powitanie Rob Roya i przeprosiny za różne braki i niewygody oraz pytania o zdrowie.

— Dość dobrze się mam, kuzynie — mówił radny. — Tak sobie, nieźle, dziękuję. Co do niewygód, nie można przecież ciągnąć za sobą Solnego Rynku na ogonie, jak ślimak swoją skorupę, ale cieszę się, żeście się wydostali z rąk waszych nieprzyjaciół.

— Dobrze, dobrze — odpowiedział Roy — ale coś was gnębi... Wszak wszystko dobre, co się dobrze kończy! Jeszcze do końca świata daleko! No dalej, wypijmy kielich wódki. Wasz ojciec, cechmistrz, umiał golnąć kielich o każdej porze dnia.

— Możliwe, że umiał, Robinie, szczególnie po zmęczeniu. I prawda, nie mogę powiedzieć, żeby dzisiejszy dzień był łatwy dla mnie... Ale — mówił dalej, z wolna napełniając drewniany kubek, mogący pomieścić trzy kieliszki — to był umiarkowany człowiek w picciu, tak jak i ja... Oto za wasze zdrowie, Robinie — pociągnął — za wasze powodzenie na tym i na tamtym świecie — znowu łyk — a także za zdrowie mojej kuzynki Heleny... i waszych dwóch obiecujących chłopaków, o których później jeszcze pogadamy.

To mówiąc wypił zawartość kubka z wielką powagą i spokojem, gdy tymczasem Mac Gregor mrugał ku mnie na boku, jak gdyby go śmieszyła mądra, pełna wyższości mina, jaką radny przybierał w rozmowie z nim, i zupełnie ten sam ton, a nawet jeszcze bardziej napauszony niż wtedy, gdy był na łasce radnego w więzieniu w Glasgow, a to wszystko mimo tego, że teraz Rob Roy stał na czele zbrojnego klanu. Zdaje mi się, że Rob Roy pragnął, bym ja jako obcy zrozumiał, że jeżeli on znosi ten ton, którym krewny do niego się zwraca, to po części w uznaniu praw gościnności, ale jeszcze bardziej dlatego, że go to bawi.

Radny odstawiając kubek poznał mnie i powitawszy serdecznie, dalszą rozmowę ze mną odłożył na potem.

— Później pomówimy o waszych sprawach. Chcę zacząć, jak się to należy, od spraw mego krewnego... Spodziewam się, Robinie, że nie ma tu nikogo, kto by na moją albo na waszą szkodę doniósł do rady miejskiej albo gdzie indziej to, o czym będę mówił.

— Co do tego bądź spokojny, kuzynie Nicol — odpowiedział Mac Gregor. — Jedna połowa tych chłopaków nie zrozumie tego, co mówisz, a drugiej to nie obchodzi, nie mówiąc już o tym, że wyrwałbym język każdemu, kto by śmiał powtórzyć cośkolwiek z tego, co się mówi do mnie w ich obecności.

— Jeśli tak, to dobrze, kuzynie. Obecny tu pan Osbaldistone to rozważny młodzieniec i pewny przyjaciel, więc otwarcie ci powiem, że zachowaniem swym prowadzisz rodzinę na złe drogi.

Tu kaszlnął, chrząknął, zgasił swój zwykły, dobroduszny uśmiech i zastąpił go surowym, pełnym autorytetu i powagi wyrazem twarzy, takim właśnie, jaki Malvolio/369 radził przybierać w podobnych sytuacjach.

— Sam wiesz — powiedział — że ty z prawem nie całkiem w zgodzie żyjesz, a co do kuzynki Heleny, nie mówiąc o tym, że przyjęła mnie dzisiaj bynajmniej nie po przyjacielsku, co jej daruję ze względu na jej rozdrażnienie, powiem (wykluczając ten wzgląd i nie żaląc się na nią osobiście)... miałbym do powiedzenia, co się żony twojej tyczy...

— O niej, kuzynie, nic nie mówcie — przerwał Rób poważnym i surowym tonem — prócz tego, co przystoi przyjacielowi mówić, a mężowi słuchać. O mnie, owszem, mówcie, proszę, wszystko, co wam się podoba.

— No dobrze, dobrze... — odparł radny trochę zmieszany. — Przejdźmy nad tym do porządku... Sam nie pochwalam, gdy kto waśnie sieje w rodzinie. Ale oto są dwaj twoi synowie — Hamish i Robin, co znaczą James i Robert. Mam nadzieję, że w przyszłości tak ich nazywać będziesz. Co po tych wszystkich Hamishach, Eachinach i Angusach! Te imiona spotyka się chyba tylko w rejestrze kar za kradzież krów w Zachodnim Obwodzie. No dobrze. Ci dwaj chłopcy, jak mówię, nie mają, człowieka, nawet pierwszych podstaw wykształcenia. Nie umieją nawet tabliczki mnożenia, tego korzenia, z którego wyrasta wszelka pożyteczna wiedza.

Śmiali mi się w oczy i drwili, gdy im powiedziałem, co myślę o ich ignorancji. Zdaje mi się, że oni nie umieją ani czytać, ani pisać, ani rachować, jeżeli można uwierzyć, że coś takiego dzieje się u własnych krewnych w chrześcijańskim kraju.

— Gdyby umieli, kuzynie — odpowiedział z zupełną obojętnością Mac Gregor — to chyba ta wiedza przyszła im z własnego natchnienia, bo skądżeż, u licha, miałem im wziąć nauczyciela? Czy chcielibyście, żebym na bramie glasgowskiego kolegium przykleił ogłoszenie: „Potrzebny nauczyciel do dzieci Rob Roya”?

— Nie, kuzynie — odparł radny — ale mogliście ich posłać tam, gdzie by się nauczyli bojaźni bożej i obyczajów ludzi cywilizowanych. Są tak ciemni jak ci poganiacze bydła, z którymi chodziłeś na targ, albo ci chłopcy angielscy, co to bydło kupowali. I nic też sensownego nie umieją robić.

— Hm! — mruknął Rób. — Hamish jedną kulą potrafi strącić głuszca w locie, a Rob przebija sztyletem dwucalową deskę.

— Tym gorzej dla nich, kuzynie, tym gorzej dla nich obu! — oświadczył kupiec glasgowski z całą stanowczością. — Jeżeli nie umieją nic więcej, lepiej, żeby i tego nie umieli. Powiedz mi sam, Robie, co ci przyszło z tego całego siekania, rąbania, strzelania, wbijania sztyletów czy to w ludzkie ciała, czy w deski sosnowe?... Czy nie byłeś szczęśliwszym człowiekiem, gdy pędziłeś swoje stada bydła, gdy miałeś uczciwy zawód, niż odkąd stanąłeś na czele góralskich pachółków?

Zauważyłem, że gdy kuzyn jego w dobrej myśli przemawiał w ten sposób, Mac Gregor kręcił się i wił jak człowiek, który rzeczywiście cierpi, ale postanowił żadnym jękiem tego nie okazać. Czekałem tylko na sposobność, by móc przerwać panu Jarvie mówiącemu w dobrej

wierze, ale w zupełnie niewłaściwym tonie do tego niezwykłego człowieka. Rozmowa ta jednak i bez mojego wtrącenia się dobiegła końca.

— I tak myślałem, Robie — mówił dalej radny — że ponieważ zbyt dokumentnie jesteś zapisany w czarnej księdze, by uzyskać przebaczenie, i za stary jesteś, żeby się poprawić, a szkoda byłoby kierować dwóch obiecujących chłopców do tego bezbożnego zawodu, ja bym ich chętnie wziął na uczniów do warsztatów tkackich, tak jak ja sam zaczynałem i przede mną mój ojciec, cechmistrz, chociaż dzięki Bogu, ja teraz jestem kupcem, i to hurtownikiem... I... i...

Zobaczył chmurę zasnuwającą czoło Roba i to zapewne skłoniło go do osłodzenia niemiłej propozycji wspaniałomyślną ofertą:

— I, Robinie, mój chłopcze, nie marszcz się tak, bo ja zapłacę za naukę i o te tysiąc marek także nigdy trapić cię nie będę.

— Ceade millia diaoul! Do stu tysięcy diabłów! — wybuchnął Rob zrywając się i biegnąc po izbie. — Moi synowie tkaczami!... Millia molligheart! Ależ wolałbym raczej widzieć wszystkie warsztaty w Glasgow wraz z krosnami, szpulkami i czółenkami spalone w piekle niż to!

Z pewną trudnością przekonałem radnego, który już szykował się do odpowiedzi, że nie należy w tym przedmiocie wywierać nacisku na naszego gospodarza. Ten zresztą po chwili uspokoił się i powiedział:

— Ale wy mówicie z dobrego serca, ja wiem, toteż podajcie mi rękę, kuzynie Nicol! A jeżeli kiedy oddam synów do terminu, wy będziecie mieli pierwszeństwo w pokierowaniu nimi. A teraz, jak mi przypomniałście, jest między nami do załatwienia ta sprawa tysiąca marek... Słuchaj, Eachin Mac Analeister, przynieś mi mój sporrان.

Człowiek, do którego się zwrócił, rosły, silny góral, widocznie był jego adiutantem. Przyniósł z jakiegoś bezpiecznego ukrycia wielką, skórzaną torbę, zwaną sporrانem, jaką wybitni górale noszą na brzuchu, gdy są w pełnym stroju. Torba ta, zrobiona ze skóry morskiej wydry, była suto ozdobiona srebrnymi guzami.

— Nikomu nie radziłbym otwierać tego sporrانu, póki go nie nauczę jak — rzekł Rob Roy i zakręciwszy jeden guzik w jedną, drugi w drugą stronę, pociągnął za jeden i nacisnął na drugi. Otworzył się zamek sakiewki, w grubą, srebrną płytkę ujęty, pozwalając na wsunięcie ręki do środka. Pokazał mi następnie, chcąc zapewne zmienić przedmiot rozmowy, że mały, stalowy pistolet ukryty był

wewnątrz, a kurek był połączony z zamkiem w ten sposób, że pistolet wystrzeliłby prosto w tego, kto nie znając sekretu majstrowałby koło zamka.

— To jest stróż — rzekł dotykając palcem pistoletu — stróż mojej osobistej szkatuły.

Naiwność takiego zabezpieczenia skórzanego sporranu, który można byłoby rozciąć nie dotykając sprężyny, przypomniała mi ten ustęp z Odysei, gdzie Ulisses w o tyle dawniejszych czasach był rad, że zabezpieczył swoją własność, okręcając przemyślną i zawiłą płataniną sznurów skrzynię, w której ją umieścił.

Radny nałożył okulary, by się przyjrzeć mechanizmowi, obejrzał go i oddał, a potem z uśmiechem i z westchnieniem zauważył:

— Ach! Robie, gdyby sakiewki innych ludzi były tak dobrze strzeżone, nie wiem, czy twój sporran byłby tak pełny, jak jest, sądząc po wadze!

— Nic to, kuzynie — odparł śmiejąc się Rób. — On się zawsze otworzy w razie potrzeby dla przyjaciela lub dla zapłaty słusznego długu. A tutaj oto — dodał wyciągając rulon złota — tu jest wasze tysiąc marek... Przeliczcie je i przekonajcie się, że sprawiedliwie dług wam oddaje.

Pan Jarvie wziął pieniądze w milczeniu, ważył je chwilę na dłoni, po czym położył na stole i powiedział:

— Robie, ja nie mogę tego przyjąć... Nie chcę się w to mieszać... Nic dobrego z tego wyniknąć nie może... Niedawno widziałem, do czego twoi ludzie są zdolni... Do diabła!... Chcąc być z tobą szczerym, powiem ci, że te pieniądze szczęścia mi nie przyniosą... Wolę się w to nie wdawać... Może tam krew jest na nich...

— Cóż znowu! — odrzekł Rob Roy, może tylko pozornie udając obojętność. — To dobre francuskie złoto, które jeszcze nie było w sakiewce żadnego Szkota prócz mojej. Przyjrzyj się im, człowieku... to same luidory, jasne i świeące, prosto z mennicy zapewne.

— Tym gorzej, tym gorzej... tym gorzej jeszcze, Robinie — odpowiedział radny odwracając oczy od pieniędzy, choć się zdawało, że mu się serce do nich rwało, jak Cezarowi/372 do korony. — Bunt to jeszcze większy grzech niż gusła i czary albo niż rabunek. Łamać przysięgę na Ewangelię!

— Nie myśl o przysiędze, kuzynie — odparł Mac Gregor. — Ty do tych pieniędzy dochodzisz uczciwie jako do zapłaty za sprawiedliwy

dług. Pochodzą one od jednego króla, możesz je dać drugiemu, jeżeli ci się tak podoba; ostatecznie służyć one będą osłabieniu wroga, i to właśnie na tym punkcie, na którym biedny król Jakub jest najsłabszy, bo Bóg widzi, ręk i serc ma on dosyć, ale zdaje mi się, że pieniędzy to mu potrzeba.

— W takim razie niewielu on górali zdobędzie, Robinie — odparł pan Jarvie nakładając znowu na nos okulary, po czym otworzył rulon i zaczął przeliczać zawartość.

— Ani ludzi z nizin tym bardziej — odpowiedział Mac Gregor ścigając brwi. Spojrzawszy na mnie zwrócił wzrok na radnego, który, zupełnie nieświadomy własnej śmieszności, ważył skrupulatnie każdą sztukę złota, gdy zaś już przerachował dwukrotnie całą sumę, stanowiącą spłatę długu wraz z procentami, oddał trzy sztuki złota „na kupno sukni dla kuzynki”, jak się wyraził, oraz jeszcze jedną dodatkowo dla obu chłopaków, prosząc, by sobie za to kupili, co zechcą, byle nie prochu do strzelb. Góral szeroko otworzył oczy na tak niespodziewaną wspaniałomyślność krewnego, ale uprzejmie przyjął jego dar, składając go czasowo do zabezpieczonego sporranu.

Następnie radny wyciągnął oryginał skryptu dłużnego, na odwrotnej stronie napisał formalne pokwitowanie, a podpisawszy je sam, prosił, bym i ja położył swój podpis jako świadek.

Gdy to uczyniłem, radny Jarvie zaczął się niespokojnie rozglądać za drugim podpisem, gdyż prawo szkockie wymagało podpisu dwóch świadków dla ważności czy to skryptu dłużnego, czy pokwitowania.

— Wątpię, czy znajdziecie tu w promieniu trzech mil człowieka, który by umiał pisać, z wyjątkiem nas trzech, ale ja tę sprawę załatwię równie gładko.

To mówiąc wziął papier z rąk radnego i rzucił go w ogień. Teraz radny wytrzeszczył oczy, a Rob mówił dalej:

— To jest sposób załatwiania rachunków, praktykowany u nas w górach. Mogłaby nadejść chwila, kuzynie, że gdybym chował takie podpisy i kwity, przyjaciele moi mogliby ucierpieć za to, że mieli ze mną do czynienia.

Radny nie zdążył nic już odpowiedzieć, gdyż wniesiono dla nas obfitą, dostatnią, a nawet wytworną wieczerzę, co, zważywszy na całe otoczenie, wydawało się czymś nadzwyczajnym. Większość potraw była podana na zimno, więc musiała być przygotowana już przedtem. Było też parę butelek dobrego francuskiego wina, co podnosiło

smakowitość różnych pasztetów ze zwierzyny i innych potraw. Zauważyłem, że Mac Gregor, czyniąc honory stołu z wielką a troskliwą gościnnością, przeproszał nas kilkakrotnie, jeżeli który półmisek lub pasztet był napoczęty pierwej, zanim nam został podany. — Bo musicie wiedzieć — nie patrząc na mnie zwrócił się do radnego — że nie jesteście tej nocy jedynymi gośćmi w ojczyźnie Mac Gregora; gdyby nie to, żona i dwaj chłopcy byłiby szczęśliwi mogąc was przyjmować, jak by się to przecież należało.

Radny Jarvie miał taką minę, jak gdyby rad był tej okoliczności, która nieobecność ich spowodowała. Ja bym też zupełnie podzielał jego zdanie, gdybym nie zdawał sobie sprawy, że tamci goszczą Dianę i jej towarzysza, którego nawet w myślach nie mogłem nazwać jej mężem. Podczas gdy te niemiłe myśli psuły mi apetyt i nie pozwalały w pełni radować się gościnnością i świetnym posiłkiem, zauważyłem, że Rob Roy w swoim staraniu o naszą wygodę pamiętał również o urządzeniu nam lepszego noclegu od tego, jaki mieliśmy poprzedniej nocy. Dwa najmniej kulawe łóżka, stojące pod ścianą chaty, wysłano wrzosem, wtedy właśnie w pełnym kwiecie, i to tak zręcznie, że kwiaty, leżąc na wierzchu, stanowiły materac równie elastyczny, jak wonny. Na tym miękkim i ciepłym pościeli rozłożono płaszcze i taką pościel, jaką można było zdobyć.

Radny wydawał się zmęczony. Rozmowę z nim postanowiłem odłożyć do jutra i dlatego skoro tylko dokończył obfitej wieczerzy, nie przeszkadzałem mu w udaniu się na spoczynek. Lecz choć znużony i zdrożony, sam nie odczuwałem potrzeby snu, ale raczej gorączkowy niepokój, toteż ciągnąłem dalszą rozmowę z Mac Gregorem.

## ROZDZIAŁ XXXV

Ciemność mi los mój beznadziejnie mroczy:

Po raz ostatni spojrzałem w jej oczy,

Po raz ostatni głos słyszałem słodki,

Ginący w dali kształt żegnałem wiotki,

Zagasało szczęście...

Hrabia Bazyli

Nie rozumiem was, panie Osbaldistone — zwrócił się do mnie Mac Gregor i podsunął mi butelkę. — Nie jecie, nie okazujecie ochoty do spoczynku i nie pijecie, chociaż butelka bordeaux mogłaby pochodzić z piwnicy sir Hildebranda. Gdybyście zawsze byli tak wstrzemięźliwi, byłibyście uniknęli śmiertelnej nienawiści waszego kuzyna Rashleigha.

— Gdybym był zawsze roztropny — odpowiedziałem rumieniąc się na wspomnienie owej sceny — byłbym uniknął gorszego zła, bo wyrzutów własnego sumienia.

Mac Gregor rzucił bystre i trochę ostre spojrzenie na mnie, jak gdyby chciał wyczytać z mojej twarzy, czy rozmyślnie do niego piję, pojawiwszy jednak, że tylko siebie miałem na myśli, odwrócił się ku ognisku i westchnął głęboko. Poszedłem za jego przykładem i obaj czas jakiś milczeliśmy w smutnej zadumie. Z wyjątkiem nas obu wszyscy w chacie już spali.

Mac Gregor pierwszy przerwał milczenie tonem człowieka, który postanowił dotknąć przykrego przedmiotu.

— Mój kuzyn Nicol Jarvie ma najlepsze chęci — rzekł — ale nazbyt czasem przeciąga cierpliwość człowieka w moim położeniu, zważywszy, czym niegdyś byłem, czym musiałem się stać, a przede wszystkim, co mnie zmusiło do stania się tym, czym jestem.

Zamilkł, a ja — chociaż czułem, jak delikatnej natury jest rozmowa, w którą mogłem się wplątać — odważyłem się powiedzieć, że nie wątpię, iż w obecnym położeniu jest niejedno, co nie zgadza się z jego naturą.

— Szczęśliwy byłbym, gdybym się dowiedział — dodałem — że znalazł się dla was, panie, uczciwy sposób wydobyć się z tej matni.

— Mówicie jak dzieciak — odpowiedział Mac Gregor głosem niskim, który zabrzmiał jak daleki grzmot — jak dzieciak, który myśli, że stary, sękaty dąb da się równie łatwo nagiąć, jak młoda trzcina. Czyż



mogę zapomnieć, że zostałem wyjęty spod prawa, że mnie zdrajcą obwołano... że nagrodę wyznaczono za moją głowę, jak gdybym był wilkiem, że moją rodzinę traktowano jak lisicę z małymi, które każdemu wolno dręczyć, poniżać, szczuć... że nawet to imię, które dziedziczę po długiej a szlachetnej linii rycerskich przodków, zakazane jest i wymazane, jakby to było słowo diabelskiego zaklęcia? Gdy tak wyliczał swoje krzywdy, było dla mnie jasne, że się doprowadza do wściekłości, by we własnych oczach usprawiedliwić błędy, w jakie go te nieszczęścia wpędziły. I to mu się doskonale udało. Żrenice jego jasnoszarych oczu to się zwięzały, to rozszerzały, aż w końcu zaczęły błyskać ogniem. Nogę to wysuwał, to cofał, chwycił rękę sztyletu, wyciągał ręce, zaciskał pięści, aż wreszcie powstał.

— I przekonają się też — mówił dalej tym samym niskim tonem tłumionej namiętności — że imię, które wymawiać zakazali, że imię Mac Gregor jest tym zaklęciem, które wszędzie budzi dzikiego diabła. Ci, co nie chcieli słuchać skargi na moją krzywdę, usłyszą o mojej zemście. Nędzny góralski handlarz bydła, bosy bankrut... obrany ze wszystkiego, zbezczeszczone i zaszczute, dlatego że chciwość drugich sięgała po więcej, niż mógł zapłacić, on teraz zwróci się przeciw nim i jakżeż inna będzie jego postać! Ci, którzy deptali pełzającego robaka, niech płaczą i wyją, gdy smok o płomiennej paszczy na nich spadnie... Ale po cóż ja o tym mówię? — dodał już spokojniej i usiadł. — Chyba tylko, byście zapamiętali, panie Osbaldistone, że w końcu wyczerpuje się cierpliwość człowieka, na którego polują jak na wydrę albo na łososa na mieliznie. I to kto? Przyjaciele, sąsiedzi. Tyle ciosów szabli, tyle strzałów czuć tuż, tuż nad własną skórą, jak ja dzisiaj tam nad rzeką, to już i święty by tego nie wytrzymał, a cóż dopiero góral... Bo to wam, panie Osbaldistone, zapewne wiadomo, że cierpliwość nie jest góralską cnotą. Lecz z tego, co Nicol dziś mówił, jedno utkwiło mi w pamięci — żal mi moich dzieci... żal mi, gdy pomyślę, że Hamisha i Roberta czeka życie podobne do życia ich ojca. I ogarnięty żalem nad dziećmi, choć własnym losem się nie wzruszył, pochylił głowę i oparł ją na rękę.

Byłem wstrząśnięty. Nieszczęście, uginające silnego, dumnego i potężnego ducha, zawsze silniej do mnie przemawia niż cierpienia słabszych natur. Obudziło się w duszy mojej silne pragnienie

dopomożenia mu, chociaż zdawałem sobie sprawę z trudności, prawie niemożliwości tego zadania.

— Mamy liczne stosunki za granicą — rzekłem — czy nie mogliby pańscy synowie przy pewnej pomocy, a mają przecież wszelkie prawo korzystać z pomocy mego ojca, czy nie mogliby zrobić uczciwej kariery w zagranicznej służbie wojskowej?

Przypuszczam, że na mojej twarzy musiało odbić się szczere wzruszenie, bo towarzysz mój, ujmując mnie za rękę, gdy dalej chciałem mówić, rzekł:

— Dziękuję... dziękuję wam... ale nie mówmy już o tym więcej. Nie przypuszczam, by ktokolwiek jeszcze miał dojrzeć łzę w oku Mac Gregora. — Tu otarł ręką zwilżone, długie rzęsy. — Jutro rano — rzekł — pomówimy o tym, a także o sprawach waszego ojca... gdyż my wcześniej wstajemy, nawet wtedy, gdy nam się uda mieć dobre łóżko do spania. Czy nie przypijecie do mnie na dobranoc?

Odmówiłem dziękując.

— Trudno, na świętego Maronocha! Muszę sam do siebie wypić. — Nalał i wypił przynajmniej pół kwarty wina.

Ułożyłem się na spoczynek postanawiając już go o nic nie pytać, dopóki się nie uspokoi. W istocie, ten szczególny człowiek tak mi myśli zaprzętnął, że przyglądałem mu się wciąż, leżąc na wrzosowym materacu. Chodził jeszcze tam i z powrotem po izbie, żegnając się od czasu do czasu i szepcząc po łacinie katolickie modlitwy. Potem otulił się w pled, obnażoną szablę położył z jednego boku, pistolet z drugiego, tak układając fałdy swego płaszcza, by mógł zbrojny i gotów do walki zerwać się w każdej chwili. Po kilku minutach głęboki oddech świadczył, że śpi już mocno.

Przemęczony, ogłuszony różnymi nieoczekiwanymi i tak niezwykłymi przejściami tego dnia, i ja także, choć miałem powody do bezsenności, zasnąłem snem głębokim a twardym.

Gdy rano otworzyłem oczy i przypomniałem sobie, gdzie się znajduję, zauważyłem, że Mac Gregor już opuścił chatę. Obudziłem radnego, który sapiąc, stękając i skarżąc się na ból w kościach po niezwykłych dlań wysiłkach minionego dnia, zdołał w końcu pojąć, że papiery uwiecznione przez Rashleigha Osbaldistone szczęśliwie odzyskałem. Z chwilą gdy doszło to do jego świadomości, zapomniał o wszystkich swych dolegliwościach i zakrzętnąwszy się spiesznie, zaczął

porównywać zawartość paczki, którą mu podałem, z notatkami Owena, przy czym pomrukiwał pod nosem:

— Dobrze, dobrze... to to, o co chodzi... Bailie i Whittington... gdzie jest Bailie i Whittington... siedemset, sześć, osiem... dokładnie do ułamka... Pollock i Peelman... dwadzieścia osiem, siedem... dokładnie... chwała Bogu! Grub i Grinder... trudno o lepszych ludzi... trzysta siedemdziesiąt... Gliblad... dwadzieścia. Wątpię, czy Gliblad pewny... Slipprytongue... ten uciekł... ale to małe sumki... małe sumki... a reszta w porządku... Chwała Bogu! Mamy to, o co chodzi, i możemy już opuścić ten nieszczęsny kraj. Nigdy bez dreszczu nie myślę o Loch Ard.

— Przykro mi, kuzynie — przemówił Mac Gregor wchodząc do izby, w chwili gdy radny robił tę uwagę — że okoliczności nie pozwoliły mi przyjąć was tak, jak bym tego pragnął... Gdybyście jednak byli łaskawi odwiedzić mój ubogi dom...

— Dziękuję, bardzo dziękuję — odparł spiesznie pan Jarvie. — Ale musimy wracać... musimy się śpieszyć, pan Osbaldistone i ja... interesa nie czekają.

— Trudno, kuzynie — odpowiedział góral — znasz nasze obyczaje. „Zatrzymuj gościa, gdy przybywa, wypraw go, gdy się śpieszy”. Ale nie możecie wracać przez Drymen... Muszę was wsadzić do łodzi w Loch Lomond i przeprowadzić do Balloch. Konie wyślę drogą okólną, aby tam na was czekały. Mądra to zasada nigdy nie wracać tą samą drogą, którą się jechało, gdy tylko inna jest dostępna.

— Tak, tak, Robie — odparł radny — to jedna z tych zasad, których się nauczyłeś, gdyś jeszcze byłem handlował. Nie chciałeś spotykać gospodarzy, na których łąkach było twoje popasało w drodze... A podejrzewam, że teraz drogi twoje są jeszcze gorzej znaczone.

— Tym rzadziej trzeba z nich korzystać, kuzynie — odpowiedział Rob. — Ale konie wasze odeślę do przystani z Dougalem Gregor. Przedzierzgnięty on jest w tym celu w służącego radnego i będzie jechał nie, jak byście może myśleli, z Aberfoil, okolicy Rob Roya, ale z niewinnej wycieczki do Stirling. Patrzcie, otóż i on.

— Nie poznałbym tego stworu — rzekł radny.

Jakoż niełatwo było poznać dzikiego górala, gdy się ukazał w drzwiach chaty w kapeluszu, peruce i rajtroku, które niegdyś zdobiły Andrew Fairservice'a. Dosiadłszy konia radnego i prowadząc mojego, uważnie wysłuchał ostatnich rozkazów swojego pana, że mianowicie

ma unikać niektórych miejsc, gdzie by mógł na siebie ściągnąć podejrzenie, że w ciągu drogi ma zebrać wiadomości, jakie będzie mógł, i ma czekać na nasze przybycie w oznaczonym miejscu, blisko przystani w Balloch.

Równocześnie Mac Gregor prosił, byśmy mu towarzyszyli, gdyż i on udaje się w tym samym kierunku. Zapewniając nas, że przed śniadaniem koniecznie musimy ujechać parę mil, proponował kubek wódki jako najwłaściwszy wstęp do podróży. Radny mu w tym sekundował oświadczając, że niesłuszny i niebezpieczny to zwyczaj zaczynać dzień od spirytusowych likworów, jeżeli nie jest to uzasadnione koniecznością ochrony żołądka (jako że delikatny to organ) przed mgłą poranną. W takich razach ojciec jego, cechmistrz, zwykł był zalecać kieliszek wódki słowem i przykładem.

— To prawda, kuzynie — odparł Rob — dlatego też my, którzy jesteśmy dziećmi mgły, mamy prawo pić wódkę od rana do nocy.

Pokrzepiony wódką, radny wsiadł na małego górskiego kucyka, drugiego mnie ofiarowano, odmówiłem jednak i tak wyruszyliśmy w tę samą drogę, co dnia poprzedniego, ale z jakże innym przewodnikiem i w jakże bardzo różnych warunkach.

Eskorta nasza składała się z Mac Gregora i pięciu czy sześciu najprzystojniejszych, najlepiej uzbrojonych i najsilniejszych górali jego bandy, których, jako swoją straż przyboczną, miał zazwyczaj przy sobie.

Gdyśmy się zbliżali do przesmyku nad jeziorem, gdzie rozegrała się walka dnia poprzedniego i gdzie po jej ukończeniu dokonano tego okropnego czynu, Mac Gregor przerwał swoje milczenie i przemówił jakby do myśli moich:

— Surowo nas musisz sądzić, panie Osbaldistone, i ja to rozumiem. Trudno, byś nas sądził inaczej. Ale, proszę, pamiętaj przynajmniej o tym, że nas sprowokowano. Jesteśmy prostym i ciemnym ludem, być może gwałtownym i namiętym, ale nigdy nie byliśmy okrutni. Spokój i prawo mogłyby panować w kraju, gdyby nam pozwolono zażywać błogosławieństw pokojowego życia. Lecz stale się nas prześladowuje.

— A prześladowanie — wtrącił radny — mądrych nawet doprowadza do szału.

— A cóż dopiero czyni z ludzi takich jak my. Nie jesteśmy przecież bardziej oświeceni niż nasi ojcowie sprzed tysiąca lat i żyjemy, tak jak

oni żyli. Czyż te krwawe edykty przeciw nam skierowane, te wieszania, ścinania, prześladowania starych i znakomitych rodów są czymś lepszym niż tyrania najgorszego wroga?... Oto ja tutaj... byłem w dwudziestu najmniej bitkach i nigdy nie zraniłem człowieka inaczej jak w walce. A jednak oni by mnie zdradzili i powiesili jak bezpańskiego psa przed bramą któregośkolwiek możnego pana, który by miał niechęć do mnie.

Odpowiedziałem, że proskrypcja/380 jego imienia i rodu brzmi w uszach Anglika jako okrutne i samowolne prawo. Uspokoiwszy go tym poniekąd, wróciłem do swojej poprzedniej propozycji, a mianowicie, że postaram się otrzymać dla niego i jego synów miejsce w jakiejś armii na kontynencie. Mac Gregor bardzo serdecznie uściśnął mi rękę i zatrzymując mnie tak, by nas radny wyprzedził, co dało się upozorować wąskością ścieżki, rzekł:

— Macie dobre serce i niewątpliwie rozumiecie, co nieraz przeżywam jako człowiek honoru. Jednak to wrzosowisko, które deptałem za życia, musi zakwitnąć nade mną, gdy umrę. Serce moje zamarłoby, ręka zesłabłaby i uschła jak paproć na mrozie, gdybym miał stracić z oczu rodzinne góry. Nie ma na świecie widoku, który by mnie pocieszył po stracie tych skał i dzikich piargów, które dokoła widzicie... A Helena? Cóż by się z nią biedną stało, gdybym ją zostawił na pastwę nowym, okropnym prześladowaniom? Albo jakże by mogła znieść oddalenie się od tych miejsc, gdzie możność zemsty osładza jej pamięć zaznanych krzywd? Byłem ja niegdyś tak srodze prześladowany przez mego wielkiego wroga, że musiałem ustąpić i przenieść się ze swoimi ludźmi i rodziną z domostw naszych w rodzinnych stronach na czasowe schronienie do posiadłości Mac Callum More, księcia Argyle. Wtedy to Helena ułożyła lament/381 pożegnalny. Sam Mac Rimmon/1 piękniej by tego nie skomponował. Taki był smutny, żaloszny i bolesny, że serca nam pękały, gdyśmy siedzieli słuchając. Było w nim coś jak zawodzenie sierot po matce — łzy spływały po twarzach zuchów moich, gdy go słuchali. Nie, ja tego ściskania serca nie zniosę, nie chcę tego po raz drugi przeżywać, gdyby mi nawet dawano za to wszystkie ziemie, które niegdyś należały do Mac Gregorów.

1/ Członkowie klanu Mac Rimmon, zwanego również Mac Crimond, słynęli z pokolenia na pokolenie ze swej sztuki jako kobziarze

naczelników klanu Mac Leod. Górale dotąd grywają pibroch /381 skomponowany podobno przez Helenę Mac Gregor (przyp. aut.).

— Ale wasi synowie? — rzekłem. — Są w wieku, w którym wasi rodacy chętnie poznają świat.

— I ja byłbym rad, gdyby poszukali szczęścia we francuskiej lub hiszpańskiej służbie, jak to zwykła czynić szlachecka młodzież szkocka. Wczoraj wieczór wasz plan wydawał mi się dość możliwy... Widziałem jednak jego ekscelencję dziś rano, zanim wstaliście...

— Więc on tak blisko nas mieszkał? — zapytałem, a serce zabiło mi mocno.

— Bliżej, niżbyście myśleli — brzmiała odpowiedź Mac Gregora — lecz on jakby zazdrościł wam rozmowy z panną. Więc widzicie...

— Nie było powodu do zazdrości — odpowiedziałem z pewną dumą.

— Ja bym się nie narzucał.

— Ale nie obrażajcie się i nie patrzcie spod waszych kędziorów jak dziki kot spod gałęzi bluszczu, bo musicie wiedzieć, że on wam bardzo dobrze życzy i że dowiódł tego. I to właśnie wznieciło pożar na naszych wrzosowiskach, właśnie teraz.

— Pożar na wrzosowiskach? — rzekłem. — Nic nie rozumiem.

— To proste — mówił Mac Gregor. — Wiecie przecież, że kobieta i pieniądze są zawsze na dnie wszystkiego złego na świecie. Zacząłem nie dowierzać waszemu kuzynowi Rashleighowi od tego czasu, kiedy on zrozumiał, że nie dostanie Dianki Vernon za żonę; myślę, że jedynie z tego powodu powziął on urazę do jego ekscelencji. Potem przyszła, ta sprawa z oddaniem waszych papierów. Otóż teraz mamy na to dowody, że jak tylko został zmuszony do ich zwrotu, pojechał pocztą do Stirling i doniósł rządowi o wszystkim, co się po cichu pomiędzy naszym góralskim ludem działo. Niewątpliwie to też było przyczyną, że szukają teraz jego ekscelencji i panny Vernon i że na mnie poszła ta niespodziewana nagonka. Nie wątpię też, że ten biedaczysko Morris, któremu Rashleigh mógł wszystko wmówić, był wysłany przez niego i może przez jeszcze kogoś z nizinnej szlachty, by wciągnąć mnie w pułapkę. Ale gdyby Rashleigh był ostatnim i najlepszym swojego imienia, jeżeli się jeszcze kiedy spotkamy, to nim się rozejdziemy, choćbym diabłu miał duszę oddać, puginał mój zapozna się z krwią jego serdeczną.

Wymówił tę groźbę ze złowróbnym marszem na czole i z dłonią na rękojęści sztyletu.

— Prawie bym się cieszył z tego, co się stało — rzekłem — gdybym mógł mieć nadzieję, że zdrada Rashleigha zapobiegnie wybuchowi nieopatrznych i awanturniczych rozruchów. Już od dawna uważałem go za intryganta dążącego do ich wywołania.

— Mylicie się — odparł Rob Roy. — Słowo zdrajcy nigdy jeszcze nie zaszkodziło uczciwej sprawie. Był on głęboko wtajemniczony, to prawda, i gdyby nie jego zdrada, Stirling i zamki edynburskie byłyby już w naszych rękach. Teraz ich już nie zdobędziemy, sprawa ta jednak znalazła zbyt wielu rycerzy i jest zbyt słuszna, by jej zaniechano na skutek jednej zdrady. Zresztą pokaże się wkrótce. Dlatego też najserdeczniej wam dziękuję za propozycję zajęcia się losem moich synów, choć wczoraj wieczór prawie się na nią zgodziłem. Teraz jednak widzę, że zdrada tego nędznika zmusi naszych możnych panów do natychmiastowego skupienia się wokół jednej głowy i do ostrej walki o koronę dla niej. W przeciwnym razie po jednym wszystkich wyłapią w ich własnych domach i wywiozą do Londynu, jak tę zacną szlachtę i panów w roku 1707/382\*. Wojna domowa jest jakby wylegiem jaj: wygrzewaliśmy to jajo, w którym ona siedziała przez dziesięć lat, i moglibyśmy tak siedzieć z dziesięć lat, gdy wtem przyszedł Rashleigh i rozbił skorupę... I oto wyskakuje to dziwo między nas i wznieca pożogę... W takiej sytuacji muszę mieć przy sobie jak najwięcej ludzi, a niczego nie ujmując królom Francji i Hiszpanii, którym bardzo dobrze życzę, król Jakub jest taki sam dobry jak i oni i ma pierwsze prawo do Hamisha i Roba, jako że to jego rodowici poddani.

Zrozumiałem łatwo, że te słowa zapowiadały ogólne wstrząsy w całym narodzie, a ponieważ wszelkie próby zmiany politycznych przekonań Rob Roya były równie bezcelowe, jak niebezpieczne, wyraziłem tylko żal, że walki na rzecz wygnanej królewskiej rodziny sprowadzają tyle zamieszania i niedoli.

— Niech to już przyjdzie, niech już przyjdzie — odpowiedział Mac Gregor. — Nigdy jeszcze duszne powietrze nie oczyściło się bez deszczu, a jeżeli świat przewróci się do góry nogami, no to cóż — uczciwi ludzie będą mieli lepsze dla siebie widoki.

Starłem się raz jeszcze naprowadzić go na rozmowę o Dianie, ale chociaż o innych sprawach mówił aż nadto swobodnie, w tym względzie był nadmiernie wstrzeźliwy i poprzestał na oświadczeniu, że „ma nadzieję, iż panna Vernon znajdzie się

niebawem w bezpieczniejszych stronach niż tu, gdzie wkrótce może szaleć zawierucha". Musiałem się zadowolić tą odpowiedzią i jechać dalej w nadziei, że może, tak jak poprzednio, łaskawy przypadek pozwoli mi jeszcze spotkać i pożegnać istotę, która tak głęboko zapadła mi w duszę, głębiej, niż sam przypuszczałem. Z siły tego uczucia zdałem sobie sprawę dopiero wtedy, gdy się dowiedziałem, że mam się z nią rozstać na zawsze.

Jechaliśmy tymczasem brzegiem wody na przestrzeni jakichś sześciu mil angielskich, krętą i cudownie urozmaiconą ścieżką, aż dotarliśmy do rodzaju górskiej fermy czy gromadki chatki położonych tuż nad tym pięknym jeziorem, zwanym Lediart czy coś podobnego. Tu liczny oddział ludzi Mac Gregora czekał na nasze przybycie. Smak tak jak i mowa plemion dzikich, a raczej w stanie pierwotnym żyjących, jest bardzo trafny, i to właśnie dlatego, że jest nie skażony żadnymi więzami i żadnym udawaniem. Miałem tego przykład widząc miejsce, które górale obrali na przyjęcie swoich gości. Mówi się, że brytyjski monarcha powinien przyjmować posłów rywalizujących z nim mocarstw w reprezentacyjnej kajucie krążownika. Podobnie słusznie postąpił góralski wódz wybierając to miejsce, gdzie piękno i groza krajobrazu musiały zrobić duże wrażenie na gościach.

Podeszliśmy na jakieś dwieście kroków nad brzeg jeziora, idąc wzdłuż pieniacego się potoku i pozostawiając po prawej ręce cztery czy pięć chatki góralskich z otaczającymi je półkami, tak małymi, że najprawdopodobniej obrabiano je raczej szpadlem niż pługiem. Na tych poletkach, wykarczowanych pomiędzy otaczających je zarośli, falował teraz dojrzewający jęczmień i owies. Powyżej góra wznosiła się bardzo stromo, a na niższym jej występie ujrzelśmy lśniący oręż i powiewne ubrania może pięćdziesięciu stronników Mac Gregora. Stali bez ruchu. Urok tego miejsca był tak wielki, że do dziś wspomnienie to przejmuje mnie dreszczem zachwyty. Potok pędzący z wyżyny napotykał w tym miejscu barierę skalną, którą przebywał w dwóch rzutach. Pierwszy wodospad grzmiał w cieniu wspaniałego dębu, rosnącego na przeciwnym brzegu. Rozbite wody zbierały się w pięknym, kamiennym basenie o kształtach regularnych, jakby przez rzeźbiarza wykutych. Za tym basenem potok ciskał swe wody w drugą przepaść, a właściwie w wąską gardziel skalną, najmniej pięćdziesiąt stóp głęboką, stąd ostrym, ale już spokojniejszym biegiem zdążał do jeziora.



Z tym wrodzonym smakiem górali, zwłaszcza szkockich, wrażliwym na wszystko, co romantyczne i poetyczne, żona Rob Roya i jej ludzie przygotowali nam ranny posiłek w miejscu, które obcych mogło przejąć zgrozą. Górale ci, będąc z natury ludem poważnym i dumnym, chociaż w naszym pojęciu nieokrzesanym, są aż przesadnie gościnni i celebrujący. Po części tłumaczy się to tym, że takie przyjmowanie gości daje im sposobność do popisania się przemożną siłą. Trzeba przyznać, że oznaki uniżoności i surowej etykiety, które byłyby śmieszne u zwykłego chłopa, mają zupełnie inny charakter u górali uzbrojonych od stóp do głowy. Toteż ceremonia towarzysząca naszemu zbliżaniu się i przyjęcie, jakie nam zgotowano, nie raziły nas, tak jak nikogo nie razi salutowanie w wojsku.

Rozproszeni po stoku wzgórza górale skupili się, gdy nas dostrzegli, i wyprostowani, bez ruchu stanęli w zbitych szeregach. Wyjątek stanowiły trzy osoby, w których niebawem rozpoznałem Helenę Mac Gregor i obu jej synów. Mac Gregor poradziwszy panu Jarvie, żeby zsiadł, gdyż droga stawała się zbyt stroma, poprosił, żebyśmy szli przodem, a sam postępował za nami na czele swoich wojaków. Teraz dobiegły naszych uszu ostre tony kobzy, tłumione szumem wodospadu. Gdy już byliśmy blisko, żona Mac Gregora wystąpiła naprzód, by nas powitać. Strój jej był staranny i bardziej kobiecy niż dnia poprzedniego, lecz rysy miały ten sam wyniosły, nieugięty i stanowczy wyraz, a gdy objęła przyjaciela mego, radnego, niespodziewanym i przypuszczalnie niezbyt dlań miłym uściskiem, zauważyłem po ruchach jego peruki, pleców i łydek, że czuje się jak ktoś, kto znalazł się nagle w łapach niedźwiedzicy i nie wie, czy zwierz jest dobrotliwy, czy wściekły.

— Kuzynie — oświadczyła — witam was rada... i was także, obcy panie — dodała puszczając mego przestraszonego towarzysza, który mimo woli odskoczył i jał poprawiać perukę — i was witam rada. Przybyliście do naszej nieszczęsnej krainy, gdy krew nasza wrzała, a ręce były czerwone. Wybaczcie surowość, która zgotowała wam szorstkie przyjęcie, i winę złóżcie na złe czasy, nie na nas.

Wszystko to wypowiedziała niczym księżniczka w dworskim stylu i tonie. I nie było w tym najłżejszego odcienia tej pospolitości, jaką w uszach naszych ma szkocka mowa nizinna. Silny akcent prowincjonalny nie przeszkadzał temu, że Helena Mac Gregor mówiła płynnie, z dużym wdziękiem i patosem, przy czym czuło się, że myśli

w swoim rodowitym, gaelickim języku i że angielskiego uczyła się jako języka obcego, a nigdy me słyszała go w potocznym, codziennym użyciu. Jej mąż, jako że więcej bywał na szerokim świecie, mówił językiem znacznie mniej górnołotnym i patetycznym, ale nawet i jego sposób wyrażania się stawał się jakiś wzniosły, gdy poruszał sprawy ważne i szczególnie go przejmujące, co zresztą z pewnością zauważyłeś, jeżeli udało mi się wiernie oddać jego styl. Wydaje mi się, że zarówno Rob Roy, jak i inni górale, których poznałem, mówili zwykle, także gdy żartowali, dialektem dolnoszkockim, natomiast gdy byli w nastroju szczególnie poważnym lub gdy ich coś roznamiętniło, myśli układały się im bardziej zgodnie ze stylem ich ojczystego języka. W tym ostatnim wypadku, gdy mówili po angielsku, brzmiało to dziko, górnołotnie i poetycznie.

Istotnie, język namiętności zawsze jest zarówno górnołotny, jak i gwałtowny i nierzadko się zdarza usłyszeć, jak Szkot, zarzucony przez swego ziomka gradem gorzkich wyrzutów, drwiąco odpowiada: „Znowu wpadasz w swój angielski”.

Jakby tam z tym nie było, żona Mac Gregora zaprosiła nas teraz do pokrzepienia się posiłkiem rozłożonym na trawie i obfitującym we wszystko dobre, czego ten kraj górski dostarczyć może.

Cóż z tego, kiedy przyjęcie mroziła ponura, niczym nie rozjaśniona powaga na czole naszej gospodyni oraz przykre wspomnienie zajęć dnia poprzedniego.

Daremnie Rob Roy silił się, aby rozbudzić trochę wesołości. Chłód mroził nasze dusze, jakby to była stypa pogrzebowa, i lżej nam się zrobiło na sercu, gdy to się wszystko skończyło.

— Żegnaj, kuzynie! — zwróciła się do pana Jarvie, gdy wstaliśmy. — Najlepsze, co Helena Mac Gregor może życzyć przyjacielowi, to to, żeby jej już nigdy nic zobaczył.

Radny chciał coś odpowiedzieć, zapewne jakiś oklepany ogólnik moralny, ale spokojna i smętna surowość jej twarzy pozbawiła go pewności siebie. Zakaszłał, chrząknął, uklonił się i milczał.

— Co do was, cudzoziemcze — zwróciła się do mnie — mam dla was pamiątkę od kogoś, kogo nigdy...

— Heleno! — przerwał Mac Gregor głośnym i surowym głosem. — Co to znaczy? Czyś zapomniała o poleceniu?

— Mac Gregorze — odpowiedziała — nie zapominam o niczym, o czym winnam pamiętać. Nie są to ręce — tu wyciągnęła swe długie,

muskularne, obnażone ramiona — stworzone do rozdawania miłosnych pamiątek nawet wtedy, gdy się one wiążą z nieszczęściem. Młodzięcze — mówiła dalej, wręczając mi pierścionek, który poznałem jako jedną z niewielu ozdób noszonych przez Dianę — to pochodzi od kogoś, kogo już nie ujrysz. Smutna pamiątka godna przejść przez ręce tej, która radości zaznać już nie może. Dane mi to było ze słowami: „Niech o mnie na zawsze zapomni”.

— Czyż ona sądzi, że to jest możliwe? — odrzekłem, prawie nie wiedząc, co mówię.

— O wszystkim można zapomnieć — odparła ta niezwykła niewiasta — o wszystkim... oprócz hańby i pragnienia zemsty.

— Seid suas!<sup>1</sup> — krzyknął Mac Gregor tupnąwszy niecierpliwie. Zagrały kobzy, a ich ostre, nieharmonijne brzmienia przerwały dalszą rozmowę. Pożegnaliśmy gospodynię milczącym ukłonem i puściliśmy się w dalszą drogę. Odjeżdżałem z nowym dowodem miłości Diany i nowym potwierdzeniem, że rozłączeni jesteśmy na zawsze.

<sup>1</sup>/Zaczynajcie! (Przyp. aut.).

## ROZDZIAŁ XXXVI

Żegnaj, kraino, gdzie spoczywać lubią chmury  
Całunem swym na piersi dzikich skal śle kładąc,  
Gdzie przeglądają się w jeziorach dumne góry,  
Gdzie orła dziki krzyk wtóruje wodospadom.

Droga nasza prowadziła przez romantyczną, choć ponurą okolicę, ja jednak byłem zbyt przygnębiony, by się jej dobrze przyjrzeć, a zatem i nie kuszę się jej opisywać. Ben Lomond, najwyższy szczyt tej części gór, leżał po prawej stronie i według niego mogliśmy się orientować w kierunku jazdy. Otrząsnąłem się z przygnębienia dopiero wtedy, gdy po długim i mozolnym marszu wydobyliśmy się przez przesmyk z gór i jezioro Loch Lomond ukazało się przed nami. Oszczędzę ci próby opisanego tego, czego się nie da oddać w słowach. Powiem tylko, że z pewnością to wspaniałe jezioro z mnóstwem pięknych wysp o przeróżnych, zadziwiających nieraz kształtach, zwięzające się w północnej swej części, by w końcu zginąć wśród dalekich, ciemnych gór, a coraz szersze ku południowi, gdzie jego wody oblewają dziwnie postrzępiony brzeg i liczne przylądki ziem pięknych i żyznych. Stanowi ono jeden z najbardziej zadziwiających, pięknych i szlachetnych widoków natury. Wschodni jego brzeg, bardziej dziki i jeszcze bardziej najeżony skałami, był w tym czasie główną siedzibą Mac Gregora i jego klanu, dla ujarznienia którego postawiono niewielki fort pomiędzy Loch Lomond a innym jeziorem. Niezwykle obronne położenie kraju, jego liczne wąwozy, bagna, jaskinie, przeróżne kryjówki i trudno dostępne miejsca sprawiały, że utrzymanie w tym forcie załogi było raczej tylko dowodem, iż władze zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa, niż dostatecznym środkiem zwalczania go.

Byłem świadkiem, jak nie po raz pierwszy załoga tej strażnicy ucierpiała od awanturczego ducha Rob Roya i jego ludzi. Te zwycięstwa nigdy nie były splamione krwawą brutalnością, gdy on sam dowodził. Przezorny i z natury raczej dobry, zdawał sobie sprawę, jak niebezpiecznie jest ściągać na siebie niepotrzebną nienawiść. Dowiedziałem się z przyjemnością, że jeńców z dnia wczorajszego kazał puścić wolno. Słyszałem też o wielu innych dowodach względności, a nawet wspaniałomyślności tego wybitnego człowieka w podobnych okolicznościach.

Łódź wraz z czterema dziarskimi góralskimi wioślarzami czekała na nas w małej zatoczce pod olbrzymią skałą. Tutaj przyjaźnie, a nawet serdecznie pożegnał się z nami nasz gospodarz. Między nim a panem Jarvie najwyraźniej istniał pewien wzajemny szacunek, uderzający wobec tak różnych obyczajów i zawodów. Gdy się wzajemnie ucałowali jak kochający bracia i gdy się już mieli rozstać, radny wzruszonym głosem zapewniał z całego serca swego krewnego, „że gdyby kiedy sto funtów albo nawet dwieście mogło dopomóc jemu czy jego rodzinie do wejścia na pewniejszą drogę życia, to niechaj tylko prześle słowo na Solny Rynek”. Rob zaś, opierając jedną rękę o gardę szabli, a drugą potrzásając serdecznie dłonią pana Jarvie, zapewniał, „że gdyby kiedykolwiek ktokolwiek ubliżył jego krewnemu, a on, Mac Gregor, się o tym dowie, to sam zuchwalcowi łeb rozwali, choćby to był najtęższy rębacz w Glasgow”.

Po takich zapewnieniach wzajemnej pomocy i trwałej życzliwości odbiliśmy od brzegu i skierowaliśmy się ku południowo-zachodniej części jeziora, tam gdzie wpada rzeczka Leven. Rob Roy stał jeszcze czas jakiś na skale, od której odbiliśmy, i nieprędko zginęła nam z oczu jego długa strzelba, targany wiatrem tartan i pióro przy czapce, które wtedy było charakterystyczną ozdobą żołnierza-górala szlachetnego rodu. Zauważyłem, że obecnie wojskowa moda każe przystrajać szkockie góralskie czapki wieloma czarnymi piórami, jakie nosi się na pogrzebie.

W końcu, gdy się odległość między nami zwiększyła, Rob Roy zawrócił i poszedł z wolna w górę po zboczu, a za nim orszak czy jego straż przyboczna.

Płynęliśmy czas dłuższy w milczeniu, przerywanym tylko jakąś gaelicką pieśnią, którą nierytmicznie, niskim głosem podśpiewywał jeden z wioślarzy i którą czasem podchwytывał dziki chór jego towarzyszy.

Smutno mi było i tylko piękno krajobrazu wносиło spokój do moich smętnych refleksji. Oczarowany tym pięknem, pomyślałem, że gdybym był katolikiem, chętnie bym się zgodził żyć i umrzeć w samotnej pustelni położonej na jednej z tych cudnych, romantycznych wysp, między którymi sunęła nasza łódź.

I radny także rozmyślał, ale zajmowały go zagadnienia innej natury. Przekonałem się o tym, gdy po całej godzinie milczenia, spędzonej widać na odpowiednich obliczeniach, zaczął mi dowodzić, że można

by osuszyć to jezioro i „oddać pod pług i bronę setki — gdzież tam! tysiące akrów, z których teraz nikt nie ma żadnej korzyści, chyba że szczupak albo parę okoni...”

Z długich dowodzeń, które kładł mi do uszu, przypominam sobie, że proponował między innymi zachować część jeziora dostatecznie szeroką i głęboką dla transportu, tak iżby trawy i galary z węglem mogły kursować pomiędzy Dumbarton a Glenfalloch oraz między Glasgow a Greenock.

Nareszcie dopłynęliśmy do miejsca lądowania w pobliżu ruin starego zamczyska, gdzie jezioro oddaje nadmiar swych wód rzece Leven. Tam zastaliśmy oczekującego nas z końmi Dougala. Okazało się teraz, że radny obmyślił nie tylko plan osuszenia jeziora, lecz także i plan dotyczący „stworu”, przy czym oba te projekty były równie pożyteczne, jak niewykonalne.

— Dougalu — rzeki — jesteś poczciwym stworzeniem. Wiesz i rozumiesz, co się należy lepszym od ciebie, i nawet powiem, że mi ciebie żal, bo takie życie, jakie prowadzisz, prędzej czy później źle się skończy. Ufam, zważywszy na moje zasługi jako miejskiego radnego, a przede mną jeszcze mojego ojca, cechmistrza, że będę miał tyle wpływu na radzie, iż potrafią oni przymknąć oko na przewinienie nawet większe od twojego. Toteż myślałem, że jeżelibyś chciał wrócić z nami do Glasgow, mógłbyś, będąc silnie zbudowanym chłopcem, pracować w jakimś niewielkim składzie, dopóki by się coś lepszego nie znalazło.

— Bardzo pięknie dziękuję panu radnemu — odpowiedział Dougal — ale ja bym uciekł w pierwszą boczną uliczkę, chyba by mnie sznurami ciągnęli, tak jak wtedy...

Rzeczywiście, dowiedziałem się później, że Dougal pierwotnie dostał się do więzienia Glasgow jako zamieszany w jakiś rabunek, ale tak potrafił zjednać sobie władze więzienne, że te z zadziwiającym zaufaniem zatrzymały go w służbie. Ze swoich obowiązków Dougal wywiązywał się względnie uczciwie, dopóki na niespodziewany widok dawnego swego wodza nie odezwały się w nim jego klanowe zasady i instynkty.

Zaskoczony tak szczerym odrzuceniem korzystnej propozycji, radny zwróciwszy się do mnie zauważył, że „ten stwór to jednak urodzony idiota”. Co do mnie, to swojej wdzięczności dałem wyraz w sposób dla Dougala o wiele przyjemniejszy, wsunąłem mu bowiem do ręki

parę gwinei. Zaledwie poczuł złoto, tanecznym skokiem szmyrznął w powietrze ze zwinnością dzikiego kozła, przy czym zadzierał pięty tak wysoko, że wprowadziłby w zdumienie nawet francuskiego baletmistrza. Pobiegł też zaraz do wioślarzy, by się pochwalić tym darem, a mały napiwek, jaki oni dostali, także wprowadził ich w zachwyty. Tyle o Dougalu, bo, by użyć ulubionego zwrotu patetycznego pióra Johna Bunyana/391, „poszedł on swoją drogą i więcej go na oczy nie widziałem”.

Radny i ja dosiedliśmy teraz koni i puściliśmy się gościńcem do Glasgow. Gdy już znikł nam z oczu widok jeziora i wspaniałego amfiteatru otaczających go gór, nie mogłem się powstrzymać od wyrażenia zachwyty nad pięknem tych okolic, choć dobrze czułem, że pan Jarvie nie jest w odpowiednim nastroju, by dzielić mój entuzjazm.

— Jesteście młodym człowiekiem, i do tego Anglikiem — odpowiedział — więc wszystko to w waszych oczach może być bardzo piękne. Co do mnie, który jestem człowiekiem prostym, a znam się trochę na wartości gleby, oddałbym najpiękniejszy widok górski za kęs żyznej ziemi spod Glasgow. Gdy się już raz tam znajdę, to przepraszam, ale nie wyciągnie mnie stamtąd żadne głupstwo.

Życzeniu zacnego człowieka stało się zadość. Przybyliśmy do jego domu tejże nocy, a właściwie nad ranem. Oddawszy godnego towarzysza w opiekę starannej i uprzejmej Mattie, sam udałem się do domu pani Flyter, gdzie mimo niezwyklej godziny światło się jeszcze paliło. Drzwi otworzył mi nie kto inny, ale właśnie Andrew Fairservice we własnej osobie. Połyszawszy mój głos, wydał wielki okrzyk radości i nie mówiąc ani słowa, pobiegł na górę do saloniku na drugim piętrze, skąd właśnie światło płynęło. Słusznie miarkując, że idzie oznajmić o moim przybyciu niespokojnemu Owenowi, podążyłem tuż za nim. Okazało się, że Owen nie był sam, była jeszcze druga osoba w pokoju — mój ojciec.

Pierwszym jego odruchem było zachować godność i zwykły spokój.

— Rad jestem, że cię widzę. Franku... — lecz zaraz serdecznie mnie uścisnął. — Kochany, kochany synu!

Owen chwycił moją rękę i oblewając ją łzami, radośnie wieszował mi powrotu. Takie sceny przemawiają do oka i do serca, ale trudno o nich mówić. Dotąd, choć stary już jestem, powieki moje wilgotnieją na wspomnienie tego spotkania. Niech twoje przyjacielskie serce odtworzy sobie to, czego nie zdołałem opisać.

Gdy pierwszy wybuch radości przeminał, dowiedziałem się, że ojciec powrócił z Holandii wkrótce po wyruszeniu Owena do Szkocji. Stanowczy i szybki we wszystkich swych poczynaniach, zatrzymał się tylko tak długo, ile trzeba było, by wystarać się o środki na spłatę obciążenia firmy. Dzięki swym rozległym stosunkom, z powiększonym kapitałem i kredytem, wzmocnionym wielce udaną kontynentalną spekulacją, łatwo dokonał tego, co tylko nieobecność jego czyniła trudnym, i wyruszył do Szkocji, by rozprawić się z Rashleighem Osbaldistone oraz uporządkować interesy swoje w tym kraju.

To, że ojciec przyjechał z niezachwianym kredytem i z odpowiednimi środkami do uregulowania swych zobowiązań, że przy tym mógł być nadal źródłem korzyści dla swoich korespondentów, było ciężkim ciosem dla Mac Vittie et Comp., którzy mniemali, że gwiazda jego zaszła już na zawsze. Oburzony na traktowanie, jakiego doznał jego zaufany sekretarz i zastępca, ojciec ani słyszeć nie chciał o przeprosinach ani o zadośćuczynieniu i po uregulowaniu należności oświadczył panom Mac Vittie et Comp., że wraz ze wszystkimi związanymi z tym zyskami ta karta ich księgi głównej zamknięta jest na zawsze.

Rad z takiego pogwałcenia fałszywych przyjaciół, niemało niepokoił się o mnie. Owen pocziwiec nie przypuszczał, by podróż na przestrzeni pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu mil, którą z Londynu w każdym kierunku odbyć można tak wygodnie i spokojnie, mogła przedstawiać jakieś niebezpieczeństwa, przstraszył się jednak widząc niepokój ojca, który lepiej znał mieszkańców tego kraju i bezprawie w nim panujące.

Te obawy wzrosły do najwyższego stopnia, gdy na kilka godzin przed moim przybyciem zjawiał się Andrew i przesadnie naopowiadał o okropnych niebezpieczeństwach, w jakich mnie pozostawił. Księżę, którego oddział zatrzymał go w charakterze więźnia, po śledztwie nie tylko go wypuścił, ale dopomógł mu do szybkiego powrotu do Glasgow, by mógł powiadomić moich przyjaciół, w jak nieprzyjemnym i niepewnym znajdują się położeniu.

Andrew należał do ludzi, którzy lubią zwracać na siebie uwagę jako posłowie złych wiadomości. Niespodziewana obecność bogatego londyńskiego kupca i jego gotowość wysłuchania opowiadań Andrew bynajmniej nie skłoniła go do mniej barwnego opisu przygód. Długo



więc i szeroko rozwodził się nad niebezpieczeństwami, jakich uniknąłem, głównie, jak dawał do zrozumienia, dzięki jego doświadczeniu, staraniom i przezorności. Co się dzieć może ze mną teraz, gdy pozbawiony zostałem opieki mego anioła stróża, to jest Andrew, doprawdy trudno sobie wyobrazić. Że tam radny jest do niczego albo jeszcze gorzej, bo to zarozumialec, a zarozumiałości Andrew nie znosi, to wiadomo. „Co się więc stać mogło z młodym panem pozostawionym między głębią rzeki Avondow a jej zalewami wśród sztyletów, szabel i kul, co się z pistoletów i karabinów jak grad sypały, o tym aż strach pomyśleć...”

Te opowiadania przywiodłyby Owena do rozpacz, gdyby był sam, ale ojciec, znając się na ludziach, łatwo ocenił charakter Andrew i rzeczywistą wartość jego informacji. Uwzględniwszy jednak nawet całą przesadę jego sprawozdania, dość było powodów do niepokoju o własne dziecko, toteż ojciec postanowił wyruszyć osobiście, by uwolnić mnie czy to drogą pertraktacji, czy okupu. Do późnej godziny pracował z Owenem, załatwiał konieczną korespondencję i zlecał mu niektóre sprawy do załatwienia podczas swej nieobecności. To było przyczyną, że zastałem ich obu jeszcze czuwających.

Późno już było, kiedy rozeszliśmy się na spoczynek. Nazajutrz, zbyt niecierpliw, by móc dłużej się wysypiać, zerwałem się wcześniej. Andrew służbiście stawiał mi się do usług, nie wyglądał już jednak jak ten strach na wróble, z którym się rozstałem w Aberfoil, lecz ukazał mi się przebrany za przedsiębiorcę pogrzebowego w porządnym, czarnym żałobnym garniturze. Zadałem mu kilka pytań. Szelma zrazu udawał, że ich nie rozumie, ale później dowiedziałem się, że „uważał za właściwe” przywdziać żałobę po mojej nieodżałowanej stracie. Handlarz starzyzną, w którego sklepie się ubrał, nie chciał przyjąć z powrotem tego żałobnego stroju, a że przy tym ubranie jego „zostało zniszczone i zdarte z niego, gdy był w usługach jego miłości”, więc niewątpliwie i ja, i mój czcigodny ojciec, którego Opatrzność pobłogosławiła dostatkami, nie ścierpią, by biedny chłopak poniósł taką stratę. Garnitur to przecież niewielka rzecz dla panów Osbaldistone (chwała Bogu!), zwłaszcza gdy chodzi o starego i przywiązanego sługę domu...

Ponieważ istotnie Andrew stracił ubranie w mojej służbie, więc ta sztuczka mu się udała: zyskał porządną, czarny garnitur wraz z

filcowym kapeluszem i tym wszystkim, co było potrzebne na znak żalu po panu, który zdrów i wesół chodził po świecie.

Tego rana pierwsze kroki skierował ojciec do pana Jarvie. Za jego dobroć szczerze był mu wdzięczny i dał temu wyraz wprawdzie w niewielu słowach, ale wypowiedzianych tonem pełnym wzruszenia i męskiej siły. Objął go o zwrocie w interesach i ofiarował radnemu na korzystnych warunkach ten udział w swoich handlowych obrotach, który mieli dotychczas Mac Vittie et Comp.

Radny serdecznie powinszował ojcu i Owenowi szczęśliwego wybrnięcia z kłopotów i nie przecząc, że zrobił, co mógł, by im usłużyć, gdy sprawy przedstawiały się gorzej, zaznaczył, że postąpił tak, jakby chciał, żeby z nim postąpiono. Co się tyczy zwiększonego udziału w obrotach handlowych firmy, szczerze się nim cieszy i z podziękowaniem propozycję przyjmuje.

— Gdyby Mac Vittie et Comp. postąpili byli jak ludzie uczciwi — dodał — nie chciałbym wchodzić im w drogę. Ale że tak nie jest, niechże więc poniosą tę stratę.

W chwilę później radny pociągnął mnie za rękaw do kącika i raz jeszcze serdecznie winszując szczęśliwego zakończenia trosk naszych, zaczął tonem lekko zawstydzonym:

— Byłbym bardzo rad, panie Franku, gdyby jak najmniej mówiono o tych dziwnych rzeczach, któreśmy tam widzieli. Lepiej nie opowiadać, chyba gdyby przed sądem trzeba było zeznawać o tym okropnym morderstwie Morrisa. Członkowie rady nie uważaliby też za rzecz zaszczytną dla jednego spośród siebie, że bił się z dzikim górale i wypalił mu dziurę w pledzie. A już przede wszystkim, choć wyglądam przecież przyzwoicie i odpowiedzialnie, gdy jestem w zwyczajnym stroju, ale wyobrażam sobie, że musiałem mieć dość zabawną minę bez kapelusza i bez peruki, przewieszony przez pół jak płaszcz rzucony na wieszadło. Radny Grahame kłułby mnie żarcikami bez końca, gdyby znał tę historię.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu, gdy sobie to przypomniałem, choć wtedy z racji grożącego radnemu niebezpieczeństwa bynajmniej nie było mi wesoło. Dobroduszny kupiec był trochę zmieszany, ale uśmiechnął się także i potrząsając głową dodał:

— Ja wiem, wiem, że to musiało być śmieszne. Ale proszę o tym nie opowiadać, mój dobry panie. I proszę nakazać temu gadatliwemu, zarozumiałemu i nieznośnemu swemu słudze, by o tym nie pisał ani

słowa. Za nic bym nie chciał, żeby nawet to dziewczątko, Mattie, o tym się dowiedziało. Końca by nie było gadaniu.

Najwyraźniej te jego obawy przed śmiesznością zmniejszyły się, gdy mu oznajmiłem, że ojciec ma zamiar opuścić Glasgow prawie natychmiast. Właściwie nie miał powodu pozostawać dłużej, skoro odzyskaliśmy najcenniejsze papiery skradzione przez Rashleigha. Jeśli chodzi o część łupu, którą Rashleigh spieniężył wydając gotówkę na swe własne cele i polityczne intrygi, to można ją było odzyskać jedynie drogą procesu, który też wszczęto niezwłocznie.

Spędziliśmy jeden dzień w gościnie u radnego i pożegnaliśmy się... ja też się z nim żegnam w tej opowieści. Rósł w dalszym ciągu w dostatki, honory i kredyt. Osiągnął istotnie w swym mieście rodzinnym najwyższe obywatelskie godności.

W jakieś dwa lata później sprzykrzyło mu się kawalerskie życie, awansował Mattie z jej stolka przy kuchni i jako panią Jarvie posadził na pierwszym miejscu przy swoim stole. Radny Grahame, panowie Mac Vittie i inni (gdyż każdy ma swych nieprzyjaciół, zwłaszcza w radzie miejskiej) śmiali się z tej przemiany.

— Niech tam sobie mówią, co im się podoba— odpowiadał pan Jarvie. — Mnie tam takie gadanie ani nie gniewa, ani przyjemności nie psuje. Mój zacny ojciec, cechmistrz, mawiał:

Nie chcę worów złota, świętych herbów nie chcę,

Wolę czarnobrewkę z kochającym sercem,

Wolę lico jak krew z mlekiem, wolę moje dziewczę.

A zresztą — dodawał — Mattie nie jest prostą służącą, jest daleką krewną lairda z Limmerfield.

Nie wiem, czy dzięki swemu pochodzeniu, czy też dzięki wrodzonym zaletom, dość że Mattie umiała się doskonale znaleźć na swym nowym stanowisku i wprędce uspokoiła obawy kilku przyjaciół radnego, którzy ten eksperyment uważali za nieco ryzykowny. Nie znam innych wypadków w spokojnym i pożytecznym życiu pana Jarvie, które by warto było szczegółowo opisywać.

## ROZDZIAŁ XXXVII

„Pójdźcie, synkowie, sześciu was mam,  
I jako zuchów wszystkich znam —  
O dzieci drogie! Kto z was tu stanie  
Przy dobrym panu na me wezwanie?"  
Pięciu odpowiedź co prędzej daje,  
Pięciu, bez trwogi przy ojcu staje:  
„Ojcze, dopóki nie legniem w grobie,  
Stoim przy panu, stoim przy tobie".  
Powstanie na północy

Rankiem dnia tego, gdy mieliśmy opuścić Glasgow, Andrew Fairservice wpadł jak szalony do mego pokoju podskakując i wyśpiewując raczej hałaśliwie niż melodyjnie:

Pali się! Pali się!  
Gore! Gore!

Z pewnym trudem udało mi się uciszyć ten piekielny hałas i wymóc na nim, by mi wytłumaczył, co się właściwie dzieje. Andrew oświadczył mi z przyjemnością, jak gdyby najlepszą wiadomość obwieszczał, że górale powstali jak jeden mąż i że Rob Roy wraz z całą swoją spódnickową bandą spadnie na Glasgow, zanim zegar dwadzieścia cztery godziny odmierzy.

— Milcz — zawołałem — ty łotrze! Pijany jesteś czy zwariowałeś? A jeżeli ta twoja nowina jest choćby w części prawdziwa, czy jest się czym cieszyć i śpiewać, ty niecnoto?!

— Pijany? Wariat? — odparł nieposkromiony Andrew. — Pewnie, pewnie, człowiekowi zawsze powiedzą „pijany" albo „wariat", gdy mówi coś, czego panowie słuchać nie lubią. Śpiewać? Oj, cienko każą nam śpiewać te klany, jeżeli jak pijani lub wariaci zaczekamy tu na nich.

Wstałem pośpiesznie. Ojca i Owena zastałem już na nogach i mocno poruszonych.

Wiadomość Andrew okazała się aż nadto prawdziwa. Wybuchło wielkie powstanie, które wstrząsnęło królestwem Wielkiej Brytanii w roku 1715.

Nieszczęsny Earl of Mar/400 w złą godzinę podniósł sztandar rodziny Stuartów na zgubę wielu zacnych i szlacheckich rodów w Anglii i Szkocji. Zdrada kilku jakobickich agentów (między innymi

Rashleigha) i uwięzienie innych dały w ręce rządu króla Jerzego nie szeroko rozgałęzionego, dawno przygotowanego spisku. Ostatecznie powstanie wybuchło przedwcześnie, i to w części królestwa zbyt odległej od Londynu, by mogło mieć istotny wpływ, niemniej przeto było ono dość potężne, by w całym kraju wywołać zamęt.

Ten polityczny wypadek wielkiej wagi potwierdził i wyjaśnił mi niejedno, o czym nie dość wyraźnie napomykał mi Mac Gregor. Dopiero teraz zrozumiałem, że zachodnie klany, które ściągnięto przeciw niemu, dlatego tak łatwo zaniechały prywatnych waśni, ponieważ wszystkie zjednoczyć się miały w walce o wspólną publiczną sprawę. Z bólem myślałem o tym, że Diana Vernon jest żoną jednego z tych, którzy najgorliwiej dążyli do przewrotu, i że sama musi być wystawiona na wszelkie niebezpieczeństwa i trudy ryzykownych przedsięwzięć.

Natychmiast w trójkę odbyliśmy naradę, jak się zachować w tym położeniu, i zgodziliśmy się na plan ojca, by jak najprędzej wyostać potrzebne przepustki i podążyć do Londynu. Powiadomiłem też ojca, że pragnę zaofiarować swe usługi rządowi i wstąpić do jednego z ochotniczych oddziałów, o których mówiono, że już się tworzą. Ojciec chętnie na to przystał, gdyż jakkolwiek wojskowego zawodu nie lubił, nikt by tak chętnie jak on nie narażał życia w obronie obywatelskiej czy religijnej wolności.

Podróżowaliśmy pośpiesznie wśród wielorakich niebezpieczeństw, jadąc przez hrabstwo Dumfries i sąsiednie hrabstwa już w Anglii. W tych okolicach panowie, popierający sprawę torysów, żywo się uwijali zbierając i musztrując ludzi i konie. Wigowie ze swej strony gromadzili się w głównych miastach, zbroili mieszkańców i gotowali się do wojny domowej. Nieraz ledwie, ledwie uszliśmy aresztowania i często musieliśmy krążyć dalszymi drogami, chcąc uniknąć punktów, gdzie gromadziły się wojska.

Stanąwszy w Londynie natychmiast przystąpiliśmy do spółki z tymi bankierami i wybitnymi kupcami, którzy zgodnie postanowili podtrzymywać kredyt rządu i przeciwstawić się runowi na banki/400 państwowe. Na tym właśnie, jako na sprzyjającej dla siebie okoliczności, która mogła doprowadzić rząd do bankructwa, opierali swe rachuby spiskowcy. Ojca wybrano na członka zarządu tego potężnego towarzystwa finansowego.

Wszyscy mieli takie zaufanie do jego gorliwości, zręczności i energii, że polecono mu z ramienia towarzystwa prowadzić pertraktacje z rządem. Udało mu się też za część funduszków powierzonych mu lub należących do jego firmy zakupić znaczną ilość pożyczki państwowej, nagle w momencie wybuchu rzuconej na rynek po obniżonej cenie.

Ja też nie próżnowałem. Postarałem się o nominację na oficera i kosztem ojca wystawiłem oddział ochotniczy z dwustu ludzi, z którym przyłączyłem się do armii generała Carpentera.

Rebelia tymczasem rozszerzyła się i na Anglię. Po jej strone stanął nieszczęsny hrabia Derwentwater oraz generał Forster. Biedny mój stryj sir Hildebrand, którego majątek nie przedstawiał już prawie żadnej wartości z powodu zadłużeń wynikłych z rozrzutności i hulatyk synów oraz domowników, łatwo dał się zaciągnąć pod ten nieszczęsny sztandar. Nim to jednakże uczynił, wykazał przezorność, o jaką nikt by go nie posądził — napisał testament.

Aktem tym zapisywał swoje dobra: Osbaldistone Hall i inne synom swoim od najstarszego począwszy i ich męskim potomkom, aż doszedłszy do Rashleigha, którego za ostatni jego zwrot w polityce znienawidził z całej duszy, wykwitował go, zapisując mu szylinga, na mnie zaś, jako na następnego spadkobiercę, przelał prawo dziedziczenia majątku. Stary pan, co prawda, zawsze mnie lubił, możliwe jednak, że ufny w liczbę swych synów-olbrzymów, pod bronią teraz dokoła niego stojących, uważał, że ten zapis pozostanie martwą literą i że wnosi go do aktu jedynie w celu okazania, że potępia zdradę Rashleigha, publiczną i domową. Był też tam paragraf, którego mocą bratanicy nieboszczki swej żony Dianie Vernon, obecnie Dianie Vernon Beauchamp, zapisywał niektóre brylanty, będące własnością zmarłej ciotki, oraz wielki srebrny dzban z wrytymi nań herbami Vernonów i Osbaldistone'ów.

Jednakże wyroki niebios skazały na szybszą, niż rachował, zagładę liczne i zdrowe jego potomstwo. Już przy pierwszej zbiórce spiskowców w miejscu zwanym Green Rigg Thorncliff Osbaldistone pokłócił się o pierwszeństwo z pewnym szlachcicem z nadgranicznego Northumbrian, człowiekiem równie gwałtownym i gburowatym, jak on. Pomimo wszelkich perswazji dali oni swemu dowódcy dowód, że zupełnie nie mógł polegać na ich dyscyplinie. Wdali się w pojedynek na rapiery i kuzyn mój zginął na miejscu. Dla sir Hildebranda śmierć jego była ciężkim ciosem, gdyż Thorncliff

mimo nieznośnego charakteru miał przecież trochę więcej rozumu niż pozostali bracia, nie licząc naturalnie Rashleigha.

Percival umarł również wierny swej namiętności. Poszedł o zakład z drugim słynnym pijakiem, przezywanym Wódziarz-Studnia, kto większy kielich silnego trunku wypije, gdy powstańcy w Morpeth obwołają króla Jakuba. Powstańcy w Morpeth obwołali Jakuba królem, co uczczono pijatyką, jakiej świat nie widział. Nie pamiętam dokładnie ilości wódki, jaką Percie przełknął, ale wywołało to w nim gorączkę, z której po trzech dniach umarł mając na ustach wciąż jedno słowo: „Wody!”

Dickon skręcił kark w pobliżu mostu Warrington, gdy usiłował sprzedać pewnemu kupcowi z Manchester, który się do powstańców przyłączył, rasową klacz o zerwanych nogach. Spiał konia na szeroką przeszkodę, klacz skacząc upadła, a nieszczęsny jeździec utracił życie. Wilfreda-głupca, jak się to niekiedy zdarza, spotkał najlepszy los z całej rodziny. Poległ koło Proud Preston, w hrabstwie Lancashire w dniu, gdy generał Carpenter atakował barykady. Walczył, jak słyszałem, bardzo mężnie, chociaż mówiono mi, że nigdy podobno dobrze nie mógł zrozumieć powodów całej tej wojny, a nie zawsze też pamiętał, po stronie którego króla właściwie stanął. John również bardzo dzielnie bił się w tej samej potyczce i otrzymał kilka ran nie mając szczęścia umrzeć z nich na miejscu.

Nazajutrz armia powstańców poddała się. Stary sir Hildebrand, zupełnie złamany tymi kolejnymi stratami, został jednym z nieszczęsnych więźniów. Umieszczono go w więzieniu w Newgate wraz z jego rannym synem Johnem.

Mogąc teraz opuścić wojsko, nie tracąc czasu usiłowałem ulżyć niedoli tych bliskich krewnych. Stanowisko mego ojca wobec rządu i ogólne współczucie dla stryja, który w tak krótkim czasie stracił tylu synów, byłoby uchroniło jego i Johna od procesu o zdradę stanu. Jednak Wyższy Trybunał Niebios wydał na nich wyrok: John umarł z ran w Newgate, ostatnim tchem polecając mej opiece parę sokołów, jakie miał w domu, i czarną wyźlicę, wabiącą się Lucy.

Biedny mój stryj zdawał się wprost do ziemi przybity tymi ciosami i warunkami, w jakich niespodziewanie się znalazł. Mało mówił, ale wdzięczny mi był, jak się zdawało, za moje o niego starania. Nie byłem świadkiem spotkania jego z moim ojcem, pierwszego po tylu latach i w okolicznościach tak bolesnych, ale sądząc po

nadzwyczajnym przygnębieniu ojca, smutne ono musiało być niezmiernie. Sir Hildebrand z wielką goryczą mówił teraz o Rashleighu, jego jedynym dziecku pozostałym przy życiu. Przypisywał mu winę upadku rodziny, śmierci wszystkich braci i oświadczył, że ani on sam, ani oni nie byliby się zaplątali w polityczne intrygi, gdyby nie ten członek rodziny, który ich pierwszy opuścił. Parę razy wspomniał też o Dianie, zawsze z wielkim uczuciem, a raz rzekł, gdy siedziałem przy jego łóżku:

— Bratanku, skoro Thorncliff i oni wszyscy nie żyją, żałuję, że ty jej mieć nie możesz!

Te słowa bardzo mnie wzruszyły, stryj bowiem miał zwyczaj, gdy wesoło wyprawiał się na ranne polowanie, wyróżniać Thorncliffa, który był jego ulubieńcem. Głośny, radosny ton, którym zwykł wołać: „Niech przyjdzie Thorncliff i oni wszyscy!”, tak smutnie się różnił od żałosnego, beznadziejnego głosu, jakim wypowiedział wyżej przytoczone wyrazy. Wspomniał mi też o treści testamentu i dał mi tegoż autentyczną kopię, przy czym wyjaśnił, że oryginał jest złożony u starego znajomego sędziego Inglewooda, u którego — ponieważ nikt się go nie obawiał, a wszyscy mu ufali jako do pewnego stopnia neutralnej osobistości — połowa walczących z obu stronnictw w całym hrabstwie Northumberland złożyła ostatnią swą wolę.

Przeważną część ostatnich chwil życia stryj spędził na pełnieniu religijnych powinności swego wyznania pod kierownictwem kapelana sardyńskiego ambasadora, któremu nie bez trudności wyrobiliśmy pozwolenie odwiedzania chorego. Nie mogłem stwierdzić ani sam, ani przez lekarzy, czy sir Hildebrand umierał na jakąś określoną chorobę, która już ma nazwę w słowniku lekarskim. Wydawał mi się zupełnie wyczerpany, złamany trudami cielesnymi i udręką ducha i raczej przestał istnieć, niż zmarł po walce z chorobą. Tak niekiedy okręt długo miotany przez burze, osłabiony i rozklekotany, nagle, gdy już jest po burzy, nabiera wody i idzie na dno bez widocznego powodu.

Było rzeczą godną uwagi, że ojciec mój po oddaniu ostatnich posług bratu okazał nagle wielką dbałość o to, bym spełniając ostatnią wolę stryja objął w posiadanie nasze rodowe gniazdo, które, jak dotąd, nie przedstawiało dlań żadnego uroku. Być może jednak, że był jak ten lis w bajce, który wyrażał pogardę dla tego, co było dlań niedosiężne. Poza tym odraza, jaką żywił względem Rashleigha (obecnie sir Rashleigha Osbaldistone), który groził, że obali testament i zapis sir



Hildebranda, jeszcze wzmocniała postanowienie ojca, by Osbaldistone Hall utrzymać w naszych rękach.

— Najniesprawiedliwiej zostałem wydziedziczony — mówił ojciec — przez mego własnego ojca. Testament brata pozostawiając szczątki posiadłości Frankowi, naturalnemu spadkobiercy, wynagradza krzywdę materialną, chociaż nie moralną; toteż silnie obstaję przy tym, by zapis ten wszedł w życie.

Rashleigh tymczasem jako przeciwnik wcale nie był do pogardzenia. Doniesienie, które złożył rządowi, trafiło w samą porę, a jego zręczność, wielka inteligencja oraz umiejętność przypisywania sobie zasług i zdobywania wpływów zjednały mu protekcję niektórych ministrów. Wszystko to miało niewątpliwy wpływ na przebieg wytoczonego mu procesu o okradzenie firmy Osbaldistone i Tresham, który choć tak prosty, włókł się bez końca. Można więc było się spodziewać, że ta druga sprawa mogłaby się w sądzie przeciągnąć poza kres naszego doczesnego żywota.

Ażeby uniknąć w miarę możliwości takiego przewlekania sprawy, ojciec za poradą uczonego prawnika spłacił i przepisał na moje imię prawa do znacznych obszarów oddanych w zastaw, a przynależnych do Osbaldistone Hall. Być może, że znaczny udział w wielkich zyskach, osiągniętych dzięki nagłemu wzrostowi wartości papierów pożyczki państwowej, który nastąpił zaraz po stłumieniu rewolucji, i doświadczenie ostatnich czasów, które wykazały ryzyka związane z handlem, zachęciły go do ulokowania w ten sposób części swego kapitału. Jakby tam zresztą nie było, stało się, że zamiast kazać mi zasiać przed biurkiem w kantorze, czego się spodziewałem, gdy oświadczyłem gotowość zastosowania się do jego życzeń, ojciec kazał mi jechać do Osbaldistone Hall, by objąć je w posiadanie jako spadkobierca i przedstawiciel rodu. Dano mi polecenie zwrócenia się do pana Inglewoda po złożony u niego oryginał testamentu. Wchodząc w swoje prawa do majątku stworzyłem fakt dokonany, co wedle zdania mędrców stanowi dziewięć dziesiątych wygranej sprawy.

W innych warunkach byłbym uszczęśliwiony taką zmianą losów, teraz jednak z domem w Osbaldistone Hall wiązało się dla mnie zbyt wiele przykrych wspomnień. „Lecz prawda i to — pomyślałem — że tylko w tych stronach mogę się czegoś dowiedzieć o losach Diany Vernon”. Miałem wprawdzie powody lękać się, że te wiadomości nie

będą po mojej myśli, ale dokładnych danych znikąd otrzymać nie mogłem.

Przebywając w Londynie, na próżno starałem się świadcząc usługi dalekim krewnym znajdującym się w więzieniu w Newgate, zjednać sobie ich zaufanie. Duma, której wprawdzie potępiać nie mogłem, i naturalna podejrzliwość wigów względem człowieka, który był przecież kuzynem arcyzdrajcy Rashleigha, zamykały przede mną serca i usta, tak że tylko chłodne i wymuszone podziękowania odbierałem w zamian za dobrodziejstwa, jakie wyświadczyć im mogłem. Ręka sprawiedliwości zresztą zmniejszyła liczbę tych, którym pomoc usiłowałem, a serca pozostałych twardniały coraz bardziej wobec wszystkich, których uważali za popleczników rządu. Gdy pojmanych rebeliantów partiami prowadzono na stracenie, ci, którzy pozostawali, obojętnieli i nie pragnęli nikogo widywać. Nie zapomnę, co mi jeden z nich, Ned Shafton, powiedział, gdym go usiłował wypytywać, czy nie mógłbym mu w czym ulżyć lub jaką przyjemność mu sprawić. „Panie Franku Osbaldistone — odpowiedział — muszę wierzyć w pańskie dobre chęci i dlatego dziękuję panu. Ależ, do licha! człowiek nie da się utuczyć jak kapłon, gdy widzi codziennie, jak sąsiadów prowadzą na miejsce straceń, i wie, że i jemu z kolei kark skręca”.

Mając to wszystko na uwadze rad byłem porzucić Londyn, Newgate i sceny tam się rozgrywające, aby odetchnąć swobodnym powietrzem hrabstwa Northumberland. Andrew Fairsecrvice pozostał w mojej służbie bardziej na życzenie ojca niż moje. Przy tym liczyłem na to, że jego znajomość Osbaldistone Hall i okolicy może się na coś przydać, toteż towarzyszył mi w podróży, a ja cieszyłem się z góry, że się go pozbędę przywracając mu dawne jego stanowisko. Nie pojmuję, jak ten człowiek mógł zjednać sobie mego ojca, chyba zręcznym udawaniem niezmiernego przywiązania do mnie. To teoretyczne przywiązanie zresztą umiał w praktyce doskonale łączyć z szeregiem nieuczciwych sztuczek, dbając tylko o to, by pana jego nikt nie oszukiwał — prócz niego samego.

Podróż na północ odbyliśmy bez żadnych szczególniejszych przygód. W kraju jeszcze niedawno zwichrzonym powstaniem przywrócono już porządek i spokój. Im bliżej byłem Osbaldistone Hall, tym bardziej ścisnęło się me serce na myśl o znalezieniu się w tym opuszczonym

domostwie. Chcąc odwlec tę niemiłą chwilę postanowiłem najpierw odwiedzić sędziego Inglewooda.

Ten czcigodny jegomość był mocno strapiony porównywaniem swego dawnego i obecnego stanowiska. Wspomnienia przeszłości, jakobickich sympatii i przyjaciół poważnie mu utrudniały spełnianie tych obowiązków, których po jego urzędzie można się było spodziewać. Miał jednak szczęście pod jednym względem: pozbył się swego sekretarza Jobsona, który rozdrażniony jego bezczynnością, opuścił go w końcu i stał się radcą właściciela ziemskiego, niejakiego pana Standish. Ten to obywatel, od niedawna w tych stronach sprawujący urząd sędziego, w przeciwieństwie do pana Inglewooda z taką gorliwością służył królowi Jerzemu i protestanckiej linii królewskiej, że Jobson częściej musiał tę gorliwość hamować granicami prawa niż podżegać.

Stary sędzia Inglewood przyjął mnie nader uprzejmie, chętnie też pokazał testament stryja, który sporządzony był bez zarzutu. Widać też było zrazu, że sędzia był w rozpaczliwym kłopotcie nie wiedząc, co mówić i jak postępować w mojej obecności. Gdy się jednak przekonał, że chociaż z zasady byłem stronnikiem obcego rządu, jednak ze współczuciem myślałem o tych, którzy błędnie rozumiejąc swój obowiązek i wymogi lojalności walczyli po przeciwnej stronie, zaczął swobodnie rozmawiać dając mi zajmujący obraz tego, co zrobił i czego nie zrobił, jak na przykład usiłował niektórych sąsiadów powstrzymać od przyłączenia się do rebelii i jak na ucieczkę innych, którzy niestety uwikłali się w sprawę, umiał przymknąć oko.

Siedzieliśmy sam na sam i ulegając sędziemu wychyliłem już z nim kilka kieliszków, gdy nagle zaproponował on wypicie toastu za zdrowie „biednej, kochanej Dianki Vernon, dzikiej różyczki, wrzosowego dzwonka Cheviotu, kwiatka przesadzonego do klasztoru”.

— Jak to?! Więc Diana nie wyszła za mąż? — zawołałem zdumiony.

— A ja myślałem, że jego ekscelencja...

— Ba! „Jego ekscelencja” i „pan hrabia” wszystko to głupstwo teraz, rozumiecie... puste tytuły dworu w St. Germain... „Hrabia Beauchamp” i „ambasador pełnomocny Francji”, kiedy książę regent Orleański zaledwie wiedział o jego istnieniu! Ale musieliście widywać w Osbaldistone Hall starego sir Fredericka Vernon, gdy odgrywał rolę ojca Vaughan?

— Wielkie nieba! A więc Vaughan był ojcem panny Vernon?

— Z pewnością — odparł sędzia spokojnie. — Nie potrzeba już teraz strzec tajemnicy, gdy on musiał kraj opuścić... Inaczej, niewątpliwie, powinienem go aresztować. No, dalej wypróżnijcie kielich za moją drogą, straconą Diankę!

Niech krąży kielich wkoło, wkoło —

Pij zdrowie jej, nie żałuj.

I choć jedwabne masz pończochy,

Kolanem ziemię całuj/1.

Nie mogłem, jak łatwo sobie wyobrazisz, brać udziału w wesołości sędziego. Mąciło mi się w głowie, tak wstrząsnęła mną ta wiadomość.

1/— Ten pełen animuszu wiersz znaleźć można w sztuce Shadwella Jarmark w Bury {przyp. aut.}.

— Nigdy o tym nie słyszałem — rzekłem — że ojciec panny Vernon jeszcze żyje.

— Nie z winy naszego rządu, co prawda — odpowiedział Inglewood — gdyż nie ma chyba człowieka, za czyją głowę więcej by pieniędzy dawano. Skazany był na śmierć za spisek Fenwicka, posądzano go o udział w sprawie Knightsbridge'a za czasów króla Wilhelma, ale że ożenił się w Szkocji z krewną domu Breadalbane, miał tam wielki wpływ na wszystkich naczelników ich klanów. Była mowa o tym, że żądano jego wydania przy zawieraniu pokoju w Ryswick/407, ale udał chorego i francuskie pisma podały wiadomość o jego śmierci. Gdy jednak tu powrócił, by pracować po dawnemu, my, starzy kawalerowie/407, poznaliśmy go od razu, co wcale nie znaczy, że podzielałem jego przekonania. Nikt jednak na biednego szlachcica nie zrobił doniesienia, zresztą jeśli o mnie idzie, to z powodu częstych napadów podagry pamięć mi trochę nie dopisuje i nie mógłbym przysięgać, że to on, rozumiecie.

— Czyż zatem nie znano go w Osbaldistone Hall? — zapytałem.

— Znała go tylko córka, stary pan i Rashleigh, który odkrył tę tajemnicę, tak jak umiał odkryć każdą inną. I to był stryczek na gardle biednej Dianki, który mu dawał władzę nad nią. Ze sto razy widziałem, jak byłaby Rashleighowi w oczy plunęła, gdyby nie lęk o ojca, bo jego życie i trzech groszy nie byłoby warte, gdyby go zdradzono i wydano rządowi... Ale proszę mnie dobrze zrozumieć, panie Osbaldistone. Ja nie mówię, że rząd jest zły, owszem, to łaskawy i sprawiedliwy rząd. Jeżeli powiesił połowę tych biedaków-

buntowników, to każdy przyzna, że nikt by ich nie tknął, gdyby byli spokojnie w domu siedzieli.

Unikając dyskusji o kwestiach politycznych naprowadziłem pana Inglewoda na interesujący mnie przedmiot i dowiedziałem się, że gdy Diana stanowczo odmówiła wyjścia za któregokolwiek z rodu Osbaldistone, a o Rashleighu wyraziła się, że jego przede wszystkim znieść nie może, ten ochłódł w gorliwości dla sprawy pretendenta. Będąc najmłodszym z sześciu braci, śmiały, chytry i zdolny, w politycznych intrygach widział dla siebie drogę do kariery. Prawdopodobnie przymus, pod którego naciskiem oddał łup uniesiony z kantoru mojego ojca, i to przymus wywarty powagą sir Fredericka Vernona i szkockich naczelników, skłonił go ostatecznie do szukania prędszego wywyższenia się przez przejście do obozu wroga i zdradę tych, którzy mu zaufali. A może też uważał, umiejąc nader trafnie przewidywać przyszłość, szczególnie gdy chodziło o jego osobisty interes, że środki i zdolności rebeliantów jak się później okazało, są nader niewystarczające, aby dokonać trudnego dzieła obalenia rządu.

Sir Frederick Vernon albo, jak go wśród jakobitów nazywano, jego ekscelencja wicehrabia de Beauchamp i jego córka z trudnością uniknęli następstw donosów Rashleigha. Tu jednak panu Inglewood brakło dokładniejszych danych. Nie wątpił jednak, że skoro się nie słyszało, by sir Frederick wpadł w ręce rządu, musiał już być za granicą. Tam też, zgodnie z okrutnym układem zawartym ze szwagrem, Diana, skoro odmówiła wybrania męża spośród braci Osbaldistone, zapewne wstąpiła do klasztoru. Sędzia Inglewood nie potrafił mi dokładnie wytłumaczyć, jak mogło dojść do tego dziwnego układu, przypuszczalnie była to umowa zawarta w celu zapewnienia sir Frederickowi dochodów z reszty jego obszernych majątkości, jakimś prawnym wybiegiem zapisanych rodowi Osbaldistone. Krótko mówiąc, był to układ rodzinny, przy którego zawieraniu, jak się to w owe czasy niejednokrotnie zdarzało, traktowano najbliższej zainteresowanych i ich uczucia tak, jak gdyby byli częścią żywego inwentarza.

Nie umiałbym powiedzieć, gdyż taka jest dziwna przekorność serca ludzkiego, czy wiadomość ta ucieszyła mnie, czy zmartwiła. I być może świadomość, że Diana jest dla mnie na zawsze stracona, i to nie przez małżeństwo z kimś drugim, ale przez zamknięcie w klasztorze w myśl tego rodzaju nedorzeczej umowy, zwiększyła raczej, niż

zmniejszyła mój żal po jej stracie. Osowiałem, straciłem humor, stałem się roztargniony i niezdolny do podtrzymywania rozmowy z sędzią, który z kolei zaczął ziewać i zaproponował wczesne pójście na spoczynek. Powiedziałem mu dobranoc, postanawiając nazajutrz przed śniadaniem pojechać do Osbaldistone Hall.

Pan Inglewood pochwalił mój zamiar. Uważał, że dobrze będzie, jeżeli się tam ukazę, zanim wieść się rozejdzie, że jestem w tych stronach, zwłaszcza że podobno sir Rashleigh Osbaldistone bawił w domu pana Jobsona, gdzie zapewne wspólnie knuli jakąś niegodziwość.

— To godni siebie kompani — dodał. — Sir Rashleigh stracił wszelkie prawo do przebywania w towarzystwie ludzi honorowych. Trudno przypuścić, by zeszyli się dwa tak skończone łotry, a nie wynikła stąd szkoda dla ludzi uczciwych.

Zakończył zalecając mi poważnie, bym zanim rankiem wyruszę, nie omieszkał wychylić kielicha i przypuścić szturm do pasztetu ze zwierzyny, gdyż jest to najlepsza ochrona przeciw porannym chłodom na równinie.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Pan zamku umarł, pustkami stoją

Komnaty, jak okiem zmierzył:

Ludzie, psy, konie — wszystko wymarło,

On jeden wszystkich ich przeżył.

WORDSWORTH

Nic tak nie wywołuje smutku, jak oglądanie miejsc, gdzie przeżywaliliśmy dawniej miłe i szczęśliwe chwile, gdy one zmieniają się i opustoszeją. Jadąc do Osbaldistone Hall obejmowałem wzrokiem wszystko to, na co patrzyłem w towarzystwie Diany w dniu pamiętnej jazdy z Inglewood Place. Zdawało mi się, że duch jej towarzyszy mi na tej drodze, gdy zaś zbliżyłem się do miejsca, gdzie ją po raz pierwszy spotkałem, nieledwie nasłuchiwałem ujadania ogarów i odgłosu trąbki. Wyteżyłem wzrok w pustą dla mnie przestrzeń, jakby się spodziewając, że mi się ukaże zjeżdżająca ze wzniesienia łowczyni, piękna jak cudowne zjawisko. Lecz wszędzie panowało milczenie, wszędzie zalegała pustka... Gdy dotarłem do zamku, zamknięte drzwi i okna, trawą zarosły bruk, podwórce tak ciche teraz, stanowiły uderzający kontrast z ruchliwą, wesołą sceną, jaką tam tak często widywałem, gdy dziarscy myśliwi wybierali się na swe poranne łowy lub wracali na codzienną ucztę. Radosne poszczekiwanie psów spuszcanych z linki, krzyki myśliwych, tupot końskich kopyt, głośny śmiech starego szlachcica, przewodzącego swoim silnym a licznym potomkom — wszystko to umilkło raz na zawsze.

Rozglądając się po tym pustkowiu czułem żal niewypowiedziany na wspomnienie tych, których za życia zresztą nie darzyłem zbyt wielkim uczuciem. Jednakże to, że tylu młodzieńców przystojnych, kipiących życiem, zdrowiem, ufnością w siebie znalazło nagłą śmierć w tak różnych okolicznościach i spoczęło w chłodnym grobie, nasuwało obraz takiej znikomości spraw ludzkich, że wobec niego wstrząsnęła się moja istota. Małą w tym znajdowałem pociechę, że jako właściciel wracałem do miejsc, które porzuciłem nieledwie jak zbieg. Nie umialem spojrzeć na wszystko, co mnie otaczało, jako na swoją własność. Czułem się przywłaszczycielem, a co najmniej intruzem. Ledwie mogłem otrząsnąć się z wrażenia, że rosła postać któregoś z moich nieżyjących krewniaków jak olbrzymie widmo z ballady ukaże się w bramie, broniąc mi wstępu.

Gdy mnie zaprzętały te smutne myśli, towarzyszący mi Andrew, który zupełnie innym uczuciom podlegał, łomotał po kolei do wszystkich drzwi domagając się wpuszczenia nas tak głośno, jak gdyby chciał tym zaznaczyć, że przynajmniej on dobrze pojmuje swoją świeżą godność przełożonego służby nowego pana. Na koniec, nieśmiało, ociągając się, ukazał się w zakratowanym małym oknie Syddall, stary służący, majordomus/410 mojego stryja, i zapytał, co nas sprowadza.

— Przybyliśmy zdjąć z ciebie obowiązki, mój stary przyjacielu — „wyjaśnił” Andrew — możesz oddać klucze choćby zaraz, jeśli chcesz. Zdasz mi srebro i stołowiznę. Wszystko ma swój czas, panie Syddall, a ty już dość długo rządziłeś. Odtąd bardzo ci będzie do twarzy zająć miejsce na końcu stołu, tam gdzie przedtem Andrew siadywał.

Uciszywszy z pewnym trudem zuchwalstwo mego sługi wytłumaczyłem Syddallowi, w jakim tu jestem charakterze i jakim prawem żądam wpuszczenia do domu. Stary wydawał się bardzo wzruszony i strapiiony i bronił się przed wpuszczeniem mnie, choć czynił to w sposób pokorny i uniżony. Rozumiałem jego wzburzenie, które przecież staremu słudze tylko zaszczyt przynosiło, lecz stanowczo obstawałem przy swoim, żądając wpuszczenia i tłumacząc mu, że jeśli dalej będzie mi go wzbraniał, zmuszony będę zwrócić się do sędziego Inglewoda po pisemny rozkaz i po asystę policjanta.

— Jedziemy prosto od sędziego Inglewoda — dorzucił Andrew, by wzmocnić pogrózkę — a jadąc tu widziałem Archibalda Rutledge'a, policjanta. Odtąd te strony przestaną być gniazdem bezprawia, panie Syddall, kiedy to buntownicy papiści gospodarzyli tu, jak chcieli.

Groźba interwencji prawa zabrzmiała przerażająco w uszach starego, gdyż wiedział, że podejrzenie ciążyło i na nim, tak z powodu jego wyznania, jak i przywiązania do sir Hildebranda i jego synów. Zatrwożony i drżący, otworzył jedno z bocznych wejść, dobrze zabezpieczonych zamkami i zasuwami, i prosząc, bym mu wybaczył, pokornie się tłumaczył swoją służbistością, wiernością i gorliwością. Uspokoilem go i powiedziałem, że tym więcej go cenię za jego ostrożność.

— Ale nie ja! — wtrącił Andrew. — Syddall to stary krętacz. Nie byłby taki biały jak papier i nie drżałyby mu kolana, gdyby mu nie chodziło o coś więcej, niż się przyznaje.



— Niech ci Bóg odpuści, panie Fairservice — odpowiedział służący — że takie rzeczy możesz mówić o starym znajomym i koledze w służbie!... Gdzie — dodał idąc pokornie za mną wzdłuż korytarza — gdzie sobie wasza miłość każe rozpaścić ogień? Obawiam się, że waszej miłości dom wyda się smutny i ponury... A może wasza miłość zamierza wrócić do Inglewood Place na obiad?

— Zapal ogień w bibliotece — odpowiedziałem.

— W bibliotece? — zdziwił się stary. — Nikt tam od dawna nie siadywał i piec dymi, gdyż kawki tej wiosny zagnieździły się w kominie, a nie było młodych panów, którzy by je wystrzelali.

— Lepszy własny dym od cudzego ognia — rzekł na to Andrew. — Jego miłość lubi bibliotekę. To nie jeden z waszych papistów, panie Syddall, co lubują się w ciemności i nieświadomości.

Bardzo niechętnie, jak mi się zdawało, zaprowadził nas służący do biblioteki i wbrew temu, co zapowiadał, wewnątrz komnaty wyglądało, jakby je świeżo uporządkowano, a nawet pewne udogodnienia w nim poczyniono. Na kominku jasno palił się ogień, i to mimo kawek, o których Syddall opowiadał. Biorąc do ręki szczypcę, jakby chciał poprawić głównię, ale właściwie może raczej, by ukryć zmieszanie, stary usiłował się tłumaczyć:

— Teraz ładnie się pali, ale rano strasznie dymiło.

Pragnąc pozostać sam, dopóki nie otrząsnę się z pierwszych przykrych wrażeń, wywoływanych przez każdy z przedmiotów, które mnie tu otaczały, poleciłem staremu Syddallowi wezwać rządcę mieszkającego niedaleko dworu. Poszedł, choć widziałem, że bardzo niechętnie. Następnie kazałem Andrew sprowadzić paru silnych i pewnych ludzi, gdyż ludność dokoła składała się z papistów, a sir Rashleigh, po którym wszystkiego można się było spodziewać, znajdował się w sąsiedztwie. Andrew bardzo ochoczo podjął się tego zadania i obiecał przyprowadzić z Trinlay Knowe... dwóch tak gruntownych prezbitarianów jak on sam.

— Stawią się i dadzą radę nawet pretendentowi i lichu samemu... A i ja rad będę z ich towarzystwa, bo ostatniej nocy gdym był w Osbaldistone Hall, niech mi szron wszystkie kwiaty w ogródku zwarzy, jeżeli nie widziałem tego oto z tego obrazu (tu wskazał na portret dziada panny Vernon), przechadzającego się po ogrodzie w poświęcie księżyca. Mówiłem waszej miłości, że mnie duch wystraszył tej nocy, ale nie chcieliście mnie słuchać... Zawsze

wiedziałem, że czary i diabelskie sztuki znają ci papiści, alem tego nigdy na własne oczy nie widział, aż dopiero tej strasznej nocy.

— Idź już — odpowiedziałem — i przyprowadź ludzi, o których mówisz, ale bacz, by mieli w głowie więcej rozumu od ciebie i nie bali się własnego cienia.

— Zawsze uchodziłem za nie gorszego od innych — odpowiedział Andrew porywczo — ale ze złymi duchami nie mam ochoty się wdawać. I wyszedł, gdy właśnie wchodził Wardlaw, rządca rolny.

Wardlaw był to człowiek rozumny i uczciwy, bez którego starannej gospodarki trudno byłoby mojemu stryjowi tak długo utrzymać się przy majątku. Starannie i sumiennie zbadał on dowody mego prawa własności i uznał je za ważne. Dla kogokolwiek innego spadek ten przedstawiałby małą wartość, tyle było długów i gruntów oddanych pod zastaw, ale ojciec spłacił już większość tych obciążeń, a i resztę właśnie regulował. Wielkie zyski, jakie osiągnął ze zwyczajki państwowych papierów wartościowych, ułatwiły mu spłacenie długów ciążących na ojcowiznie.

Załatwiłem dużo ważnych interesów z panem Wardlaw i zatrzymałem go na obiad. Woleliśmy zjeść w bibliotece, chociaż Syddall gorąco zapraszał do sali kamiennej, którą w tym celu już zdążył uprzątnąć. Tymczasem ukazał się Andrew ze swoimi ludźmi, których gorliwie zachwalał jako „trzeźwych, przyzwoitych i wiernych prezbiterianów, a przede wszystkim odważnych jak lwy”. Kazałem dać im coś do wypicia i wszyscy trzej wyszli z pokoju.

Zauważywszy, że po ich wyjściu Syddall potrząsał głową, zapytałem go o powód.

— Być może, że nie mogę się spodziewać — odpowiedział — by wasza miłość dała wiarę temu, co mówię, a jednak to święta prawda. Ambrose Wingfield to człowiek najuczciwszy na świecie, ale nie ma bardziej fałszywego łotra w tych stronach od jego brata Lancie. Cała okolica wie o tym, że to szpieg sekretarza Jobsona, nasadzony przez niego na tych biednych panów, co to znaleźli się w kłopotliwych warunkach... Ale on jest dysydem, a to w dzisiejszych czasach pewnie już wystarcza za wszystko inne.

Dawszy w ten sposób folgę swoim uczuciom, na co ja zresztą nie zwróciłem uwagi, i postawiwszy wino na stole stary służący wyszedł z pokoju.

Pan Wardlaw pozostał ze mną do późna, a kiedy wreszcie zabrał swoje papiery i poszedł do domu, pozostawił mnie w tym rozgorączkowanym stanie ducha, kiedy samemu się nie wie, czy się pragnie towarzystwa, czy samotności. Zresztą nie miałem wyboru, gdyż pozostawałem sam w tym właśnie pokoju, który jak żaden inny nasuwał mi tyle smutnych myśli.

Gdy zmrok zaległ komnatę, Andrew, domyślając się czegoś, wsunął głowę we drzwi, nie aby spytać, czy życzę sobie przyniesienia światła, ale zalecając mi zapalenie go jako ochronę przeciw duchom, które wciąż pokutowały w jego wyobraźni. Odmówiłem trochę oschle, poprawiłem ogień i zasiadłszy w jednym z wielkich skórzanych foteli przed starym gotyckim kominkiem, bezwiednie się wpatrywałem w migotanie płomieni, świeżo przeze mnie podsyconych.

„Taka jest kolej i taki owoc ludzkich pragnień — mówiłem sam do siebie. — Rozpala je byle drobiazg, podsyca gra wyobraźni, potem karmią się one mglistą nadzieją, dopóki nie przetrwają tego, co je rozpało. Wreszcie człowiek, jego nadzieje, namiętności i pragnienia zamieniają się w bezwartościową kupę żużli i popiołów”.

Zdawało się, że moim myślom zawtórowało głębokie westchnienie z przeciwnej strony komnaty płynące. Zerwałem się zdumiony... przede mną stała Diana, wsparta na ramieniu postaci tak bardzo podobnej do często wspomnianego portretu, że czym prędzej spojrzałem na obraz spodziewając się ujrzeć pustą ramię. W pierwszej chwili pomyślałem, że albo rozum straciłem, albo że duchy zmarłych powstały nagle i stanęły przede mną. Drugie spojrzenie przekonało mnie, iż jestem przy zdrowych zmysłach i że owe postacie były żywe i rzeczywiste. Tak. To była Diana, ona i nie kto inny, choć bledsza i szczuplejsza niż dawniej. Obok niej stał nie żaden nieboszczyk, lecz Vaughan, a raczej sir Frederick Vernon, w stroju uszytym na wzór stroju swego dziadka, do którego portretu twarz jego była wybitnie podobna. On pierwszy przemówił, gdyż Diana nie podnosiła spuszczonej oczu, mnie zaś zdumienie dosłownie język sparaliżowało.

— Przychodzimy was prosić, panie Osbaldistone — rzekł — o przytułek i ochronę pod waszym dachem do czasu, aż będziemy mogli przedsięwziąć dalszą podróż. Więzienie i śmierć czyhają na mnie co krok.

— Ależ z pewnością — z wielkim trudem zdobyłem się na słowa — panna Vernon nie może przypuszczać... i wy, panie, nie możecie

chyba sądzić, bym zapomniał o waszej pomocy albo żebym był zdolny zdradzić kogokolwiek, a już szczególnie was, panie.

— Wiem o tym — odparł sir Frederick — a jednak z niewypowiedzianą przykrością wciągam pana w tę historię, może niemiłą, a na pewno niebezpieczną... pan jest ostatnią osobą, którą pragnąłbym obciążać tego rodzaju tajemnicą... Jednakże los mój, który gna mnie przez życie pełne niebezpieczeństw i uciezek, tak ciężko mnie doświadcza, że nie mam wyboru.

W tej chwili otworzyły się drzwi i rozległ się usłużny głos Andrew:

— Przynoszę świeczniki... Może je wasza miłość zapalić, kiedy zechce... To nietrudno...

Skoczyłem ku drzwiom mając nadzieję, że zdążę na czas, by Andrew nie mógł dojrzeć, kto jest w pokoju. Wypchnąłem go gwałtownie, zamknąłem za nim drzwi i przekręciłem klucz. Natychmiast jednak znając jego gadatliwość i przypomniawszy sobie jego dwóch towarzyszy na dole, z których jeden — jak mówił Syddall — był podobno donosicielem, czym prędzej pobiegłem na dół do pokoju służby, gdzie wszyscy byli zgromadzeni. Otwierając drzwi usłyszałem donośny głos Andrew. Moje niespodziewane pojawienie się przerwało natychmiast potok jego mowy.

— Co ci się stało, ty głupcze? — rzekłem. — Wytrzeszczasz oczy i wyglądasz wystraszony, jakbyś ducha zobaczył.

— N... n... nie, nie, to nic — odpowiedział — ale wasza miłość tak się rozgniewała...

— Boś mnie obudził z głębokiego snu, ty głupcze. Syddall mówił mi, że nie może znaleźć łóżek dla tych pocziwych ludzi na dzisiejszą noc, a pan Wardlaw sądzi, że nie ma potrzeby zatrzymywać ich tutaj. Oto korona, niech się napiją za moje zdrowie i Bóg zapłać za ich dobre chęci. Możecie już pójść do domu, moi kochani chłopcy.

Ludzie podziękowali mi, zadowoleni wzięli srebro i oddalili się, na pozór nic złego nie zamyślając. Śledziłem ich odejście, chcąc się upewnić, czy jeszcze wrócą, by gadać z Andrew. A tak przecież prędko go dogoniłem. Nie sądziłem, by zdążył cokolwiek powiedzieć, zanim mu przerwałem. Dziwne to jednak, ile złego dwa marne słowa sprawić mogą. W tym wypadku kosztowały one życie dwojga ludzi.

Po wydaniu tych poleceń, które miały zapewnić bezpieczeństwo moim gościom, wróciłem zdać im z tego sprawę dodając, że kazałem Syddallowi, by był gotów na każde wezwanie, przypuszczając, że to

w porozumieniu z nim znaleźli schronienie w zamku. Diana podniosła oczy dziękując mi za ostrożność.

— Teraz rozumiesz moją tajemnicę — rzekła. — Wiesz niewątpliwie, jak bliskim i drogim człowiekiem jest mi ten krewny, który tak często pod tym dachem znajdował przytułek. I pewnie nie zdziwisz się już, że Rashleigh, znając tę tajemnicę, mógł mną rządzić żelazną ręką.

Ojciec jej zaś dodał, że oboje postarają się nie nadużywać mej gościnności i opuszczą ten dom, gdy tylko będzie to możliwe.

Prosiłem oboje, by nie zważali na żadne poboczne względy i mieli na uwadze tylko swoje bezpieczeństwo. Dodałem, że i ja zrobię, co mogę, by je im zapewnić. Teraz nastąpiło wyjaśnienie okoliczności, które ich tu sprowadziły.

— Nigdy nie ufałem Rashleighowi — mówił sir Frederick. — Postępowaniem swym względem mojej córki, o czym mi ona z przykrością opowiadała, i łajdactwem, jakiego się dopuścił względem waszego ojca, ściągnął na siebie moją nienawiść i wzgardę. Nie ukrywałem tych uczuć przy ostatnim z nim widzeniu, chociaż przezorniej byłoby ich nie ujawniać. Urażony pogardą, z jaką go potraktowałem, dodał zdradę i odstępstwo do szeregu innych swych zbrodni. Wtedy jeszcze nie traciłem nadziei, że jego przewierstwo nie wyrządzi wielkiej szkody. Earl of Mar miał pokaźną armię w Szkocji i lord Derwentwater, a za nim Forster, Kenmure, Winterton i inni gromadzili siły nad granicą. Ponieważ łączyły mnie różne stosunki z tą arystokracją i szlachtą angielską, uważano, że będzie najszlachetniej, jeśli się przyłączę do oddziału górali, którzy pod brygadierem Mac Intosh z Borium przeszli w bród rzekę Forth, przebyli nizinne okolice Szkocji i połączyli się nad granicą z powstańcami angielskimi. Moja córka dzieliła ze mną wszystkie niebezpieczeństwa i trudy tak długiego i ciężkiego marszu.

— I nigdy swego kochanego ojca nie opuści! — zawołała Diana tuląc się do jego ramienia.

— Gdy tylko spotkaliśmy się z angielskimi przyjaciółmi, zrozumiałem, że nasza sprawa jest stracona. Szeregi nasze malały zamiast się powiększać, gdyż przyłączali się do nas tylko współwyznawcy. Torysi wyznania anglikańskiego pozostali na ogół niezdecydowani. W końcu zostaliśmy osaczeni przez przeważające siły w miasteczku Preston. Dzień jeden broniliśmy się odważnie. Następnego dnia zabrakło jednak odwagi naszym wodzom i

postanowili poddać się bez zastrzeżeń. Dla mnie było to równoznaczne ze złożeniem głowy pod topór. Około dwudziestu szlachciców podzielało moje zdanie. Dosiedliśmy przeto koni, a córkę moją, która koniecznie chciała los mój dzielić, umieściliśmy w środku oddziału. Towarzysze moi, podziwiając jej odwagę, jej miłość i przywiązanie do mnie, oświadczyli, że raczej zginą, niżby ją mieli opuścić. Puściliśmy się zbitą gromadą przez ulicę Fishergate na bagnistą łąkę, sięgającą rzeki Ribbie. Jeden z towarzyszy miał nam wskazać dobre przejście brodem. Nieprzyjaciel obsadził tę łąkę słabo, tak że mieliśmy tylko spotkanie z patrolem dragonów Honeywooda, których rozproszyliśmy i wycięliśmy w pień. Przeszliśmy rzekę, wydostaliśmy się na gościniec wiodący do Liverpoolu i rozdzieliliśmy się poszukując bezpiecznych kryjówek. Mnie losy zagnały do Walii, gdzie wiele jest szlachty moich religijnych i politycznych przekonań. Nie udało mi się jednak znaleźć sposobności do ucieczki morzem i zmuszony byłem znowu skierować się ku północy. Zaufany przyjaciel nazначzył mi miejsce spotkania tu, w sąsiedztwie, i obiecał przeprowadzić do portu nad ujściem Solway, gdzie ma czekać szalupa, by uwięzić na zawsze mnie ze stron ojczystych. Ponieważ Osbaldistone Hall było na razie nie zamieszkane i pozostawało pod opieką starego Syddalla, wtajemniczonego już przy innych okazjach, ściągnęliśmy tu, jako do znanego i bezpiecznego schronienia. Tu znów przebierałem się w strój, którego nieraz z dobrym skutkiem używałem do straszenia zabobonnych wieśniaków lub domowników, gdy mnie przypadkiem widzieli. Tak żyliśmy z dnia na dzień, oczekując znaku od naszego przyjaciela-przewodnika. Tymczasem nagle wasze przybycie i zajęcie tego pokoju zmusza nas do zdania się na waszą łaskę.

Na tym skończył sir Frederick swoje opowiadanie. Brzmiało mi ono w uszach jak baśń, w którą zaledwie mogłem uwierzyć. I znowu przed sobą miałem jego córkę, żywą i zdrową, jakkolwiek z przygaszoną urodą i bez dawnego humoru. Gdy dawniej z takim życiem opierała się wszelkim przeciwnościom, teraz przybrała wyraz skupionej, uległej, ale niezwykłej stanowczości i wytrwałości. Ojciec jej, choć dokładnie zdawał sobie sprawę z wrażenia, jakie to na mnie czyniło, nie mógł się powstrzymać od unoszenia się w pochwałach nad nią.

— Znosiła próby — mówił on — które mogłyby uświetniać dzieje męczenników. Stawiała czoło niebezpieczeństwom i śmierci pod najrozmaitszą postacią. Znosiła trudy i braki, mogące odstraszyć najsilniejszych mężczyzn. Spędziła dni w ciemności, a nocie na czuwaniu i nigdy, bodaj szeptem, nie poskarżyła się, nigdy nie okazała słabości. Słowem, panie Osbaldistone — zakończył — jest ona godną tego Boga — tu się przeżegnał — któremu ją oddam w ofierze, jako to, co Frederickowi Vernon pozostało najcenniejszego i najdroższego na świecie.

Milczenie zapadło po tych słowach, których złowróżbne znaczenie dobrze zrozumiałem. Ojciec Diany rozpraszał moją nadzieję na połączenie się z nią tak samo teraz, jak i wtedy, podczas naszego krótkiego spotkania w Szkocji.

— Nie będziemy dłużej zabierali czasu panu Osbaldistone — zwrócił się do córki — skoro mu już objaśniliśmy, w jakich warunkach znajdują się nieszczęśni goście, zdani na jego opiekę.

Prosiłem, by pozostali, sam będąc gotów opuścić komnatę. Sir Frederick zauważył jednakże, że mogłoby to wzbudzić podejrzenie mego służącego, że zresztą miejsce ich schronienia było ze wszech miar wygodne i zaopatrzone przez Syddalla we wszystko, czego mogli potrzebować.

— Może nawet moglibyśmy pozostać tam w ukryciu, wcale przez was nie zauważeni, byłoby to jednak dowodem ujmę wam przynoszącego braku zaufania do waszego honoru.

— To zaufanie słusznie mi się należy — odpowiedziałem. — Wy, panie, mało mnie znacie, ale panna Vernon, jestem pewien, zechce zaświadczyć.

— Nie potrzebuję świadectwa córki — odpowiedział grzecznie, ale w sposób kładący tamę mojemu zwracaniu się do Diany. — Gotów jestem wierzyć we wszystko najlepsze, co się was tyczy, panie Franku Osbaldistone. A teraz pozwólcie, że się usuniemy. Musimy odpoczywać, gdy tylko można. Wcale nie wiadomo, kiedy nam przyjdzie puścić się w dalszą, niebezpieczną drogę.

Wsunął dłoń córki pod swoje ramię i z głębokim ukłonem zniknął za kotarą.

## ROZDZIAŁ XXXIX

A teraz losu dłoń kurtynę wznosi

I sceny oczom odsłania...

Don Sebastian/419

Po ich odejściu w całym ciele poczułem obezwładniający chłód. Gdy wyobraźnia odtwarza nam nieobecny przedmiot naszych uczuć, przedstawia go nie tylko w najlepszym świetle, ale i w takim, w jakim pragnęlibyśmy go widzieć. W myśli mojej widziałem Dianę taką, jaką była wtedy, gdy jej łza padła na moją twarz. Pożegnalna od niej pamiątka, wręczona mi przez żonę Mac Gregora, świadczyła o tym, że usuwając się od świata w klasztorne zacisze Diana unosi ze sobą wspomnienie mojej miłości. A oto teraz znów ją ujrzałem. Przez chłodne i bierne jej zachowanie przebijał tylko spokojny smutek. Sprawilo mi to zawód i w pewnej mierze uraziło. W egotyzmie swych uczuć oskarżałem ją o obojętność i chłód, a jej ojca o dumę, okrucieństwo i fanatyzm. Zapomniałem, że oboje poświęcają swoje własne dobro, a Diana i skłonności serdeczne, aby spełnić to, co pocztywali za swoją powinność.

Sir Frederick Vernon był surowym katolikiem i drogę zbawienia uważał za zbyt wąską, by mógł nią kroczyć heretyk. Diana zaś, dla której przez wiele lat bezpieczeństwo ojca było głównym źródłem myśli, nadziei i czynów, czuła, że spełnia swój obowiązek, gdy poddając się jego woli, nie tylko wyrzeka się świata, lecz składa ofiarę z najdroższych uczuć serca.

Trudno się jednak mnie dziwić, że w takiej chwili nie potrafiłem w pełni ocenić szlachetności tych pobudek. Opanowałem się jednak o tyle, że będąc rozżalonym nie dałem im tego odczuć.

„Wzgardzono mną zatem — myślałem zastanawiając się nad znaczeniem oświadczenia sir Fredericka. — Wzgardzono nie uważając mnie nawet za godnego jednej chwili rozmowy z nią. Niech i tak będzie! Nikt jednak nie może mi zabronić czuwać nad jej bezpieczeństwem. Pozostanę tu na straży i przynajmniej dopóki ona będzie pod moim dachem, dopóty zabezpieczę ją przed każdym niebezpieczeństwem, jakie ramię odważnego człowieka odwrócić może”.

Wezwałem Syddalla do biblioteki. Przyszedł, ale w towarzystwie nieodstępного Andrew, który wobec tego, że obejmowałem zamek i



należące doń dobra, marzył o wyniesieniu się ponad całą służbę i bał się, że może coś stracić, jeśli nie będzie wciąż nasuwać mi się na oczy. Jak to jednak często zdarza się ludziom, którzy tylko samolubne mają widoki, przebrał miarę, uprzykrzył mi się swoim nadskakiwaniem i znudził.

Nieproszona jego obecność nie pozwoliła mi mówić swobodnie z Syddallem, a nie śmiałem go odesłać, by nie zwiększyć podejrzeń, jakie mógł powziąć, gdy go poprzednio tak nagle z biblioteki odprawiłem.

— Będę spać tutaj — rzekłem i kazałem bliżej do ognia przysunąć staroświecką kanapę. — Mam dużo do roboty i późno się położę.

Syddall, który — jak mi się zdawało — zrozumiał moje spojrzenie, ofiarował się przynieść materac i pościel. Zgodziłem się na to, odprawiłem służącego, zapaliłem parę świec i wyraziłem życzenie, by mi do siódmej rano nikt nie przeszkadzał.

Obaj służący wyszli, a ja pozostałem z bolesnymi i rozbieganymi myślami, czekając, aż wreszcie znużenie sen na mnie sprowadzi. Całą siłą starałem się teraz oderwać myśli od dziwnych okoliczności, w jakich się znalazłem. Uczucia dzielnie zwalczane, dopóki przedmiot ich był daleki, teraz niezwykle się spotęgowały z powodu bliskości Diany, z którą niebawem rozstać się miałem na zawsze. Wydawało mi się, że imię jej widzę na stronicach każdej książki, którą przejrzeć usiłowałem, a obraz jej narzucał mi się stale i wciąż, czymkolwiek bym nie usiłował zająć moich myśli. Był on jak ta usługna niewolnica w Salomonie Priori/420:

Zanim ją wezwać zdążyłem, Abra przede mną już stała,

Nawet gdy inne wołałem, Abra się pierwsza zjawiała.

Na przemian to pozwalałem biec tym myślom, to znowu z nimi walczyłem, chwilami poddając się nastrojowi tkliwego rozrzewnienia i smutku, tak obcego mojej naturze, to znów zbrojąc się w obrażoną dumę człowieka, który doznał, w swym mniemaniu, niezasłużonej krzywdy. Tak długo biegałem po bibliotece, że wprawiłem się w jakiś stan gorączkowy. W końcu rzuciłem się na posłanie i starałem się usnąć. Daremne były jednak te moje usiłowania. Nie mogłem się uspokoić. Daremnie leżałem cicho, bez ruchu jak umarły, daremnie starałem się odegnąć niepokojące myśli zmuszając się do jakiegoś powtarzania z pamięci różnych urywków z przeczytanych książek

albo do arytmetycznych działań. Krew w skroniach waliła mi młotem i paliła w żyłach jak strumień płynnego ognia.

Wreszcie zerwałem się z łóżka, otworzyłem okno i stałem czas jakiś w srebrnej księżycowej poświacie, czerpiąc z jasnego, spokojnego widoku odświeżenie i ukojenie myśli, które rozkazom mej woli nie dawały się już opanować. Powróciłem na koniec na posłanie z sercem — Bóg świadkiem — nie lżejszym, lecz jakby z zahartowanym i zdecydowanym przetrwać przeciwność losu. Niebawem też sen mnie ogarnął. Chociaż jednak ciało moje spało, dusza nie traciła świadomości bolesnej prawdy, a sny były pełne udręki duchowej i widzeń przerażających.

Przypominam sobie straszną mękę, gdy śniłem, że wraz z Dianą wpadłem w ręce żony Mac Gregora, że mają nas zrzucić ze skały w jezioro. Sygnałem miał być wystrzał armatni dany przez sir Fredericka Vernon, który w stroju kardynała uczestniczył przy tej ceremonii. Nader żywe było wrażenie tej widmowej sceny. Jeszcze w tej chwili mógłbym malować niemą i odważną rezygnację widoczną na obliczu Diany, dzikie, wykrzywione twarze katów tłoczących się koło nas wśród drwin i uragań, zmienną grę twarzy wykrzywionych coraz to inaczej, a coraz ohydniej. Widziałem twarde, niewzruszony fanatyzm na twarzy ojca Diany, widziałem, jak podnosi złowieszczy lont, usłyszałem wybuch śmiertelnego sygnału... Powtórzyły go raz po raz potężnym grzmiotem echa skał, a ja obudziłem się przerażony upiornym snem i w tejże chwili doznałem nowego wstrząsu: słyszane we śnie odgłosy nie były złudą senną. Już nie śniłem, a one nadal brzmiały mi w uszach. Dopiero po dobrej chwili otrząsnąłem się ze snu o tyle, by zdać sobie sprawę, że to ktoś dobija się do bramy. Zerwałem się z posłania mocno zaniepokojony, chwyciłem szablę i biegłem, aby zabronić wpuszczania kogokolwiek. Musiałem jednak krążyć dalszą drogą, gdyż biblioteka znajdowała się po przeciwnej stronie dziedzińca. Gdy dobiegłem do schodów, z których okna wychodziły na dziedziniec wejściowy, dosłyszałem słaby i onieśmielony głos Syddalla, odpowiadający na szorstkie wezwania jakichś ludzi. Słyszałem, że domagali się oni wpuszczenia w imieniu króla i z nakazu sędziego Standisha, grożąc staremu słudze najcięższą karną odpowiedzialnością w razie nieposłuszeństwa. Jeszcze zanim te głosy umilkły, usłyszałem ku memu niewypowiedzianemu oburzeniu, jak Andrew żąda od Syddalla, by się usunął, gdyż on drzwi otworzy.

— Jeżeli przychodzą w imieniu króla Jerzego — tłumaczył — to nie mamy się czego obawiać. I krew, i pieniądze daliśmy za niego. Nie potrzebujemy się ukrywać jak niektórzy inni, panie Syddall. Wiadomo przecież, że nie papiści z nas ani też jakobici.

Daremnie pędziłem po schodach. Słyszałem, jak usłużny łotr rygiel za rygłem odsuwał, przechwalając się cały czas swoją i swego pana lojalnością wobec króla. Od razu zrozumiałem, że tamci zdołają wejść, zanim stanę u drzwi, by rygle znów pozasuwać. Obiecując sobie, że w odpowiednim czasie nagrodzę Andrew pasem po grzbiecie, zawróciłem i co sił pobiegłem do biblioteki, porządnie się zabarykadowałem i rzuciłem się do drzwi prowadzących do pomieszczeń zajmowanych przez Dianę i jej ojca. Diana mi sama otworzyła. Była gotowa, ubrana i nie zdradzała ani zmieszania, ani trwogi.

— Przywykliśmy do niebezpieczeństwa — rzekła. — Zawsze jesteśmy na nie przygotowani. Mój ojciec już wstał, jest w pokoju Rashleigha. Uciekamy do ogrodu, a stamtąd tylną furtką do lasu. Klucz mam od Syddalla na wszelki przypadek... Las znam lepiej niż ktokolwiek. Zatrzymaj ich, proszę, parę minut. I, drogi, drogi Franku, bywaj zdrów!

Znikła jak meteor, śpiesząc do ojca. Tymczasem dobijano się już do drzwi biblioteki, próbując je nawet wyłamać.

— Ha, łotry, zbroje! — krzyknąłem udając, że nie wiem, czego szukają. — Jeżeli w tej chwili nie wyniesiecie się, strzelam przez drzwi.

— Głupstwo strzelanie! — odezwał się Andrew. — To pan sekretarz Jobson z prawnym upoważnieniem...

— Żeby szukać, pojmać i uwięzić — wołał przez drzwi ten wyszczekany adwokat — pewne osoby wymienione w moim nakazie, a obwinione o zdradę stanu z trzynastego paragrafu króla Wilhelma, rozdział trzeci!

I ponowiono gwałtowny szturm do drzwi.

— Wstaję, panowie — odpowiedziałem pragnąc zyskać na czasie, ile się tylko da. — Nie róbcie gwałtu, proszę. Pozwólcie mi obejrzeć wasze upoważnienie. Jeśli jest formalne i legalne, nie będę stawiał oporu.

— Niech żyje wielki Jerzy, nasz król! — krzyknął Andrew. — Mówiłem wam, panowie, że tutaj nie znajdziecie jakobitów!

Zwlekając do ostatecznych granic, musiałem w końcu otworzyć drzwi, gdyż inaczej by je wyważono.

Wszedł Jobson w asyście paru osobników, wśród których dostrzegłem młodego Wingfielda (jemu to niewątpliwie zawdzięczałem doniesienie). Przedstawił mi swój rozkaz aresztowania, wymierzony nie tylko przeciw sir Frederickowi Vernon, haniebnemu zdrajcy, ale i przeciw Dianie Vernon, niezameężnej, i Francisowi Osbaldistone, szlachcicowi, oskarżonemu o potajemną zradę. W tym wypadku stawiać opór byłoby szaleństwem, toteż poprosiwszy o parę minut zwłoki, oddałem się do jego dyspozycji.

Z przykrością następnie ujrzałem, że Jobson zmierza prosto do pokoju Diany, i zmiarkowałem, że stamtąd bez wahania i trudności idzie do pokoju, gdzie nocował sir Frederick.

— Umknął zając — oświadczył wstrętny drab — ale leże jeszcze ciepłe... jeszcze go charty ułapią na pieczeń!

Krzyk w ogrodzie potwierdził słuszność tej przepowiedni. Może w pięć minut później wszedł do biblioteki Rashleigh prowadząc jako więźniów Fredericka Vernon i jego córkę.

— Lis — oznajmił — zna swoją starą norę, ale zapomniał, że przezorny myśliwy może ją zatkać. Ja nie zapomniałem o furtce ogrodowej, sir Fredericku, albo, jeśli ten tytuł lepiej wam dogadza, szlachetny lordzie Beauchamp!

— Rashleighu — odparł sir Frederick — jesteś podłym nędznikiem!

— Zasługiwałem raczej na to miano, panie rycerzu czy lordzie, gdy pod kierunkiem zdolnego mistrza starałem się wojnę domową wzniecić w łonie spokojnego kraju. Ale zrobiłem, co w mojej mocy — dodał wznosząc oczy ku niebu — by błędy swoje naprawić.

Nie mogłem tego znieść dłużej. Chciałem w milczeniu śledzić bieg wypadków, teraz jednak czułem, że chyba trupem padnę, jeśli nie powiem, co mam na sercu.

— Jeżeli między szatanami — rzekłem — są lepsi i gorsi, to ten najgorszy, co podłość maskuje obłudą!

— Aa! Mój miły kuzyn — odparł Rashleigh kierując się ze świecą ku mnie i oglądając mnie od stóp do głów. — Witam, witam w Osbaldistone Hall!... Wybaczam ci twój zły humor. Musi być ciężko stracić dobra i kochankę w ciągu jednej nocy. Obejmujemy w posiadanie ten ubogi dom w imieniu prawowitego spadkobiercy — sir Rashleigha Osbaldistone.

Chełpiąc się tak Rashleigh nadrabiał miną, ale widziałem, że z trudem ukrywał swój gniew i wstyd. Gdy jednak Diana Vernon zwróciła się do niego, ten stan jego duszy lepiej się uwidocznił.

— Rashleighu — rzekła — żal mi ciebie... Choć ciężka jest krzywda, jaką chciałeś mi wyrządzić, i ciężka ta, którą wyrządziłeś, nie mogę tyle cię nienawidzić, ile pogardzać i litować się nad tobą. To, coś teraz uczynił, to dzieło gadziny, ale rozmyślać nad tym będziesz życie całe, a jakie będą te rozmyślenia, zostawiam twemu sumieniu, bo przecież ono kiedyś się obudzi.

Rashleigh przeszedł się parę razy po pokoju, podszedł do bocznego stolika, na którym stało wino, i drżącą ręką nalał sobie pełną szklanekę. Gdy jednak spostrzegł, że zauważyliśmy to drżenie, opanował je wysiłkiem woli i patrząc na nas z upartym i zuchwałym spokojem, podniósł szklanekę do ust nie wylawszy ani kropli.

— To stary burgund mego ojca — rzekł patrząc na Jobsona. — Rad jestem, że go trochę pozostało... Niech pan wyszuka odpowiednie osoby do objęcia w moim imieniu zarządu domem i majątkiem i niech pan wyrzuci niedołęznego starego kamerdynera i tego głupiego szkockiego łotrzyka. Tymczasem przeprowadzimy tych państwa do odpowiedniejszego, ubezpieczonego lokalu. Kazałem mieć w pogotowiu starą rodzinną karetę dla wygody państwa — zwrócił się ku nam — chociaż wiem dobrze, że nawet ta pani zniosłaby chłód nocny i chętnie podróżowałaby konno lub pieszo, gdyby cel podróży był bardziej po jej myśli.

Andrew załamał ręce.

— Ja tylko powiedziałem, że mój pan rozmawia z duchem w bibliotece... a ten niegodziwy Lancie zdradził mnie, starego przyjaciela, z którym z tej samej książki śpiewał psalmy przez lat dwadzieścia.

Andrew wypędzono z domu wraz z Syddallem nie pozwoliwszy mu nawet dokończyć żalów. To wyrzucenie go miało jednak szczególniejsze następstwa.

Postanowił, jak sam później opowiadał, pójść do starej matki Simpson, by tam po dawnej znajomości wprosić się na nocleg. Szedł aleją, lecz tam gdzie się ona kończyła i zaczynało pastwisko, nazywane wciąż jeszcze Starym Lasem, natknął się nagle na stado szkockiego bydła, odpoczywającego po całodziennym drodze. Andrew wcale się temu nie dziwił — znany mu był bowiem ten zwyczaj jego

rodaków, którzy lubili korzystać nocą z najlepszych nieogrodzonych pastwisk i wyruszyć przed świtem, by nic nie płacić za ich użycie. Zdumiał się jednak i przestraszył, gdy jakiś góral, skoczywszy nagle na równe nogi, zarzucił mu, że płoszy bydło, i nie pozwolił mu iść dalej, dopóki się nie rozmówi z właścicielem stada. Człowiek ten zaprowadził Andrew w gęstwinię, gdzie znajdowało się jeszcze kilku innych górali.

— Ja też — opowiadał Andrew — szybko spostrzegłem, że za wielu ich było jak na pędzenie stada, a z pytań, jakie mi zadawali, zmiarkowałem, że coś innego się waży.

Rozpytywali go szczegółowo o wszystko, co zaszło w Osbaldistone Hall, i widać było, że ich to, co mówi, zaskoczyło i poruszyło.

— I trudno — mówił Andrew — powiedziałem im, co wiedziałem, bo sztyletom i pistoletom jeszcze, jak żyję, nie odmówiłem odpowiedzi. Poszeptali między sobą i pognali bydło skupiając je u wejścia do alei, może o jakie pół mili od domu. Dalej ściągnęli kilka ściętych drzew leżących w pobliżu i ułożyli je w poprzek drogi parę metrów przed wjazdem do alei.

Świtało i blada jasność na wschodzie mieszała się z gasnącą poświatą księżyca, tak że można już było dokładnie rozeznaczyć przedmioty. Wtedy to od strony alei dał się słyszeć ciężki turkot karety, zaprzężonej w cztery konie i eskortowanej przez sześciu jeźdźców. Górale nasłuchiwali uważnie. W karecie siedział Jobson, jego niefortunni więźniowie i ja między nimi. Eskorta składała się z Rashleigha, kilku konnych urzędników sądu pokoju i ich pomocników. Gdy tylko minęliśmy bramę położoną u wejścia do alei, zamknął ją góral, którego w tym celu tam postawiono. Równocześnie kareta zatrzymała płaczące się po drodze bydło i barykada z drzew. Dwóch eskortujących zeszło z koni, by usunąć ścięte drzewa, które, jak mogli przypuszczać, pozostawiono przypadkiem lub przez niedbalstwo. Drudzy zaczęli szpicrutami spędzać bydło z drogi.

— Kto śmie krzywdzić nasze bydło? — odezwał się surowy głos. — Angus, strzelaj do niego!

W tej chwili Rashleigh krzyknął:

— Odsiecz! Odsiecz! — i strzałem pistoletu ranił mówiącego.

— Do szabli! — krzyknął przywódca górali. Natychmiast rozpoczęło się starcie. Słudzy prawa, zaskoczeni tak nagłym atakiem i zazwyczaj nie odznaczając się zbytnim męstwem, nieświecie się bronili,

zważywszy na to, że mieli liczebną przewagę. Niektórzy próbowali zawrócić i galopować do dworu, ale usłyszawszy wystrzał z pistoletu spoza bramy wyobrażali sobie, że są otoczeni, i w końcu galopem rozpiechli się w różne strony.

Rashleigh tymczasem zeskoczył z konia i pieszo, sam jeden, wdał się w rozpaczliwą walkę z przywódcą bandy. Byłem świadkiem tej walki, gdyż toczyła się ona po mojej stronie karety. W końcu Rashleigh padł.

— Czy prosicie o przebaczenie za winy w imię Boga, króla Jakuba i starej przyjaźni? — przemówił głos, który od razu poznałem.

— Nie, nigdy! — odpowiedział Rashleigh stanowczo.

— A więc giń, zdrajco, z powodu własnej zdrady! — odparł Mac Gregor i przeszył szablą leżącego przeciwnika.

Za chwilę był już u drzwiczek karety, pomógł z niej wysiąść Dianie, jej ojcu i mnie, a wyciągnąwszy sekretarza głową naprzód, rzucił go pod koła.

— Panie Osbaldistone — szepnął do mnie — wy się nie macie czego obawiać... muszę zaopiekować się tymi, którym wiele grozi... Wasi przyjaciele wkrótce będą bezpieczni... Bywajcie zdrowi i nie zapominajcie o Mac Gregorze!

Gwizdnął. Banda skupiła się wokół niego, by razem z Dianą i jej ojcem zniknąć niebawem w leśnej gęstwinie. Stangret i pocztylion porzucili konie i przy pierwszych strzałach uciekli. Zwierzęta jednak, zatrzymane barykadą, stały zupełnie spokojnie na szczęście Jobsona, gdyż przy najłżejszym ich poruszeniu koła karety przeszłyby po nim. Pierwszą moją czynnością było wyciągnięcie go stamtąd, gdyż lajdak był tak przerażony, że nie mógł powstać o własnej sile. Następnie zwróciłem mu uwagę na to, że nie brałem udziału w walce ani nie skorzystałem z niej, by uciekać. Dalej poleciłem mu, by szedł do dworu i zawołał kogoś z pozostałych tam jego ludzi dla dania pomocy rannym. Jednakże strach do tego stopnia opanował go i obezwładnił, że był niezdolny ruszyć się z miejsca. Postanowiłem wtedy pójść sam, ale na drodze potknąłem się o ciało człowieka. Sądziłem, że to trup lub umierający, lecz okazało się, że był to Andrew, zdrów i cały, a leżał, by uniknąć ciosów, pchnięć i kul, których przed chwilą było pełno.

Tak się ucieszyłem na jego widok, że nawet nie pytałem, skąd się wziął, i tylko wydałem mu odpowiedni rozkaz.

Rashleigh był pierwszym przedmiotem naszych zabiegów. Gdy się do niego zbliżyłem, jęknął zarówno ze złości, jak i z bólu i zamknął oczy, jak gdyby postanowił, niczym Jago, nie wymówić już słowa do końca. Wnieśliśmy go do karety, czyniąc to samo z leżącym na polu innym rannym spośród jego ludzi. Z trudem wytłumaczyłem Jobsonowi, że ma także wsiąść do karety i podtrzymywać sir Rashleigha na siedzeniu. Posłuchał, ale z taką miną, jakby niezupełnie rozumiał, czego od niego żądam. Andrew i ja, ująwszy konie przy pysku, obróciliśmy je i otworzywszy bramę, powoli prowadziliśmy karekę z powrotem do Osbaldistone Hall.

Tymczasem kilku uciekinierów zdążyło już okrężnymi drogami dotrzeć do dworu i zaalarmowało jego straż wiadomością, że sir Rashleigh, sekretarz Jobson i wszyscy ludzie eskorty, z wyjątkiem tych paru, którzy jakoby uciekli, zostali rozsiekani na kawałki u wjazdu do alei przez cały pułk dzikich górali. Toteż dojeżdżając usłyszeliśmy jakby brzęczenie roju pszczoł, nastraszonych i kotłujących się w ulu. Jobson już trochę oprzytomniał i odzyskał głos o tyle, by mógł dać się poznać. Spieszno mu było wydostać się z karety, tym bardziej że jeden z jego towarzyszy (urzędnik sądu pokoju) ku niewypowiedzianemu jego przerażeniu skonał obok niego z przeraźliwym jękiem.

Sir Rashleigh Osbaldistone żył jeszcze, ale tak strasznie był ranny, że dno karety pełne było krwi i długie jej smugi ciągnęły się od drzwi wejściowych do kamiennej sali. Tam umieszczono go na fotelu. Niektórzy starali się zatamować krew bandażami, inni wołali, że trzeba chirurga, ale nikt się nie kwapił, by go sprowadzić.

— Nie męczcie mnie — oświadczył ranny. — Wiem, że nic mi już nie pomoże, umieram...

Uniósł się w fotelu i choć śmiertelny pot wystąpił mu na czoło, przemówił z siłą, której nikt by się nie spodziewał po konającym:

— Kuzynie Franku, przybliź się...

Stanąłem tuż koło niego, jak sobie tego życzył.

— Chcę tylko, żebyś wiedział, że męka śmiertelna nie zmienia ani o włos uczuć, jakie żywię względem ciebie. Nienawidzę cię!

Gdy to mówił, wyraz wściekłości rozniecił szkaradny błysk w tych oczach, które wnet miały się zamknąć na zawsze.

— Nienawidzę cię nienawiścią tak silną, teraz gdy leżę przed tobą krwawiący i konający, jak gdyby noga moja deptała po twoim karku.



— Nie dałem ci powodu — odpowiedziałem — i dla własnego twego dobra życzyłbym duchowi twemu szlachetniejszych uczuć.

— Dałeś mi powód — odparł. — W miłości, w ambicji, w interesach zawsze krzyżowałeś moje drogi i zawsze niszczyłeś, com zdziałał. Urodziłem się, aby być chlubą domu mojego ojca, a byłem jego hańbą i tobie to zawdzięczam. Nawet moja ojcowizna przechodzi w twoje ręce... Bierz ją — dokończył — ale bierz ją razem z przekleństwem, umierającego.

Ledwie rzucił to przekleństwo, opadł na fotel, członki mu zeszywniały i oczy stały się szkliste, ale wyraz twarzy i spojrzenie śmiertelnej nienawiści przeżyło nawet jego ostatnie tchnienie.

Nie chcę się dłużej zatrzymywać nad tym bolesnym obrazem ani mówić i więcej o śmierci Rashleigha. Dodam tylko, że pozwoliła mi ona wejść w prawa dziedzica bez dalszych trudności, a Jobson zmuszony był przyznać, iż oskarżenie mnie o zdradę stanu oparte było jedynie na zaprzysiężonym doniesieniu, sfabrykowanym przez niego samego w celu poparcia dążeń Rashleigha i usunięcia mnie z Osbaldistone Hall. Imię łotra skreślono z listy adwokatów, a on sam popadł w biedę, otoczony ogólną wzdumą.

Uporządkowawszy sprawy w Osbaldistone Hall powróciłem do Londynu, rad, że mogę uciec z miejsca, które mi nasuwało tyle smutnych wspomnień.

Silnie mnie teraz niepokoiła troska o los Diany i jej ojca. Dopiero pewien Francuz, który przybył do Londynu w interesach, przywiózł mi list od niej, donoszący, że nic już ich bezpieczeństwu nie zagraża.

List ten wyjaśnił mi także, że zjawienie się Mac Gregora i jego ludzi nie było przypadkowe. Szkockim panom i szlachcie, zaangażowanym w powstanie, również jak wielu ludziom w Anglii, specjalnie na tym zależało, by ułatwić ucieczkę sir Frederickowi Vernon, który jako stary i zaufany agent domu Stuartów miał dość materiałów, by zgubić połowę Szkocji. Rob Royowi, który dał wiele dowodów bystrości i odwagi, powierzono zorganizowanie tej ucieczki. Na miejsce spotkania wyznaczono . Osbaldistone Hall. Słyszałeś już, jak nieszczęsny Rashleigh o mało nie pokrzyżował tego planu. Wszystko się jednak zakończyło szczęśliwie. Gdy tylko sir Frederick i jego córka znaleźli się na swobodzie, zastali przygotowane dla nich konie i Mac Gregora, który wybornie znał drogi w całej Szkocji i północnej Anglii. Przeprowadził on ich nad zachodni brzeg morski, skąd

bezpiecznie przeprawili się do Francji. Od tegoż Francuza dowiedziałem się, że mała jest nadzieja, by sir Frederick pożył dłużej niż kilka miesięcy, gdyż męczy go przewlekła choroba, wynikła z ciężkich przejść, trudów i braków. Córkę jego umieszczono w klasztorze i choć jej ojciec pragnąłby, aby przywdziała habit zakonny, jednak ostateczną decyzję jej samej pozostawia.

Skoro mnie doszła ta nowina, otwarcie wyjawilem ojcu stan moich uczuć. Niemałym wstrząsem była dla niego myśl, że mógłbym się ożenić z katoliczką. Bardzo jednak pragnął widzieć mnie „urządzonym w życiu”, jak się wyrażał. Rozumiał też, że decydując się iść z nim ręką w rękę we wszystkich jego interesach, czynilem ofiarę ze swych skłonności. Po krótkim wahaniu i po kilku pytaniach, na które otrzymał zadowolające odpowiedzi, przemógł się i powiedział:

— Nie spodziewałem się, że mój syn zostanie lordem na zamku Osbaldistone, a tym mniej, że szukać będzie żony we francuskim klasztorze. Ale tak obowiązkowa córka musi być dobrą żoną. Pracujesz przy biurku, by mi dogodzić, słuszne więc będzie, jeśli żeniąc się, sobie dogodzisz.

Łatwo zrozumiesz, Willu, z jakim pośpiechem wyjechałem, by starać się o rękę Diany. Wiesz też, jak długo i jak szczęśliwie żyliśmy ze sobą. Wiesz, jak ją oplakiwałem, ale nie wiesz i nie możesz wiedzieć, jak bardzo zasłużyła na ten mój żal.

Nie mam już żadnych romantycznych przygód do opowiedzenia ani w ogóle nic, czym bym chciał się z Tobą podzielić, gdyż dobrze znasz moje dalsze losy. Przeżywaliśmy razem smutki, radości i wszelkie zmienne mego życia koleje. Wiesz, że często odwiedzałem Szkocję, nigdy już jednak nie spotkałem tego śmiałego górala, który tak dużą rolę odegrał w przejściach mojej młodości. Od czasu do czasu dochodziły mnie wieści, że wbrew swym możnym wrogom utrzymał się w swoich górach, przy jeziorze Loch Lomond, i że nawet rząd udzielił mu cichej zgody na sprawowanie jego samozwańczego urzędu „protektora hrabstwa Lennox”. Z tego też tytułu wymuszał opłaty i otrzymywał je nie mniej regularnie niż właściciele zwykle swoje czynsze. Zdawałoby się niepodobieństwem, by spokojnie mógł życie zakończyć, a jednak po długim życiu umarł we własnym domu. Stało się to około roku 1733 i dotąd jest wspominany w ojczyźnie swojej jako szkocki Robin Hood, postrach bogatych, przyjaciel biednych,

człowiek wielu zalet serca i umysłu, zalet, które mogłyby ozdobić mniej dwuznaczny zawód niż ten, na który go los skazał.

Stary Andrew Fairservice zwykł był mawiać: „Jest wiele rzeczy zbyt złych, by je błogosławić, ale zbyt dobrych, by je potępiać, właśnie jak Rob Roy”.

Tu urywa się trochę nagle ten oryginalny rękopis. Mam powody przypuszczać, że jego dalszy ciąg zawierał już tylko sprawy prywatne.

## OBJAŚNIENIA

str. 5. Wordsworth William (1770—1795) — poeta angielski, znany przede wszystkim jako współautor tomu poezji *The Lyrical Ballades*, będącego programowym dziełem romantyzmu angielskiego

str. 15. Monsieur Thomas—Antoine-Leonard Thomas (1732—1785)— pisarz francuski, autor pompatycznych wierszy panegirycznych

str. 16. S u l l y Maximilien książę (1755—1794) pamiętników francuski mąż stanu, autor *in propria persona* (łac.)—we własnej osobie

str. 20. akredytywa — i pismo otwierające kredyt okazicielowi

str. 21. stanca — oktawa, zwrotka ośmiowierszowa z rymami następującymi po sobie w zawsze tym samym, określonym porządku

str. 22. H e r k u l e s — wg mitologii rzymskiej heros słynący z ogromnej siły fizycznej i męstwa

Atlas — wg mitologii greckiej tytan podtrzymujący na swych barkach sklepienie niebios

str. 24. Corneille Pierre (1606—1684) — dramaturg francuski, twórca nowego klasycystycznego stylu w teatrze francuskim, autor *Cyda Boileau Nicolas* (1636—1711) — poeta i krytyk francuski, autor *Sztuki poetyckiej* zawierającej reguły twórczości poetyckiej w duchu klasycyzmu

Addison Joseph (1672—1734) — angielski publicysta i dramaturg, założyciel czasopisma *Spectator*, autor wielu opowiadań i szkiców

Grane Alley — ulica w Londynie, przy której mieściło się wiele biur

str. 25. Ben Jonson (1573—1637) — dramaturg angielski, autor komedii *Yolpone* i *The Alchemist*

a ż i o (włosk. *aggio*) — dopłata różnicy przy wymianie różnych walut; zwyczaj wartości pieniądza w stosunku do jego dawnego kursu wyrażonego w złocie lub innej walucie

bonifikata — zniżka ceny kupna przyznawana nabywcy przez sprzedawcę; odszkodowanie

rewolucja — mowa o przewrocie państwowym w Anglii w r. 1688, przeprowadzonym przez wielką burżuazję i część szlachty, bez udziału mas ludowych.

Aby zrozumieć tło historyczne tej książki, a także aluzje do poprzedzającego akcję powieści przewrotu państwowego w r. 1688,

cofnijmy się wstecz do okresu rewolucji pod wodzą Olivera Cromwella.

Rewolucja kromwelowska wybuchła w r. 1642 i doprowadziła w r. 1649 do stracenia króla Karola I Stuarta i ustanowienia republiki z Oliverem Cromwellem (1599—1658) na czele. Angielskie masy ludowe, które brały żywy udział w rewolucji i umożliwiły zwycięstwo burżuazji, domagały się szerokich reform społecznych. Lecz burżuazja obawiając się mas ludowych skłonna była do ugody z feudałami. Parlament, zwołany przez następcę Cromwella, postanowił przywrócić monarchię. W r. 1660 przybył do Londynu powołany na tron Karol II, syn straconego Karola I Stuarta.

Karol II, który okres rewolucji spędził na dworze posiadającego władzę absolutną króla francuskiego, nie chciał się liczyć z życzeniami burżuazji i z parlamentem. Pewny poparcia Francji, zaczął prześladować uczestników rewolucji. Politykę taką kontynuował Jakub II, brat i następca Karola II, który poza tym faworyzował katolickich arystokratów powołując ich na wysokie urzędy państwowe.

Zaniepokoiło to zgrupowanych w parlamencie przedstawicieli wielkiej burżuazji i tzw. „nowej szlachty” (tej, która uzyskała ziemię w wyniku przeprowadzonych przez rewolucję konfiskat ziemi kościelnej), zwanych popularnie w i g a m i, w odróżnieniu od t o r y s ó w, przedstawicieli starej, konserwatywnej arystokracji ziemskiej, zwolenników feudalnych porządków i monarchii absolutnej.

W r. 1688 parlament zwrócił się do namiestnika Niderlandów Wilhelma Orańskiego i jego żony Marii, córki Jakuba II, by przybyli do Anglii i objęli tron opróżniony jakoby przez abdykację Jakuba II.

Wobec zbliżających się do Londynu wojsk najemnych Wilhelma Jakub II, choć nie myślał abdykować, pozbawiony poparcia parlamentu, musiał uciekać. Wilhelm i Maria zostali koronowani, parlament zapewnił sobie decydujące znaczenie w kraju.

W r. 1707 parlament „aktem o następstwie tronu” pozbawiał prawa dziedziczenia tronu syna Jakuba II — księcia Jakuba Edwarda stojącego na czele jakobicko-katolickiego reakcyjnego ugrupowania szlacheckiego, oddawał zaś koronę córce Jakuba II, Annie, a po jej śmierci wnuczce Jakuba I Zofii Hanowerskiej i jej potomkom „wyznającym religię protestancką”. Rzeczywiście po śmierci Anny

(panowała 1702—1714) na tron angielski wstąpił syn Zofii — Jerzy I Hanowerski (1660—1727).

Jakobici nie zrezygnowali ze swych zamierzeń. W r. 1715 książę Jakub Edward wylądował w Szkocji, gdzie jego zwolennicy zebrali kilka tysięcy ludzi, głównie górali żyjących jeszcze w klanach i posłusznych swym panom, oraz pewną część bogatej szlachty katolickiej. O tych właśnie wydarzeniach mowa jest w niniejszej powieści

26. Wielki Monarcha — mowa o królu francuskim Ludwiku XIV (1638—1715), najwybitniejszym przedstawicielu absolutyzmu francuskiego

30. Edward, Czarny Książę (1330—1376) — książę Walii, syn Edwarda III, którego roszczenia do tronu francuskiego były bezpośrednim powodem wybuchu wojny stuletniej. Czarny Książę, zwany tak z powodu koloru swojej zbroi, wstawił się w zwycięskiej bitwie pod Crecy (1346)

dysydent—człowiek nie uznający dogmatów religii (niektórych lub wszystkich) panującej w jego kraju.

W czasie gdy się toczy akcja powieści (1714—1715), Szkoci dzielili się zasadniczo na dwa ugrupowania religijne: katolików, nastawionych torysowsko, opowiadających się za feudalnymi porządkami, pragnących powrotu na tron dynastii Stuartów, oraz członków szkockiego Kościoła prezbiteriańskiego. Ci ostatni nie uznają w Kościele organizacji hierarchicznej, wrogo odnoszą się do wszelkiego przepychu, są za surowością i prostotą w obrządkach religijnych, w obyczajach, w całym życiu i sztuce. Prezbiterianizm był wyznaniem religijnym mieszczaństwa dążącego do zniesienia przywilejów magnatów i do reformy organizacji feudalnej w kościele. W Anglii natomiast życie religijne przedstawia się następująco. Państwowy Kościół anglikański (czyli episkopalny), ustanowiony w r. 1534 przez Henryka VIII Tudora, niezależny jest od Rzymu, podlega tylko królowi Anglii, ma jednak organizację, dogmaty i obrządki zbliżone do katolicyzmu. W XVII w. usiłowano Kościół ten wprowadzić w Szkocji, co wywołało tam wielkie wzburzenie. W tymże czasie w ramach Kościoła anglikańskiego zaczęto rozróżniać tzw. Wysoki Kościół — najbardziej prawomyślny — i Niższy Kościół, do którego należeli bardziej umiarkowani dysydenci, pozostający w ramach Kościoła państwowego i dążący jedynie do

jego zreformowania. Pod koniec XVI w. 2 państwowego Kościoła anglikańskiego wyodrębnili się nieprzejednani i bezkompromisowi purytanie (od łacińskiego purus — czysty). Chcieli oni oczyścić krajowy Kościół nie tylko od wszelkich kontaktów z Rzymem (co było już przeprowadzone), lecz również od katolickiej organizacji i obrzędów oraz „rzymskiego zepsucia”; najbardziej radykalni purytanie żądali nawet zniesienia godności biskupich i całkowitego upodobnienia Kościoła anglikańskiego do presbiteriańskiego szkockiego. Purytanie rekrutowali się głównie spośród kupców i przemysłowców, stąd ich ściśle powiązanie z wigami, reprezentującymi właśnie interesy tej postępowej wówczas klasy. W XVII w. wśród purytan zarysowały się wyraźnie dwa kierunki: bardziej umiarkowanych — presbiterianów i radykalnych — independentów

fontarabski — od nazwy miasta hiszpańskiego Fuentearrabia

str. 32. Oksford i Cambridge — siedziby najstarszych angielskich uniwersytetów

jakobici — stronnicy dynastii Stuartów po przymusowej abdykacji Jakuba II

Westminster i Eton — siedziby najstarszych angielskich szkół średnich

str. 33. debet (łac.) — winien; lewa strona w księgach handlowych, na której zapisuje się sumy należne przedsiębiorstwu

papista — pogardliwe przezwisko nadawane przez protestantów katolikom uznającym zwierzchność papieża nad Kościołem

str. 35. O r land o Furioso — Orland Szalony — tytuł epicznego poematu wielkiego poety włoskiego Lodovica Ariosto (1474—1533). Treścią tego poematu są opisy walk rycerzy Karola Wielkiego z Saracenami i przygody Orlanda oszalałego z miłości do pięknej Angeliki

S p e n s e r Edmond (1552—1599) — poeta angielski, reformator wiersza angielskiego, twórca tzw. „strofy spenserowskiej”, autor poematu fantastycznego pt. Królowa wróżek (The Fairy Queen)

38. G a y John (1685—1732) — poeta angielski, autor wielu sianek i bajek oraz słynnej Opery żebraczej (The Beggar's Opera) będącej śmiałą satyrą na klasy panujące w ówczesnej Anglii

-/...daleki dźwięk dzwonów miejskich... — autor czyni aluzję do starego angielskiego podania o chłopcu-sierocie, który wyruszył w

świat z Londynu, ale zawrócił, gdy z oddali usłyszał bicie dzwonów; wiele lat później został on lordem-majorem, czyli burmistrzem Londynu

Highgate — północne przedmieście Londynu

str. 40. ...bitwy we Flandrii... — w latach, 1702—1779 wojska angielskie stoczyły na terenie Flandrii kilka bitew z wojskami francuskimi w wojnie o tzw. sukcesję hiszpańską (tj. o tron hiszpański)

Opera żebracza—patrz wyżej, objaśnienie do hasła: G a y

str. 41. Anthony-a-Wood (1632—1695)—historyk angielski, autor biografii znakomitych wychowanków uniwersytetu w Oksfordzie

str. 42. Szalony Książę — przezwisko późniejszego króla Anglii Henryka V (1387—1422); jego młodzieńcze hulanki uwiecznił William Szekspir (1564—1616) w dramacie pt. Henryk IV

P o i n s — jeden z bohaterów dramatu Williama Szekspira pt. Henryk IV

G i b b e t —i jeden z bohaterów komedii angielskiego dramaturga George'a Farquhara (1677—1707) pt. Chytry plan fircyka (The Beaux' Stratagem)

Bucefał — koń Aleksandra Wielkiego (356—323 p.n.e.), króla macedońskiego

str. 45. Churchill Charles (1694—1764) — angielski poeta i satyryk

str. 47. Northumberland — hrabstwo w Anglii nad granicą Szkocji

Wilhelm Zdobywca (ok. 1027—1087) — książę Normandii (Francja), który dokonał podboju Anglii przeprowadzając się z wojskiem przez kanał La Manche i po zwycięskiej bitwie pod Hastings objął tron angielski

„byk" — makler (tj. pośrednik) grający na giełdzie na zwyżkę akcji  
„niedźwiedź" — makler grający na giełdzie na zniżkę akcji

str. 48. Bryzeida, Chryzeida, Achilles — bohaterowie Iliady, epicznego poematu greckiego poety Homera (IX w. p.n.e.)

str. 49. epikurejczyk — zwolennik epikureizmu: doktryny filozofa greckiego Epikura (347—270 p.n.e.) zalecającej rozumne dążenie człowieka do szczęścia, wyzwolenie się z religijnego zabobonu i lęku przed śmiercią;

w mowie potocznej: człowiek umiejący używać wszelkich radości życia



„W i l k e s i w o l n o ś ć" — W i l k e s John (1727—1797) — angielski publicysta i polityk; wślawił się pamfletem przeciw królowi Jerzemu III, za co został uwięziony. Jego sprawa stała się punktem centralnym burżuazyjnej opozycji przeciw rządowi Jerzego III, której hasło brzmiało:

„Wilkes i wolność"

str. 50. walki wigów i torysów — patrz str. 433, objaśnienie do słowa: rewolucja

dynastia hanowerska — królowie angielscy wywodzący się z dawnego niemieckiego Księstwa Hanoweru. Pierwszym „hanowerczykiem" (patrz objaśnienie do słowa: rewolucja str. 433) był Jerzy I (1660—1727). W pierwszym roku jego panowania (1714) wybuchło nieudane powstanie jakobitów, o którym mowa w tej powieści

Wysoki Kościół—patrz str. 434, objaśnienie do hasła: dysydent

dynastia Stuartów — dynastia królów szkockich, która w latach 1603—1688 zasiadała również na tronie angielskim. Ostatnim Stuartem panującym w Anglii był Jakub II prezbiterianin — patrz str. 434 objaśnienie do hasła: dysydent

str. 51. król Jakub — mowa o synu zdetronizowanego króla Jakuba II, pretendencie do tronu angielskiego

str. 54. Polowanie (The Chase) — tytuł znanego poematu angielskiego poety Williama Somerville'a (1675—1742)

góry Cheviot — pasmo gór leżące na pograniczu Anglii i Szkocji

druidyczny las — druidzi —« kapłani pogańskiej religii dawnych Celtów i Galów—oddawali cześć naturze, szczególnie dębom, i dlatego obrzędy ich odbywały się najczęściej w lasach dębowych

str. 55. N e m r o d — wg Biblii król chaldejski, zapalony myśliwy

str. 57. gro o m (ang.)—służący opiekujący się końmi

A l k o r a n (Koran) — święta księga wyznawców islamu, zawierająca mowy i przykazania Mahometa

str. 64. Festin de ferre (franc.)—Kamienny Gość—podtytuł dramatu Moliere (1622—1673) pt. Don Juan

str. 65. Penrose Thomas (1742—1779)—i angielski poeta preromantyczny

str. 66. prometejska — wg mitologii greckiej tytan Prometeusz wykradł ogień z nieba i przeniósł go na ziemię; został za to przykuty przez Zeusa do skały w górach Kaukazu, a sęp szarpał i pożerał mu

wątrobę. Prometeusz jest symbolem walki o najwyższe ideały ludzkości

Gijas i Kloant — bohaterowie Eneidy, epopei rzymskiego poety Wergiliusza (Publius Vergilius Maro, 70—79 p.n.e.), towarzysze Eneasza odznaczający się wielką siłą

str. 69. t u p a y (ang.) — staroświeckie męskie uczesanie tworzące czub na głowie

str. 70. Spectator — tytuł angielskiego czasopisma wychodzącego w latach 1777—1774, założonego przez Josepha Addisona

str. 72. str. 74.

S a n c h o — bohater sławnej powieści pisarza hiszpańskiego Miguela Cervantesa de Saavedra (1547—1616) pt. Don Kichot

Bachus — wg mitologii rzymskiej bożek wina

dzikie bestie z Efezu — w kwiecistym języku ogrodnika: katolicy; Efez — miasto w Azji Mniejszej, w starożytności ważny ośrodek życia chrześcijańskiego, znany z listów św. Pawła

Fairservice - nazwisko to znaczy dosłownie: uczciwa służba (fair service)

Str 75 Adamowe żebro — żartobliwie kobieta; wg Biblii Pan Bóg stworzył pierwszą kobietę z żebra Adama

str. 76. Wandalowie — szczep germański, który w V w. zdobył i splądrował Rzym niszcząc wiele dzieł sztuki. Wandalizm — synonim barbarzyńskiego niszczycielstwa

Marmontel Jean Francois (1723—1799) — pisarz francuski, autor wielu sentymentalnych dramatów; tu mowa o jego romansie historycznym pt. Belisaire

Str 77 Henryk IV—tytuł dramatu Willlama Szekspira; przytoczony fragment w przekładzie K. I. Gałczyńskiego

Król Hal — przezwisko Henryka V

Str 83 rząd hanowerski — rząd Jerzego I, króla Anglii i elektora Hanoweru

Str 85 credo (łac.) — wierzę; w przenośni: osobisty pogląd na jakąś istotną sprawę

Str 87 Butler Samuel (1612—1680) — poeta angielski, autor poematu pt. Hudibras, ośmieszającego purytanów

Str 89 Filistyni — lud, który około 1200 r. p.n.e. osiedlił się na wybrzeżach Palestyny i toczył długie wojny z państwem izraelskim.

Filistynów pokonał ostatecznie król izraelski Dawid (ok. 1000 r. p.n.e.); tu: wrogowie, protestanci

str. 91. Gorgona — Gorgony wg mitologii greckiej trzy potworne kobiety o ciałach pokrytych smoczą łuską, ze żmijami na głowie zamiast włosów. Ich spojrzenie miało moc przemieniania ludzi w kamień. Symbol okropności i zgrozy

str. 92.

contra pucem domini regis (łac.) — przeciw pokojowi króla; tu: zamach stanu

q u o r u m (łac.) — których [obecność jest wystarczająca]; liczba członków jakiegoś ciała kolegialnego, których obecność na posiedzeniu jest niezbędna do prawomocności uchwały; tu: jeden z wybranych, jeden ze stanowiących o losach innych

c u s t o s rotulorum (łac.) — tu: sędzia pokoju

C o k e Edward (1552—1634) — angielski jurysta i autor dzieł prawniczych

str. 93. T e m i d a — wg mitologii greckiej bogini sprawiedliwości, wyobrażana z zawiązanymi opaską oczami, z wagą i mieczem w rękach

C o m u s — wg mitologii rzymskiej bożek uczt

str. 100. Argyle Campbell John (1678—1743) — arystokrata szkocki, który podczas powstania 1775 r. był głównodowodzącym wojsk rządowych w północnej części kraju

str. 103. Fenwick John (1645—1697) przeciw Wilhelmowi III skazany na śmierć za udział w spisku

str. 106. Trigesimo S e p t i m o H e n r i c i O c t a v i i Prima Gulieimi (łac.) — trzydziestego siódmego [paragrafu statutów] Henryka VIII i pierwszego [paragrafu] Wilhelma

drewniane trepki — pogardliwe przezwisko nadawane Irlandczykom przez Anglików

grzałka — przeciwnicy Stuartów twierdzili złośliwie, że pretendent książę Jakub nie był prawowitym synem Jakuba II, gdyż żona tego ostatniego była jakoby bezpłodna; poród miał być inscenizowany, a dziecko wniesione do sypialni królowej w grzałce, tj. w naczyniu z gorącą wodą, służącej do ogrzewania łóżka

str. 112. in quarto i in octavo (łac.) — formaty książek; in folio ma rozmiar całego arkusza papieru, in quarto — 1/4 arkusza, in octavo — 1/8 arkusza

str. 114. szpinet dawny instrument strunowy, klawiszowy; prototyp fortepianu

Richard Vernon — występuje w tragedii Williama Szekspira pt. Henryk IV jako człowiek wahający się i niezdecydowany

D y c k Anthonis Van (1599—1641) — znakomity malarz i grafik holenderski, jeden z największych portrecistów świata. Od r. 1632 przebywał w Anglii na dworze Karola I

V e r n o n s e m p e r v i r e t (łac.) — Vernon zawsze kwitnie; zachodzi tu gra słów, gdyż: ver non semper viret znaczy: nie zawsze kwitnie wiosna

str. 115. Iniquity — imię postaci często występującej w moralitetach, tj. w średniowiecznych utworach scenicznych o charakterze moralizatorskim. Postać ta symbolizuje w nich niezrównoważenie, a jednocześnie niesprawiedliwość (od łac. iniques — nie w równowadze, niesprawiedliwy, szkodliwy)

G willi m John (1565—1621) — autor najstarszego angielskiego herbarza

str. 116. Karol I (1600—1649) — król Wielkiej Brytanii i Irlandii, stracony w czasie rewolucji burżuazyjnej Olivera Cromwella. Jego syn Karol II (1630—1685) zasiadł na tronie angielskim, gdy przywrócono monarchię w r. 1660; znany był z prześladowania uczestników rewolucji i z rozwiązłego i hulaszczego trybu życia

Stary pan z kosą (...) — Chronos; wg mitologii greckiej bożek będący uosobieniem upływającego czasu

str. 124. Amalekici — wojowniczy szczep zamieszkujący pustynię między Palestyną a półwyspom Synai. Amalekici zawzięcie zwalczali Żydów, dopóki, wg Biblii, nie rozgromił ich król Saul i Dawid (ok. 950 r. p.n.e.)

str. 125. T r i s t i a — zbiór elegii znakomitego rzymskiego poety Owidiusza (Ovidius Publius Naso, 43 r. p.n.e.—17 r. n.e.), którego cesarz August skazał na wygnanie. Żyjąc nad brzegiem Morza Czarnego, z dala od ojczyzny i przyjaciół, pisał z żalu i tęsknoty swoje Tristia (łac. tristia — treny, smutek)

str. 127. Mazarin Jules (wł. Mazarini, 1602—1661) — kardynał, francuski mąż stanu, z pochodzenia Włoch, sprawował rządy za panowania Ludwika XIII i w czasie małoletności Ludwika XIV

Alberoni Giulio (1664—1752) — kardynał i polityk, doradca króla hiszpańskiego Filipa V, z pochodzenia Włoch; w r. 1707 organizował pomoc dla szkockich jakobitów

str. 128. ...lord kanclerz siedzi na worku z wełną... — w Izbie Lordów lord kanclerz zasiada, zgodnie z tradycją, na wielkiej, kwadratowej poduszce zwanej woolsack (worek z wełną). Zwyczaj ten powstał, gdy handel wełną był najpoważniejszym zagadnieniem angielskiej polityki gospodarczej

Kalipso — wg mitologii greckiej nimfa, która na wyspie Ogigii więziła przez siedem lat Odyseusza, bohatera Iliady i Odysei Homera

str. 130. P l u t o s — wg mitologu rzymskiej bożek bogactwa

str. 131. Ryszard III (1452—1485) — król angielski, wstąpił na tron zamordowawszy przedtem dwóch swoich bratanków, prawowitych następców tronu; bohater sztuki Williama Szekspira pt. Ryszard III

str. 132. str. 137. C a s s i o — jeden z bohaterów dramatu Williama Szekspira pt. Otello

Otello — tytuł dramatu Williama Szekspira; przytoczony fragment w przekładzie J. Paszkowskiego

Lombard Street — ulica w Londynie, na której mieści się giełda, centrum brytyjskiej bankowości

str. 142. K a m i l l a — bohaterka Eneidy Wergiliusza

str. 151. kazuistyka — tu: krętactwo w dowodzeniu, wymyślne usprawiedliwianie zła

str. 157. laird — właściciel ziemski, w Szkocji

str. 158. pałac Saint James — i rezydencja angielskich panujących

str. 159. Graeme John (1643—1689)—po zdetronizowaniu Jakuba II stanął na czele powstania w Górnej Szkocji, w którym poległ

str. 165. Milton John (1608—1674) — wielki poeta angielski, autor poematu pt. Raj utracony (Paradise Lost); wyraziciel idei purytańskich w literaturze, zwolennik rewolucji burżuazyjnej Olivera Cromwella

str. 170. Benedykt — jeden z bohaterów komedii Williama Szekspira pt. Wiele hałasu o nic

str. 171. Robinson Kruzoe — bohater znanej powieści pisarza angielskiego Daniela Defoe (1660—1731) pt. Przypadki Robinsona Kruzoe; przytoczony fragment w przekładzie J. Birkenmajera

str. 172. ...wzięty z mądrości... — fragment Orlanda Szalonego Lodovica Ariosto w przekładzie Piotra Kochanowskiego

str. 176. „Jest! Stawiam dukata!” — cytat z III aktu tragedii Williama Szekspira pt. Hamlet; scena, w której Hamlet zabija ukrywającego się za kotarą Poloniusza; przytoczony cytat w przekładzie J. Iwaszkiewicza

str. 178. Tickell Thomas (1686—1740) — poeta angielski; wiele z jego wierszy drukował Spectator

str. 188. Burger Gottfried August (1747—1794) — poeta niemiecki, wprowadził do literatury niemieckiej formę ballady; przytoczony fragment ballady pt. Lenora w przekładzie B. Kicińskiego

masa upadłości — majątek dłużnika przeznaczony, lecz nie wystarczający na spłacenie jego długów

str. 190. Lightfoot — nazwisko to znaczy: lekkonogi (light foot)

str. 195. Unia — Anglia i Szkocja stanowiły początkowo dwa odrębne państwa (w Anglii panowała dynastia Tudorów, w Szkocji — Stuartów). W r. 1603 na opróżniony tron angielski wstąpił, zgodnie z testamentem zmarłej królowej Elżbiety, Jakub I Stuart, syn straconej w r. 1587 Marii Stuart. Oba kraje połączyła unia personalna. W książce mowa jest o Unii z r. 1707, na mocy której Anglia i Szkocja stały się jednym państwem — Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii. Unia ta została wymuszona na Szkocji (nie chcącej uznać dynastii hanowerskiej) uchwałą parlamentu angielskiego z r. 1704 zakazującą wszelkiego importu ze Szkocji. W ten sposób szkoccy hodowcy bydła pozbawieni by zostali swego głównego rynku zbytu. Unia przyczyniła się do rozwoju gospodarki szkockiej, do rozwoju stosunków kapitalistycznych; miała jednakże licznych wrogów wśród Szkotów, którzy nie chcieli pogodzić się z utratą samodzielności państwowej swego kraju

str. 196. jurisdictionis fundandae causa (łac.) — przekreślony zwrot prawniczy, który poprawnie winien brzmieć: jurisdictiones fundandi causa — dla zabezpieczenia należności

str. 197, ...babilońskie czy też angielskie wszeteczeństwa... — mowa o kościołach rzymskokatolickim i anglikańskim

str. 198. Langhorne John (1735—1779) — poeta angielski, tłumacz Żywotów dawnych mężów Plutarcha

str. 200. chaucerowska gospoda — aluzja do poematu pt. Opowiadania z Canterbury średniowiecznego angielskiego poety Geoffreya Chaucera (około 1340—1400)

str. 202. ...władzę, co siedzi na siedmiu wzgórzach — Rzym, siedziba papieża, zbudowany jest na siedmiu wzgórzach

str. 204. Żałobna narzeczona (The Mourning Bride) — tytuł tragedii angielskiego dramaturga Williama Congreve'a (1670—1729)

str. 212. R i alt o — mała wysepka w Wenecji połączona z placem Św. Marka sławnym mostem o tej samej nazwie

Wenecja ocalona (Venice Preserved) — tytuł sztuki angielskiego dramaturga Thomasa Otwaya (1652—1685)

str. 215. Lindsay David (1486—1555) poeta szkocki, autor wierszy alegorycznych i satyr

...opisał Mirza... — aluzja do alegorycznej opowieści Josepha Addisona, w której autor przedstawia życie jako most przerzucony nad oceanem wieczności

żelazne podwiązki — kajdany

str. 219. str. 222.

Ha n u n Gregarach! (gael.)—To ja, Gregor!

omnium (łac.) — wszystko

Almanza — miasto w Hiszpanii, w okolicy którego w r. 7707 podczas wojny z Francją o sukcesję hiszpańską Anglicy i ich sprzymierzeńcy ponieśli klęskę

ex cathedra (łac.) — dosłownie: z katedry; autorytatywnie

str. 223. str. 229.

j u d i d o s i s t i (łac.) — poręczenie, że przebywający na wolności oskarżony stanie na wezwanie sądu

judicatum s o l v i (łac.) — poręczenie, że jeśli oskarżony nie uiści całej zasądzonej sumy, poręczyciel za niego zapłaci

str. 230. str. 231.

Diogenes (404—323 r. p.n.e.) — filozof grecki ze szkoły cyników; szkoła ta za podstawę szczęścia i cnoty uważała maksymalną niezależność od zewnętrznych warunków życia, pogardę dla obyczajów i konwencji społecznych, ograniczenie potrzeb i powrót do „stanu naturalnego”

str. 233. Celt — Celtowie — szczep indoeuropejski, który w przedhistorycznych czasach zajmował tereny Europy środkowej (Francja, Nadrenia); z czasem Celtowie rozszerzyli swe siedziby i dotarli aż do wysp brytyjskich. Język gaelicki, którym mówią górale szkoccy, jest pochodzenia celtyckiego

str 234 Tityre tu p a tula e (łac.) — Ty, Tityrae, [pod cieniem spoczywasz] rozłożystego [buka...] — cytat z Bukolik Wergiliusza w przekładzie Z. Abramowiczówny; Tityr — imię pastuszka, bohatera eklog (poematów pasterskich) Wergiliusza, które noszą wspólny tytuł Bukoliki

str 235 Makbet — tytułowy bohater tragedii Williama Szekspira  
s p o r r a n — torba skórzana stanowiąca część uroczystego stroju górali szkockich

str 238 H a m a n — wg Biblii minister króla perskiego Kserksesa I, powieszony z rozkazu króla po utracie łask

str 242 Tu quoque (łac. — ty także) — tytuł sztuki angielskiego poety i dramaturga Roberta Greene'a (1558—1592)

Ksantypa — słynna z kłótności żona filozofa greckiego Sokratesa {469—399 r. p.n.e.)

str.- 249 P a l a m o n i A r c i t e — tytuł poematu Johna Drydena (1631—1700), angielskiego poety i dramaturga

str.- 257 wigamor — pogardliwe przezwisko nadawane wigom

str.- 259 G r a y Thomas (1716—1771) — poeta angielski, autor znakomitej Elegii napisanej na wiejskim cmentarzu (Elegy written in a Country Churchyard)

str.- 262 R a b o a m - następca słynnego z mądrości króla izraelskiego Salomona (970—933 r. p.n.e.)

str.- 268 Bothwell Brig (Bothwell Bridge) —i most na rzece Clyde; w r. 1679 wojska Karola II zadały przy nim klęskę oddziałom szkockim, które w obronie praw swego demokratycznego Kościoła prezbiteriańskiego sprzeciwiły się próbom narzucenia Szkocji Kościoła anglikańskiego

str.- 270 Robin Hood — legendarny angielski bohater-zbójnik broniący ubogich przed uciskiem możnych; żył prawdopodobnie w XIII wieku

Wallace William (ok. 7270—7305) — popularny narodowy bohater szkocki, wódz powstania przeciw Anglii, pochwycony i stracony z rozkazu króla angielskiego Edwarda I

bitwa pod Killiecrankie (1689) w bitwie tej powstańcy szkoccy rozbili wojska Wilhelma III

str. 271, Montrose James (1612—1650) — markiz, możny szkocki feudał. Podczas rewolucji Olivera Cromwella stał po stronie króla. W r. 7650 usiłował wzniecić w Szkocji powstanie na rzecz Stuartów



str. 273. Wielka Armada — olbrzymia flota wojenna hiszpańska wysłana przez Filipa II przeciw Anglii; Wielka Armada poniosła w r. 1588 dotkliwą klęskę w bitwie morskiej z flotą angielską

str. 276. Zapowiedź g l o d u (Prophecy of Famine) tytuł satyry angielskiego poety Chariesa Churchilla (1731—1764)

str. 289. Ha n i e l Sassenbach (gael.)—nie rozumiem po angielsku

str. 290. czerwone kurtki — żołnierze wojsk rządowych

H e k a t e — wg mitologii greckiej bogini czarów i śmierci

str. 291. karawanseraj — dom zajezdny na Wschodzie, miejsce postoju karawany

duinhewassels (gael.) — tak nazywali się niektórzy panowie żyjący w górach Szkocji, zwykle młodzi synowie znakomitych rodzin, którzy dostawali ziemię we władanie, ale podlegali wodzowi

str. 293. Dat v e n i a m c o r v i s, u e x a t c e n s u r a c o l u m b a s (łac.) — pobiła się krukowi, a prześladuje gołębie

str. 294. h o r s d e c o m b a t (franc.) — niezdolny do walki str.

296. klan królewski—tu: klan Stuartów

str. 300. C o o p e r John Gilbert 1723—1769) — poeta angielski, autor prac z zakresu estetyki

Ramsay Allan 1686—1758) — narodowy poeta szkocki, znany przede wszystkim jako autor poematu pt. Szlachetny pasterz (The Gentle Shepherd) ; w swoich utworach posługiwał się dialektem szkockim

str. 302. e s q u i r e — tytuł niższej szlachty angielskiej

str. 305. (...) ani z surdudem, ani z pledem (...) —ani z człowiekiem z nizin, ani z górale

str. 310. Bonduca — tytuł tragedii angielskiego dramaturga Johna Fletschera (1579—1625)

str. 314. sybille — wg mitologii greckiej wieszczki mieszkające w jaskiniach lub przy źródłach

str. 322. Amazonka — Amazonki — wg mitologii greckiej wojownicze plemię kobiet, które mieszkało nad Morzem Czarnym; symbol kobiety odważnej i dzielnej

str. 324. (...) jak trumna Mahometa (...) — wg legendy trumna założyciela islamu Mahometa (ok. 570—632) zawisa między dwoma potężnymi magnesami

str. 326. Brennus — wódz Galów, który w 390 r. p.n.e. zdobył Rzym i obiegł Kapitol (świątynię Jowisza w Rzymie). Zgodził się odstąpić od oblężenia za dużą sumę w złocie. Legenda mówi, że gdy to złoto

ważono, Brennus dorzucił na szalę z odważnikami swój miecz z okrzykiem: *Vae viclis!* (łac. — biada zwyciężonym) i kazał sobie dodać tyle złota, ile miecz ważył

str. 330.. Judyta — bohaterka biblijna, która wybawiła Judeę od najazdu asyryjskiego, zabijając wodza napastników Holofernesa

D e b o r a — prorokini, poetka i bohaterka biblijna

Heber Kenita — jeden z mitycznych przodków narodu żydowskiego

str. 344. order ostu — oset widnieje na herbie Szkocji oraz na jednym z najstarszych szkockich orderów

str. 347. Utrecht — miasto w Holandii, gdzie w 1773 r. podpisano pokój, który zakończył wojnę o sukcesję hiszpańską

str. 352. Gil Morrice — i zbójnik szkocki, bohater szkockiej ballady o tym samym tytule

str. 356. a l fresco (włosk.) — tu: na świeżym powietrzu

str. 358. kapral N y m — jeden z bohaterów tragedii Williama Szekspira pt. Henryk V

p a u c a v e r b a (łac.) — mało słów; tu: krótko mówiąc

str. 359. s y l f y — wg starych wierzeń duchy zamieszkujące powietrze *histerica passio* (łac.) — tu: atak rozpaczy

L e a r — bohater tragedii Williama Szekspira pt. Król Lear

str. 360. Critic — tytuł farsy angielskiego dramaturga Richarda Sheridana (1757—1876)

str. 365. dwór Stuartów w Sa i n t Germain — wygnany z Anglii Jakub II znalazł schronienie na dworze Ludwika XIV w pałacu Saint Germain. Tam, również żył jego syn książę Jakub Edward

str. 369. M a l v o l i o — jeden z bohaterów komedii Williama Szekspira pt. Wieczór trzech króli

str. 372. Cezar (Gaius Julius Caesar, 700—44 r. p.n.e.) — rzymski wódz i dyktator, zamordowany przez Brutusa; bohater tragedii Williama Szekspira pt. Juliusz Cezar

str. 380. proskrypcja — publiczne ogłoszenie o wyjęciu spod prawa. Majątek proskrybowanego ulegał konfiskacie, a jego samego każdy mógł bezkarnie zabić. W Anglii i Szkocji proskrybowano wszystkich noszących nazwisko Mac Gregor, łącznie z jeszcze nie urodzonymi

str. 381. lament — i tu: smutna kompozycja na kobzę pibroch (gael.) — aria na kobzę

str. 382.

...w roku 1707 — mowa o rozruchach, które wybuchły na wieść o zawarciu Unii między Szkocją a Anglią

Bunyan John (1628—1688) — pisarz angielski, autor alegorycznych opowiadań religijnych

Earl of Mar — Erskine John (1675—1732) — arystokrata szkocki, angielski sekretarz stanu; pozbawiony swego urzędu przez Jerzego I, udał się do Szkocji i stanął na czele rebelii jakobitów; pobity przez wojska rządowe, zbiegł do Francji, gdzie spędził resztę życia

run na banki — masowe wycofywanie wkładów

pokój w Ryswick — zakończył w r. 1697 długotrwałą wojnę między Francją a koalicją wielu państw europejskich (w koalicji tej Anglia posiadała decydujące siły, zwłaszcza na morzu)

kawalerowie—kawalerami (tj. rycerzami,) nazywali siebie zwolennicy zdetronizowanej dynastii Stuartów

majordomus — marszałek dworu, zarządzający służbą

tytuł tragedii angielskiego poety Johna Drydena Don Sebastian (1631—1700)

Prior Matthew (1664—1727) — angielski poeta i dyplomata; należał do partii torysów. Wiele swoich poematów, w tym i Salomona, napisał w więzieniu